

Marek Kędzierski

# Męska sprawa



# Rozdział 1

Drzwi hali wrocławskiego portu lotniczego rozsunęły się hałaśliwie. Hana wyszła na niewielki skwerek przed budynkiem, rozglądając się dyskretnie, tak jak ją szkolono. Nie zauważyła nic niepokojącego - ot, trzy puste taksówki na lewo od wejścia i jakiś mężczyzna w średnim wieku, taszczyący wielkie walizy. Facet drobił szybkimi krokami w stronę budynku lotniska. Kobieta z dwójką dzieci starała się dotrzymać mu kroku. Truchtając obok, udzielała mężczyźnie ostatnich wskazówek przed podróżą. Ze strzępów zasłyszanych słów Hana wywnioskowała, że ojciec rodziny wyjeżdża do Stanów Zjednoczonych, gdzie czeka na niego zatrudnienie gwarantujące pomyślny start w nowe życie. Dziwiła się, dlaczego tutejsi ludzie nadal postrzegali Amerykę jako kraj mlekiem i miodem płynący. Że wystarczy się tam dostać, by doświadczyć natychmiastowej, korzystnej odmiany losu. Niejeden imigrant szybko przekona się, że te wyobrażenia nijak nie przystają do rzeczywistości. Prawdziwe oblicze Ameryki dla większości z nich okaże się zimne, wrogie i odpychające.

Poza kilkoma przyszłymi jeszcze pasażerami Polskich Linii Lotniczych, spieszącymi w kierunku rozsuwanych drzwi, w pobliżu nie było nikogo. Prawie nikogo. Hana zatrzymała wzrok na zielonej, drewnianej ławce obok postoju taksówek. Zaległo tam trzech podtusiałych mężczyzn, wystawiających twarze do przyjemnie przygrzewającego wiosennego słońca. Na widok patrzącej w jego kierunku kobiety jeden z facetów poderwał się energicznie. Mimo swojej okazałej tuszy, zrobił to na tyle sprawnie, że nie zakłócił błogostanu kolegów. Kobieta, w której dostrzegł potencjalną klientkę, wyróżniałaby się nawet w gęstym tłumie - i to nie tylko nienagannym ubiorem. Jej szykowny żakiet przykrywał śnieżnobiałą, elegancką bluzkę. Kolorowa apaszka zdobiła łabędzią szyję, a spódnica przed kolano odsłaniała zgrabne nogi. Lśniące, czarne pantofle na średnim obcasie dopełniały całości. Kruczoczarne, bujne włosy upięte luźno z tyłu głowy odsłaniały wyjątkowo piękną twarz o wyraźnie semickich rysach.

- Może taksóweczkę łaskawa pani potrzebuje? - zagadnął z szerokim uśmiechem, obnażając żółte, nadpsute zęby. Mięsiłą dłonią wskazał wysłużonego mercedesa, z pewnością pamiętającego czasy głębokiej komuny.

- Sprawnie, szybko i tanio.

Gdy Hana zmierzyła go wzrokiem, jowialny taksówkarz aż skulił się w sobie. Było w

niej coś, co budziło respekt i wywoływało niepokój. Taksówkarz szybko zdał sobie sprawę, że kobieta ta nie należy do tego gatunku klientów, których można bezkarnie „przerobić” na opłacie za kurs po mieście. - Sobótka pod Wrocławiem. Wie pan, gdzie to jest? - rzuciła oschle, nie odrywając od niego wzroku.

- Się rozumie! - sprzeczne emocje walczyły na twarzy taksówkarza, by w końcu znaleźć ujście w kolejnej próbie promiennego uśmiechu. Sałaciarzowi trafił się przyzwoity kurs, a tym samym okazja całkiem niezłego zarobku. To było jednak kawałek za miastem, a klientka nie wyglądała na biedną. Tacy pasażerowie zwykle nie skąpią napiwków.

Zanim się połapał, Hana bezceremonialnie wręczyła mu swoją torbę podróżną, sama otworzyła sobie tylne drzwi i wsiadła w sposób, który sprawia, że każdemu może zakręcić się w głowie. Taksówkarz pokręcił głową z zachwytem i usiadł za kierownicą.

- Pani szanowna to pewnie z daleka... - zagadnął przyjaźnie, gdy wyjechali na obrzeża miasta w kierunku wylotu na Sobótkę.

- Z daleka - odpowiedziała krótko. Nadzieja na uniknięcie konwersacji, na którą zdecydowanie nie miała ochoty, właśnie się rozwiewała.

- Tak czułem, że z daleka. W sumie nie wygląda pani na Polkę. Wie pani, nasze dziewczyny wyglądają jakoś inaczej. Nie żeby były brzydkie, o nie! Polki podobno są najładniejsze na świecie. Pani też jest niczego sobie, ale mówi pani po naszymu jak Polka, i tak się zastanawiałem...

- Niech pan posłucha - spokojnym, ale zdecydowanym głosem Hana przerwała potok słów taksówkarza, płynący coraz szerszym nurtem. - Nie mam teraz ochoty na rozmowę. Umówmy się, że pan dowiezie mnie we wskazane miejsce, a ja panu zapłacę, i na tym zakończymy naszą znajomość. Proszę mówić tylko wtedy, gdy o coś spytam.

Kierowca wyraźnie się speszył. Bardzo lubił sobie pogawędzić z pasażerami, a z urodziwymi kobietami w szczególności, ta jednak zupełnie zbiła go z tropu.

- E... no... dobrze. Jak pani sobie nie życzy... - odpowiedział tonem niesłusznie skarconego dziecka.

Jechali w milczeniu. Głośny gang wysłużonego silnika mieszał się ze świstem wiatru w nieszczelnych oknach. Hana próbowała się skupić, planując przebieg rozmowy z przeorem klasztoru w Sobótce. Jaką strategię obrać na początku spotkania? Jak może reagować mnich? Czy uda jej się przełamać jego nieufność, a może nawet wrogość? Wiedziała, że nie będzie łatwo. Nie miałyby żadnych szans na to spotkanie, gdyby nie polecenie biskupa. Czy przeor potraktuje je jako niechciane polecenie przełożonego, czy jak ojcowską prośbę, którą wypełni życzliwie i po przyjacielsku? Znajomości rodziców sprzed 1968 bardzo się tym razem

przydały. Informacje o człowieku, którego szuka, pochodziły z wiarygodnego źródła. Jednak w tym przypadku nie można było mieć stuprocentowej pewności. Cóż, bez wątpienia przeor - jako przełożony - nie będzie skory do zwierzeń. Rzeczą najważniejszą, i pewnie najtrudniejszą, będzie wybadanie mnicha. Jeśli okaże się, że zdobyte przez nią informacje są ściśle, to przekonanie go, żeby umożliwił jej choćby krótką rozmowę z właściwym człowiekiem (o ile ten jeszcze żyje), powinno być łatwiejsze. Już teraz, kontrolując rytm oddechu, wprowadzała organizm w stan skupienia i gotowości. Ma tylko jedną szansę. Zamiar precyzyjnego użycia technik psychotechnicznych nie pozostawiał miejsca na ryzyko popełnienia błędu.

- Dojeżdżamy - odezwał się taksówkarz, wrywając ją z zamyślenia. - Dokąd pani sobie życzy?

- Do klasztoru - powiedziała, patrząc w odbite w lusterku zaokrąglone ze zdziwienia oczy kierowcy Nie zamierzała niczego mu tłumaczyć, a mężczyzna zdążył ugryźć się w język i nie zadał pytania, które cisnęło mu się na usta. - Wcześniej proszę się zatrzymać obok tego baru przed miastem. Mijaliśmy duży szyld. Widział pan?

- Zrobi się, szanowna pani - mężczyzna ucieszył się. Znał miejsce i właściciela. Cenił jego kuchnię, a pora zachęcała do posiłku.

Niewielki parking oddalony był jakieś pięćdziesiąt metrów od drewnianej chaty, służącej za przydrożny punkt gastronomiczny. Taksówkarz zgasił silnik i odwrócił się do pasażerki.

- No to podjemy sobie. Tutaj dają super szaszłyki, może mi pani wierzyć.

Hana wyciągnęła z portfela cztery stużłotowe banknoty i wręczyła je mężczyźnie.

- To jest opłata za kurs i parę złotych na posiłek. Niech pan idzie coś zjeść. Ja tu na pana poczekam. Tyle wystarczy?

- Starczy! Jasne, że starczy! - uradował się kierowca.

- Pani nie idzie?

- Chcę zostać sama. Poza tym nie jestem głodna. Niech już pan idzie.

- Rozumiem. Jakby co, to będę tam za domem. Na powietrzu są stoliki. W razie czego od razu mnie pani znajdzie - powiedział i wyszedł z samochodu, zamykając za sobą drzwi.

Kobieta wyciągnęła telefon komórkowy i wystukała na klawiaturze numer ambasady amerykańskiej w Warszawie. Połączenie odebrał mężczyzna o wyjątkowo niskim głosie.

- Ambasada, słucham.

- Mówi Hana. Proszę przekazać Dawidowi, że już jestem.

Rozmówca rozłączył się bez słowa.

Smakowita woń pieczonego mięsa, dobywająca się z przydrożnego lokalu, przyjemnie łechtała nozdrza. Taksówkarz wszedł do środka i już od progu przywitał się z gospodarzem.

- Dzień dobry, panie Heniu! Ależ u pana zapachy!

- A, witam, panie Zdzisiu! Dawno pana nie było. Trafił się lepszy kurs, co? Zapraszam, zapraszam.... Szaszłyk, jak zwykle?

Trzydziestoparoletni, barczysty mężczyzna z długimi, zawiązanymi w kucyk blond włosami uśmiechając się przyjaźnie, wskazał taryfiarzowi miejsce przy maleńkim stoliku, ledwo mieszczącym się przed wysokim kontuarem. Z kuchni dochodził łechcący podniebienie zapach pieczonego mięsa.

- Coś dziś u pana mały ruch, panie Heniu... - taksówkarz odruchowo spojrział przez wielkie, otwarte na oścież okno.

Przy jednym z ustawionych na zewnątrz lokalu ciężkich, drewnianych stołów z ławami po obydwu stronach siedziało trzech zakonników, co wyraźnie zaintrygowało pana Zdzisia. Dwóch było młodych, ale trzeci wyglądał na dużo starszego, choć jego krzaczasty zarost utrudniał właściwą ocenę wieku. Cała trójka w milczeniu pałaszowała wyśmienite szaszłyki, o których wybornej jakości taksówkarz niejedną już zdążył się przekonać. Taryfiarz wlepił wzrok w nietypowych gości.

- Ci księżulkowie to tutejsi? - zagadnął teatralnym szeptem.

- Zakonnicy z klasztoru. Czasem wpadają, jak im się klasztorne jedzenie znudzi. Spokojni. Nigdy nic nie mówią.

- Myślałem, że zakonnicy groszem nie śmierdzą...

- Jedzą na koszt firmy. Zawsze to jakaś zasługa w niebie - właściciel baru uśmiechnął się tajemniczo.

- No, no. Nie wiedziałem, że z pana taki... ten... no...

- Altruista?

- No, właśnie!

- To co, szaszłyczek rychtujemy?

- Tak jest! I małe piwko, jak zwykle.

- Oj, panie Zdzisiu, piwko i za kółko? - Henio pokręcił głową z dezaprobatą. - Pan to się nigdy nie poprawi...

- He, he, małe piwko jeszcze nikomu nie zaszkodziło.

W drzwiach wejściowych pojawiła się czwórka młodych ludzi. Weszli do środka, rozglądając się ciekawie po rzeźbionych w drewnie ścianach maleńkiego pomieszczenia. Piękna pogoda zachęcała do wypadów za miasto, co kusilo studentów i młodzież. Dwie

roześmiane dziewczyny miały na sobie zwiewne, kolorowe, krótkie sukienki. Blondynka o skandynawskiej urodzie trzymała oburącz narzuconą na ramiona dżinsową kurtkę. Jej koleżanka, brunetka o południowych rysach i ciemnej karnacji, miała na sobie czerwony, wełniany kardigan - wiosenne powietrze wciąż jeszcze było chłodne. Dziewczyny opierały się czule o swoich towarzyszy. Młodzieńcy byli szczupli, by nie powiedzieć chudzi, a okulary na nosach i mądre, poważne spojrzenia, tak charakterystyczne dla moli książkowych, sprawiały, że zupełnie nie pasowali do swoich spontanicznych towarzyszek, tryskających humorem i entuzjazmem.

- Dzień dobry. Czym mogę służyć? - spytał gospodarz zachęcająco.

- A co pan dzisiaj by nam polecił? - rzuciła filuternie blond studentka, jednocześnie odrzucając głowę do tyłu i poprawiając dłonią długie włosy, opadające luźno na ramiona i plecy.

Na widok młodych, ładnych kobiet taksówkarz odzyskał rezon.

- Ja, jako stały klient, poleciłbym szaszłyki - wtrącił. - Nigdzie lepszych nie jadłem. Możecie brać w ciemno.

- Mówi pan? - spojrzała na taksówkarza z promiennym uśmiechem. - To co, zaufamy stałemu klientowi? - dziewczyna zwróciła się do swojego towarzysza.

- Pan da cztery porcje - powiedział okularnik numer jeden i wyciągnął portfel.

- Proszę sobie usiąść na zewnątrz. Zaraz będą - odpowiedział ochoczo pan Henio.

Kilka minut później nowi klienci raczyli się już specjalnością zakładu.

Przezuwając twardszy kęs mięsa, taksówkarz odruchowo spojrzał w wielkie okno. Z dwóch starych opłi wysypała się grupka młodzieńców, którzy szybkim krokiem ruszyli w kierunku jadłodajni.

- A jednak szykuje się panu dzisiaj niezły utarg, panie Heniu - kierowca ruchem głowy wskazał nadchodzących klientów.

Gospodarz popatrzył we wskazanym kierunku, ale w wyrazie jego twarzy i zaciętych ustach próżno by szukać oznak zadowolenia. Milcząco wpatrywał się w nadchodzących.

- Panie Zdzisiu... - zaczął, lecz zanim dokończył w drzwiach stanęło dwóch przybyszów - napakowanych, z ogolonymi głowami i w ciężkich buciorach. Ich wygląd mówił sam za siebie. Podeszli do kontuaru. Pierwszy, wyglądający na inteligentniejszego niż kolega, oparł się łokciami o ladę.

- Dobry! - rzucił na powitanie. - Kibice Śląska Wrocław są głodni. Jakieś żarełko i piwko by się przydało.

Drugi obrzucił pogardliwym spojrzeniem wnętrze przydrożnego baru i jego klientów,

a potem porozumiewawczo kiwnął na swojego towarzysza. Taksówkarz przezornie spuścił głowę i z nienaturalnym zapalem zabrał się za końcówkę swojego posiłku.

- A macie czym zapłacić? - spytał Henio rzeczowo.

- Od Polaków chcesz kasę brać, człowieku? Bardzo mnie zawiodłeś... Zapłacimy ci dobrym słowem, prawda, Orzech?

Ton i słowa kibica nie pozostawiały wątpliwości co do zasobności jego portfela i chęci zapłaty. Orzech skrzywił się jeszcze bardziej pogardliwie i skinieniem głowy potwierdził słowa kolegi.

Właściciel baru, trzymając nerwy na wodzy, wycedził przez zęby:

- Dam wam parę piw, jeśli zaraz się stąd wyniesiecie.

- No, od razu po ludzku gadasz - rozpromienił się kibic. - Jak chcesz, to potrafisz - po przyjacielsku klepnął Henia w ramię.

Nieproszeni goście wyszli, niosąc siedem piw i tyleż samo słuszných porcji pieczonego kurczaka. Przywitały ich entuzjastyczne okrzyki triumfu kumpli, czekających przed barem. Tymczasem zanim dwójka kibiców dołączyła do pozostałych, sprawy przybrały obrót, którego Henio za wszelką cenę starał się uniknąć. Towarzysze Orzecha i jego koleśia nie zamierzali beczynnie czekać na kompanów załatwiających sprawę z właścicielem baru. Nadarzyła się okazja do dobrej zabawy, z której nie mogli przecież nie skorzystać.

Pięciu roślých kiboli otoczyło stół studentów, skupiając swoje zainteresowanie na siedzących tam dziewczynach.

- Cześć, lalunia. Może masz ochotę na prawdziwego mężczyznę? Garowało się pięć lat. Nie miałem kobiety i jestem w potrzebie - rzucił zaczepnie kibic z wytatuowanymi aż po nadgarstki ramionami. Jego twarz zatwardziałego kryminalisty budziła strach już na pierwszy rzut oka.

- Idziemy stąd! - zakomenderował okularnik i cała czwórka jak na komendę wstała od stołu.

- Siedz, jak ci dobrze! - silne ręce bandziora posadziły go z powrotem.

Reszta grupy także usiadła, nie chcąc drażnić łobuzów.

- Kitek, bierz się za lalę! - krzyknął Orzech zachęcająco i pociągnął potężny łyk ze swojej butelki.

Opryszkowi nie trzeba było dwa razy powtarzać. Ku uciesze kolegów, popijających z gwinta przyniesiony właśnie złocisty napój, zręcznym ruchem wcisnął dziewczynie rękę za dekolt, czym wzbudził entuzjastyczne okrzyki podziwu i zachęty. Dziewczyna wyrwała się i z całej siły wymierzyła mu siarczysty policzek, lecz reakcja była natychmiastowa. Bandzior nie

zamierzał pozostać jej dłużny. Jego żyłasta dłoń wylądowała na delikatnej buzi. Dziewczyna zatoczyła się pod ciosem i upadła. Ukryła twarz w dłoniach, po czym wybuchła głośnym płaczem. Okularnik rzucił się na oprawcę, ale błyskawiczne, precyzyjne uderzenie prosto w nos pozbawiło go wszelkich złudzeń co do szans w starciu z recydywistą. Chłopak zgiął się wpół, łapiąc się za twarz; przez palce popłynęła czerwona strużka. Druga para siedziała jak skamieniała na swoich miejscach, czekając na dalszy rozwój wydarzeń.

Przy stole zajmowanym przez mnichów młodzi zakonnicy spojrzeli pytająco na starszego. Położyli dłonie na stole gotowi wstać i włączyć się do bitki, ale ich towarzyszy zdawał się nie dostrzegać zajścia. Spokojnie dokończył posiłek, odsunął tekturową tackę i starannie wytarł usta papierową serwetką.

Tymczasem wytatuowany kibic chwycił za włosy zanoszącą się od płaczu dziewczynę i przybliżył jej twarz do swojej. Dziewczyna zamilkła, sparaliżowana strachem. Brodaty zakonnik wreszcie podniósł wzrok.

- Panowie, nie wszczynajcie awantur - powiedział tak łagodnym tonem, że w pierwszej chwili jego słowa w ogóle nie dotarły do agresorów. - Zostawcie tych młodych ludzi, którzy nie uczynili wam żadnej krzywdy i idźcie swoją drogą.

Ton i treść wypowiedzi podziałały na napastników jak filmowa stop-klatka. Zdumienie beczelnością klechy przeniosło uwagę bandytów na mężczyzn w habitach.

- Ty mnie, księżulku, nie wkurwiał, bo też możesz zebrać. Wypierdalać stąd, cioty, i to już! - wrzasnął wytatuowany.

Zacisnął chwyt i potrząsnął energicznie głową śmiertelnie przerażonej studentki, a potem spojrzał na swoją ofiarę. Jego usta wykrzywił jadowity uśmiech. Nawet mu przez myśl nie przeszło, że mnisi mogą zignorować jego nakaz.

- Do czego nam przyszło, gdy dobre słowo nie wystarcza... - brodaty mnich zwrócił się do swoich młodszych braci, wzdychając ciężko, a potem skinął przyzwalająco głową. Jego towarzysze przeżegnali się pośpiesznie i wstali od stołu. Pierwszy z nich szybkim, pewnym krokiem podszedł do wytatuowanego, który przyglądał mu się zupełnie zaskoczony, i błyskawicznym, wyćwiczonym uderzeniem w ucho posłał bandytę na ziemię. Krótkie, fachowe kopnięcie w staw kolanowy ostatecznie wyłączyło wijącego się z bólu bandziora z dalszej walki. Drugi zakonnik zajmował się już oprychami po przeciwnej stronie stołu. Dziecinnie nieporadne ataki kibiców spotykały się ze skuteczną reakcją pięści i obutych w sandały stóp zakonnika. Niemal każdy jego cios czy umiejętnie zastosowana dźwignia powodowały pęknięcie kości lub wywichnięcie stawu przeciwnika. Nie pomogły nawet wydobyte z kieszeni noże. Kilka minut później trzech kibiców Śląska Wrocław ślaniało się na



nogach, trzymając się oburącz za głowy. Po chwili padli na ziemię, dołączając do wijących się z bólu kompanów, a wokół stolików pozostały porzrzucone butelki i porcje kurczaków. Oszołomieni studenci powoli dochodzili do siebie.

Tymczasem zakonnicy, jak gdyby nigdy nic, oddalili się w stronę Sobótki.

- Jasna cholera! Niech mnie szlag... - wyszeptał w najwyższym zdumieniu taksówkarz. Wytrzeszczał oczy, gapiąc się to na pobojowisko za oknem, to na właściciela baru. - Panie Heniu, co to było?

Właściciel jadłodajni miał jednak inne zmartwienia na głowie.

- Panie Zdzisiu, mam do pana prośbę. Nic pan nie widział, nic nie słyszał, a najlepiej to w ogóle tu dzisiaj pana nie było, dobrze? Po co nam obu dodatkowe kłopoty? Tamte gnoje nic policji nie powiedzą, bo to by był dla nich dyshonor. Z młodymi sam porozmawiam.

- Skoro pan tak mówi, panie Heniu... Dobra, jasna sprawa. Na mnie może pan liczyć. Się rozumie - odparł taksówkarz, wciąż oszołomiony zajściem.

Uścisnęli sobie dłonie i pan Henio wyszedł do studentów.

Taksówkarz zastał swoją pasażerkę siedzącą wygodnie na tylnej kanapie wozu. Sprawiała wrażenie osoby głęboko pogrążonej w myślach i chyba nawet nie zauważyła jego nadejścia. Pan Zdzisio z trudem wgramolił się na fotel kierowcy, samochód zakołysał się. Rzucił szybkie spojrzenie w lusterko. Jego obecność ani na moment nie przerwała rozmyślań kobiety.

- Niech pani żałuje, że nie poszła pani ze mną - powiedział, wpatrując się w odbicie pasażerki.

Hana nie zaszczyliła go spojrzeniem. Nie dała po sobie poznać, że w ogóle słyszy skierowane do siebie słowa.

- Szkoda, że pani nie widziała - taksjusz nie dawał za wygraną - jak dwóch księżulków rozpieprzyło bandę żuli. Było ich chyba z piętnastu, a te dwa cherlawe chłopaczki złożyły im du..., to znaczy tyłki. Aż miło było popatrzeć.

Hana wbiła swój surowy wzrok w mężczyznę.

- O czym pan mówi?! - ożywiła się nagle.

Kobieta pochyliła się gwałtownie i chwyciła mocno oparcie fotela kierowcy. Zimno wpatrywała się w mężczyznę, czekając na wyjaśnienia.

- Księżulki, no takie z kościoła... - odpowiedział pan Zdzisio trochę zbity z tropu nagłą, zupełnie niespodziewaną reakcją kobiety. - No, spuścili łomot jakimś zulkom. I to taki łomot, że ja cię przepraszam.

Kobieta szarpnęła klamkę tylnych drzwi i jednym susem wypadła na zewnątrz, a

potem pobiegła w kierunku baru tak szybko, na ile pozwalała jej wąska spódnica.

Właściciel baru zdążył już wrócić za ladę. Przywitał ją życzliwym uśmiechem, polerując kryształowo czystą szklankę do piwa.

- Czym mogę służyć? - zapytał pogodnie.

- Tu byli przed chwilą zakonnicy. Gdzie poszli? - zapytała tonem nie znoszącym sprzeciwu i oparła się oburącz o kontuar.

- Proszę? - najwyraźniej nie był to koniec niezwykłych wydarzeń, jakie los zaserwował tego dnia panu Heniowi.

- Było tu dwóch zakonników. Pytam, w którą stronę poszli? - irytacja w głosie Hany nie pozostawiała wątpliwości, że żąda pełnej współpracy. - Proszę pana, to sprawa najwyższej wagi. Muszę ich znaleźć i to natychmiast!

Właściciel wyszynku nagle spowaźniał. Dłonie polerujące szklankę zastygły w bezruchu. Widoczna przed momentem na jego twarzy życzliwość gdzieś się ulotniła. Mężczyzna wbił w atrakcyjnego natręta lodowaty wzrok.

- Nie wiem, o czym pani mówi - słowa wypowiedział powoli i dobitnie, patrząc kobiecie prosto w oczy.

- Niech pan posłucha... - w jej głosie zabrzmiał wyraźny ton groźby, którą zresztą łatwo mogła zrealizować, jednym celnym uderzeniem, „zachęcając” go do współpracy. Mimo mocnej budowy, pan Henio nie miałby z nią żadnych szans.

- Nie, to niech pani posłucha - przerwał jej bezceremonialnie. - Nie było tu żadnych zakonników i myślę, że powinna pani sobie już pójść, bo będę musiał zadzwonić po policję.

Kobieta wyprostowała się i sięgnęła do wewnętrznej kieszeni zakietu.

- No, dobrze. Ile za informację?

Jednym ruchem wysunęła z portfela imponujący plik banknotów. Patrzyła wyczekująco na właściciela lokalu.

- Niech pani już idzie - odpowiedział spokojnie i cicho, widać było jasno, że mężczyzna uznał tę rozmowę za ostatecznie zakończoną.

Hana zmarszczyła brwi i zacisnęła usta, a potem z bezsilną złością wcisnęła pieniądze z powrotem do portfela. Gdzieś na Bliskim Wschodzie z łatwością wyciągnęłaby od tego hardego mężczyzny potrzebne jej informacje. Zdawała sobie jednak sprawę, że w tym kraju, pełnym dziwnych uprzedzeń do jej ojczyzny, nie należy prowokować niepotrzebnych kłopotów. Ten człowiek nigdy w życiu nie dowie się, jak wielkie miał dzisiaj szczęście.

- Do widzenia - wycedziła, odwracając się w stronę drzwi.

Barman odprowadził ją wzrokiem do wyjścia.

Pan Zdzisiu przechadzał się tam i z powrotem, co rusz nerwowo zacierając dłonie. Oparł się oburącz o maskę samochodu i rzucił karcące spojrzenie w kierunku zbliżającej się kobiety.

- Ale mnie pani załatwiła - powiedział grzecznie, lecz z nutą pretensji w głosie. - Pan Heniu kazał mi nikomu nic nie mówić, a pani musiała się wygadać. Co on sobie teraz o mnie pomyśli?

- Jedziemy - odrzekła szorstko, nie oczekując niczego innego, jak natychmiastowego wykonania polecenia.

\*

Przeor klasztoru powitał kobietę ciepłym uśmiechem, wstając zza ogromnego, pięknie rzeźbionego biurka, i wskazał gościowi wielkie krzesło naprzeciw siebie. Do tej chwili nie wiedziała, czego się spodziewać, z ulgą jednak stwierdziła, że ten krzepki jeszcze człowiek - spodziewała się raczej wiekowego starca - był jej nie tylko przychylny, ale wręcz życzliwy. Widać polecenie biskupa wiele znaczy. Mnich, który towarzyszył jej tutaj w drodze od bramy, nie odezwał się ani słowem, mimo że próbowała zagaić niezobowiązującą rozmowę. Braciszek zniknął natychmiast, gdy tylko przestąpiła próg tego pomieszczenia, wyglądającego jak biblioteka. Sięgające sufitu półki pełne były książek różnego rozmiaru i formatu. Jedynie potężne okna po prawej stronie drzwi oparły się inwazji mniej lub bardziej opasłych woluminów. Kamienna podłoga i wysokie sufity budowały atmosferę surowości żywcem wziętej z filmowej scenografii do „Imienia Róży”.

Hana podała gospodarzowi na powitanie swoją piękną, smukłą dłoń.

- Dzień dobry, księżo... właściwie nie bardzo wiem, jak się mam zwracać... jestem wyznania mojżeszowego - powiedziała z udawaną pokorą i ujmującą niepewnością w głosie, czym miała nadzieję sobie zjednać tego człowieka.

- Ojciec. Tak mnie nazywają współbracia.

Przeor na pierwszy rzut oka nie sprawiał wrażenia skrytego. To dobrze, pomyślała. Natychmiast uderzył ją kojący tembr jego głosu, przepojony głęboką wiarą i dobrocią płynącą z najgłębszych zakamarków zakonnej duszy. Nieraz zastanawiała się, co kieruje tymi ludźmi, którzy od wczesnej młodości przywdziewają habit i poświęcają życie Bogu. Jej wiedza w kwestiach wiary ograniczała się do reguł psychologii społecznej. Argumenty typu „powołanie” zupełnie do niej nie przemawiały.

- Nazywam się Hana Barhut. Współpracuję z pewnym amerykańskim wydawnictwem. Jestem właściwie dziennikarką i zbieram materiały do książki o ludziach określanych mianem żołnierzy fortuny - tych najlepszych z najlepszych. Chodzi mi w tym przypadku o...

- ... brata Jana - dokończył za nią przeor.

- No... tak. Właśnie brata Jana. Chciałabym z nim porozmawiać.

- Prawdziwy bohater - stwierdził zakonnik w zamyśleniu. - W Rwandzie uchronił od rzezi większość pracowników misji. Gdyby nie on, czekałaby ich śmierć w straszliwych męczarniach z rąk lokalnych siepaczy. Sam zginął w walce, jak prawdziwy żołnierz. Niewątpliwie zasłużył sobie na szacunek i pamięć. Myślałem, że pani wie o jego śmierci.

Spojrzał na nią lekko zdziwiony.

- Słyszałam. Ta historia była dość głośna. Mam jednak pewne wiadomości z dobrze poinformowanych źródeł, które sugerują, że brat Jan nie zginął w Rwandzie - wypowiadając te słowa, Hana znowu była sobą - pewną siebie, dążącą wprost do celu kobietą. - Istnieją przesłanki wskazujące, że ten klasztor jest miejscem jego pobytu.

- Będąc przeorem, na pewno coś bym o tym wiedział. Nie sądzi pani?

Jego ciepły głos wciąż miał taki sam tembr i intonację. Przemknęło jej przez głowę, że albo jest doskonałym aktorem, albo ma nerwy ze stali, albo też jej informacje faktycznie są nieprawdziwe. Bez wahania podjęła rzuconą rękawicę.

- Jadąc tu, byłam świadkiem pewnego ciekawego wydarzenia - zablefowała. - W przydrożnym barze, niedaleko za miastem, trzech zakonników w kilka chwil rozprawiło się z agresywną bandą osiłków. Ich zachowanie daleko odbiegało od powszechnie przyjętych norm życia zakonnego. Mam wrażenie, że ojciec niekoniecznie mówi mi całą prawdę. W takim miejscu chyba nie wypada... - znacząco zawiesiła głos.

Przeor przyglądał się jej ciekawie, przechyliwszy lekko głowę. Na jego twarzy nie drgnął ani jeden mięsień. Patrzył na nią z taką samą ciepłą przychylnością jak wtedy, gdy weszła do jego gabinetu.

- Hmm... Ciekawe rzeczy mówi pani, pani redaktor. Redaktor Hana Bernstein. Oficer izraelskich jednostek specjalnych Sayeret MATKAL w stopniu majora. Imponujące, jak na pani raczej młody wiek. Oprócz tego praktyka dziennikarska w jednej z najlepszych agencji wywiadowczych na świecie, czyli w izraelskim Mossadzie. Ekspert w sztuce walki Krav-Maga. No i te sukcesy prasowe... Operacja, w wyniku której pojmany zostaje Mustafa Dirani. Liban 1994, Taibeh, 3 marca 2000, żeby wymienić tylko pani najbardziej prestiżowe... jakby to ująć... dokonania literackie. Mam wrażenie, że to pani niekoniecznie mówi mi całą prawdę. W takim miejscu chyba nie wypada...

Hana poczuła, jak fala gorąca uderza jej do głowy. Przeciwnik okazał się jej godny. Mogła spodziewać się wszystkiego, tylko nie tego, że ten zaściankowy klecha będzie w stanie dotrzeć do informacji na jej temat i tak dokładnie ją sprawdzić. Potęgą kościoła katolickiego

jest niezmierną.

Przez chwilę czuła się jak mała dziewczynka przyłapana na kradzieży cukierków, starała się zachować zimną krew, tak jak ją nauczono. Obawiała się jednak, że nie zdołała ukryć przed tym niezwykłym mnichem wszystkich oznak zmieszania. Tymczasem człowiek siedzący przed nią wciąż uśmiechał się łagodnie, przeglądając się jej z życzliwym zainteresowaniem.

- Ma pani trochę czasu? - mnich przerwał niezręczną ciszę. - Opowiem pani o bracie Janie, jeśli pani chce.

Skinęła głową potakująco, nie chcąc, by głos zdradził targające nią emocje. To wystarczyło, by szybko wróciła do równowagi.

- Bardzo chętnie posłucham - odpowiedziała. - Czy tu wolno palić?

Przeor mrugnął powiekami na zgodę. Rozparł się wygodnie w swoim monumentalnym krześle i splótł dłonie na brzuchu.

- Pamięta pani jesień 1978 roku, gdy konklawe w Rzymie wybierało nowego papieża...?

## Rozdział 2

„Jest! Jest! Nasz jest!”. Te słowa wypowiedano, półgłosem, ale biła z nich niezmierna radość. Sąsiedzi padali sobie w ramiona, płacząc ze szczęścia. 16 października 1978 niczym się w życiu Ryśka Kamińskiego nie wyróżniał - to był taki sam dzień, jak inne - jednak panujące wokół podekscytowanie udzieliło się i jemu. Trzeba było jak zwykle wynieść śmieci, więc porwał kubełek i wybiegł na podwórko, ciekaw, co na to wszystko chłopaki. Pod klatką natknął się na Waldka. Chłopak siedział na ławeczce i mamrotał coś pod nosem. Obok stał Mirek Ząbkowski, nazywany Mistrzem, i skubał słonecznik. Obaj miny mieli nietęgą.

- Słyszeliście? Mamy papieża Polaka! - wypalił podniecony Rysiek. Spodziewanego efektu nie było. Nikt nie podskoczył z wrażenia, nikogo informacja nie poruszyła.

- Nie jest, kurwa, dobrze... Nie jest dobrze. Kurwa, niedobrze. Nie jest dobrze, kurwa - słowa padające z ust Waldka wprawiły Ryśka w osłupienie.

- Co ty pierdolisz? Jak niedobrze? Pogięło cię? - Rysiek nie rozumiał, o co chodzi. Mistrzowi stał obok i skubał słonecznik. Nie odzywał się. Jego milczenie było bardzo wymowne. Coś się musiało stać.

- Niedobrze, kurwa. Oj, niedobrze. Nie jest dobrze. Jasna cholera, niedobrze - Waldek uparcie trzymał się swojej wersji.

Nagle zerwał się, jak oparzony, na równe nogi i rzucił pełne przerażenia spojrzenie najpierw Ryśkowi, potem Mistrzowi.

- Mówię wam, kurwa, że nie jest dobrze - stwierdził ostatecznie i bez słowa pożegnania pognął ile sił w nogach w głąb osiedla, w sobie jedynie znanym celu.

Rysiek przez chwilę widział jedynie jego długie prawie do pasa włosy, rozwiane wokół głowy. Mistrzowi nawet nie podniósł wzroku - skubanie pestek uznał za zajęcie nieporównywalnie bardziej interesujące, niż zajmowanie się Waldkiem.

- Co jest, Mistrzu? Wiem, że Waldka czasem wali w dekiel, ale dzisiaj to, kurde, przegiął - ogłupiały Rysiek stał z kubełkiem śmieci w ręku, nie rozumiejąc, co się dzieje.

Mistrzowi pociągnął znacząco nosem, spoglądając na Ryśka z politowaniem i współczuciem jednocześnie. Jego grobowy głos zabrzmiał jak zapowiedź co najmniej końca świata.

- Waldek był dzisiaj na rejestracji przedpoborowych.

- O, kurwa! Idź w chuj! - wyrwało mu się, choć będąc dobrze wychowanym młodzieńcem, Rysiek starał się wulgaryzmów unikać. Tak go przynajmniej uczono w domu.

- Wygląda na to, że idzie do syfu.

- O, ja pierdołę! Zetną mu padła! - wiadomość zrobiła na nim piorunujące wrażenie, tym bardziej że taki los już niedługo mógł spotkać jego samego, z czego Mistrz zdawał sobie doskonale sprawę. - Takie padła! Tyle zapuszczania na nic.

- Nie będą się z nim pieprzyć. Ogołą na łyso i już. - Mistrz nie miał co do tego najmniejszych wątpliwości.

- Trzeba spierdalać - stwierdził autorytatywnie i poszedł do domu, bo tego dnia puszczali w radiu kolejny album kanadyjskiej grupy Rush, a Mirek chciał go nagrać.

- Coś ty tam mówił? Wybrali naszego na papieża? - spytał na odchodnym.

- Tak - odrzekł przygnębiony Rysiek. - Ale to nieważne. Nie wiem, czym się tak starzy podniecają.

Rozeszli się, każdy w swoją stronę - Mistrz do swojego bloku, a Rysiek do śmietnika.

- Hej, Rychu! Słyszałeś? Mamy papieża Polaka! - obejrzał się. Przy śmietniku stał rozpromieniony Romek.

- Ale teraz będzie jazda! Komunę szlag trafi, jak nic!

- Co ty mi tu pieprzysz o papieżu.... Waldek był na rejestracji przedpoborowych i chyba idzie do syfu, bo dostał A1! - Rysiek zupełnie już zapomniał, że zaledwie chwilę temu sam ekscytował się niezwykłą wiadomością.

- Nie pierdol! Waldek? - Romek rozpromienił się jeszcze bardziej.

Był to człowiek ulepiony z innej gliny, niż pozostałe chłopaki z podwórka - porządnie ubrany i zbytnio nie przejmujący się życiem. Romek miał bzika na punkcie muzyki. O ile wszyscy normalni ludzie muzyki słuchali, to ten za wszelką cenę chciał grać. Nawet kleju nigdy nie wahał, twierdząc, że to zabija mózg. Słowem dziwak, ale chłopaki go jakoś tolerowały.

- Wiesz, co to znaczy? Każdego z nas kiedyś dupną, jak czegoś się nie wymyśli - ciągnął Romek. - Ja to bym poszedł na studia, ale, kurde, na jakie? Ciebie, chłopie, zgarną, bo kolejnej teorii względności to ty nie wymyślisz. I tak cud, że cię w tym technikum trzymają.

- Ty mnie, kurde, nie obrażaj, bo jak się wkurzę... - oburzył się Romek.

- No właśnie - Idź wywal te śmieci, bo śmierdzi jak cholera. Idę do sklepu, stara kazała kupić ocet. Zaraz jeszcze pogadamy - Romek odwrócił się i odszedł w stronę supersamu.

Z kubelka faktycznie śmierdziało, ponieważ matka wywaliła skisłe ogórki. Ryśka dopadły niewesołe myśli. Waldka zgarniają do wojska, o nich też się pewnie niedługo upomną. 16 października 1978 roku życie było parszywe.

- Hej, Rychu! Słyszałeś, że wybrali Polaka na papieża?!

Rysiek starannie wytrząsnął śmieci do kontenera. Podekscytowanie Adasia nie zrobiło na nim najmniejszego wrażenia - spojrzął ponuro na kolegę i wycedził:

- Co tam papież! Słyszałeś, że Waldek był na rejestracji przedpoborowych i dostał A1?

- Nie pierdol! - wybąkał Adaś.

Tego dnia hierarchia ważności informacji układała się zdecydowanie na niekorzyść papież Polaka.

- To prawda, przed chwilą gadałem z Mistrzem. A Waldek to gdzieś poleciał i znowu pewnie trzeba będzie go szukać.

Tymczasem nadszedł Romek.

- Ty, Romuś, jak jest? - zagadnął Adam.

- Kijowo, ale damy radę - roześmiał się zagadnięty.

„A może ten dzień nie był do końca taki zły?”, pomyślał Rysiek i właśnie miał się żegnać, bo zapadł już zmierzch, gdy jego wzrok przykuła scena rozgrywająca się na przystanku autobusowym.

- Ej, patrzcie! - ruchem głowy wskazał kumplom przystanek.

W szybko zapadającym zmroku czterech mężczyzn szarpało i popychało młodą dziewczynę, bawiąc się przy tym doskonale. Dziewczyna była tak przerażona, że nie stawiała żadnego oporu. Szlochała tylko cicho, błagając, by pozwolili jej odejść.

- Majecha z kumplami - powiedział Adam z nutką agresji w głosie.

Wszyscy wiedzieli, kto to jest Majecha. Niereformowalny kryminalista, który większość życia spędził w więzieniach, znany w okolicy oprych. Ulica była już zupełnie pusta i na jakąkolwiek pomoc raczej nie można było liczyć. Poza tym z Majechą i tak nikt nie odważyłby się zadrzeć. Posterunek milicji był zbyt daleko, a telefon w domu mało kto wtedy posiadał. Chłopcy stali bezradnie, zastanawiając się, co zrobić, gdy do grupki oprychów podszedł szybkim krokiem starszy człowiek w kapeluszu.

- Patrzcie, jakiś dziadziuś idzie. Dostanie wpierdol... - wyszeptał Romek.

- Dobry wieczór panom. Chciałbym was prosić, byście pozwolili tej pani odejść. Najwyraźniej nie czuje się tu najlepiej i pewnie chciałaby wrócić spokojnie do domu - powiedział starszy człowiek.



Słyszając te słowa, bandziory zgłupiały na moment, lecz trwało to tylko krótką chwilę. Majecha uśmiechnął się szeroko, szczerze rozbawiony.

- Dziadziuś, pojebało cię? Wypierdalaj, póki mam dobry humor, bo ci dupę skopię i bratków nasadzę! - krzyknął ku uciesze kompanów.

- Bardzo panów proszę, nie róbmy niepotrzebnego zamieszania. Nikomu nie musi się stać żadna krzywda. Pozwólcie mi odejść z tą panią - mówił grzecznie staruszek.

- Wkurwiasz mnie, dziadek! - Majecha zaczynał tracić cierpliwość. - Edek, przypierdol mu, bo nie chcę sobie łamagą rąk brudzić.

Bandziorowi nie trzeba było dwa razy powtarzać. Wziął potężny zamach, lecz zanim jego pięść wylądowała na głowie staruszka, błyskawiczne kopnięcie w splot słoneczny pozbawiło go tchu. Oprych zgiął się w pół i opadł na kolana. Widząc to, jego kompani z wściekłością rzucili się na staruszka. Tylko Majecha przyglądał się całej sytuacji z otwartymi ustami, nie mogąc opanować zaskoczenia. Potyczka była krótka. Kilka sekund później mężczyźni leżeli na ziemi, zwijając się z bólu. Dwaj z nich mieli połamane ręce. Majecha doszedł już do siebie po pierwszym szoku i wy dobył zza pasa nóż. Dziadek nawet nie drgnął, tylko z zaciekawieniem wpatrywał się w bandziora. Kryminalista zręcznym ruchem pchnął przeciwnika w brzuch, lecz ten usunął się, jakby od niechcienia i wymierzył bandycie potężny, precyzyjny cios w podbródek. Nożownik osunął się nieprzytomny na ziemię. Dziewczyna natychmiast uciekła, a starszy człowiek ruszył w kierunku stojących opodał chłopców.

- O, Maliński i reszta.... Co to, już nie mówicie mi „dzień dobry”? - profesor Kwiatkowski zwrócił się do nich łagodniej niż zwykle.

Jak na komendę wymamrotali grzecznościową formułkę, wciąż gapiąc się na niego baranim wzrokiem.

- Mam do was prośbę, chłopaki. Nie mówcie nikomu coście tutaj widzieli. Milicja tylko niepotrzebnie zadawałaby pytania. Tamci nie będą kłapać dziobem, bo będzie im wstyd. Wy też zapomnijcie - powiedział i odszedł w głąb osiedla. - A tak nawiasem mówiąc - rzucił na odchodnym - to moglibyście odwiedzić starego nauczyciela i opowiedzieć, co się z wami działo od czasów podstawówki. Mieszkam na Wieniawskiego 30 przez 6. No, to na razie. Uciekajcie do domu, bo już ciemno.

Gdzie mieszka Kwiatkowski, przyjaciele wiedzieli już dawno. Sprawdzili to lata temu, kombinując jak by się tu na nim zemścić za swoje upokorzenia w szkole. Na szczęście nic wtedy nie wymyślili.

Jeszcze przez długą chwilę stali oniemiałymi, wpatrując się jeden w drugiego, a potem, jak na komendę, bez słowa ruszyli do domów. Rysiek rozcierał czerwone pręgi na

wewnętrznej stronie dłoni. Trzymał rączkę kubelka tak mocno, że plastik werznął mu się w ciało.

W nocy przewracał się z boku na bok, bardzo długo nie mogąc zasnąć.

\*

- Kwiatkowski odezwał się do was ludzkim głosem? - Mistrz spytał z niedowierzaniem, gdy spotkali się następnego dnia.

- Normalnie zaprosił nas, żebyśmy go odwiedzili w domu - zapewniał go Rysiek.

- Ściemniasz, facet - kumpel nie dawał się przekonać. - Kwiatkowski nigdy nie gadał z żadnym uczniem jak z człowiekiem.

- Ale to jeszcze nic! Ty wiesz, co zrobił z Majechą i jego kumplami?!

- Z Majechą? Co zrobił? Chyba zebrał kopy w dupę od każdego po równo?

- Spuścił im pierdol, aż miło!

- Co ty pierdolisz? Chybaś się z głupim przez ścianę macał... Gdzie? Jak? Kiedy? Majecha by wytarł Kwiatkowskim podłogę lewą ręką, mimo tych historyjek, że on to niby jakiś cichociemny z wojny. Idź do lekarza, bo masz jakieś zwidy.

- Mówię ci! Romek i Adaś mogą potwierdzić.

- Cześć, ludzie! Żałuj Mistrzu, że nie widziałeś wczoraj, jak Majecha z kumplami zebrał od Kwiatkowskiego - Adam pojawił się w samą porę, żeby potwierdzić słowa kolegi. - W życiu bym nie pomyślał, że Kwiatkowski ma taką parę! Jak przypierdolił Majesze, to myślałem, że mu łeb urwie. A myśmy się na niego parę lat temu szykowali. Dobrze, żeś nas wtedy powstrzymał, Mistrzu. Ja nie mogę, ale by nam łomot spuścił! Ty, Rychu, idziemy do niego? Sam zapraszał, nie?

Mirek Ząbkowski był zupełnie zaskoczony, ale, jak to on, starał się trzymać klasę i nie dać niczego po sobie poznać. Mimo to widać było, że informacja o Kwiatkowskim mało nie zwała go z nóg.

Mistrzowi to była ciekawa osobistość. Starszy od chłopaków o dwa lata, niejako wychował całą hałastrę blokowego podwórka w zastępstwie ich rodziców, którzy nie zawsze mogli poświęcić dzieciom wystarczającą ilość czasu. Większość życia osiedlowa młodzież spędzała poza domem, na ulicy. Tylko Mistrzowi, jego charyzmem i umiejętnemu podejściu zawdzięczali to, że powoli zaczęli wychodzić na ludzi. Co prawda z włosami do ramion, wachając butapren i z głęboką pogardą dla każdego rodzaju muzyki niezaliczającej się do gatunku heavy metal lub rocka symfonicznego, oraz dla ludzi takowej słuchających - ale jednak. Gdy byli jeszcze gówniarzami, organizował im Mistrz życie podwórkowe, przygotowując rozgrywki piłkarskie na modłę Mundialu, quizy edukacyjne z zakresu wiedzy

ogólnej czy też filmu. To dzięki niemu miano skończonych bałwanów, nadane chłopcom przez nauczycieli jeszcze w podstawówce, nie przyłgnęło do nich na zawsze. Dochodziło nawet do tego, że dla Mistrza czytali książki! Oczywiście nie mogły one mieć nic wspólnego ze szkołą, dlatego jakiegokolwiek lektury nie wchodziły w grę, ponieważ napawały urwisów tak głębokim obrzydzeniem, że nawet Mistrz nie byłby w stanie skłonić ich do przeczytania czegoś równie odrażającego. Ale za to Mirek wprowadził ich w świat fantastyki najwyższej próby, a to za sprawą Izaaka Asimova i Stanisława Lema; w świat przygód Alfreda Szklarskiego i w literaturę faktu, opisującą nie tylko wydarzenia z drugiej wojny światowej, ale i choćby problemy rodzącego się wtedy międzynarodowego terroryzmu. Jako syn taksówkarza nigdy nie dał im odczuć, że należy do innego świata - a należał. Taksówkarz to był ktoś, nawet w tak małej miejscinie jak Żary. Mistrz świetnie zdawał sobie sprawę z jakiej klasy społecznej pochodzi, ale był człowiekiem na tyle inteligentnym i wiedzącym czego chce, że kariera taksówkarska była dla niego czymś obcym, czego, nawiasem mówiąc, jego ojciec nijak nie mógł przeboleć. Ku jego rozpaczy Mistrz uparł się, by w przyszłości iść na studia. Co gorsza, denerwował czasem rodziców, przebąkując o teologii, lecz tego akurat nikt wtedy nie traktował zbyt poważnie. Wśród kumpli uznawany był za lekkiego dziwaka, ale cieszył się powszechnym poważaniem, szczególnie że i w mordę potrafił przywalić naprawdę przyzwoicie, ale tylko wtedy, gdy się uczciwie należało. A rękę miał ciężką. Nawet Adam, który mimo swojej raczej nienadzwyczajanej postury, niejednemu osiłkowi sprawił tęgie lanie, musiał to przyznać. Miał wrodzony talent do bitki, ale na Mistrz już kilka lat wcześniej połamiał sobie zęby.

Kumple nie potrafili pojąć, że Mirek, syn taksówkarza, mając taką przyszłość, chciał sobie zmarnować życie jakimś studiami teologicznymi.

- Jak was zaprosił, to idźcie. Sam bym z wami poszedł, ale teraz co innego mam na głowie. Trzeba by jakoś Waldka od wojska uratować.

Mistrz porywał się, niestety, z motyką na słońce. Jemu ojciec załatwił wyreklamowanie z armii. Miał swoje wejścia, dał w łapę komu trzeba, wyświadczył jakąś tajemniczą przysługę i syn otrzymał kategorię D, czyli niezdolny do służby wojskowej. Z Waldkiem sprawa była nieporównywalnie cięższa. Chłop zdrowy, duży, może trochę nie w pełni lotny na umyśle, ale kogo to w wojsku obchodzi? Osobiście Rysiek był pewien, że wszelkie wysiłki Mistrza nie zdadzą się na nic. Już niedługo Waldek miał się o tym przekonać na własnej skórze.

\*

Blok przy ulicy Wieniawskiego 30 nie wyróżniał się niczym nadzwyczajnym, jednak

wtajemniczeni unikali go jak ognia - tu mieszkał nauczyciel języka polskiego ze Szkoły Podstawowej nr 4.

- Kto puka? - zapytał niepewnie Romek, gdy stanęli przed drzwiami mieszkania profesora Kwiatkowskiego.

- Rychu - powiedział szybko Adam. Obaj spojrzeli wyczekująco na kolegę. - Ty zawsze byłeś najlepszy z polskiego.

Argument był mocny.

Stojąc pod drzwiami znienawidzonego, a w czasach podstawówki budzącego powszechną trwogę profesora, mimo swoich z górą osiemnastu lat, czuli się jak drobne złodziejzki, którym ktoś bacznie patrzy na ręce. Nauczyciel polskiego budził respekt nawet wtedy, gdy nie byli już w jego władzy. Rysiek podniósł dłoń i miał już zastukać, gdy drzwi otworzyły się prawie bezgłośnie.

Kwiatkowski spojrział na nich z zaciekawieniem, a jednocześnie surowo, jakby chciał im dać do zrozumienia, że doskonale zna ich nieczne myśli i żeby sobie za wiele nie wyobrażali. Mimo woli skulili się, choć powodów do takiej reakcji w istocie nie mieli żadnych. Romek tradycyjnie skurczył się do rozmiarów Adasia, co jak zwykle wzbudziło u Ryśka podziw dla jego umiejętności ekwilibrystycznych. On sam czuł się nieco lepiej niż koledzy, gdyż faktycznie miał zazwyczaj najlepsze stosunki z polonistą.

- Chodźcie, chłopaki - Kwiatkowski w okamgnieniu zmienił się nie do poznania. Z jego twarzy biło ciepło i szczerą życzliwość.

Otworzył szeroko drzwi.

Mieszkanie profesora było, ku ich wielkiemu zaskoczeniu, zupełnie normalne. Segment na ścianie, nieduży stół na środku pokoju z całkowicie normalnymi krzesłami, normalny dywan na podłodze, najwidoczniej kupiony po znajomości w lokalnej fabryce dywanów, gdzie pracowali rodzice Ryśka (u niego w domu był identyczny, więc źródło musiało być to samo). Jedynym elementem wyróżniającym to niewielkie lokum spośród innych osiedlowych mieszkań były ogromne regały z mnóstwem książek. Mistrzu na pewno by się zachwycił, ale akurat go nie było, więc nie było też komu wpadać w zachwyt. Na żadnym z gości (z wyjątkiem może Ryśka Kamińskiego) ten imponujący księgozbiór nie zrobił większego wrażenia.

Właściwie sami nie wiedzieli, czego się po mieszkaniu Kwiatkowskiego spodziewać, ale w głowie im się nie mieściło, że tak ekscentryczny człowiek mógł mieszkać w tak zwyczajnym lokalu. Co dziwniejsze, nie było nawet bałaganu, tak charakterystycznego u mężczyzn żyjących samotnie.

Pan profesor Kwiatkowski nigdy nie przestawał ich zaskakiwać.

- No, toście w końcu odwiedzili swojego starego, ulubionego belfra - powiedział łagodnie i wskazał im szeroką kanapę, by usiedli.

- Jak to ulubionego?! - wyrwało się niechcący Romkowi.

Adam potężnym kułakiem próbował zapobiec nieszczęściu, lecz było już za późno. Fatalne słowa zostały wypowiedziane. Chłopcy skulili się w sobie, w myślach żegnając się już z życiem, lecz do egzekucji nie doszło. Kwiatkowski nie rzucił się na nich w słusznym gniewie. Co gorsza, nawet ich nie zwymyślał, jak to zwykł był czynić w starych, dobrych czasach podstawówki. Nie padł żaden epitet, celnie definiujący ich władze umysłowe i wszelkiego rodzaju talenty lub raczej ich kompletny brak. Niezręczna cisza wywołana niefortunnym pytaniem trwała nie dłużej niż kilka sekund, lecz dla nich wydawała się wiecznością. Kwiatkowski roześmiał się serdecznie, jakby właśnie usłyszał szampański dowcip. Nieszczęsne ofiary własnej głupoty wybałuszyły na niego zdumione oczy. Profesor zaśmiewał się jeszcze przez jakiś czas, a oni nie mogli się nadziwić, że ten człowiek zdolny jest do czegoś takiego jak zwykły, ludzki śmiech.

- Ech, Maliński, ja to ciebie jednak zawsze lubiłem - powiedział ocierając łzy, które napłynęły mu do oczu.

- Mnie? - wybełkotał zdumiony Romek.

- Poczekajcie, poczęstuję was moją ulubioną zieloną herbatą - powiedział nauczyciel i wyszedł do kuchni.

- Zieloną?! - wypalił Romek, jakby pozostali przez niego jeszcze mało się wstydu najedli.

Po chwili Kwiatkowski wrócił z imbrykiem i czterema prawdziwymi, porcelanowymi filiżankami. Było to dosyć nietypowe w kraju, gdzie herbatę pilo się przede wszystkim ze szklanek, w tym sławetnych musztardówek. Żaden z chłopaków nigdy wcześniej nie miał okazji pić z filiżanki. Szczerze mówiąc, nikogo też nigdy do filiżanek nie ciągnęło. W ich kręgach powszechnie było mniemanie, że tylko badylarze, jak określano wtedy przedstawicieli tak zwanej prywatnej inicjatywy, przywiązują wagę do rzeczy typu porcelana w domu. Kultura w takim wydaniu zawsze była poniżej ich godności. Tutaj jednak w jakiś niewytłumaczalny sposób poczuli się nobilitowani. Po chwili filiżanki pełne były płynu o zielonkawym odcieniu. Romek zaczął rozglądać się po stole, jakby szukał czegoś, co zawsze przecież tam powinno być.

- Gdzie cukier? - spytał z głupia frant.

Gdyby wzrok mógł spalić, chłopak płonąłby żywym ogniem pod nienawistnymi

spojrzeniami kolegów. Mieli ochotę udusić go gołymi rękoma.

- No, co się tak na mnie gapicie? - obruszył się. - Przecież to chyba normalne, że herbatę pije się z cukrem. Nie?

- Zieloną herbatę pije się raczej bez cukru, żeby prawdziwie docenić jej smak - powiedział łagodnie pan Kwiatkowski.

- No, właśnie - stwierdził Rysiek ze znanstwem, choć nie miał zielonego pojęcia, że tak akurat się to robi.

- Tak jest - odezwał się Adam, by nie wyjść na ignoranta.

Pan profesor przyglądał im się z rozbawieniem. Romek podniósł filiżankę, zbliżył do twarzy i powąchał ją uważnie. Ryśkowi ręce opadły, a Adam miał ochotę zapaść się pod ziemię ze wstydu, lecz profesor Kwiatkowski ze stoickim spokojem i ciepłym uśmiechem na twarzy przyglądał się poczynaniom Romka. Widać było, że bawi się znakomicie.

- Ja wszystko wącham, zanim zjem albo wypije. Bo, wie pan, jak coś śmierdzi to znaczy, że jest niedobre - wytłumaczył się Romek, zupełnie nie zwracając uwagi na kolegów.

- Nie przejmuj się, Maliński. Wcale mi to nie przeszkadza - odpowiedział profesor. - A wam, chłopaki?

- Nie, nie, ależ skąd! - zapewniali jeden przez drugiego.

Herbata była osobliwa w smaku, ale faktycznie dobra. Pili przez chwilę w milczeniu i tylko Rysiek modlił się, by Romek, swoim zwyczajem, nie zaczął siorbać. Na szczęście kolega oszczędził im tych atrakcji.

- Psze pana, a jak pan Majechę załatwił? To było super! - zagadnął Adam.

- Kogo załatwiłem? - nie zrozumiał nauczyciel.

- No, tego drania Majechę i jego kumpli. Na przystanku - tłumaczył Adam.

- Ach, masz na myśli tego młodego człowieka i jego kolegów, którzy niepokoiли tę młodą damę, tak?

- O, no, no. - Adam ucieszył się, że profesor załapał wreszcie, o co chodzi.

- Nic nadzwyczajnego. Wszędzie znajdziesz ludzi, których czasami trzeba nauczyć dobrych manier.

- No, ale gdzie się pan tak wyuczył? - nie dawał za wygraną Adam.

Mając szczególny talent do bitki, Adam fascynował się wszelkimi rodzajami sztuk walki. Coś tam nawet ćwiczył, ale nikt pod tym względem nie traktował go poważnie, choć nawet największe oprychy w szkole wołały schodzić mu z drogi. Co jak co, ale bić się potrafił. Miał do tego wrodzone zdolności, tak jak niektórzy rodzą się z talentem muzycznym. Wielu było przekonanych, że Adam w końcu wyląduje w pudle, odsiadując wyrok za pobicie.

- Na wojnach, chłopcze - odpowiedział krótko polonista.

- Jak to na wojnach? Przecież była tylko jedna wojna. Z Niemcami. W czterdziestym piątym! - widać było wyraźnie, że Romek sięga szczytów swej historycznej wiedzy, usilnie grzebiąc w pamięci.

- Była jeszcze wojna w Korei i w Wietnamie - powiedział profesor głosem, w którym wyraźnie wyczuwało się jakiś nieodgadniony smutek.

Wydarzenia, o których wspominał Kwiatkowski, były im zupełnie obce, co było raczej oczywiste. Ówczesne podręczniki historii starannie omijały fakty niewygodne dla komunistycznego rządu Polski. Gdy chłopcy stali się bardziej dociekliwi, Kwiatkowski zrezygnacyjnie zwrócił temat na doniosłe wczorajsze wydarzenie.

- Papież jak papież - skomentował krótko Romek. - Mięsa od tego w sklepach nie przybędzie.

Co do tego, to Rysiek musiał się z Romkiem uczciwie zgodzić.

- Sytuacja w kraju w ogóle się nie zmieni, bo niby dlaczego miałyby się zmienić? Papież będzie sobie mieszkał w Rzymie, robił swoje w Kościele i tyle. Co ludziom tak naprawdę do tego? Żeby ktoś Gierka pogonił, o, to by było coś. Teraz człowiek musi stać godzinami w mięsnym po jakiś ochłap, chyba że ma się znajomości na wsi.

Rysiek wiedział, co to znaczy, bo właśnie następnego dnia czekała go ta wątpliwa przyjemność - trzeba zająć kolejkę do czasu, aż matka wróci z pracy, i wtedy może uda jej się coś kupić.

- Nie macie racji, chłopaki - stanowczo stwierdził nauczyciel. - Wierzcie mi, to jest początek końca komuny w naszym kraju, a może i w Europie.

Chłopcy wybuchli śmiechem, pełnym politowania dla tak bezgranicznej naiwności, jaką właśnie zademonstrował polonista, choć nie było to zbyt grzeczne z ich strony. „Niby kształcony człowiek, bywały w świecie, a takie farmazony plecie. Na sklerozę za młody, może go praca w szkole tak wykańcza, że śni na jawie?”, pomyślał Rysiek.

- Proszę pana, z całym szacunkiem, ale teraz to pan załadował! - wykrzyknął rozbawiony. - Co, papież ruskiego pogoni? Proszę pana, my może się na polityce za bardzo nie znamy, ale mamy oczy i widzimy, co się dzieje. Żeby komuna upadła, musiałaby być jakaś wojna, a nie zanosi się.

- No właśnie - zawtórował mu Romek, podnosząc palec wskazujący dla podkreślenia wagi swojej wypowiedzi.

Tylko Adam się nie odzywał. Polityka nigdy go nie interesowała, a komuna płaciła mu rentę po rodzicach. Ojca stracił jeszcze w dzieciństwie, a matka umarła dwa lata później. Miał

ważniejsze problemy na głowie. Mieszkał z bratem-pijakiem, który najchętniej zamieniłby ich mieszkanie w pijacką melinę, a bratowa była warta męża. Adam opiekował się dwójką ich małych dzieci i gdyby nie on, to marny byłby ich los.

- Czas pokaże, kto miał rację. No, ale opowiadajcie, co się z wami dzieje. Mam nadzieję, że zaczynacie wychodzić na ludzi. Maliński?

- Jestem w technikum chłodniczym - powiedział dumnie Romek.

- No, pięknie! Będziesz miał przynajmniej jakiś porządny zawód i dobrą pracę - powiedział z pochwałą w głosie profesor.

- E tam - zawód. Ja to na studia potem chcę iść. Coś chyba trzeba w życiu osiągnąć, nie?

Kwiatkowski doskonale pamiętał wyczyny Romka na polu naukowym, jako że nauczyciele czasem omawiali problemy niektórych uczniów. W przypadku Romka panowała wśród nich godna podziwu jednomyślność - wśród grona pedagogicznego cieszył się reputacją pierwszorzędnego tumana. Rysiek wiedział, że opinia ta nie jest do końca sprawiedliwa. Wbrew pozorom Romek nie był takim skończonym matolem, jak powszechnie mniemano, lecz po prostu nieprzeciętnym leniem, którego widok dowolnego podręcznika napawał głębokim obrzydzeniem. Nie wiedzieć czemu, z jakichś niezrozumiałych powodów jedynie rosyjski cieszył się u Romka pewnymi ograniczonymi względami. Język Puszkina znalazł również uznanie u Adama, z równie niewytłumaczalnych względów. Jednak prawdziwą pasją Romka, i to już od ładnych paru lat, była gra na kontrabasie. Do szkoły muzycznej chadzał pilnie z „babcią” na plecach, jak pieszczotliwie określał swój instrument.

- Brawo za ambicję - stwierdził życzliwie polonista. - Szczerze ci życzę, żeby ci się udało.

Nikt wówczas nie przypuszczał, jak wysoko zajdzie Romek...

- No, a ty, Gawlik? - Kwiatkowski zwrócił się do Adama.

- Zasadnicza szkoła zawodowa o kierunku stolarz - cieśla - odpowiedział zagadnięty.

- O, a nie kusila cię szkoła średnia? W końcu matura to matura - z lekkim zdziwieniem spytał polonista.

- On ma przesrane w chacie - wyrwał się Romek, zanim Adam zdołał cokolwiek odpowiedzieć. - To znaczy trudną sytuację ma. Jego staruszkowie umarli i mieszka z bratem i bratową. Chleją tam ostro i Adaś nie ma jak zakuwać. Znaczą piją alkohol. Ale Adaś nie pije. Nie, nie, to jest nasz koleżka i swój człowiek. Nie, Adaś? - Romek poklepał go przyjaźnie po plecach.

Adam spojrzał przepaszająco na Kwiatkowskiego, a Ryśkowi zdało się, że między



tymi dwoma, tak przecież różnymi osobowościami nawiązuje się wątpliwość porozumienia. Jakby nagle dwie bratnie dusze odnalazły się w mroku. Trwało to ułamek sekundy, lecz od tego momentu życie Adasia w jakiś magiczny sposób zostało związane z tym człowiekiem, który dotychczas budził w swoich uczniach skrajne uczucia: od głębokiej nienawiści do ogromnego szacunku, momentami graniczącego z pewną formą uwielbienia i podziwu.

- A ty, Maliński, nie chlejesz? - spytał prowokacyjnie nauczyciel.

- Ja tam nie chleję, ale zależy co pan ma...

Kwiatkowski znów roześmiał się serdecznie, a Rysiek miał ochotę zapaść się ze wstydu pod ziemię. Taka łajza do reszty psuła im opinię. Na szczęście profesor wziął to za doskonały żart, nie rozumiejąc, że chłopak mówi zupełnie poważnie.

- Ty, Kamiński pewnie w ogólniaku jesteś... - zwrócił się do Ryśka.

- Liceum zawodowe - powiedział Rysiek krótko.

Jakoś dziwnie było mu wstyd, że rozczarowuje człowieka, którego właściwie nigdy specjalną sympatią nie darzył. Jak większość chłopaków w tamtych czasach, ewentualne pójście do liceum ogólnokształcącego uważał za plamę na honorze. Szli tam przecież tylko lalusie z dobrych rodzin. Egzemplarze, które miały czasem trochę oleju w głowie, jak jego skromna osoba, lądowały w technikach lub właśnie w liceach zawodowych.

- Skąd taka decyzja? - zainteresował się profesor, nie kryjąc zaskoczenia.

- A, tak się jakoś złożyło... - odrzekł Rysiek, próbując wywinąć się od niewygodnego tematu.

Nie mógł przecież powiedzieć mu prawdy, bo nauczyciel po prostu by go nie zrozumiał. Właściwie nikt normalny nie zrozumiałby jego motywacji, ale takie to były czasy.

- Chociaż tyle dobrze, że maturę będziesz miał. Myślałeś może o jakichś studiach? - polonista nie dawał za wygraną.

- Pewnie by się na jakieś poszło, ale jeszcze nie wiem - Rysiek nie odważył się powiedzieć, że chodzi mu po głowie polonistyka.

- Może jeszcze trochę herbaty? - zaproponował Kwiatkowski.

- Ja już muszę spadać - bezceremonialnie odpowiedział Romek i wstał z kanapy.

- My też już będziemy szli. Bardzo dziękujemy za gościnę - Rysiek starał się ratować sytuację.

- Mam nadzieję, że nie zapomnicie o starym nauczycielu i jeszcze wpadnicie na pogawędkę - powiedział szczerze Kwiatkowski, najwyraźniej żałując, że goście już wychodzą.

- Przyjdziemy na pewno - powiedział Adam. Pożegnali się grzecznie i wyszli. Ich

pierwsza wizyta dobiegła końca.

- Aleś nam nagrabił u Kwiatka, Romuś - skarcił kolegę Rysiek.
- Nie gadaj głupot! Trzeba być sobą i zachowywać się naturalnie - zachnął się Romek.

## Rozdział 3

Robert Kracik wracał właśnie do domu z jedyne­go w mieście liceum ogólnokształcącego, pogrą­żony w rozmyślaniach nad sposobem pozbycia się pewnej Anki, która, diabli nadali, zakochała się w nim bez pamięci. Nie pierwsza i nie ostatnia, jako że Robert nigdy nie musiał zbytnio się wysilać, by zawrócić dziewczynie w głowie. Urody mu natura nie poskąpiła, a i miał swoje sposoby na płeć przeciwną. Niestety, czasem dziewczyna obdarzała go głębokim uczuciem już po pierwszej nocy i powstawał problem. Będąc mężczyzną o czułym sercu, cierpiał niewymownie, mówiąc nieszczęsnej prosto w twarz, że jej nie kocha i nie ma u niego żadnych szans. Dlatego lepiej niech się od niego odczepi, jeśli nie chce, by się to dla niej mniej przyjemnie skończyło. Nic więc dziwnego, że kobiety jednocześnie kochały go i nienawidziły.

Gonitwę myśli przerwał mu niespodziewanie Adam, który wyrósł przed nim jak spod ziemi. Czekał na kolegę już od dwóch godzin.

- Cześć, Robert - wyciągnął rękę na powitanie.

- Cześć... - Robert nie ukrywał zaskoczenia, lecz szybko wrócił do swojej zwyczajowej pozy. Założył ręce na piersiach i protekcyj­nalnie spojrzął na kolegę. - No, co tam?

- Sprawę mam.

- Ee, co jest? Znając ciebie, to pewnie z jakąś laską jest problem.

- Kurde, jakbyś zgadł. Znasz Terkowską, nie?

Robert spojrzął na niego z góry. Adam nie był odpychający, ale szukał nie w tych kręgach, co trzeba. Po prostu nie ta liga. Obiło mu się o uszy, że już od szkoły podstawowej podkochiwała się w nim niejaka Basia Roszak, którą ktoś mu kiedyś pokazał z daleka. Ciekawe, że bez wzajemności.

Była to cichutka dziewczyna o bardzo delikatnej, nigdy nie podkreślanej makijażem urodzie. Czasem spotykali się przy różnych okazjach albo na ulicy i wymieniali grzecznościowo kilka słów, jak to znajomi chodzący wcześniej do jednej klasy. Basi nie przeszkadzał fakt, że Adaś urodą nie grzeszył, choć był potężnie zbudowany. Bardziej ujmował ją charakter chłopaka. Adaś nigdy nie pozostawał obojętny na nieszczęścia innych, czego wyrazem również była troskliwa opieka nad zanie­dbywanymi przez rodziców

bratanicami. Basia doskonale wiedziała, że starsza z sióstr urodziła się bez dwóch palców, lecz troskliwa opieka Adasia pozwoliła zapomnieć jej o tym problemie. Basia niejedną raz widziała chłopaka na spacerze z bratanicami, dla których był najlepszym wujkiem, jakiego sobie można było wymarzyć.

- Tu cię boli! Wiesz co, Adaś? Nie oszukujmy się, Alainem Delonem to ty nie jesteś. Powiedzmy sobie szczerze... Twoja gęba nie pomaga w wrywaniu lasek, ale to nie twój główny problem...

- A niby co jest?

- Bo ty to jesteś taki zasmarkany romantyk! Zaraz byś się chciał zakochiwać, chodzić za rączką na spacer i takie tam pierdoły. Z babą to trzeba po męsku. Zagadać i do wyra, a jak nie chce, to won! Niedzisiejszy jesteś, chłopie.

- Pieprzenie... - odparł zrezygnowany Adaś. - Poznaj mnie z Terkowską. Dobrze ją znasz, prawda?

Robert uśmiechnął się z politowaniem. Kumplowali się z Adamem już od wielu lat i nie widział możliwości sprowadzenia go na właściwą drogę. Adam był po prostu skazany na sercowe rozterki. Zresztą sam się o to prosił.

- Jasne. Akurat dobrze się składa, bo starzy wyjeżdżają na parę dni, więc chata wolna i w sobotę jest u mnie impreza. Będzie parę osób. Ewka też ma przyjść. Wpadnij koło szóstej i przynieś ze sobą jakieś winiucho.

- Dobra! - ucieszył się Adam. - Będę na pewno!

- Cześć, Adaś! - głos Basi Roszak zabrzmiał ciepłutko, pogodnie i nad wyraz filuternie.

Chłopak odwrócił się i uśmiechnął od ucha do ucha. W gruncie rzeczy lubił ją, choć nigdy nie traktował jej poważnie jako kobiety, co czasem bywało przyczyną uronionych przez nią w ukryciu kilku łez. Dla niego zawsze starała się być promienna, jednak była zbyt delikatna, by próbować mu się narzucać.

- Cześć, Basia - odpowiedział. - Co u ciebie?

- A, wszystko jakoś leci - odpowiedziała lekko.

- Ojciec się uspokoił? - indagował Adam.

Było to wyjątkowo niezręczne pytanie, w dodatku zadane w obecności obcego, lecz Basia wybaczyła mu je natychmiast, podobnie jak każde inne grubiaństwo, gdyby tylko zechciał spojrzeć na nią inaczej. Ojciec dziewczyny cierpiał na schizofrenię paranoidalną i momentami sprawiał, że jego córka najchętniej zapadłaby się ze wstydu pod ziemię. Razem z matką, starszą już kobietą, nie zawsze potrafiły sobie z ojcem poradzić, a na tolerancję

sąsiadów raczej trudno było liczyć. Dlatego wszelkie rozmowy na temat ojca nie należały do przyjemnych.

- Wszystko już dobrze - odpowiedziała grzecznie, lecz w jej uśmiechu ktoś bardziej rozgarnięty niż Adam z łatwością dostrzegłby smutek.

- No, Adaś, zachowaj się i przedstaw mnie koleżance - Robert udał obruszonego.

- To jest Robert, kolega z podwórka, a to Basia, koleżanka z klasy - powiedział bezceremonialnie Adam.

- Dzień dobry - Basia dygnęła wdzięcznie, podając Robertowi delikatną dłoń.

- Cześć - odpowiedział Robert i szarmancko pocałował ją w wierzch dłoni, czym zrobił na dziewczynie duże wrażenie. Chłopak wiedział, jak działa to na płęć przeciwną i skrzętnie wykorzystywał ten niemodny już wówczas, lecz jakże elegancki zwyczaj. - A może przysłabys z Adasiem do mnie na imprezkę w sobotę? Będzie miło. Pobawimy się, porozmawiamy, posłuchamy muzyki... - zaproponował.

Dziewczyna miała w sobie to coś, co zwykle bardzo intrygowało Roberta. Nie była brzydka, ale jej delikatna uroda skrywała się za źle dobranymi okularami, uczesaniem na szarą mysz i wewnętrzną niechęcią do wyróżniania się z tłumu. On jednak potrafił dostrzec w niej atrakcyjną kobietę i postanowił wydobyć ją na światło dzienne, naturalnie dla własnej korzyści.

- Raczej nie. Może innym razem... - odpowiedziała niepewnie Basia.

- Ty, Adaś! Namów koleżankę, niech się trochę zabawi - nie dawał za wygraną Robert.

- No właśnie, Basia. Przyjdź. Na pewno będzie fajnie. Poznasz ciekawych ludzi i w ogóle. Nie daj się prosić.

- No dobrze, skoro tak mówisz... No to gdzie i o której?

- Adaś po ciebie wpadnie w sobotę i przyjdziecie razem. Prawda Adaś? - odpowiedział Robert.

- O, właśnie. Będę u ciebie gdzieś za piętnaście szósta, dobrze? - potwierdził Adam.

- Będę gotowa. Teraz muszę lecieć, bo mama czeka na zakupy. To na razie, pa - powiedziała dziewczyna i poszła w stronę supersamu.

W drodze do sklepu przypomniała sobie, że na sobotę zapraszał ją do kina syn sąsiadów, Andrzej. Już od dłuższego czasu starał się do niej zbliżyć, co jakiś czas proponując to spacer, a to wyjście do kawiarni czy do jedyne go w mieście kina Luna. Miły był z niego chłopak, ale wiedziała, że między nimi nic nigdy nie będzie, choć ewidentnie na to liczył. Basia mu się bardzo podobała i wcale tego nie krył. Znowu stanął jej przed oczami dzień,

kiedy udało mu się ją wyciągnąć w piękną pogodę do pobliskiego parku, gdzie otwarcie powiedział Basi, że jest dziewczyną w sam raz dla niego i że nie spocznie, póki pewnego dnia nie zostanie jego żoną. Z jednej strony było to pochlebne wyznanie, bo rodzice Andrzeja mieli zakład fryzjerski w rynku i nieźle im się wiodło, lecz z drugiej strony, nie o takich deklaracjach marzyła, a jej natura nijak nie przystawała do nieskomplikowanej osobowości syna sąsiadów. Adam przynajmniej czytał czasem jakieś ciekawe książki. Ten jego kolega - Mistrz - solidnie zadbał, by chłopaki nie wyrosły na analfabetów. A Andrzeja interesowały głównie relacje z rozgrywek piłki nożnej i walk bokserskich.

Tym razem Andrzej będzie musiał pójść do kina z kimś innym, ponieważ Basia chciała zakosztować życia w innym świecie, do jakiego jej zdaniem niewątpliwie należał Robert.

Widywała go już wcześniej w towarzystwie najzamożniejszej młodzieży w mieście. Wśród dzieci badylarzy, lekarzy i ojców pracujących w Niemczech zachodnich czy w Stanach. Rzucał się w oczy swoim stylem bycia, pełnym oglądy i pewności siebie, czasem nawet graniczącej z arogancją.

- Niezła dupa! Skądżeś ją wytrzasnął? Wolna, czy trzeba będzie jakiemuś frajerowi ją odbijać? - spytał Robert, gdy tylko dziewczyna oddaliła się nieco.

- No co ty, podoba ci się? - Adam nie krył zdziwienia.

- Niezła jest i z łóżka bym jej nie wyrzucił. Pierwszy i ostatni raz, oczywiście.

- Odpada. Jest bardzo porządna i na pewno nie uda ci się jej zaliczyć.

- Tak sądzisz? A ja myślę, że zaliczę ją w sobotę na imprezie - powiedział Robert, uśmiechając się szelmowsko.

- Chyba zwariowałaś! To cnotka, więc daj jej spokój. Poza tym będzie ze mną - powiedział Adam stanowczo.

- Zapominasz już po co do mnie przychodzisz? Ty będziesz z Ewką, już ja się o to postaram. Twoją Basią zajmę się osobiście i dam ci uroczyste słowo honoru, że nie zrobię niczego, czego ona sama nie zechce.

- No to zobaczymy - odpowiedział Adam, podbudowany perspektywą spędzenia czasu w towarzystwie Ewy Terkowskiej.

- Do zobaczenia w sobotę o szóstej. Czołem! - rzucił Robert i wszedł do bloku.

## Rozdział 4

Gdy Romek dostrzegł przez okno Ryśka, przechodzącego w pośpiechu pod jego domem, i zawołał kolegę, żeby wpadł do niego na chwilę, jego głos brzmiał bardzo tajemniczo.

- Co jest?! - wykrzyknął Rysiek z dołu.

Chłopak nie miał akurat zbyt wiele czasu, bo następnego dnia czekała go klasówka z polskiego. To był jeden z ostatnich sprawdzianów przed maturą, trzeba więc było porządnie się przyłożyć.

- No chodź! Tylko na momencik, chcę ci coś pokazać...

- Dobra, ale naprawdę tylko na chwilę.

W pokoju Romka jak zwykle było ciasno, a wszędzie panował artystyczny nieporządek. Sporo miejsca zajmowała „babcia” - jak gospodarz nazywał pieszczotliwe wielki jak nieszczęście kontrabas - oparta o niewielką kanapę. Ryśka zawsze zastanawiało, jak Romek, chłopak w końcu okazałych rozmiarów, mieścił się nocą na tej kozetce.

- Pamiętasz, jak mi mówiłeś, kiedy docenisz moje umiejętności gry na kontrabasie? - zapytał z entuzjazmem.

- Pewnie, że pamiętam - odpowiedział Rysiek. - Jak się nauczysz obracać go wokół własnej osi, tak jak to robią Murzyni w telewizji.

- No to patrz! - wykrzyknął.

Błyskawicznym ruchem złapał instrument oraz leżący na kanapie monstrualny smyczek i wy dobył z kontrbasu kilka niskich dźwięków, jakby prosto z taniego horroru. Romek najwidoczniej starał się podkreślić doniosłość chwili, a Rysiek spokojnie czekał na moment kulminacyjny, prawdę mówiąc trochę powątpiewając w ostateczny efekt. Gdzież Romkowi było równać się z Murzynami z telewizji? Nagle, bez uprzedzenia, kontrabas zawirował jakby od niechcienia, wykonując imponujący piruet, a Ryškowa szczęka opadła w zachwycie. Detronizacja Murzynów z telewizji niniejszym stała się faktem. Musiał uczciwie przyznać, że kumpel opanował instrument w stopniu doskonałym.

- No i co powiesz? - spytał triumfalnie Romek, widząc jego minę.

- Nooo, Romuś! Wspiąłeś się na szczyty edukacji muzycznej. Moje gratulacje! - odrzekł Rysio z uznaniem.

W tym momencie usłyszeli dzwonek do drzwi i mistrz kontrabasu pobiegł otworzyć.

- Cześć, Romek. Szukam Rycha. Nie było go u ciebie? - Rysiek usłyszał głos Adama.

- Jest. Właż.

- Cześć, Rychu! - Adam był nienaturalnie podniecony. - Macie chłopaki czas?

- A co jest? - spytał rzeczowo Rysiek.

- Właśnie spotkałem Kwiatkowskiego. Chwilkę sobie pogadaliśmy i powiedział, żebyśmy wpadli do niego, to nam opowie o cichociemnych, o wojnie w Korei i Wietnamie, i jak się wyuczył tak walić po mordach.

Oferta była kusząca, jednak na szali leżała klasówka z literatury powojennej, którą umieściła tam perfidnie polonistka Ryśka. Jeśli nie przysiądzie do nauki, to jutro czeka go dzień sądu ostatecznego.

- No to co, idziecie? - indagował Adam.

Rysiek spojrzał pytająco na Romka.

- Dzisiaj nie da rady. Muszę rznąć „babcię”. Jutro mam szkołę muzyczną - powiedział z rezygnacją Romek.

- Jaką babcię? - spytał szczerze zaniepokojony Adam.

- To znaczy grać na kontrabasie - Rysiek pośpieszył z wyjaśnieniem. - Tak się mówi.

- Aha - chłopak odetchnął z ulgą. - A ty, Rychu? Powiedziałem Kwiatkowskiemu, że będziemy za pół godziny.

- Ja też odpadam. Na jutro polonistka zapowiedziała klasówkę i muszę zakuwać, bo mi łeb urwie.

Nadchodząca groźba rzezi niewiniątek, do których Rysiek miał zaszczyt się zaliczać, przeważała szalę. Trzeba było podjąć jakieś działania obronne, czyli otworzyć podręcznik, notatki z lekcji i zobaczyć, co tam słyhać. Niestety, nie miało to być zwykłe wypracowanie na zadany temat, gdzie w miarę poprawną polszczyznę i lekkim stylem wystarczyło wypowiedzieć się pisemnie, a pod pozorem wysuwania nieortodoksyjnych tez z powodzeniem ukrywało się kompletną ignorancję, zyskując w zamian całkiem niezłą ocenę. Tym razem sprawa była naprawdę poważna.

- No co ty? Przecież zawsze się interesowałeś historią drugiej wojny światowej - Adam nie zamierzał odpuścić tak łatwo.

- To nie wojna. Teraz przerabiamy jakieś powojenne cholerstwo - uświadomił go Rysiek. - Ale może w sobotę? Ja będę wolny, Romek na pewno też - zaproponował i spojrzał na Romka, szukając potwierdzenia.

- No! - powiedział przyjaciel z aprobatą.



- W sobotę nie mogę. Idę na imprezę do Roberta Kracika. Ma być Ewka - odparł Adam głosem dziwnie ściszym i zakłopotanym.

- Jaka Ewka? - zainteresował się Romek.

- Adasiowi spodobała się ta dziewczyna i chce ją bliżej poznać - wyjaśnił krótko Rysiek.

- Adaś, to w końcu za babami zacząłeś latać? - rozpromienił się Romek. - Która to? Zaraz ją ocenimy!

- Daj spokój, nie nabijaj się z chłopaka - Rysiek przywołał go do porządku. - Wiesz co, najlepiej idź sam, Adaś. Głupio byłoby Kwiatkowskiego zrobić w konia, a my teraz naprawdę nie możemy. Idź, powiedz jak sprawy stoją, i następnym razem umówimy się wszyscy. Dobra?

- W porządku - powiedział Adaś i ruszył w stronę drzwi wyjściowych.

- Nie daj się babom, Adaś! - krzyknął za nim Romek na pożegnanie, ale chłopak był już na korytarzu.

- Romuś, ja spadam, a ty rznij „babcię” jak się należy.

- Dobra, dobra, bez obaw...

Rysiek szedł do domu jak na ścięcie. Wcale nie uśmiechała mu się perspektywa wgrzania w twórczość i losy Tadeusza Różewicza czy jakiejś innej łajzy, która żyła chyba tylko po to, by kilkadziesiąt lat później obrzydzić życie Bogu ducha winnym uczniom. Nie mogli byli emigrować gdzieś w cholerę i tworzyć na przykład po japońsku? Zaskarbiliby sobie wdzięczność niejednego młodego człowieka, a już Ryśka - z całą pewnością.

\*

Adam zapukał do drzwi mieszkania profesora Kwiatkowskiego.

- A gdzie chłopaki? - spytał trochę zaskoczony polonista.

- Nie mogli. Romek musi ćwiczyć na kontrabasie, a Rysiek ma klasówkę z literatury powojennej, czy jakoś tak. No, z polskiego.

- Ach, rozumiem. W literaturze działały się wtedy ciekawe rzeczy. Wejdz.

Adam usiadł na sofie.

- Co pijemy? - zapytał gospodarz.

- Wie pan.... Ta zielona herbata była niezła.

- No, widzisz! Wiedziałem, że będą z ciebie ludzie - ucieszył się Kwiatkowski.

Polonista wniósł do pokoju imbryk i dobrze już znane chłopakowi filizanki, które wypełnił pachnącym płynem.

- Powiedz mi, Adam, czemu właściwie nie chcesz iść po zawodówce do technikum? -

zastrzelił go pytaniem Kwiatkowski. - Nie jesteś głupi i na pewno dałbyś sobie radę.

Chłopak poczuł się trochę zbity z tropu, bo nie spodziewał się, że Kwiatkowski będzie próbował z nim rozmawiać w taki sposób. Poczuł się prawie zawstydzony, że nie jest, jak Romek Maliński, uczniem technikum.

Ten niezwykle belfer wciąż budził w nim niepokój, pomieszany z ogromnym szacunkiem i pewnego rodzaju fascynacją. A w dodatku w tym niemłodym już człowieku, było coś, co budziło jego zaufanie.

- Tak jak panu Romek tłumaczył, ja nie mam warunków. Może bym i poszedł, ale jak? Gdzie się uczyć? Przy pijackich śpiewach?

- Mógłbyś się uczyć u mnie.

Adam spojrzał na nauczyciela jak na UFO, które właśnie raczyło wylądować na środku niewielkiego pokoju.

- No co pan! U pana?!

- Tak, u mnie. Mówię zupełnie poważnie. Warunki do nauki miałbyś idealne.

Dopiero lata później Adam w pełni zrozumiał i docenił szlachetność profesora. Tego popołudnia w ich długiej rozmowie przewijały się przeróżne tematy. I tak zaczęła się ich niezwykła przyjaźń.

## Rozdział 5

Szkolenie Adama, którego profesor Kwiatkowski podjął się po dogłębnym przemyśleniu sprawy, przebiegało prawidłowo. Mijały tygodnie, a młodzian chodził przyzwoicie poobijany, co oznaczało, że polonista nie stosował wobec niego taryfy ulgowej.

Tego niezbyt fortunnego dla Gawlika dnia sala gimnastyczna Szkoły Podstawowej nr 4 jak zwykle obezwładniała uczniów mieszaniną odoru starych przyrządów sportowych i zastarzałego potu, ale Adam zdążył się już do tego przyzwyczaić. Poza tym atmosfera panująca na popołudniowych spotkaniach z byłym nauczycielem polskiego była zupełnie inna, niż ta na zajęciach prowadzonych przez nauczyciela WF-u.

Profesor Kwiatkowski z niesmakiem obserwował poczynania swojego ucznia.

- Co ty wyprawiasz? W taki sposób nigdy się niczego nie nauczysz. Panuj nad sobą - nauczyciel rzucił ślepo szarżującego chłopaka na podłogę. Ten zwałił się na plecy z potężnym hukiem. - Co jest, Adam? Chodź tu. Siadaj i mów, co się stało.

Adam wstał, ale nie podszedł do profesora.

- Nic się nie stało. Możemy ćwiczyć dalej. Teraz się skupię.

- Powiedziałem: siadaj - rzucił ostro profesor i wskazał mu materac pod ścianą.

Chłopak posłusznie usiadł. Zaciśnął usta, tłumiąc agresję. Jego rogata natura nie nawykła do posłuszeństwa, lecz Kwiatkowski miał nad nim jakąś tajemniczą władzę, której Adam nie mógł się oprzeć.

- Niech zgadnę. Twój problem nazywa się Ewa Terkowska.

Adam zgłupiał. Podniósł wzrok i szeroko otworzył usta ze zdziwienia. Profesor Kwiatkowski nigdy nie przestawał go zaskakiwać.

- Skąd pan, kurde, wie? - wydukał.

- Posłuchaj mnie. Po pierwsze, wiem znacznie więcej, niż jesteś w stanie sobie wyobrazić. Po drugie, młody jesteś i jeszcze musisz się dużo nauczyć. Przede wszystkim musisz zmądrzeć. Nie możesz wiecznie być nędznym przygłupem. Terkowska to gówniara, która z takimi matolkami jak ty robi, co tylko chce. Daj sobie z nią spokój i nie pozwól sobą pomiatać. Są daleko ważniejsze rzeczy, na których musisz się skupić. Jeszcze zdążysz się zakochać, bez obaw.

Adam gładko przełknął obelgi, bo myślał jeszcze na tyle trzeźwo, by zdać sobie

sprawę, że ten człowiek miał rację. Trudno jednak było nakazać młodzieńczemu uczuciu, jakże szczeremu i prawdziwemu, by raz na zawsze zniknęło bezpowrotnie.

- Chcesz iść do domu, czy bierzesz się do roboty? - spytał rzeczowo Kwiatkowski.

- A w takim razie jak było u pana? Czemu pan jest sam?

- Coś ci się chyba pomyliło, kolego. Ja miałbym ci opowiadać o swoim życiu osobistym? Niby z jakiej racji?! Stuknij się w ten durny, młody łeb.

Mimo tych ostrych słów Juliusz Kwiatkowski miał dziwne uczucie, że gdyby miał kiedykolwiek się komuś zwierzać, to najprawdopodobniej byłby to właśnie ten niepozorny młodzieniec. W tym młodym człowieku coraz bardziej odnajdywał siebie - siebie z dawnych czasów. Jakże inne to były lata, warunki i ideały, lecz młodzież zawsze jest taka sama - pełna buntu, romantyczna i szalona. Choć nie, teraz już trochę jakby mniej. Ten młodzian był niczym żywcem przeniesiony z lat, kiedy to on, Juliusz Kwiatkowski, dorastał. Wtedy też kochało się na zabój. Dzisiaj ludzi takich jak Adam Gawlik jest niewielu. Pełnych determinacji, inteligentnych, choć nieumiejących zdobywać wykształcenia, lecz wkładających serce we wszystko, co robią. Dlatego postanowił otoczyć go swoją opieką i w miarę możliwości pokierować jego życiem.

- To trochę niesprawiedliwe, że pan tyle o mnie wie, a ja o panu nic - chłopak nie dawał za wygraną.

- A kto ci powiedział, że życie jest sprawiedliwe? Bierz się za ćwiczenia. Może kiedyś, jak będę miał dobry humor, to ci coś opowiem. Na razie nie czuję takiej potrzeby i to ci powinno wystarczyć.

Czasem trudno było Adamowi lubić tego podstarzałego nauczyciela, ale mimo wszystko darzył go zupełnie dla siebie niezrozumiałą sympatią. Coś w nim było. Coś, co młodego człowieka fascynowało, a jednocześnie budziło pewnego rodzaju lęk. Juliusz Kwiatkowski był raczej oschły, ale chłopak doskonale wyczuwał jakieś głębokie, niezwykle intensywne ciepło drzemiące w tym człowieku, budzącym wśród uczniów powszechną obawę i często niechęć.

I nie mylił się.

- Trzymam pana za słowo.

- Co?

- Powiedziałem, że trzymam pana za słowo, że mi pan coś opowie o sobie.

- A trzymaj sobie. Chodź tu i uderz tak, jak cię uczyłem. Tylko tym razem myśl, co robisz. No?

Chwilę później Adam ponownie lądował na podłodze, a Kwiatkowski z kwaśną miną

obserwował jego wyczyny. Mimo, że chłopak nadal leciał na pysk, to teraz padało mu się łzej, dużo łzej. Przynajmniej na duszy.

## Rozdział 6

Rysiek ucieszył się, widząc Adama na żarskim deptaku. Od czasu, gdy dostał się na polonistykę we Wrocławiu, ich drogi się rozeszły. Miło było znowu zobaczyć starego kumpla.

- No, jak tam, student? Jest dobrze? - spytał Adam.

- No tak średnio, bo trzeba dużo czytać, ale jakoś sobie radzimy. Najgorszy był pierwszy rok, potem to już leci. A ty jak się uchroniłeś od Ludowego Wojska Polskiego?

- Ojciec Mistrza załatwił mi odroczenie, ale nie na długo. Na wiosnę pewnie mnie dupną. W każdym razie mam te parę miesięcy wolności.

- Gdzie pracujesz?

- W Spomaszu. Jakąś kasę przydałoby się odłożyć, bo jak wrócę z armii, to bierzemy z Basią ślub i na mieszkanie wpłacę.

- Z kim? - nie załapał Rysiek.

- No, z Basią Roszak. Znasz ją. Chodziła z nami do podstawówki.

- No proszę! Toście się jednak zeszli?

- To cudowna dziewczyna. Gdzie ja miałem oczy przez te lata?!

- Super, Adaś! Wreszcie ci się poukładało w sprawach sercowych. A co u Romusia? Masz z nim jakiś kontakt?

- Dostał się na WSP w Zielonej Górze. Też przepadł, tak jak ty.

- Romek... na Wyższą Szkołę Pedagogiczną? - Rysiek nie wierzył własnym uszom. - Ten to jest cwaniak! On w życiu nie zginie...

- No dobra, muszę lecieć. Kwiatkowski nie lubi, jak się spóźniam na treningi. Do kiedy jesteś? Wpadłbyś do mnie, to bym w szachy ci dołożył.

- Ty mi? Chciałbym to zobaczyć - odpowiedział Rysiek buńczucznie. - Ostatnio wygrałeś fuksem! Dzisiaj wracam do Wrocławia, ale wpadnę do ciebie, jak będę następnym razem. Trzymaj się, gościu.

- Ty też. Na razie!

\*

Kolejny trening zapowiadał się inaczej. Pan Julek - Adam już od dłuższego czasu tak się do niego zwracał - nie miał na sobie zwyczajowego dresu, tylko normalny szkolny garnitur, a w ręku trzymał łuk i strzały. Jednak nie była to zwykła zabawka, jakich wiele

można było dostać w sklepie sportowym. Chłopak nigdy przedtem takiego nie widział. Czarny, rzeźbiony na uchwytach, z cięciwą ze stalowej linki. Najwyraźniej trener szykował mu niespodziankę.

- Ten łuk jest podobny do tego, jakim posługiwali się kiedyś samuraje. Pamiętasz, opowiadałem ci o nich - powiedział pan Julek.

- Pewnie, że pamiętam - skwapliwie potwierdził chłopak.

- A potrafiłbyś z niego strzelić?

- Chyba tak...

Lata zabaw we wczesnym dzieciństwie nie przeminęły bez echa. Adam, jako Indianin, wprawiał się w strzelaniu z broni własnej roboty, dlatego niecierpliwie czekał na rozpoczęcie treningu.

Pan Julek podał uczniowi łuk.

- Spróbuj trafić w tarczę.

Cel wisiał w odległości jakichś piętnastu metrów. Adam napiął łuk, rozkoszując się mocą cięciwy, a potem wycelował i wypuścił strzałę, trafiając w sam środek tarczy. Chłopak spojrzał na polonistę wyczekująco - widać było, że po raz pierwszy w życiu udało mu się go zaskoczyć.

- Zabawy w Indian i kowboi, panie Julku... - powiedział z nieukrywaną satysfakcją.

- No, no, widzę, że może jeszcze będą z ciebie ludzie. Nie jesteś chyba taką skończoną łamagą, jak myślałem i mój trzyletni trud może nie pójdzie na marne.

Adam uśmiechnął się z zadowoleniem. W ustach profesora był to najwyższy komplement. Trzy lata szkolenia sprawiły, że w praktycznej walce wręcz doganiał już swojego nauczyciela, a wiele wskazywało na to, że w niedługim czasie prześcignie swego mistrza. Doskonale zdawał sobie z tego sprawę, choć słowa pochwały z ust polonisty nie padały właściwie nigdy, gdyż nauczyciel uznał to za sposób na hartowanie ducha wychowanka.

- No to teraz bierz drugą strzałę i strzel mi prosto w serce - powiedział spokojnie polonista i odsunął się w pobliże tarczy.

- Słucham? - zapytał kompletnie zaskoczony Adam.

- No co się głupio pytasz? Strzelaj mi w serce. Tu - pokazał palcem - jakbyś nie wiedział. No, nie stój jak baran. Dalej, rusz się!

- Panie Julku, co pan?

- Do cholery, kto tu kogo uczy?! Ty mnie, czy ja ciebie?! - zdenerwował się nauczyciel. - Nic mi nie będzie, nie bój się. Jeszcze nie zwariowałem, tylko chcę cię czegoś

nauczyć. No, strzelaj!

Chłopak jak w transie naciągnął łuk i wypuścił strzałę, spodziewając się najgorszego. Pan Julek odchylił się błyskawicznie, w bok i do tyłu, z rękami założonymi na plecy, a strzała uderzyła w tarczę. Adam stał z otwartymi ustami, nie rozumiejąc co się stało.

- Następna! - zakomenderował nauczyciel.

Cztery kolejne strzały trafiły w tarczę zamiast w profesora. Młody człowiek był zupełnie skołowany.

- Jak... Jak pan to zrobił? - dopytywał się, wybałuszając oczy.

Nauczyciel zignorował pytanie, a tylko bez słowa podszedł do swojej teczki i wyciągnął jakieś zawiniątko. Odwinął z tłustej szmaty jakiś przedmiot i oczom zdumionego młodzieńca ukazał się pistolet. Najprawdziwsza broń palna, za posiadanie której w Polsce szło się do więzienia.

- To jest pistolet używany powszechnie przez amerykańskie siły specjalne. Dobrze utrzymany i sprawny. Magazynek też jest pełny - powiedział, podchodząc do Adama. - Tu się odbezpiecza, a potem pociągasz za cyngiel i bum. Musisz tylko wycelować.

Dokręcił tłumik, włożył broń w dłoń zdezorientowanego chłopaka i odszedł, by ponownie stanąć przed tarczą. Widząc, że młody człowiek wciąż nie może dojść do siebie po szoku, jaki zafundował mu przed chwilą, krzyknął:

- No co, do jutra tak będziesz stał?! Strzelaj!

Adam otrząsnął się. Spojrzał na pana Julka, wymierzył i pociągnął za spust, a nauczyciel, tak jak poprzednio, odchylił się w bok i do tyłu. Kula utkwiała w tarczy.

- Jeszcze raz!

Chłopak wymierzył i śmiertelny pocisk znowu uderzył w tarczę, zamiast w serce profesora. Kolejne strzały również nie były w stanie wyrządzić mu najmniejszej krzywdy.

- Gdzie...? Jak...? Jak pan to robi? Gdzie się pan tego nauczył?!

- W Korei, chłopcze. Niektórzy Koreańczycy potrafią robić zdumiewające rzeczy. Teraz chodź tu i siadaj. Wytłumaczę ci jak to działa. Wszystko polega na obserwacji napięcia mięśni człowieka, który do ciebie mierzy - i nie tylko mięśni. Nie ma tu żadnych cudów.

Po krótkich i rzeczowych wyjaśnieniach nadszedł czas na ćwiczenia. Pan Julek wziął łuk, nałożył na groty strzał specjalne kołpaki ochronne i ustawił chłopaka przed tarczą.

- Pamiętaj o tym, co ci mówiłem. Patrz i reaguj.

Tego dnia Adam wrócił do domu okropnie posiniaczony od strzał, które wybrały sobie go za cel i były, niestety dużo szybsze, niż jego uniki. Nie pomogły wyrzuty i utyskiwania profesora Kwiatkowskiego - Adama czekała mozolna i bolesna praca nad opanowaniem tej



cyrkowej umiejętności. Nie było to jednak dla niego nic nowego - po prostu kolejna rzecz, tym razem znacznie trudniejsza niż poprzednie, której, prędzej czy później, musiał się nauczyć.

## Rozdział 7

Tego dnia wiosna wreszcie dała o sobie znać. Adam czekał na swoją ukochaną na ich ulubionej ławeczce w parku, naprzeciwko doszczętnie zrujnowanego pałacu. Od wojny obiekt straszyl pustymi okiennicami i gruzem walającym się pod murami, jako że remont pochłonałby zbyt wiele pieniędzy.

Adam przyglądał się budowli, jednocześnie rozmyślając o Basi. Już od prawie trzech lat zadawał sobie to samo pytanie: gdzie on miał oczy, że nie dostrzegł tego cudu wcześniej?! Tak niewiele brakowało, by ich drogi się nie skrzyżowały. Tego dnia sama myśl o takiej ewentualności wywoływała w nim dreszcze. Przecież tyle czasu szukał swojego ideału, a ten był tuż, tuż. Wystarczyło tylko, by ustąpiła jakaś przeklęta ślepotą, która nie pozwalała mu dostrzegać dziewczyny w całej jej krasie. To już jednak przeszłość - teraz duszę przepelniała mu euforia, że są razem i będą razem na zawsze.

Basia pojawiła się zupełnie z innej strony, niż się spodziewał. Zaszła go od tyłu i zasłoniła mu oczy swoimi drobnymi dłońmi.

- Kto to? - zapytała, siląc się na możliwie najniższy ton głosu, jaki potrafiła z siebie wydobyć.

- Chyba jakiś łobuz. Pewnie go zaraz złapię - podchwycił Adam.

W tym momencie pociągnął ją tak mocno za rękę, że chcąc nie chcąc, musiała go objąć mocno za szyję.

- Mam dla ciebie złą wiadomość, słoneczko - powiedział Adam z grobową miną, gdy już usiadła obok niego.

- Co się stało? - zapytała poważnie zaniepokojona dziewczyna.

- Dostałem bilet do wojska. Za trzy tygodnie muszę zgłosić się w jednostce, a to oznacza rozstanie na całe dwa lata. Jak ja bez ciebie wytrzymam?

Adam przycisnął rękę Basi do policzka, tak mocno, jakby godzina rozstania już nadeszła. Dziewczyna uśmiechnęła się, tym razem smutniej niż zwykle. Doskonale wiedziała, że wojsko czekało każdego, i prędzej czy później jej Adasia też nie minie.

- Będę do ciebie przyjeżdżała do jednostki i będziemy spędzać ze sobą cały twój wolny czas. Przecież chyba mnie nie wygonią - powiedział rezolutnie.

- Basiu, dostałem bilet do Krakowa. Tam nie da się często przyjeżdżać z Żar. Poza

tym wizyty są w niedziele i to nie w każdą. Nie ma szans, żebyś mnie odwiedziła przed przysięgą. A to cały miesiąc - powiedział smutno.

- Strasznie długo! Miesiąc? I naprawdę nie pozwolą nam się zobaczyć?

- Raczej nie... Będziesz tęsknić?

- Będę usychać, a jak przyjadę na przysięgę, to cię zacałuję na śmierć za cały ten stracony czas.

Adam uśmiechnął się błogo na myśl o byciu zacałowanym przez tę dziewczynę - warto będzie poczekać ten miesiąc w wojsku. Mocno przytulił Basię, a ona położyła mu głowę na ramieniu.

Wiosna tego roku budziła się powolutku, by gwałtownie dać znać o swoim istnieniu w tym akurat dniu. Siedzieli na ławeczce, wtuleni w siebie, wsłuchując się w pierwsze świergoty ptaków. Czas jakby stanął w miejscu.

- Trzy tygodnie... - szepnęła Basia bardziej do siebie, niż do niego. - A potem dwa długie lata. Trzeba się cieszyć tymi tygodniami. Niech trwają jak najdłużej.

- Wojsko szybko minie, zobaczysz. Przecież na pewno będę dostawał przepustki, urlopy za dobre sprawowanie i w ogóle. Ani się obejrzyysz, jak znowu będziemy razem. A wtedy zostaniesz moją żoną.

Basia uśmiechnęła się do niego promiennie, tak jak potrafiła tylko ona. Jej marzenia się spełniają. Stworzy rodzinę z człowiekiem, którego kocha z całych sił, kocha całą duszą i ciałem, a on żywi do niej równie gorące uczucia. Razem się zestarzeją i będą prowadzić wnuki - może do tego samego parku, może siadając na tej samej ławeczce. „Życie jest takie piękne” - pomyślała Basia, wciąż nie mogą uwierzyć we własne szczęście.

- Ale będziesz mi pomagał przy sprzątanii - zagadnęła filuternie. - Bo inaczej za ciebie nie wyjdę.

Adam zmarszczył brwi, udając dezaprobatę, a potem zrobił minę człowieka, na którego zważyło się nagle jakieś ogromne nieszczęście.

- Nie wyjdiesz za mnie? No to ja się idę topić! - zagroził. - Albo nie, woda za zimna. Idę się wieszać - powstał z ławki i rozglądał się za odpowiednią gałęzią.

- Albo nie, zastrzelę się. Poproszę o pistolet.

Wyciągnął do dziewczyny dłoń, jakby oczywisty był fakt, że za chwilę wręczy mu ona broń palną, z której pomocą dokończy żywota. Basia śmiała się w głos i składała ręce.

- Siadaj, wariacie. Siadaj! Wyjdę za ciebie.

- Ale właściwie po co ja się mam zabijać, skoro przecież lubię sprzątać - zreflektował się Adam. - W takim razie musisz za mnie wyjść - nie ma rady.

Patrzył na śmiejącą się Basię i podobnie jak ona nie mógł uwierzyć w swoje szczęście. Już za dwa lata będą na zawsze razem.

- Ale uwaga, jest jeden warunek.
- Jaki? - Basia udała zaniepokojenie.
- Śniadania do łóżka będę ci robił tylko dwa razy w tygodniu.
- Hmm... No nie wiem... To chyba jednak za ciebie nie wyjdę.
- A trzy? - zapytał nieśmiało Adam.
- Trzy mogą być. No to jednak wyjdę za ciebie.

Chłopak skoczył na oparcie ławki i ledwie utrzymując równowagę, wrzasnął:

- Ludzie! Ludzie! Basia obiecała, że zostanie moją żoną!
  - Cicho, Adaś, cicho! Daj spokój... - uspokajała go narzeczona, śmiejąc się radośnie.
- Adam usiadł, wziął ją za ręce i spojrzał jej głęboko w oczy.
- Wiesz, że Bóg istnieje? Dał mi ciebie i zawsze będę mu za to dziękował.
  - Bóg dał nam siebie i zawsze będziemy mu dziękowali. Razem - odpowiedziała.
- Wzięli się za ręce i poszli w głąb parku na długi, wiosenny spacer.

\*

Praca w żarskim Spomaszu nie należała do najciekawszych, ale Adam nie mógł akurat znaleźć niczego w swoim zawodzie, a tu płacili całkiem nieźle. Na pewno wystarczy na utrzymanie rodziny, a po wojsku obiecali podwyżkę.

- Co tam Adaś, do wojska już gotowy? Ile to jeszcze? - zagadnął przyjaźnie Edzio Kolasa, brygadzysta.

- Gotowy, panie majster. Jutro. Ale potem wracam, bo robota czeka i żenię się - odpowiedział.

- A, słyszałem, słyszałem... Na wesele, mam nadzieję, zaprosisz.
- Zaproszę, panie Edku, zaproszę - uśmiechnął się chłopak.
- No - mistrz Kolasa podniósł palec na wysokość twarzy. - Trzymam cię za słowo.

Popijemy weselnej.

- Popijemy, panie majster.

Po pracy Adam chciał jeszcze wpaść do pana Julka. Ostatnio nauczyciel wspominał, że musi mu coś jeszcze powiedzieć, zanim chłopak zgłosi się do jednostki. Od dłuższego już czasu był dla chłopaka jak ojciec i pokochał go szczerze, jak syna, którego nigdy nie miał. Kazał też mu pilnie ćwiczyć. Po rozmowie z nauczycielem, pod wieczór, Adam zamierzał wpaść jeszcze do Basi, ciesząc się z góry na to spotkanie.

\*

Dziewczyna spoglądała co chwilę na zabytkowy zegar stojący w dużym pokoju. Został jeszcze po babci i był naprawdę piękny. Wskazówki przesuwwały się leniwie, jakby uznały, że dosyć się już napracowały i czas odpocząć. Każda minuta wlokła się w nieskończoność. Basia czekała na chłopaka już od rana. Wzięła sobie w biurze dzień wolnego, żeby pomóc mamie umyć okna i posprzątać w domu przed zbliżającymi się świętami Wielkiej Nocy. Mieszkanie lśniło, a czas zdawał się płynąć z prędkością muchy w smole. Wiedziała, że Adam kończy pracę o drugiej, ale ostatnio dorabia sobie po godzinach. Mówi, że w wojsku pieniądze się przydają. „Właściwie po co?“, myślała. „Jedzenie i ubranie ma, a papierosy przecież rzucił. A przynajmniej tak mnie zapewnia”.

Obiecał, że będzie nie później, niż o szóstej. Jeszcze cała godzina. Dlaczego ten czas się tak wlecze?!

- Basiu - mama weszła do pokoju. - Będę potrzebowała masła na ciasto. Pani Mela mówiła, że gdzieś załatwi. Masz tu pieniądze, skocz na Męczenników i przynieś od niej. Może będzie miała choć ze dwie kostki. Tylko nie idź przez garaże. Tam są gęste krzaki, jeszcze cię kto napadnie.

- Mamusiu, tamtędy normalnie ludzie chodzą i jakoś ich nikt nie napada. Przecież nie będę leciała przez miasto. Poza tym Adaś ma przyjść o szóstej - odpowiedziała i wybiegła z domu.

Szła szybkim krokiem, by zdążyć przed przyjściem chłopaka, choć sama droga budziła w niej lekki niepokój. Z jednej strony gęste krzaki, za którymi w dole biegły tory kolejowe, z drugiej garaże tworzące mini labirynt. „Żary to nie Ameryka, gdzie tylko się bez przerwy zabijają” - pomyślała, starając się uspokoić samą siebie, lecz machinalnie przyspieszyła kroku. Po chwili zobaczyła przed sobą trzech mężczyzn, prowadzących ożywioną dyskusję. A mama mówiła, że ludzie tu nie chodzą... Gdy podeszła bliżej, rozpoznała Roberta Kracika. Chłopak wyróżniał się modnym ubraniem, fryzurą i pewnością siebie. Zupełnie nie pasował do pozostałych dwóch typów, raczej niechlujnych i niebudzących zaufania.

Jego widok obudził nieprzyjemne wspomnienie pamiętnej, sobotniej imprezy. Wtedy dla Adama daleko ważniejsza niż Basia była Ewa Terkowska. Robert zajął się nią „nad wyraz troskliwie”. Serwował jej wiele drinków, nawiasem mówiąc faktycznie wybornych, które szybko poszły do głowy i wprawiły ją w oszołomienie. Jej nienawykły do alkoholu organizm był bezbronny. Trochę słodkich słów, inteligentnie prowadzona rozmowa i... stało się.

Doskonale pamiętała moment, gdy otworzyła oczy i rozejrzała się dookoła. Leżała naga pod grubą kołdrą w obcym mieszkaniu, obok wciąż jeszcze śpiącego chłopaka. Przed

oczami stanęły jej wydarzenia poprzedniego wieczoru i nocy, widziane jak przez mgłę. Była przerażona tym, co się stało. Wstyd palił ją żywym ogniem. Dziewczyna zerwała się z łóżka i zaczęła gorączkowo nakładać ubranie, porozrzucane na dywanie. Zamieszanie zbudziło Roberta.

- Cześć, maleńka. Już wstałaś? Może zrobiłabyś nam kawy? - zagadnął pogodnie.

Dziewczyna odwróciła się w jego kierunku w na wpół już założonej, białej jak śnieg bluzeczce.

- Co teraz z nami będzie?

- Z tobą i Adasiem? A co ma być? Nic. Przecież, o ile wiem, jesteście tylko przyjaciółmi. Nie ma się czym przejmować.

- Z nami, ze mną i z tobą. Przecież spaliśmy ze sobą! Nie jestem już dziewicą! - jej twarz wykrzywił grymas rozpacz.

- Daj spokój, maleńka. Nie ty pierwsza i nie ostatnia. Spędziliśmy miłe chwile i już. Nie powiesz mi przecież, że ci się nie podobało. Nigdy bym sobie tego nie wybaczył - powiedział Robert z uśmiechem.

- Podły! Podły! Jak mogłeś?! - krzyknęła dziewczyna, a potem chwyciła w rękę pantofle i wybiegła z mieszkania z głośnym szlochem.

„Ach, te baby. Zaraz by się chciały zakochiwać i pewnie jeszcze, Boże uchwaj, żenić. Kto je zrozumie?” - pomyślał chłopak, a potem odwrócił się na bok i zasnął snem sprawiedliwego.

\*

To wszystko przemknęło przez Basinę głowę, gdy zbliżała się do Roberta. Nie chciała wymieniać z nim grzecznościowego „cześć”, więc spuściła głowę, udając zatopioną w myślach i próbowała szybko przejść obok.

- Ej, lala, gdzie tak pędzisz? Złamiesz sobie obcas! Czekaj, może się zabawimy? - niewybrednie zagadnął ją jeden z meneli.

Robert odwrócił się odruchowo, żeby zobaczyć kogo zaczepia Majecha.

- Cześć, Basiu - powiedział przyjaźnie na widok dziewczyny.

Dobre wychowanie nakazało Basi przystanąć na chwilę.

- Cześć, Robert.

- Nie przejmuj się odzywkami tego gbura. To jest prosty człowiek - powiedział uspokajająco.

- O, widzę, że Robcio zna dupeńkę. No, przedstaw kolegów! - ucieszył się bandzior.

Robert rzucił mu lodowate spojrzenie.

- Majecha, uspokój się. Chcesz, żebym ci puścił fanty, czy nie?

- Spoko, Robcio. Nie wiedziałem, że tą dupeńkę też obracasz. Nie ma sprawy - pojednawczo odpowiedział oprych.

- Bardzo się śpieszę. Cześć - rzuciła Basia chłodno i ruszyła w stronę osiedla Męczenników Oświęcimskich.

- Czasami to mnie załamujesz, Majecha... Już Łyсы potrafi lepiej się zachować.

Robert wskazał głową stojącego obok potężnie zbudowanego młodego mężczyznę, o twarzy nieskażonej inteligencją. Ten uśmiechnął się od ucha do ucha, uznając słowa Roberta za wyszukany komplement. Podziwiał tego faceta prawie tak jak Majechę i sam chciałby kiedyś robić z nim interesy. Majecha spojrzał na swojego durnego kumpla z wyrzutem, czym natychmiast zgasił mu uśmiech na twarzy.

- Gdzie macie te sprzęty? - spytał rzeczowo Robert.

- U Łysego.

- No - potwierdził skwapliwie Łyсы.

- Potrzebuję jakąś godzinę, żeby skołować kasę. Spotykamy się u Łysego po wpół do siódmej, dobra?

- Jasne, Robcio. Nie ma sprawy. Będziemy czekać na pieniążki - odpowiedział wesoło Majecha.

\*

Pan Julek uradował się na widok młodzieńca.

- O, Adam! Cieszę się, że znalazłeś czas dla starego belfra. Kiedy to? Jutro, tak? - udawał, że nie pamięta.

- Tak. Rano muszę się stawić w jednostce. Miałem kupę szczęścia, bo ojciec Mistrza załatwił, że będę w Żaganii.

- Mistrza?

- No, Mirka Żąbkowskiego. Tego dwie klasy wyżej od nas.

- A, tego mądrali. On bodajże jest teraz w seminarium duchownym. Dobrze słyszałem?

- Tak. Jego starzy to mało apopleksji nie dostali, jak im powiedział. Teraz już się chyba pogodzili.

- Mówią, że Żagań to jedna z najgorszych jednostek w Polsce. Trójkąt Bermudzki. Musisz uważać na siebie.

- Panie Julku, JA sobie nie poradzę? - spytał retorycznie Adam.

- No właśnie. I to mnie martwi - powiedział Kwiatkowski z niepokojem. - Jesteś w

gorącej wodzie kąpany. W tym przypadku to nie jest dobre. Pamiętaj, co ci mówiłem. To, co umiesz, a umiesz bardzo wiele, może zniszczyć ciebie samego. W wojsku pod żadnym pozorem nie wolno ci wykorzystywać tego, czego cię nauczyłem. Choćby dlatego, że to nie jest nasze, prawdziwie polskie wojsko. Jeszcze nie. Kiedyś będzie, jak pogonimy ruskich, ale jeszcze nie jest. Jeśli wdasz się w jakąś awanturę, to w najlepszym przypadku wylądujesz na wiele lat w więzieniu, a zapewniam cię, że taka dziewczyna jak Basia nie będzie na ciebie czekać. Ja też bym wtedy przyszedł, żeby osobiście nakopać ci do dupy.

Adam uśmiechnął się ciepło.

- Panie Julku, daję panu słowo honoru, że zrobię wszystko, by nie musiał się pan mnie wstydzić.

- Wiem, że tak będzie, chłopcze. A teraz uciekaj mi stąd, bo Basia na ciebie czeka. A jak się będziesz źle prezentował na przysiędze, to cię przy wszystkich złożę pasem po tyłku. Nie będę się certolił, nie myśl sobie.

Adam serdecznie uściskał starego profesora. Człowiek ten w ciągu ostatnich kilku lat stał się jego najbliższą rodziną. Prawdziwą, jakiej nigdy nie miał. Tak wiele mu zawdzięczał! Często zastanawiał się, czy kiedykolwiek będzie w stanie spłacić ten dług. Adam błogosławił los za to, że ten postawił na jego drodze Kwiatkowskiego. Gdyby nie ten podstarzały nauczyciel języka polskiego, to kto wie, jak potoczyłoby się jego życie. Pewnie stoczyłby się na samo dno, uwikłany w awantury, bijatyki i alkohol. Kto wie...

\*

Była prawie szósta. Adam stanął przed drzwiami domu Basi, ciesząc się na myśl o spotkaniu z ukochaną. Drzwi otworzyła mu matka dziewczyny.

- O, Adaś! Chodź! Basia poszła na Męczenników po masło. Za chwileczkę powinna być. No, wchodź...

Adam wytarł buty i wszedł do dużego pokoju.

- Siadaj. Chcesz herbaty?

- A dawno Basia poszła? To może ja wyjdę po nią.

- Nie, siadaj, bo jeszcze się gdzie w drodze miniecie. Zaraz przyjdzie, spokojnie. Napij się herbatki, odpocznij.

- Wypiję herbatę i pójde po nią - upierał się z uśmiechem Adam.

- Ach, wy młodzi... Żebyście zawsze się tak kochali.

- Będziemy. Zobaczy pani - zapewnił ją chłopak.

\*

Amelia Strychar bardzo lubiła Basię i nijak nie chciała jej wypuścić. Siedziały przy



kawie, a kobieta skrętnie korzystała z okazji, że może się wygadać i ze szczegółami opowiadała Basi wydarzenia ostatnich dni. Na co dzień nie miała za bardzo do kogo ust otworzyć - mieszkała samotnie.

- Pani Melu, naprawdę muszę lecieć. O szóstej jestem umówiona z chłopakiem - dziewczyna podniosła się z krzesła.

- Jak kocha, to poczeka. Usiądź, mam pyszny jabłecznik. Pogadamy trochę. Opowiedz mi o nim.

- On nie może czekać, bo pojutrze idzie do wojska. Nie mamy dla siebie za dużo czasu.

- Aż tak? No, to rzeczywiście... Biegnij dziecko do tego szczęściarza, tylko nie zgub gdzieś po drodze masła. Wy, zakochani, nie macie do niczego głowy, a mama by się gniewała.

- Dziękuję za kawę. Do widzenia!

Basia wybiegła w pośpiechu. Było zaledwie wpół do szóstej, ale nie chciała, by Adam na nią czekał. Mógł przecież przyjść wcześniej. Postanowiła wrócić tą samą drogą, choć nie uśmiechało jej się ponowne spotkanie z Robertem i jego kumplami spod ciemnej gwiazdy. Ucieszyła się, widząc że jest już w połowie drogi, a oprychy już sobie poszły. Jednak mama miała rację - droga przez garaże nie należała do przyjemnych, szczególnie gdy zbliżał się wieczór. Dziewczyna przyspieszyła kroku, by jak najszybciej zostawić za sobą to nieciekawe miejsce. - Witam lalunię. Ależ niespodzianka! Jak miło znowu się spotkać - powiedział Majecha, szczerząc zęby w złośliwym uśmiechu.

Pojawił się jak duch, wychodząc nagle zza jednego z garaży. Basia zadrżała ze strachu.

- Przepraszam, ale się śpieszę - powiedziała zimno, próbując go wyminąć.

Zagroził jej drogę. Cofnęła się. Z tyłu pojawił się Łysy, ze swoim idiotycznym uśmiechem od ucha do ucha.

- Poprzednio nie mieliśmy dla siebie czasu, ale teraz ja i kolega chętnie cię bliżej poznamy.

Majecha chwycił ją za ramię i przyciągnął do siebie, nie przestając się uśmiechać. Basia próbowała się wyrwać, lecz uścisk mężczyzny był zbyt silny.

- Nie dotykaj mnie, draniu! - wykrzyknęła zrozpaczona.

Bandzior objął ją wpół i podniósł. Dziewczyna uwolniła jedną rękę i zaczęła go tłuc delikatną piąstką po głowie.

- Lubimy na ostro? Nie ma sprawy - powiedział i rzucił ją na ziemię. A potem rozpiął

pasek u spodni. - Obiecuję, że będzie ci się podobało.

- Zostaw mnie, bo będę krzyczeć! Ratunku!!! - wrzasnęła na całe gardło.

Bandzior przyklęknął i potężnym uderzeniem w brzuch pozbawił ją tchu. Basia zwinęła się z bólu. Majecha obszedł ją i stanął nieco z boku, a potem czubkiem ciężkiego buta wymierzył potężnego kopniaka w nasadę nosa. Głowa Basi odskoczyła do tyłu, jej ciało stało się bezwładne, z nosa i uszu pociekły strużki krwi.

- Nie będziesz krzyczeć - skwitował. - Na co się gapisz, Łysy? Ściągaj jej majtki i walimy. Co, nie podoba ci się taka dupa?

Łysy, wciąż głupkowato uśmiechnięty, posłusznie podszedł bliżej, by wykonać polecenie kolegi.

\*

Adam szedł szybkim krokiem w stronę garaży. Nadciągała szarówka, a nie chciał, by Basia wałęsała się po ciemku, a przecież to różnie może być... Wyobrażał sobie jej reakcję, gdy usłyszy, że jej ukochany ma załatwioną służbę w Żaganiu. To tylko 14 kilometrów od Żar! Będą się widywać znacznie częściej, niż gdyby służył w Krakowie. Już widział ją skaczącą i klaszczącą z radości. Nikt tak nie umie się cieszyć, jak jego ukochana Basia! Właśnie dochodził do garaży, ale jej nie było. „Czyżbyśmy się minęli? Niemożliwe...”, pomyślał. Szedł szybko, rozglądając się bacznie na boki. Minęło go dwóch pośpiesznie idących mężczyzn, skulonych, z postawionymi kołnierzami kurtek. Faktycznie zrobiło się chłodno. Miał nadzieję, że Basia się ciepło ubrała. Za moment będzie mógł otulić ją swoją marynarką. Pewnie się zasiedziała u Amelii Strychar, choć to do niej niepodobne. Na szczęście znał adres.

Pierwszym, co zobaczył, była siatka z dwoma kostkami masła, porzucona na środku drogi. Taki widok był rzadkością, jako że masło stanowiło prawdziwy rarytas. Ktoś w drodze do domu musiał zgubić deficytowy towar. Chłopak podniósł znalezisko i nagle zrobiło mu się bardzo gorąco. Ta siatka na zakupy należała do jego narzeczonej. Przerażony chłopak zaczął rozglądać się wokół i po chwili zauważył w krzakach kawałek materiału.

Z walącym sercem podbiegł bliżej i odgarnął chaszczę. Widok obnażonego ciała Basi odjął mu mowę. Po chwili wydał z siebie straszliwy ryk wściekłości, który szybko przeszedł w krzyk bezgranicznej rozpacz.

- O, Boże! O, Boże! Jezus Maria! Basia! Ludzie!!! Na pomoc!!! - wołał.

Wracający z zakładu Edward Kolasa podbiegł do Adama. Jego reakcja na przerażający widok była nieco bardziej zrównoważona: ściągnął kurtkę i przykrył dziewczynę, a potem sprawdził jej puls. Jeszcze żyła.

- Dawaj marynarkę! Trzeba ją przykryć! Czeka tu, ja wezwę pogotowie! - krzyknął Kolasa i pobiegł do telefonu.

\*

Szpital wojskowy był uważany za najlepszy w mieście. Adam siedział półprzytomny z rozpaczy, gdy do poczekalni wbiegła, głośno szlochając matka Basi.

- Gdzie ona jest?! Gdzie jest moje dziecko?! - krzyczała.

Adam poderwał się z krzesła i przytulił ją mocno.

- Ona żyje. I to jest najważniejsze. Nie możemy do niej teraz iść, leży na intensywnej terapii.

- Nie, nie! To ja ją wysłałam po masło. Dlaczego?! - kobieta zanosiła się płaczem.

Adam trzymał ją w ramionach, próbując uspokoić, ale bezskutecznie...

Podeszła pielęgniarka.

- Od tej pobitej i zgwałconej? - zwróciła się do nich oschle.

Przypatrywali się jej osłupiali, nie mogąc wydusić słowa.

- Jeszcze żyje, ale stan jest krytyczny. Dzisiaj już nie macie co czekać. Przyjdźcie jutro.

- Nie, ja zostaję - powiedziała stanowczo Anna Roszak. - Tam jest moje dziecko. Ratujcie ją!

- A pani myśli, że co robimy?! - wykrzyknęła zdenerwowana pielęgniarka. - Proszę wyjść, bo zawołam lekarza.

- Chodźmy, pani Aniu - powiedział Adam cicho.

Objął ją i wyszli.

- Przyjdziemy jutro z samego rana - dodał uspokajająco.

Przez cały kolejny dzień jedyną informacją, jaką udało się im wydobyć od lekarzy było to, że stan Basi nie ulega zmianie.

\*

Przed południem w kościele było pusto. Adam ukląkł w ławce. Odmówił pacierz, lecz czuł, że wyklepanie wyuczonej na pamięć modlitwy jest mało skutecznym sposobem na wyproszenie cudu. A jedynie to mogło uratować jego ukochaną. Umierała, a wszyscy wokół byli bezradni.

- Powiedz mu szczerze, prosto z serca, z czym przychodzisz, a z pewnością cię wysłucha.

Adam podniósł wzrok. Ksiądz, który się nad nim pochylał, nie był z tej parafii. Młody człowiek nigdy go wcześniej nie widział. Zaawansowany wiekiem mężczyzna w habicie

ujmował jakąś dziwną łagodnością, promieniował z niego spokój i pewność siebie. Położył chłopakowi rękę na ramieniu, uśmiechnął się i odszedł w kierunku zakrystii. Trochę zaskoczony Adam odprowadził go wzrokiem.

„Panie Boże”, mówił szeptem. „Nie umiem ładnie mówić. Jestem grzesznikiem. Do kościoła chodzę rzadko, ale Basia umiera. Nie trzeba jej jeszcze mi zabierać. Ja nie wiem, jak cię prosić. Zabierz mnie, ale ją uratuj. Po mnie nie będą płakać, a po niej strasznie. Nie gniewaj się, Panie Boże, że tak gadam prosto z mostu, ale nie jestem po szkołach. Mam tylko ją. Jak mi ją zabierzesz, to po co mi żyć? Wiem, że nigdy nie będę w stanie się odwdzieczyć, jak ją uratujesz, ale Ty możesz. Ja nie. Proszę, nie daj jej umrzeć, a nawrócę się i będę katolikiem takim jak trzeba”.

- Jak trwoga, to do Boga, co? - spytał retorycznie proboszcz Demel, który znany był z raczej surowego podejścia do parafian. - Na mszy świętej to ty pewnie nie bywasz. Weź ten różaniec. Modlitwa na różańcu jest najskuteczniejsza.

- Nie umiem się modlić na różańcu. Ten drugi ksiądz powiedział, żebym się modlił szczerze, tak jak potrafię - odpowiedział pokornie Adam.

- Jaki drugi ksiądz? - zdziwił się proboszcz.

- No ten, co parę minut temu wszedł do zakrystii.

- W tym kościele nie ma żadnego drugiego księdza. Ja cały czas byłem w zakrystii i zapewniam cię, że nikt tam nie wchodził, a tym bardziej jakiś ksiądz. Coś bym musiał chyba o tym wiedzieć, nie. Przywidziało ci się, synku.

- Ale przecież... - Adam był zdezorientowany.

- Módl się chłopcze, módl. Modlitwa jest ci bardzo potrzebna.

Ksiądz westchnął ciężko. Wciąż słyszał o problemach młodych ludzi z narkotykami, a alkohol tylko dopełniał dzieła zniszczenia. Kapłan pomyślał, że temu młodzieńcowi najwidoczniej nie udało się uniknąć zejścia na złą drogę. Co się dzisiaj dzieje ze światem?!

Odszedł w stronę ołtarza.

Adam pokłęczał jeszcze chwilę w ławce, po czym wstał i, nadal niepoczony, opuścił świątynię.

\*

Robert wpadł na melinę jak burza. Majecha przycinał właśnie z kumplami w pokerka, a nie lubił, by mu wtedy przeszkadzać. Spojrzał na Roberta z wyrzutem, lecz irytacja szybko przerodziła w wyraz najwyższego zaskoczenia. Robert był wściekły. Z impetem zatrzaskał za sobą drzwi i stał w progu niczym rozjuszony byk, gotowy do ataku.

- Co jest, Robcio? Coś ty taki wkurwiony? - zagadnął z głupia frant.

Robert powoli podszedł do stolika, badawczo wpatrując się w bandziora.

- Ktoś ciężko pobił i zgwałcił tę dziewczynę, cośmy ją spotkali koło garaży. Zastanawiam się, czy nie wiesz, kto to był - wycedził.

Na twarzy Majechy nie drgnął ani jeden mięsień. Pozostałe opryszki przypatrywały się obydwu młodym mężczyznom, zastanawiając się, kiedy ich kumpel nie wytrzyma i rozpieprzy tego lalusia w drobny mak. Jednak nic takiego się nie stało - Robert był zbyt bandycie potrzebny. Dzięki niemu Majecha miał niezłe źródło dochodów i doskonale zdawał sobie z tego sprawę.

- Nie wiem, dlaczego akurat mi to mówisz, Robcio. Chyba nie myślisz, że to któryś z nas - powiedział i rozejrzał się wymownie po siedzących przy stole pokerzystach.

- Spóźniliście się wtedy z Łysym... - naciskał Robert.

Majecha patrzył na niego spokojnie.

- No pewnie, że się spóźniliśmy! W „Merkurym” akurat było piwko, no to jak się mieliśmy nie spóźnić... Nie, Łysy?

- No - ochoczo potwierdził zapytany.

- No widzisz, Robcio? Łysy potwierdza, a sam wiesz, że jest tak głupi, że nie potrafiłby kłamać.

- Jeżeli mnie robisz w chuja, Majecha... To jest, kurwa, poważna sprawa! Obym się nie dowiedział, że miałeś z tym coś wspólnego...

- No co ty, Robcio? Znasz mnie przecież. Ja bym przecież muchy nie skrzywdził - stwierdził bandzior, na co towarzystwo wybuchło gromkim śmiechem.

Majecha spojrział na nich karcąco i śmiechy umilkły.

- No właśnie. Znam cię i dlatego tu przyszedłem - odpowiedział Robert.

- Ty, Robcio, lepiej siadaj tu z nami, walnij lufę i zagraj w pokerka. Coś czuję, że ci dzisiaj karta pójdzie.

Z leżącej na środku stołu talii Robert podniósł wierzchnią kartę i cisnął ją na blat. Wzrok graczy odruchowo powędrował za nią. As pik.

- Innym razem. - Robert odwrócił się i wyszedł, zostawiając otwarte drzwi.

- A jak pójdzie na psiarnię? - zaniepokoił się Łysy.

- Daj spokój, Łysy. I co im powie? Nie ma dowodów. Poza tym na pewno wie, że kapuś długo nie żyje. W końcu sprzedaje fanty i w jakiś sposób jest jednym z nas.

Majecha miał rację. W świetle prawa Robert był paserem, czyli przestępcą. Wizyta na milicji byłaby głupotą i finansowym samobójstwem. Chłopak nie wierzył w zapewnienia bandziora, ale instynkt samozachowawczy powstrzymał go przed zawiadomieniem

organów ścigania. Nic by przecież nie zyskał, a do stracenia miał stanowczo zbyt wiele.

- Ty, a jak ta cipa nas podpierdoli? - Łysy nie dawał za wygraną.

- Nie ma szans. Słyszałem, że jest na wykończeniu. Nawet gdyby przeżyła, to by się jej stanowczo wytłumaczyło, że zawiadamianie milicji nie leży w jej interesie. Ale konowały gadają, że nie wyjdzie z tego, a ja wierzę konowałam. Komuś trzeba wierzyć, nie, Łysy?

- No.

Uspokojony bandzior wrócił do gry.

- Dla mnie dwie.

Majecha rzucił na stół dwie karty i sięgnął po butelkę z tanim winem.

\*

W szpitalu Adam był już o szóstej. Anna Roszak siedziała skulona na korytarzu.

- Jest po operacji - wyszeptała. - Mówią, że najbliższe godziny będą decydujące.

Objął ją swoim silnym ramieniem.

- Musimy wierzyć, że wszystko będzie dobrze - starał się ją uspokoić.

Sam wierzył w to rozpaczliwie, a właściwie starał się wierzyć. Gdzieś głęboko w zakamarkach mózgu, jakiś zwierzęcy instynkt ostrzegał go, że niedługo stanie się coś złego, lecz on starał się nie dopuszczać tych myśli do świadomości. Każdą komórką ciała wołał w duchu o życie dla Basi. Świat w tej chwili nie istniał. Była tylko ona i nadzieja, której trzymał się kurczowo, z całych sił. Nie pozostało mu nic więcej.

\*

Sabina Szymczyk weszła do dyżurki. Koledzy siedzieli wygodnie dookoła małego stolika, na którym stały na wpół opróżnione filiżanki kawy. Młoda lekarka objęła spojrzeniem całe pomieszczenie. Dwaj koledzy zajęci byli właśnie ożywioną dyskusją na temat jednej z pacjentek i nawet nie zauważyli wchodzącej koleżanki. Trzeci, odwrócony tyłem do drzwi, czytał gazetę.

- To prawda. Nieźle się trzyma, jak na takie obrażenia. Ktoś jej musiał porządnie z kopa przywalić. Moim zdaniem nie pociągnie dłużej niż trzy godziny - powiedział jeden z dyskutantów, wygodnie opierając się na sofie.

- Stawiam pół litra, że dociągnie do jutra rana - powiedział drugi. - A ty, Mietek, jak stawiasz? - zwrócił się do trzeciego.

- A co mnie to obchodzi? Niech zdycha, kiedy chce. Mam inne zmartwienia. Muszę wymienić świece w samochodzie. Macie jakieś znajomości w warsztacie?

- Świnie! Wy nazywacie się lekarzami?! Rzygać mi się chce, jak na was patrzę! - wykrzyknęła Sabina i wybiegła na korytarz, trzaskając drzwiami.

- Co ją ugryzło? - spytał lekarz, który przed chwilą gotów był postawić pół litra za śmierć Basi.

- Patrzyli na siebie zdumieni, zupełnie nie rozumiejąc dziwnej reakcji lekarki.

- Pewnie jej chłop nie dogodził - odpowiedział beznamiętnie właściciel niesprawnego samochodu.

Tymczasem Sabina Szymczyk szła szybkim krokiem przez korytarz. Od razu zorientowała się, że starsza kobieta i młody mężczyzna, siedzący pod salą, to bliscy krewni pacjentki z intensywnej terapii.

- Państwo od tej pobitej dziewczyny? - spytała.

Oboje jak na komendę poderwali się na równe nogi.

- Usiądźcie, proszę. Basia ciągle jest w bardzo ciężkim stanie, ale trzeba mieć nadzieję. Miała szczęście, bo operował ją neurochirurg z Wrocławia, pułkownik Zawodny, który akurat był u nas z wizytą. Trzeba mieć nadzieję.

Lekarka nie dodała, że operacja niewiele poprawiła stan pacjentki, jako że obrażenia wewnętrzne głowy były bardzo poważne. Sabina sama nie wierzyła w to, co mówi, ale nie chciała odbierać resztek wiary tym prostym ludziom, których dotknęła tak straszna tragedia. Poza tym było jej zwyczajnie wstyd, że należy do tego samego środowiska, co koledzy w dyżurce.

- Pani doktor, niech pani ją ratuje - szlochała Anna Roszak, biorąc lekarkę za rękę. - Ona jest takim dobrym dzieckiem. Proszę, pani doktor...

- Obiecuję pani, że osobiście będę się nią opiekowała. Jak tylko jej stan się poprawi, natychmiast panią poinformuję.

- Dziękuję, pani doktor. Pani jest dla nas taka dobra. Pani na pewno ją uratuje - powiedziała z niezłomną wiarą matka dziewczyny.

- Zrobię wszystko, co w mojej mocy.

Sabina czuła się nieswojo, wracając na oddział. Ta nieszczęśliwa kobieta liczy, że ona, młoda lekarka, dokona cudu. A przecież nie potrafi. Może za kilka godzin, może jutro, będzie jej musiała powiedzieć o śmierci córki. A przecież obiecała. Obiecała.

## Rozdział 8

W jednostce Żagań-Las panował wzorowy porządek, dlatego bardzo szybko odnotowano brak jednego poborowego.

Porucznik Jarosław Karski, dowódca kompanii, stał na baczność w gabinecie oficera politycznego, czekając na jego reakcję.

- Jak to się nie stawił? - kapitan Marian Błaszczyk nie bardzo pojmował, o co chodzi.

- Miał termin przedłużony do dzisiaj rano i nie ma go. Nazywa się Adam Gawlik. Jest z Żar - stwierdził rzeczowo Karski.

- Czy on głupi, czy co? Ma służyć rzut beretem od domu i wykreca taki numer! Przecież pójdzie do pierdła albo w najlepszym razie odsiedzi swoje w anclu. Trzeba go sprowadzić. Wyślij patrol, niech go zgrną, zanim sobie biedy narobi. No, kurwa, jak dzieci - denerwował się kapitan. - Jak będzie na jednostce, to od razu dawaj go do mnie. Mam dzisiaj służbę, to se pogadamy.

Kiedy porucznik wyszedł, Błaszczyk zmarszczył brwi. W głowie mu się nie mieściło, jak można być takim kretyńcem. Bilet do wojska w jednostce pod samym nosem, a temu się zachciało kombinować. Znowu trzeba będzie docierać kolejnego debila. Ale tym zajmie się już stare wojsko. Na takich sprawach znają się najlepiej...

\*

Popijawa rozwijała się w najlepsze, gdy Tadek Gawlik i reszta gości usłyszeli natrętne walenie do drzwi. Spojrzeli po sobie zaskoczeni. Wypili sporo, fakt, ale wciąż jeszcze mieli kontakt z rzeczywistością.

- Nie otwieraj, Tadziu. Może to mendy - zasugerował bełkotliwie Jasiu Gruchała.

- E tam. Wczoraj dzielnicowy był, to gdzie mendy? Idę, zobaczę, co za cholera - powiedział, podnosząc się i chwiejnym krokiem ruszył do drzwi. Kurczowo trzymając się klamki, przyglądał się przez chwilę przybyłym, a następnie odwrócił się do współbiesiadników z rozjaśnioną twarzą.

- O kurwa, wojsko! - uśmiechnął się radośnie. - Ja już byłem w wojsku, ale mogę iść jeszcze raz - zabełkotał.

- Czy tu mieszka obywatel Adam Gawlik? - spytał ostro dowódca patrolu.

Nie miał ochoty na żarty, szczególnie w wykonaniu jakiegoś menela, który ledwie



trzymał się na nogach.

- A bo co? A kto pyta? A jak mieszka, to co? - wypytywał Tadziu, bełkocząc z lekka.

- Plutonowy Wojcieszak - zsalutował służbiście dowódca patrolu, uświadamiając sobie po niewczasie, że jego rozmówca ledwie trzyma się na nogach. - Adam Gawlik nie stawił się w jednostce w celu odbycia służby wojskowej.

Tadziu ponownie odwrócił się do towarzyszy. Zachwiał się, lecz w porę złapał oburącz za futrynę i krzyknął radośnie:

- Kurwa, Adaś wojsko w chuja robi! Ale jaja! - ucieszył się szczerze. - Moja krew!

- To trzeba opić. Chodź, Tadziu - odkrzyknął Jasiu.

Gospodarz z niemalym trudem odwrócił się z powrotem w stronę żołnierzy.

- Adaś jest w szpitalu wojskowym. Jego dupa tam leży. Dostała wpierdol czy jak. Idźcie do szpitala - powiedział i bezceremonialnie zamknął żołnierzom drzwi przed nosem.

Żołnierze spojrzeli po sobie, zaskoczeni.

- Idziemy! - zakomenderował plutonowy, uznając, że dalsza ich tu obecność mija się z celem.

\*

Z oddziału chirurgicznego wyszedł lekarz. Matka Basi poderwała się na równe nogi, patrząc na niego z nadzieją.

- Panie doktorze, co z moją córką? Będzie żyła? - zapytała błagalnym głosem.

- To nikt pani nie powiedział? - spojrzął na nią zdziwiony lekarz. - Idźcie załatwiać pogrzeb. Już po wszystkim. Pewnie już zawieźli ją do kostnicy.

Anna Roszak nie rozumiała jego słów. Stała z otwartymi ustami, odprowadzając go wzrokiem, a po chwili z jej piersi wydarł się straszliwy krzyk rozpacz. Tak potrafi krzyczeć tylko matka, która straciła jedyne, ukochane dziecko. Adam stał oniemiały, nie mógł wykonać żadnego ruchu. Rzeczywistość zmętniała, czas zwolnił biegu. Obok przeszła pielęgniarka. Salowa płukała w wiadrze szmatę do podłogi.

Po chwili usłyszał głos, dochodzący do niego niczym z zaświatów.

- Obywatel Adam Gawlik?

Machinalnie pokiwał głową. W tej chwili wykonałby ten gest nawet, gdyby zapytano go, czy jest Adolfem Hitlerem.

- Pójdziecie z nami.

Żołnierze wzięli go pod rękę i zabrali do wojskowego gazika. Powłócząc nogami, posłusznie pozwolił się prowadzić. Nie stawiał żadnego oporu. Zupełnie nie obchodziło go, co się dzieje ani gdzie zabierają go ci ludzie. Nic go nie obchodziło poza tymi kilkoma

słowami, które właśnie usłyszał.

\*

- Co tam się dzieje w poczekalni? - spytał wchodzącego na oddział lekarza jego kolega, właściciel małego fiata.

- A, powiedziałem matce, tej od wypadku na motorze, że jej córka już nie żyje. Stara wpadła w histerię.

- Przecież tam w poczekalni są ludzie od tej pobitej! A ona jeszcze żyje.

- O, kurwa! No to się pomyliłem... ale ona i tak wykituje najdalej za kilka godzin. Co za różnica, czy im ktoś powie teraz, czy jak już będzie pozamiatane? Z drugiej strony, to ta pobita i tak długo się trzyma - powiedział lekarz, zadowolony ze swojego wyводу, i zabrał się za parzenie kawy.

Czekał go nocny dyżur, a szanse na przespanie się w trakcie dnia nie były zbyt duże.

\*

Przez całą drogę do jednostki Adam wpatrywał się tępo w szary paproch na podłodze gazika. Było mu zupełnie obojętne, co się dzieje z nim i wokół niego. Eskortujący go żołnierze co jakiś czas rzucali mu nieufne spojrzenia. Nie lubili takich jak on. W końcu wojsko to poważna sprawa i rekruci nie powinni sobie robić takich jaj. Przez całą drogę nie padło ani jedno słowo.

Czterdzieści pięć minut później poborowy Gawlik był już w jednostce Żagań-Las.

- Obywatelu kapitanie, to ten. Nie stawiał oporu - meldował wyciągnięty jak struna plutonowy Wojcieszak.

- Spocznij - dowódca machnął ręką jakby opędzał się od natrętnej muchy. - Co wy, kurwa, wyprawiacie, Gawlik?!

Adam wpatrywał się tylko w szczeliny między płytkami PCV w podłodze. Słyszał słowa kapitana, ale miał wrażenie, że skierowane są do kogoś zupełnie innego. Jego brak reakcji wyprowadził oficera z równowagi.

- Wy mnie nie wkurwajcie, Gawlik! Nie udawajcie Greka! Nie takich tu mieliśmy cwaniaków! Mówię do ciebie, gnoju! - krzyczał.

Młody człowiek ani drgnął.

Obywatelu kapitanie - plutonowy Wojcieszak uprzedził potok wyzwisk i przekleństw, które za moment niechybnie spadłyby na głowę Adama. - Wzięliśmy go ze szpitala wojskowego, gdzie właśnie zmarła jego narzeczona. Została wczoraj pobita i zgwałcona. On chyba jest w szoku.

Oficer polityczny uspokoił się i spojrzał na plutonowego, który ponownie stanął na

baczność. Kapitan przeniósł wzrok na stojącego przed nim poborowego. Adam wciąż nie reagował.

- Do ancla? - zapytał słuźbiście plutonowy.

- Nie. Dajcie mu mundur, kaźcie się przebrać i rzućcie na kompanię. Niech go tam dziadki obudzą. Nie będzie mi tu fochów stroił! Z tej baby też zrobimy żołnierza. Zabrać go!

Zanim go wyprowadzili, Adam podniósł wzrok i rozejrzał się dookoła. Rzucił spojrzenie na oficera, właśnie siadającego za biurkiem, i powolutku zaczynał rozumieć, co się wokół niego dzieje.

Zaprowadzono go do magazynu.

- Przebieraj się! - krzyknął kapral Molenda i rzucił Adamowi mundur.

Chłopak posłusznie wykonał rozkaz i kilka chwil później stał przed podoficerem w pełnym umundurowaniu. Buty były troszeczkę za duże, ale nie zwracał na to uwagi. Z każdą chwilą czuł, jak rozpacz ustępuje miejsca uczuciu buntu przeciwko wszystkim i wszystkiemu. Patrzył odważnie kapralowi prosto w oczy, co tamtemu bardzo się nie spodobało.

- Co się, kurwa, gapisz, kocie?! Wypierdalaj! Korytarzem biegiem marsz!! - wrzasnął kapral, żeby od początku pokazać mu, kto tu rządzi i gdzie jest jego, zafajdanego kota, miejsce.

Adam odwrócił się i pewnym krokiem poszedł we wskazanym kierunku. Na drugim końcu długiego korytarza czterech rezerwistów „docierało” młode wojsko. „Granat!” padała komenda, na co cała drużyna natychmiast padała na podłogę. „Powstań! Padnij! Czołganiem naprzód marsz!” Żołnierze w pośpiechu czołgali się przed siebie, a zostającym w tyle rezerwiści wymierzali pasem wojskowym solidne razy na plecy i w siedzenie. Nie obyło się bez pomocniczych kopniaków w zębra. „Ruszać się zafajdane koty! Nie będziemy tu stali całą noc!” - padały słowa zachęty.

- Kurwa, kocie! Głuchy jesteś, czy niedorozwinięty?! - darł się kapral. - Powiedziałem biegiem! Rusz dupę!!!

Adam szedł spokojnie, nie zwracając uwagi na pokrzykiwania znacznie wyższego od niego żołnierza. Odchylał jedynie głowę, gdy ten próbował wrzeszczeć mu do ucha, obserwując rozwój wydarzeń. W pewnej chwili stanął przed nim rozwścieczony kapral.

- Stawiasz się, kocie? - wycodził przez zęby.

- Co jest? - zawołał jeden z rezerwistów.

- Ten kot jest mocno nieprzetarty - odkrzyknął do nich kapral. - Zdaje się, że chce wpierdol!

Cała czwórka rezerwistów natychmiast pojawiła się przy kapralu, z pasami gotowymi

do użytku.

Adam zimno patrzył w oczy kapralowi Molendzie, zupełnie ignorując stojących obok wiejskich osiłków. W myślach dobiegły go słowa pana Julka: „Pamiętaj, że to, co umiesz, może zniszczyć ciebie samego”. Słowa te rozplynęły się natychmiast, pozostawiając w mózgu chłodną pustkę.

Pierwszy błąd popełnił osilek z lewej, próbując uderzyć Adama pasem w górną część pleców. Zręczny unik spowodował, że pas wylądował na facjacie stojącego obok konusa, który z wyciem chwycił się oburącz za twarz i zwałił ciężko na podłogę. Wystarczył ułamek sekundy, by właściciel pasa padł ze złamaną ręką, spazmatycznie łapiąc powietrze przez stłuczoną krtań. Ruchy Adama były automatyczne, wydawał się ledwie dotykać napastników. Niewiarygodnie precyzyjne kopniaki trafiały w najczulsze miejsca ludzkiego ciała, zadając ból nie do wytrzymania. Błyskawiczne ciosy dłońmi i rękami siały wśród przeciwników prawdziwe spustoszenie. Kapral Molenda natychmiast stracił oko, ale jeden z dziadków miał więcej szczęścia, bo uszedł tylko ze złamanym nosem i przetrąconą szczęką. Kolejny, ze złamaną w stawie kolanowym nogą, miał wszelkie szanse, by zostać kaleką do końca życia. Ostatni ze śmiałków, podcięty tuż przy stopie, wylądował plecami na podłodze, z hukiem waląc głową o twardą podłogę, co niemal pozbawiło go przytomności. Po chwili wszyscy przeciwnicy byli wyeliminowani.

- Źle trafiliście, chłopaki - mruknął nowy rekrut przez zaciśnięte zęby.

Młode wojsko przyglądało się temu krótkiemu zamieszaniu zupełnie osłupiałe, jednak ktoś zachował na tyle przytomności umysłu, żeby pobiec po podoficera.

- Melduje się kot Michalczyk! - młody żołnierz wyciągnął się jak struna w postawie na baczność. - Obywatelu plutonowy, młody żołnierz ciężko pobił pięciu dziadków, znaczy rezerwę, znaczy stare wojsko. Leżą tam na korytarzu.

- Co ty mi tu pierdolisz, Michalczyk? Pojechało cię, czy co? - podoficer nie ukrywał zaskoczenia.

- Panie plutonowy, szybko! Tam jest pełno krwi!

Dyżurny podoficer zerwał się na równe nogi i po chwili był już na miejscu feralnych wydarzeń.

Adam przyglądał się swojemu dziełu zniszczenia. Podniósł wzrok na dyżurnego podoficera, który stanął jak wryty kilka metrów od niego. Zza pleców plutonowego wyglądał szeregowy Michalczyk.

- Co tu się dzieje, do kurwy nędzy?! Baczność, żołnierzu! - wrzasnął plutonowy, próbując dodać sobie animuszu na widok krwawej jatki.

- Panie plutonowy, to wariat. Trzeba wezwać wartowników z bronią, bo on zaraz zrobi z nami to samo, co z tamtymi - wyszeptał zatrwożony Michalczyk.

Adam założył ręce na piersiach i badawczo przyglądał się podoficerowi. Pod wpływem tego wzroku staremu żołnierzowi przeszły ciarki po plecach. Myślał gorączkowo, co robić, gdy nagle pojawiło się trzech uzbrojonych w kałasznikowy wartowników. Wycelowali w rekruta Gawlika i czekali na dalsze rozkazy.

- Aresztować go! - wrzasnął podoficer, sam nie mając najmniejszego zamiaru zbliżyć się do tego... kogoś.

\*

Major Tadeusz Czapski był wściekły. Z zaciśniętymi pięściami chodził tam i z powrotem po gabinecie. Dowódca kompanii, porucznik Karski i podoficer dyżurny stali na baczność, cierpliwie czekając, aż minie nawałnica. Major przystanął i spojrzał im w twarz.

- Poporowoy rozpierdolił pięciu dziadków! Dwóch będzie kalekami do końca życia. I wyście do tego dopuścili?! Kurwa! Z kim ja pracuję?! Z baranami?! Dlaczego nikt nie sprawdził tego Gawlika?! - złapał się za głowę i znowu zaczął krążyć po gabinecie. - Jak się góra dowie, to mi jaja urwą! Przez was, skurwysyny! I to dzisiaj, gdy delegacja wojsk radzieckich ma wizytować akurat tę pierdoloną kompanię. Pewnie już się dowiedzieli... Ja sobie chyba w łeb ze wstydu palnę! Dawać mi tego kota, jak mu tam... Michalak?

- Michalczyk, obywatelu majorze - zameldował służbiście porucznik Karski.

- Pies go jebał! Ma mi tu wszystko wyśpiewać jak na spowiedzi. No, dawaj go! Co, mam mu zaproszenie wysłać?!

Podoficer znikł jak zdmuchnięty, by po chwili wrócić z czekającym za drzwiami szeregowcem.

- Obywatelu majorze, szeregowy Michalczyk melduje się... - nowo przybyły próbował się zameldować.

- Zamknij się, durniu! Spocznij - przerwał mu bezceremonialnie major. - Mów, co tam się stało, tylko jak na spowiedzi...

- Obywatelu majorze, bo rezerwa nas akurat szkoliła w zakresie reakcji na komendę „granat”. Przechodziliśmy również szkolenie w zakresie czołgania się...

- Co ty mi tu pleciesz, Michalczyk? - przerwał mu major. - Pytam o tego skurwiela, co dziadkom manto spuścił!

Szeregowy Michalczyk miał maturę. Nie dostał się na studia i wylądował w armii. W kontaktach z przełożonymi zawsze starał się sprawiać wrażenie inteligentniejszego niż pozostali, co często przynosiło skutek odwrotny do zamierzonego.

- Tak jest! - odpowiedział młody żołnierz. - Prowadził go kapral Molenda i chyba wydał rozkaz biegiem marsz przez korytarz, a tamten nie wykonał rozkazu. Kapral Molenda się zdenerwował, a rezerwa podbiegła z pasami, żeby mu pomóc ustawić kota. I wtedy się zaczęło...

- Co się zaczęło? No, mówże! - dopytywał się major.

- No właśnie nie wiem. To był moment i wszyscy leżeli na podłodze, wyjąć z bólu. To było straszne, obywatelu majorze... - powiedział z trwogą Michalczyk.

Niespodziewanie otworzyły się drzwi do gabinetu.

- Przecież mówiłem...!!! - wrzasnął major, lecz natychmiast się powstrzymał, widząc wchodzącego.

- *Priwiet*, Tadziu - powiedział z uśmiechem pułkownik Władimir Iwanow. - Co to, jakieś zebranie? Mam nadzieję, że nie przeszkadzam.

- Nie, nie. *Zachadi*, Wołodia. Kazałem im meldować, co tam się dzieje w ich kompanii. Odmaszerować! - rzucił żołnierzom, którzy zasalutowali i wyszli z gabinetu.

- Co pijemy, Wołodia? - spytał dowódca, otwierając imponująco zaopatrzone barek.

Za wszelką cenę starał się ukryć wzburzenie. Wciąż miał nadzieję, że incydent nie rozniesie się zbyt daleko. Przyjaźnili się z Władimirem Iwanowem, przewodniczącym delegacji radzieckiej, od lat, ale i tak wstyd byłby jak cholera. Takie rzeczy w jego jednostce...

Gość uśmiechnął się z zadowoleniem. Na Tadzia zawsze można było liczyć. Nieraz zastanawiał się, skąd on brał te wszystkie gatunkowe wódki. Nigdy jednak gospodarz nie chciał zdradzić swojej tajemnicy, nawet jak nietęgo popili, a zdarzyło się to już nieraz.

- Dawaj, Tadziu, co tam masz dzisiaj najlepszego.

- Zdobyłem ostatnio pięciogwiazdkową *Metaxę*. Tego jeszcze nie piłeś - powiedział tajemniczo major i sięgnął po butelkę szlachetnego trunku.

- Oj, Tadziu, Tadziu. Tyś się chyba z imperialistami za bardzo zbratał - zganił go żartem Rosjanin i wziął od majora spory, wypełniony po brzegi kieliszek.

- Jeszcze my tych imperialistów usadzimy, spokojna głowa. No, to chluśniem, bo uśniem - Czapski wznosił toast i wypił duszkiem.

Rosjanin natychmiast poszedł w jego ślady. Nawet im przez myśl nie przeszło, że alkohol, który mieli okazję kosztować, należy sączyć powoli, by prawdziwie docenić jego smak i klasę.

- Jakaś babska ta wódka, Tadziu. Dawaj czystej. Od tej, jak jej tam... *Metaxy*, to tylko mordę wykręca - stwierdził krytycznie Wołodia.

Major sięgnął po pół litra Żytniej.

- No, to jest wódka - powiedział z uznaniem Wołodia, wychyliwszy pierwszy kieliszek. - A co tam u was ciekawego słycać?

- A, nic ciekawego. Właśnie przyszło młode wojsko, to ich szkolimy. Poza tym stara bieda. Powiedz lepiej, co u ciebie, Wołodia. Jak tam żona? Chłopcy już pewnie szkołę kończą.

- Rosną, psubraty, job ich mać. Ani się obejrzymy, a pójda pod moją komendę. Natasza zdrowa, kazała ciebie i rodzinę pozdrowić. Ale wracając do tego młodego wojska, to słycałem, że macie tu takiego jednego gieroja.

Czapskiemu zrobiło się gorąco. Szlag by to nagły trafił! Więc jednak! Wieści w jednostce rozchodzą się lotem błyskawicy. Trzeba by coś z tym zrobić, ale teraz już za późno. No i nie udało się uniknąć wstydu przed gościem z Kraju Rad. Niech on, Czapski, tylko dowie się, kto puścił farbę!

- Nic się przed tobą nie ukryje, Wołodia - odparł z nieco sztucznym uśmiechem.

- W końcu jestem w siłach specjalnych. No mów, bo słycałem ciekawe rzeczy - Wołodia szczerze odwzajemnił uśmiech.

- Właściwie nic wielkiego. Kot zaskoczył kilku starych żołnierzy, trochę się im oberwało, a teraz siedzi w anclu i czeka na prokuratora. Na moje oko, to pójdzie siedzieć na parę latek. A i jednostka karna go nie minie.

- No widzisz, a ja słycałem co innego. Podobno sam jeden złoil skórę pięciu ludziom. Takie rzeczy nie zdarzają się na co dzień. Nie szkoda takiego do więzienia?

- O czym ty mówisz, Wołodia? Ciężkie pobicie starszych stopniem, oni ledwie uszli z życiem. Nie wywinie się. Może i szkoda takiego, ale właśnie przygotowują dokumenty dla prokuratury. Podpisuję i do widzenia - powiedział major z rezygnacją.

- No to zrób coś dla mnie. Poczekaj z tym podpisem, a ja bym chciał zobaczyć tego mołodca, *pogawarit niemnożka* - zaproponował Iwanow.

- Dla ciebie wszystko, Wołodia. Mogę poczekać. Tylko to podobno wariat. Wczoraj w szpitalu wojskowym w Żarach zmarła mu żona czy narzeczona, nie wiem. Jakies bandziory ją zgwałciły i zatłukły. Pewnie dlatego mu odbilo. Gotów się jeszcze na ciebie rzucić.

- Tym bym się nie przejmował. Nie myślisz chyba, że jakiś gołowas da radę pułkownikowi sił specjalnych Armii Czerwonej?

- Wiem, Wołodia. Tobie nikt nie da rady. Możemy do niego iść choćby zaraz, jeśli chcesz.

W celi aresztu umeblowanie było nadzwyczaj skromne: stołek, mały stolik i twarde łóżko, na dzień składane i zamykane na klódkę. Adam miał teraz mnóstwo czasu na rozmyślanie. Wydarzenia poprzedniego dnia docierały do niego ze zdwojoną siłą. Niewiele myślał o pobitych żołnierzach - dostali to, o co się prosili. Po raz kolejny przesuwały mu się w głowie obrazy od momentu, gdy znalazł Basię w krzakach, do informacji o jej śmierci uzyskanej od jednego z lekarzy. Niewysłowny ból mieszał się z pragnieniem zniszczenia tego z gruntu złego świata. Przypomniawszy sobie swoją wizytę w kościele. Jakże naiwne było przeświadczenie, że Bóg mu pomoże. Czy Bóg w ogóle wiedział o jego i jej istnieniu? A może Boga po prostu nie ma i zrobił z siebie durnia, gadając w próżnię?! Wiedział tylko to, że musi żyć. Nie chce, ale musi. Wyłącznie po to, by znaleźć morderców Basi i ich ukarać. Za wszelką cenę. Ktokolwiek stanie mu na drodze, skończy jak te bałwany na kompanii albo jeszcze gorzej. Tamtych w końcu starał się oszczędzać. Pan Julek uczył, jak pozbawiać życia szybko i skutecznie, ale jednocześnie nakazał mu stosowanie tych umiejętności tylko przy bezpośrednim zagrożeniu życia. „Idealista z ciekawą logiką”, myślał Adam. „To po co mnie tego uczył? Musiał mi chyba bardzo ufać...”.

Jednak nauczyciel nie mylił się w ocenie swojego ucznia, bo młody człowiek wziął sobie ten zakaz bardzo głęboko do serca. Życie ludzkie, teraz oprócz tylko jego własnego, mimo wszystko nadal przedstawiało dla Adama bezcenną wartość.

Przerwał te rozmyślania, gdy otworzyły się drzwi celi. W wejściu pojawiło się dwóch oficerów. Adam ze zdziwieniem zauważył, że jeden z nich miał na sobie mundur wojsk radzieckich. Ta dziwna wizyta wprowadziła chłopaka w zdumienie. Po cholere sam major miałby odwiedzać aresztanta? Spodziewał się, że wkrótce zostanie osądzony i skazany, a tu jakiś ruski składa mu wizytę. Co on tu, u diabła, robił? Czyżby polska armia była jeszcze bardziej uzależniona od sowieckiej, niż myślał pan Julek?

- Aresztant Gawlik, baczność! - padła komenda strażnika.

Adam posłusznie stanął w postawie zasadniczej, choć nie śpieszył się zbytnio. Bacznie przyglądał się przybyłym, zastanawiając się, czego takie szychy mogą od niego chcieć. Przecież jego sprawa jest prosta: dzień wcześniej poniosło go, a teraz będzie musiał za to zapłacić i to pewnie słono.

- Towarzysz pułkownik chce z tobą porozmawiać - major Czapski oschle zwrócił się do Adama. - Mam nadzieję, że nie będziesz próbował jakichś głupich numerów. Nikt się tutaj nie będzie z tobą cackał. Zrozumiano?

- Zrozumiano, obywatelu majorze - odpowiedział cicho.

- Nie słyszę! Pytam, czy rozumiałeś!



- Daj spokój, Tadziu - wtrącił się pułkownik.

- Na pewno chcesz zostać z nim sam na sam? - spytał Czapski na odchodnym.

- Dam sobie radę. Jakby co, to zawołam.

- Dobra. Tylko uważaj. On jest nieprzewidywalny - powiedział major i wyszedł, zamykając za sobą drzwi celi.

- Siadaj. *Zakurisz?* - zagadnął pułkownik przyjaźnie, wyciągając papierosa.

- Nie palę - odpowiedział cicho Adam.

- *Molodiec!* Paskudny nałóg. Rzuciłbym w cholerę, ale te nerwy... Nigdy nie zaczynaj.

- Palilem, ale mi przeszło - odparł Adam obojętnym tonem.

- Pewnie się zastanawiasz, po co ci ten ruski zawraca głowę. Widzisz, narozrabiałeś i to porządnie. Pójdiesz w tiumu na długie lata.

Adam milczał. Spuścił wzrok i zrezygnowany wpatrywał się w podłogę.

- Wszystko mi jedno - odezwał się po chwili. - Kiedyś mnie w końcu wypuszczą, a wtedy... - zacisnął zęby.

- A wtedy odnajdziesz tych, co ci zabili narzeczoną i zapłacą życiem za jej życie - dokończył spokojnie Rosjanin, zaciągając się papierosem.

Młody człowiek podniósł na niego wzrok.

- Znajdę ich, choćbym miał szukać w piekle - wycedził z pasją.

- Tylko że to trochę potrwa, zanim będziesz mógł zacząć. Kilkanaście lat, lekko licząc. Po takich wyczynach... Przez ten czas różnie może być - stwierdził chłodno pułkownik i ponownie zaciągnął się papierosem.

Rosjanin blefował. Chciał tego młodzieńca trochę rozmiękczyć. Wiedział doskonale, że przy odrobinie szczęścia może się skończyć na najwyżej dwóch, może trzech latach więzienia i jednostce karnej.

- To była obrona własna.

- Chłopie, nie rozśmieszaj mnie. Jesteś w wojsku - ożywił się Iwanow. - Zrobiłeś kalekami kilku żołnierzy, w tym kaprala. Pójdiesz siedzieć na znacznie dłużej, niż ci się wydaje!

Chłopak ponownie spuścił wzrok.

- Ale miałbym na to lekarstwo...

Iwanow nie musiał długo czekać na reakcję rozmówcy. W aresztanta jakby wstąpiło nowe życie. Patrzył wyczekująco na oficera. Tymczasem pułkownik z uwagą oglądał swój papieros, nie spiesząc się z wyjaśnieniami.

- Jakie lekarstwo? - wyrzucił z siebie chłopak, nie mogąc doczekać się słów

Rosjanina.

Pułkownik nagle spowaźniał. Pochylił się lekko w stronę aresztanta i spojrzał mu prosto w oczy.

- Jestem oficerem radzieckich sił specjalnych. Stacjonuję w Riazaniu, a działam wszędzie. Ktoś taki jak ty mógłby mi się przydać...

Pułkownik Iwanow często działał wbrew zasadom. Narybek szkoły jednostek specjalnych w Riazaniu składał się wyłącznie z młodych obywateli radzieckich prezentujących ponadprzeciętne umiejętności. Umieszczenie tam tego Polaka byłoby niezwykle trudne, choć nie niemożliwe. Instynktownie wyczuwał, że ma przed sobą diament, który wystarczy tylko oszlifować. Coś mu podpowiadało, żeby zabrał stąd tego jeszcze młodego człowieka, a przysłuży się ojczyźnie jak nigdy dotąd. W dobie konfliktu w Afganistanie takich ludzi nigdy nie było zbyt wielu. Wiedział o tym doskonale, a i przełożeni ostatnio byli bardziej skłonni do zgadzania się z jego sugestiami.

- Obywatelu pułkownika, nie wiem, kim pan naprawdę jest, ale niby w jaki sposób miałby pan mnie z tego gówna wyciągnąć? Oni tu histerii dostają, żeby mnie udupić. Czarno to widzę...

- Trochę wiary, młody człowieku! Wy tu, w Polsce, taki katolicki naród, a wiary w was za grosz - Iwanow uśmiechnął się protekcjonalnie. - Jednak zanim w ogóle kiwnę palcem, chciałbym, żebyś zdawał sobie sprawę, na co się decydujesz. Stamtąd, dokąd cię zabiorę, nie ma powrotu. Nie mogę ci dać żadnych gwarancji, że ujdiesz z życiem z tego, co cię czeka. Mogę ci za to obiecać, że jeśli przeżyjesz, to zrobią tam z ciebie żołnierza, jakiego chętnie widziałyby u siebie najbardziej elitarne jednostki imperialistów - powiedział dobitnie pułkownik. - Zastanów się i jeszcze dzisiaj daj mi odpowiedź.

Wstał z krzesła, zdeptał niedopałek i podniósł rękę, by zastukać w drzwi celi.

- Nie muszę się zastanawiać - powiedział Adam stanowczo. - Niech mnie pan stąd wyciągnie.

Pułkownik odwrócił się w jego stronę z uniesioną dłonią. Spojrzał na Adama zimnym wzrokiem, lecz sekundę później jego twarz złagodniała.

- *Ach, wy Paljaki, Paljaki...* Gorącokrwisci jak konie na stepie. I za to was lubię - powiedział.

\*

- Wołodia, bój się Boga, co ty chcesz zrobić?! - Czapski był bliski histerii.

- Ja nie muszę. Jestem ateistą jak przystało na prawdziwego radzieckiego czekistę - Iwanow uśmiechnął się wesoło.

- Czego nie musisz? - nie zrozumiał major.

- No, bać się Boga. My to już mamy za sobą, ale wy, tu, w Polsce... Choć tobie, Tadziu, to się dziwię. Oficer Ludowego Wojska Polskiego... wierzący?

- Przestałbyś się wygłupiać! Jak ja mam go wypuścić? Przecież mi łeb urwą! - major miotał się po gabinecie, jak to miał w zwyczaju, gdy ponosiły go emocje.

- Nic ci, Tadziu, nie urwą. Zaufaj mi. Nie musisz nikogo wypuszczać. On ci ucieknie. Zdezerteruje. I będziesz czysty. Ty tylko nie staraj się za bardzo przeszkadzać.

Major Czapski opadł ciężko na fotel.

- Tadziu, nie możesz zmarnować takiego człowieka. Pomyśl, ile papierkowej roboty ci odpadnie, jak go nie będzie. Ile tłumaczenia, odpowiadania na głupie pytania...

- W zamian będę odpowiadał na głupie pytania, jak on zniknie - nie dawał za wygraną major.

- Dlaczego ty? Kto powiedział, że musisz się wszystkim zajmować? Zleć całą sprawę na przykład politycznemu. I tak nic nie robi, to się przynajmniej czymś zajmie.

- Jak chcesz to zrobić?

- Wieziecie go do prokuratora do Żar, nie?

- Ano wieziemy.

- No właśnie. Mam paru zaufanych chłopaków w Szprotawie. Domyślam się, że nie chcesz znać szczegółów, prawda? - zapytał niewinnie Iwanow.

- Przecież będzie obława. Nawet mysz się nie prześliznie...

- Wiesz, Tadziu, z tymi waszymi myszami, to bym nie był taki pewien.... Sprytne są, cholery...

- Niech cię diabli, Wołodia. Ty długo nie pożyjesz - odrzekł zrezygowany major.

- Tadziu, ja będę żył sto lat! Wypijmy za to!

Iwanow wznosił stojący przed nim kieliszek wódki, stuknął się ze swoim polskim przyjacielem i wychylił go do dna.

- Ja w każdym razie nic nie słyszałem, nic nie widziałem i nic nie wiem - stwierdził stanowczo major, znacząco podnosząc dłonie do góry dla podkreślenia swoich słów.

- A ja nic nie mówiłem - uśmiechnął się pułkownik, zadowolony z obrotu sprawy.

## Rozdział 9

Stukanie do drzwi wyrwało Annę Roszak z letargu, w jaki zapadła, gdy dotarła do niej bolesna prawda o śmierci córki. Spojrzała odruchowo na zegar. Po dłuższej chwili udało jej się skupić uwagę - było dwadzieścia pięć po siódmej. Kto to mógł być tak wcześnie rano? Choć właściwie jakie to może mieć jeszcze znaczenie... Przeplakała całą noc, dziwiąc się, że tyle ich może się w człowieku zmieścić. Pustka po stracie Basi była wszechogarniająca. Wyzierała z każdego kąta mieszkania, z każdego mebla i każdego przedmiotu, którego córka dotykała swoimi delikatnymi dłońmi. A przecież już jej nie było. Minęła kolejna długa chwila, nim w końcu udało się kobiecie na tyle zmobilizować, by podejść do drzwi.

W progu stała Sabina Szymczyk. Na jej widok nieszczęsna matka ponownie zanosła się płaczem, wycofując się do przedpokoju. Lekarka weszła bez słowa, a potem objęła i przytuliła starszą kobietę. Ta wciąż łkała, ale płacz był już cichszy. Rozpacz po stracie córki przytłaczała ją tak bardzo, że nawet nie miała siły płakać.

- Pani Aniu, proszę nie płakać, życiu pani córki już nic nie zagraża. Kryzys minął.

Kobieta wyswobodziła się z objęć i spojrzała na lekarkę, zupełnie ogłupiała. Jej twarz wykrzywił ból, lecz w oczach dostrzec można było przebliski zupełnie irracjonalnej nadziei.

- Co pani mówi, pani doktor? Przecież wczoraj w szpitalu wyraźnie mi powiedzieli, że Basia nie żyje.

- Nic podobnego. Nie wiem, kto to pani powiedział, ale Basia żyje i odzyskała przytomność! My, lekarze, nie potrafimy tego wyjaśnić, ale medycyna notowała już w przeszłości takie cudowne ozdrowienia. Ciało ludzkie wciąż jest dla nas ogromną tajemnicą...

- Pani doktor... Pani doktor... Co pani mówi? Moja córka żyje?! - kobieta przerwała jej bezceremonialnie.

- Naturalnie, że żyje, pani Aniu. W tej chwili na pewno czeka na panią.

Anna opadła na zydelek, zupełnie wyzuta z sił. Siedziała tak przez chwilę z otwartymi ustami i nieobecny wzrokiem wpatrywała się w ścianę naprzeciwko, a potem wstała szybko i rzuciła się młodej lekarce na szyję. Po raz kolejny wybuchła płaczem, lecz tym razem był to szloch ulgi i radości. Kiedy opadły pierwsze emocje, matka Basi znieruchomiała nagle, dziwnie zamyślona.

- Biedne dziecko, ona na pewno głodna. Trzeba coś przygotować - stwierdziła

niespodziewanie i wbiegła do kuchni, gorączkowo szykując jedzenie.

Lekarka postąpiła za nią kilka kroków, a potem zatrzymała gospodynię i chwyciła ją za rękę.

- Pani Aniu, chodźmy do niej. Ona w tej chwili potrzebuje pani obecności. I niczego więcej - powiedziała uspokajająco.

\*

Basia wciąż była bardzo słaba. Powrócił już jednak jej charakterystyczny, ciepły i promienny uśmiech, choć jeszcze przytłumiony bólem. Anna Roszak siedziała przy jej łóżku i trzymała córkę za rękę, a po jej twarzy płynęły ciurkiem łzy radości. Odwróciła się do Sabiny, stojącej u wezłowania łóżka.

- Dziękuję, pani doktor - powiedziała cicho.

- Nie mnie niech pani dziękuje. My, lekarze, niewiele mogliśmy zrobić. Basia musi mieć niezłe chody tam u góry - Sabina uśmiechnęła się i podniosła palec wskazujący w kierunku sufitu.

- Dlaczego oni tak tu zagląдают? - spytała kobieta, gdy w otwartych drzwiach sali pojawiła się i znikła głowa kolejnego lekarza.

- Teraz już właściwie mogę pani powiedzieć. Nikt z lekarzy nie dawał Basi najmniejszych szans na przeżycie. To miała być kwestia kilku godzin, może doby. Trudno im po prostu uwierzyć w to, co się tu wydarzyło, a przypadki niezrozumiałych dla medycyny ozdowień zdarzają się na świecie niezwykle rzadko.

- Więc to cud od Boga?

- Ujęłabym to trochę inaczej. Nauka wciąż daleka jest od poznania możliwości ludzkiego ciała i umysłu. Na pewno istnieje jakieś racjonalne wytłumaczenie, ale my lekarze go jeszcze nie znamy.

- Niech pani mówi to, co chce, pani doktor, ale ja myślę, że Pan Bóg po prostu się nad nami ulitował - powiedziała starsza kobieta z głęboką wiarą w głosie.

Odwróciła się do córki, która w tym momencie szepnęła coś cicho.

- Co mówisz, kochanie? - nachyliła się nad Basią.

- Gdzie jest Adaś? - wyszeptała dziewczyna.

- Cały czas ze mną był tu, serduszko. Wczoraj zabrali go chyba do wojska. Niedługo na pewno się zobaczycie.

Basia odetchnęła z ulgą i zamknęła oczy, a jej matka zdała sobie sprawę, że przecież chłopak wciąż żyje w przeświadczeniu o śmierci narzeczonej. Jak strasznie musi cierpieć! Postanowiła zadzwonić do jednostki natychmiast, gdy tylko wyjdzie ze szpitala. Na poczcie

powinni znać właściwy numer i na pewno go tam poinformują.

Na pewno.

## Rozdział 10

Wczesny poranek następnego dnia płynął leniwie jak zwykle, aż do chwili, gdy do gabinetu majora wbiegł wzburzony oficer polityczny.

- Kurwa, nie uwierzysz! Ten cały Gawlik uciekł! - wykrzyknął od drzwi.

- Jak to uciekł? - Czapski doskonale udawał zaskoczenie.

- Właściwie jeszcze nie wiadomo dokładnie jak. Konwojenci pieprzą coś bez ładu i składu. Że ktoś ich po drodze zatrzymał, że stracili przytomność, i jak się obudzili, to Gawlika już nie było.

- Jasna cholera! Wiedziałem, że to lepszy cwaniak, ale że aż taki dobry? - majora Czapskiego naprawdę zadziwiła skuteczność Iwanowa. - Ale daleko nie ucieknie, złapią go pewnie jeszcze dzisiaj. Obława już poszła?

- Poszła. Wiem, że go złapią, a wtedy ja go chyba zabiję. Na co ten idiota liczył? - kapitan zastanawiał się na głos. - Idę, może już coś wiadomo.

- Daj znać, jak już go złapiecie - powiedział major za odchodzącym kapitanem.

Niestety, do końca dnia nie ujęto zbiega, obława zakończyła się niepowodzeniem. Nikt nie mógł pojąć, jak Gawlikowi się udała ta sztuka, jednak panowało powszechne przekonanie, że ujęcie uciekiniera to tylko kwestia czasu. Może kilku dni, a najwyżej tygodnia, gdyby zbieg faktycznie okazał się wyjątkowo sprytny.

Kolejny dzień nie przyniósł nic nowego i parę minut przed piętnastą major Czapski zbierał się do domu.

- *Priwiet*, towarzyszu majorze! - zawołał wesoło Iwanow od drzwi. - Przychodzę się pożegnać. Stęskniła się za mną mateczka Rosija i czas wracać.

Major podszedł do drzwi, sprawdził, czy nikt za nimi nie stoi, po czym zamknął je, przekręcając klucz od wewnątrz.

- No i co? - spytał Rosjanina.

- Z czym? - Wołodia udawał, że nie rozumie.

- No z tym młodym! Wołodia, nie wygłupiaj się...

- Tadziu, ja twój *drug* serdeczny. Wybawiłem cię od kłopotu. Daj sobie spokój z tym młodym żołnierzem i nalej wódki. Jego nie ma, a strzemiennego wypić trzeba, jak to się u was mawia.

Tadeusz Czapski pokręcił tylko głową i otworzył barek. Na sam widok jego zawartości radzieckie serce Iwanowa rosło, jego twarz jaśniała radością niczym u dziecka, które dostało właśnie swoją wymarzoną zabawkę, a rosyjska dusza zaczynała śpiewać.

Major sięgnął po kieliszki. Tymczasem kapitan Błaszczyk wyczekiwał z niecierpliwością wiadomości o schwyтaniu zbiega. Jako odpowiedzialny za sprawę Gawlika czuł się wyjątkowo podle. Góra będzie się go czepiać: a czemu nie dopilnował, a kiedy uciekiniera złapią, jak mogło do tego dojść, i tak dalej. Ten durny pęтак napsuł mu mnóstwo krwi.

- Obywatelu kapitanie - oficer dyżurny stał na baczność. - Melduję, że wczoraj był telefon do tego Gawlika. Ktoś prosił, żeby mu przekazać, że ta jego narzeczona jednak żyje. Nie wiem, czy to ma jeszcze jakieś znaczenie.

- Jeszcze go nie złapali? - spytał surowo oficer polityczny.

- Jeszcze nie. Cały czas trwają poszukiwania.

- Jak już go złapiemy i się dowie, to może będzie mu się lżej siedziało - mruknął Błaszczyk pod nosem, bardziej do siebie, niż do żołnierza. - Możesz odejść. Meldować mi natychmiast, jak już go będziecie mieli.

Żołnierz zaszutował i wyszedł, a kapitan znów pogrzyżył się w rozmyślaniach.



## Rozdział 11

W czwartkowe popołudnie profesor Kwiatkowski jak zwykle wracał do domu trochę później. W Szkole Podstawowej nr 4 ostatnia lekcja języka polskiego kończyła się o piętnastej. Właściwie lubił te spacerować ze szkoły do domu. Ten niecały kilometr marszu pozwalał mu wyciszyć się i odpocząć od zgiełku panującego na szkolnych korytarzach.

Tego dnia postanowił pójść na skróty, przez targowisko przy ulicy Broni Panczernej, w takie dni i o tej porze zupełnie opustoszałe. Miał trochę klasówek do sprawdzenia i chciał jak najszybciej się za nie zabrać. Obiecał przecież klasie 8b, że poprawi je na następną lekcję i nie zamierzał sprawić uczniom zawodu, ku autentycznej rozpaczy niejednego z zainteresowanych. W połowie drogi przez targowisko dostrzegł grupkę młodych ludzi, stojących przy jednym z betonowych stołów, na których w dni targowe handlarze rozkładali swoje towary. Puszczona w kółko butelka wina zaprzętała całą ich uwagę. Profesor postanowił zignorować tych ludzi, popijających w miejscu publicznym. Byli dorośli i nie wyglądali na takich, których warto byłoby nawracać na właściwą drogę. Żaden z nich nigdy nie był jego uczniem - miał doskonałą pamięć do twarzy - więc nie zamierzał poświęcać im swojego dzisiaj szczególnie cennego czasu. Niestety, plan spalił na panewce. Jeden z młodzieńców, najwyraźniej szef grupy, opuścił towarzystwo i szybkim krokiem podszedł do profesora. Zbliżył się do Kwiatkowskiego i zrównał się z nim, idąc obok.

- Dzień dobry, panie profesorze - ukłonił się przepisowo.

Nauczyciel zatrzymał się i spojrzał na intruza. Ten skinął mu ponownie głową i wyrzucił z siebie swoje „dzień dobry”, czekając na reakcję Kwiatkowskiego. Wyglądał na około trzydzieści lat, a zniszczona alkoholem twarz postarzała go mocno, lecz, ku zaskoczeniu polonisty, nie wyglądał na pełnego degenerata.

- Czy my się znamy? - spytał nauczyciel głosem, od którego uczniowie kulili się w ławkach.

- W pewnym sensie tak - odparł zapytany, z zakłopotaniem przestępując z nogi na nogę. - Pan może mnie nie pamiętać, ale ja jestem tym, któremu parę lat temu pan na osiedlu spuścił wpier..., to znaczy zbił, bo z kolesiami zaczepialiśmy jedną panią na przystanku. Nazywam się Krzysztof Rzeszewski.

Majecha skłonił się i wyciągnął rękę do profesora Kwiatkowskiego, na znak, że

pragnie przypieczętować autoprezentację uściskiem dłoni. Nauczyciel ani drgnął, przyglądając mu się badawczo. Przypomniał sobie tamten październikowy wieczór 1978 roku. W każdej chwili gotów był odrzucić teczkę z klasówkami, żeby pomóc bandziorowi odnowić znajomość z jego pięścią i kopniakami.

- Czego chcesz?

Ton głosu nauczyciela nie zmienił się ani na jotę, choć może stał się jeszcze bardziej lodowaty. Majecha jakby tego nie zauważał. Cofnął tylko wyciągniętą rękę.

- Bo ja, panie psorze, chciałbym panu podziękować - wyrzucił z siebie z wyraźną trudnością. - Bo ja potrafię docenić... i szanuję pana, chociaż zebrałem jak koza za obierki, ale nie od byle kogo.

Nauczyciel był szczerze zdumiony tymi wyznaniem, lecz nie dawał tego po sobie poznać. Słuchał uważnie wywodów stojącego przed nim człowieka, które stawały się coraz bardziej dziwaczne, choć ich autor na pijanego jeszcze nie wyglądał.

- I jeszcze ja wtedy zrozumiałem, że w życiu trzeba do czegoś dojść. Coś osiągnąć. Bo wie pan, ja nawet zacząłem się uczyć. Nie w szkole wieczorowej, czy jakoś tam. Ja do szkoły się nie nadaję. Nie mam cierpliwości. Ale zapisałem się do biblioteki i tam taka miła pani dała mi książki, na przykład o literaturze...

- Po co ty to wszystko mówisz, człowieku? Co mnie to obchodzi?

Dało się zauważyć, że profesor delikatnie złagodził brzmienie swojego głosu.

- Bo wie pan, sam to niewiele zdziałam, i potrzebuję kogoś mądrego do konsultacji. Ja przeczytałem już parę książek i chciałbym, żeby mi ktoś powiedział, czy dobrze zrozumiałem. Znaczący, żeby pan mi powiedział, bo pan podobno jest najlepszym nauczycielem od polskiego w Żarach.

- Synku, weź ty się zapisz do jakiejś szkoły, właśnie wieczorowej albo zaocznej, i przestań się wydurniać. Jak się chcesz uczyć, to chwała ci za to, ale ja nie mam czasu na głupoty.

Kwiatkowski ruszył przed siebie, uznawszy rozmowę za zakończoną. Zrezygnowany Majecha rozłożył tylko ręce w geście smutku i bezradności. Nie poszedł za nauczycielem, nie chcąc mu się za bardzo narzucać. W desperacji krzyknął za odchodzącym:

- Czytałem „Kolumbów”, a pan tam był!

Polonista zatrzymał się, a potem odwrócił się powoli, jakby w zamyśleniu, i spojrzął na Majechę. Ten stał wyczekująco, z miną dość głupawą. Nauczyciel rzucił okiem na jego koleśki, którzy w ogóle nie zwracali uwagi na to, co działo się nieopodal. Butelka z tanim winem była daleko bardziej interesująca, niż rozmowa z jakimś belfrem.

- Ja wiem, kto to byli cichociemni - odezwał się bandzior po dłuższej chwili.

Czuł, że wreszcie zainteresował profesora swoim problemem.

- Co jeszcze czytałeś? - spytał oschle nauczyciel.

- „Potop” czytałem i Miłosza próbowałem, ale to dla mnie za trudne. I „Lalkę” Prusa też czytałem...

- Chcesz się uczyć, mówisz? Dobra. Umówmy się, powiedzmy, na pojutrze. Napisziesz mi dwa wypracowania. Pierwsze na temat: „Obraz społeczeństwa polskiego w „Lalce”, a drugie to „Przemiana głównego bohatera w „Potopie”.

- Zaraz, zaraz... Jak pan powiedział? - Majecha sprawiał wrażenie człowieka, który właśnie się zorientował, że nie ma przy sobie portfela, i obmacawszy kurtkę na piersiach, gorączkowo rozglądał się na wszystkie strony. - Nie mam żadnego kapownika, więc jakby mi pan mógł napisać na jakimś świstku, bo inaczej nie zapamiętam.

Profesor uśmiechnął się protekcyjnie, rozbrojony nieporadnością człowieka, który, jak osiedlowa wieść niosła, był, a może ciągle jest postrachem okolicy i dobrym znajomym miejscowych funkcjonariuszy Milicji Obywatelskiej. Wyciągnął kartkę papieru, napisał podane wcześniej zagadnienia i wręczył ją opryszkowi bez słowa. Majecha złożył kartkę w kostkę i schował ją do wewnętrznej kieszeni kurtki.

- Dziękuję, panie profesorze - skłonił się przykładowo. - Napiszę na pewno. Na mur-beton będzie pan miał te wypracowania pojutrze. A gdzie je panu dostarczyć?

- Do szkoły. Mam lekcje od ósmej do pierwszej.

Profesor Kwiatkowski uznał, że w ten sposób wystarczająco skutecznie zgasił zapal naukowy rzezimieszka i bez słowa poszedł w swoją stronę.

- Do widzenia, panie profesorze! - krzyknął jeszcze za nim Majecha.

Nauczyciel swoim zwyczajem zignorował jego pożegnanie, a tymczasem oprych dołączył do swoich kompanów.

- Ty, Majecha! Trzeba by jakieś winiuchę skrócić albo wódeczkę, bo tu już flaszka pusta - stwierdził rzeczowo Kapsel. - Weź coś załatw.

- Sam se załatw. Nie mam dzisiaj czasu. Muszę iść do biblioteki.

- O kurwa! Gdzie musisz iść? - Kapsel roześmiał się serdecznie. - Ty, kurwa, a może do teatru pójdziesz? - rechotał menel ku uciesze reszty towarzystwa.

- Nie wkruwiaj mnie, Kapsel, bo jak ci przypierdolę, to ci szczena do mózgu wlezie - powiedział Majecha groźnie.

- Wyluzuj, gościu. Przecież żartowałem. Czasem trzeba się pośmiać, nie?

Kapsel uderzył w pojednawczy ton, a pozostałym też raczej przeszła ochota do

śmiechu, bo doskonale wiedzieli, że Majecha wali w mordę bez uprzedzenia, jak się mocno zdenerwuje.

- Co ci ten profesorek nagadał? Po chuj chcesz do biblioteki ganiać? - nie mógł się nadziwić Gustaw.

Opryszek zdobył swoją ksywkę jako posiadacz niezwykle dużych rozmiarów nosa, do złudzenia przypominającego organ, którym obdarzony był bohater popularnej węgierskiej kreskówki.

- Ty się, Gustaw, nie interesuj. Za głupi jesteś - Majecha wymownie pacnął zainteresowanego w czoło, by nadać swoim słowom większą wagę. - Ja spadam, a wy se tutaj chlejcie.

Ruszył pośpiesznie w stronę Wrocławskiej, gdzie mieściła się Miejska Biblioteka Publiczna. Było już późno, a chciał zdążyć przed zamknięciem. Liczył, że bibliotekarka pomoże mu wywiązać się z zadania, jakim obarczył go profesor Kwiatkowski.

Młoda pracownica biblioteki jak zwykle zatopiona była w lekturze, ale słysząc skrzypienie drzwi wejściowych, podniosła wzrok znad książki i uśmiechnęła się zyczliwie.

- Dzień dobry pani - przywitał się grzecznie Rzeszewski.

Bibliotekarka była dumna z tego, że to jej właśnie udało się sprawić, by ten człowiek, najprawdopodobniej z samego społecznego dna, był od niedawna stałym bywalcem biblioteki. W swojej naiwności biedaczka nie miała pojęcia, że jej zasługa na tym polu była właściwie niewielka.

- Dzień dobry. Już pan przeczytał „Kolumbów”? Szybko!

Bożena Hoszman, całkiem atrakcyjna dwudziestopięciolatka, spojrzała na Majechę z uznaniem. Zaraz po studiach w Wyższej Szkole Pedagogicznej w Zielonej Górze zabrała się do pracy, znajdując zatrudnienie na etacie w żarskiej Szkole Podstawowej nr 4. Jednak już pierwsze miesiące uświadomiły dziewczynie, że jej szczere i serdeczne podejście do uczniów, szczególnie tych ze starszych klas, wywołuje efekt zgoła odmienny od zamierzonego. Niejeden raz musiała doświadczać ich ordynarnego zachowania, aż wreszcie dyrekcja, w przypływie dbałości o zdrowie emocjonalne pani magister, i ze zwykłej, ludzkiej litości, załatwiła jej pracę w bibliotece, gdzie w całkowitym spokoju wreszcie mogła się realizować. Posunięcie to wyszło młodej kobiecie zdecydowanie na dobre. Od tego czasu czekała na swojego księcia z bajki, który pewnego dnia przyjedzie na białym koniu, zakocha się w niej od pierwszego wejrzenia i zabierze ją do swojego pałacu, daleko stąd.

Bożena wyciągnęła szufladę z fiskalami, by odnotować zwrot książki.

- No właśnie. Przeczytałem i chciałbym coś innego.

- Zaraz coś ciekawego panu znajdziemy - powiedziała dziewczyna, nie patrząc na Majechę.

Zapisywała skrzątnie na jego karcie sobie tylko znane symbole i numerki ewidencyjne.

- Ale ja to bym miał do pani prośbę, jeśli można - zagadnął Majecha.

Bożena Hoszman spojrziała na niego pytająco.

- W czym mogę panu pomóc?

- Oj, może pani, może! Bo wie pani, ja to bym chciał się dalej uczyć. Wiem, że to już nie te lata. Niedługo mi trzydziestka stuknie, ale podobno na naukę nigdy nie jest za późno. I wie pani, jeden nauczyciel z „czwórki” powiedział, że mi pomoże, jak napiszę na pojutrze dwa wypracowania...

- A który nauczyciel?

- Profesor Kwiatkowski się nazywa. Zna go pani?

- Oczywiście. Sama przez jakiś czas pracowałam w „czwórce”. Doskonały polonista. Nie mógł pan chyba lepiej trafić. Sama jestem polonistką i bardzo chętnie panu pomogę.

Mimo swoich niedawnych, raczej niefortunnych doświadczeń pedagogicznych, Bożena wciąż jeszcze uważała, że jako nauczycielka ma do spełnienia misję: nieść kaganek oświaty tam, gdzie jego światło dawno już zgasło lub nigdy nie zapłonęło. W tym mężczyźnie widziała swoją szansę przysłużenia się społeczeństwu poprzez sprowadzenie go na właściwą drogę, służąc mu pedagogiczną radą i motywując do nauki.

- Bo, wie pani, ja tu mam kartkę z tematami - podał jej wygnieciony papier. - Sam to nie wiem, jak je ugryźć, ale pani taka inteligentna osoba, więc na pewno by dała radę. Jak nie oddam wypracowań pojutrze, to pan Kwiatkowski mnie pogoni i moje plany, żeby na przykład zrobić maturę, szlag trafi.

- To może napiszemy te wypracowania razem? - zaproponowała.

- Bardzo dobry pomysł. Byłbym pani bardzo wdzięczny! - uradował się Majecha.

- Może w takim razie przyjdzie pan jutro przed południem, kiedy ruch w bibliotece jest jeszcze niewielki? Chyba, że pan pracuje na pierwszą zmianę?

- Pracuję, a jakże - skłamał. Majecha był jednym z klasycznych „niebieskich ptaków”, których stała praca się nie miała. Jednak w odróżnieniu od wszelkiego rodzaju cinkciarzy i innego rodzaju cwaniaczków, gotówkę zdobywał poprzez działalność czysto kryminalną i dzięki Robertowi Kracikowi, który był jego paserem, sprzedając towary z włamów. - Ale jutro mam drugą zmianę, więc mogę się tu pojawić, kiedy tylko pani sobie życzy.

- No to proszę przyjść o, powiedzmy, dziesiątej. Może pan? Do tego czasu przemyśle

tematy i od razu zabierzemy się za pisanie.

- Bardzo się cieszę. Będę punktualnie. Do widzenia pani i... bardzo dziękuję.

Majecha skłonił się grzecznie i wyszedł na ulicę. Wszystko zaczynało się układać po jego myśli. Jeszcze tylko musiał wpaść do Kracika, który obiecał mu załatwić tym razem bardzo nietypowy towar. Oprych szedł z rękami w kieszeniach, pogwizdując zawadiacko. Już on pokaże temu belfrowi i wszystkim innym, kto to jest Krzysztof Rzeszewski. Życie czasem jest pełne niespodzianek.

\*

Robert wręczył mu maleńki pojemniczek, starannie zawinięty w folię.

- Coś ty mi, kurwa, przyniósł?! Co ja mam z tym zrobić? To nie wystarczy, żeby zabić komara, a co dopiero moje szczury! - wykrzyknął oburzony Majecha.

Patrzył z niesmakiem na fiolkę po tabletkach, na dnie której przesypywała się odrobina krystalicznego proszku.

- Twoja ciemnota, Majecha, czasami mnie poraża. To jest mieszanka najsilniejszej naturalnej trucizny stosowanej w broni biologicznej i trucizny chemicznej. Jeden gram zabija kilkudziesięciu ludzi, o ile dobrze pamiętam. Jakbyś to z czymś rozrobił, to mógłbyś wytruć szczury w całym mieście, nie tylko w swojej chałupie - odpowiedział z politowaniem Robert.

- Chciałeś coś supermodnego, to masz. Tylko pamiętaj, ostrożnie - załóż jakieś gumowe rękawice albo co, bo jak się zatrujesz, to będziesz nie do uratowania. Maksymalnie cztery godziny, i do bozi.

- Takie to dobre? - rozpromienił się Majecha. - Takie gówienko, a niby skuteczne. Skądżeś to wytrzasnął?

- Mam swoje dojścia. No, to jesteśmy kwita za ostatnią dostawę.

- Ale jak nie zadziała...

- Zadziała dużo bardziej, niż ci się wydaje. Módl się, żebyś sam z tego z życiem uszedł.

- No dobra. To żegnajcie, szczury. Tylko, Robcio - wiadomo, że morda w kubel. Jakby się mendi dowiedziały...

- Daj spokój. Ja też ryzykuję, załatwiając ci coś takiego. Nic nie wiem, nie widziałem, a jak będziesz się z tym źle obchodził, to ciebie też będę miał z głowy.

- Dobra, dobra. Niedługo ci opowiem, jak ten proszeczek smakował moim szczurom. No, to na razie.

\*

Punktualnie o 10. rano Majecha pojawił się w bibliotece, skłonił się bibliotekarce i

podszedł do jej biurka. Bożena Hoszman przywitała go życzliwym uśmiechem.

- Dzień dobry pani. Jestem, zgodnie z umową.

- Witam, panie Rzeszewski. Usiądźmy tam, przy stoliku - powiedziała, wskazując niewielką czytelnię na lewo od biurka.

Na jednym ze stolików, przy którym stały już dostawione wcześniej krzesła, leżał czysty papier kancelaryjny w kratkę i długopis. Uczeń szarmancko odsunął polonistce krzesło z prawej, by mogła wygodnie usiąść, następnie sam zajął miejsce obok.

- Proponuję zacząć od „Potopu”. Temat jest łatwiejszy, i myślę, że wdzięczniejszy. Jak się pan rozkręci, to z „Lalką” pójdzie nam łatwiej - mówiąc to, ostentacyjnie wręczyła mu długopis.

- A może by tak pani pisała, a razem byśmy myśleli? - zaproponował niepewnie, krzywiąc się w uśmiechu.

- Panie Krzyśku, w ten sposób to by się pan niczego nie nauczył. Proszę mówić głośno, co by pan napisał, a ja to skoryguję i jakoś sobie poradzimy.

- Skoro pani tak mówi... - stwierdził z rezygnacją i posłusznie wziął długopis do ręki.

Liczył na to, że odsiedzi tu swoje, a dziewczyna sprawnie, bez zbędnego wysiłku stworzy mu prace zlecone przez Kwiatkowskiego. Cała sprawa wyglądała na trochę trudniejszą, niż myślał, ale nie zamierzał się poddawać.

Cóż, trzeba trochę pogłównkować i będzie dobrze. Była przynajmniej gwarancja, że jego wypracowania zrobią na poloniście wrażenie.

- Każde wypracowanie musi mieć wstęp, rozwinięcie i zakończenie. Co by pan napisał we wstępie?

- No... to może coś o Sienkiewiczu... - bąknął i spojrzał na polonistkę w oczekiwaniu na jej reakcję.

- Bardzo dobrze, panie Krzyśku! - szczerze się ucieszyła, widząc, że mężczyzna zaczyna łapać, o co chodzi.

- Czyli co by pan proponował?

Majecha zmarszczył brwi. Wysiłał umysł, wydając z siebie „inteligentne” pomruki.

- No... że Sienkiewicz wielkim pisarzem był, i cała Polska jest z niego dumna...

Zawiesił głos z nadzieją, że dziewczyna wybawi go z opresji. Nie mylił się.

- No, na przykład. Ujmijmy to teraz ładnie w wypowiedź pisemną. Powiedzmy: „Henryk Sienkiewicz, jeden z czołowych prozaików w historii polskiej literatury, jest autorem powieści...

Rzeszewskiemu oczy zaczęły błyszczeć z radości. Skrzątnie zapisywał słowa powoli

wypowiadane przez bibliotekarkę. Wiedział już, że wypracowania będą na medal. Wystarczyło od czasu do czasu coś tam bełkotać w miarę na temat, a dziewczyna robiła, co do niej należało. Bożena Hoszman rozkręciła się na dobre i najwyraźniej wpadła w jego sidła. Dziewczyna dyktowała kolejne zdania, a Majecha zapisywał je pracowicie. Nie minęły trzy godziny, a wypracowania były gotowe.

- Nie wiem, jak się mam pani odwdzięczyć, pani Bożeno.

Przyłożył z namaszczeniami długopis przy końcu ostatniej linijki i postawił gustowną kropkę, a potem przez moment przyglądał się swojemu dziełu.

- Za całą wdzięczność wystarczy mi pana chęć do nauki, panie Krzyśku. Mam nadzieję, że zdobędzie pan wykształcenie, a ja będę miała w tym swój skromny udział. A gdyby jeszcze pan potrzebował jakiejś pomocy, proszę się nie krępować i przyjść.

Majecha wstał, pocałował ją na pożegnanie w rękę i zebrał papiery ze stolika.

- Do widzenia pani. Jeszcze raz bardzo dziękuję.

- Do widzenia i życzę powodzenia.

Rzeszewski wyszedł, a dziewczyna wróciła do swoich obowiązków. „Coś dzisiaj pusto”, pomyślała. „Ruch zacznie się pewnie gdzieś koło drugiej”. Do tego czasu zdąży porobić trochę zaległych porządków w katalogach.

\*

Między lekcjami przestronne korytarze szkolnego budynku, który w odległej przeszłości musiał być siedzibą jakiegoś niemieckiego urzędu, świeciły pustkami. W zderzeniu z ogłuszającym hałasem, wszechobecnym w czasie przerw, cisza panująca tu wydawała się aż kłuć w uszy. Majecha ucieszył się, bo wcale mu nie zależało, by ktoś go widział. Wbiegł na pierwsze piętro i odszukał klasę Juliusza Kwiatkowskiego, a potem zapukał i dyskretnie zajrzał do środka. Uczniowie widzieli tylko uchylone drzwi, ale nauczyciel natychmiast dostrzegł twarz tego dziwnego osobnika, którego dwa dni temu spotkał na targowisku. Niesmak na jego profesorskiej twarzy spowodowany przerwaniem wykładu, ustąpił ciekawości. Zupełnie nie spodziewał się odwiedzin tego człowieka. Podszedł do uchylonych drzwi i wyszedł na korytarz.

- Dzień dobry panu. Przyniosłem te wypracowania, co mi pan zadał.

Majecha wręczył poloniście plik kartek, uśmiechając się służalczo.

- Przyznam, że mnie zaskoczyłeś. Do jutra będą poprawione. Przyjdź do szkoły o trzeciej. Wtedy kończę, to porozmawiamy - powiedział nauczyciel oschle i odwrócił się, by wrócić na lekcję.

- Ale proszę pana, jeśli wolno, to ja bym wolał nie spotykać się w szkole. Wie pan,



reputacja... Jak mnie ktoś tu zobaczy, to będą zaraz gadać... Może bym wpadł do pana do domu, jutro po południu?

Kwiatkowski przyglądał się mu badawczo przez chwilę, nie bardzo rozumiejąc, o jakąż to reputację może mu chodzić. Szybko jednak zdał sobie sprawę, że temu człowiekowi zależało na opinii swojego środowiska, choć ewidentnie był to społeczny margines. Nie chciał mu jednak utrudniać życia - w końcu jego niezwykle uczeń naprawdę się postarał.

- Dobrze. Przyjdź do mnie o osiemnastej. Wiesz, gdzie mieszkam?

- Oczywiście, proszę pana. Będę punktualnie.

Nauczyciel odwrócił się bezceremonialnie i, nie reagując na pożegnanie Majechy, bez słowa wszedł do klasy. Głośny trzask drzwi natychmiast uspokoił uczniów, którzy dokazywali już na całego.

\*

Dzwonek do drzwi oderwał Kwiatkowskiego od wierszy Miłosza. Podniósł wzrok znad książki i spojrzał na zegarek. Była za minutę szósta. „Punktualny jak ekspres Berlin-Warszawa”, zacytował w myślach kwestię ze „Stawki większej niż życie”. Skądinąd darzył ten naiwny serial pewnym sentymentem.

Zaczynał mu się podobać ten dziwny człowiek, którego nagle opanowała nieodparta chęć zdobywania wiedzy. Nie śpiesząc się, wstał z wygodnego fotela i poszedł otworzyć. Majecha uklonił się po swojemu, wysuwając ku gospodarzowi twarz z przyklepionym do niej uśmiechem.

- Dzień dobry, panie profesorze. Przyszedłem, tak jak pan kazał.

Kwiatkowski nie odpowiedział, tylko otworzył szerzej drzwi, na znak, że mężczyzna może wejść. Bandzior rozglądał się ciekawie. Bardzo go interesowało, jak mieszka ten z całą pewnością niezwykle nauczyciel. Polonista wskazał mu sofę naprzeciwko siebie. Sam usiadł wygodnie w fotelu, na tle półek sięgających niemal samego sufitu. Regały ugięły się pod ciężarem takiej ilości książek, jakiej Rzeszewski nie widział w żadnym prywatnym domu. Na gustownej ławie między nimi stały prawdziwe, porcelanowe filiżanki. Nauczyciel podniósł imbryk i bez słowa nalał gościowi i sobie gorącej herbaty. Odchylił się na oparcie fotela i przez chwilę taksował gościa. Ten poczuł się lekko zaniepokojony. Nerwowo wyciągnął rękę, jakby chciał sięgnąć po filiżankę, lecz zaraz ją cofnął, sprawiając wrażenie człowieka, który nagle się rozmyślił.

- Kto ci to pisał? - pytanie padło jak grom z jasnego nieba.

- Proszę? - zapytał Majecha z miną człowieka, który nie rozumie pytania.

- Pytam, kto ci pisał te wypracowania.

Krzysztof Rzeszewski był może niewykształcony, ale na pewno nie głupi. Doskonale zdawał sobie sprawę, że jakiegokolwiek próby wciskania temu człowiekowi ciemnoty przyniosłyby skutek odwrotny od zamierzonego.

- Ja pisałem, ale ta pani z biblioteki na Wrocławskiej mówiła mi co pisać - przyznał się uczciwie.

Nauczyciel potrafił to docenić.

- Pomogę ci. Czeka cię bardzo dużo pracy, ale postaram się, byś z językiem polskim nie miał problemów, jeśli pójdziesz już do jakiejś szkoły wieczorowej. Bez tego matury nie zrobisz.

Majecha rozpromienił się i zatarł dłonie, wyraźnie zadowolony. Zza pazuchy wyłoniła się spora butelka wina, którą postawił na ławie przed polonistą, etykietką do przodu. Ten dziwny człowiek nie przestawał zadziwiać Kwiatkowskiego. Przed nauczycielem stała butelka najprawdziwszego, francuskiego Bordeaux.

- Trzeba to uczcić, panie profesorze. Słyszałem, że lubi pan dobre wino. Ma pan jakieś szkło?

Kwiatkowski pokręcił z niedowierzaniem głową, jeszcze raz popatrzył na butelkę, następnie na swojego gościa, i w końcu bez słowa wyszedł do kuchni po kieliszki. Majecha błyskawicznie wydobyl fiolkę z białym proszkiem i szybkim ruchem wsypał ponad połowę jej zawartości do filiżanki nauczyciela, a następnie zamieszał swoją łyżeczką. Polonista wrócił z kieliszkami w dłoni.

- Dopijmy herbatkę, żeby nam nie psuła smaku - zasugerował Rzeszewski.

Podniósł swoją filiżankę, jakby chciał wznieść toast, i wychylił zawartość. Profesor poszedł w jego ślady i skrzywił się. Herbata smakowała jakoś dziwnie - może woda w kranie była przechlorowana?

- Na początek dam ci listę lektur do czytania. Masz tu kartkę. Będziesz notował.

Przez kolejny kwadrans Juliusz Kwiatkowski dyktował mężczyźnie tytuły książek, gdy nagle ogarnęła go obezwładniająca słabość. Widząc jak przez mgłę, poczuł szybko postępujący paraliż mięśni. Chciał coś powiedzieć, ale nie mógł, gdyż słowa ugrzęzły mu w gardle. Dostrzegł zamazany obraz swojego gościa, który powoli wstał z kanapy, przyglądając mu się z uwagą.

- Teraz zdechniesz, skurwysynu - powiedział Majecha z wyraźną satysfakcją. - Kiedyś ośmieliłeś się podnieść na mnie rękę. Przez te wszystkie lata byłem cierpliwy i wreszcie cię dorwałem, gnoju.

Miękkim obrusem bandyta dokładnie wytarł filiżankę i łyżeczkę, a potem schował za

pazuchę wciąż zamkniętą butelkę wina. Podszedł do swojej ofiary i przyłożył ucho do ust polonisty. Nie wyczuł oddechu. Juliusz Kwiatkowski nie żył. „Robert załatwił faktycznie dobry towar”, pomyślał. Zanim wyszedł z mieszkania, rozejrzał się uważnie na klatce schodowej, nie chcąc nikomu rzucić się w oczy. Po chwili zbiegł szybko po schodach, starając się robić jak najmniej hałasu, i poszedł do miasta.

Gdy wszedł do biblioteki, okazało się, że ma szczęście - Bożena Hoszman jeszcze nie wyszła. Zajęta przekładaniem i porządkowaniem woluminów, nie zdawała sobie sprawy z upływającego czasu.

- Dzień dobry, pani Bożeno, a właściwie dobry wieczór! Jeszcze pani pracuje? - przywitał się entuzjastycznie od samych drzwi.

- Aa, dobry wieczór, panie Krzyśku. Robię małe porządki w katalogach. No i jak tam te wypracowania?

- Przyszedłem do pani, bo właśnie wracam od pana Kwiatkowskiego. Obiecał, że mi pomoże w nauce. To właściwie pani zasługa i przyszedłem podziękować.

Wyciągnął butelkę Bordeaux i zabrane z mieszkania profesora kieliszki. Dziewczyna była szczerze zaskoczona.

- Nie odmówi mi pani. Wypije pani ze mną kieliszeczek dobrego winka...

- No nie wiem... - wahała się.

- Jest okazja. Bardzo proszę - Majecha otworzył butelkę i rozlał wino. - Ma pani może jakąś łyżeczkę?

- Łyżeczkę? - spytała zaskoczona.

- Tak, proszę dać mi łyżeczkę do herbaty, a coś pani pokażę - odpowiedział tajemniczo.

Bożena Hoszman zniknęła na zapleczu. To wystarczyło bandycie, by wsypał resztę proszku z fiolki do jej kieliszka. Wkrótce kobieta pojawiła się z powrotem.

- Proszę. Taka będzie dobra?

- Tak, bardzo dobra - potwierdził i starannie zamieszał w jej kieliszku, po czym podał go dziewczynie.

- Musi pani wypić do dna, bo inaczej słabo mi pójdzie w nauce.

Na twarzy dziewczyny pojawił się delikatny uśmiech. Wypiła wszystko. Istotnie, wino było znakomite. Majecha wypił swoje z ulgą i bez słowa nalał następną kolejkę.

- Chyba nie chce mnie pan upić?

- Niech się pani nie obawia. Nie upije się pani.

Popijał swoje wino powoli i przyglądał się jej z zainteresowaniem. Była młoda i

mogła jeszcze długożyć, ale miała pecha. Powinna była studiować coś innego. W sumie nic do niej nie miał, tylko po prostu w niewłaściwym czasie znalazła się w niewłaściwym miejscu. Majecha nie mógł zostawić przy życiu kogoś, kto mógł naprowadzić milicję na jego ślad.

- Jakoś dziwnie pan na mnie patrzy, panie Krzyśku... Coś się stało?

Nie odpowiedział. Czekał. Trucizna zaczęła działać. Objawy były identyczne jak u Kwiatkowskiego, tyle że wystąpiły szybciej. Bożena upuściła z bezwładnej dłoni kieliszek i opadła na oparcie krzesła. Paraliż mięśni był całkowity. Zanim umarła, patrzyła na niego przez chwilę, a jej przerażenie i zaskoczenie było aż nadto widoczne. Majecha odczekał jeszcze chwilę, smakując Bordeaux. Gdy upewnił się, że bibliotekarka nie żyje, staranie zebrał wszystkie dowody przestępstwa.

- No, to problem z głowy - mruknął do siebie.

Delikatnie zamknął za sobą drzwi, jakby nie chciał obudzić śpiącej na krześle dziewczyny. Na zewnątrz było już ciemno i zrobiło się chłodnawo. Oprych postawił kołnierz kurtki i ruszył w stronę deptaka.

## Rozdział 12

- Władimir, kurwa, co ty wyprawiasz?! - wykrzykiwał pułkownik Gienadij Winogradow, komendant rizańskiej szkoły radzieckich sił specjalnych.

- Po cholere żeś tego Polaka tu ściągał?! Przecież zaczną się czepiać! W co ty mnie chcesz wpakować?!

- Giena, znasz mnie - odpowiedział spokojnie Iwanow. - Zawsze wiem, co robię. I teraz też. To będzie świetny nabytek. Ty wiesz jaki to gieroj? Pięciu żołnierzy z pasami sam jeden gołymi rękami rozniósł w puch. Ilu z naszych by tak potrafiło?

- Wołodia, ja wiem, że ty chciałeś dobrze - zaczynał uspokajać się Winogradow. - Ale co ja powiem wierchuszce, jak się dowiedzą, gdzie ten Polak jest?

- Ty się nie bój, Giena. Nikt się nie dowie. Dopilnowałem, by jego dokumenty wojskowe zaginęły. Człowiek był, i człowieka nie ma. W Afganistanie ten *maladiec* przyda się jak znalazł, trzeba go tylko trochę ułożyć i doszkolić.

Winogradow usiadł na biurku i zmarszczył brwi, przenikliwie wpatrując się w Iwanowa. Znał go od wielu lat i ogromnie cenił za umiejętności, wiedzę i wyczucie.

Coś mu podpowiadało, że i tym razem Wołodia ma rację, a jak dotąd nie mylił się nigdy. Iwanow dyplomatycznie nie przerywał ciszy. Czekał, co powie komendant, choć nie spodziewał się niczego innego, jak tylko aprobaty swoich niedawnych poczynań.

- No dobra. Co to za jeden? Gdzie on się tak wyuczył? - Winogradow udobruchał się wreszcie.

- Po drodze trochę z nim pogadałem. Zamknięty w sobie, swołocz, ale co nieco od niego wyciągnąłem. To przedziwna sprawa. Nie uwierzysz, ale szkolił go jakiś nauczyciel z miejscowej podstawówki. Nazywa się Kwiatkowski, czy jakoś tak. Najpierw myślałem, że robi ze mnie durnia, ale mówił zupełnie szczerze. Z drugiej strony, to właściwie po co miałby kłamać? Ciekawa sprawa, nie?

Pułkownik Winogradow nie odpowiedział. Wstał z biurka i usiadł powoli naprzeciwko Iwanowa. Przypatrywał mu się przez chwilę, jakby widział go pierwszy raz na oczy.

- Co jest, Giena? - zdziwił się Wołodia, widząc reakcję przyjaciela.

- Czy ten nauczyciel nazywał się może Juliusz Kwiatkowski?

- O, tak właśnie! Juliusz. A skąd ty, u diabła, wiesz?!

Komendant wstał i podszedł do dużego okna. Patrzył przez chwilę na ćwiczących nieopodal młodych rekrutów, a potem odwrócił się i oparł oburącz o parapet.

- Spotkaliśmy się kiedyś. W '68, w Wietnamie. Był u amerykańskich Zielonych Beretów, ale działał samodzielnie. Było kilku takich jak on. Wyspecjalizowani w eliminacji i nękanii wroga, a przede wszystkim rosyjskich doradców, czyli nas. Prędzej czy później wylapywaliśmy ich, i kulka w łeb. Tego nazywali „Duch”. Pojawiał się niewiadomo skąd, zabijał i znikał w dżungli. Ludzie byli przerażeni. Raz zrobiliśmy na niego obławę. Wytlukł cały pluton i w końcu dopadł mnie. Do dzisiaj nie wiem, dlaczego puścił mnie żywym. Powiedział tylko, że jeżeli nie wyjadę z Wietnamu, to on mnie znajdzie. Nie czekałem, bo na pewno dotrzymałby słowa. I tak wylądowałem w Riazaniu. Jeżeli ten twój Polak umie choćby połowę tego, co tamten, to mamy w jednostce tygrysa, którego trzeba albo oswoić, albo zastrzelić.

Winogradow był w błędzie, oceniając umiejętności Gawlika, bo uczeń zaczynał już przewyższać swojego mistrza. Iwanow wysłuchał opowieści przyjaciela nie bez satysfakcji - kolejny raz okazało się, że ma rękę do ludzi.

- Gdzie go kazałeś zakwaterować? - spytał Winogradow.

- Na kompanii B. U najlepszych.

- O, kurwa! Przecież zaraz będzie jatka! Tamtym wiele nie trzeba. Zaraz będą chcieli nowemu chrzest urządzić! Wstawaj, idziemy!

Oficerowie wybiegli z gabinetu i popędzili na kompanię B.

\*

Adam rozglądał się po sali. Jedno ze stojących tu kilkunastu metalowych łóżek, starannie posłane i przykryte grubym wojskowym kocem, należało teraz do niego. W poobijanej, bodaj stuletniej szafce mógł trzymać swoje najniezbędniejsze przybory, ale przecież i tak niczego nie miał.

- Ty, Polak! - usłyszał zza pleców zaczepne wołanie.

- Melduj się, swołocz!

Gawlik obejrzał się przez ramię. Nie wiedział jeszcze, że ten o ponad pół głowy wyższy od niego komandos uważany był za niekwestionowanego, choć samozwańczego przywódcę na kompanii, a to z racji swojej nadludzkiej siły i doskonałego opanowania sztuk walki. Mało kto odważył się przeciwstawić Olegowi Kaługinowi, a ci, którzy okazali się tak lekkomyślni, natychmiast dostawali lekcję pokory, którą bez trudu zapamiętywali na całe życie. Widząc nowego, Kaługin od razu uznał, że należy pokazać mu, gdzie jest jego właściwe miejsce i kto tu rządzi, gdy w pobliżu nie ma oficerów.

- No co się gapisz, łamago?! Melduj się! Mam ci pomóc?! - Rosjanin podchodził powoli pewnym krokiem, rozcierając kostki zaciśniętej pięści.

Adam nie widział najmniejszego powodu, dla którego miałby temu człowiekowi oddawać honory. Nie czuł się żołnierzem armii radzieckiej, choć zdawał sobie sprawę, że takowym wkrótce może zostać, a i tamten nie wyglądał na starszego stopniem. Odwrócił się powoli, nie spuszczać komandosa z oczu. Przeprowadził krótką, niemal odruchową analizę sytuacji i napiął mięśnie, szykując się do walki. Błyskawiczne kopnięcie, które wyprowadził Kaługin, próbując zaskoczyć Adama, trafiło w próżnię. Gawlik odpowiedział błyskawicznym atakiem na mocno opartą o podłogę zakroczną nogę Rosjanina i przeciwnik z impetem runął na podłogę. Natychmiast zerwał się na równe nogi, lekko oszołomiony uderzeniem, lecz zanim zdążył rzucić się na zuchwałego Polaka, ktoś wrzasnął komendę „Baczność!”.

Żołnierze karnie ustawili się przy swoich łóżkach, wyprężeni jak struny. Oficerowie weszli do sali w ostatnim momencie, zapobiegając większej awanturze.

- Zbieraj się, Gawlik - rzucił Iwanow. - Przenosisz się.

Adam posłusznie podążył za pułkownikiem. Wychodząc, nie zaszczycił spojrzeniem Kaługina, który stał w pozycji zasadniczej i spopielał go wzrokiem.

\*

Kuchnia wywarła na młodym Polaku naprawdę przytłaczające wrażenie. Pomieszczenia były ogromne, z mnóstwem gigantycznych, parujących kotłów, w których gotowała się żołnierska strawa. Pięciu żołnierzy-kuchcików uwijało się jak w ukropie. Jeden z nich oderwał się na moment od pracy i szybkim krokiem podszedł do nowego.

- To ty jesteś ten gieroj, co się Kaługinowi postawił? - spytał Adama, wycierając mokre ręce w czarną od brudu ścierkę.

- Czepiał się mnie jeden, ale nie wiem, jak się nazywał - odpowiedział Adam zgodnie z prawdą.

- Jestem Misza. - Rosjanin wyciągnął do niego rękę.

- A ty?

- Adam - odpowiedział i uściśnął kuchcikowi dłoń.

- Ty Polak podobno jesteś, ale dobrze po naszymu gadasz.

- U nas od piątej klasy podstawówki rosyjskiego uczą. Jakoś zawsze dobrze mi z nim szło. To tobie mam pomagać?

- No - potwierdził Misza. - Znasz się na kucharzeniu? Bo ja za cholere. Gdyby nie jeden taki, to by nas chłopaki żywcem ugotowali.

- Dam radę. Różne rzeczy się w życiu robiło.

- To się przydasz - ucieszył się Rosjanin. - Właściwie dziwne, że cię tu rzucili. Mówią, że ostry jesteś. Powinieneś się szkolić z tamtymi.

- Ja tam nie wiem. Kazali do kuchni, to poszedłem. Robota jak każda inna. A ty czemu tu jesteś?

- A, przez głupotę - machnął ręką. - Założyłem się z chłopakami, że odstrzelę oficerowi czubek papierosa ze stu metrów.

- I co?

- No i wygrałem. Muszę tu teraz gnić, nie wiadomo jak długo.

- Ze stu metrów? No, no! - powiedział Adam z uznaniem. - Gdzieś się uczył?

- U nas w syberyjskiej tajdze jak nie umiesz strzelać, to marnie z tobą. Życie mnie nauczyło. A tu mają super karabiny, aż grzech z takiego nie korzystać. A teraz siedzę tutaj. Ale dosyć gadania, trzeba się brać za robotę. Chodź, pokażę ci co i jak.

Misza Nikołajew od razu przypadł Adamowi do gustu. Był szczerym, serdecznym człowiekiem, choć może trochę zbyt mikrym jak na komandosa. Cechowała go niezwykła pogoda ducha, niezależnie od sytuacji, w jakiej się znalazł. Ten „ussuryjski strielok”, jak o sobie często zwykł mawiać, cytując słowa z serialu „Czterej pancerni i pies”, którego w dzieciństwie był wielkim fanem, nawet zesłanie do kuchni znosił dzielnie i z humorem. Zakwaterowano ich w jednej sali, dzięki czemu Adam znalazł bratnią duszę w tym obcym, zimnym świecie.

Pierwszy dzień w Riazaniu szczęśliwie dobiegł końca, a kolejne upływały wypełnione kuchennym życiem. Przy wsparciu Nikołajewa Polak powoli zadamawiał się coraz bardziej i odnajdywał swoje miejsce w nowym dla niego środowisku. Z czasem przestał być nowym dziwadłem nie wiadomo skąd, prowokującym agresywne zachowania. Ludzie boją się nieznanego, a on po części był już swój. Wtopił się w wojskową społeczność, tym samym nieświadomie realizując pierwszy punkt planu, jaki stworzył dla niego pułkownik Iwanow.

\*

- Misza! - zawołał główny kucharz, gdy po kolejnej porannej harówce przymierzali się do przerwy na posiłek. - Dawaj, dawaj! Trzeba kotły z kartoflami przenieść. Biercie się! Później będziecie odpoczywać.

- Chodź, Adam. Jego lepiej słuchać - stwierdził Nikołajew, wstając z monstrualnych rozmiarów kotła, na którym obaj przysiedli na chwilę, by w spokoju coś przegryźć. - W końcu pojutrze koniec z kuchnią. Znowu będziemy żołnierzami.

Kara Nikołajewa dobiegała końca, a niesubordynacja mogła oznaczać przedłużenie zesłania na niewiadomo jak długo.



- My?

- A co? Przyjechałeś tu, żeby zostać szefem kuchni?

Obaj posłusznie, lecz bez zbytniego entuzjazmu ruszyli we wskazanym kierunku. Z kucharzem warto było dobrze żyć. Jak miał humor, to dawał coś dobrego do jedzenia, podczas gdy wszyscy inni musieli się zadowolić raczej podłym żarciem.

Pod koniec pracy Misza skinął na Polaka, by ten poszedł z nim w głąb kuchni. Stanęli przed niedbale skleconą drewnianą szafą, pełną szczotek, szmat i wszelkiego rodzaju sprzętów do sprzątania. Nikołajew pogrzebał chwilę w schowku i wy dobył na światło dzienne swój najcenniejszy skarb. Oczom zaskoczonego Adama ukazała się najprawdziwsza rosyjska bałałajka - rzecz w wojsku zakazana.

- Dzisiaj wieczorem imprezujemy - powiedział pogodnie, acz tajemniczo.

- Ożeż ty! Jakiś to zachomikował?

- Ma się trochę tutaj - Misza popukał się palcem w czoło.

- I ty umiesz na tym grać? - Pewnie, że umiem - obruszył się głupim pytaniem.

- A coś ty myślał, że po co to tu trzymam?

- Ja w życiu prawdziwej bałałajki nie widziałem. Tylko na filmach waszych, znaczy radzieckich. Fajna jest - Polak wyciągnął dłoń w kierunku instrumentu.

- O, nie, nie - zaproponował Misza i schował bałałajkę za siebie. - To cenny instrument. Skąd mam wiedzieć, że nie zepsujesz?

- Co się wygłupiasz! Nic jej nie zrobię. No pokażże!

- No dobra. Tylko uważaj, bo to delikatna rzecz - Misza ostrożnie podał mu instrument, trzymając go niemal nabożnie w obu dłoniach.

Już sam wygląd tego egzotycznego dla Adama instrumentu robił wielkie wrażenie. Bogato zdobione pudło rezonansowe zachwycało kolorystyką i stylem charakterystycznym dla rosyjskiej kultury. Adam przez dłuższą chwilę podziwiał bałałajkę.

- Potem trzeba będzie ją przemycić do sali, ale to właściwie nie problem. Chłopaki już coś wymyślili. No dobra, już wystarczy.

Rosjanin odebrał towarzyszeni cenny przedmiot i starannie ukrył go w szafce.

- Wracamy do roboty, bo jeszcze nas kto nakryje.

Nim skończyli pracę, instrument już znalazł się w sali. Jak się okazało wieczorem, Gawlik był jedyną niewtajemniczoną osobą. Całe towarzystwo już czekało na Nikołajewa.

- Misza! Dawaj, dawaj! - krzyčili jeden przez drugiego.

Misza, niczym rasowy artysta muzyk, podniósł rękę w geście pozdrowienia publiczności i zaczął grać. Młody Rosjanin wygrywał na bałałajce skoczne melodie,

doskonale znane reszcie towarzystwa. Wkrótce instrument zagłuszyło nieskładne wycie kilkunastu gardeł. Polak z zapalem przyłączył się do tego osobliwego chóru, w którym daremnie by szukać jakichkolwiek umiejętności wokalnych, lecz z całą pewnością nikomu ten fakt nie przeszkadzał. W chwili gdy kuriozalny program artystyczny nabierał rozpędu i co odważniejsi pokusili się nawet o tańce, czujka ustawiona na korytarzu podniosła alarm - nadchodził dyżurny, zaalarmowany dziwnymi odgłosami. Wystarczyły sekundy, by wszyscy rozbiegli się do swoich zajęć przed nieuchronnie zbliżającym się capstrzykiem, a instrument Miszy zniknął jak kamfora. Adam z pełnym podziwem obserwował działania kwiatu radzieckiej młodzieży. Gdy dyżurny zajrzał do sali, zastał jedynie grupę kadetów zajętych swoimi, jak najbardziej radzieckimi sprawami. Impreza dobiegła końca tak gwałtownie, jak się zaczęła. Adama i Miszę czekał kolejny, ostatni już dzień kuchennej rzeczywistości, po którym ich życie miało zmienić się diametralnie.

- Aleś wymiatał tą bałałajką. Dobry jesteś! - następnego dnia Gawlik był pełen uznania.

- Tam, skąd pochodzę nie ma telewizora. Mało kto miał radio. To jakoś te długie wieczory trzeba było spędzać, nie? Dziadek grał, ojciec grał, to i ja grałem.

- A skąd ty właściwie jesteś? Syberia jest wielka.

- Mieszkamy w północnej części Magadanu. Tam to jest dopiero przyroda. Ryby grabiami można łowić... - rozmarzył się Misza.

- O, cholera. To cię poniosło. Taki kawał świata. Toż to przecież pod Kamczatką!

- Armia, bracie, nie pyta, gdzie chcesz służyć. Poza tym sam chciałem do Riazania. Lepszej szkoły nie ma.

- Czyli w sumie nieźle trafiłem?

- Pewnie, że nieźle. Ciesz się, bo tutaj naprawdę służy elita - powiedział Misza z nieukrywaną dumą. - No dobra, zrobimy porządek jeszcze z tymi garami i idziemy jeść.

Zabrali się rażno do czyszczenia kotłów. Robota była ciężka, ale myśl o nadchodzącej przerwie i ostatnim dniu w kuchni dodawała im otuchy. Misza bardzo tęsknił za prawdziwym wojskowym szkoleniem, ale Adam trochę mniej.

- Sam nie mówiłeś, a ja nie chciałem pytać, ale mówią, żeś nieźle narozrabiał w tej polskiej jednostce - powiedział Misza, pałaszując pęto kiełbasy i grubą na kilka centymetrów kromkę chleba.

- A, czepiali się mnie nie wiadomo o co. Chcieli mi spuścić łomot, to się broniłem - odpowiedział Adam, wzruszając ramionami.

- Podobno było ich pięciu...

- Nie wiem, nie liczyłem. W każdym razie siedziałbym teraz w pierdlu albo w najlepszym wypadku w jednostce karnej, gdyby nie ten wasz pułkownik.

- Iwanow?

- No.

- Coś w tobie musi być, bo byle kogo by nie wyciągał.

- Mówił, że będę się tu uczył, że to bardzo dobra szkoła, i jak się postaram, to czeka mnie kariera wojskowa. Na razie to zdobywam kwalifikacje pomocnika kucharza.

- Jak Iwanow ci tak powiedział, to tak będzie - stwierdził stanowczo Rosjanin. - Widać ma w tym jakiś cel. Poza tym nie narzekaj, bo dzisiaj jesteś tu ostatni dzień. Z drugiej strony to skończy się nam dobre żarcie. Trochę szkoda - powiedział z autentycznym żalem. - A właściwie co na to twoja rodzina, że tu jesteś? Te listy, co pisałeś... To do nich?

- Mam tylko brata. Pijak, a bratowa nie lepsza. Szkoda tylko dzieci... Drugi to do nauczyciela. Zajął się mną swego czasu, i gdyby nie on, to nie wiem, jak bym skończył. Cholernie ostry, ale bardzo porządny gość.

- A rodzice?

- Ojciec zmarł, jak miałem osiem lat, a matka cztery lata później. Chcieli mnie zabrać do domu dziecka, ale Tadek, brat, nie pozwolił. Chociaż za to mu jestem wdzięczny.

- Job twoju mać, to ci życie dowaliło, stary.

- Taki los - odpowiedział i zamyślił się na moment.

- To co, pajedli i do roboty?

Adam wstał i spojrzał na towarzysza wyczekująco.

- Coś ty taki chętny? Spokojnie, robota nie ucieknie. Nie ma co się rwać, zdążymy. Siadaj, pokażę ci zdjęcia swoich - powiedział autorytatywnie Misza i wyciągnął z kieszeni cienki plik fotografii.

Przez kolejne pół godziny Polak wysłuchał szczegółowych opowieści na temat rodziny Nikołajewów. Każdy jej członek był, według Miszy, wspaniały i niepowtarzalny.

- To jest dziadek Alosza i babcia Larysa - chłopak podsunął Adamowi pierwszą fotografię, przedstawiającą parę krzepko wyglądających staruszków. - Oboje przeszli całą drogę od Stalingradu do Berlina. Dziadek był dwa razy ranny. A to jest tata - zdjęcie przedstawiało mężczyznę uderzająco podobnego do Miszy. - Tata jest stolarzem. Najlepszym w okolicy - powiedział z dumą. - To bardzo dobry fach. Chciał, żebym też się wyuczył, ale mnie ciągnęło do wojska. A tu masz mamę. Jest bardzo mądra i życzliwa ludziom, a wszyscy sąsiedzi przychodzą do niej po radę, na co czasem tata i dziadek są źli, bo to nie bardzo uchodzi, żeby baba w domu się wymądrzała. A tu jest Natasza, nasze oczko w głowie - Misza

wręczył mu ostatnią fotografię, na której uśmiechała się radośnie śliczna, może dwunastoletnia dziewczynka, w szkolnym mundurku i z wielką białą kokardą we włosach. - Z niej to pewnie będzie jakaś pani profesor, bo uczy się najlepiej w szkole. Wszyscy nauczyciele mówią, że ma ogromny talent do nauki. Ze mną było dużo gorzej.

Adam zazdrościł temu młodemu człowiekowi szczęśliwego życia, jakie jemu samemu nigdy nie było dane. Zgodna rodzina, spokojne dzieciństwo. Po prostu normalnie...

- No, to teraz możemy już iść. Rosjanin schował zdjęcia i wstał, dając sygnał do powrotu do pracy. Weszli do wielkiego pomieszczenia na końcu korytarza, w którym często czyścili ogromne kotły. Od razu dostrzegli Olega Kaługina, który leniwie przechadzał się od ściany do ściany. Było z nim jeszcze dwóch potężnych drabów. Adam nie miał wątpliwości na kogo czekali. Postrach rekrutów ścisnął pięści, strzelając z kostek. Jego kumple z założonymi na piersiach rękami stali kilka metrów w tyle, stanowiąc swoistą publiczność. Niecierpliwie wyczekiwali nieuchronnego i z całą pewnością zwycięskiego dla Kaługina starcia z tym przybłądą zza zachodniej granicy.

- No, Polak! Czas zakończyć to, cośmy zaczęli - rzucił zaczepnie Kaługin.

- Daj spokój, Oleg. On jest nowy i nie wiedział z kim zadziera. Odpuść mu - Misza próbował łagodzić sytuację.

Zrobił krok do przodu, chcąc podejść do Kaługina i go jakoś udobruchać. Nie chciał, by Adam podzielił los nieszczęśników, na których Oleg zagiął parol, bo w żadnym z tamtych przypadków nie obeszło się bez długiego leczenia szpitalnego. Ku jego zaskoczeniu, Adam zamiast go poprzeć i samemu starać się ułagodzić komandosa, wyciągnął rękę, zatrzymał Miszę i pchnął go lekko do tyłu. Gest ten natychmiast wywołał uśmiezek nieukrywanej satysfakcji na twarzy Kaługina. „Więc ten głupi Polaczek chce się ze mną zmierzyć”, pomyślał. Kumple tylko pokręcili z politowaniem głową. Tymczasem wzrok Gawlika stał się zimny i ostry. Kaługin nie dostrzegł tej nagłej przemiany i to był jego pierwszy błąd. Profesor Kwiatkowski zawsze starał się wtłuc do głowy swojemu młodemu adeptowi starą zasadę samurajów: nigdy nie wolno lekceważyć przeciwnika. Rosjanin był pewny siebie i zadufany w swoje skądinąd wysokie umiejętności w sztukach walki. Podszedł do przeciwnika z podniesionymi rękoma, w każdej chwili gotowy do zadania pierwszego druzgocącego ciosu, lecz sprawy od razu przybrały zły obrót. Uderzenie Gawlika spadło na niego jak błyskawica. Zanim zdolał połapać się, o co chodzi, już leżał na podłodze z momentalnie nabrzmiewającą opuchlizną w okolicy prawego oka. Zaskoczenie szybko przerodziło się w furję. Kolejna zasada profesora Kwiatkowskiego, by nigdy nie ulegać emocjom w walce, okazała się być obcą Olegowi Kaługinowi. Zerwał się na równe nogi i rzucił jak dzikie zwierzę na Adama,

gotów rozszarpać go na strzępy za to, że ten śmiał uderzyć go pierwszy. To był jego drugi błąd. Adam spodziewał się takiego obrotu sprawy i wykorzystał go z całą bezwzględnością. Zręcznie zszedł z linii ciosu przeciwnika i precyzyjnie zripostował w splot słoneczny, co na chwilę zatkało Olega. Ta chwila wystarczyła do wyprowadzenia kopnięcia, które wydało się jedynie musnąć szczękę Rosjanina. Cios musiał być jednak potwornie silny, gdyż komandos, niczym rażony piorunem, wyfrunął w powietrze i padł jak długi, uderzając głową o podłogę. Nie stracił przytomności, lecz był tak oszołomiony, że próby podniesienia się skazane były na niepowodzenie. Podbiegli koledzy i złapali go za ramiona, ale odepchnął ich ze złością. Adam podszedł do leżącego Kaługina i wyciągnął rękę, żeby pomóc mu wstać.

- Bez urazy, ale sam się o to prosiłeś - powiedział spokojnie.

Oleg zgłupiał. Gapił się przez chwilę na przeciwnika, kompletnie zbity z tropu. Zawahał się. On sam w tej sytuacji nigdy nie zdecydowałby się na tak przyjazny gest, uznając to raczej za oznakę słabości. Ten Polak rzeczywiście był jakiś pokrecony...

- No rusz się, przecież nie będę tu tak stał do jutra - nie ustępował Gawlik.

Oleg Kaługin chwycił w końcu wyciągniętą dłoń, po czym podniósł się powoli, drugą dłonią obmacując tył głowy. Skrzywił się, bo pulsujący ból po spotkaniu z twardą podłogą był trudny do zniesienia nawet dla takiego twardziela, jak on.

- Dziwny z ciebie człowiek, Polak... Dostałem wpierdol, to fakt, ale nie od byle kogo. Potrafię to docenić. Mów mi Oleg.

- No, tośmy się dogadali. Na pewno fajny chłop jesteś - powiedział Adam i klepnął go po przyjacielsku w ramię.

- Dobry jesteś. Szybki, cholera! W razie czego, to wolałbym mieć cię po swojej stronie. Gdzieś się tak wyszkolił?

- W Polsce. Może ci kiedyś opowiem, jak to się u nas robi.

- Ta wasza Polska to chyba nie jest w końcu taka zła. Może rzeczywiście jesteście coś warci jako sojusznik.

Adam nie odpowiedział. Przypomniawszy sobie słowa pana Julka. Zawsze wypowiadał się on nad wyraz mało pochlebnie na temat sojuszu ze Związkiem Radzieckim. Kaługin z pewnością nie chciałby znać jego zdania.

- Dobra. *Paka.*

Kaługin skinął dłonią na towarzyszy i wyszli z pomieszczeń kuchennych.

- Niech mnie szlag! - wykrzyknął pełen podziwu Misza. - Aleś mu lanie spuścił! No, Adam, zaimponowałeś mi.

- Wiesz, Misza, co mi zawsze mówił mój nauczyciel, znaczy ten człowiek, co mnie

wyszkolił?

- Co?

- „Pamiętaj, że to, co umiesz, może zniszczyć ciebie samego”. Mam dziwne wrażenie, że jestem na najlepszej drodze ku temu.

- Co ty gadasz, człowieku! Masz dynamit w giczołach. Powinieneś się cieszyć, nikt ci tutaj nie podskoczy - emocjonował się Nikołajew.

- Nauczysz mnie strzelać? - spytał z głupia frant Adam.

- Jasne! A ty nauczysz mnie paru tych swoich sztuczek. Może być?

- Dobra, umowa stoi.

Na kompanii czekała Adama niespodzianka. Podszedł do niego Kola Kuzniecow, jeden z niewielu chłopaków, z którymi się zaprzyjaźnił, i wręczył mu zwiniętą gazetę.

- Gazeta z Polski. Z twoich stron. Ktoś ostatnio przywiózł ze Szprotawy. Pomyślałem, że się ucieszysz.

- Dzięki, Kola - rozpromienił się Adam.

Na dniach spodziewał się odpowiedzi na swoje listy. Z Tadkiem to nigdy nie wiadomo, ale co do tego, że pan Julek odpisze, był absolutnie pewien. Do tego czasu miło będzie poczytać w „Gazecie Lubuskiej” co tam słychać w jego stronach. Najpierw przekartkował pobieżnie wiadomości, by sprawdzić, czy jest coś ciekawego. Na przedostatniej stronie jego wzrok przykuła klepsydra. Dyrekcja Szkoły Podstawowej nr 4 z głębokim żalem zawiadamiała o nagłej śmierci nauczyciela języka polskiego Juliusza Kwiatkowskiego. Adamowi krew uderzyła do głowy, był w szoku. Odruchowo spojrzął na dół strony, gdzie znajdował się niewielki artykuł zatytułowany: „Tragedia rodzinna w Żarach”. Przebiegł machinalnie wzrokiem pierwsze linijki i zamarł po raz drugi, „...po libacji alkoholowej przy ulicy Strzelców 5a, cała czteroosobowa rodzina zatrula się w nocy gazem. Ojciec, matka i dwójka dzieci - dziewczynki 6 i 8 lat. Tragedia ta...” Odłożył gazetę na nocną szafkę i położył się na łóżku. Uświadomił sobie, że odpowiedzi na jego listy nie będzie.

\*

Capstrzyk ogłaszano o dwudziestej drugiej. Słuchacze szkoły oficerskiej wymęczeni po całodniowych zajęciach, po wieczornej toalecie dosłownie padali na prycze. Już po kilku minutach pluton pogrążony był we śnie. Tu i ówdzie dało się słyszeć miarowe pochrapywanie. Kuzniecow często gadał przez sen. Czasem pokrótce zdawał relację z wydarzeń na kompanii, a niekiedy jedynie niezrozumiale bełkotał i milkł po chwili, zapadając w głębszy sen.

Gawlik wybudził się nagle. Postać Juliusza Kwiatkowskiego znikła i uświadomił

sobie, że to był tylko sen. Otworzył szeroko oczy i szybko przypomniał sobie, gdzie jest. Przez chwilę leżał nieruchomo i wpatrywał się w ciemny sufit. Spojrzał na zegarek. Dochodziła pierwsza. Z lewej strony, z pryczy przy drzwiach, dobiegł go przytłumiony głos Wani Martyniuka, który od początku robił na Gawliku wrażenie człowieka nie bardzo pasującego do reszty tutejszej braci. Z jednej strony zawsze dotrzymywał kroku chłopakom podczas morderczych biegów w pełnym rynsztunku i nie ustępował im na ćwiczeniach walki wręcz, ale z drugiej strony był w pewien sposób delikatniejszy niż inni. Często zamyślony, wydawałoby się błądzący myślami gdzieś daleko, a jednocześnie skryty i małowówny.

- No i porozmawiałem z ojcem, tak jak mi Natasza radziła. Jak mężczyzna z mężczyzną - powiedział Martyniuk, powoli ważąc każde słowo.

- A stary co?

Gawlik rozpoznał głos Kaługina, co dziwne pozbawiony zwyczajowej agresji i bezgranicznej pewności siebie. Adam doskonale słyszał ich rozmowę.

- Ojciec zaczął się śmiać i pokpiwać, a jak dotarło do niego, że mówię poważnie, to nagle przestał - Martyniuk zamilkł na moment. Jeszcze raz przeżywał wydarzenia sprzed roku. - Wstał z fotela i zaczął wrzeszczeć na całe gardło, żebym raz na zawsze wybił sobie z głowy balet, że nigdy nie pozwoli, by jego syn, syn pułkownika armii Związku Radzieckiego robił z siebie i z niego pośmiewisko, tańcząc w balecie. Chodził po pokoju i wrzeszczał. Podchodził do mnie z pięściami, ale nie uderzył.

- Naiwna ta twoja narzeczona - skwitował Oleg. - Naprawdę myślała, że stary pozwoli ci iść do baletu?

- Ojciec zagroził - kontynuował Martyniuk, jakby nie słyszał pytania kolegi - że jak nie pojedę do Riazania na uczelnię wojskową, to dopilnuje, żeby znaleźli haka na rodzinę Nataszy. Był pewny, że to ona mnie namówiła.

- A nie ona?

- Pokazała mi, czym jest sztuka przez duże „S”.

- Ja tam wolę, żeby laski mi co innego pokazywały. Mają lepsze rzeczy do pokazywania - Oleg błysnął humorem i uśmiechnął się do siebie.

Martyniuk zignorował komentarz kolegi.

- A ty skąd się tu wzięłeś?

Iwan wiedział, że Kaługin nie jest typem człowieka skorego do zwierzeń. Rzucił pytanie, właściwie nie licząc na odpowiedź. W najlepszym razie spodziewał się raczej wykrętu lub po prostu sugestii, żeby „się odwalił”.

O dziwo, jednak ta noc sprzyjała szczerym wyznaniom.

- Ojciec chlał, tłukł mnie i matkę. Jak był nawalony, to dostawałem wpierdol za stopnie w szkole.

- Stopnie? To jakim cudem cię tu przyjęli? Przecież to wyższa uczelnia.

Iwan nie krył zdziwienia. Kaługin nie pochodził z rodziny partyjnych notabli, a bez takiego poparcia ze słabą średnią ocen nie miałby tu żadnych szans.

- Stopnie miałem dobre. Staremu po pijaku myliły się piątki z pałami, i nie dało mu się przetłumaczyć. Jednego dnia to ja mu wpierdol spuściłem. Wylądował w szpitalu. Kuratorka wyciągnęła mnie z gówna i pchnęła tutaj.

- I co, podoba ci się w armii? - spytał trochę prowokacyjnie Martyniuk.

- Co się głupio pytasz? Za jakiś czas dostanę porucznika jednostek specjalnych i kto mi wtedy podskoczy? Ty to rzeczywiście powinieneś do baletu iść, chociaż kondycję masz niezłą.

Kaługin nie zdawał sobie sprawy, że taniec wyrabia sprawność fizyczną nie gorzej, niż solidna poranna zaprawa.

- No właśnie - zdążył jeszcze powiedzieć Martyniuk, gdy drzwi otworzyły się z hukiem i salę zalało ostre światło.

Na progu stanął porucznik Czernienko. Położył dłonie na biodrach, stanął w rozkroku i wydał z siebie krzyk, który obudziłby umarłego.

- Wstawać, ścierwa!!! Ruszać dupska! Alarm!!! Nie będę tu stał do usranej śmierci, palanty!!

Sala zakotłowała się nagle. Wyrwani ze snu kadeci wciągali polowe mundury. Tej nocy już nie pośpią. Mało przytomnych dobudzano bolesnymi kuksańcami. Tu panowała odpowiedzialność zbiorowa, bo jeżeli jeden nawalał, to cierpieli za niego wszyscy. Nikt nie chciał biegać w pełnym rynsztunku za jakąś łajzę, która nie nadąża z wykonywaniem rozkazów.

Nie minęły trzy minuty, a pluton prężył się w postawie na baczność przed frontowymi drzwiami budynku kompanii. Czernienko przechadzał się tam i z powrotem przed ustawionymi w dwuszeregu żołnierzami.

- No, kundle - porucznik dość osobliwie zwracał się do kadetów, których przyszło mu szkolić. Zdążyli się już do tego przyzwyczaić i wyzwiska, padające pod ich adresem przy każdej okazji, nie robiły już na nich żadnego wrażenia. Mimo wszystko darzyli swego dowódcę, specnazowca, wielkim szacunkiem, bo wiedzieli, że mogą się od niego wiele nauczyć.

- Dzisiaj zobaczymy, co jesteście warci, niedołęgi. A ja już z was zrobię żołnierzy, czy



wam się to podoba, czy nie. Oficer przeszedł wzdłuż ustawionego na baczność plutonu, spoglądając niektórym żołnierzom głęboko w oczy. Trudno było wytrzymać to spojrzenie, ale nikt nie spuścił wzroku. Już wcześniej wtłoczono im do „tych durnych łbów, nadających się jedynie do odstrzelenia”, że przeciwnika, jeśli jest taka możliwość, zawsze należy bacznie obserwować.

Tej nocy czekały ich długie zajęcia. Właściwie wszystko zależało od humoru porucznika Czernienki: czasem ćwiczenia kończyły się po godzinie lub dwóch, a niekiedy, gdy wybiegali w teren, zajęcia ciągnęły się bardzo długo.

- Spać się wam zachciało, tłuکی?! - wrzasnął porucznik. Słowa te nie wróżyły nic dobrego. - Odpoczywać?! W grobie odpoczniecie! Teraz jesteście w radzieckiej armii, której tylko przynosicie wstyd! W prawo zwrot, biegiem marsz! - zakomenderował i pluton ruszył w kierunku bramy. Czernienko od samego początku narzucił ostre tempo.

Na początek dowódca zarządził bieg w pełnym rynsztunku do pobliskiego lasu, oddalonego o co najmniej dziesięć kilometrów, przy wtórze wrzasków i połajanek: „Ruszać się ścierwa! Po co was matka w ogóle rodziła?! Niedołęgi!”

Na skraj lasu większość dobiegła ostatkiem sił. Gdy żołnierze dostali pozwolenie na odpoczynek, padli na ziemię, dysząc ciężko. Kuzniecowa ledwie łapał powietrze. Takie biegi były dla niego prawdziwą katogą. Zazdrościł Martyniukowi i Kaługinowi. Trzymali się, chociaż wyraźnie widać było po nich zmęczenie. Ale przypadek Gawlika zupełnie nie mieścił się dowódcy w głowie. Jako jedyny nawet nie usiadł, a jedynie rozglądał się wokół. Był lekko zdyszany.

- Gawlik, blać! Ty się nigdy nie męczysz? - Kola jednym tchem wyrzucił z siebie słowa, które zabrzmiały jak wyrzut.

Gawlik odwrócił się w kierunku towarzysza.

- Dwa wdechy przez nos, dwa wydechy przez usta. Jak będziesz tak robił, to uspokoisz oddech - odpowiedział rzeczowo. - Jak biegniesz, to przez jakiś czas przerzucaj ciężar ciała na prawą nogę, potem na lewą. Po kilkukilometrowym biegu przynajmniej nie będziesz wyglądał jak wyciśnięta szmata.

Kuzniecowa puścił mimo uszu wyraźny przytyk. Był zbyt zmęczony, żeby unosić się honorem.

- Co? Jak mówisz? Dwa wdechy i dwa wydechy?

- Dokładnie.

Gawlik przestał przejmować się problemami kolegi, który natychmiast wprowadził w czyn zalecenia Polaka. Minutę później wyczerpany biegiem Kuzniecowa zaczął oddychać

miarowo. Pozostali żołnierze również powoli dochodzili do siebie.

- No, łajzy! - wrzasnął porucznik ni stąd, ni zowąd. Najwidoczniej w jego mniemaniu czasu na odpoczynek pluton miał aż nadto. - Ruszać dupy! Baczność! Żeby nie musiał wam pomóc!

Chłopaki zrywały się na równe nogi tak szybko, na ile pozwalało im zmęczenie. Rekruci stanęli przed oficerem wyprężeni w postawie zasadniczej. Była pochmurna noc, wokół panowały nieprzeniknione ciemności, i Czernienko jawił się przed nimi jako ciemna, ponura postać.

- Coś swołocz szykuje - szepnął Martyniuk, nachylając się do Kaługina.

Ten wydawał się ignorować słowa kolegi. Wpatrywał się w dowódcę. Podziwiał go. Chciał kiedyś, w przyszłości, stać się kimś takim, jak on. Komandos. Weteran z Afganistanu, dwukrotnie ranny.

- Spoko, Wania - odezwał się po chwili, lecz nie spojrzął w stronę towarzysza. - Damy radę.

- Od teraz do końca ćwiczeń, tłuki, jestem waszym wrogiem. Za pięć minut macie wejść za mną do lasu, znaleźć mnie i obezwładnić. Moje zadanie to przywalić każdemu z was tak, by nie miał ochoty wstać, więc macie mieć oczy dookoła głowy - powiedział Czernienko i zniknął wśród drzew.

Niektórym na te słowa zrobiło się słabo. Doskonale wiedzieli, co to znaczy. Czernienko postanowił urządzić sobie na nich coś na kształt polowania. Nie obejdzie się bez siniaków i mniej lub bardziej poważnych ran. Cóż z tego, że mieli miażdżącą przewagę liczebną? Pluton podążył w ślady oficera. Chmury przerzedziły się i leśna gęstwina nie była już tak nieprzenikniona.

- Matko Boska!!!

Gdzieś z prawej rozległ się rozpaczliwy wrzask. Nikołajew złapał się oburącz za twarz i padł na wznak. Pozostali podbiegli do niego. Kaługin i Martyniuk pochylili się nad pierwszą ofiarą porucznika.

- Co ci, Misza?!

Iwan chwycił go za przedramiona. Mimo ciemności dostrzegł krew buchającą z rozbitego nosa, a na czole chłopaka pojawił się solidnych rozmiarów guz. Ewidentnie Czernienko nie zamierzał ich oszczędzać.

Kilka metrów za sobą usłyszeli dwa głucho uderzenia, a zaraz potem stłumiony jęk. Młody żołnierz, podążający na skraju tyraliery, zwałił się na ziemię. Bezskutecznie próbował łapać powietrze, jak ryba wyciągnięta z wody. Potężny cios w splot słoneczny skutecznie

pozbawił go tchu na dobre kilka sekund.

- O kurwa... - wyszeptał Kaługin.

Gawlik rozglądał się wokół, próbując przebić wzrokiem ciemności, ale bez skutku. Czernienko był niewidzialny. Nie minęło kilka sekund, gdy kolejny żołnierz, uderzony w tył głowy, padł na twarz, odlatując w ciemność. Wkrótce potem kadet Martyniuk otrzymał precyzyjne kopnięcie w twarz, po którym wyfrunął w powietrze i padł na plecy, tracąc przytomność. Pozostali zaczęli wpadać w panikę. Miotali się wśród drzew, na próżno próbując znaleźć jakiegokolwiek schronienie przed atakami porucznika. Hałas, który w ten sposób robili, bardzo ułatwiał dowódcy jego zadanie. Niewielu zachowało zimną krew i stanęło bez ruchu, opierając się plecami o pnie drzew. Gawlik i Kaługin zrobili to niemal instynktownie.

- Oleg, ustaw ludzi w czworobok - powiedział cicho Polak do stojącego obok towarzysza.

- Co?

Jęk następnego żołnierza, którego dopadł Czernienko, odwrócił na moment ich uwagę.

- No, czworobok - powtórzył zniecierpliwiony Adam. - Zajęcia ze strategii. Napoleon. Czernienko nie wytłucze was tak łatwo.

- Jasne - pojął w końcu Kaługin. - A ty?

- Ja pójdę go poszukać.

Rosjanin odkleił się od drzewa i zaczął wrzeszczeć na całe gardło:

- Czworobok, patałachy, czworobok! Ustawiać się w czworobok!!!

Żołnierzom nie trzeba było powtarzać dwa razy, jako że zrozumieli w lot, o co chodzi. Oprócz przydatnej, jak się okazało, wiedzy przekazywanej na wykładach ze strategii, zadziałał także instynkt samozachowawczy. Kadeci stanęli w szyku, mając nerwy napięte do granic możliwości. Czekali na dalszy rozwój wypadków. Każdy z nich obawiał się, że będzie następnym, którego dopadnie oficer Specnazu. Zapadła grobowa cisza i Gawlik mógł ruszyć do konfrontacji z Czernienką. Szanse wreszcie były wyrównane. Poruszał się powoli, niemal bezszelestnie. Stawiał kroki bardzo ostrożnie, badając podłoże kantem stopy. Miał wprawę. W Polsce ćwiczyli z Kwiatkowskim ten sposób chodzenia niezliczoną ilość razy, również w nocy. Województwo zielonogórskie było najbardziej zalesionym terenem w kraju, więc warunki do treningu mieli wymarzone. Widząc go dzisiaj, polonista na pewno byłby dumny.

Cisza i ciemność. Dwa kroki do przodu, chwila nasłuchiwania. Nic. Czernienko był naprawdę dobry. Nagle Adam usłyszał szmer po prawej i natychmiast odwrócił głowę, podczas gdy reszta ciała zastygła w bezruchu. Porucznik stał oparty o drzewo i przyglądał się

czworobokowi stworzonemu przez swoich podopiecznych. Gawlik zakradł się do oficera na odległość około dwóch metrów. Chciał pozostawić sobie swobodę działania. Czernienko dostrzegł go w ostatniej chwili i błyskawicznie odwrócił się do kadeta.

- Gawlik - wypowiedział jego nazwisko powoli i półgłosem, jakby analizując znaczenie tego słowa. - Jesteś gotów?

Adam napiął wszystkie mięśnie. Poziom adrenaliny osiągnął apogeum. Nigdy nie przypuszczał, że dojdzie do starcia między porucznikiem a nim samym. Był gotów.

- *Tak toćno, tawariszcz lejtnant* - powiedział, starając się nadać głosowi jak najspokojniejsze brzmienie.

Czekał. Stali naprzeciw siebie i mierzyli się wzajemnie wzrokiem. I wtedy padły słowa, które kompletnie zaskoczyły Gawlika.

- Koniec ćwiczeń - powiedział oficer bez emocji. - W dwuszeregu zbiórka!!! - wrzasnął do kadetów i ruszył wyprostowany w ich kierunku. - Gawlik, dołącz! - rzucił do żołnierza, który nie zdążył jeszcze ochłonąć.

Czernienko stanął przed kadetami. Przyglądał im się dłuższą chwilę, nie zwracając szczególnej uwagi na podtrzymywanych przez kolegów żołnierzy - ofiary ćwiczeń.

- No, *rebiata* - w pierwszej chwili nie dotarł do nich fakt, że po raz pierwszy pod ich adresem nie padło żadne wyzwisko. - Spisaliście się całkiem nieźle. Będą z was ludzie. - W ich uszach te słowa zabrzmiały jak najbardziej wyszukany komplement. Nawet w poturbowanych przez niego wcześniej chłopaków wstąpił jakby nowy duch. Wyprostowali się, na ile pozwalał im ból.

- W prawo zwrot! Naprzód marsz! - padła komenda i pluton ruszył w kierunku koszar.

\*

Misza przykucnął i wymierzył. Gawlik rzucił okiem na jego skupioną twarz. Wydarzenia z ubiegłej nocy pozostawiły na niej wyraźne piętno. Opuchlizna nie zejdzie pewnie wcześniej, niż za tydzień. Nikołajew oddał trzy strzały do oddalonej o dobre kilkadziesiąt metrów tarczy, dalej niż zwykle. Przyłożył lornetkę do oczu.

- Chcesz sprawdzić? - zwrócił się do Polaka z triumfalnym uśmiechem, podając mu sprzęt.

- Nie wkurwiał mnie - szorstko odpowiedział Adam.

Przykląkł, wycelował i... poczuł klepnięcie w ramię.

Podniósł lufę do góry i obejrzał się.

- Gawlik, do porucznika Czernienki. Natychmiast. - rzucił sierżant Musorbski, instruktor strzelania, nieduży Gruzin z wielkim, czarnym wąsem.

Trochę przypominał Stalina, i tak za plecami go nazywano. Gdy tylko przekazał polecenie, od razu odszedł do ćwiczących kilka metrów dalej kadetów. Już jakiś czas temu zdał sobie sprawę, że Nikołajewa i Gawlika niczego więcej nie może nauczyć, dlatego pozwalał im czasem na wygłupy, takie jak przesuwanie tarczy, czy strzelanie w iście kowbojskim stylu.

Misza spojrzał pytająco na towarzysza.

- Co się gapisz? Skąd mam wiedzieć? Pewnie ma sprawę - Adam odpowiedział na pytanie, które nie padło.

Odłożył karabin i szybkim krokiem ruszył w kierunku biura Czernienki.

Porucznik nie lubił czekać. Zapukał. Cisza. Zapukał ponownie.

- Wejść!

Głos porucznika był jak zwykle bardzo donośny. Gawlik wszedł, zamknął za sobą drzwi i stanął w pozycji zasadniczej.

- Kadet Gawlik melduje się....

- Zamknij się - oficer machnął ręką na znak, że nie ma ochoty wysłuchiwać zwyczajowych formułek. - Siadaj - wskazał krzesło naprzeciwko siebie.

Czernienko siedział za poobijanym, sfatygowanym biurkiem. Surowo urządzone pomieszczenie najwyraźniej odzwierciedlało zamiłowanie porucznika do wojskowego porządku. Jediną rzeczą, która tu nie pasowała, była szachownica z rozstawionymi figurami. Czernienko wpatrywał się w nią, marszcząc brwi. Oto oficer jednostek specjalnych, wojownik z krwi i kości, który grał w szachy - niecodzienna kombinacja.

Gawlik usiadł i czekał.

- Grywasz? - spytał porucznik, nie podnosząc wzroku.

- W Polsce miałem przyjaciela, jeszcze z czasów szkolnych. Często grywaliśmy, ale najczęściej lał mnie jak chciał.

Czernienko podniósł wzrok na kadeta.

- Czym się zajmuje ten twój przyjaciel?

- Jak wyjeżdżałem, był na studiach. Teraz to już chyba skończył. Polonistyka. Pewnie uczy w jakiejś szkole.

Porucznik ponownie skupił uwagę na planszy.

- Wiesz, co to jest dwuchodówka?

- Mat w dwóch posunięciach. Często przy przewadze przeciwnika.

Oficer ponownie zaszczyił Gawlika spojrzeniem.

- To, co zrobiłeś ostatniej nocy, to właśnie taka dwuchodówka - powiedział, nie

spuszczając z Polaka oczu.

- Czworobok, wyśledzenie wroga... Byłem mile zaskoczony.

Ten człowiek szczerze Adama zadziwiał. Przecież był twardzielem, który nigdy wcześniej nie pokazywał ludzkiej twarzy. Co się mogło stać? Przecież nie chodziło tylko o te leśne ćwiczenia... Z całą pewnością nie był to wyczyn rzucający na kolana.

- Podobno szkolił cię Juliusz Kwiatkowski... - Czernienko zawiesił głos.

Więc jednak. Zasięgnął języka o swoim podopiecznym. Tyle, że Kwiatkowskiego nie mógł znać, bo skąd? O co chodzi?

- Tak jest, towarzyszu poruczniku - odpowiedział, starając się stłumić emocje.

- Co u niego? - spytał oficer.

Jego uwagę z powrotem przykuły figury szachowe. Pytanie zostało zadane w taki sposób, jakby Czernienko i były nauczyciel Gawlika byli starymi przyjaciółmi, o czym przecież nie mogło być mowy. Kwiatkowski nigdy nie wyrażał się pochlebnie o Sowietach, a tym bardziej o oficerach Armii Czerwonej. Do czego zmierza ten człowiek?

- Dostałem informację, że nie żyje.

Porucznik ożywił się nagle.

- Nie żyje?

- Przywieziono mi gazetę z Polski. Napisali, że zmarł nagle, ale nie znam żadnych szczegółów.

Informacja ta wyraźnie poruszyła porucznika.

- To był wielki człowiek - stwierdził po chwili i zamyślił się.

- Znał go pan? - Gawlik odważył się w końcu spytać wprost.

Rosjanin nie odzywał się, najwyraźniej grzebiąc we wspomnieniach. Ocknął się po kilkunastu sekundach, otworzył szufladę w biurku i wyciągnął zdjęcie. Patrzył na nie przez dłuższą chwilę, a jego twarz przybrała łagodny i ciepły wyraz. Wreszcie położył zdjęcie przed Gawlikiem. Z fotografii uśmiechała się do niego śliczna, może osiemnastoletnia dziewczyna o azjatyckich rysach.

- To moja córka, Mayli. Jest na studiach medycznych, będzie pediatrą. - powiedział z dumą. Gawlik popatrzył na niego, nie bardzo rozumiejąc dlaczego akurat jemu dowódca mówi to wszystko. Nie musiał długo czekać na wyjaśnienia. - Gdyby nie Kwiatkowski, nie byłoby jej. Zabiliby ją amerykańscy żołnierze w Wietnamie. Miała dwa lata, gdy odprowadzałem ją i jej matkę do wioski. Następnego dnia miałem je zabrać ze sobą do kraju. Były moją rodziną. Kochałem jej matkę do szaleństwa. Dziwne, co? - spytał retorycznie. Słowa oficera zdumiały Polaka. - Natknęliśmy się na amerykański patrol. Nie powinno ich

tam wtedy być, zapuścili się głębiej niż zwykle. Ja byłem w radzieckim mundurze... Zaczęli szarpać małą i jej matkę. Sierżant z całej siły uderzył ją pięścią w twarz, wykrzykując przy tym obelgi. Upadła, uderzając głową w kamień. Śmierć na miejscu... Rzuciłem się na nich, ale było ich za dużo. Trzech mnie trzymało, a sierżant z uśmiechem mierzył mi z karabinu w głowę. Do dzisiaj widzę wyraźnie jego uśmiech. Mayli łkała. Nie darła się w niebogłosość, jak inne dzieci w podobnej sytuacji, lecz łkała. Łzy kapały jej na sukienkę, a ja nie mogłem nic zrobić. Wtedy z pobliskich zarośli wyszedł Kwiatkowski. Poznali go, zaczęli wołać po nazwisku, witać. Podszedł do nich bez słowa i kolbą karabinu zdzielił sierżanta w mordę, wybijając mu parę zębów. Dwóch innych chciało go złapać, lecz rozłożył ich kopnięciami w brzuch i głowę. „Do reszty wam odwaliło, skurwysyny?! Z Sowiecami nie walczymy!”, darł się na nich i na ich porucznika, który tylko rozdziawił gębę. Sierżant wstał, ale Kwiatkowski przykopał mu jeszcze raz. Facet zwał się na ziemię, trzymając się za łeb. Twój nauczyciel podszedł do porucznika. Nie zrozumiałem dokładnie, bo mówił szybko po angielsku z ichnim akcentem, ale powiedział coś takiego: „Jak jeszcze raz się dowiem, że twoi podkomendni mordują niewinnych ludzi, to znajdę cię i wypruję flaki. Zrozumiałeś, gnoju?!”. Już wtedy krążyły o nim legendy, dlatego porucznik srał w gacie ze strachu i ani pisnął. Kiwnął tylko głową, że rozumie. Puścili mnie. Kwiatkowski powiedział do mnie po polsku, że nas stąd zabierze. Amerykanin stojący za jego plecami podniósł karabin i wycelował mu w głowę, a potem popatrzył pytającym wzrokiem na porucznika. Jak Kwiatkowski się zorientował - nie wiem. Nawet się nie odwrócił, zupełnie jakby miał oczy z tyłu głowy. Powiedział tylko: „Nie radzę, synku”. Porucznik pokręcił przecząco głową, żołnierz opuścił broń i poszliśmy. Przeprowadził nas przez dżunglę taką drogą, byśmy nie natknęli się znowu na Amerykanów. Okazało się, że działali na tym terenie od niedawna. Uratował życie mnie i mojej córeczce. Matce Mayli już nie zdążył. - Czernienko zamilkł i zapatrzył się w okno. - Pewnie zastanawiasz się, dlaczego ci to wszystko mówię? Nie wiem... Czasem w człowieku coś pęka.

Gawlik siedział w milczeniu, lekko oszołomiony opowieścią porucznika. Kwiatkowski niewiele opowiadał o Wietnamie, a tu taka historia! Zdał sobie sprawę, że nigdy tak naprawdę nie zdołał poznać pana Julka, i już nigdy nie wyrówna tej straty.

- Towarzyszu poruczniku... - zaczął.

- Spadaj. Wracaj do zajęć - ton głosu Czernienki wrócił do normy.

Polak stanął na baczność, zaszalutował i wyszedł.

Na zewnątrz czekał na niego Nikołajew.

- Czego chciał? - spytał bezceremonialnie.

- Pogadać - odpowiedział Gawlik, patrząc koledze prosto w oczy. - Uwierzyłbyś? Po

prostu pogadać.

Miszka zaniemówił.

- Z tobą? - odzyskał głos.

- No właśnie.

Polak zmrużył oczy. Jego myśli powędrowały w miejsce i czas, który na zawsze pozostawił za sobą.

\*

Pułkownik Władimir Iwanow rozsiadł się wygodnie w skórzanym fotelu. Założył ręce za głowę i położył stopy na biurku. Poczul się jak prawdziwy imperialista, których czasem oglądał na filmach video. Spojrzał na zegarek marki „Wostok” - solidna radziecka produkcja, choć nie miałby nic przeciwko temu, gdyby nadarzyła się szansa zastąpienia go produkcją szwajcarską. Lubił zbytek. Pod tym względem imperializm był mu, jak to ktoś mu jakiś czas temu powiedział, „niebezpiecznie bliski”. Już dawno zrozumiał, podobnie jak wielu jego kolegów, że kapitaliści nie zawsze muszą błędzić, a socjalizm niekoniecznie musi być jedyną przyszłością narodu.

Drzwi otworzyły się bezszelestnie. Major Borys Litwinienko wszedł do gabinetu Iwanowa cicho niczym duch. Chodził zawsze lekko pochylony, jakby obawiał się, że w każdej chwili jakiś latający przedmiot może uderzyć go w głowę. Grube, rogowe okulary i raczej wąła budowa przywodziły na myśl podrzędnego księgowego, ślęczącego nad rzędami cyferek w jakiejś zapadłej dziurze, a nie wysokiego stopniem (bo nie wzrostem) oficera Armii Radzieckiej i wykładowcę strategii na rizańskiej uczelni. Litwinienko ścisnął pod pachą plik gęsto zapisanych kartek. Usiadł na pierwszym z brzegu krześle, usiłując zachować spokój, ale już na pierwszy rzut oka widać było, że to pozór. Był silnie zdenerwowany, trzęsły mu się dłonie. Przez chwilę nerwowo błędził wzrokiem po ścianach, a w końcu zagapił się w wypolerowaną powierzchnię biurka. Iwanow przybrał bardziej regulaminową postawę, z zaciekawieniem przyglądając się gościowi. Co mogło wyprowadzić z równowagi tego człowieka, powszechnie uchodzącego za uosobienie spokoju?

- Co cię gryzie, Boria?

Łagodny ton pytania nie uspokoił roztrzęsionego majora. Litwinienko rzucił szybkie spojrzenie na gospodarza i bez słowa sięgnął po papiery, które cały czas trzymał pod pachą. Położył je na blacie i przesunął w kierunku Iwanowa.

- Czytaj.

- Co to jest? - Iwanow podniósł do oczu papiery wypełnione drobnym, gęstym pismem. Pułkownik przebiegł wzrokiem pierwszą kartkę, odwrócił ją i spojrzał na drugą. - Jakaś praca



z historii strategii, chyba któregoś z naszych studentów. I to cię tak wkurzyło?

Cisnęło mu się na usta słowo „wkurwiło”, ale wiedział, że Litwinienko organicznie nie znosi wulgaryzmów. Sam nie klął i wyjątkowo źle znosił przekleństwa innych. Wszyscy się już do tego dziwactwa zdążyli przyzwyczaić, a ponieważ z uwagi na swoją ogromną wiedzę major cieszył się na uczelni uznaniem, to gdy tylko pojawiał się w pobliżu, oficerowie starali się powstrzymać od używania dosadnych wyrażań, by po prostu nie robić mu przykrości.

- No właśnie. Praca jednego z naszych słuchaczy. A ściśle mówiąc Adama Gawlika.

- I co, słaba? Przecież Gawlik zawsze przykładał się do nauki - stwierdził zaskoczony pułkownik.

„Przykładał się do nauki” to było stanowczo zbyt mało powiedziane - Gawlik uchodził za prymusa. Większość wykładowców bardzo go chwaliła.

- Jakbyś przeczytał uważnie całość, to byś zrozumiał - Litwinienko pokręcił bezsilnie głową. - Dostali zadanie domowe: opisać jakąś historyczną bitwę, ze szczególnym uwzględnieniem zastosowanej w niej strategii. No, wiesz, Cezar, Napoleon. Dużo tego było, jest w czym wybierać. A co Gawlik opisał? No, proszę, przyjrzyj się.

Pułkownik zaczął czytać uważniej. Po chwili uśmiechnął się od ucha do ucha, nie odrywając wzroku od tekstu.

- *Wot, swołocz!* - podniesionym głosem skomentował pracę kadeta.

- Nie rozumiem, co cię tak bawi. Przecież to jest opis Bitwy Warszawskiej z 1920 roku, gdzie Armia Radziecka poniosła spektakularną klęskę - Litwinienko pochylił się nad blatem biurka i wskazał palcem fragment mniej więcej w połowie czwartej strony. - Tu czytaj. No, przeczytaj sobie.

- „...i chociaż bitwa nie doprowadziła do całkowitego zniszczenia Armii Czerwonej” - czytał półgłosem pułkownik - „to ujawniła słabość jej kadry dowódczej. Jedną z przyczyn klęski wojsk sowieckich w Bitwie Warszawskiej był fakt, że dowódca 1. Armii Konnej, Budionny, na wyraźny rozkaz Stalina, a mimo usilnych próśb Tuchaczewskiego, nie skierował swych sił pod Warszawę, lecz w najważniejszym momencie bitwy usiłował zdobywać Lwów. Klęski w wojnie z Polską przywódcy sowieccy nie zapomnieli nigdy, a Stalin w szczególności. Do szewskiej pasji doprowadzała go śpiewana wtedy w Związku Radzieckim czastuszka: „Rossija, Rossija maja, takaja mała Polska, a pobiedila tiebia...”

Iwanow wpatrywał się w tekst, czytając dalej w ciszy. Gdy skończył, odłożył kartki na bok i wygodnie oparł głowę na oparciu fotela. Patrzył na majora lekko przymrużonymi oczami.

- Jakby Winogradow to zobaczył, to by mnie chyba wywalił na zbitą mordę - powiedział fałsetem wykładowca. - Jak miałbym go przekonać, że to nie ja ich tego uczę? Wywaliłby jak nic, a jeszcze pewnie z wilczym biletem.

Potaął dłonią czoło.

- Nie wywaliłby, nie wywalił - starał się go uspokoić pułkownik. - Ale skąd właściwie Gawlik to wszystko wie? Przecież w naszej bibliotece takich materiałów nie ma. A już na pewno nie takie szczegółowe. On tu podał fakty, dokładne daty... - na moment podniósł się i zaraz rzucił na blat pracę Polaka. - O co tu chodzi, Boria?

- Powiedział, że na przepustce spotkał uczestnika tamtych wydarzeń, i że on mu wszystko opowiedział. To całkiem prawdopodobne.

Litwinienko nie patrzył na Iwanowa. Mówił ze spuszczoną głową, jakby się czuł winny zaistniałej sytuacji. Wzburzenie powoli ustępowało, nie był już taki rozedrgany. W jego głosie pobrzmiwała nuta rezygnacji.

- No, to trzeba by pogadać z tym „uczestnikiem”. Nie umie dziadzius trzymać języka za zębami, a to niedobrze. Państwo radzieckie go utrzymuje, a on mąci młodzieży w głowach. Pytałeś Gawlika kto to?

- Pytałem...

- No to się załatwi sprawę po naszymu, a z Gawlikiem ja pogadam.

- ...ale mi nie powiedział.

- Co? Jak to nie powiedział? - pułkownik nie krył zdumienia. - Oficerowi nie powiedział?!  
- Cytuję: „Dalem temu człowiekowi słowo honoru kadeta rizańskiej szkoły oficerskiej, że go nie zdradzę. Chyba towarzysz major nie chce, bym ten honor splamił”.

Pułkownika zatkało. Gapił się na majora, analizując w myślach słowa studenta, i zaraz potem, ku zaskoczeniu i rozpaczcy majora Litwinienki, wybuchnął gromkim śmiechem.

- A to skurwiel! - wykrzyknął i uderzył dłońmi w uda. - Zuch chłopak!

Wykładowcy opadły ręce. Kadet dopuścił się czynu graniczącego z sabotażem, a przedstawiciel najwyższej kadry dowódczej się cieszy...

- Wołodia, przestań, do cholery! To poważna sprawa! - major powiedział „do cholery”, więc najwyraźniej reakcja pułkownika naprawdę go zdenerwowała. - Powiedz mi, co ja mam teraz robić?

Iwanow opanował się, lecz wyraz rozbawienia nie zniknął z jego twarzy.

- Nic, Boria. Po prostu nic nie rób. Gawlika biorę na siebie. Nie będzie ci już więcej psuł nerwów, obiecuję - wstał z fotela i podszedł do stylowego barku, stojącego po prawej

stronie biurka. Otworzył, a oczom gościa ukazały się rzędy butelek z alkoholami najróżniejszych marek. - Napijesz się?

Było to pytanie prowokacyjne. Wszyscy wiedzieli, że major Litwinienko to zatwardziały abstynent.

- Dawaj.

- No, widzisz. Jeszcze będą z ciebie ludzie, Boria...

Iwanow wyciągnął dwie szklanki z grubym dnem i napełnił je w jednej czwartej prawdziwą szkocką whisky.

\*

Życie w rizańskiej uczelni nabrało dla Adama zupełnie nowego wymiaru. Zajęcia teoretyczne na wykładach oraz szkolenie praktyczne, którym w jego wypadku zajął się osobiście pułkownik Iwanow, pochłonęły Polaka bez reszty, spychając wspomnienia z ojczystego kraju na dalszy plan. Szlifowanie diamentu, jaki dostrzegł w nim pułkownik już w Żaganiu, postępowało nader sprawnie. Misza, który na rozkaz przełożonych wprowadzał Gawlika w arkana strzelectwa wyborowego, nie krył zachwyty dla jego wojskowych talentów. Gawlik w lot chwycił wszelkie wskazówki i podpowiedzi, a jego umiejętności strzeleckie, choć wciąż nie mogące się równać z tymi, które wyróżniały Nikołajewa, budziły powszechny podziw i szacunek. Lata potu wylewanego na ćwiczeniach i setki godzin spędzonych w salach wykładowych w końcu przyniosły efekt. Adam otrzymał oficerskie szlify.

- No i jak tam samopoczucie, poruczniku Nikołajew? - spytał przyjaciela zaraz po oficjalnej promocji.

- Bardzo dobrze, poruczniku Gawlik. Powinieneś mi salutować, bo promocję dostałem parę minut wcześniej, niż ty.

- *A paszoł won*, poruczniku Nikołajew! Niech ci porucznik Kaługin salutuje. Dostał promocję najpóźniej.

Jak na zawołanie w pobliżu pojawił się Oleg Kaługin. Zauważył przyjaciół i ruszył w ich kierunku. Przez te lata stworzyli bardzo zgraną paczkę, do której należał także Kola Kuzniecowa.

- Poruczniku Kaługin! - zawołał do niego Misza. - Dawaj, dawaj!

Oleg podniósł w górę rękę w uspokajającym geście, mitygując kolegę.

- I co, swołocz? Dochrapaliście się porucznika! - zagadnął Oleg, śmiejąc się od ucha do ucha.

- No, my tak - odrzekł w tym samym tonie Adam. - Ale że tobie, cholero, dali, to

nigdy nie zrozumie...

Oleg w odpowiedzi walnął go w ramię, a Gawlik podniósł rękę, udając gotowego do walki.

- A słyszeliście już, gdzie nas rzucają? - spytał przyjaciół Kaługin.

- Nie - odpowiedział zaciekawiony Misza.

- Afganistan, Kandahar. 22. Brygada Powietrzno-Desantowa. Kuzniecowa mi powiedział, bo przed chwilą gadał z Iwanowem.

- To wreszcie pokażemy mudżahedinom, kto tu rządzi! - wykrzyknął Misza z niezłomną wiarą w potęgę Armii Czerwonej, która ma takich synów jak on.

- Tak jest! Pokażemy! - zawtórował mu Oleg.

Adam zamyślił się, nie dzielając entuzjazmu kolegów. Koledzy tego nie dostrzegli, bo właśnie zbliżał się Kola Kuzniecowa, więc żarty i docinki rozległy się na nowo.

## Rozdział 13

*Kandahar, Afganistan, rok 1986*

Samolot transportowy Il-14 po krótkim kołowaniu zatrzymał się na końcu pasa startowego.

- Tośmy dojechali - stwierdził Misza, z zaciekawieniem obserwując przez iluminator tętniącą życiem bazę.

Gawlik rzucił krótkie spojrzenie na obraz za oknem, który wyraźnie zafascynował jego towarzysza, ściągnął z półki plecak i wstał z fotela.

- Zbieraj się, Miszka, idziemy. Zdązysz się napatrzeć, i jeszcze będziesz rzygał tym widokiem.

- Coś ty taki zaszary optymista?

- Taki się urodziłem - odpowiedział Adam, odwracając się do Nikołajewa plecami.

Przerzucił plecak przez ramię i ruszył ku wyjściu z samolotu.

Wszędzie panował ruch. W kierunku granicy bazy jechał wóz pancerny, na którego pancerzu rozłożyło się ośmiu żołnierzy. Po chwili w powietrze wzbił się śmigłowiec, ruszając w ślad za pojazdem. Nieopodal przy niskich zabudowaniach krzątało się mnóstwo umundurowanych postaci. W stronę samolotu szła niewielka grupa żołnierzy - liczebnie podobna do nowo przybyłych. Różnili się jednak diametralnie od ubranych w schludne mundury wyjściowe oficerów, i ich podwładnych. Mundury żołnierzy były rozchełstane, a buty na wpół porozpinane. Szli niedbałym krokiem, wbijając wzrok w Adama i pozostałych. Gdy rozpoznali dystynkcje oficerskie, zatrzymali się, salutując zamasyście, choć jednocześnie żaden z nich nie przyjął postawy zasadniczej. W ich z pozoru regulaminowych gestach można się było doszukać wszystkiego, tylko nie szacunku dla starszych stopniem. Gawlik i Nikołajew odruchowo podnieśli dwa palce do daszka czapki. Reakcja, jaką wywołali tym ruchem, była daleka do spodziewanej. Niechlujni żołnierze wybuchnęli gromkim śmiechem i ruszyli w stronę wejścia do samolotu. Wojna w Afganistanie już się dla nich skończyła. Żółtodzioby, nawet z oficerskimi szlifami, nie znaczyły dla nich więcej, niż afgański kurz.

- Co jest, kurwa? - spytał retorycznie Nikołajew, zdumiony zachowaniem żołdaków.

- No, co? Mają nas zwyczajnie w dupie. Proste.

- Oficerów?!

- Widać wiedzą coś, czego my nie wiemy, a jak już się dowiemy, to... - Gawlik przerwał w połowie zdania.

Obok nich przejechała wojskowa ciężarówka z odkrytą plandeką i zatrzymała się w pobliżu samolotu. Na pace siedziało czterech żołnierzy w polowych mundurach. Szybko zeskoczyli na ziemię i zaczęli ściągać ładunek. Czarne, plastikowe worki układali prostopadle do maszyny. W sumie było ich dziewięć. Zawartość worków nie pozostawiała wątpliwości. Dziewięciu synów rosyjskiej ziemi przyjeżdżając do Afganistanu popełniło niewybaczalny, śmiertelny w skutkach błąd. Czwórka szeregowców sprawnie wrzuciła ciała poległych do samolotu. Po chwili żołnierze wskoczyli na pakę i ciężarówka odjechała. Nikt nawet nie spojrzał na przyglądających im się oficerów.

- I co myślisz? - Nikołajew spojrzał na Gawlika.

- Wpadliśmy w gówno po szyję. Teraz trzeba uważać, żeby się w nim nie utopić, jak tamci w workach - odpowiedział Adam „filozoficznie”.

- Ty to jak coś powiesz, to nie wiadomo, czy się śmiać, czy płakać.

- Nie przejmuj się, Miszka. Ktoś przecież musi przeżyć tę wojnę, i może padnie na nas

- Gawlik postanowił potraktować sytuację lekko.

- Idź, bo jak ci przypierdolę w ten durny polski łeb, to od razu dołączysz do tych „zaworkowanych”.

Nikołajewowi nie było do śmiechu, a Gawlikowi wręcz przeciwnie, dlatego roześmiał się w głos.

- Melduje się sierżant Kaganowicz.

Przyjaciele odwrócili się jak na komendę. Przed nimi stał przysadzisty mężczyzna o mongolskich rysach twarzy i ciemnej karnacji. Ubrany był w wojskowe spodnie moro i koszulkę z długimi rękawami w poziome, granatowe paski, popularną wśród marynarzy. Kaganowicz zasalutował niedbale. - Pokażę towarzyszom porucznikom kwatery. Proszę za mną.

- Prowadźcie, sierżancie. Zobaczymy coście tu dla nas przygotowali - powiedział Nikołajew. Najwyraźniej usiłował się przypodobać. Sierżant wyglądał na starego wygę i mógł okazać się bardzo pomocny.

Kaganowicza wydawał się zupełnie nie obchodzić życzliwy ton Miszy. Bez słowa odwrócił się i poszedł w kierunku zabudowań.

Na pierwszy patrol Gawlik dostał samych nowych i Kaganowicza. Nie było tak źle, bo, jak zdążył się dowiedzieć, Kaganowicz był dobrym i doświadczonym żołnierzem. Dobrze mieć takiego przy boku, szczególnie gdy dowodzi się wojskiem nie w pełni przeszkolonym do działań bojowych w takich warunkach, jak afgańskie. Poza tym miał to być rutynowy patrol w stosunkowo bezpiecznym terenie, gdzie ludność traktowała wojska radzieckie bardziej jako zło konieczne, niż wroga, którego trzeba eksterminować za wszelką cenę.

Schodzili ze skał w dolinę, gdzie można już było dostrzec maleńką, prymitywną osadę - był to znak, że zbliżali się do bazy. Zgodnie z przewidywaniami patrol przebiegł bez zakłóceń. Napięcie, choć i tak raczej nieuzasadnione, powoli opadało.

- Mówią, że towarzysz porucznik nie nasz - zagadnął sierżant.

- Co znaczy nie nasz?

- No, nie ruski. Mówią, że z Polski.

- Prawdę mówią.

- Ktoś was tam w Polsce musi bardzo nie lubić, skoro aż tutaj trafiliście.

Adam spojrział na Kaganowicza badawczo. Ten wytrzymał jego wzrok.

- Życie mnie nie lubi, sierżancie.

Przez kolejne kilka minut szli w milczeniu, rozglądając się bacznie. Kaganowicza intrygował ten tajemniczy porucznik.

- Wy z Riazania, to podobno dobrzy jesteście.

- Tak też mówią?

- Mieliśmy tu takiego jednego porucznika, co go potem przenieśli do Riazania, żeby uczył. Czernienko się nazywał. Towarzysz porucznik go może zna?

- Znam.

- Twardy był, sukinsyn. Wyglądał na najtwardszego z nas wszystkich. Ale pękł na akcji, jak pacyfikowali wioskę. Psychika siadła, jak palili żywcem kobiety i dzieci. Zaczął strzelać do swoich. Było paru rannych... Na Afganistan nie ma mocnych.

Sierżant zamyślił się.

- A wy skąd jesteście, Kaganowicz?

- Syberia, niedaleko Kamczatki.

- Długo tu jesteście?

- Prawie od początku. Od osiemdziesiątego. Jak w Moskwie była olimpiada, to nas przewozili.

- To pewnie dużo widzieliście...

- Co towarzysz porucznik ma na myśli?

- Wiecie, jak przeżyć. Wiecie, kto ma szansę z tego wyjść, a kto raczej niewielkie. Jak tu jest?

Kaganowicz uśmiechnął się i spojrzał na Gawlika nieco z góry. Z twarzy ciężko było wyczytać jego wiek, choć wojna odcisnęła na niej swoje piętno: oczy czujne, usta zacięte, rysy ostre. Miał może trzydzieści lat, a może mniej. Wyglądał na człowieka, któremu trudno byłoby powrócić do normalnego, cywilnego życia.

- Na początku było łatwiej. Mieliśmy pełne panowanie w powietrzu, jakoś tak do osiemdziesiątego trzeciego, a może i czwartego. Potem mudżahedini skombinowali pociski Striela-2 i szybkostrzelne działka przeciwlotnicze, które chowali w grotach, i bezpieczne wsparcie z powietrza diabli wzięli. Tu nie ma żadnej reguły. Trzeba bez przerwy pilnować własnej dupy i mieć oczy dookoła głowy. Nauczycie się, towarzyszu poruczniku.

Gawlik popatrzył przed siebie. Na przedzie szło dwóch żołnierzy. Rozglądali się uważnie na wszystkie strony, jakby głównie od nich zależało bezpieczeństwo pozostałych. Nagle stanęli, a jeden z nich schylił się, żeby podnieść niewielki, brązowy przedmiot, leżący na środku drogi.

- Zostaw!!! Nie rusz!!! - wrzasnął sierżant na całe gardło.

Jego ostry głos sprawił, że Gawlikowi zaczęło dzwonić w uchu i odruchowo przyłożył dłoń do małżowiny. Kaganowicz w okamgnieniu znalazł się obok żołnierzy i szarpnął ich gwałtownie do tyłu. Na skalnej ścieżce leżał pluszowy miś.

- Co jest, sierżancie? - spytał porucznik i podszedł do podoficera.

Pozostali żołnierze zamarli. Coś tu musiało być mocno nie w porządku, skoro sierżant zareagował tak gwałtownie na widok zwykłej dziecinnej zabawki. Kaganowicz nie spojrzał na oficera, lecz zwrócił się do szeregowców:

- Nasi zrzucają takie rzeczy z powietrza. To mina przeciwpiechotna. - oparł się dłońmi o ziemię i zajrzał pod zabawkę. Nie mylił się - pod zabawką umieszczono charakterystyczny detonator, przypominający kształtem motyla. Kaganowicz wstał i otrząpał ręce. - Dotkniesz i cię nie ma. Nie wolno wam dotykać niczego, co leży na drodze, bo najprawdopodobniej będzie to bomba. Niczego, rozumiecie?!

Wszyscy pokiwali głowami, w oczach rekrutów pojawił się lęk. Doświadczenie numer jeden: nie dotykać niczego, co leży na drodze. Zapamiętają to na całe życie.

Żołnierze obeszlili łukiem niebezpieczny przedmiot.

- Kto się na to łapie? - spytał porucznik, gdy odeszli już na odległość kilkudziesięciu metrów.

- Na co?



- No, na te zabawki.

- Najczęściej gówniarze, ale często i starzy. Jeden mudżahedin mniej to punkt dla nas.

- Mówisz, dzieci?

Kaganowicz popatrzył zdziwiony na porucznika.

- Dzieci, towarzyszu poruczniku, afgańskie dzieci. A niby kto inny?

Gawlik bez słowa odwrócił się, wymierzył i strzelił do pluszowego misia. Nastąpił wybuch, żołnierze skulili się odruchowo. Sierżant przez chwilę przyglądał się porucznikowi, lekko przekrzywiając głowę. Przez twarz przebiegł mu ledwie zauważalny ironiczny uśmieszek. Celny strzał z odległości kilkudziesięciu metrów wzbudził wśród szeregowców podziw, gdy po chwili zrozumieli, że nie ma już żadnego zagrożenia.

- Widzę, że towarzysz porucznik ma wrażliwe sumienie - skwitował Kaganowicz.

- Sierżanci nie miewają sumienia?

- W Kandaharze sumienie dość znacząco obniża szanse na przeżycie. Tego się tu nauczyłem i towarzyszowi porucznikowi też radzę - stwierdził sierżant i ruszył dalej kamienną ścieżką.

W małej wioseczce, obok której prowadziła droga do bazy panował umiarkowany ruch. Na progu jednej z chat dostrzegli dwóch starych ludzi przyglądających się Rosjanom obojętnym wzrokiem. Kobieta w burce przeszła przez plac oddzielający zabudowania i zniknęła w drzwiach domostwa. Gdzieś w pobliżu beczała koza, lecz poza tym wokół panowała zupełna, chciałoby się powiedzieć, grobowa cisza.

- Na takie miejsca lepiej uważać - odezwał się Kaganowicz. - Nigdy nie wiadomo, kto siedzi w środku i można oberwać. Najbezpieczniej jest po prostu wejść do takiej chaty, bo wtedy nic ci nie zrobią. Obowiązuje prawo gościnności, a gość to świętość, i jest nietykalny. Ciekawe, co?

- Mówili nam o tych zwyczajach, ale myślałem, że to mity.

- Nic podobnego, naprawdę tego przestrzegają. Mają swój honor. Ale jak się człowiek znajdzie na zewnątrz... - sierżant przejechał otwartą dłońią po gardle. Nie było wątpliwości, co miał na myśli.

Dalej szlak wznosił się o jakieś dziesięć stopni, aż do przełęczy. Stamtąd widać już było radzieckie umocnienia wojskowe, za którymi czekało bezpieczeństwo, odpoczynek i względny spokój.

Krótkie serie wystrzeliwane zza pobliskich skał spadły na nich jak grom z jasnego nieba. Grupa natychmiast rozpierzchła się w poszukiwaniu jakiegokolwiek schronienia przed pociskami z AK-47. Prawdziwą ironię losu stanowił fakt, że mudżahedini byli uzbrojeni w te

właśnie karabiny produkcji radzieckiej.

Gawlik i Kaganowicz skryli się za załomem skały. Dwóch żołnierzy zostało rannych już na samym początku - czołgali się w kierunku głazu, zza którego nawoływali ich koledzy.

- Mamy szczęście. To nie zasadzka - stwierdził autorytatywnie sierżant.

- Nie? To kto do nas strzela?! - Gawlikowi taka opinia wydawała się co najmniej chybiona.

- Jakby to była zasadzka, nie byłoby z nas co zbierać - Kaganowicz odpowiedział spokojnie, niemal bez emocji.

Wychylił się ostrożnie ponad półką skalną i zlustrował otoczenie, w ostatniej chwili dostrzegając wroga, mierzącego do niego z karabinu. Schował się błyskawicznie, a kule roztrzaskały kamień zaledwie kilkanaście centymetrów nad jego głową. Gawlik dostrzegł kątem oka, że ranni żołnierze są już bezpieczni.

- Gdzie? - porucznik nie marnował słów.

- Naprzeciwno, jakieś dwadzieścia pięć stopni na lewo. Czemu nie strzelali do rannych? - spytał sam siebie.

- Do rannych się nie strzela.

- Strzela się, towarzyszu poruczniku, strzela. I to mnie niepokoi.

Gawlik rozkazał ruchem dłoni, by trzech ludzi spróbowało obejść skałę, za którą kryli się mudzahedini. Sam przyjął pozycję strzelecką podobnie jak Kaganowicz. Wiedział, że jak żołnierze wyjdą z ukrycia, to staną się łatwym celem. I nie pomylił się. Gdy tylko ktoś się wychylił, z kilku stron padły strzały. Jeden z żołnierzy dostał w przedramię, jednak ten moment dał porucznikowi i sierżantowi okazję do zlikwidowania dwóch wrogów. Martwi przeciwnicy osunęli się w dół, po skale. Pozostali żołnierze również otworzyli zmasowany ogień, który Gawlik już po chwili nakazał przerwać. Usłyszeli dziecinny głos, a w ich kierunku zaczął biec afgański chłopiec, w wieku może dziesięciu lat. Miał schowane za plecami ręce, jakby mu je spętano.

- *Nie strielaj! Nie strielaj!* - krzyczał.

Polak opuścił karabin i obserwował otoczenie za chłopcem.

- Trzeba go zastrzelić - powiedział grobowym głosem Kaganowicz.

- Czyś ty, kurwa, oszalał?! Do dzieci chcesz strzelać?! - Adam myślał, że się przesłyszał.

Sierżant nie czekał na dalsze słowa oficera, tylko posłał dzieciakowi serię. Trafił go prosto w serce, co nie było trudne, bo dzieliła ich odległość najwyżej kilkunastu metrów. Ciało chłopca, uderzone pociskami, lekko podskoczyło w powietrze i zważyło się na skaliste

podłoże. Usłyszeli trzask pękającej czaszki. Polak nie wierzył własnym oczom: był świadkiem morderstwa dokonanego z zimną krwią. Na krótki moment zapadła cisza. Gawlik zacisnął pięść i otworzył usta, by zrugać sierżanta, gdy dostrzegł granat bez zawleczonej, który wytoczył się z rozluźnionej dłoni dziecka. Eksplozja urwała trupowi rękę.

- Chcieliście coś powiedzieć, towarzyszu poruczniku? - głos Kaganowicza nie wyrażał żadnych emocji.

Oficer milczał, doskonale zdając sobie sprawę, że sierżant Kaganowicz właśnie uratował im tyłki. Zrozumiał, że jego wiedza i przeszkolenie były niczym w porównaniu z bezcennym doświadczeniem bojowym Sybiraka. Wtedy jeszcze nie wiedział, że już wkrótce jego umiejętności oceny sytuacji na polu walki znacznie przewyższą to, co dzisiaj demonstrował Kaganowicz.

Jednak nie był to koniec niespodzianek. Po chwili usłyszeli krzyki jakiegoś mężczyzny.

- *Nicht schiessen! Nie strzelać! Nicht schiessen!*

Na drogę, z podniesionymi rękami, trzymając oburącz nad głową karabin, wyszedł wysoki, dobrze zbudowany człowiek. Nie miał na głowie zwyczajowego u Afgańczyków turbanu, wiatr rozwiewał mu blond czuprynę. Natychmiast został otoczony przez Rosjan, mierzących do niego z automatów.

- Można wychodzić. Tam już nikogo nie ma - powiedział sierżant i ruszył w kierunku poddającego się bojownika.

- *Ich bin Deutsch* - mężczyzna zwrócił się do porucznika, gdy tylko dostrzegł jego dystynkcje.

Odebrano mu karabin. Gawlik spojrzał pytająco na sierżanta.

- Zdarza się - Kaganowicz nie wydawał się być zaskoczony. - W ubiegłym miesiącu mieliśmy Francuzów. Nie przeżyli. Przyjeżdżają z różnych krajów, żeby pomagać mudżahedinom, strugając bohaterów. Tego też najlepiej rozwalić na miejscu. Swołocz.

- Nie. Zabieramy go do sztabu - powiedział oficer stanowczo.

Na twarzy Niemca odmalował się wyraz ulgi. Ten radziecki porucznik właśnie ocalił mu życie. Kaganowicz pokręcił tylko z dezaprobatą głową. Ruszyli w kierunku przełęczy.

\*

Martyniuk siedział oparty o skałę, patrząc na zaśnieżone szczyty gór, oddalone o kilkanaście kilometrów. Wydawał się być w innym świecie, z dala od zgiełku panującego w bazie i działań wojennych, których, podobnie jak pozostali, stał się integralnym elementem. Dochodził do siebie po wydarzeniach poprzedniego dnia. W czasie rutynowego patrolu

zostali ostrzelani. Zginęło pięciu ludzi.

Nie zwrócił uwagi na podchodzącego do niego Gawlika.

- Jak jest?

Polak podał mu metalowy kubek, w połowie wypełniony podłego gatunku wódką. Tylko taką udawało się tu dostać. Iwan jeszcze przez dłuższą chwilę wpatrywał się w dal. Odwrócił głowę i spojrzał na Adama wzrokiem pełnym przygnębienia i jednocześnie agresji.

- A jak ma być? Do dupy.

Wziął od towarzysza kubek z alkoholem i wypił zawartość do dna.

- No, czyli nic ci nie będzie.

Gawlik starał się mówić pogodnie, ale nieszczególnie mu to wychodziło. Wiedział przez co Iwan przechodził. Był o wiele wrażliwszy niż każdy jeden z nich. Artystyczna dusza. W ogóle nie powinien był się tu z nimi znaleźć. Wojna niszczyła go od wewnątrz, szybko i skutecznie.

- Widziałeś „Spartakusa” w Teatrze Bolszój? - spytał ni stąd, ni zowąd, nie patrząc na Gawlika, kładąc metalowy kubek przy udzie.

- Kogo?

- Nie kogo, tylko co. Balet „Spartakus”, Jurija Grigorowicza - stwierdził nieco protekcjonalnie.

- A wyglądam na konesera baletu?

Martyniuk zignorował głupie pytanie.

- Jeśli wyjdziemy z tego gówna żywi, to cię zabiorę. Zobacysz sztukę najwyższej próby.

- A czemu mamy nie wyjść? Wyjdziemy, Wania, wyjdziemy. Jeszcze sobie razem pooglądamy te twoje balety.

Iwan zamyślił się znowu, a Gawlik miał wrażenie, że jego towarzysz odpływa myślami gdzieś daleko. Usiadł obok i wychylił resztkę wódki ze swojego kubka.

- Wczoraj, jak szliśmy przez wioskę... - Martyniuk zawiesił na moment głos. - Widziałem dwójkę dzieci. Dziewczynka miała jakieś trzy, może cztery lata, a chłopczyk nie więcej, niż pięć. Patrzyli na nas tymi swoimi wielkimi czarnymi oczami, bez strachu, z ciekawością i smutkiem. Dałem im cukierki - te, co mateczka Rosja nam ostatnio przysłała. Wiesz, jak się ucieszyły? Tylko dzieci się tak potrafią cieszyć. Z głupich cukierków. I wtedy rozpętało się piekło. W pierwszej chwili nie byliśmy w stanie zlokalizować skąd do nas strzelali, chłopaki waliły na oślep, ale potem już celniej. Jak się uspokoiło, zobaczyłem te dzieciaki. Dziewczynka nie miała kawałka głowy, widać było mózg, a chłopczyk został

podziurawiony jak sito. Było pełno krwi. Zdziwiłbyś się, ile jej się mieści w takim malutkim ciałku...

Zamilkł. Cisza trwała ponad minutę.

- To jest wojna, Wania. Nic na to nie poradzisz. Tak po prostu jest.

- Co ty, kurwa, pierdolisz?! - wrzasnął niespodziewanie Martyniuk. - To jest rzeźnia!!! Jesteśmy jak faszyci! Ty tego nie widzisz?!

Gawlik spuścił głowę. Wiedział, że Iwan w dużej mierze ma rację. Wpajano im, że są żołnierzami dumnej Armii Czerwonej, niosącymi cywilizację zacofanemu, ale bratniemu narodowi afgańskiemu. Sam miał wątpliwości, ale starał się je wypierać.

- Wszystko prawda, tylko co z tego? - Gawlik odpowiedział cicho, niemal szeptem.

- Jak to co z tego? Nie widzisz, co się wokoło ciebie dzieje?

- Wania, oni do nas strzelają. I nie na postrach. Strzelają, żeby zabić.

- Ty byś nie strzelał, jak by ci ktoś najechał ojczyznę i mordował ludzi? Jak faszyci byli w Polsce, toście nie strzelali?

- Nie wiem, co bym robił. Poza tym w mojej ojczyźnie są obce wojska i jakoś do nich nie strzelamy - stwierdził Polak prowokacyjnie.

- Kurwa, człowieku! Co ty porównujesz? Poza tym co ci mam powiedzieć? Że internacjonalizm? Bratnia pomoc? Naszych wojsk nie powinno być ani u was, ani tutaj. Obaj doskonale o tym wiemy.

- Właśnie. Nie zmienimy tego. Ani ty, ani ja. Ale pamiętaj, Wania, że jesteś oficerem. W dużym stopniu od ciebie zależy, czy twoi żołnierze wrócą do domu żywi, czy w plastikowych workach. Zrób wszystko, co możesz, żeby wrócili żywi.

Iwan spojrział na Adama spode łba.

- Toś mnie, kurwa, pocieszył.

- Będzie dobrze - Polak uderzył w pogodny ton. - Gorbaczow nas stąd wyciągnie i wtedy poznasz mnie z jakąś miłą baletnicą albo dwiema, może trzema...

- Wypierdalaj, zbrojeńcu...

Martyniuk uśmiechnął się mimo woli i walnął kolegę w ramię. Gawlik puścił do niego oko i wstał, by napełnić swój kubek. Z każdym łykiem paskudna wódka smakowała lepiej.

\*

Afgańska prowincja Kandahar uprzykrzała życie radzieckim żołnierzom swoim surowym klimatem. Różnice temperatur między nocą a pełnią dnia, nierzadko przekraczające trzydzieści stopni, były czasem trudne do zniesienia dla ludzi wychodzących na akcję.

22. Brygada Powietrzno-Desantowa, której żołnierzami byli przyjaciele z rizańskiej

szkoły, miała jasne zadanie: blokować i przechwytywać transporty broni dla oddziałów mudzahedinów, płynące szerokim strumieniem z Pakistanu. Dowództwo doceniało ich niezwykle umiejętności, bardzo przydatne w tych okolicznościach. Dostrzeżenie śladów wroga z lecącego na niewielkiej wysokości śmigłowca bojowego nie należało do zadań, z którym przeciętny komandos byłby w stanie sobie poradzić. Wyśledzenie i zneutralizowanie nieprzyjaciela w wielu przypadkach okazywało się sprawą równie trudną. Zwykle latali na akcje razem, całą paczką, lecz tego dnia Adam został w bazie, żeby nabrać sił po ostatnim wypadzie bojowym, a chłopaków wysłano na rutynowy patrol.

W sali projekcyjnej znowu puszczała „Czapajewa”. Potem, jak zwykle, miał lecieć „Pancernik Potiomkin”.

Podobnie jak pozostali, Adam widział te filmy już wiele razy, ale w to kwietniowe popołudnie 1987 roku nie miał nic do roboty, a ciągła gra w karty zaczynała już go nudzić. Poza tym nigdy nie pozwolił sobie wciągnąć się w narkotyki, którymi jego towarzysze zabijali czas.

Usiadł na wolnym krześle w drugim rzędzie. Kończył się właśnie „Czapajew”, więc nadchodził czas „Potiomkina”.

- Będzie Wietnam - sąsiad z lewej szepnął do niego konspiracyjnym szeptem.
- Co? - nie zrozumiał porucznik.

Oficer propagandowy pozwolił, żebyśmy zobaczyli, co Amerykanie wyprawiali z dzielnym narodem wietnamskim pod koniec lat sześćdziesiątych. Ma to nas zagrazać do walki - żołnierz pośpieszył z wyjaśnieniem.

W ciemnym pomieszczeniu Adam dopiero po chwili rozpoznał twarz i dystynkcje sąsiada. Nie znał tego sierżanta.

- No to popatrzmy - stwierdził porucznik, zadowolony, że wreszcie pojawia się jakaś odmiana.

Już w pierwszej połowie filmu stało się jasne, że nadzieje oficera propagandowego na wzbudzenie nienawiści do imperialistów okazały się płonne. Widok amerykańskiego śmigłowca, zmiatającego ciężkim ogniem maszynowym zastępy żołnierzy Wietkongu wywoływał reakcje odwrotne do zamierzonych. Przy każdym tego typu epizodzie widzowie z entuzjazmem krzyczeli na całe gardło: „Bić mudzahedinów! Rozwal ich!” Oficer propagandowy łapał się za głowę, widząc kompletną ignorancję i niedojrzałość polityczną żołnierzy radzieckich, ale nie odważył się przerwać projekcji. Zdawał sobie doskonale sprawę, że pewnie by go zlinczowano na miejscu, a taki los wcale mu się nie uśmiechał.

Adam z ciekawością obserwował całą sytuację, sam nie bardzo rozumiejąc, co tu się

właściwie dzieje. Raptem niecałe dwa lata temu było głośno o akcji amerykańskich najemników, którzy przylecieli do Afganistanu zdobywać nowe doświadczenia bojowe. W zorganizowaną przez nich zasadzkę wpadł oddział porucznika Siergiejenki z transportem paliwa. Amerykanie zapędzili żołnierzy do wąwozu i spalili ich żywcem. Sam ciężko poparzony Siergiejenko przeżył cudem. Nie było chyba radzieckiego żołnierza, który nie kipiałby wtedy nienawiścią do Amerykanów. A dzisiaj? Kibicują wrogom strzelającym do sojuszników! Może dlatego, że tamci to byli najemnicy, a ci tutaj to żołnierze tacy jak oni sami, po prostu walczący o przeżycie...

W dalszej części projekcji do drugiego rzędu wszedł wysoki mężczyzna i zaczął się przeciskać w kierunku środka, nie zważając na pokrzykiwania niezadowolonych widzów, którym zasłaniał ekran. Gdy wreszcie zdołał podejść trochę bliżej, Polak rozpoznał jego rysy twarzy. Andriej Bułatow - Gruzin, którego poznał kilka miesięcy temu w bazie lotniczej - zatrzymał się w połowie przejścia, ewidentnie dając mu jakieś znaki. Adam nie miał zamiaru przerywać oglądania filmu, machnął więc ręką, próbując pozbyć się natręta.

- Siadaj albo wynocha! - krzyknął ktoś z sali.

- Co jest? Nie widzisz, że film oglądam? - powiedział wyraźnie niezadowolony Polak, gdy Bułatow w końcu przepchnął się bliżej.

- Później sobie pooglądasz. 120 kilometrów stąd mudżahednini zestrzelili śmigłowiec z Miszą i resztą. Lecimy ich szukać, więc rusz dupę.

- O, kurwa! - zaklął Adam po polsku i zerwał się z krzesła.

\*

Podczas lotu śmigłowcem bojowym Mi-24 nikt się nie odzywał. Szanse na uratowanie towarzyszy były minimalne, lecz chłopaki wiedziały, że muszą spróbować. Wszyscy rozumieli aż za dobrze, co to znaczy dostać się żywym w ręce mudżahedinów. Los, jaki czekał takich nieszczęśników, był naprawdę nie do pozazdroszczenia: powolna śmierć w straszliwych męczarniach. Jeśli uda się im jakoś ich odnaleźć, a nie będzie można ich uratować, to przynajmniej postarają się, by umarli godnie, po żołniersku. Oznaczało to strzelanie do towarzyszy broni, czasem najbliższych przyjaciół, lecz tylko w ten sposób mogli oszczędzić im wielogodzinnych cierpień, nieuchronnie kończących się śmiercią.

- Jest! - wykrzyknął nagle pilot, przerywając milczenie.

Wszyscy rzucili się do okien.

- Job twoju mać, nie mam gdzie wylądować - stwierdził pilot. - Nie dam rady.

- Zejdz tak nisko, jak się da. Opuścimy się po linie, a ty wypieprzaj stąd. Jakiś skurwiel może się czaić się ze Stingerem. Wezwiemy cię przez radio - krzyknął do niego

Adam.

Śmigłowiec zszedł na kilkanaście metrów. Opuszczenie helikoptera odbyło się bardzo sprawnie i po chwili cała siódemka znalazła się na dole. Pilot natychmiast podniósł maszynę i odleciał na południe, w kierunku bazy. Żołnierze szybko dotarli do rozbitego śmigłowca, ale widok, który zastali, nie nastrojał optymistycznie: wokół maszyny porzucane były ciała żołnierzy batalionu zwiadowczego, z widocznymi ranami postrzałowymi.

Dwóch pilotów i trzech zwiadowców było w środku, najwidoczniej zginęli w chwili uderzenia helikoptera o ziemię. Jedenastu żołnierzy na zewnątrz dosięgły kule podstępnego i bezwzględneho wroga.

- Brakuje Martyniuka, Nikołajewa, Kafidowa i Kaługina - stwierdził Bułatow.

Stało się więc to, czego obawiali się najbardziej. Ich koledzy zostali wzięci żywcem przez mudżahedinów.

- Są ślady. Idziemy ich szukać - natychmiast zakomenderował Adam.

- W siódmkę na cały oddział? - próbował zaprotestować Gubenko, jeden z żołnierzy.

- W razie czego wezwiemy śmigłowiec i przynajmniej zaoszczędzimy chłopakom cierpień - uspokoił go Gawlik.

Mieli dużo szczęścia. Trzygodzinny szybki marsz po całkiem świeżych dla wprawionego oka śladach doprowadził ich do obozowiska wroga. Zatrzymali się w bezpiecznej odległości, za głazami, skąd mieli doskonały ogląd sytuacji. Na środku płaskiej doliny, otoczonej ze wszystkich stron skałami, zaczynało płonąć ognisko. Mimo wieczornej szarówki Adam i jego ludzie niemal przykleili się do głazów. Ich głównym sprzymierzeńcem miało być zaskoczenie.

- Będzie ze trzydziestu - wyszeptał Bułatow. - Trudno swołocz policzyć. Szlag wie, ilu jest za tymi głazami.

- Widzisz tamtych trzech koło ogniska? To chyba Amerykanie - odpowiedział Polak.

- Jasna cholera! Faktycznie... - Rosjanin przyłożył lornetkę do oczu. Nieczęsto spotykali tu Amerykanów - kiedyś zastrzelili dwóch żołnierzy niemieckich i jednego francuskiego. Kto by wtedy pomyślał, że tyle lat po drugiej wojnie światowej żołnierz radziecki będzie na obcej ziemi walczył z Niemcami? - Popatrz na prawo, tam, pod skałami, gdzie ten krzaczek.

Polak ponownie spojrzął przez lornetkę. To, co zobaczył, obudziło w nim na moment agresję dzikiego zwierza żądnego krwi, lecz szybko opanował emocje i zaczął na zimno analizować sytuację. Sto metrów poniżej ich stanowiska widział wyraźnie czterech brakujących członków batalionu zwiadowczego. Co jakiś czas poruszali się nieznacznie, na



ile pozwalały ciasne więzy. Niestety, żyli. Iwan Martyniuk miał wydłubane oczy, z ust obficie płynęła mu krew. Wyglądało na to, że ucięli mu też język. Opuszczone do kostek spodnie odkrywały miejsce, gdzie mężczyzna ma genitalia. Martyniuk ich już nie posiadał - zostały odcięte, a rana przypalona, by za szybko nie umarł z upływu krwi. Jeden z mudżahedinów i Amerykanin zaczęli właśnie obdzierać Saszę Kafidowa ze skóry na piersiach. Gdy zemdlął z bólu, amerykański żołnierz poszedł po wiadro z wodą, by go ocucić. Oleg Kaługin miał niewielkie nacięcie na brzuchu, przez które wyciągnięto mu jelita na całą długość i owinięto je wokół samotnego krzaka nieopodal. Inny mudżahedin, zachęcany przez drugiego Amerykanina, zabawiał się przypalając wnętrzności Kaługina zapalniczką. Do Adama i jego towarzyszy dochodziło jedynie stłumione wycie Olega i krzyki Saszy. Jęków Iwana nie było słychać. A Misza Nikołajew wciąż czekał na swoją kolej.

- Trzeba wezwać śmigłowiec - powiedział ściszym głosem Bułatow.

- Nie, bo zrobi tu jatkę. Olegowi i Wani już nie pomożemy, ale Miszę i Saszkę trzeba wyciągnąć.

- O czym ty mówisz?! - Andriej nie wierzył własnym uszom. - Tam ich jest grubo ponad dwudziestu, może trzydziestu. Chcesz ich zaatakować? Chybaś oszalał!

- Nikogo nie będziecie atakować. Zajmiecie stanowiska ogniowe w tamtych pięciu miejscach. - Adam wskazał im punkty tworzące wydłużone półkole okalające obóz poniżej. - Strzelacie pojedynczo albo bardzo krótkimi seriami. Ja zejdem na dół, rozwalę paru gnoi i postaram się wrócić z chłopakami.

- Kurwa, chyba ci odbiło! Poszatkują cię, jak tylko tam dojdiesz - Bułatow złapał się za głowę, słysząc, na jak idiotyczny pomysł wpadł zawsze przecież trzeźwo myślący Gawlik.

- Nie sądzę. Poza tym wasza w tym głowa, by im się nie udało.

Adam nie zamierzał dyskutować - decyzja już zapadła. Poza tym natura im sprzyjała, jako że zapadły egipskie ciemności, a zachmurzone niebo nie przepuszczało światła gwiazd.

- Jak usłyszycie albo zobaczycie, że wyeliminowałem pierwszego, to strzelacie do wszystkiego, co się rusza - powiedział Adam.

- Masz albo porządnie nasrane we łbie, albo jesteś bohaterem - powiedział w końcu Andriej i położył mu rękę na ramieniu.

- Nie, Andriusza. Jestem Polakiem. Po prostu - odpowiedział Gawlik i zniknął w nieprzeniknionych ciemnościach.

Na umówiony sygnał nie musieli długo czekać. Pierwszy z wrogów wydał śmiertelny krzyk, a w obozie zawrzało jak w mrowisku, w które włożono kij. Celne strzały Bułatowa i pozostałych eliminowały wrogów jednego po drugim. Zaskoczeni mudżahedini miotali się i

strzelali na oślep, a tymczasem na dole działy się rzeczy z pozoru niemożliwe. Porucznik poruszał się między głazami jak błyskawica, pojawiał się i znikał, siejąc nagłą śmierć wśród biegnących w popłochu bojowników afgańskich, próbujących połapać się w sytuacji. Wrogowie mieli wrażenie, że jakiś upiór z samego dna piekła postanowił ich nękać tu i teraz, bo człowiek to przecież być nie mógł. Świst kul z każdej strony świata tylko potęgował przerażenie i panikę. Przed pociskami można się było ukryć, lecz przed tym nieludzkim potępieńcem, który zjawił się w ich obozie, ucieczki nie było. Padali z poderżniętymi gardłami, niemal odciętymi głowami i z kulami karabinowymi w głowach. Rosjanie u góry nie wierzyli własnym oczom, widząc, co się dzieje poniżej. Wiedzieli na co stać tego niezwykłego Polaka, ale to, co wyrabiał tam, na dole, przyprawiało ich o prawdziwy zawrót głowy.

Zaledwie kilka minut później było po wszystkim. Oleg i Iwan zginęli od kul, nie wiadomo, czy swoich, czy wroga, ale Saszka i Misza byli już w rękach towarzyszy. Trzej Amerykanie szybko się poddali i zostali doprowadzeni do porucznika Gawlika.

- Jesteśmy obywatelami amerykańskimi. Jeńcami wojennymi. I żądamy odpowiedniego traktowania - powiedział płynnie po rosyjsku pierwszy z nich, ten, który pomagał męczyć Saszę Kafidowa.

Adam taksował ich wzrokiem przez dłuższą chwilę, spoglądając każdemu prosto w oczy.

- Jesteście zwykłymi bandytami i niniejszym skazuję was na śmierć - odpowiedział beznamiętnie.

I błyskawicznymi cięciami nożem otworzył im gardła. Gdy padli na ziemię, rżąc w agonii, porucznik odwrócił się i podszedł do uratowanych towarzyszy.

- Śmigłowiec już w drodze - poinformował Adama Bułatow. - Mieli tu niezły arsenał, jednaście Stingerów - skinął w kierunku ręcznych wyrzutni pocisków ziemia-powietrze, produkcji amerykańskiej, które żołnierze wynieśli przed momentem z pobliskiej jaskini.

- No to się dowództwo ucieszy! Może medal dadzą...

- Niech se wsadzą medale w buty, to będą wyżsi. Do domu by puścili, cholery - Andriej skwitował słowa towarzysza.

\*

Siedzieli we trzech w kantynie już piątą godzinę, grając w pokera. Nikołajew rozłożył się z buciorami na sfatygowanej sofie, czytając ostatni numer „Prawdy”. Na stoliku obok leżało jeszcze kilka innych gazet. Wycofał się z gry, gdy tylko zorientował się, że Andriej Bułatow jest nie do pobicia. Albo miał dzisiaj cholerne szczęście, albo oszukiwał. Zresztą

pies go trącał, bo Misza nie zamierzał ryzykować całej swojej kasy.

Adam miał trzy asy. Trzymał karty w dłoni, marszcząc brwi i patrząc wyczekująco na towarzyszy. Sierioża Gubenko rzucał okiem to na swoje karty, to na pulę, w której pojawiła się już całkiem pokaźna suma, klnąc w duchu. Znowu nic, zaledwie para dziesiątek. Tego dnia zupełnie mu nie szło. Andriej wygrał już od niego wszystkie pieniądze, które ostatnio podesłali mu rodzice. Teraz szło o żołąd.

- Ile? - Gruzin zaczynał się niecierpliwić.

Gawlik rzucił w jego kierunku dwie karty. Dołożył nowe do pozostałych i powolutku zaczął odsłaniać jedną po drugiej. Jeden as, drugi, trzeci... król... Gawlikowi zabiło mocniej serce. Jest drugi król!

- Mi daj trzy - rzucił Siergiej, choć wiedział, że wytrawny pokerzysta czegoś takiego nie robi. Trzy karty do wymiany to wyraźna informacja dla pozostałych. Słabo.

- A dla mnie cztery.

Gawlik i Gubenko podnieśli na niego wzrok. Zaskoczenie było zupełne. Bułatow wymienia cztery? Czyżby szczęście się od niego odwróciło? Patrzyli na niego podejrzliwie. Andriej wziął karty do ręki i zajrzał do nich, a potem uśmiechnął się od ucha do ucha.

Bułatow był żywym zaprzeczeniem twierdzenia o twarzy pokerzysty, jako że robił miny i z zadowolenia szczyrzył zęby. Teoretycznie można było w nim czytać jak z książki, ale była to tylko teoria. Błefował po mistrzowsku, a gdy któryś z kolegów sprawdzał, zwykle okazywało się, że Andriej ma starsze karty i pieniądze zmieniały właściciela.

- Czekam - Gawlik nie zamierzał się podkładać.

- No, to dwieście - Gruzin rzucił na stół banknoty i uśmiechnął się zagadkowo.

- Beze mnie - Gubenko położył swoje karty na stole koszulkami do góry.

Bułatow wiedział, że to o sto więcej, niż ma Polak. Gawlik jeszcze raz rzucił okiem na swoje karty - miał maksa. Z drugiej jednak strony, zapożyczył się już nieźle u Miszki pod przyszły żołąd. Czy to możliwe, żeby Gruzin miał starszą kartę? Przecież wymieniał cztery. Nie mógł mieć aż takiego szczęścia. Jeżeli błefował, to robił to dość beczelnie. Adam spojrzał na Bułatowa. Andriej rozłożył ręce. Polak dostrzegł w uśmiechu Gruzina jakby mniejszą niż do tej pory pewność siebie.

- No, graj, graj, Adamek - Bułatow przestał się uśmiechać.

Polak spojrzał pytająco na Gubenkę. Siergiej skinął potakująco głową i przesunął w jego stronę swoje banknoty. Dokładnie sto rubli.

Zapadła cisza. Adam liczył, że Gruzinowi wreszcie puszcza nerwy i będzie można ostatecznie zakończyć sprawę, ale, jak na złość, twarz Andrieja przypominała teraz kamienną

maskę.

Drzwi do kantyny otworzyły się, do środka wszedł żołnierz. Wypreżył się w postawie na baczność i zasalutował.

- Porucznik Nikołajew i porucznik Gawlik mają natychmiast stawić się u pułkownika Iwanowa!

Szeregowiec meldował w sposób jak najbardziej przepisowy, więc najwyraźniej był nowy. Jak tu trochę pobędzie, to mu przejdzie.

Młody człowiek czekał na potwierdzenie przyjęcia rozkazu lub na jakąkolwiek inną reakcję, ale na próżno. Reakcji nie było. Miszka nadal ukrywał się za rozłożoną gazetą, a Adam wpatrywał się w leżącą na środku stołu kupkę pieniędzy. Żołnierz spoglądał raz na leżącego na kanapie, raz na pokerzystów. Nie mogli go nie usłyszeć, meldował głośno i wyraźnie.

Mimo że przybył do Afganistanu zaledwie tydzień temu, to słyszał już o Gawliku i jego wyczynach. Ciekaw był, jak wygląda człowiek, o którym krążyły już legendy.

Niezręczna cisza trwała jeszcze około minuty.

- Gawlik, rusz się. Stary nas wzywa. Trzeba iść - rzucił Miszka, ale sam ani drgnął. Nie złożył nawet gazety, jakby z góry wiedział, że jego słowa i tak nie odniosą żadnego skutku. Nie mylił się.

- Zamknij się, Miszka - powiedział Polak takim tonem, jakby chciał się opędzić od jakiegoś natręta.

- Towarzyszu poruczniku, pułkownik Iwanow... - zaczął niepewnie żołnierz, zwracając się bezpośrednio do siedzącego do niego tyłem oficera.

Gawlik przeszył go spojrzeniem, które sprawiło, że pod młodym ugięły się nogi. Ciarki poszły mu po plecach. Prawdę mówili o tym strasznym człowieku.

- Wypierdalaj! Gram teraz! - powiedział porucznik podniesionym głosem i odwrócił się z powrotem do stołu.

Żołnierzowi w głowie się nie mieściło, że ktoś może zignorować rozkaz samego pułkownika Iwanowa. Gapił się tępo z otwartymi ustami najpierw na plecy Polaka, a potem na gazetę, za którą kryła się twarz porucznika Nikołajewa.

- C.. cc... co mam zameldować pułkownikowi? - niemal szeptem wydukał szeregowiec.

- Zamelduj, że porucznik Gawlik i Nikołajew stawiają się u pułkownika bezzwłocznie - dobiegło go zza gazety.

- Odmeldowuję się!

Młody człowiek zniknął za drzwiami.

- Sprawdzam - Gawlik rzucił na stół pieniądze.

Położył przed Bułatowem karty, jedną po drugiej.

Maks prezentował się imponująco. Gubenko pokiwał głową z uznaniem. Andriej jeszcze przez kilka sekund patrzył w swoje karty, a potem zaczął je wykladać, podobnie jak Adam, jedną po drugiej. Dziewiątka... druga dziewiątka... trzecia dziewiątka... Adam zamarł. Gruzin trzymał w dłoni jeszcze dwie. Rzucił okiem na Gubenkę i przeniósł wzrok na Gawlika. Na stole pojawiła się kolejna karta. Również dziewiątka.

- No, kurwa mać! - skomentował nad wyraz trafnie Polak. Wstał z krzesła. - Misza, rusz dupę, idziemy do Iwanowa!

Nikołajew wyjątkowo niechętnie złożył „Prawdę”, a potem zwlekł się z sofy i podążył za przyjacielem.

Bułatow zabrał się za układanie pieniędzy, a Gubenko wstał od stołu i podszedł do stolika z gazetami.

\*

Porucznicy stanęli na baczność przed pułkownikiem i zaszalutowali.

- Porucznik Nikołajew i porucznik... - zaczął meldować Miszka.

- Zamknij się - przerwał zniecierpliwiony pułkownik. - Nie śpieszyliście się, łajzy. Pewnie znowu chleliście albo rznąliście w karty na pieniądze, chociaż wiecie, że nie wolno.

- Nie, towarzyszu pułkowniku - odpowiedział Gawlik.

- Co „nie”?

- Nie chleliśmy.

Misza z trudem powstrzymał uśmiech.

- Gawlik, nie wkurwiał mnie, bo stracę cierpliwość! - Iwanow nie miał ochoty na żarty. - Jest robota. Mamy człowieka od Pustuma. Trzeba od niego wyciągnąć, gdzie teraz jest Pustum z oddziałem. Tym zajmie się Nikołajew.

- Jakież sugestie, towarzyszu pułkowniku?

- Mamy jego żonę i dwie córki. Bierz czterech ludzi, śmigłowiec i wiesz, co masz robić...

- Tak jest.

- Najpóźniej za godzinę masz meldować przez radio, gdzie szukać Pustuma.

Miszka zaszalutował i wyszedł z gabinetu pułkownika.

- Lecisz ze mną, Gawlik - Iwanow postukał palcem wskazującym w leżącą na stole mapę wojskową. - Ta wioska wspiera Pustuma i jego oddział. Muszę wiedzieć, gdzie gnoja

szukać. Polecimy i zweryfikujemy to, czego dowie się Nikołajew. Musimy sprawdzić, żeby się nie władować w zasadzkę. Pomożesz mi.

- Rozumiem, towarzyszu pułkowniku.

- Pamiętaj, że to są wrogowie. Nie możemy sobie pozwolić na litość.

- Pamiętam - odpowiedział Polak ponuro. Jego ton nie wróżył nic dobrego.

- Ludzie i śmigłowce czekają. Broń weźmiesz po drodze, a ja zaraz do was dołączę.

Gawlik wiedział, co ma robić. Nie była to dla niego żadna nowość, nieraz już uczestniczył w takich akcjach. Odmeldował się, a pułkownik pochylił się nad mapą.

\*

Kobieta miała na sobie niebieską afgańską burkę, która zasłaniała jej całe ciało, łącznie z twarzą - obserwowała otoczenie przez gęstą siatkę na wysokości oczu. Podobnie ubrana była jej starsza, może dwunastoletnia córka. Młodsza, około pięcioletnia dziewczynka ubiorem w niczym nie przypominała matki i siostry. Za strój służyła jej długa do kostek czarna suknia z grubego płótna, przepasana czerwonym kawałkiem materiału.

Brodaty Afgańczyk miał związane z tyłu ręce. Siedział spokojnie oparty o ścianę śmigłowca. Miał poobijaną twarz i krwawe ślady na szyi - po torturach, które nie przyniosły spodziewanego efektu. Żołnierze nie spuszczały go z oczu, jako że był wyjątkowo niebezpieczny. Gdy maszyna wzniosła się kilkaset metrów nad ziemią, Nikołajew skinął na jednego ze swoich ludzi - żołnierza armii afgańskiej wiernej władzom w Kabulu. „Gdzie jest oddział Pustuma?”, zapytał ten w języku paszto. Jeniec zignorował skierowane do niego słowa, wpatrując się w otwartą przestrzeń na zewnątrz helikoptera. Szczyty gór przesuwają się powoli za oknem.

Porucznik spodziewał się takiej reakcji, a właściwie jej braku. Dlatego w końcu tu był. Skinął na dwóch innych żołnierzy. Ci chwycili siedzącą spokojnie kobietę i zdarli z niej ubranie. Jej córki zaczęły rozpaczliwie zawodzić. Kobieta krzyczała, próbując wyrwać się oprawcom, lecz silny cios w twarz odebrał jej chęć walki. Z rozbitego nosa popłynęła krew. W końcu rozebrali ją do naga. Afgańczyk zawył jak dzikie zwierzę i poderwał się na równe nogi, lecz porucznik kopnął go w usta. Mężczyzna wypluł dwa przednie zęby, silne ramiona dwóch żołnierzy przytrzymały go na miejscu. Pozostali dwaj powlekli kobietę do otwartych drzwi i wypchnęli ją na zewnątrz, a potem podnieśli mężczyznę i zmusili go, by patrzył, jak spada. Po krótkiej chwili jej nagie ciało roztrzaskało się o skały. Jeniec dyszał ciężko, wpatrując się we wrogów nienawistnym wzrokiem.

- Spytaj go jeszcze raz - polecił oficer.

Mężczyzna w odpowiedzi plunął rodakowi w twarz.

Żołnierz afgański zamachnął się i zdzielił go w tył głowy.

- Jak sobie chcesz - powiedział beznamiętnie porucznik. - Teraz tą.

Żołnierze natychmiast zdarli burkę ze starszej dziewczynki. Nie stawiała oporu, łkając głośno. Po chwili podzieliła los matki, a krzyk spadającego w przepaść dziecka świdrował mózg mudzahedina. Zacisnął usta, trzęsąc się w bezsilnej rozpacz.

- Powiedz mu, że mała będzie następna. I spytaj, gdzie jest Pustum z oddziałem.

Żołnierz posłusznie wykonał rozkaz. Bojownik wycedził kilka zdań, z ust płynęła mu krew.

- Pękl. Są dwadzieścia kilometrów na północ od wioski, o której mówił pułkownik. Siedzą w grotach.

- Wiesz dokładnie gdzie?

- Wiem, towarzyszu poruczniku. Znam tamte tereny.

- Idź do pilota i przekaz mu informacje. Pułkownik czeka.

\*

Rosjanie wypędzili wieśniaków z domów. Mieli rozkaz strzelać bez ostrzeżenia w razie jakichkolwiek oznak buntu lub gdyby któryś z Afgańczyków chciał uciekać. Już na samym początku akcji od strzałów w głowę padło trzech ludzi, a pozostałych stłoczono w centralnej części wsi.

Sierżant przywłókł za żołnierz przewodniczącego miejscowej starszyny, stawiając go przed Iwanowem i Gawlikiem. Był to mężczyzna około sześćdziesięcioletni. Patrzył hardo na Rosjan, a w jego oczach nie widać było cienia strachu.

Podbiegł do nich radiotelegrafista.

- Towarzyszu pułkowniku! Właśnie dostaliśmy informacje od porucznika Nikołajewa. Złamali tamtego Afgańczyka. Podał dokładną lokalizację oddziału Pustuma. To mniej więcej tutaj - pokazał zwierzchnikowi miejsce na mapie.

- Bardzo dobrze - ucieszył się Iwanow. - To teraz te informacje zweryfikujemy. Spytaj, gdzie jest teraz Pustum - zwrócił się do tłumacza.

Afgańczyk w mundurze Armii Czerwonej przekazał pytanie. Starszy człowiek odpowiedział w kilku zdaniach.

- Mówi, że nie wie. Mówi, że Pustum tu nie przychodzi. Wyniósł się z tego rejonu kilka miesięcy temu.

- Kłamie, blać! - syknął Iwanow. - Powiedz mu, że wiemy, gdzie jest Pustum. Chcemy tylko potwierdzić to, czego się dowiedzieliśmy. Jak nam powie, to zostawimy wioskę w spokoju i nikt więcej nie zginie.

Między Afgańczykami nastąpiła krótka wymiana zdań.

- Mówi, że jeżeli wiemy, gdzie jest Pustum, to powinniśmy tam iść z nim walczyć, a nie mordować niewinnych mieszkańców wioski. Powtarza, że nic nie wie, i że nie chce mieć nic wspólnego ani z Pustumem, ani z nami.

- Nie chcesz gadać, starik? - pułkownik złapał Afgańczyka oburącz za ubranie i przyciągnął go do siebie. Mężczyzna patrzył Rosjaninowi prosto w oczy, a w jego wzroku można było wyraźnie dostrzec dumę i pogardę dla najeźdźcy. - No, to pogadamy inaczej. Gawlik, gdzie jego rodzina?

- Córka i dwoje wnucząt - porucznik wskazał na kobietę z dwojgiem kilkuletnich dzieci stojących na przedzie grupy wieśniaków.

- Dawaj gówniarzy!

- Przyprowadzić dzieci - Gawlik rzucił rozkaz.

Dwóch żołnierzy chwyciło malców za ręce. Matka próbowała je bronić, krzycząc przeraźliwie, ale uderzenie kolbą kałasznikowa pozbawiło ją przytomności. Dzieciaki były zbyt przerażone, by się opierać, patrzyły jedynie zaokrąglonymi od strachu oczyma na ludzi w mundurach. Iwanow wskazał na stojący obok drewniany stół.

- Przywiązać ich tak, żeby przedramiona wystawały poza krawędź.

Maluchy zostały ułożone na brzuchu z wyciągniętymi do przodu rękoma i skrupowane sznurami. Starzec przyglądał się poczynaniom Rosjan z rosnącym niepokojem.

- Co chcecie zrobić? - spytał po rosyjsku pułkownika.

- Wot, swołocz! Po naszymu gadasz? - Iwanow nie ukrywał zdumienia. - Mów, gdzie Pustum, to nic im się nie stanie.

- Nie wiem, gdzie jest Pustum. My prości ludzie, do polityki się nie mieszamy. To są tylko dzieci, niczemu niewinne - obawa w jego głosie była już bardzo wyraźna.

- Skoro nie wiesz... Zapalać! - rozkazał.

Żołnierz oblał przedramiona małych Afgańczyków benzyną. Starzec złapał się za głowę, zdając sobie sprawę, co się za chwilę stanie. Człowiek Iwanowa nie czekał na powtórzenie rozkazu. Podpalił, a dłonie dziewczynki i chłopca zamieniły się w pochodnie. Malcy zaczęli wrzeszczeć na całe gardło i wić się z bólu. Starzec chciał skoczyć im na ratunek, ale zatrzymała go silna ręka Gawlika. Pozostali Afgańczycy przyglądali się wszystkiemu z przerażeniem.

- Powiem wszystko! - krzyknął mężczyzna.

- Zgasić! - zakomenderował pułkownik.

Gaśnica była w pogotowiu. Wiedzieli, że wieśniak nie wytrzyma i się załamie. Ogień



został sprawnie ugaszony, lecz dzieci ani na chwilę nie przestawały wyć z bólu. Jeden z żołnierzy przeciął im więzy i pozwolił, by wieśniacy je zabrali. Dotkliwie poparzone rączki przedstawiały oplakany widok.

- Gdzie? - warknął Iwanow.

Afgańczyk wciąż trzymał się za głowę. Nie mógł uwierzyć, że sytuacja, której był świadkiem przed momentem, naprawdę miała miejsce.

- Dwadzieścia kilometrów stąd, na północ. Są w tamtejszych grotach - wyjęczał i ukrył twarz w dłoniach.

- Gawlik, zbieraj ludzi.

- Do maszyn! - wrzasnął porucznik i grupa operacyjna pośpieszyła w kierunku czekających nieopodal śmigłowców.

Informacje zostały potwierdzone. Teraz wystarczyło tylko zorganizować zmasowane uderzenie i oddział nieuchwytnego jak dotychczas dowódcy mudżahedinów przestanie istnieć.

\*

Wkrótce potem zaczęła się rodzić ponura sława porucznika Armii Radzieckiej Adama Gawlika. Akcja odbicia żołnierzy z zestrzelonego helikoptera stała się powszechnie znana, a późniejsze działania Polaka budziły powszechną grozę. Brał czynny udział w kolejnych kampaniach wymierzonych w zbuntowaną ludność Afganistanu. Z zimną krwią i całą bezwzględnością pozbawiał życia każdego, na kim zaciążył choćby cień podejrzenia o współpracę z ruchem partyzanckim. A najbardziej przerażająca była jego zupełna obojętność na płeć i wiek ofiar.

\*

- Tutaj - Iwanow wskazał palcem jakieś miejsce na mapie.

Otrzymał właśnie najświeższe raporty złożone przez dowódcę patrolu, którego wcześniej wysłał na rekonesans w podejrzany rejon. Trwała odprawa oficerów w sztabie wojsk radzieckich, działającym w stolicy prowincji - mieście Kandahar.

- Ponad wszelką wątpliwość mieszkańcy tego regionu wspierają działające tam oddziały mudżahedinów. Zaopatrują ich w żywność, pomagają w organizacji transportów broni z Pakistanu i załatwiają lekarzy dla rannych. Nie możemy sobie pozwolić, żeby mudżahedini korzystali z takiego zaplecza. Straciliśmy tam już kilka maszyn i wielu ludzi.

- Co proponujecie, towarzyszu pułkowniku? - spytał dowódca sztabu, generał Michaił Jakowlew.

- Uderzenie niewielkim oddziałem i pełną eksterminację ludności.

- Tam będą kobiety, dzieci i starcy - zauważył major Jurij Mikulin.

- Towarzyszu majorze, to nie kobiety, dzieci i starcy, tylko bandyci płci żeńskiej i męskiej w szerokim przedziale wiekowym. Gówniarze też strzelają do naszych. Nie możemy tego tolerować!

Ten pułkownik jednostek specjalnych przerażał Mikulina, jednego z dowódców obecnych na naradzie. Oficer spuścił wzrok, bo wiedział, że i tak nic nie wskóra. Stał się milczącym świadkiem planowania zbrodni wojennej.

- Oficerowie niechętnie wykonują takie rozkazy - stwierdził Jakowlew. - Przestają wierzyć, że cywilne ofiary służą sprawie.

Iwanow nie zamierzał pozwolić, by tak drobne przeszkody, jak wątpliwości niektórych żołnierzy, uniemożliwiły mu realizację zadania.

- Jest i na to lekarstwo. Trzeba wysłać Gawlika. Dam mu swoich najlepszych ludzi. Zrobi co trzeba i jak trzeba. Szybko i skutecznie.

Patrzył wymownie na generała, oczekując akceptacji swojej propozycji.

- Straszne rzeczy mówią o tym twoim Gawliku, ale na tę akcję nadaje się idealnie. Biercie się do roboty, towarzyszu pułkowniku.

- Mądra decyzja, towarzyszu generale - skomentował Iwanow i wyszedł z hangaru.

- Towarzyszu generale... - odezwał się błagalnym tonem Mikulin, jeszcze mając cień nadziei, że atak mimo wszystko nie dojdzie do skutku. - Przecież tak nie można!

- Zamknij się, Mikulin! - zgromił go głównodowodzący. - To jest wojna! Nie zapominaj o tym, bo możesz nie dożyć jej końca.

\*

Rozkaz, który przekazano Adamowi, był jasny. Celem kolejnej akcji pod jego dowództwem stała się afgańska wioska. Podejrzewano jej mieszkańców o wspieranie mudzahedinów, straszliwie torturujących żołnierzy radzieckich. Ta informacja wystarczyła mu w zupełności do rozpoczęcia akcji.

Porucznik wysadził część ludzi wcześniej, przed wioską. Zadaniem oddziału wsparcia było odcięcie wrogom wszelkich możliwości wydostania się z zasadzki. Na dźwięk zbliżających się wojskowych śmigłowców mieszkańcy wioski wpadli w panikę, a kilkunastu młodych mężczyzn rzuciło się do ucieczki, ale strzały z kałasznikowów grupy ryglującej zasadzkę szybko ostudziły ich zapał. Wrogowie padali martwi pod precyzyjnym ogniem wychowanków Iwanowa. Nikt nie miał prawa się wymknąć.

- Towarzyszu poruczniku, gotowe. Mamy wszystkich - zameldował sierżant Bakunin.  
- Czekamy na dalsze rozkazy.

- W porządku. Róbcie swoje.

Porucznik z odległości kilkudziesięciu metrów przyglądał się stłoczonym na placu mieszkańcom. Kobiety głośno zawodziły, a co niektóre podnosiły trzymane na rękach szczelnie opatulone niemowlęta, próbując wzbudzić litość w podoficerach. Kilkuletnie maluchy trzymały się kurczowo rodziców, rozglądając się wokół wielkimi z przerażenia oczami, inne wtórowały swoim matkom głośnym płaczem. Tylko dzieci do końca nie zdawały sobie sprawy, co się właściwie dzieje.

Właśnie zakończono kopanie szerokiego rowu, żołnierze odebrali Afgańczykom łopaty. Żołdacy zaczęli brutalnie wpychać wieśniaków do wykopu. Podniósł się ogłuszający wrzask rozpacz. Kobiety błagały, by oszczędzić ich potomstwo. Mężczyźni wskakiwali do dołu bez słowa, z zaciętymi ustami i zwierzęcą nienawiścią w oczach. Byli pewni, że zostaną pomśczeni. Padały pojedyncze strzały, którymi Rosjanie gasili jakiegokolwiek próby oporu. Martwe ciała zwały się ciężko na tłoczących się w dole ludzi, którzy padali pod ich ciężarem. Gawlik skinął głową przyzwalająco. Kilkanaście długich serii z kałasznikowów zamieniło stłoczonych w rowie Afgańczyków w pulsującą, krwawą masę. Pociski jednych pozbawiły życia, innych ciężko raniły. Części pozostałych, głównie dzieci, które rodzice starali się chronić własnym ciałem, kule nie dosięgły.

- Zakopać! - z ust oficera padł kolejny rozkaz.

Wykonano go szybko i sprawnie, a porucznik Gawlik nakazał powrót do bazy. Jeszcze przez jakiś czas ziemia ruszała się nad pogrzebanymi żywcem ludźmi.

\*

Zemsta mudzahedinów nie dosięgła uczestników akcji - zarówno tej, jak i kilku następnych. Na początku 1989 roku konflikt w Afganistanie dobiegał końca. Żołnierze interwencyjnych wojsk radzieckich zaczęli powracać do domów. Nie wszyscy mieli dokąd.

### *Pakistan, przy granicy z Afganistanem*

Knajpa była wyjątkowo obskurna: ponure, brudne pomieszczenie, w którym stłoczono dziesięć naprędce zbitych stolików, obstawionych przez krzywe taborety. Gawlik czekał już trzecią godzinę, medytując nad kubkiem alkoholu niewiadomej produkcji. Był mocny, więc nieszczególnie obchodziło go, jak trafił do tej speluny. Za barem, którego czystość przyprowadziłyby polskiego inspektora sanepidu o zawał serca, siedział starszy człowiek o zniszczonej twarzy. Bezmyślnie wgapił się w ścianę naprzeciwko i przeżuwał spóźnione śniadanie, ignorując jedyne o tej porze gościa, usadowionego w kącie „lokalu”. Obydwaj

czekali na tego samego człowieka - miał przywieźć towar dla właściciela wyszynku i zabrać przybysza na jakąś szemraną, ale nieźle płatną robotę. Starszego mężczyznę nie obchodziło, co to za robota i za ile. Zdawał sobie sprawę, że im mniej wie, tym lepiej dla niego i rodziny. Ktoś szuka zarobku, inny płaci. Powie się parę słów komu trzeba, a co dalej, to już nie jego problem.

Prowizoryczne drzwi z desek uchyliły się, wpuszczając do pomieszczenia trochę słońca. Spojrzenia mężczyzn powędrowały w stronę wejścia. Do środka wśliznęła się jakaś postać, niezbyt wyraźnie widoczna na tle słońca. Twarz starego rozjaśnił uśmiech. Szczupła, kilkunastoletnia dziewczyna podbiegła do barmana i cmoknęła go w policzek, a potem postawiła na brudnej ladzie koszyk, który trzymała w lewej dłoni. Miała ładną, delikatną buzię, co w tych stronach jest raczej rzadkością, jako że miejscowe kobiety nie grzeszą urodą. Zaczęli rozmawiać.

W Afganistanie Gawlik podłapał trochę lokalnego języka, ale z ich rozmowy nie rozumiał zupełnie nic. Pochylił się nad kubkiem. Trzeba czekać, nie wiadomo jak długo. Ale trzeba. Wrócił myślami do Kandaharu. Może powinien był wrócić z Armią Radziecką? Może mateczka Rosja, choć dla niego bardziej macocha, nie dałaby weteranowi wojny afgańskiej zdechnąć z głodu? Może by go nie odesłali do Polski, gdzie czekałoby go długoletnie więzienie za pobicie i dezercję? Może. Zdecydował inaczej, więc trzeba czekać.

Drzwi otworzyły się ponownie, tym razem na całą szerokość. Pomieszczenie zalało światło słońca. Do środka weszło czterech mężczyzn odzianych w wojskowe buty, spodnie i kamizelki bez rękawów, z kieszeniami najróżniejszych rozmiarów. Rzucili kilka badawczych spojrzeń na wnętrze przybytku i podeszli do lady. Wielki, krótko wystrzyżony blondyn z tatuażem smoka na przedramieniu zwrócił się po angielsku do właściciela:

- Dawaj whisky, stary.

Przybysz pochylił się lekko w stronę człowieka za barem. Jego agresywny ton sprawił, że dziewczyna odsunęła się odruchowo od lady, co u pozostałych wywołało uśmiech zadowolenia. Gawlik rozpoznał akcent z południowych Stanów - pewnie Missisipi albo Alabama. W Riazaniu mieli dobrych nauczycieli języka, którzy cały czas, kto wie, czy nie słusznie, wpajali im, że język wroga trzeba poznać jak najlepiej. Gawlik był pojętym uczniem.

- Nie ma tu whisky - odpowiedział barman łamaną angielszczyzną. - Skąd tu whisky? My za biedni na whisky.

Mówił prawdę. Przemytnczy omijali ten rejon. Tu nie było klienteli na tak szlachetny i wyjątkowo tu kosztowny alkohol, choć, w razie potrzeby, jak najbardziej możliwy do

sprowadzenia.

Do rozmowy włączył się drugi przybysz - długowłosa, z kitką włosów związanych z tyłu głowy.

- Nie wkurwiał nas stary, bo rozniesiemy tę budę na strzępy. Pić nam się chce!

Dwaj pozostali założyli ręce na piersiach i przyglądali się barmanowi, czekając na dalszy bieg wypadków. Z całą pewnością byli gotowi wprowadzić groźby długowłosego w czyn. Gawlik wiedział, co to za ludzie - amerykańscy najemnicy. Miał z takim do czynienia parę lat temu i wiedział, że Pakistan jest ich bazą wypadową. Najgorszy gatunek człowieka, zwierzęta w ludzkiej skórze. Ponownie pochylił się nad swoim kubkiem, wydarzenia dziejące się kilka metrów dalej przestały go interesować. Nie obchodziły go lokalne problemy - po prostu chciał jak najszybciej się stąd wydostać. Trzeba czekać. Może jeszcze kilka godzin. Ten człowiek ma pojawić się dzisiaj.

Blondyn wyciągnął rękę ponad ladą i chwycił starego za kark.

- Słuchaj, szmaciarzu! Nie będę dyskutował z takim gównem, jak ty. Gdzie masz whisky?!

- Nie mam, proszę pana - barman próbował ułagodzić najemnika. - Naprawdę nie mam, bo tu nikt by nie kupił. Mogę dać wódkę. - zaproponował napój, który z prawdziwą wódką naturalnie nie miał nic wspólnego, o czym mógł przekonać się gość siedzący w kącie nad kubkiem tego dziwnego płynu.

Blondyn nie zamierzał czekać na dalsze wykręty. Silnym ruchem pociągnął do siebie głowę ofiary i walnął nią o blat. Barman odruchowo położył dłonie na powierzchni nieheblowanego drewna, by stawić opór, lecz na nic się to zdało. Z rozbitego nosa i ust popłynęła struga krwi. Pakistańczyk uniósł głowę i spojrzał błagalnie na prześladowcę. Zrozpaczona dziewczyna ukryła twarz w dłoniach, szlochając głośno. Na barze zostały dwa zęby. Amerykanin ocenił skutki uderzenia ze znanstwem i widocznie uznał, że nie są wystarczające, gdyż ponownie walnął twarzą właściciela knajpy o blat. Krew trysnęła na wszystkie strony, a jedna kropla padła na policzek długowłosego. Ten zmazał ją końcem palca wskazującego i oblizał lubieżnie, wystawiając język. Błyskawicznie skoczył na ladę i wyciągnął zza niej dziewczynę. Była drobna, więc jego silne ramiona z łatwością uniosły ją w górę i postawiły za barem, gdzie pochwycili ją pozostali dwaj. Dziewczyna zaczęła się szarpać i krzyżeć. Mimo silnego chwytu za kark barman podniósł głowę. Długowłosa z kitką wyciągnął wielki wojskowy nóż i przyłożył jej ostrze do gardła.

- Zamknij się - wycedził - albo ci pomogę.

Przeżrana nastolatka zamilkła. Słyszała opowieści o tych ludziach i wiedziała, że z

pewnością zrealizowałby groźbę. A chciała żyć.

- Proszę, błagam was! - jęknął właściciel lokalu. - Bardzo panów proszę, zostawcie moją córkę. Zrobię, co zechcecie.

- Za późno - rzucił blondyn. - Twoja córeczka bardzo mi się spodobała.

Gawlik starał się nie zwracać uwagi na rozgrywający się w knajpie dramat. Miał nadzieję, że również przybysze nie zainteresują się samotnie siedzącym człowiekiem, jako że nie miał najmniejszego zamiaru wdawać się w lokalne awantury. Faktycznie, traktowali go jak powietrze, choć byli świadomi jego obecności.

Blondyn kiwnął głową na długowłosego. Ten w lot zrozumiał intencje towarzysza i wprawnym ruchem rozciął dziewczynie górną część ubrania. Nastolatka szlochała już na całego, a łzy ciurkiem płynęły po delikatnych policzkach. Trzeci z najemników rozerwał resztę poszarpanego ubrania i ściągnął z niej sukienkę. Jej kształtne młode piersi wzbudziły u Amerykanów nieklamany podziw. Uśmiechali się jeden do drugiego - zabawa dopiero się zaczynała.

- No, niezła jesteś - powiedział blondyn, szczerząc zęby. - Zobaczmy, co tam jeszcze chowasz...

Sięgnął do jej bielizny, o dziwo niezłej jakości. Włożył palce między materiał a biodro dziewczyny i jednym sprawnym ruchem zerwał z niej majtki. Dziewczyna stała przed nimi naga, trzymana z tyłu za ręce przez jednego z mężczyzn. Była już zrezygnowana i potulna. Nie zamierzała walczyć. Niech zrobią z nią, co zechcą, byle zostawili tatę w spokoju. Blondyn przejechał delikatnie dłonią po jej krągłych piersiach i powoli przesunął palce w dół, w kierunku krocza. Córka właściciela knajpy nie protestowała. Chciała to mieć już za sobą...

Zupełnie niespodziewanie w głębi pomieszczenia rozległ się ostry głos.

- Haram!

Zaskoczenie było kompletne. Najemnicy spojrzeli na samotnika siedzącego przy stoliku w przeciwległym końcu sali. Blondyn rozluźnił uścisk na karku barmana, a ten również skierował wzrok na jedyne, jeszcze do niedawna cichego gościa.

- Haram! - rzucił ponownie Gawlik, tym razem jeszcze dobitniej, i wstał.

Amerykanie bywali w świecie islamskim i doskonale wiedzieli, co to słowo znaczy - dosłownie: „To, co zakazane”. A słowo to wypowiedziane ostrym tonem nigdy nie wróży nic dobrego. Ten człowiek ewidentnie szukał z nimi zwady.

Długowłosey z kitką postanowił zdusić problem w zarodku - zamachnął się i jego nóż wojskowy przeciął powietrze. Gawlik uchylił się w ostatniej chwili, co ograniczyło niemal z

udem, biorąc pod uwagę szybkość najemnika i niewielki dystans - ostrze wbiło się w drewnianą ścianę za nim na wysokości jego szyi. Długowłosy zdziwił się nieco - ten facet był niezły, ale z pewnością nie tak dobry, jak on i jego zaprawieni w bojach kumple. Wyciągnął kolejny sztylet i wolnym krokiem zbliżał się do przeciwnika. Gawlik wyciągnął ostrze ze ściany, opuścił je na wysokość bioder i wyszedł zza stolika. Czekał. Amerykanin spojrzał mu w oczy. Dostrzegł w nich chłód, który powinien zaalarmować jego instynkt samozachowawczy, instynkt przetrwania za wszelką cenę. Ale tak się nie stało. Najemnik podszedł na mniej niż metr do stojącego nieruchomo Gawlika i zdecydował się na atak. Jego uzbrojona dłoń uderzyła z szybkością błyskawicy. Przeciwnik powinien zostać śmiertelnie ugodzony. Ale nie został - ostrze Amerykanina przecięło powietrze. Reakcja nieprzyjaciela była jeszcze szybsza, choć wydawało się to wręcz niemożliwe. Długowłosy padł na stół, łamiąc go swoim ciężarem, a z jego rozprutego gardła buchała krew, rozlewając się już w kałużę. Pozostali trzej najemnicy, również uzbrojeni w noże, rzucili się z wściekłością na zabójcę ich towarzysza, zaś uwolniona dziewczyna ukryła się za barem, w ramionach poturbowanego ojca. Pośpiesznie okryła swoją nagość tym, co pozostało z sukienki i oboje wybiegli z knajpy.

Pierwszy atak najemników był jednocześnie ich ostatnim. Szybkość, z jaką operował ten nieznajomy, budziła przerażenie, lecz było już za późno. Unik, cięcie, blok, pchnięcie. Jego błyskawiczne, a jednocześnie straszliwie precyzyjne ruchy siały śmierć z każdym uderzeniem. Walka trwała zaledwie kilkadziesiąt sekund. Blondyn leżał z rękojeścią noża wystającą z boku głowy na wysokości ucha. Drugi Amerykanin padł z wielką plamą krwi na lewej piersi, po precyzyjnym ciosie w serce. Trzeci oprych jeszcze przez chwilę wydawał chrapliwe dźwięki, lecz po chwili skonał, trzymając się za rozprute gardło. Gawlik przez moment przyglądał się swojemu dziełu zniszczenia, gdy nagle dostrzegł kątem oka, że ktoś siedzi przy jego stoliku. Polak podszedł i spojrzał na przybysza z góry.

- Proszę usiąść - nowo przybyły zwrócił się do Gawlika po angielsku.

Miał dziwny akcent - ani brytyjski, ani amerykański. Nieznajomy zakradł się do baru zupełnie niepostrzeżenie. Musiał wejść za kontuar i przeskoczyć pod ścianą, gdy Gawlik rozprawiał się z najemnikami. Ten człowiek, niewyglądający na zwykłego zjadacza chleba, był świadkiem masakry Amerykanów. Jedynym świadkiem, więc raczej nie powinien opuścić tego pomieszczenia żywy. Właściciel baru i jego córka się nie liczą.

- Niech się pan nie denerwuje, panie Gawlik, jestem po pana stronie. I niech pan usiądzie. Pogadajmy...

Adam zrozumiał, że to właśnie jest ów wyczekiwany nieznajomy. Z drugiej strony,

nie przypominał sobie, żeby komuś podawał tu nazwisko. Skąd ten mężczyzna je znał? Kim był? Tak czy inaczej, dobrze mu z oczu nie patrzyło. Niestety, w tej chwili był jego jedyną szansą na wydostanie się z tej dziury i złapanie jakiejś roboty, która pozwoliłaby mu pomyśleć, co dalej ze sobą robić.

- Chce pan rozmawiać tutaj? - Gawlik spojrzał znacząco na trupy najemników.

- Proszę się nie obawiać, posprzątają - uspokoił go незнаjomy.

- My się znamy? - spytał Polak.

Założył ręce na piersiach i wpatrywał się w rozmówcę. Nie miał wątpliwości: to był żołnierz. Rysy twarzy i spojrzenie zdradzały ponadprzeciętną inteligencję, więc z pewnością oficer. W dodatku taki, któremu nieobce było doświadczenie na prawdziwym polu bitwy.

- Nie osobiście - przybysz położył łokcie na blacie i oparł brodę na zaciśniętych pięściach. Knykcie u nasady palca wskazującego i serdecznego były lekko spłaszczone i ciemniejsze niż reszta skóry na wierzchniej części dłoni. Gawlik wiedział, co to oznacza - pozostałość po niezliczonej ilości pompek wykonywanych na kostkach, charakterystycznym ćwiczeniu w karate, które ma na celu utwardzenie powierzchni, która styka się z celem w trakcie ciosu. Z czasem kości stają się tak twarde, że adept sztuki walki rozbija pięścią deskę, nie czując żadnego bólu. - Nazywam się Barlow. Reprezentuję pewną organizację, w której pana wiedza, doświadczenie i dość niezwykle umiejętności zostałyby docenione i sownie opłacone. O pana wyczynach w Kandaharze było tutaj swego czasu dość głośno.

Gawlik nie bardzo rozumiał. Jego afgańska działalność z całą pewnością nie przysporzyłaby mu tu przyjaciół, dlatego między innymi, nie afiszował się tym, kim był i co robił. Hordy afgańskich bojowników urządziłyby sobie na niego polowanie, a ten człowiek chce mu dać dobrze płatną robotę? Czyżby prowadził jakąś prywatną wojnę, na którą szukał najemników? W sytuacji Gawlika żadne uczciwe zajęcie nie wchodziło w grę.

- Proszę mówić - powiedział cicho Polak.

- Z pewnością zdaje sobie pan sprawę z sytuacji, w jakiej się pan teraz znalazł. Wrogie otoczenie, a szanse na karierę, że się tak wyrażę, raczej marne. Zanim dotrze pan do jakiegoś cywilizowanego kraju, dopadną pana wrogowie, a ma ich tu pan wielu, choć nie przeczę, że udało się panu wzbudzić ich podziw.

- Co pan proponuje? - spytał Polak beznamiętnie.

- Jest parę intratnych zleceń. Do ich realizacji potrzebni są ludzie tacy jak pan - eksperci w wojennym rzemiośle.

- Mam być najemnikiem? - zmarszczył lekko brwi. Jego wzrok nabrał złowieszczonego wyrazu. - Takim jak oni? Mordercą? Zwykłymi zbrodniarzem?



- Z całym szacunkiem, ale w Afganistanie nie uchodził pan za uosobienie niewinności, żeby wspomnieć choćby eksterminację pewnej wioski, dokonaną na rozkaz pułkownika Iwanowa....

Ten człowiek był doskonale poinformowany. Gawlik zastanawiał się, jak udało mu się zdobyć takie informacje. O akcji mówiło się czasem, ale skąd Barlow znał nazwiska?

- Tam była wojna, a my byliśmy żołnierzami. Walczyliśmy z bezwzględnym i podstępным wrogiem. Nieśliśmy Afgańczykom postęp kulturalny i cywilizacyjny.

Przez twarz Barlowa przemknął drwiący uśmiech.

- Wielkie słowa... Pewnie sam pan nie wierzy w to, co mówi. Tak czy inaczej, historia osądzi, kto był kim. Dzisiaj nie wiadomo, kto jest bohaterem, a kto zwykłym bandytą. Czas herosów już minął. Teraz liczy się tylko zysk. A wojna to bardzo zyskowny interes. Proponuję panu pracę, która przy odrobinie szczęścia zapewni panu spokojną przyszłość.

- Pracę? Spokojną przyszłość? Przy odrobinie szczęścia? - spytał Gawlik retorycznie, głosem przepełnionym bólem i rezygnacją. Miał dość wojny. - Sam pan nie wierzy w to, co mówi - z drwiną zacytował swego rozmówcę.

Chciał normalnie żyć, gdzieś, gdzie nikt go nie zna ani nie pozna jego przeszłości. Takie miejsce wydawało się być jeszcze bardzo daleko stąd, zarówno w czasie, jak i przestrzeni. Polak spuścił głowę i milczał. Liczył na pomoc tego człowieka, lecz nie TAKĄ pomoc.

- Panie Gawlik, jestem żołnierzem, takim jak pan. Proszę mi wierzyć, takie są realia. Medalu bohatera Związku Radzieckiego już panu nie dadzą. Poza tym po co by to panu było? Ma pan solidny fach w ręku, więc trzeba wyciągnąć z niego ile się da. Szkoda czasu na sentymenty. Drugi raz taka okazja się nie zdarzy.

- Gdzie i co? - spytał Gawlik, nie podnosząc na rozmówcę wzroku.

Barlow sięgnął do wewnętrznej kieszeni kamizelki, podobnej do tej, którą miały na sobie leżące wokoło trupy. Wyciągnął niewielką butelkę whisky, odkręcił korek i bez słowa podał ją Polakowi. Ten zawahał się, ale przyjął poczęstunek i pociągnął solidny łyk. Trunek był przedniego gatunku. Spojrzał na etykietę. Jack Daniels - trzeba zapamiętać. Oddał butelkę.

- Wiedziałem, że się dogadamy. - powiedział Barlow z zadowoleniem i wstał od stołu.

- Chodźmy. Niedaleko stąd czeka na nas śmigłowiec. Szczegóły omówimy po drodze.

Mężczyźni wyszli z knajpy. Sześciu czekających na zewnątrz Pakistańczyków zerwało się na równe nogi i wbiegło pośpiesznie do środka. Trzeba było posprzątać, ale oni znali się na swojej robocie.

*Warszawa, Polska*

Osiemdziesięciometrowe mieszkanie na Mokotowie, które Roman Maliński wykupił na własność w ubiegłym roku, jeszcze kilka lat temu - pod koniec lat osiemdziesiątych - uchodziłoby za szczyt luksusu. Umeblował je nowocześnie i ze smakiem, za pieniądze przywożone z zagranicznych kontraktów. Teraz, dwa lata po transformacji gospodarczej, pojawiła się w Warszawie elita finansowa i towarzyska, do której on już nie należał. Jeszcze do niedawna pracował w Centrali Handlu Zagranicznego, lecz wraz ze zmianami dokonanymi na najwyższych szczeblach władzy przyszli nowi ludzie. Instytucję zlikwidowano, a on stracił intratną posadę.

Siedział w ogromnym, skórzanym fotelu i przeglądał „Gazetę Wyborczą”. Aneta podeszła do szafy, zajmującej całą ścianę sypialni i rozsunęła oszklone drzwi. Roman doskonale widział jej odbicie w wysokim na ponad dwa i pół metra lustrze. Miała długie, gęste blond włosy i nienaganną figurę, jakiej nie powstydziliby się modelka światowej klasy. Przekroczyła już trzydziestkę, lecz wciąż była niebywale atrakcyjną kobietą. Miała na sobie czarną, koronkową bieliznę w najlepszym gatunku. Pończochy podtrzymywał pas dopełniający całości, która najbardziej nieczułego na damskie wdzięki mężczyznę doprowadziłaby do szaleństwa. Byli małżeństwem od siedmiu lat, a on wciąż kochał tę kobietę na zabój. Niestety, coraz częściej dawała mu do zrozumienia, że jest to miłość bez wzajemności. Wszystko zaczęło się psuć, gdy zwolnili go z pracy, a ich stopa życiowa gwałtownie spadła. Na własnej skórze przekonał się, że pieniądze, a właściwie ich brak, potrafią zabić nawet najbardziej gorące uczucie.

- Wychodzisz? - spytał spokojnie, choć sytuacja wskazywała na to jasno. Na pewno słyszała, ale nie uznała za stosowne udzielić mu odpowiedzi; w milczeniu czesała przed lustrem bujne blond loki. - Pytałem, czy wychodzisz - powtórzył głośniejszym głosem.

W jego głosie zabrzmiała nutka irytacji. Nie znośił, gdy go ignorowała! Potrafiła go w ten sposób doprowadzić do furii. Aneta stanęła w otwartych drzwiach; nie miała na sobie nic poza bielizną. Położyła dłonie na biodrach i popatrzyła mu prosto w oczy.

- A co, myślałeś, że dla ciebie się tak ubieram? - rzuciła prowokacyjnie.

Wyglądała oszalamiająco i doskonale o tym wiedziała. Tym bardziej bolały wypowiedane przez nią słowa. Fala gorąca uderzyła mu do głowy, z najwyższym trudem opanował narastającą wściekłość. Wiedział, że nie może dać się wciągnąć w kolejną awanturę, która tym razem z pewnością skończyłaby się rozwodem. Aneta szukała jedynie pretekstu, by uspokoić sumienie.

- Możesz mi powiedzieć dokąd?

Utrzymanie spokojnego tonu wymagało od niego niemal nadludzkiego wysiłku.

- Tak, mogę - odwróciła się i weszła z powrotem do sypialni. Wzięła z ich małżeńskiego łóżka szczotkę do włosów i ponownie zajęła się poprawianiem niedoskonałości fryzury. - Idę do Victorii na spotkanie biznesowe. - Cztery miesiące temu została dyrektorem marketingu we francuskim koncernie kosmetycznym, który właśnie wszedł na polski rynek. Robiła karierę. - Poza tym nie mam ochoty siedzieć w domu z człowiekiem, który nie potrafi załatwić sobie normalnej pracy.

- Mam pracę.

Przestała poprawiać włosy i spojrzała na niego z politowaniem.

- Kierownik do spraw ogólnych w przedsiębiorstwie państwowym - wycedziła. - Twoja pensja też jest ogólna. Nie rozśmieszaj mnie, to przecież żalosne! Twój koleś jest teraz prezesami, wiceprezesami i członkami zarządów. A ty, kim jesteś?! Nikim! Zerem! Kierownikiem do spraw ogólnych!!!

Wyciągnęła z szafy kostium i zaczęła się ubierać. Roman nie wiedział, czy go zdradza, więc wolał myśleć, że prowadzi z nim swoistą grę. Nie wyobrażał sobie bez niej życia.

- Kiedy wrócisz?

- Nie wiem, ale czekaj z kolacją.

Zadzwoił telefon. Roman uniósł się z fotela, by odebrać.

- Zostaw, to do mnie - powiedziała stanowczo. - Tak, słucham? - odezwała się do słuchawki swoim aksamitnym, niezwykle ujmującym głosem, którego brzmienie sprawiało, że rozmówca po drugiej stronie linii czuł się kimś wyjątkowym.

Zaskoczenie malujące się na twarzy Anety rosło z każdą sekundą. Spojrzała na męża, a jej wysoko uniesione ze zdumienia brwi nie pozostawiały wątpliwości, że właśnie usłyszała jakąś nadzwyczajną wiadomość.

- Do ciebie - powiedziała półgłosem i podała mu aparat.

- Kto? - spytał i bardzo powoli wstał z fotela.

Mimo nietypowej reakcji żony nie sądził, żeby było to coś na tyle ważnego, by się śpieszyć. Nieszczerze miał ochotę z kimkolwiek teraz rozmawiać. Nawet z kimś takim, komu niemal udało się wprawić jego żonę w osłupienie, co zresztą obserwował z niekłamaną satysfakcją. Poza tym najzwyczajniej w świecie mogła to być po prostu pomyłka. Takie rzeczy się zdarzają.

- Ministerstwo Spraw Zagranicznych, czy pan Maliński?

- Przy aparacie - potwierdził.

Kobieta po drugiej stronie linii miała oschły, nieznoszący sprzeciwu głos, tak typowy dla urzędników wysokiego szczebla. Robert czasem zastanawiał się nawet, czy przechodzą oni w tym kierunku jakieś specjalne szkolenia.

- Pan minister prosi o pilne spotkanie w sprawie najwyższej wagi państwowej. W najbliższym możliwym terminie - zabrzmiało to jak rozkaz. Pracownica ministerstwa czekała na odpowiedź.

- Jestem do dyspozycji pana ministra. Kiedy tylko pan minister sobie życzy.

- Doskonale. W tej chwili jest osiemnasta, więc niech pan będzie u nas o dziewiętnastej. Tylko proszę się nie spóźnić.

- A czy...?

Kobieta przerwała połączenie, uznając widocznie, że potwierdzenie dokonanych przed chwilą ustaleń jest zbędne. Roman odłożył słuchawkę i patrzył niewidzącymi oczyma w kierunku sypialni. Aneta rozłożyła ręce i lekko pochyliła głowę do przodu, dając mu tym gestem do zrozumienia, że oczekuje jakiegoś wyjaśnienia. Roman zignorował ją. Chwycił powieszoną na oparciu fotela marynarkę i bez słowa ruszył do drzwi wyjściowych.

- I co, nie zamierzasz mi nic powiedzieć? - krzyknęła za nim.

Aneta była wyraźnie poirytowana. Odwrócił głowę.

- Mam spotkanie z ministrem. Sprawa najwyższej wagi państwowej. I wiesz... - zawiesił teatralnie głos. - Nie czekaj z kolacją.

Zamknął za sobą drzwi i zbiegł po schodach z trzeciego piętra, nie oglądając się na reakcję żony, która z pewnością mogła być gwałtowna. Po chwili dotarł na parking, otworzył skrzypiące drzwi i wsiadł do wysłużonego malucha. Degradacja społeczna miała swoje wymierne skutki; już jakiś czas temu musiał się przesiąść do pojazdu, na który wcześniej patrzył z najwyższą pogardą. Jego żona jeździła firmową toyotą cariną i nie pozwalała się nawet zbliżać do tego samochodu.

Fiat wygramolił się z osiedla na główną drogę, by po chwili zatrzymać się na czerwonych światłach. Robert zachodził w głowę, po co akurat on może być potrzebny ministrowi. On sam należał przecież do zupełnie innej opcji politycznej, był przedstawicielem reżymu komunistycznego, przez większość swej kariery przebywającym na placówkach zagranicznych, w większości na terenie Związku Radzieckiego. Pomyłka? Niemożliwe, nie na takim szczeblu.

Dźwięk klaksonów wyrwał go z rozmyślań. Zapaliło się zielone światło, a kierowcy za nim trąbili wściekle, jakby od tego zależało ich życie. Zwolnił sprzęgło i przycisnął gaz. Za

słabo - silnik kaszlnął i zgasł. Właściciele samochodów zachodnich marek, które mimo woli przyblokował, dostawali szału. Dlaczego ci ludzie są tacy niecierpliwi? Robert spokojnie odpalił samochód i już na pomarańczowym świetle przejechał skrzyżowanie.

Dojechał przed czasem. Do alei Szucha od jego domu nie było daleko, więc miał jeszcze dwadzieścia minut. Zaparkował dwieście metrów dalej. Pewnie mógłby wjechać na parking ministerstwa, ale czułby się niezręcznie, wysiadając ze swojego niezbyt reprezentacyjnego auta. A poza tym przy okazji kilkuminutowego spaceru chciał uspokoić myśli.

Na bramie wjazdowej wartownik sprawdził jego tożsamość, wydał mu przepustkę i udzielił dokładnych wskazówek jak dojść na miejsce.

W sekretariacie ministra, za stylowym biurkiem siedziała czterdziestoparoletnia kobieta, w wielkich okularach zasłaniających pół twarzy. Była przedstawicielką gatunku kobiet niezbyt urodziwych, ale inteligentnych. Wąskie usta zdradzały wredny charakter. Coś pisała. Roman zamknął za sobą drzwi.

- Dzień dobry. Jestem umówiony z ministrem, na dziewiętnastą.

Jego nadzieje na zwrócenie na siebie jej uwagi okazały się płonne. Sekretarka ani na moment nie przestała pisać. Była za pięć siódma. Stał przed nią przez chwilę, nie wiedząc co zrobić. Na moment zbiła go z tropu. Ale tylko na moment.

- To chwalebne, że ministerstwo zatrudnia osoby niepełnosprawne - powiedział głośniejszym głosem.

Na reakcję nie trzeba było długo czekać. Sekretarka podniosła na niego pytający wzrok.

- Słucham?

- Powiedziałem: „Chwalebne, że ministerstwo zatrudnia osoby niepełnosprawne” - odpowiedział neutralnym tonem. - Przy wejściu powiedziałem: „Dzień dobry”, pani się nie odezwała. Nie wiedziałem, że mam do czynienia z osobą niedosłyszącą - dokończył złośliwie.

Kobieta poczerwieniała ze złości. Nie przywykła do tego, by ktokolwiek tak z nią rozmawiał. Najczęściej sytuacja była odwrotna - to inni musieli wysłuchiwać jej kąśliwych uwag. Otworzyła usta, by dać zuchwalcowi ostrą reprimendę, lecz w drzwiach gabinetu ministra ukazał się on sam i jego gość. Uścisnęli sobie przyjaźnie dłonie i wymienili pożegnalne uśmiechy. Gość ministra wyszedł w milczeniu, bez zwyczajowego „do widzenia”. Jego twarz wydawała się Romkowi dziwnie znajoma i usilnie starał się sobie przypomnieć, skąd tego człowieka zna. Kolega partyjny z dawnych czasów? Ale co by tutaj robił?

- Zapraszam, panie Maliński - powiedział minister bez zbędnych wstępów i wskazał

drzwi swojego gabinetu.

Minister Krzysztof Skibicki był postawnym mężczyzną, mocno po sześćdziesiątce. Jako jeden z niewielu polskich dyplomatów cieszył się niekłamanym szacunkiem wśród elit politycznych na całym świecie.

- Niech pan siada.

Począł, aż Roman usiadł przy niewielkim stole konferencyjnym, i sam zajął miejsce naprzeciwko niego.

- Pewnie zastanawia się pan, dlaczego go tu zaprosiłem - przedstawiciela epoki, która, daj Boże, już nigdy nie wróci - zaczął swoim zawsze łagodnym, wyważonym głosem Skibicki.

- Szczerze mówiąc, tak. Wasza ekipa nie przepada za ludźmi takimi, jak ja.

- Widzi pan, ja, może trochę w odróżnieniu od moich kolegów, często zaślepionych nienawiścią do wszystkiego, co wiąże się czasami realnego socjalizmu, jestem człowiekiem pragmatycznym. Wyznaję zasadę, że zgoda buduje, a niezgoda rujnuje. Dlatego rozmawiam dziś z panem. Kraj pana potrzebuje.

- Obawiam się, że pan mnie przecenia. Nie byłem notablem, a jedynie, powiedzmy, beneficjentem poprzedniego ustroju.

- Przepraszam, powinienem był od razu spytać. Napije się pan czegoś? - spytał minister ni stąd, ni zowąd.

- Kawa, herbata, koniak?

- Chętnie napiłbym się Metaxy, ale, niestety, prowadzę. Poproszę herbatę.

Skibicki podszedł do swojego biurka. Nacisnął przycisk telefonu.

- Pani Aniu, poproszę dwie herbaty i dwie Metaxy pięciogwiazdkowe - wrócił do stołu. - Proszę się nie martwić. Nie jestem zwolennikiem prowadzenia pod wpływem alkoholu. Nasz kierowca odwiezie pana do domu. Ale wracając do sprawy: na dzień dzisiejszy jest pan dla nas znacznie cenniejszy, niż się to panu wydaje.

- Miło mi to słyszeć, ale... - Roman nie dokończył zdania. Jedyne rozłożył bezradnie ręce.

- Oglądał pan ostatnio wiadomości, panie Romku?

Minister uderzył w mniej oficjalny ton. Coś tu musiało być na rzeczy... Roman doszedł do przekonania, że rzeczywiście jest im potrzebny. Ale jak? Może chodziło o jego pracę w Centrali Handlu Zagranicznego? Zwiedził w końcu kawałek świata. Informacje? Bo przecież chyba nie wywiad...

- Ostatnio? Jakoś nie było czasu. Wydarzyło się coś ciekawego? - zapytał z

autentycznym zainteresowaniem.

Otworzyły się drzwi i weszła sekretarka z tacą. Postawiła przed Skibickim filiżankę herbaty i duży kieliszek z alkoholem. Roman dostał Metaxę i gorącą wodę. Torebka z herbatą i plasterki cytryny leżały na osobnym spodku. Miło - mogła przecież złośliwie zrobić za mocną lub za słabą.

- Bardzo dziękuję - uśmiechnął się do kobiety w nadziei, że uda się zakopać topór wojenny.

Pani Ania z pewnością nie zamierzała ułatwiać mu zadania, bo popatrzyła na niego wzrokiem, pod którym mimowolnie kurczyli się nawet najwyżsi rangą pracownicy ministerstwa. Sekretarka wyszła z miną obrażonej niewinności, jednak minister nie zwrócił na to uwagi.

- Od przedwczoraj Rosja ma nowego premiera - stwierdził rzeczowo.

- Zapewniam pana, że nie miałem z tym nic wspólnego - próbował żartować Maliński, by jeszcze bardziej rozluźnić atmosferę.

Choć żart był płaski i raczej nie na miejscu, Skibicki uśmiechnął się łaskawie. Podobał mu się ten człowiek, mimo że komuch - poczucie humoru jest czasem w kręgach politycznych na wagę złota.

- Nowym premierem jest Wiktor Czernousow, do niedawna szef zarządu Gazpromu - kontynuował gospodarz spotkania. Nagła zmiana wyrazu twarzy gościa nie uszła jego uwadze: było to lekkie zaskoczenie, pomieszone z rosnącą ciekawością. - Nasz ambasador złożył mu kurtuazyjną wizytę z gratulacjami. Zwyczajowa wymiana formułek grzecznościowych, wie pan jak to jest - Roman nie wiedział, bo niby skąd. - Gdy ambasador wychodził, już za drzwiami, na korytarzu, jeden z asystentów nowego premiera dogonił go i powiedział, że premier pyta, czy u nas we władzach jest Roman Maliński, dawny pracownik Centrali Handlu Zagranicznego - minister przerwał, czekając na reakcję rozmówcy. Ten jednak zagapił się w przestrzeń nad ministerialną głową, zatopiony we wspomnieniach. - Było to dość nietypowe zachowanie, bo takie rzeczy zdarzają się nader rzadko. W świetle naszych nienajlepszych relacji z Rosjanami ambasador ani nie zaprzeczył, ani nie potwierdził. Woleliśmy pana szybko znaleźć, co zresztą nie okazało się takie trudne - minister znowu przerwał. Spodziewał się, że gość jakoś odniesie się do jego słów, ale Roman zmarszczył brwi i nie odzywał się, rozmyślając nad czymś usilnie. - Teraz ważą się losy umowy na dostawę gazu z Rosji. Kontrakt będzie, ale na jakich warunkach, to Bóg jeden wie. Czy pan może nam jakoś pomóc?

- Myślałem, że takimi sprawami zajmuje się Ministerstwo Współpracy Gospodarczej z

Zagranicą - stwierdził rzeczowo Robert.

Minister uniósł brwi. Spodziewał się konkretnej odpowiedzi, która nie padła, nie chciał jednak naciskać na człowieka mogącego oddać krajowi nie lada przysługę.

- Tak jest w istocie. Ale ambasador przekazał tę informację mnie pierwszemu. Zdecydowałem się więc działać, ponieważ czas nagli.

- Czas nagli?

- Jutro odbywa się w Moskwie kolejna, miejmy nadzieję finalna sesja rozmów dotyczących umowy na dostawy gazu do Polski. Myślę, że z udziałem nowego premiera. Dlatego chciałbym spytać, czy z jakichś powodów powinniśmy włączyć pana w skład delegacji rządowej.

Roman sięgnął po kieliszek z Metaxą. Podniósł go na wysokość ust i wciągnął nosem charakterystyczną dla tego trunku owocową woń. Zawsze uważał, że pięciogwiazdkowa jest najlepsza. Lepsza od tej z siedmioma i więcej gwiazdkami.

- Powiem panu szczerze, panie ministrze, że nie wiem - stwierdził Robert i pociągnął łyk. - Zanim nam się ustrój zmienił, z Wiktorem wypiliśmy w Moskwie morze wódki. On był urzędnikiem średniego szczebla, a ja nieszczególnie miałem co robić na placówce w Moskwie, tośmy za kołnierz nie wylewali. Lubił ze mną pić, bo miałem głowę silniejszą od niego. Pewnego dnia pobiliśmy się. Poszło o kobietę. Wyszedł z bójki dużo bardziej pokiereszowany niż ja, a na drugi dzień przesunęli go na inne odpowiedzialne stanowisko. Wtedy kontakt nam się urwał, dlatego nie wiem, czy się na coś przydam.

Skibicki przyglądał mu się uważnie. Cały czas rozważał coś w myślach. Zapadła cisza.

Dzwonek telefonu był bardzo głośny.

- Przepraszam pana - powiedział tonem usprawiedliwienia, podszedł do biurka i podniósł słuchawkę. - Tak, proszę łączyć... Cześć, Kaziu! Tak, jest tu u mnie. Ale jest jeden problem, bo ich relacje nie do końca są takie, jak myśleliśmy - przerwał i słuchał rozmówcy. - Dobra, skoro tak uważasz, to niech będzie. Pogadam. Na razie, Kaziu.

Skibicki odłożył słuchawkę i wrócił do swojego gościa.

- Właśnie rozmawiałem z ministrem współpracy gospodarczej z zagranicą. Stwierdził, że pana obecność może przysłużyć się całej sprawie. Pytanie więc, czy możemy na pana liczyć.

- Jestem do dyspozycji, panie ministrze.

- Doskonale - minister wyraźnie się ucieszył i wstał od stołu. - Samochód rządowy stoi przed wejściem. Kierowca odwiezie pana do domu, poczeka, aż się pan przygotowuje i zawiezie



na lotnisko. Samolot jest o dwudziestej drugiej. Pozostałe osoby z delegacji zostaną uprzedzone, powiedzą panu co i jak - wyciągnął dłoń do Romana. - Powiedziałbym coś w stylu: ojczyzna panu tego nie zapomni, ale wiem z doświadczenia, że zapomni na pewno, taka to ona dzisiaj jest, więc po prostu życzę powodzenia, panie Romku!

Uścisnęli sobie dłonie i Maliński wyszedł z gabinetu ministra. Roman przeszedł przez sekretariat, ignorując panią Anię. Przy drzwiach odwrócił się w jej stronę.

- Mimo wszystko do widzenia, bo pewnie w głębi serca jest pani bardzo miłą osobą...

Uśmiechnął się, i nie czekając na odpowiedź, zamknął za sobą drzwi. Pani Ani odebrało mowę i jeszcze przez dobrą chwilę nie mogła pozbierać myśli, ale on już tego nie widział.

Na lotnisku czekało na niego trzech pracowników Ministerstwa Współpracy Gospodarczej z Zagranicą, którzy przedstawili się mu jedynie z nazwiska. Dziwni, wyjątkowo sztywni ludzie. Szefem delegacji był niejaki Jabłoński, a dwaj pozostali to Chrynowicz i Zielko. Wyglądali na bardzo spiętych i dopiero w samolocie Jabłoński zwrócił się do Romka.

- Podobno ma pan jakieś układy z Rosjanami... - zagadnął służbowym tonem.

- Miałem kiedyś okazję poznać osobiście obecnego premiera. Ładnych parę lat temu.

Jabłoński uśmiechnął się pobłaźliwie i pokręcił głową.

- Tak myślałem. To, że poznał pan Czernousowa osobiście, nic nie znaczy. Wygląda na to, że nie na wiele się pan przyda - stwierdził ze znawstwem. - Ale skoro szefostwo pana wysłało...

- Może jednak... - zaczął Maliński, ale mężczyzna nie pozwolił mu dokończyć.

- Niech pan posłucha! Najlepiej będzie, jakby pan w ogóle siedział cicho. To jest robota dla profesjonalistów. Pan nim nie jest, więc proszę postarać się niczego nie zepsuć.

Zanim Roman zdołał cokolwiek odpowiedzieć, mężczyzna wstał i przysiadł się do Chrynowicza, rozlokowanego kilka metrów z przodu. Rozmawiali półgłosem, pilnując się, by Roman nie miał szansy ich podsłuchać.

- Właściwie to dobrze się stało, że wysyłali z nami tego palanta - powiedział zagadkowo Chrynowicz.

- Bo? - Jabłoński nie potrafił dostrzec korzyści wynikających z obecności Malińskiego.

- To proste. Jak coś pójdzie nie tak, to całą winę zwalimy na gościa. Powiemy, że kłapał ozorem i wszystko spieprzył. A my będziemy czysti.

Szef delegacji zastanowił się przez moment i jego twarz rozjaśnił złośliwy uśmiešek.

- Masz rację, Tadziu. W razie czego wyleziemy z gówna po jego plecach.

Klepnął towarzysza po ramieniu. Zaplanowane na jutro spotkanie już nie wydawało się być takie straszne.

\*

Punktualnie o dziewiątej rano Polacy weszli do ogromnej sali konferencyjnej. Delegacja rosyjska już na nich czekała - za długim na kilkanaście metrów owalnym stołem siedziało pięciu mężczyzn. Skibicki miał rację - pojawił się również nowy premier. Gospodarze nie wstali na powitanie gości i atmosfera była chłodna już od samego początku spotkania. Młoda kobieta, asystentka, wskazała polskiej delegacji krzesła i zniknęła za drzwiami. Jeszcze zanim usiedli, Jabłoński przedstawił nowego uczestnika rozmów. Pozostali, z wyłączeniem premiera, znali się już z wcześniejszych spotkań.

- Panie premierze, szanowni panowie, pan Roman Maliński będzie uczestniczył w negocjacjach, głównie jako obserwator. Mam nadzieję, że panowie nie mają nic przeciwko temu.

Rosjanie spojrzeli szybko na Czernousowa, a ten kiwnął głową na znak, że się zgadza. Z jego kamiennej twarzy nic nie można było wyczytać, jedynie patrzył na Polaków lodowato. „Niedobrze”, pomyślał Roman. Zaczął się poważnie obawiać o losy kontraktu. Wygląda na to, że swoją osobą więcej tu zaszkodzi, niż pomoże. Najlepiej byłoby się jakoś zręcznie usunąć. Ale jak?

- Panowie pozwolą, że pan Chrynowicz przedstawi nasze zmodyfikowane stanowisko, które następnie szczegółowo omówimy.

Polak wstał i zaczął mówić. Perorował składnie i do rzeczy, operując cyframi i podpierając się wykresami. Widać było, że jest przygotowany do rozmów. Po około dziesięciminutowej prezentacji zaoferował się rozwiązać wszelkie wątpliwości, które mogły nasunąć się rosyjskim partnerom. I to był początek katastrofy, bo Rosjanie byli przygotowani o niebo lepiej, niż w trakcie poprzednich spotkań. Musiało się tak stać za sprawą premiera. Zaczęły padać bardzo konkretne, niezwykle trudne pytania. Chrynowicz dwoił się i troił, by nie wyjść na niekompetentnego ignoranta, jednak niewiele mógł zdziałać. Zaczął w końcu plątać się w odpowiedziach i w zdenerwowaniu popełniał kardynalne błędy. Zaskoczenie było kompletne. Jabłoński poczerwieniał, na czoło wystąpiły mu kropelki potu, a Zielko siedział nieruchomo, błąd jak ściana.

Grobowy głos premiera przerwał werbalną egzekucję.

- Panowie, jesteście nieprzygotowani do rozmów i marnujecie nasz cenny czas. Oczekuję panów jutro o dziewiątej. Mam nadzieję, że dzisiejsza sytuacja się nie powtórzy. Żegnam panów.

Premier podniósł się z krzesła i oparł oburącz o blat stołu. Jego wzrok ciskał gromy. Pozostali członkowie delegacji rosyjskiej jak na komendę poderwali się na równe nogi.

- Panie premierze, proszę jednak zrozumieć... - odważył się zabrać głos przewodniczący polskiego zespołu.

Czernousow nie zamierzał jednak niczego rozumieć.

- Chce pan coś jeszcze powiedzieć, panie Jabłoński?

- Nie, panie premierze - Polak położył uszy po sobie. - Zapewniam...

- Proszę mnie nie zapewniać - szef rosyjskiego rządu podniósł głos. - Proszę wziąć się do roboty!

Jabłoński skłonił się na znak, że zrozumiał i cała czwórka ruszyła do drzwi. Wiedział, że czeka ich nieprzespana noc.

- Panie Maliński, proszę zostać jeszcze chwilę - przy wyjściu dobiegł ich głos premiera.

Polacy spojrzeli po sobie zaskoczeni, a Romkowi nagle zrobiło się bardzo sucho w gardle. Pracownicy polskiego ministerstwa, nie zwlekając, opuścili salę konferencyjną. Czernousow wyszedł zza stołu i podszedł powoli do Polaka, a potem stanął przed nim, zacisnął usta i popatrzył mu prosto w oczy. Roman wiedział, że w Rosji ludzie ginęli bez śladu. Czyżby Czernousow postanowił się dzisiaj zemścić? Sekundę później twarz premiera nagle pojaśniała. Czernousow uśmiechnął się od ucha do ucha, chwycił Malińskiego w ramiona i uściskał go serdecznie. Romek zdębiał.

- Stary druhu! Nawet nie wiesz, jak się cieszę, że cię widzę! - Rosjanin potrząsał nim swoim masywnymi dłońmi. - Siadaj i opowiadaj, co u ciebie!

Poprowadził go za ramię do stołu i posadził na krześle. Machnął ręką na współpracowników, dając im w ten sposób do zrozumienia, że ich obecność jest w tej chwili zbędna. Rosjanie pośpiesznie opuścili pomieszczenie.

- Wiktor, kurwa, aleś mnie wystraszył... - Roman w końcu odzyskał głos. - W co ty pogrywasz?

- Romuś, nie przejmuj się. Z tymi twoimi błaznami tak musiałem, bo myślą, że pozjadali wszystkie rozumy i mogą nas robić w konia. Tak trzeba, Romuś - klepnął go po przyjacielsku w plecy. - To twoi kumple?

- A skąd! Jajogłowi z ministerstwa. Ja przyjechałem na doczepkę, żeby w razie potrzeby urabiać cię po starej znajomości. Ci goście kazali mi siedzieć cicho, to siedziałem.

- I bardzo dobrze. Chcesz ten kontrakt?

- Co?!

- No, kontrakt. Umowę na dostawę gazu do Polski.

- Ja? Jak to ja?!

Czernousow ujął jego głowę w dłoń.

- Chłopie, właśnie proponuję ci gwiazdkę z nieba. Bierz, bo się rozmyślę!

- No dobra - odpowiedział Polak ugodowo. - Ale jak...?

Rosyjski premier splótł ręce na piersiach i nie przestając się uśmiechać, oświecił towarzysza.

- Do umowy wstawimy zapis, że wszystkie rozliczenia będą przechodziły przez założoną przez ciebie firmę. Ustalisz sobie prowizję, a ja się zgodzę. Poniał?

Maliński otworzył usta i z tępym wyrazem twarzy wpatrywał się w rozmówcę.

- Widzisz, Romuś, jak to los potrafi się do człowieka uśmiechnąć? Już niedługo będziesz bardzo bogatym człowiekiem. Bajecznie bogatym. A i mnie z pewnością coś z tego skapnie.

- Chcesz ze mnie zrobić biznesmena?

- Ja nie chcę, ja zrobię z ciebie biznesmena. Takiego, że politycy w twoim kraju w pas ci się będą kłaniać. Ale szkoda czasu. W hotelu „Rassija” czekają już na nas. Popijemy i zabawimy się jak za starych dobrych czasów.

Wyszli, a do sali konferencyjnej wśliznęła się asystentka, by posprzątać dzbanki z kawą i brudne filiżanki.

## Rozdział 14

*Sudan, Afryka Wschodnia*

Śmigłowce rządowe nadleciały nad wioskę o świcie, gdy ta właśnie budziła się do życia. Informacja o partyzantach, którzy mieli przebywać akurat tutaj była niepotwierdzona, ale wojska wierne władzom dostały rozkaz, by sprawdzać wszystko. Adam ze swoją grupą najemników miał dopilnować, by nikt nie wydostał się z podejrzanego obszaru. Jako dowodzący akcją tym razem postanowił nie dopuścić do rzezi cywilów, czego był świadkiem, gdy jeden z sudańskich pułkowników pacyfikował wioskę w innej części kraju, choć on i jego ludzie pomagali mu w tym krwawym dziele. Za to w końcu się im płaci. Mimo upływu lat obrazy masakr niewinnej ludności, jeszcze z Afganistanu, coraz boleśniej wgryzały mu się w mózg.

Oddział operujący z ziemi dostał rozkaz stworzenia szczelnego pierścienia wokół rejonu działań. Chciano w ten sposób zminimalizować prawdopodobieństwo przedostania się ewentualnych wrogów do swoich i zorganizowania przez nich akcji odwetowej. Gawlik wiedział z doświadczenia, że starcie z dobrze przygotowaną do walki dużą grupą partyzantów mogłoby okazać się bardzo krwawe, a szybkie i niespodziewane uderzenie z lądu, przy wsparciu śmigłowców, dawało wszelkie szanse powodzenia. Dwa helikoptery wylądowały w wiosce, wywołując popłoch wśród mieszkańców, którzy biegali tam i z powrotem, daremnie szukając bezpiecznego schronienia. Oddziały rządowe sprawnie opuściły maszyny, trzymając na podporządkowaniu broń gotową do strzału, a śmigłowce natychmiast wzbiły się w powietrze. Żołnierze zajęli wcześniej ustalone pozycje; mieli osłaniać towarzyszy penetrujących wioskę i wesprzeć ich w razie potrzeby celnym, skoncentrowanym ogniem. Gawlik dobrze wyszkolił tę jeszcze do niedawna dziką i niekarną bandę, nazywającą siebie wojskiem. Nie minęło kilka minut, gdy sytuacja została w pełni opanowana.

Adam powiódł wzrokiem po twarzach wystraszonych Sudańczyków, stojących nieruchomo przed swoimi domostwami.

- John, sprawdź jeszcze raz chaty! Nie chcę żadnych niespodzianek. Zagonić wszystkich na plac! - rzucił rozkaz do jednego ze swoich ludzi.

Najemnik wrzasnął na kilku żołnierzy, którzy rozbiegli się we wszystkich kierunkach.

Pojedynczymi strzałami zabito co dzielniejszych mężczyzn, stających w obronie swoich najbliższych i dobytku plądrowanego przez wojskowych.

- Czysto - zameldował po chwili trochę zaskoczony John. - Nie ma bandytów, broni, po prostu nic. Uciszyliśmy tylko paru krewkich wieśniaków.

- Coś mi tu nie gra... - mruknął Adam.

Miał rację. Jedna ze skrajnych chat, mimo że wcześniej została sprawdzona, plunęła nagle ogniem z broni maszynowej. Adam rozpoznał charakterystyczny, doskonale mu znany szcęk kałasznikowów. Pociski dosięgły trzech żołnierzy armii rządowej i dwie wieśniaczki z małymi dziećmi na rękach. Kobiety padły martwe, przygniatając swymi ciałami niemowlęta.

Reakcja była natychmiastowa. Billy Dogan, potężny Amerykanin indiańskiego pochodzenia, nigdy nie rozstawał się w czasie akcji z granatnikiem H&K-69A1 - strzał z tej broni ostatecznie zlikwidował problem.

- Sprawdzić! - syknął Adam.

Tym razem meldunek go nie zaskoczył.

- Czterech gówniarzy, może po dwanaście, trzynaście lat. Tam była doskonale ukryta jama. Niewiele z nich zostało - John przetłumaczył słowa jednego z żołnierzy na angielski. - Taki mały gnój nie rozumie jeszcze, co to śmierć i dlatego jest tak cholernie niebezpieczny. Kto wie, czy ci gówniarze, którzy teraz kręcą się po wiosce, nie będą do nas jutro strzelać. Ja bym ich wszystkich wytłukł, dla świętego spokoju.

- *Shut the fuck up, Mitford!* - wrzasnął Adam.

Bardzo cenił umiejętności tego Anglika, ale nie mógł ścierpieć jego morderczych zapędów. Czasem miał ochotę zwyczajnie, po męsku, nawalić mu po tej angielskiej mordzie.

- Wyluzuj, stary. Mówię tylko, że nie mam zamiaru umierać przez twoje wielkie, polskie serce - odpowiedział pojednawczo Billy, wiedząc, że konflikt z tym strasznym Polakiem nie przyniósłby mu nic dobrego.

- Dowiedz się, czyja to była chata i każ rozwalić całą rodzinę. Z chat obok załatwić wszystkich mężczyzn. Powiedzieć pozostałym, że tak karani będą wszyscy, którzy pomagają bandytom.

John skwapliwie zabrał się do wykonywania rozkazu. Po chwili z grupki wieśniaków żołnierze wyciągnęli siłą czterech mężczyzn i kobietę z trojgiem dzieci, a potem ustawili ich w szeregu. Ludzie ci chyba nie rozumieli, co się dzieje. Stali nieruchomo, wpatrując się w celujących w nich wojskowych. Adamowi nagle zrobiło się dziwnie zimno, po plecach przeszły mu ciarki.

- Adam! Zobacz, kogo tu mamy - krzyknął Billy Dogan. Włókł za kołnierz

szczupłego, wysokiego człowieka. - On i jeszcze dwóch czarnych właśnie wyszli z buszu, jakby nigdy nic. Ten to chyba jakiś katolicki klecha albo inna cholera...

John obejrzał się z zaciekawionym, tym samym odwracając egzekucję.

Złapany człowiek był biały, co w tych stronach było prawdziwą sensacją. Kto by pomyślał, że Kościół sięga tak daleko... Krzaczasta broda i długie włosy ukrywały rysy twarzy. Mężczyzna, pchnięty silną ręką stojącego obok Esteveza - wielkiego Meksykanina o wyjątkowo paskudnej facjacie - stanął przed dowódcą najemników. Ksiądz chwiał się przez chwilę, a potem szepnął po polsku:

- Jezus Maria! Adam!

Adamowi odebrało mowę. Mógł spodziewać się wszystkiego, tylko nie tego, że los, tu i teraz, postawi przed nim Mistrza - dawnego przyjaciela z żarskiego podwórka.

- O, Boże! Człowieku, co ty chcesz zrobić?! - pytał przerażony Mistrz.

- John! Zostaw ich! Niech wszyscy wracają do domów. Dopilnuj, żeby nikomu nic się nie stało - krzyknął Gawlik do swojego człowieka.

Wydawszy ten rozkaz, poczuł olbrzymią ulgę, jakby zrzucił z duszy wielki ciężar. Anglik zaś skrzywił się jak dziecko, któremu właśnie odebrano ulubioną zabawkę.

- *What the fuck?!* - zajęczał, nie rozumiejąc, co ten Polak wyprawia.

Zimny wzrok Adama pozbawił go wszelkich złudzeń co do sensowności ewentualnego oporu.

Typowa afrykańska chata, w której mieszkał Mistrz, okazała się całkiem przytulna. Kompan z żarskiego podwórka krzątał się w rogu pomieszczenia, najwyraźniej przygotowując jakieś jedzenie. Tymczasem Adamowi przemknęły przed oczyma wspomnienia ich wspólnego wypadu do Warszawy, w '79. Wtedy papież Jan Paweł II przyjechał do Ojczyzny. Nieformalna pielgrzymka wiernych z Żar do Warszawy nie wyróżniała się niczym szczególnym. Zmobilizowanym przez Mistrza Adamowi, Ryškowi i Romkowi jakoś jednak nie mogło udzielić się religijne uniesienie, które opanowało tłumy zdążające na plac Zwycięstwa - przyjechali tu raczej z ciekawości.

- Możecie sobie gadać, co chcecie, ale ta nasza Warszawa jest paskudna jak nieszczęście - powiedział Romek, gdy zbliżali się już do miejsca spotkania z papieżem.

- Kraków to nie jest, ale w końcu stolica - skomentował Rysiek. - A ty, Mistrzu? Co o tym myślisz?

- Co? - ocknął się zagadnięty.

- Mistrzu przeżywa papieża - stwierdził Adam.

- Co ty, Mistrzu? Papież jak papież. Normalny człowiek - Romek nawet nie próbował

zrozumieć kolegi.

- Mylisz się, Romuś - odpowiedział Mirek. - Znam Karola Wojtyłę nie tylko z opowieści, ale jeszcze z czasów, gdy był zwykłym księdzem. Kiedyś pojechaliśmy z rodzicami na ferie w góry i czekaliśmy na niego w małym kościółku. Wszędzie pełno śniegu, księdza nie ma... Przejechał jakiś narciarz i zaraz potem przy ołtarzu pojawił się ksiądz. Ten narciarz to był nasz dzisiejszy papież. Nigdy nie zapomnę tamtej mszy. To nie jest zwykły papież - to jest wielki kapłan i nietuzinkowy człowiek. Kiedyś wspomnicie moje słowa, chłopaki.

- E tam, gadasz... Niby czemu to miałyby być jakiś niezwykły papież? - powątpiewał Romek. - W każdym razie *pożywiom, uwidim* - jak mawiają nasi bracia radzieccy.

Dotarli na miejsce na tyle wcześnie, by znaleźć się w miarę blisko ołtarza, specjalnie wybudowanego na tę okazję. Do pojawienia się Jana Pawła II na placu Zwycięstwa pozostało jeszcze wiele godzin, lecz już wypełniał się on tłumami wiernych.

- Patrz, cholera, ludzi jak psów - zauważył całkiem trafnie Romek, rozglądając się ciekawie dookoła.

- No - potwierdził Rysiek. - Coś by się zeżarło. Mistrzu, masz jeszcze jakieś kanapki?

- Dwie. Ktoś jeszcze chce? - Mirek wyciągnął dwie kromki chleba przełożone kotлетem mielonym.

- Ja - zgłosił się Adam.

Romek nie zwracał uwagi na kolegów pałaszujących kanapki. Podziwiał rozciągające się przed nim morze głów, gęstniejące z każdą minutą. Jakaś nieznana siła gnała tych ludzi na warszawski plac, gdzie już niedługo miał się pojawić papież.

Ich papież.

\*

- I słowo ciałem się stało - powiedział w zamyśleniu Rysiek, gdy kilkugodzinne oczekiwanie dobiegło końca.

Papież Polak zbliżał się do ołtarza przy wtórze braw i entuzjastycznych okrzyków. Adam i Rysiek dali się porwać gorącej atmosferze, klaskali i krzyczeli. Mistrzu stał wpatrzony w papieża. Milczał. Romek rozglądał się wokół - znacznie bardziej fascynowało go zachowanie tłumu, niż sama osoba głowy Kościoła Katolickiego.

Zabrzmiały słowa papieża, doskonale słyszalne w miejscu, gdzie stali młodzi ludzie.

„Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! Umiłowani Rodacy, Drodzy Bracia i Siostry, Uczestnicy eucharystycznej Ofiary, która sprawuje się dziś w Warszawie na placu Zwycięstwa. Razem z wami pragnę wyśpiewać pieśń dziękczynienia dla Opatrzności, która



pozwała mi dziś, jako pielgrzymowi, stanąć na tym miejscu.

Pragnął - wiemy, że bardzo gorąco - stanąć na ziemi polskiej, przede wszystkim na Jasnej Górze, zmarły niedawno papież Paweł VI. Pierwszy po wielu stuleciach papież-pielgrzym. Do końca życia nosił to pragnienie w swoim sercu i z nim zszedł do grobu”.

\*

Wsluchali się w jego głos. Był mocny i ujmujący. Coś im mówiło, że za sprawą tego człowieka dzieją się tutaj rzeczy, których nikt nigdy już nie zapomni. Nawet Romek przestał się rozglądać.

„Dzisiaj dane mi jest wypełnić to pragnienie zmarłego papieża Pawła VI wśród was, umiłowani synowie i córki mojej Ojczyzny. Kiedy bowiem - z niezbadanych wyroków Bożej Opatrzności po śmierci Pawła VI i po kilkutygodniowym zaledwie pontyfikacie mojego bezpośredniego poprzednika Jana Pawła I - zostałem głosami kardynałów wezwany ze stolicy św. Stanisława w Krakowie na stolicę św. Piotra w Rzymie, zrozumiałem natychmiast, że moim szczególnym zadaniem jest spełnienie tego pragnienia, którego Paweł VI nie mógł dopełnić na millenium chrztu Polski.

Kościół przyniósł Polsce Chrystusa - to znaczy klucz do rozumienia tej wielkiej i podstawowej rzeczywistości, jaką jest człowiek. Człowieka bowiem nie można do końca zrozumieć bez Chrystusa. A raczej: człowiek nie może siebie sam do końca zrozumieć bez Chrystusa. Nie może zrozumieć ani kim jest, ani jaka jest jego właściwa godność, ani jakie jest jego powołanie i ostateczne przeznaczenie. Nie może tego wszystkiego zrozumieć bez Chrystusa.

I dlatego Chrystusa nie można wyłączać z dziejów człowieka w jakimkolwiek miejscu ziemi. Nie można też bez Chrystusa zrozumieć dziejów Polski - przede wszystkim jako dziejów ludzi, którzy przeszli i przechodzą przez tę ziemię. Dzieje ludzi! Dzieje narodu są przede wszystkim dziejami ludzi. A dzieje każdego człowieka toczą się w Jezusie Chrystusie. W Nim stają się dziejami zbawienia”.

\*

- Dobrze gościu gada - powiedział z uznaniem Rysiek.

- No właśnie - potwierdził Romek.

Ta oczywista prawda, przekazana w nadzwyczaj sugestywny sposób, trafiała do młodych, często opornych na takie słowa umysłów. Mistrz był jak w transie.

\*

„Stoimy tutaj w pobliżu Grobu Nieznanego Żołnierza. W dziejach Polski - dawnych i współczesnych - grób ten ma szczególne znaczenie. Szczególne uzasadnienie. Na iluż to

miejscach ziemi ojczystej padał ten żołnierz? Na ilu to miejscach Europy i świata przemawiał swoją śmiercią, że nie może być Europy sprawiedliwej bez Polski niepodległej na jej mapie? Na ilu to polach walk świadczył o prawach człowieka, wpisanych głęboko w nienaruszalne prawa narodu, ginąc „za wolność naszą i waszą”? „Gdzie są ich groby, Polsko! Gdzie ich nie ma! Ty wiesz najlepiej - i Bóg wie na niebie!”

Przyklęknąłem przy tym grobie, wspólnie z Księdzem Prymasem, aby oddać cześć każdemu ziarnu, które - padając w ziemię i obumierając w niej, przynosi owoc. Czy to będzie ziarno krwi żołnierskiej przelanej na polu bitwy, czy ofiara męczeńska w obozach i więzieniach. Czy to będzie ziarno ciężkiej, codziennej pracy w pocie czoła na roli, przy warsztacie, w kopalni, w hutach i fabrykach. Czy to będzie ziarno miłości rodzicielskiej, która nie cofa się przed daniem życia nowemu człowiekowi i podejmuje cały trud wychowawczy. Czy to będzie ziarno pracy twórczej w uczelniach, instytutach, bibliotekach, na warsztatach narodowej kultury Czy to będzie ziarno modlitwy i posługi przy chorych, cierpiących, opuszczonych. Czy to będzie ziarno samego cierpienia na łóżach szpitalnych, w klinikach, sanatoriach, po domach: wszystko, co Polskę stanowi. To wszystko w tej Eucharystii ogarniam myślą i sercem, i włączam w tę jedną jedyną Najświętszą Ofiarę Chrystusa na placu Zwycięstwa.

I wołam ja, syn polskiej ziemi, a zarazem ja: Jan Paweł II, papież, wołam z całej głębi tego tysiąclecia, wołam w przeddzień święta Zesłania, wołam wraz z wami wszystkimi:

Niech zstąpi Duch Twój!

Niech zstąpi Duch Twój!

I odnowi oblicze ziemi.

Tej Ziemi!

Amen”.

\*

- Ojciec się wścieknie - powiedział Mistrz do siebie w zamyśleniu, gdy po raz kolejny i tym razem ostatni, przez tłum przetoczyła się burza oklasków.

- Co? - zainteresował się Adam, stojący najbliżej Mirka.

- Idę do seminarium. Na bank - odpowiedział.

- Ożeż ty! To się twój ojciec dopiero wkurwi! - wymknęło się Adamowi.

Mistrz spojrzał na niego z wyrzutem.

\*

Gospodarz wrócił do gościa, niosąc drewniane kubki. Postawił przed nim jeden. Adam zajrzał ciekawie do środka.

- Co to jest?

- Jestem misjonarzem, odprawiam msze. A to służy mi za mszalne - uśmiechnął się smutno Mistrz. - Przyszedłem do wioski w samą porę. Chciałeś zrobić straszną rzecz, człowieku. Odkąd przepadłeś w osiemdziesiątym pierwszym czy drugim, wszyscy często cię wspominali. Co się z tobą stało?

Adam siedział przez chwilę ze spuszczoną głową i wpatrywał się w zawartość kubka. Podniósł wzrok na człowieka, który jego, i nie tylko jego, w pewnym sensie wychowywał - i nie czuł wstydu. Nie ten adres i nie ta przeszłość. Nie odczuwał dumy ze swojego zajęcia, tym bardziej, że świadkiem jego działań był właśnie ten chłopak z podwórka, kiedyś tak przez nich szanowany i podziwiany.

- W osiemdziesiątym drugim - mruknął Adam.

- Co?

- Przepadłem w osiemdziesiątym drugim. Jak zatłukli Basię. Chciałem, żeby zawałił się na mnie świat. Ale się nie zawałił.

- Co ty mówisz? Basię? Tę, z którą się miałeś żenić? Nic nie wiedziałem. Wtedy byłem w szkole misyjnej. Od tego czasu byłem w Polsce parę razy, ale nikt nic mi nie powiedział. Przykro mi, stary...

Adam spojrzał na rozmówcę pustym wzrokiem.

- Od tego czasu jestem złym człowiekiem. Tylko to umiem - być złym człowiekiem. Najpierw szkolenie u Kwiatkowskiego, potem Specnaz, Afganistan. Amerykanie dokończyli dzieła, i zrobili ze mnie profesjonalnego żołnierza. Teraz jestem najemnikiem, podobno jednym z najlepszych. Bardzo dobrze płacą, a popyt na moje usługi jest ogromny. Właściwie już mógłbym przejść na emeryturę.

- A ci ludzie z tobą?

- Produkty zepsutego świata. John Mitford - Anglik, urodzony morderca, był w brytyjskich siłach specjalnych SAS, ale go wywalili za mordercze ciągoty. Jest naprawdę dobry i właściwie nie ma żadnych zahamowań. W naszym fachu to zaleta. Billy Dogan - Indianin z Ameryki Północnej, chyba z plemienia Irokezów. Podobno byli najwaleczniejsi. Amerykański komandos, spuścił łomot swojemu przełożonemu. Prawie zatłukł go na śmierć, bo ten nazwał go „parszywą czerwoną skórą”, i tak zakończył karierę w amerykańskiej armii. Znalazłem go w knajpie w Hondurasie. Ekspert w walce nożem, widziałem na własne oczy, jak zakłuł czterech żołnierzy rządowych, zanim ci zdołali sięgnąć po broń. Mówię ci, Mistrz, było na co popatrzeć - Adam uśmiechnął się do wspomnień. - Jak trzeba kogoś pozbyć się po cichu, Billy jest niezastąpiony. Poza tym, jak to Indianin, doskonale strzela z łuku, co wbrew

pozorom, czasem się bardzo przydaje. No i jest wybitnym specjalistą od materiałów wybuchowych. Mało kto może się z nim tu równać, super nabytek. Z Miszą Nikołajewem byliśmy razem w Afganistanie. Nieprawdopodobny snajper, nigdy nie chybia. Pewnego dnia wrócił z manewrów o dzień wcześniej. Zastał żonę w łóżku z najlepszym kumplem, który miał jej pomagać, jak go nie będzie. Rozwalił obydwój. Synka zabrali mu do domu dziecka, a jego ścigają za morderstwo. Przygarnąłem człowieka po starej znajomości. Poza tym śmiesznie gra na bałajce. Pozostali to też odchody tej ziemi, jak ja.

- Toś sobie towarzystwo zafundował... Ale nie wierzę, że jesteś złym człowiekiem, na tyle cię znam. Nie chcę wiedzieć nic więcej, ale będę się modlił, byś znalazł właściwą drogę.

- Będziesz się modlił? Do Boga? - Adam uśmiechnął się ironicznie. - Do tego Boga, który pozwala takim jak ja robić to, co robią? Bóg powinien natychmiast rozpieprzyć w drobny mak mnie i na przykład mojego towarzysza broni - Anglika. Pozwolił komuś zatłuc na śmierć Basię? Z całym szacunkiem, Mistrzu, ale coś ten twój Bóg marnie się stara. Ziemią rządzi szatan w postaci najemników, Majechy, którego się podobno podejrzewa o zabicie Basi, i wszelkiego innego ludzkiego gówna tego rodzaju. Nie rozśmieszaj mnie, Mistrzu.

- Ja wiem, że może to brzmi banalnie, ale Bóg cię kocha. Kocha też tego Majechę i wszystkich ludzi. Do tego stopnia, że dał im wolną wolę. Tyle tylko, że bardzo często źle z niej korzystają. Czasem pomaga zapobiegać skutkom naszych głupich poczynać. Tak jak dzisiaj, gdy przyprowadził mnie do tej wioski. Tak jest, Adam, czy tego chcesz, czy nie.

- Piękna teoria...

- To nie teoria. Naprawdę wierzę, że sam się kiedyś o tym przekonasz.

- Jeżeli jest Bóg, to pozwoli mi kiedyś odnaleźć zabójców Basi.

- Chęć zemsty jest najgorszym doradcą. Co ci to da? Przywrócisz Basię do życia? Znajdziesz ukojenie swojego bólu? Zapewniam cię, że nie.

- Wiesz, Mistrzu, tego dnia, gdy umarła, modliłem się szczerze i żarliwie w naszym kościele na Nowotki. Na kilka godzin wcześniej, zanim usłyszałem, że to koniec. Gdzie wtedy był Bóg? Nie mógł pozwolić jej żyć? Co ona zrobiła złego? Znałeś ją, była uosobieniem dobroci, serdeczności i ciepła. Po co była mu tam, u góry, potrzebna? Więcej się już nie modliłem i na pewno nie zamierzam. Po cholere?

- Adam, nie potrafię ci odpowiedzieć na te wszystkie pytania. Nie wiem, to mnie przerasta. Nie tylko zresztą mnie. Ale posłuchaj: tu, na ziemi, wszystko dzieje się w jakimś celu. Po coś. Wszystko jest częścią wielkiego, niebieskiego planu. Ty, ja, i śmierć Basi też. Bóg nas kocha i zawsze wyciąga do nas rękę, szczególnie w najtrudniejszych chwilach. Problem w tym, że nie chcemy tej ręki przyjąć.

- Ble, ble, ble. Mistrzu, gdybym cię nie szanował i tak nie cenił, to bym powiedział: bredzisz. Daj spokój, mnie się nie da zbawić, więc szkoda twojego czasu. Lepiej powiedz, skąd wzięłeś to wino.

Misjonarz przez dłuższą chwilę w zamyśleniu przyglądał się swojemu gościowi. Wróciły wspomnienia sprzed lat, czasy beztróskich dni spędzanych na żarskim podwórku. Autentycznie bolało go, że spotyka tego tak kiedyś przyzwoitego chłopaka w tym miejscu i w takich okolicznościach. Chłopaka przesiąkniętego złem, którego los wepchnął w otchłań piekła na ziemi. Westchnął ciężko. „Niezbądane są wyroki Boże”, pomyślał.

- Własna produkcja - uśmiechnął się Mistrz z udawaną dumą. - Zdziwiłbyś się, jak niewiele trzeba, by zrobić coś z niczego. Tutaj żyje się inaczej. Prościej, spokojniej, no może nie tak spokojnie, bo czasem pojawia się wojsko i ludzie tacy, jak ty, ale na szczęście nie jesteście tu częstymi gośćmi. Tutejsi ludzie są często znacznie szczęśliwsi niż my w tak zwanych cywilizowanych krajach. Jak chcesz, to zostań z nami, a sam zobaczysz.

- Jasne, nie ma sprawy. I będę uczył dzieci angielskiego w twojej szkółce niedzielnej - odpowiedział szczerze rozbawiony Adam. - *This is Alice and this is John. Repeat, please.* O czym ty gadasz, Mistrzu?

- To wcale nie byłoby takie głupie. Angielski pewnie znasz doskonale, a im nie zaszkodziłaby taka wiedza. Kto wie, może kiedyś pojedą na studia do Anglii albo Stanów, skończą medycynę i powrócą, by leczyć miejscowych... Miałbyś w tym swój udział.

- Mistrzu, sam nie wierzysz w to, co mówisz. Ci tam na studia do Stanów? Daj spokój. Tu była, jest i będzie dzicz. Zawsze. A tacy jak ja będą mieli doskonale płatną robotę. Lepiej polej jeszcze tej swojej mikstury. Całkiem dobra ci wyszła. A tak w ogóle, to sam tu jesteś? Zero normalnych ludzi, tylko te dzikusy?

- Jeszcze niedawno było nas trzech. Moich braci misjonarzy zabili ci, na których ty teraz polujesz.

- To co, życie ci się znudziło? Co ty tu jeszcze, u diabła, robisz?

- Służę Jezusowi i Najświętszej Pani. Najlepiej jak potrafię.

Adam pokręcił głową. Mistrzu był niereformowalny. Stuknęli się i wychylili zawartość swoich kubków.

\*

Wcześniej rano wirniki śmigłowca nie brzmiały już tak przerażająco. Wojsko wsiadło do maszyn równie sprawnie, jak z nich wysiadało poprzedniego dnia. Mistrz i Adam stali na progu prymitywnej chaty.

- Czas na mnie. Nie upijaj się za często tym swoim mszalnym i nie myśl o mnie źle -

powiedział Adam, ściskając dłoń kolegi z podwórka.

- Zawsze będziesz w moich modlitwach. Nie myślę o tobie źle, a i ty też nie zapomnij, co ci powiedziałem. Daj Boże, żebyśmy się spotkali w lepszych okolicznościach - powiedział Mistrz i objął swoim silnym ramieniem o pół głowy niższego Adama. - Jak się z tobą kontaktować? Gdzie cię szukać? - krzyknął za odchodzącym.

- Jak usłyszysz o przewrocie wojskowym w jakiś małym kraju albo lokalnej wojnie, to na pewno tam będę - odpowiedział Adam z uśmiechem i zniknął we wnętrzu helikoptera.

„Czyli znowu gdzieś przepadniesz. Tylko na jak długo tym razem? Niech cię Bóg prowadzi, Adaś.” pomyślał Mistrz.

Odprowadził wzrokiem śmigłowce, wzbijające się szybko w powietrze. Wszedł do chaty i przypomniał sobie o liście z Polski, który odebrał poprzedniego dnia. Rozerwał kopertę i przebiegł wzrokiem pismo matki. Szybko i pobieżnie, ponieważ wiedział, że przeczyta go jeszcze po wielokroć i za każdym razem będzie się nim cieszył jak dziecko. Jego uwagę przykuł jeden fragment. Zaczął czytać powoli i w skupieniu.

„...Wiesz, synku, spotkałam dzisiaj na ulicy Basię Roszak. Kochana dziewczyna, obiecała mi pomoc przy zrywaniu porzeczek. To ciężka praca. Sam wiesz, nie lubiłeś jej nigdy. Chyba pamiętasz Basię? To ta, co ją tak strasznie pobili i cudem przeżyła. Miała wyjść za twojego kolegę, Adasia. Tego, co uciekł z wojska i gdzieś przepadł, kiedy leżała w szpitalu. Mówią, że podobno popełnił samobójstwo z rozpaczy, ale Basia do dzisiaj wierzy, że on żyje i kiedyś wróci. No, ale co ja tam będę ci pisała o smutnych rzeczach. Wczoraj był u nas...”.

- O Boże! - krzyknął Mistrz.

Rzucił kartkę na stolik i wypadł z chaty, gnany irracjonalną nadzieją. Niebo nad wioską było już puste.

### *Żary, Polska*

Irena Ząbkowska przyspieszyła kroku. Do domu Roszaków miała najwyżej kilkaset metrów, lecz chciała dojść jak najszybciej. Ścisnęła w dłoni kopertę z listem od syna. Musi porozmawiać z Anną Roszak. Najpierw z nią, a dopiero potem pokaże list Basi. Jeśli matka się zgodzi. Informacja, którą otrzymała od syna, przewróci życie dziewczyny do góry nogami. Wiedziała o tym i Mirek też. Dlatego nie napisał bezpośrednio do Roszaków, lecz pozostawił decyzje matkom.

Kobieta doszła do ulicy Kazimierza Wielkiego. Ciąg parterowych, poniemieckich

domków kończył się sto metrów dalej. Tam mieszkała Roszakówna, dla której przeznaczona była wiadomość. Otworzyły się drzwi i z ich mieszkania wyszedł młody mężczyzna, kierując się za dom, do ogródka. Poznała go. Andrzej Marchewka miał na sobie granatowy garnitur, widać robili ostatnią przymiarke ślubnych ubrań przed jutrzejszą ceremonią. Dobrze, że się minęli. Nie chciała dziś go spotkać, choć lubiła tego trzydziestoparoletniego, grzecznego, dobrze ułożonego mężczyznę. Nie dziś. Nie z listem, który ścisnęła w dłoni. Pewnie wyczytałby z jej twarzy, że coś jest nie tak. Coś, co dotyczy bezpośrednio jego samego.

Stała przed masywnymi drzwiami z litego drewna i nacisnęła dzwonek. Z wewnątrz dochodziły stłumione głosy. Rozpoznała Basię i jej matkę, które ustalały szczegóły jutrzejszej ceremonii. Odczekała kilka chwil i zadzwoniła ponownie. Drzwi otworzyły się na oścież i stanęła w nich Anna Roszak.

- O, Irenka! - ucieszyła się na widok koleżanki z zakładu odzieżowego. Pracowały na tej samej zmianie i znały się od ładnych paru lat. - Chodź, dobrze że jesteś. Pomożesz mi robić te twoje śledzie. Będą przebojem na weselu!

Ząbkowska w milczeniu weszła do wąskiego przedpokoju. Minęła strome schodki prowadzące na poddasze i weszła do kuchni. Panował tam zupełny rozgardiasz, co było o tyle dziwne, że mieszkanie Anny było zawsze nieskazitelnie czyste i zadbane, choć urządzone bardzo skromnie. Gospodyni zdjęła z białego stołka wielki gar smakowicie pachnącego bigosu, Irena usiadła przy małym kwadratowym stole, ukrytym pod ceratą w zieloną kratę.

- Nie chciałam ci dzisiaj przeszkadzać, bo wiem, ile masz roboty... - zaczęła, lecz Roszakowa nie dała jej skończyć.

- Co ty się wygłupiasz! Bardzo dobrze, że wpadłaś. Sama trochę odetchnę. Napijemy się herbaty i pogadamy. Już nastawiam.

Gospodyni podeszła do zlewozmywaka i napełniła wodą aluminiowy czajnik, po czym postawiła go na odrapanej kuchence gazowej. Rozejrzała się po kuchni, jakby czegoś szukając, machnęła ręką i usiadła naprzeciwko Ząbkowskiej.

- Chciałam z tobą porozmawiać, Aniu. Basi nie ma? - powiedziała Irena półgłosem.

Roszakowa spojrzała na koleżankę z pracy. Dopiero teraz zauważyła jej wyjątkowo poważny wyraz twarzy. Irena zwykle była pogodna, pełna optymizmu i często wręcz roześmiana. Lecz nie dzisiaj.

- Jest na górze. Coś się stało, Irenko? - zaniepokoiła się mama Basi i odruchowo położyła dłoń na przedramieniu gościa.

Kobieta spuściła wzrok na kopertę, którą cały czas kurczowo trzymała w dłoni. Położyła ją na blacie stołu i przesunęła w kierunku Anny.

- Dostałam dzisiaj list od syna. Pamiętasz, jest na misji w Sudanie. Masz, przeczytaj. Pisze nie tylko do mnie...

- Nie tylko do ciebie? - gospodyni w pierwszej chwili nie zrozumiała, o co chodzi. Była zaskoczona, spoglądała to na kopertę, to na rozmówczynię.

- Jest w nim coś, o czym powinnaś wiedzieć. - Anna poderwała się, lecz Irena przytrzymała ją na miejscu. - Zostaw, ja zrobię. A ty czytaj, Aniu.

Roszakowa wzięła kopertę do ręki, ale nie wyjęła listu.

- Co tam jest? Jakies złe wiadomości? - spytała lekko podenerwowana.

Ząbkowska napełniła dwie szklanki gorącą wodą i wrzuciła torebki herbaty ekspresowej. Postawiła naczynia na stole i usiadła naprzeciwko koleżanki. Popatrzyła na jej zmęczoną twarz.

- Nie wiem czy złe, czy dobre, to zależy. Chodzi o Adama Gawlika. On żyje. Mirek widział się z nim na misji.

- Żyje?! - Anna niemal krzyknęła.

- Tak. Przeczytaj list i wszystko będziesz wiedziała.

Roszakowa pośpiesznie otworzyła kopertę, rozłożyła papier i przebiegła wzrokiem treść pisma. Irena popijała gorącą herbatę. Po chwili Roszakowa podniosła wzrok znad kartki. Złożyła list, schowała z powrotem do koperty i podała koleżance. W milczeniu patrzyła na nią. Oczy jej się zaokrągliły, ukryła usta w dłoniach. Minęło kilka długich sekund, zanim opanowała emocje.

- Oni jutro z Andrzejem biorą ślub. Co mam jej powiedzieć? - spytała z rozpaczą w głosie. - Ona jest szczęśliwa. Nawet nie wiadomo, gdzie Adam teraz jest i czy w ogóle wróci. Mam jej zburzyć to, co sobie wreszcie poukładała? Teraz, kiedy w końcu doszła do siebie po tym wszystkim?

- Nie wiem, Aniu, nic ci nie potrafię poradzić. Przyszłam z tym do ciebie, nie do Basi. Tak mi zresztą Mirek polecił, sama czytałaś. Nie wiem co zrobić. Przykro mi, że to właśnie dzisiaj, przed ich ślubem. Nie chciałam decydować za ciebie.

- Mówiłaś mężowi?

- Nie. Nic nie wie i nie widział listu. Weź go i zrób z nim, co zechcesz.

Obie utkwily wzrok w leżącej między nimi białej kopercie, milcząc przez dobrą chwilę. Ciszę przerwał odgłos kroków na schodkach. Roszakowa zerwała się ze stołka, chwyciła list i schowała w kieszeni fartucha. Basia weszła do kuchni.

- O, dzień dobry, pani Irenko.

Dziewczyna promieniała. Anna miała rację - tak wyglądają osoby naprawdę



szczęśliwe.

- Cześć, Basiu - odpowiedziała Irena, uśmiechając się nienaturalnie. Dziewczyna nie zwróciła na to uwagi, zbyt zaaferowana przygotowaniami do jutrzejszej uroczystości. - Jak tam nastroje? Jutro wielki dzień.

Basia spojrzała na koleżankę mamy i rozpromieniła się jeszcze bardziej.

- Pani Irenko, to będzie najpiękniejszy dzień w moim życiu. Jak miałabym się czuć?

Kobieta rzuciła matce dziewczyny pytające spojrzenie. Nie uszło to uwadze przyszłej panny młodej.

- Mamo, coś się stało?

Anna Roszak zamyślona wpatrywała się w córkę. Zaszklily się jej oczy, po policzku spłynęła duża łza. Życie położyło na jej zmęczone barki kolejny ciężar.

## Rozdział 15

### *Północno-zachodni Azerbejdżan. Cztery lata później*

John Boyd wysiadł ze śmigłowca, a zaraz za nim wyskoczyło dwóch ochroniarzy. Pochylili się instynktownie, podmuch powietrza wytworzony przez wirujące śmigło rozwiewał im włosy i poły marynarek. Ubrani byli wyjątkowo dziwnie jak na rejon, w którym się znaleźli, jednak na tej wysokości nie było wielu ludzi, których mogłoby to zdumieć. Gdy oddalili się od maszyny na kilka metrów, pilot natychmiast poderwał helikopter i odleciał w kierunku widocznych w oddali gór Kaukazu. Mężczyźni ruszyli szybkim krokiem w stronę drewnianej chaty. Domostwo było pozbawione okien, a zamiast nich w ścianach z bali znajdowały się wysokie na ponad pół metra otwory biegnące prawie na całej ich długości, przez które mieszkańcy mogli kontrolować otoczenie. Tam, gdzie handluje się bronią, której w tym kraju było pełno jeszcze od czasów wojny afgańskiej, czujność ma swoje znaczenie. Tędy prowadził szlak przemytu broni i wysiłki rządu, by likwidować jej nielegalne składy, spełzały na niczym. Tu można było dostać nie tylko popularnego kałasznikowa, ale nawet pociski średniego zasięgu SS-X-14 „Scapegoat”. Handlarz musiał mieć oczy dookoła głowy, żeby przeżyć.

Na progu, po obu stronach wejścia stało trzech żołnierzy w mundurach polowych. Ich uzbrojenie stanowiły karabiny M-16 z doczepionymi granatnikami.

- Złóżcie broń - powiedział rozkazującym tonem prawie dwumetrowy Murzyn, wyglądający na dowódcę strażników, i wskazał prowizoryczny stolik.

W odpowiedzi Boyd przechylił na bok głowę i rozłożył ręce.

- Myślałem, że jesteśmy wśród przyjaciół i sobie ufamy.

Na te słowa podkomendni Murzyna wzięli przybyszów na cel i przeładowali broń. Ochroniarze Boyda odruchowo sięgnęli za poły marynarek, choć doskonale zdawali sobie sprawę, że w starciu z tymi ludźmi, których wojna była chlebem powszednim, nie mieli żadnych szans. Poza tym nie wiedzieli, ilu żołnierzy mogło kryć się jeszcze wewnątrz chaty. Goryle rzucali ukradkowe spojrzenia na swojego szefa, prawnika najpotężniejszej rodziny mafijnej w Stanach. Ewidentnie nie uśmiechało im się ginąć za interesy mocodawców. Boyd w pojedynczym geście podniósł dłonie na wysokość ramion.

- Po co te nerwy? Przecież przyjechałem robić interesy z waszym bossem.

Kiwnął na ochroniarzy, a ci natychmiast wyciągnęli broń i położyli ją we wskazanym miejscu. Żołnierze jak na komendę opuścili karabiny i oparli je kolbami o biodro. Murzyn skinieniem palca wskazującego przywołał prawnika. Gdy ten podszedł, został zeskanowany ręcznym urządzeniem do wykrywania metalu.

- Wchodzisz sam - powiedział komandos stanowczym tonem.

- Jak to sam?! - oburzył się przybysz.

- Normalnie. Jesteś przecież wśród przyjaciół i przyjechałeś z bossem robić interesy.

Po co ci ochrona?

Goryle Boyda nie zamierzali się stawiać. Ten zaciął usta i pchnął drzwi.

Sufit był zawieszony dość nisko, więc odruchowo pochylił głowę. Około dziesięciu metrów od wejścia, za długim na co najmniej trzy metry stołem siedziało dwóch mężczyzn. John Boyd rozpoznał człowieka z lewej. To był Tom Harris, czyli pierwszy po Bogu w „Executive Outcomes”. Ubrany był w czarny T-shirt i ciężką kurtkę z brązowej skóry. Obok Harrisa, z założonymi na piersiach rękami, których nie powstydziliby się niejeden kulturysta, siedział krótko ostrzyżony człowiek w panterce, wyglądający na oficera.

- Witam, panie Boyd - Harris wskazał drewnianą ławę ustawioną przed stołem.

Prawnik przełożył przez nią nogi i usiadł.

- Miejsce na spotkanie jest nieco... osobliwe, delikatnie mówiąc. Jakiś powód? - Boyd rozejrzał się po wnętrzu.

- Przygotowujemy tu pewne przedsięwzięcie. W końcu jest to, że się tak wyrażę, wschodzący rynek. Wojna między Ormianami a Azerami nie skończy się chyba nigdy. Poza tym chodzi o bezpieczeństwo: żadnych podsłuchów, wokół góry, a najbliższe zbocze jest prawie o dwa kilometry stąd, dlatego prawdopodobieństwo ewentualnego zamachu jest praktycznie zerowe. Powinien pan być mi wdzięczny.

- Pańscy ludzie, tam, za drzwiami, mało mi łba nie odstrzelili.

- Proszę mi wierzyć, to niezbędne środki bezpieczeństwa.

- Ciekawe ma pan podejście do kwestii bezpieczeństwa gości. Pod lufą karabinu.

- Do rzeczy!

Harris zignorował złośliwości gościa. Był tu po to, by załatwić zlecenie i to intratne zlecenie. Wiedział, że mafia wyjątkowo niechętnie rozstaje się ze swoimi, nota bene ogromnymi pieniędzmi, ale tym razem będzie musiała. Chodziło przecież o honor rodziny.

- Tak jak mówiłem, trzeba dorwać księgowego i odzyskać to, co ukradł. A w zasadzie to, co pozostało z kradzieży.

- To mafii można coś ukraść? - tym razem Harris pozwolił sobie na złośliwość.

Prawnik przez chwilę milczał, ale w końcu zdecydował, że nie warto się odgryzać.

Byli kwita.

- Już wiemy, gdzie jest. Zadekował się w Birnie. Skupował się z tamtejszymi władzami, tworząc sobie coś na kształt prywatnej armii, i żyje jak książę - za nasz szmal.

- Próbowaliście go dostać?

- Wysłaliśmy ludzi, ale nikt nie wrócił. Mamy pewne informacje, że Wallace ich wykończył. Nikt od nas nie da rady.

- Teraz albo będzie się pilnował, albo poczuje się pewnie. Ile wam zgarnął?

- Dużo - Boyd nie zamierzał dzielić się takimi wiadomościami.

- Ile?! - Harris nie dawał za wygraną.

- Co to ma za znaczenie?! - prawnik był zirytowany.

- Panie Boyd, jeśli o coś pytam, to znaczy, że jest to istotna informacja. Muszę wiedzieć, jak sumiennie cel może się przygotować na naszą ewentualną wizytę.

- Sto pięćdziesiąt milionów - odburknął wysłannik rodziny Madano.

Harris zamyślił się, jego twarz nie wyrażała żadnych emocji. Analizował coś przez chwilę, aż wreszcie wskazał swojego sąsiada.

- Panowie się jeszcze nie znacie. To jest kapitan Richard Pratt. Doświadczenie z brytyjskich oddziałów specjalnych SAS i amerykańskich Navy SEALs. On zajmie się przygotowaniem i przeprowadzeniem akcji.

Komandos ani drgnął. Nie wyciągnął do Boyda ręki, tylko patrzył na gościa badawczo, z miną pokerzysty. Prawnik zaszczyił komandosa krótkim spojrzeniem, choć wcześniej zupełnie ignorował jego obecność. Major wyglądał na człowieka po czterdziestce. Na lewym policzku można było dostrzec kilkucentymetrową bliznę, zaś w jego oczach widać było nieprzeciętną inteligencję i swoistą zaciętość. Boyd przeniósł wzrok na Harrisa, który z obojętną miną patrzył przez otwór okienny na zewnątrz. W jego polu widzenia pojawił się jakiś miejscowy, prowadzący objuczonego muła. Do wieśniaka natychmiast podbiegli jacyś komandosi i szybko go przeszukali, sprawdzając, czy nie jest uzbrojony. Nie był.

- Wolałbym Gawlika - powiedział beznamiętnie prawnik.

Harris wrócił myślami do rozmowy.

- Kogo?

- Adama Gawlika. Tego, co dowodził akcją w Angoli w rejonie Soyo, który czyściliście z partyzantki UNITA.

Boyd podał dokładniejsze informacje, ale nie musiał tego robić. Przedstawiciel

„Executive Outcomes” od samego początku doskonale wiedział, o kogo chodzi.

- Muszę pana zmartwić - Gawlik nie żyje. Zginął w Kongo podczas akcji, którą, nawiasem mówiąc, kompletnie spieprzył. Tylko stracił naprawdę dobrych żołnierzy, na własne nieszczęście. Major Pratt z całą pewnością przewyższa kwalifikacjami Gawlika, więc nie mógł pan trafić lepiej.

- Szkoda. Dużo o nim słyszałem.

- Nie ma ludzi niezastąpionych, panie Boyd. Niedługo sam pan się o tym przekona. Przejdźmy więc...

Drzwi pomieszczenia uchyliły się i do środka wszedł przysadzisty Azer, zbliżając się do mężczyzny w pozie usłużnego lokaja. Przez chwilę obserwowali go kompletnie zaskoczeni. Po co wpuściła go tu ochrona?!

- Czego tu? - rzucił ostro Harris. Nie czekając na odpowiedź, wrzasnął na szefa swoich ludzi, wściekły, że ten pozwolił, by jakiś lokalny tłumok im przeszkadzał.

- Bradock!!!

- Krzyk nic nie da - odezwał się cicho Azer. - Nie usłyszą.

Harris spojrzał na przybysza. Skądś znał ten głos. To niemożliwe! Przez głowę zaczęły galopować mu myśli, które budziły strach. Powoli wstał od stołu, nie odrywając wzroku od przykurczonego mężczyzny. Oczy mu się zaokrągliły - Gawlik?

Jakby to był sygnał do działania, major Pratt wstał i błyskawicznym ruchem wydobył zza pleców pistolet maszynowy mini-Uzi, biorąc intruza na muszkę. Gawlik wyprostował się. Mimo gęstego zarostu na twarzy Harris nie miał wątpliwości, że to właśnie z nim ma do czynienia.

- Przyszedłem po zapłatę za akcję w Kongo - powiedział mężczyzna grobowym głosem.

Harris rzucił ukradkowe spojrzenie na Pratta. Widok broni wycelowanej w Polaka dodał mu otuchy. Słyszało się, że Gawlik potrafił wyjść z różnych opresji, ale mini-Uzi w rękach majora nie dawało mu tu żadnych szans.

- Miło, że wpadłeś - Harris całkowicie odzyskał rezon. - Podejrzewam, że moi ludzie na zewnątrz już nie żyją.

- Dobrze podejrzewasz...

- Szkoda, byli przydatni. Ale cóż, ty też już właściwie nie żyjesz.

Gawlik puścił ewidentną groźbę mimo uszu. John Boyd przyglądał się wydarzeniom z otwartymi ustami. Nie do końca rozumiał, co się tu dzieje, ale nie wstawał. Wiedział, że mogło to by się dla niego źle skończyć. Był prawnikiem, a nie żołnierzem.

- Wystawiłeś nas w Kongo. Odciąłeś łączność i naprowadziłeś na nas bandytów. Strzelali do nas jak do kaczek.

- Widzisz, Adam, taka była potrzeba chwili. To jest biznes. Niedobrze, że przeżyłeś.

Pratt tylko czekał na sygnał, by wykonać wyrok na Gawliku; wyrok, który zapadł już znacznie wcześniej.

Harris kiwnął głową, dając tym samym przyzwolenie na egzekucję. Jednak nim padły śmiertelne dla Polaka strzały, z czubka głowy majora trysnęła czerwona fontanna i mężczyzna zwałił się ciężko na podłogę. Płynąca obficie z roztrzaskanej czaszki krew szybko tworzyła bordową kałużę.

- Jak widzisz, Tom, przeżyłem nie tylko ja. Misza Nikołajew też. Pamiętasz? On nigdy nie chybia. Nawet z takiej odległości jak tutaj, a to prawie dwa kilometry.

To, co pojawiło się w oczach Harrisa, to nie był lęk. lecz przerażenie na granicy hysterii. Rzucił okiem na martwego Pratta i leżący obok niego pistolet maszynowy.

Nic z tego. Broń leżała za daleko.

- Posłuchaj... - głos uwiązał mu w gardle. Zaczął drżeć na całym ciele. - Ja tylko wykonywałem polecenie...

- To ty posłuchaj! - przerwał mu bezceremonialnie Gawlik. - W ciągu tygodnia wpłacisz na moje konto na Kajmanach coś w rodzaju odszkodowania. Powiedzmy, milion dolarów.

- Ile?! - wykrzyknął Harris. Wysokość kwoty, choć w jego sytuacji finansowej była „do przelknięcia”, na moment przesłoniła strach.

- Masz tydzień. Jak pieniędzy nie będzie, to cię znajdę i będziesz mnie błagał, bym pozwolił ci zapłacić, dwa razy tyle. Rozumiesz, gnojku?!

Harris doskonale sobie zdawał sprawę, że Gawlik z pewnością zrealizuje swoją groźbę, choćby miał na to poświęcić resztę życia. Nie zamierzał umierać dla pięciu milionów dolarów. Podjął decyzję: dokona przelewu przy pierwszej nadarzającej się okazji.

- Rozumiem - powiedział z pewną ulgą. Uratował skórę, a to w tej chwili było najważniejsze. - Będzie tak, jak mówisz.

- To dobrze. Poza tym zapomnij o moim istnieniu, a ja zapomnę o twoim i o całej waszej bandyckiej organizacji.

Uznawszy rozmowę za zakończoną, Adam podniósł pistolet maszynowy, który jeszcze przed chwilą był w rękach majora, i wyszedł z chaty. Jeszcze przez chwilę odprowadzali go wzrokiem, patrząc przez otwór okienny, jak trzymając za uzdę muła, szedł w dół wzniesienia, zanim ostatecznie zniknął im z oczu.

- To był właśnie...? - zaczął Boyd, choć w tej sytuacji pytanie to było co najmniej nie na miejscu.

Harris opadł ciężko na siedzenie.

- Tak, to właśnie był - odpowiedział z irytacją w głosie.

- Domyślam się, że akcja z jego udziałem raczej nie wchodzi w grę...

Rozmówca zgromił Boyda wzrokiem. To wystarczyło za całą odpowiedź.

Na śmigłowiec przyjdzie im poczekać jeszcze kilka godzin. Na pobliskim zboczu Misza Nikołajew złożył karabin snajperski do specjalnie spreparowanej walizki. Poprawił czapkę uszankę i zaczął schodzić. Na spotkanie z Gawlikiem dotrze w ciągu niespełna dwóch godzin.

### *Warszawa, Polska*

Przez całą drogę do ministerstwa pułkownik Sławomir Pytlak myślał nad sposobami przekonania ministra obrony narodowej do swojego pomysłu, a plan miał wyjątkowo niekonwencjonalny. Tylko minister Kołodziej, jako bezpośredni zwierzchnik formacji sił specjalnych „Błyskawica”, był władny wyrazić zgodę na propozycję pułkownika. Miał nadzieję, że uda mu się przekonać go do swojej wizji stworzonej przez siebie jednostki, która powoli stawała się dumą polskiej armii, a której był jedynym twórcą i pierwszym dowódcą. Dlatego jej rozwój szczególnie leżał mu na sercu.

Sekretarka ministra obrony była osobą dość już zaawansowaną wiekiem, lecz o całkiem miłej powierzchowności. Pytlak słyszał gdzieś, że w dzisiejszych czasach wciąż mało kto zdaje sobie sprawę, jak ważną rolę spełnia taka często niedoceniana osoba. A młody wiek i uroda rzadko idą w parze z doświadczeniem i kompetencjami. Jak widać minister umiał dobierać sobie pracowników, o ile była to w ogóle jego decyzja. Z politykami różnie przecież bywa.

- Dzień dobry, panie pułkowniku - sekretarka wstała na powitanie. - Minister zaraz pana przyjmie. Proszę spocząć na chwilę.

- Dziękuję - odpowiedział pułkownik, siadając w wygodnym fotelu.

Sekretarka wzięła tymczasem teczkę z dokumentami wymagającymi podpisu zwierzchnika i wśliznęła się do jego gabinetu. Minutę później drzwi otworzyły się ponownie.

- Minister pana oczekuje, pułkowniku - powiedziała zapraszająco, wskazując wejście.

Pytlak był zawsze pełen podziwu, jak gustownie urządzone są gabinety najwyższych władz w państwie. Gabinet ministra nie należał tutaj do wyjątków. W końcu pracowali nad

tym, jakby nie było, najlepsi specjaliści w kraju. Wiadomo przecież, że zlecenie z ministerstwa miało swój prestiż.

- Dzień dobry, panie ministrze - pułkownik zsalutował służbiście ministrowi. Było on dowódcą polskiej marynarki wojennej w czasach, które Pytlak często wspominał z rozrzewnieniem.

- Witam, pułkowniku - Minister Kołodziej wyszedł zza biurka z ręką wyciągniętą na powitanie. - Rozumiem, że macie jakiś problem z „Błyskawicą”? - admirał lubił od razu przechodzić do rzeczy.

Usiedli przy niewielkim stole konferencyjnym.

- Nie ma problemu, panie ministrze. „Błyskawica” rośnie w siłę, szczególnie po ostatnich akcjach. Jednak wciąż odstajemy od najlepszych, ale mam pewien pomysł, który... - Pytlak nie dokończył ponieważ w drzwiach gabinetu pojawiła się sekretarka.

- Czy panowie czegoś się napiją? - spytała.

- Panie pułkowniku? Kawy? Herbaty? - minister zwrócił się do gościa.

- Poproszę filiżankę czarnej, niesłodzonej kawy.

- Dla mnie też kawa, pani Halinko.

- Tak jak wspomniałem, mamy wszelkie szanse, by dołączyć do najlepszych na świecie, ale potrzebne jest jeszcze szkolenie praktyczne w sprawach, z którymi nikt nie miał do czynienia. No, może oprócz Amerykanów. Myślę o doświadczeniu w boju.

- No to w czym problem? Dogadajcie się z Amerykanami, niech przećwiczą naszych.

- To nie jest takie proste. Pierwsza rzecz, to pieniądze. Nasz budżet jest ograniczony, a takie szkolenie to ogromne koszty. Poza tym Amerykanie chętnie pomagają, ale tylko do pewnego momentu. Swoich najlepszych, najbardziej doświadczonych specjalistów wolą zachować dla siebie i wcale się im nie dziwię. Dlatego na Amerykanów za bardzo bym nie liczył.

- Czy dobrze rozumiem, że specjalistów tak wybitnych jak pan już więcej nie mamy?

- Schlebia mi pana ocena, panie ministrze. Myślę, że znalazłoby się kilku oficerów, którzy mogliby mi dorównać wiedzą i umiejętnościami. Ale nie tu tkwi problem. Tacy jak ja, to już za mało.

- Nie bardzo rozumiem.

- My nie mamy większego doświadczenia na polu bitwy. Tego nie zastąpi żadna teoria. Dlatego proponowałbym coś, co może wydać się panu na pierwszy rzut oka rozwiązaniem niekonwencjonalnym, ale gwarantuję, że bardzo skutecznym.

- Proszę mówić, pułkowniku.



- Nawiązałem kontakt z pewnym człowiekiem, który bardzo by się nam przydał. Podobno fenomenalnie wyszkolony przez Rosjan i Amerykanów. Ogromne doświadczenie w walce, żadna broń nie ma dla niego tajemnic. Po świecie chodzi takich najwyżej kilku. I co najważniejsze, to Polak, tyle że mieszka teraz w Stanach.

- No to dawać go! Zaproponuje mu się solidne warunki i niech działa. A dużo chce?

- To nie jest kwestia pieniędzy, panie ministrze.

- No jak nie pieniądze, to wszystko inne można załatwić. Niech go pan sprowadza, skoro to taki as.

- Facet dłuższy czas współpracował z agencją Eebana Barłowa założyciela „Executive Outcomes”.

- To znaczy...?

Admirałowi nazwisko człowieka o ponurej sławie najwidoczniej było obce. Pułkownik otworzył przyniesioną ze sobą tekturową teczkę i zaczął czytać.

- Kariera Eebana Barłowa rozpoczęła się, kiedy wstąpił do armii południowoafrykańskiej. Obejmował różne stanowiska w rządowym resorcie siłowym. Znalazł się w wywiadzie, gdzie zwalczał opozycję ANC<sup>1</sup>. Gdy władzę przejęła czarna ludność RPA, stracił pracę. Wtedy pojawił się pomysł stworzenia prywatnej firmy, która oferowałaby usługi wojskowe - to był początek organizacji Executives Outcomes.

Pierwsze zlecenie to „oczyszczenie” rejonu Soyo w Angoli z oddziałów prawicowej partyzantki UNITA. Akcja zlecona przez Tony’ego Buckinghama z firmy Heritage Oil&Gas, sfinansowana za pieniądze Gulf-Hevron. To korporacja naftowa o zasięgu światowym. Weterani Barłowa z elitarnego 32. batalionu piechoty RPA przeprowadzili całą operację szybko i skutecznie. Potem szkolenia armii angolańskiej i dalsza walka z partyzantką za ciężkie pieniądze otrzymywane od komunistycznego rządu - pułkownik podniósł wzrok znad dokumentów. - I tak dalej... To były najemnik, panie ministrze.

Admirał odchylił się na oparcie fotela i założył ręce na kark. Przez chwilę milczał.

- Czy pan oszalał, pułkowniku? - słowa te wypowiedział spokojnie, lecz bardzo dobitnie. - Przecież ci ludzie to mordercy. Zwykli zbrodniarze. Pan wie, co najemnicy wyprawiali w Afryce? Na przykład w Sierra Leone?

- Wiem doskonale, panie ministrze. Ale proszę spojrzeć na to z innej strony. Na przykład Amerykanie nie mają takich sentymentów i mają wyniki. Poza tym mam sprawdzone informacje, że ten człowiek jakiś czas temu wycofał się z obiegu i teraz, moim

---

<sup>1</sup> ANC - (African National Congress) Afrykański Kongres Narodowy (przyp. red.).

zdaniem, po prostu się marnuje. A nam mógłby przydać się nadzwyczajnie.

- Ma jakieś nazwisko?

Pułkownik Pytlak ponownie otworzył teczkę z dokumentami.

- Adam Gawlik. Urodzony 17 listopada 1959 roku w Żarach, województwo zielonogórskie. Wykształcenie budowlane. Najpierw zasadnicza szkoła zawodowa na kierunku stolarz-cieśla, a następnie technikum budowlane dla pracujących. Matura zdana z wynikiem bardzo dobrym, co w takich przypadkach zdarza się niezmiernie rzadko. Służba wojskowa odraczana do 1982. Podobno ze względów rodzinnych, ale myślę, że miał jakieś układy w WKU Żagań. Powołany do wojska wiosną tegoż roku, już pierwszego dnia ciężko pobił czterech rezerwistów i jednego kaprała. Trzech z nich zostało kalekami na całe życie. Podczas transportu do prokuratury w Żarach ucieka z konwoju w bardzo niejasnych okolicznościach. Od tego momentu ślad po nim się urywa.

- Jeszcze do tego dezenter? Pułkowniku, kogo pan chce sprowadzić do elitarniej formacji sił specjalnych? - zapytał retorycznie minister, łapiąc się wymownie za głowę. - Ale zaraz, zaraz... Gawlik, pan mówi. Coś słyszałem. A czy on przypadkiem nie został doprowadzony do jednostki, bo nie stawiał się na czas?

Pytlak ponownie zajrzał w papiery.

- Ma pan rację panie ministrze. W ogóle szemrana sprawa, bo miał stawić się w jednostce rano, gdzie poborowi mają zwykle czas do północy.

- Tego dnia zatłukli mu żonę czy narzeczoną. Głośna sprawa była. No, ale dezercja to dezercja...

- To właśnie kolejna sprawa, z którą przychodzę. Trzeba by to jakoś mu zapomnieć. Zna pan właściwych ludzi...

Admirał Kołodziej spojrzał na swojego gościa, jakby go pierwszy raz widział na oczy. Następnie wybuchnął gromkim śmiechem.

- Przychodzi pan do mnie, pułkowniku, z prośbą, bym zgodził się na sprowadzenie do „Błyskawicy” zwykłego bandyty i dezentera, prosząc jednocześnie, żebym zrobił z niego niewiniątka w świetle prawa? - spytał, nie wierząc własnym uszom.

- Panie ministrze, to nie jest bandyta... - zaczął pułkownik, lecz rozmówca nie pozwolił mu dokończyć, podnosząc rękę w geście oznaczającym, że nic więcej nie chce słyszeć.

- Wie pan co, niech pana szlag trafi, ale ja to załatwię. Możesz pan ściągać tego artystę do kraju. Doszły mnie słuchy, że szykują mi dymisję, bo nie mogę się dogadać z generałami i naszym ukochanym prezydentem elektrykiem. Niech się martwi mój następca, a co mi

zależy...

Pytlak rozpromienił się na te słowa. Wiedział, że na obietnicy tego człowieka może w pełni polegać. Nie było już żadnych przeszkód natury formalnej. Teraz trzeba było tylko przekonać samego zainteresowanego, choć kto wie, czy w ogóle będzie zainteresowany.

- Bardzo dziękuję, panie ministrze. Proszę mi wierzyć, że podjął pan właściwą decyzję  
- powiedział pułkownik, wstając z krzesła.

Admirał również wstał i wyciągnął rękę na pożegnanie.

- Oby się pan nie mylił, pułkowniku, bo byłby straszny wstyd. A jak by nas w prasie obsmarowali... No nic, do widzenia panu.

- Po żołniersku dziękuję, pani ministrze.

Pułkownik Sławomir Pytlak opuścił gmach Ministerstwa Obrony Narodowej w doskonałym nastroju.

## Rozdział 16

*Nowy Jork*

Winda zatrzymała się na czwartym piętrze. Adam wyszedł na korytarz apartamentowca i sięgnął do kieszeni po klucze od mieszkania. Na lewo, przy schodach, otworzyły się drzwi. Helen Morris właśnie wyszła i powoli zamknęła za sobą swoje lokum. Starsza kobieta, niska i przy tuszy, ubrana była w staromodną sukienkę w wielkie kwiaty. Jak to miała w zwyczaju, dwa razy przekręciła klucz w zamku, wtedy dopiero dostrzegła sąsiada.

- Dzień dobry, pani Morris - Adam ukłonił się, uchylając z uszanowaniem bejsbolówkę. - Mamy dzisiaj piękny dzień, w sam raz na spacer. Nie bierze pani Milly ze sobą?

- Ach, dzień dobry, panie Golyk - kobieta rozpromieniła się na jego widok.

Lubiła tego grzecznego, młodego w jej oczach człowieka. Adamowi zupełnie nie przeszkadzało, że zniekształcała jego nazwisko, bo jak na wiekową już damę robiła to z prawdziwym wdziękiem. W odróżnieniu do swojej pani, jej drobniutki, kudłaty york - Milly - nie darzył sąsiada przesadną sympatią, a wręcz przeciwnie. Można by śmiało powiedzieć, że nie lubił Adama jak psa, zresztą z wzajemnością - Polak uważał go za małego, złośliwego kundla, który potrafił zrobić więcej hałasu, niż startujący odrzutowiec.

- Z Milly naturalnie wybieramy się na spacer, ale teraz mam kilka drobiazgów do kupienia, a wie pan jacy ludzie potrafią być nietolerancyjni w sklepach. Nie chce narażać mojego skarbu na niepotrzebne stresy!

- Tak, ma pani racje. Ludzie potrafią być podli nawet dla tak miłych piesków, jak Milly - skłamał, bo czuł szczerą sympatię dla tej samotnej, starszej kobiety.

- No właśnie. Pan to rozumie. Jeśli wszyscy Polacy są do pana podobni, to jesteście wspaniałym narodem - powiedziała kobieta pogodnie i ruszyła w stronę windy.

- Do zobaczenia, pani Morris.

Adam odwrócił się do drzwi swojego apartamentu. Włożył klucz w zamek, lecz zanim go przekręcił, usłyszał za sobą dziwny dźwięk, jakby na podłogę zwałił się worek ziemiaków. Spojrzał za siebie i zobaczył leżącą przy windzie emerytkę. Trzymała ręce na piersiach i z trudem łąpała powietrze. Podbiegł do niej i przykląkł.

- Pani Morris, co się pani stało? - pytał gorączkowo.

- Pomóż... mi... Bardzo... boli - zdołała wydusić z siebie.

Adam wpadł do mieszkania i złapał za telefon. Po chwili był już ponownie przy sąsiadce. Pogotowie miało być lada moment. Trzymał ją za rękę.

- Pani Morris, zaraz przyjedzie karetka. Wszystko będzie dobrze - mówił do niej, starając się ją uspokoić.

Nie czekali długo. Lekarz i sanitariusze wbiegli po schodach na czwarte piętro.

- Proszę się odsunąć - zakomenderował jeden z nich. Adam posłusznie wstał i zrobił dwa kroki do tyłu.

Szybkie badanie i Helen Morris znalazła się na noszach.

- Dokąd ją zabieracie? - złapał odchodzącego lekarza za ramię.

- Do St. Vincents Hospital przy 13. ulicy. To pan ją znalazł?

- Byłem tu, jak zasłabła.

- No to chyba miała dużo szczęścia. To zawał. Jakby poleżała bez pomocy dłużej, mogłoby być różnie. Teraz, moim zdaniem, nic jej nie będzie, ale musimy przeprowadzić szczegółowe badania. Jutro powinna zacząć dochodzić do siebie. To pana krewna?

- Nie, sąsiadka. Mieszkam tutaj, pod piętnastką. Lekarz skinął głową ze zrozumieniem, a potem odwrócił się i ruszył schodami w dół.

\*

Dźwięk telefonu wyrwał Adama z zamyślenia. Siedział nad gazetą, rozparty wygodnie w skórzanym fotelu. Czytał, lecz treść artykułu nie docierała do niego, gdyż głowę miał zaprzątniętą niedawnymi wydarzeniami. Podniósł słuchawkę.

- Słucham.

- Panie Gaulyk - odezwał się głos z recepcji na dole.

- Jest tu jakaś kobieta do pana. Mówi, że ze szpitala St. Vincent, z wiadomością od pani Morris, pana sąsiadki spod 12. Wpuścić?

- Tak, proszę.

Kilka chwil później wysłanniczka pani Morris zasygnalizowała swoją obecność delikatnym pukaniem do drzwi. Otworzył. W progu stała młoda afroamerykanka w dżinsach, skórzanej kurtce i czarnych adidasach.

- Dzień dobry, panie Golyk. Jestem pielęgniarką ze szpitala St. Vincent.

- Witam panią.

Adam otworzył szerzej drzwi i gestem ręki zaprosił ją do środka. Dziewczyna nie weszła.

- Nie, dziękuję. Trochę się śpieszę. - Wyciągnęła z kieszeni na piersi klucze i podała je mężczyźnie. - Pani Morris bardzo prosi, by pod jej nieobecność zajął się pan jej psem. Trzeba go wyprowadzać dwa, trzy razy dziennie i dać mu jeść. Karma jest w kuchni. Ona nikogo nie ma. Ma nadzieję, że pan jej pomoże.

- Proszę przekazać pani Morris, żeby się nie martwiła o Milly. Zajmę się nią - powiedział Adam głosem, w którym dało się wyczuć nutkę niechęci.

Wziął od dziewczyny klucze.

- Do widzenia panu.

Nie czekając na odpowiedź, pielęgniarka z St. Vincent pośpieszyła w kierunku schodów. Rzeczywiście musiała się śpieszyć - przecież windą byłoby wygodniej.

„No to, kurwa, pięknie”, pomyślał Adam. „Do pełni szczęścia brakowało mi jeszcze tylko tego kundla”.

Postanowił od razu chwycić byka za rogi. Iście piekielny jazgot od wewnątrz towarzyszył Adamowi przy otwieraniu drzwi mieszkania Helen Morris. Suczka Milly była małym pieskiem, ale głos miała jak dzwon. Czego jak czego, ale odwagi yorkowi nie można było odmówić. Ledwie Adam zdążył uchylić drzwi, gdy mały drań rzucił się ze swoimi drobniutkimi zębami na jego nogę. I tu spotkała Milly niemiła niespodzianka. Wymierzony z dużym wyczuciem kopniak posłał psa na pół metra w powietrze. Jeżeli psi pysk może wyrażać najwyższy stopień zdumienia, to tak było w przypadku Milly, gdy już wylądowała na twardym gruncie w bezpiecznej odległości od tego stwora, który miał czelność „podnieść na nią nogę”. Człowiek przykucnął i spojrzał osłupiałemu zwierzakowi głęboko w oczy.

- Słuchaj, szmaciarzu - powiedział po polsku. - Mam się tobą zająć do powrotu twojej pani i tak będzie. Nie życzę sobie żadnych głupich numerów. Zaraz wychodzimy, żebyś załatwiła, co masz do załatwienia, więc bądź grzeczna.

Odpowiedzią było ostrzegawcze warczenie, lecz brzmiało ono zdecydowanie mniej groźnie, niż zwykle. Adam z zadowoleniem przyjął sukces zastosowanej przez siebie metody wychowawczej. Wstał i poszukał wzrokiem smyczy. Leżała na szafce do butów, zaraz przy drzwiach.

- Teraz przypnę ci smycz do twoich pięknych szelek i pójdziemy na spacer - powiedział, zbliżając się do psa.

Milly patrzyła na niego wzrokiem manifestującym pełną uległość swojemu nowemu panu. Adam odetchnął z ulgą, spodziewał się bowiem większych problemów. Widać sprawdza się twierdzenie, że z babami trzeba czasem ostro, nawet z tymi psimi. Spokojnie

wyciągnął rękę z końcówką smyczy w kierunku metalowego kółeczka na grzbiecie suczki i w tym momencie nastąpił bezpardonowy, błyskawiczny atak na palec niczego się niespodziewającego, znenawidzonego sąsiada. Pies ugryzł Adama, po czym kudłaty napastnik, pomny doświadczeń sprzed kilku minut, natychmiast rzucił się do ucieczki.

- Szlag by cię trafił, mendo! - wrzasnął Adam, ssąc ranę.

Rzucił z wściekłością smycz na podłogę. Milly przysiadła w bezpiecznej odległości, a wyraz uległości w jej oczach zniknął bez śladu. Złośliwy, psi uśmiezek dopełniał obrazu zwycięstwa. Adam już wiedział, że yorkom w żeńskim wydaniu w żadnym razie nie należy ufać, ale było już trochę za późno. Mądry Polak po szkodzie...

- Chodź tutaj natychmiast! - mężczyzna wskazał punkt u swoich stóp.

Milly delikatnie przechyliła przyozdobiony kokardą łepkę i spojrzała na człowieka, jakby chciała powiedzieć: „Chybaś się z głupim na głowy pozamieniał?”. Adam rzucił się nagle w stronę stworzenia niczym rasowy bramkarz, za wszelką cenę próbujący uratować swoją drużynę przed utratą gola, lecz pies nie zamierzał czekać na dalszy rozwój wydarzeń i mężczyzna wyrznął o podłogę, łapiąc dłońmi powietrze. Podniósł się powoli z podłogi i spojrzał z nienawiścią na psa.

- Tak? Dobra. Chcesz wojny? Proszę bardzo. Nie idziemy na żaden spacer. Jak ci się chce lać, to lej w majtki - stwierdził i usiadł ciężko na ogromnym fotelu pod oknem.

Zimna wojna potrwiała całe półtorej godziny. W końcu niewdzięczna suka pobiegła do przedpokoju i przytargała w pysku smycz. Adam nie wierzył własnym oczom. Bez problemu przypiął ją yorkowi do szelek i wyszli z domu.

Spacer w stronę Central Parku obfitował w dwuznaczne spojrzenia mijanych mężczyzn, a kobiety obserwowały Adama z wyraźnym zainteresowaniem.

- Ty, kurwa, patrz na tego pedała z tym pieskiem! - czarny młodzieniec w rastafariańskiej czapce szturchnął łokciem swojego kumpla.

- Ja pierdolę, ale się dobrali! - sapnął koleś i obaj wybuchli serdecznym śmiechem.

Adam zacisnął zęby. W innej sytuacji wepchnąłby czarnuchowi jego słowa do gardła, teraz jednak - nie wypadało.

Milly co jakiś czas spoglądała na prowadzącego ją człowieka z wyraźnym zadowoleniem. Uwielbiała spacerować, nawet jeśli miał jej w nich towarzyszyć ten patałach i gbur z mieszkania za ścianą. „Ten patałach i gbur” z kolei ze wszystkich sił starał się uśmiercić ją wzrokiem, lecz bez skutku. Niestety, jego wzrok nie zabijał, a york wciąż był obrzydliwie żywy.

Ze spaceru wrócili w zgoła odmiennych humorach. Tylko jedno z nich tryskało

radością i na pewno nie był to człowiek. Przyszedł czas na karmienie. Kuchnia pani Morris była czysta i schludna, wszystko znajdowało się na swoim miejscu. Nawet karma w kącie kredensu oddzielona była od naczyń i artykułów spożywczych nie wymagających przechowywania w lodówce. Adam wyciągnął otwarte pudełko z suchym psim jedzeniem i zajrzał do środka. Zapach zawartości nie zachęcał do dalszych analiz, lecz mimo wszystko sięgnął po kawałek. Wydobył psi „przysmak” w kształcie kości. Czego to ludzie nie wymyślą! Milly cały czas przyglądała mu się ciekawie. Adam ugryzł fragment sztucznej kostki i wykrzywił się z niesmakiem, a potem rzucił resztę Milly. Pies, o dziwo, ani nie spojrzał na jedzenie.

- O co ci chodzi? Przecież to twoje żarcie. Co ci się nie podoba? - spytał człowiek z wyrzutem. - Ach, ty pański piesek pewnie jesteś i z podłogi nie jesz. OK, gdzie twoja micha?

Rozejrzał się po kuchni. W kącie przy drzwiach stała czyściutka, plastikowa miseczka z wydrukowanym ozdobnymi literami imieniem jej właścicielki. Nasypał do niej karmy i gestem dłoni zaprosił pieska do jedzenia. Milli ani drgnęła.

- Co jest, kurde? Strajk głodowy? - mężczyzna zaczynał się denerwować.

Jakby rozumiejąc jego słowa, suczka oblizła pyszczek, wyraźnie sugerując, że strajki głodowe nie leżą w jej szlachetnej naturze. Przypatrywała się sąsiadowi wyczekująco.

- A może masz dość tych świństw i zjadłabyś coś porządnego?

Jakby na potwierdzenie trafności domysłów Adama, pies oblizwał swój śliczny, arystokratyczny pyszczek po raz drugi.

- Dobra. Smażę dzisiaj boczek na kolację, więc jak chcesz, to możesz się podłączyć. Chodź.

Adam odłożył na miejsce pudełko z karmą i poszedł do drzwi. Milly śledziła jego kroki, ale trzymała się z daleka. Gdy otworzył i wyszedł na korytarz, wciąż siedziała i obserwowała go bacznie z drugiego końca pokoju. Człowiek otworzył drzwi szerzej, próbując zachęcić psa do opuszczenia mieszkania.

- No, idziemy - mruknął niecierpliwie.

Milly najwidoczniej ani myślała iść z tym gburem gdziekolwiek indziej, niż na spacer. W odpowiedzi warknęła tylko ostrzegawczo.

- Ty mnie, kurwa, nie denerwuj! Jak chcesz zreć, to rusz dupę. Nie będę tu stał do jutra - powiedział ze złością. - Bo cię tu zostawię i będziesz wpierdalać te swoje chrupki...

Argument wydawał się skutecznie zadziałać na wyobraźnię pieska, który szybciotko potruchnął w stronę otwartych drzwi i w mgnieniu oka znalazł się na korytarzu.

Boczek smażony na patelni w typowo polski, niezdrowy sposób, w ogromnej ilości



tłuszczu i z całą masą zabójczych przypraw, okazał się strzałem w dziesiątkę. Człowiek i zwierzę zajadali się nim ze smakiem: Adam wygodnie rozłożony w fotelu przed telewizorem, a zwierzak obok na puszystym dywanie. Doszło nawet do tego, że Milly uczyniła temu w jej mniemaniu prostakowi nie lada zaszczyt, jedząc przygotowane przez niego specjały prosto z ręki. Adam z zadowoleniem stwierdził, że nie tylko pierwsze lody zostały przełamane, ale pojawiła się między nimi pewna więź, którą trudno by nazwać przyjaźnią, lecz można było z całą pewnością stwierdzić, że dawne animozje wyraźnie zbladły, o ile nie zniknęły całkowicie. Smażony po polsku boczek potrafi czynić cuda.

\*

Adam nigdy nie widział amerykańskiego szpitala od środka. St. Vincent prezentował się okazale. Podążający we wszystkich kierunkach ludzie mieszały się co chwilę z przemykającymi wokół zaaferowanymi lekarzami i pielęgniarkami. Polak szedł powoli, rozglądając się wokół z zainteresowaniem. Zainteresowanie to najwyraźniej wzbudziło niepokój czarnej, grubej pielęgniarki na recepcji.

- W czym mogę pomóc?! - zawołała tubalnym, niemal męskim głosem.

Adam podszedł do kontuaru.

- Szukam Helen Morris. Leży tu u was od wczoraj. Miała zawał.

Potężna pielęgniarka wystukała na klawiaturze nazwisko i spojrzała w ekran komputera.

- Kardiologia. Pierwsze piętro, sala 103. Pan jest z rodziny?

- Nie. Jestem sąsiadem. Ja zawiadomiłem pogotowie, jak zasłała. Opiekuję się teraz jej mieszkaniem i psem. Ona nikogo nie ma.

- A co pan tam niesie? - spytała wskazując na plastikową reklamówkę, którą mężczyzna trzymał w dłoni.

Adam postawił torbę na ladzie i pokazał recepcjonistce zawartość.

- Trochę owoców, a w słoiku prawdziwy polski rosół. Zawsze stawia na nogi - odpowiedział.

Pielęgniarka obrzuciła go podejrzliwym spojrzeniem. Ten potężnie zbudowany człowiek zdecydowanie nie wzbudzał jej zaufania, ale w oczach miał dziwne przygnębienie i żal za coś nieodgadnionym. Po chwili wskazała mu palcem właściwy kierunek.

- Niech pan idzie. Pani Morris pewnie się ucieszy z pana wizyty.

- Też tak myślę - odpowiedział Adam i uśmiechnął się życzliwie.

Mężczyzna wszedł do przytulnego pokoiku, który wcale nie przypominałby salki szpitalnej, gdyby nie charakterystyczne sprzęty medyczne ustawione obok nowoczesnego,

estetycznie wykonanego łóżka. Od razu rzuciły mu się w oczy delikatne firanki w niewielkim oknie. Niby drobiazg, a sprowadzał do pomieszczenia mnóstwo domowego ciepła.

- Dzień dobry, pani Morris. Jak się pani dzisiaj czuje? - zawołał pogodnie już od progu.

Twarz kobiety rozjaśniła się na widok znajomego Polaka. Obdarzyła go czarującym uśmiechem i z wielkim wysiłkiem wskazała malutki stołeczek przy łóżku.

- Lekarz prowadzący zezwolił już na wizytę, więc jestem. Muszę przecież coś powiedzieć Milly.

- Bardzo się cieszę, że pan przyszedł. A jak moje maleństwo?

- Okropnie za panią tęskni, ale dobrze nam się razem mieszka. Musi pani wiedzieć, że postanowiła na ten czas przeprowadzić się do mnie. I już nie uważa mnie za obcego. Lekarze mówią, że miała pani dużo szczęścia. To tylko lekki zawał i niedługo wraca pani do domu.

- Mi też tak powiedzieli. Jestem jeszcze trochę słaba, ale to pewnie dlatego, że nie pozwalają mi nawet pospacerować po korytarzu - powiedziała z udawaną skargą w głosie.

W rzeczywistości spacer po korytarzu nie wchodził w grę. Kobieta ledwie była w stanie się podnieść i przejść do toalety, nie zawsze bez pomocy pielęgniarki.

- Lekarze wiedzą, co mówią, pani Morris. A na odzyskanie sił mamy lekarstwo - powiedział i sięgnął do reklamówki.

Postawił półlitrowy słoik z rosółem na szafce u wezglowia łóżka chorej. Spojrzał na niego z dumą, po czym przeniósł wzrok na trochę zaskoczoną sąsiadkę.

- To jest prawdziwy polski rosół, zrobiony według prawdziwej polskiej receptury. Zawsze stawia na nogi. Ugotowałem go specjalnie dla pani, żeby jak najszybciej wróciła pani do nas.

- Naprawdę? - rozanielona kobieta nie mogła uwierzyć. - Ale ja nie wiem, czy mi wolno... Kazali trzymać dietę - zmartwiła się.

- Nie ma problemu. Pytałem i wolno pani. A poza tym jest pyszny - Adam ponownie sięgnął do reklamówki. - Przyniosłem też pani trochę jabłek. One na pewno są bardzo zdrowe.

Kobieta patrzyła na Adama w milczeniu. Jej oczy zrobiły się nagle wilgotne, niewielka łza spłynęła po policzku i wtopiła się w miękką poduszkę.

- Pani Morris - mężczyzna natychmiast zauważył zmianę na jej twarzy. - Co się stało? Dlaczego pani płacze? Coś panią boli? - zapytał autentycznie zaniepokojony.

Chwyliła go mocno za rękę.

- Święty z pana człowiek, panie Golyk. Bóg to na pewno panu wynagrodzi.

Adam poczuł suchość w gardle i jakieś przedziwne ciepło rozlewające się po

wszystkich zakamarkach ciała. Ta stara kobieta nie znała jego przeszłości, a tej nie da się wymazać. Na moment owładnął nim ogromny smutek i przygnębienie. Przemknęły mu przed oczami obrazy z Afganistanu. Zastrzelone kobiety i dzieci, widok ludzi palonych i zakopywanych żywcem przez towarzyszy broni za jego, oficera Armii Radzieckiej, przyzwoleniem, strzały do bezbronnych; afrykańskie wioski palone wraz z plonami, co równało się śmierci głodowej ich mieszkańców; cywilne ofiary akcji w Ameryce Południowej. Był człowiekiem przeklętym nie tylko przez los. Jak bardzo ta chora kobieta myliła się, wypowiadając podobne słowa! Gdyby wiedziała, kim kiedyś był, pewnie nie chciałaby nawet splunąć w jego kierunku.

- Panie Golyk, dobrze się pan czuje? - spytała z troską.

- Nie, nie, nic mi nie jest. Trochę źle dzisiaj spałem i jestem zmęczony. Wszystko dobrze, proszę się nie martwić.

- Niech pan idzie odpocząć w domu.

- Nie, nie. Zostanę.

- Proszę iść! Na nic mi się pan nie przyda, jeśli również wyląduje w szpitalu - rozkazała mu z uśmiechem.

- No dobrze. Postaram się przyjść jutro, żeby sprawdzić, czy dbają tu o panią - powiedział, choć oboje doskonale wiedzieli, że w takich szpitalach opieka jest znakomita.

\*

Adam siedział w swoim ulubionym fotelu ze szklaneczką Jacka Danielsa w dłoni, wpatrując się tępo w ekran telewizora. Podawali wiadomości. Po powrocie sąsiadki ze szpitala Milly wróciła do niej i mieszkanie zrobiło się jakieś puste. Ten mały, psotny stworek, z którym zdążył się całkiem uczciwie zaprzyjaźnić, w jakiś sposób ożywiało jego niewielki apartament. Miło było być witany przez tego zwierzaka po powrocie z pracy. Kilka miesięcy temu znalazł zatrudnienie jako cieśla w lokalnej firmie budowlanej. Ze swoimi pieniędzmi nie musiał już pracować, jednak zawsze uważał, że coś w życiu trzeba robić. Od kiedy skończył z wojaczką, trudno mu było znaleźć miejsce dla siebie. Propozycja tej roboty, którą w imieniu swojego znajomego złożył mu właściciel miejscowego baru, była swego rodzaju wybawieniem.

Niewesołe myśli przerwał mu głośny dźwięk telefonu.

- Dzień dobry, panie Gawlik - odezwał się po polsku głos w słuchawce.

- Dzień dobry - odpowiedział lekko zaskoczony Adam.

Z językiem ojczystym nie miał do czynienia od wielu lat, nie licząc polskich książek, które czasami czytywał, i sporadycznych wizyt na Green Poincie, gdzie można było dostać

dobre pierogi i prawdziwą polską kielbasę.

- Nazywam się Sławomir Pytlak. Jestem pułkownikiem Wojska Polskiego. Przyjechałem właśnie do Nowego Jorku i chciałbym się z panem spotkać.

- Czy my się znamy?

- Tylko ze słyszenia. To znaczy ja o panu słyszałem. Mamy też wspólnego znajomego

- pułkownika Władimira Iwanowa, jeśli pan sobie przypomina...

Adamowi stanęła przed oczami twarz oficera radzieckich sił specjalnych - ledwie go już pamiętał. Z jednej strony wiele mu zawdzięczał, lecz to za jego również sprawą Polak stał się kimś na kształt boga wojny. Doskonale wyszkolonym komandosem, strategiem i dowódcą, przez którego w różnych częściach świata zginęło wielu ludzi. Mimo to do tej pory darzył Rosjanina szacunkiem.

- O czym chce pan rozmawiać? - spytał bez ogródek.

- Chciałbym w porozumieniu z Ministerstwem Obrony Narodowej złożyć panu pewną propozycję. Wolałbym, żebyśmy szczegóły omówili w cztery oczy.

Adam zawahał się, lecz tylko przez moment. Właściwie nic nie ryzykował, bo było wręcz nieprawdopodobne, by wojsko chciało go tu ścigać za dezercję. Musieli wiedzieć, że takie działania były z góry skazane na niepowodzenie. Ciekawość przeważała.

- Dobra. Kiedy i gdzie?

- Powiedzmy jutro o osiemnastej?

- Może być. Gdzie?

- Jest taka mała kafejka w Greenwich Village, przy ulicy...

Adam zanotował w pamięci podany przez rozmówcę adres.

- Będę.

- Doskonale - wyraźnie ucieszył się jego rozmówca.

- No to do zobaczenia jutro, panie Gawlik.

- Do widzenia panu.

Adam zastanawiał się, czego od niego mógł chcieć ten wojskowy i to jeszcze Ministerstwo Obrony Narodowej. Czyżby nowa Polska zafundowała sobie jakąś międzynarodową awanturę i chce go wynająć? Niemożliwe, ta demokracja była zbyt młoda, żeby pakować się w takie sprawy. Więc co? Nic nie przychodziło mu do głowy, usiadł wygodnie w swoim ulubionym fotelu i włączył telewizor. Trzeba poczekać do jutra.

## Rozdział 17

Nowy Jork nie był latem zbyt przyjemnym miejscem. Ciężka, gorąca wilgoć wyciskała z ludzi ostatnie poty. Adam szedł spacerkiem przez jak zwykle zabiegany Manhattan na umówione spotkanie. Miał jeszcze dużo czasu. Odwiedził po drodze Central Park. To miejsce nie cieszyło się najlepszą sławą, ale chyba niesłusznie. Tyle razy już tędy przechodził o różnych porach dnia, a nikt nigdy go nie napadł. Lubił tu przychodzić. Czasem można było spotkać ciekawych ludzi, choć podobno trzeba się było mieć przed nimi na baczności.

Jak zwykle o tej porze roku, Manhattan przeżywał najazd turystów. Adama zawsze bawiło obserwowanie ludzi wychodzących ze stacji metra i natychmiast zadzierających głowy do góry, by obejrzeć szczyty słynnych nowojorskich drapaczy chmur. Zorientują się po niewczasie, że stanowią znakomity cel działań tutejszych szumowin. Nieświadomy niczego turysta to doskonałe źródło zarobku dla nowojorskich kanciarzy, złodziei i pospolitych bandytów.

Późnym popołudniem Greenwich Village budziło się powoli do życia. Było zastanawiające, że pułkownik Wojska Polskiego wybrał akurat takie miejsce. Oprócz turystów bywali tu najczęściej niespełnieni artyści i wszelkiej maści niespokojne dusze. Pułkownik polskich sił zbrojnych jakoś tu nie pasował..

Adam bez trudu odnalazł umówioną kawiarenkę. Rozejrzał się - w środku było jeszcze w miarę pusto. Wystrój wnętrza, stylizowany na lata dwudzieste, tworzył specyficzną atmosferę. Czulo się powiew przeszłości, ducha prohibicji i skrycie spożywanego alkoholu, którego nie pić w tamtych czasach po prostu nie wypadało. W takich miejscach bywał sam wielki Al Capone i jego kumple.

W kącie, po prawej stronie od drzwi, siedział samotny mężczyzna i czytał „New York Timesa”. Dobre miejsce, bo wchodzący zwykle nie patrzy w tym kierunku. Adam podszedł do jego stolika. Mężczyzna jakby tylko na to czekał. Odłożył gazetę, wstał i wyciągnął do Adama rękę na powitanie.

- Dzień dobry, panie Gawlik.

- Witam, panie Pytlak.

Nieumundurowany pułkownik zapraszającym gestem wskazał gościowi miejsce. Był

postawnym mężczyzną, wyższym niż Adam. Choć w cywilu, nadal widać było po nim wojskowy dryl. Wyglądał na około pięćdziesiąt lat. Jego twarz zdradzała pewne oznaki zmęczenia życiem, lecz w oczach bez trudu można było dostrzec niespożytą energię.

- Niełatwo pana znaleźć - zaczął pułkownik.

- W życiu czasem gwałtownie wzrasta zapotrzebowanie na święty spokój, ale panu, jak widać, się udało.

- Od lat niezmiennie dają tu znakomitą kawę. Napiję się pan? - spytał oficer i właściwie nie czekając na odpowiedź, skinął na kelnera. - Dwie kawy poproszę.

- Czy coś jeszcze? - młody kelner był bardzo grzeczny.

- Na razie dziękujemy. Może później.

Chłopak odszedł szybko, by zrealizować zamówienie.

- Pewnie jakiś student, próbuje sobie zarobić na czesne - powiedział Adam, patrząc znacząco za odchodzącym. - Jakże inaczej było w Polsce. Młodzi ludzie nigdy nie potrafią docenić tego, co akurat mają i co leży w zasięgu ręki. Tutaj trzeba o wszystko walczyć, a dolar stanowi o wartości człowieka. Dziwny kraj.

- Wiele się u nas zmieniło od czasu, gdy pan zniknął w osiemdziesiątym drugim. Teraz to inny kraj. Nawet ludzie się zmienili.

Adam spojrzał ciekawie na swojego rozmówcę.

- Nawet ludzie... - stwierdził w zamyśleniu. - Myśli pan, że są teraz szczęśliwsi?

- Nie mnie o tym wyrokować, panie Gawlik. Ale z pewnością jesteśmy teraz wolnym krajem. Wreszcie oddychamy swobodniej. Mamy prawdziwie naszą, polską armię. Dlatego, między innymi, przychodzę do pana.

Adam przyglądał się oficerowi byłego Ludowego Wojska Polskiego, który z takim entuzjazmem mówił mu o przemianach w ojczyźnie. Mimo swojej przeszłości jednak budził zaufanie.

- W czym mogę panu pomóc, panie Pytlak?

- Chciałbym, żeby pan wrócił do kraju.

Kelner przyniósł zamówioną kawę i postawił zadziwiająco gustowne, jak na amerykańskie kawiarenki, filiżanki przed mężczyznami. Aromat ciemnego płynu uniósł się nad stolikiem, natychmiast wywołując uśmiech zadowolenia na twarzy pułkownika. Adam nigdy nie był koneserem kawy, lecz ta rzeczywiście smakowała wyśmienicie. Pomyślał, że trzeba będzie zapamiętać tę kafejkę. W końcu nie jest aż tak daleko od jego niewielkiego mieszkania w centralnej części Manhattanu.

- Mam wrócić? - spytał zdziwionym głosem. - Po co, a przede wszystkim w jaki

sposób? Według prawa jestem dezercerem i kryminalistą. Nie pałam szczególną ochotą na zwiedzanie polskiego, nawet zreformowanego więzienia. Ostatnio mam klaustrofobię, a tam podobno jest ciasno.

- Pan żartuje, panie Gawlik - uśmiechnął się Pytlak. - Pana problem rozwiązuje jeden podpis właściwej ręki.

- Pańskiej ręki?

- Przecenia mnie pan. Aż tyle w naszym kraju się nie zmieniło. Jestem jednak upoważniony do udzielenia panu pełnych gwarancji, że pana powrót do kraju w żaden sposób nie będzie wiązał się z jakąkolwiek odpowiedzialnością karną.

- Ciekawe rzeczy pan mówi, pułkowniku. No to jeszcze niech mi pan powie, po co miałbym wracać.

- Panie Gawlik, tworzymy nową, prawdziwie polską armię. Powstały jednostki specjalne, gdzie pana doświadczenie i umiejętności mogłyby się bardzo przydać. Nie możemy zbyt wiele zapłacić, ale ojczyzna coś chyba dla pana znaczy... - powiedział Pytlak z nadzieją na rozbudzenie emocji patriotycznych w tym w sumie wciąż młodym człowieku.

Adam roześmiał się, szczerze rozbawiony. Oficer Wojska Polskiego był człowiekiem starej daty, lecz dla niego patriotyzm z pewnością nie był na pierwszym miejscu na skali uznawanych wartości.

- No dobra, a teraz poważnie. Z czym pan do mnie przychodzi, panie Pytlak? - odpowiedział Adam, przestając się uśmiechać.

- W 1990 roku stworzona została jednostka specjalna „Błyskawica”. Jestem jej dowódcą. Skorzystaliśmy z doświadczeń Amerykanów z Delty i Brytyjczyków z SAS, choć nie tylko. To pierwsza tak wyspecjalizowana formacja w kraju, w dodatku zawodowa. Mamy ambicję dorównania najlepszym na świecie, a do tego potrzebuję pana. Tych żołnierzy trzeba doszkolić.

- Ja? A czymże sobie zasłużyłem na taki zaszczyt? - zapytał Adam z nutą ironii w głosie, której pułkownik wolał nie dostrzegać.

- Radzieckie siły specjalne, doświadczenie z Afganistanu, Afryka. Rozgromił pan partyzantkę UNITA w rejonie Soyo w Angoli, mając pod dowództwem niewielki oddział - muszę przyznać, że to był majstersztyk. Jeszcze parę innych występów, i stał się pan bogatym człowiekiem. Słyszałem, że zahaczył pan też w międzyczasie o Amerykę Południową, i tak dalej. Z RPA was wyrzucili, potem była robota w Sudanie, i trzeba było się gdzieś podziąć. Dlatego pewnie rozmawiamy właśnie tutaj, w kraju wolnych ludzi. W każdym razie mówią, że jest pan najlepszy, a przynajmniej jednym z najlepszych, panie Gawlik.

- Wie pan o mnie więcej, niż ja sam o sobie, ale nie czarujmy się, panie Pytlak. Dla każdego, kto ma choć trochę oleju w głowie, jestem zwykłym bandytą. Podkładałem bomby fosforowe, tam nikt się nie pieprzył z prawami człowieka, konwencjami i temu podobnym gównem. Była robota, to się robiło. Nie przeszkadza to panu?

- Powiedzmy, że jestem pragmatykiem.

- Czy aż tak u was krucho z kadrami, że przychodzi pan do mnie? Choćby pan sam. 1971, Wietnam Północny, rok później Chiny. Mniemam, że nie był pan tam na wczasach. Pierwszy dan w judo też nie dostaje się za piękne oczy. Słyszałem o panu jeszcze parę rzeczy i myślę, że w sumie... jak pan powiedział? „Błyskawica”? Że ta „Błyskawica” ma całkiem niezłego dowódcę.

- Widzę, że odrobił pan zadanie domowe - stwierdził Pytlak, zaglądając do pustej już filizanki. - Obaj wiemy, że razem moglibyśmy dokonać wielkich rzeczy. Tyle, że tym razem już dla dobra wolnej Polski. Pańska przeszłość jest mało istotna. Ma pan doświadczenie, a ja, tak jak powiedziałem, jestem człowiekiem pragmatycznym. Poza tym po Sudanie pan zniknął. Rozumiem więc, że, jak to pan powiedział, „bandytą” już pan nie jest, a to przemawia na pańską korzyść. Dobrze słyszałem, że pracuje pan teraz jako zwykły cieśla?

- Coś trzeba w życiu robić, a to akurat umiem i lubię. Ludzie mają z mojej pracy jakiś pożytek.

- Z pana pieniędzmi? Chyba się nie mylę, że pracować zarobkowo to pan raczej nie musi...

- Nie myli się pan.

- Dziwny z pana człowiek, panie Gawlik. Ale wracając do naszej sprawy: co pan sądzi o mojej propozycji?

- A na kiedy jest pan w stanie załatwić, żeby prokuratura wojskowa się ode mnie odczepiła raz na zawsze?

Pułkownik Pytlak uśmiechnął się z wyrozumiałością.

- To już jest załatwione. Jest pan teraz uczciwym obywatelem Rzeczypospolitej Polskiej, panie Gawlik.

- Nie boi się pan, że teraz powiem po prostu „nie”?

- Widzi pan, ja nic nie ryzykuję. Jeśli pan odmówi, jakoś sobie poradzę. Poza tym myślę, że każdy zasługuje na drugą szansę. Pan też. No, ale nic, nie będę panu zabierał więcej czasu. Proszę przemyśleć sprawę i dać mi znać. Do jutra jestem pod tym adresem, a to mój telefon. Potem wracam do kraju, a tam w razie czego na pewno znajdzie mnie pan w jednostce w Rembertowie pod Warszawą.



Pytlak napisał kilka informacji na kawałku papieru, który wręczył rozmówcy. Wstał od stolika, zostawiając pieniądze za obie kawy, wraz z sowitym napiwkiem. Adam nie protestował - również wstał i uściśnił wyciągniętą na pożegnanie dłoń.

- Będę czekał na pana decyzję, panie Gawlik. Mam nadzieję, że będzie właściwa - powiedział pułkownik i uśmiechnął się życzliwie.

- W moim fachu zawsze trzeba podejmować właściwe decyzje. Inaczej idzie się do krainy wiecznych łowów, jak mawiali czerwoni towarzysze na Dzikim Zachodzie.

Oficer pokręcił tylko głową, uśmiechnął się i wyszedł, a Adam usiadł z powrotem przy stoliku. Kawa w istocie była doskonała.

\*

Następnego dnia na budowie ruch był jak zwykle. Zanim Adam zdążył zabrać się do pracy, podszedł do niego majster, John Croft.

- Cześć, Adam, mam do ciebie prośbę. Jest robota, trzeba zrobić dach na domku na obozie dla dzieciaków w Pensylwanii. Prestiżowa sprawa, bo właściciel to kumpel naszego bossa. Prosił o kogoś zaufanego, a co do ciebie to wiem, że nie spieprzysz mi sprawy. W jakiś tydzień się uwiniesz, a tam będziesz miał pomocnika. Mogę na ciebie liczyć?

- Dobra, zrobi się. Kiedy i gdzie mam jechać?

- Chodź do mnie do biura, dam ci dokładne namiary. Ten gość z Pensylwanii, to w ogóle chyba Polak z pochodzenia. Nazywa się Mark Buynick - pogadacie sobie o tej swojej Polsce.

Croft wyciągnął z szuflady mapę, rozłożył ją na stole i wskazał Adamowi jakiś punkt w Pensylwanii.

- Miejscowość nazywa się Lake Como, w górach Pocono. Musisz dotrzeć konkretnie do Camp Lohikan. Będą tam na ciebie czekać jutro, o którejkolwiek dojedziesz. Im wcześniej, tym lepiej, oczywiście. Pokażą ci robotę i znajdą jakieś miejsce do spania.

- Lake Como... Dobrze się składa, bo niedaleko mam kumpla. Już tyle czasu się do niego wybierałem i wreszcie jest okazja.

- No widzisz - ucieszył się Croft. - Dzisiaj nie musisz pracować. Idź do domu się spakować.

- Nie ma potrzeby, zdążę. Wracam do pracy.

- Jak chcesz. Dzięki, Adam - powiedział do wychodzącego.

Adam wrócił do domu o zwykłej porze. Nigdy nie potrzebował wiele czasu na spakowanie, więc i tym razem piętnaście minut w zupełności wystarczy. Życie nauczyło go radzenia sobie bez wielu rzeczy, bez których przeciętni ludzie na wyjeździe obejść się raczej

nie mogą.

Gdy otwierał mieszkanie, Helen Morris uchyliła drzwi. Wystawiła głowę ciekawie i widząc ulubionego sąsiada, uśmiechnęła się promiennie, z wdziękiem rzadko spotykanym u kobiet w tak podeszłym wieku.

- Ach, dzień dobry, pani Morris. Jak się pani dzisiaj miewa?

- Doskonale, panie Golyk! Niech pan do mnie wejdzie na chwilę - powiedziała tajemniczo i skinęła na niego palcem.

Na progu powitała go suczka Milly. Skakała wysoko i radośnie wokół jeszcze do niedawna serdecznie znienawidzonego sąsiada. Adam przykucnął, by przywitać się z kudłatą sąsiadką. Lizła go po rękach i wierciła się na wszystkie strony.

- Mam pyszne ciasto z truskawkami - powiedziała Helen, gdy mężczyzna podniósł się wreszcie. - Nie odmówi pan towarzystwa starej kobiecie przy filiżance kawy i słodkim co nieco?

- Wie pani, że towarzystwo takiej damy sprawia radość każdemu prawdziwemu mężczyźnie - odpowiedział i skłonił się szarmancko.

W jednej sekundzie Helen Morris spuchła z dumy i samozadowolenia. Uwielbiała tego polskiego dżentelmena!

- Ach, tylko pan tak mówi starej, zręczliwej kobiecie - powiedziała, krygując się w przezabawny sposób.

- Proszę siadać, zaraz będzie kawa - wskazała mu fotel przy ławie, na której stał już ogromny talerz z ciastem równiutko pokrojonym w kostki. Pachniało wybornie! Pani Morris zniknęła w kuchni i za moment pojawiła się z powrotem, niosąc tacę z kawą. Kawę, musiał Adam przyznać, robiła wyborną. - Co u pana słyhać, tak w ogóle? - spytała niewinnie i spojrzała na niego, wznosząc brwi na znak najwyższego zainteresowania odpowiedzią.

Polak natychmiast wyczuł, że coś się kroi. Tego typu zachowanie u pani Morris nie było naturalne.

- U mnie świetnie, a u pani? - odwdzińczył się identyczną miną, z uśmiechem czającym się w kącikach ust.

Pani Morris dała sobie spokój z udawaniem.

- Mój drogi sąsiedzie, co ja tu, stara, będę dużo gadać - martwię się o pana.

- O mnie? - spytał Adam, szczerze zdziwiony deklaracją sąsiadki. - Ależ z jakiegoż powodu?!

Jej twarz przybrała zatroskany wyraz. Adam przyglądał się jej, z trudem zachowując powagę.

- Może się pan ciastem poczęstuje - powiedziała po chwili milczenia. - Jakoś mizernie pan ostatnio wygląda. - Oboje wiedzieli, że wyglądał jak okaz zdrowia, będąc w szczytowej formie. Adam w końcu nie wytrzymał i roześmiał się szczerze. Popatrzyła na niego z udawanym wyrzutem. - Ładnie to tak śmiać się ze starej kobiety?

- Pani Morris, proszę się nie gniewać, ale jest pani dla mnie jak najlepszy balsam na duszę. Poza tym ten zapach wyśmienitego ciasta... Po prostu jak narkotyk.

- No, już niech mnie pan tak nie komplementuje. Ja się znam na tych waszych męskich sztuczkiach. Ale co to ja mówiłam?

- Pozwolę sobie przypomnieć: mówiła pani, że się o mnie martwi.

- Tak mówiłam? Ach, w rzeczy samej. Zasadniczo tak mówiłam - stwierdziła, i jak gdyby nigdy nic nałożyła sobie na talerzyk kawałek ciasta.

Po chwili dostrzegła kątem oka, że Adam przygląda się jej uważnie. Przestała jeść i rzuciła mu pytające spojrzenie.

- Była pani łaskawa powiedzieć, że się o mnie martwi. Z radością usłyszałbym o przyczynach tej troski - dla zabawy Adam uderzył w literacki ton, żywcem wzięty z powieści wczesnej literatury amerykańskiej, którą czytał ostatnio dla zabicia czasu.

- Co ja tu dużo będę gadać! Pan jest sam jak palec, a na tym świecie samotny mężczyzna prędzej czy później źle kończy. W szpitalu poznałam pewną przemiłą pielęgniarkę, ale nie tę postrzeloną, co do pana przyszła. Ta moja bardzo by do pana pasowała. Moim zdaniem nadszedł czas, by się pan ożenił, panie Golyk.

Adam roześmiał się na cały głos.

- Niech się pani przyzna, pani chce mnie wyswatać, pani Morris!

- Pochodzę z bardzo dobrej, żydowskiej rodziny. Kojarzenie ze sobą młodych ludzi jest w dobrym tonie.

- Ale ja nie jestem Żydem.

- W razie czego da się to jakoś naprawić... - stwierdziła pani Morris niewinnym tonem.

- Pani Morris, śmiem zauważyć, że łaskawa pani też nie ma męża...

- Pochowałam trzech i na razie wystarczy - odpowiedziała rezolutnie kobieta.

Ubawiony Adam pokręcił głową i sięgnął po kawałek placka z truskawkami. Zgodnie z przewidywaniami można było powiedzieć o nim tylko jedno: „niebo w gębie”.

- No to na kiedy was umówić, gołąbeczki? - Helen Morris uznała sprawę za załatwioną.

- Jutro z samego rana muszę wyjechać do Pensylwanii, w góry Pocono. Mam tam

robotę na jakiś tydzień. Jak tylko wrócę, to obiecuję, że wezmę od pani telefon tej pielęgniarki, która rzeczywiście musi być niezwykłą osobą, jeśli wywarła na pani takie wrażenie.

- Może jeszcze placka? - zaproponowała zadowolona z siebie emerytka.

Adam z przyjemnością sięgnął po kolejny kawałek truskawkowych pyszności.

\*

Droga do Lake Como minęła Adamowi szybko. Co więcej, policja ani razu nie złapała go za zwyczajowe u niego przekraczanie dozwolonej w Stanach prędkości, wynoszącej jedynie 55 mil na godzinę. Polska krew burzyła się w Gawliku na tak jawne ograniczanie wolności w kraju ludzi podobno wolnych. Już dawno wysnuł niepoehlebny dla Ameryki wniosek, że nawet w komunistycznej Polsce ludzie czasem mieli więcej swobody, niż tutaj, w państwie ekonomicznego niewolnictwa. Zniewolenie jest zawsze zniewoleniem, obojętnie w jakie teorie próbuje się je ubrać. W kraju, gdzie absolutnie wszystko było na sprzedaż i prawie każdego w taki czy inny sposób można było kupić, żyło się trudno, dlatego w trakcie drogi Adam coraz częściej myślał o propozycji pułkownika Pytlaka.

Dostał bardzo precyzyjne wskazówki od Crofta, więc bez problemu znalazł posiadłość o wdzięcznej nazwie Camp Lohikan, pochodzącej od imienia lokalnego wodza Indian - Lohikana. „To się nazywa hipokryzja.” pomyślał. „Najpierw wytępilli rdzennych mieszkańców Ameryki, a teraz stawiają im pomniki w postaci sztyldów, pod którymi funkcjonują ośrodki letniego wypoczynku dla dzieci białych”.

Wjazd na teren kompleksu zamykał drewniany szlaban. Polak zatrzymał swojego chevroleta i wysiadł z samochodu, by rozejrzeć się za kimś, kto by wpuścił go do środka. Ośrodek tętnił życiem. Wokół roilo się od dzieciaków w wieku od na oko lat pięciu, do nawet szesnastu i siedemnastu. Zauważył, że zarówno maluchy, jak i młodzież była pod nieustanną opieką młodych ludzi wyglądających na studentów. Na lewo od szlabanu, na niedużym wzniesieniu, stał drewniany, parterowy dom. Wszedł z niego mężczyzna w żółtym T-shircie z napisem „Camp Lohikan” i ruszył w stronę przybysza. Wyglądał na ponad czterdzieści lat; miał krótko przystrzyżone blond włosy, a sądząc po sylwetce był zapalonym amatorem aktywności fizycznej.

- W czym mogę panu pomóc? - spytał oschle.

Adam świetnie znał się na ludziach. Musiał osiąść tę umiejętność, bo inaczej po prostu by nie przeżył. Ten facet albo traktował innych z góry, albo podlizywał się silniejszym od siebie. Polak od pierwszej chwili poczuł do niego antypatię.

- Nazywam się Gawlik. Przysyła mnie John Croft z Nowego Jorku, do pana Marka

Buynicka. Podobno jest tu robota dla cieśli.

- A, cieśla - stwierdził facet z nieukrywaną wyższością. - Jestem Joe Malacky. Wyższa kadra Camp Lohikan - nie podał Adamowi ręki. - Proszę przejechać sto metrów i skręcić w pierwszą w lewo, tam jest parking. A potem do mnie, do biura - powiedział beznamiętnie i otworzył szlaban.

Adam zostawił samochód we wskazanym miejscu i pomaszerował z powrotem, do budynku przy wjeździe do ośrodka. Szedł powoli, rozglądając się na wszystkie strony. Wyprzedziła go grupka kilkulatków, biegnąca ze swoją młodą opiekunką najprawdopodobniej nad jezioro, które mijają w drodze do ośrodka. Kompleks był naprawdę rozległy, jego teren miał prawie kilometr na kilometr, w całości zabudowany drewnianymi domkami. W środkowej części ośrodka znajdowała się stołówka, hala sportowa i centrum medyczne. Jak się domyślał, bungalowy mieszkalne dla dzieciaków okalały obszar od północy i wschodu. Oddzielone były od centralnej części kompleksu boiskami sportowymi i ogrodzonym padokiem do jazdy konnej.

W małym biurze Joe Malacky'ego Adam zastał jeszcze jednego mężczyznę. Starszawy człowiek średniego wzrostu, z brzuszkiem i starannie utrzymaną siwiejącą brodą, spojrzał w stronę Gawlika, gdy ten wszedł do pomieszczenia.

- To ten facet - Malacky ruchem głowy wskazał na Polaka, jakby pokazywał worek ziemniaków, który trzeba zanieść do piwnicy.

Starszy mężczyzna podszedł do cieśli i wyciągnął rękę na przywitanie.

- Nazywam się Mike Milky. Pokażę panu co i gdzie trzeba zrobić. Chodźmy.

Mike Milky był całkowitym przeciwieństwem swojego współpracownika. Mocny uścisk dłoni i szczere spojrzenie zza dużych, rogowych okularów od razu zjednywało mu nowo poznanych ludzi. Adam ucieszył się, że to właśnie z nim będzie współpracował.

Budynek, którym miał się zająć, znajdował się tuż za centrum medycznym, w sporej odległości od głównego biura. Trzeba było położyć na nim dach, na szczęście o niezbyt skomplikowanej konstrukcji.

- Jak pan myśli, ile czasu to panu zajmie? - spytał Mike.

- Dwóch ludzi uwinie się z tym w tydzień.

- To pan nie jest sam? - zdziwił się Mike.

- Jestem sam, ale John Croft mówił, że ktoś mi tu pomoże.

- Ach, tak. Pewnie Frankie Belushi, nasza „złota rączka”. Niestety, dostał lepszą robotę i od przedwczoraj go nie ma. Szkoda, bo dobrze pracował... Wygląda na to, że chyba musi pan liczyć tylko na siebie. Da pan radę?

- Cholera, ciężko będzie. Ale wie pan co, panie Milky...

- Mike.

- OK, Mike. Mów mi Adam. Mam tu niedaleko kumpla z wojska. Ściągnę go do pomocy, jeśli to nie będzie dla was problem...

- Nie, skąd. Kiedy byś chciał zacząć, Adam?

- Choćby zaraz. Mam sprzęt w samochodzie. Przygotuję robotę na jutro i razem z kolegą ruszymy ostro z samego rana.

- A tak w ogóle to masz się gdzie zatrzymać? Bo jakby co, to mogę pomóc...

- Kolega na pewno mnie przygarnie.

- OK. Jakbyś coś potrzebował, to uderzaj prosto do mnie. Kręcę się tu cały czas po terenie. To powodzenia.

- Dzięki, Mike.

Adam przyniósł z bagażnika narzędzia i zabrał się za przygotowywanie materiału. Drewno leżało w pobliżu, poukładane równiutko. Gdy przyglądał się belkom i deskom, poczuł, że ktoś na niego patrzy. Odwrócił się. Stał przed nim chłopczyk, może sześć- lub siedmiolatek. Wpatrywał się w tego nieznanego mu człowieka ze ściągniętymi brwiami, próbując wykoncypować, dlaczego go tu wcześniej nie widział.

- A pan co tu robi? - spytał bez ogródek.

- Będę tu kładł dach - odpowiedział cieśla. - A pan co tu robi? - próbował zażartować.

- Ja nie jestem „pan”. Jestem tylko dzieckiem, to chyba widać - dzieciak był śmiertelnie poważny.

- Bardzo przepraszam za nietakt - odparł Adam, z trudem powstrzymując się od śmiechu.

Chłopiec zdawał się tego zupełnie nie zauważać.

- Pan tu nowy? Nie widziałem pana wcześniej.

- Przyjechałem dzisiaj rano. Nazywam się Adam Gawlik i zostanę jakiś tydzień, aż skończę robotę. A kto ty jesteś?

- Nazywam się Charlie Parker i mam sześć lat. Wszyscy mnie tu znają, bo pomagam starszej kadrze zarządzającej pilnować dzieciaków.

- No to masz odpowiedzialną robotę - powiedział Adam z dobrze udawanym podziwem, czym od razu zjednał sobie sympatię chłopca.

- Tak, ale ci młodzi wychowawcy czasem przeszkadzają. O, idzie jeden, zaraz będzie marudził. A wie pan, że już drugą noc zakrada się ktoś do obozu i nawet Harooth, co był w Rangersach, nie może go złapać? - dzieciak starał się wykorzystać na rozmowę ostatnie

chwile przed nadejściem wychowawcy.

- Co ty powiesz! A ja myślałem, że Rangersi są najlepsi...

- Pewnie, że są, ale tamten jakoś nie daje się złapać.

Młody człowiek, najwidoczniej pod którego opieką znajdował się mały Charlie, spojrzał na wychowanka karcącym wzrokiem.

- Charlie, wszędzie cię szukamy. Nie możesz się tak oddalać bez pozwolenia! - powiedział z wyrzutem może dwudziestoletni wychowawca.

- Zupełnie zignorował Adama - najwidoczniej w jego mniemaniu pracownicy fizyczni należeli do podrzędnego gatunku ludzi w Camp Lohikan.

- Widzi pan? Już marudzi - stwierdził Charlie. - Muszę lecieć, na razie! - pożegnał się z Adamem, ciągnięty za rękę przez niezadowolonego opiekuna.

Gawlikowi spodobał się ten rezolutny sześciolatek. Miło byłoby zamienić z nim jeszcze słówko. Z drugiej strony, ciekawe rzeczy opowiadał ten malec - intruz, którego nie może złapać nawet Ranger... Polak postanowił nie zaprzętać sobie tym więcej głowy i zabrał się za robotę.

\*

Wczesnym popołudniem Adam jechał przez gęsty las do miasteczka Honesdale, w pobliżu którego mieszkał Billy Dogan. Nie bawił tu już od ponad dwóch lat, ale doskonale rozpoznawał okolicę. Gustowny domek ze sporym kawałkiem ogrodu stał przy samym wjeździe do Honesdale, przed K-martem, gdzie Billy często robił zakupy.

Chevrolet Polaka wjechał na otwartą posesję i zatrzymał się kilka metrów od wejścia do domu Billy'ego. Zanim gospodarz zdołał wyjść, by przywitać gościa, z budynku wyskoczył jego ogromny rottweiler - Pamy - i skoczył na wysiadającego z samochodu przybysza. Adam wiedział, że jakakolwiek próba obrony nie ma sensu, więc poddał się ciężarowi masywnego cielska i runął razem z psem na starannie wystrzyżony trawnik. Pamy była uosobieniem łagodności, ale uwielbiała tego przyjaciela jej pana, okazując mu to przy każdej jego wizycie; gdyby nie szybka interwencja gospodarza, który odciągnął ją na bezpieczną odległość, pewnie zaliżałaby Adama na śmierć. Mężczyzna podniósł się na nogi i wytarł twarz mokrą od psiej śliny. Dopiero wtedy mógł przywitać się z gospodarzem.

- Cześć, stara łamago - rzucił do Indianina.

- Witaj, wiejski głupku! Cieszę się, że znowu mogę oglądać twoją paskudną gębę - odpowiedział mu ciepło zagadnięty.

Rzucili się sobie w ramiona, ściskając mocno i serdecznie. Na werandzie przywitała Adama promiennym uśmiechem Jilly - żona Billego. Adam zatrzymał się, zmierzył ją od stóp

do głów i na chwilę utkwiał wzrok w jej zaokrąglonym brzuchu.

- Niech mnie szlag trafi, jeśli tu nie szykuje się mały Billy albo mała Jilly! - wykrzyknął.

- Chodź tu do mnie, człowieku z kraju na końcu świata - powiedziała radośnie Jilly i uściskała gościa na tyle mocno, na ile pozwalał na to jej stan.

- Naprawdę strasznie się cieszę, że będziecie mieli małego Irokeza. Już wiecie co?

- Dziewczynka - odpowiedziała Jill.

- A kiedy?

- Za jakieś półtora miesiąca - pośpieszył z informacją Billy.

- No to przyjmijcie moje szczere gratulacje!

- Skąd jedziesz, Adam? - spytała Jill, prowadząc go do środka.

- Mam tu robotę na jakiś tydzień. Niedaleko, w Camp Lohikan, Lake Como. Znacie?

- Pewnie, że znamy. Tam pracuje Mike Milky. Wyjątkowo porządny człowiek, czego raczej nie można powiedzieć o innych członkach staffu. No, a gdzie mieszkasz? - spytała wprost Jill.

- Na razie nigdzie...

- No to już mieszkasz. Będziesz spał w pokoiku dla dziecka. Lake Como jest blisko, a będziemy mieli okazję się tobą nacieszyć.

- Dzięki, Jill! Fajnie mieć takich przyjaciół...

- Nie wygłupiaj się! Gdy dowiedziałam się w jakich okolicznościach uratowałeś temu wałkoniowi życie tam, w Somalii - tu znacząco spojrzała na męża - od razu wiedziałam, że będziesz nam bliski.

- No, w '93 w Mogadiszu było gorąco, prawda, Billy?

- E tam, szkoda gadać... Pamiętasz jak mi dałeś ten swój polski przepis na wino domowej roboty? - Indianin zmienił temat.

- Jaki polski? Po prostu powiedziałem ci jak się robi wino.

- W Stanach nie robi się wina w domu. To wy, Polacy, macie te swoje dziwne obyczaje, choć nie powiem - w tym przypadku podobają mi się bardzo.

Billy wstał i z tajemniczą miną wyszedł z pokoju gościnnego.

- Wino zrobił? - spytał Polak z niedowierzaniem.

- Zrobił. A ile się przedtem nakłął... Jedna butla to mu w ogóle wystrzeliła, bo wyszło jakimś cudem musujące. Jaja nie z tej ziemi... - odrzekła Jill kręcąc głową.

- Nie gadaj - roześmiał się Adam. - A nie potruje nas?

- Spokojnie. Najpierw pił sam winiarz do spółki z psem i, jak widzisz, żyją. Uchlali się



obaj niemożliwie. Widziałeś kiedyś pijanego psa?

W odpowiedzi gość śmiał się serdecznie.

- Parę dni później sama popróbowalam. Muszę przyznać, że całkiem niezłe. Widać wy, Polacy, znacie się na takich sprawach.

- Wiesz, ma się te kilkusetletnie narodowe tradycje - powiedział Adam z nieukrywaną dumą.

Tymczasem gospodarz był już z powrotem z ponad półlitrową butelką i trzema dużymi kieliszkami. Nie czekając na zachętę rozlał trunek do szklanych naczyń i podniósł swoje.

- Jak wy tam w tej swojej Polsce mówicie? Na zdrowie! - wykrzyknął, siląc się na słowiański akcent.

- Tak to mówią w Rosji. U nas jest „na zdrowie” - poprawił go roześmiany Adam.

- E tam, za dużo gadasz. Pij, Polaku, pij - uciał Indianin.

Wino istotnie było znakomite. Ten wielki czerwonoskóry miał prawdziwy talent! Gawlik wypił ze smakiem ponad połowę kieliszka.

- Jak ci się, stara łajzo, udało zrobić takie dobre wino? - powiedział Adam z autentycznym uznaniem. - Ty cholerny cwaniaku! Coś tam dodał?

Billy dopełnił mu kieliszek. Indianin puchł z dumy, a samozadowolenie wprost biło z jego twarzy.

- Potem ci pokażę - odpowiedział i puścił do gościa oko.

- No, ale co u ciebie, Adam? - spytała Jill.

- Co u mnie? Właściwie nic się nie dzieje. Panuje święty spokój, czyli coś, do czego zawsze tęskniłem. Po prostu dębuję sobie jako cieśla na różnych budowach. A właśnie, przydałaby mi się pomoc w Lake Como. Myślałem o Billym, ale w twoim stanie...

- No co ty?! Niech idzie, trochę pracy dobrze mu robi. Ostatnio jest nieco nadopiekuńczy i zaczyna mnie denerwować... Pewnie, że pójdzie!

Billy zdawał się nie słuchać, racząc się winem w zdecydowanie zbyt szybkim tempie.

- Hej, Billy, tam w tym Camp Lohikan słyszałem, ktoś w nocy podchodzi pod domki dzieciaków. Któryś z wychowawców to Ranger, ale nie daje rady złapać człowieka. Coś ci może wiadomo?

- Co mówisz? - Indianin naprawdę się zdziwił. - Ranger nie daje rady?

- Ciekawe, nie? Nic nie słyszałeś?

- Słyszeć nie słyszałem, ale domyślałem się, kto może się tak zabawiać.

- Kto? - spytała Jill.

- Przecież młody Baxter chce być Rangerem i ciągle truje mi, żebym go szkolił. Jak nic urządził sobie w Como poligon.

- Z tego mogą być jakieś kłopoty? - Polak wolał się upewnić.

- Nie, skąd! Gówniarz robi sobie podchody, ale pogadam z nim i będzie spokój, więc nie przejmuj się. Z drugiej strony widzę, że nieźle sobie radzi, robiąc Rangera w konia... No, no!

- Adam odetchnął z ulgą. Zdecydowanie wolał, żeby takie problemy omijały go z daleka.

- A jak tam u ciebie? Szykujesz już sobie jakąś babę na stałe? - spytał Billy. - Najlepiej znajdź taką, jak moja żona. Nie ma lepszej - stwierdził ze znanstwem i przyciągnął Jill do siebie.

- Właśnie wczoraj sąsiadka mnie chciała swatać z jakąś pielęgniarką - odpowiedział tajemniczo Adam. - Uwierzylibyście?

- No to pięknie! - ucieszył się Indianin. - A sama sąsiadka nie... ten tego?

Adam roześmiał się na samą myśl o jego ewentualnych podchodach do pani Morris.

- To staruszka, niedawno pochowała trzeciego męża.

- A tak poważnie, to jesteś z kimś? - spytała z zainteresowaniem Jill.

Polak sposepniał i zamilkł. Patrzył dłuższą chwilę w płomyki ognia, radośnie tańczące w kominku, a potem spojrzał na przyjaciół.

- A czy znajdę taką, jak Basia? Gdzie? Tu, w Stanach? Szukałem wszędzie, ale drugiej takiej nie ma. Umarła trzynaście lat temu i nic tego nie zmieni.

Jill objęła go za szyję i przytuliła mocno. Billy rozlał z butelki resztkę wina.

- A tak z innej beczki - mówił dalej Polak - to dostałem propozycję powrotu do Polski, żeby pomagać szkolić wojskowe jednostki specjalne.

- Ty? - zdumiał się Billy. - Przecież ciebie uważają tam za bandytę! Chociaż, prawdę mówiąc, lepiej trafić nie mogli.

- I co zrobisz? - spytała kobieta.

- Nie wiem. Z decyzją nie muszę się śpieszyć, oferta jest otwarta. Podobno nawet zatuszowali moją przeszłość. Już nie jestem dezterem i na wiosnę może faktycznie odwiedzę stary kraj... W końcu ojczyzna.

- No to za Polskę i Polaków. Na zdrowie!

Adam rozchmurzył się i pociągnął solidny łyk znakomitego wina.

- Za przyjaźń polsko-indiańską! - odwzajemnił gest gospodarza. - W końcu losy naszych narodów mają ze sobą wiele wspólnego.

- Taak jest! Za przyjaźń polsko-indiańską i za przyjaźń w ogóle! Hic!

## Rozdział 18

Lot z Nowego Jorku do Warszawy przebiegał bez zakłóceń. Adam musiał przyznać, że stewardesy w Polskich Liniach Lotniczych faktycznie były śliczne; nadzwyczaj sprawnie i troskliwie zajmowały się pasażerami w trakcie kilkugodzinnej podróży.

Z ukrytych głośników zabrzmiał głos pilota.

- Proszę państwa, za około piętnaście minut będziemy lądować w Warszawie. Panuje piękna, słoneczna pogoda, a temperatura powietrza wynosi 22 stopnie Celsjusza. W imieniu załogi dziękuję za spędzony z nami czas i mam nadzieję, że lot minął państwu w miłej atmosferze.

Warszawa z lotu ptaka wyglądała zupełnie inaczej, niż Nowy Jork. Jakoś dziwnie... swojsko. Adam poczuł, że ogarnia go fala obezwładniającego wzruszenia. Oczy stały się wilgotne i pewnie popłynęłoby z nich kilka łez, gdyby nie bezgraniczne zdziwienie. Tak naprawdę z Polską łączyło go niewiele - niezbyt szczęśliwe dzieciństwo i jeszcze mniej udana wczesna młodość. A jednak czuł, że wraca do domu, którego w Ameryce przecież nie miał i zupełnie nie wiedział jak go szukać.

Port lotniczy Okęcie był mikroskopijny w porównaniu z tymi, które miał okazję odwiedzać, lecz widząc go, Adam ponownie poczuł wzruszenie.

Odprawa paszportowa przebiegała sprawnie. Urzędnik celny spojrzał do jego amerykańskiego paszportu i uśmiechnął się na widok zapisanego tam nazwiska.

- Pewnie przyjechał pan zobaczyć kraj swoich przodków. Z nazwiska wnioskuję, że jest pan z pochodzenia Polakiem. Będzie się u nas panu podobało - stwierdził celnik z życzliwym uśmiechem, posługując się całkiem niezłą angielszczyzną.

- To prawda. Płynie we mnie więcej polskiej krwi, niż pan myśli, a Polska jest tylko jedna - odpowiedział Gawlik po angielsku.

Odwzajemnił uśmiech i odszedł w stronę hali głównej, zostawiając za sobą lekko skonfundowanego człowieka, który nie do końca rozumiał, o co dokładnie chodziło przybyszowi.

Przy wyjściu z budynku lotniska przywitało go zapowiadane przez kapitana LOT piękne słońce. Pełą piersią wciągnął rześkie powietrze, jakże inne niż to w Nowym Jorku. Brak było zgiełku wielkiego miasta, panował spokój i raczej ospała atmosfera.

- *Go downtown?* - zaproponował usłużnie mężczyzna w średnim wieku.

Adam odwrócił głowę, domyślając się, że propozycja dotyczy usługi taksówkarskiej. Słyszał, że opłata za przejazd z lotniska do centrum miasta bywa nawet dziesięciokrotnie wyższa, niż normalnie. Jednak nie zamierzał się tym dzisiaj przejmować.

- Tak jest, *go downtown. A how much* mi pan policzy? - pokpiwał sobie z angielszczyzny taksówkarza.

Ten jednak nie załapał dowcipu.

- A, to pan mówi po naszymu? Bardzo ładnie, pewnie mamusia była Polką. Zapraszam do samochodu, na pewno się dogadamy. Gdzie pański bagaż?

Rozglądał się gorączkowo na wszystkie strony w poszukiwaniu, jak się spodziewał, okazałego zestawu pięknych, amerykańskich walizek. Adam zarzucił swój wojskowy plecak na ramię i ku zdziwieniu taksówkarza rozłożył ręce, dając mężczyźnie do zrozumienia, że innego bagażu nie ma.

- To wszystko, co mam. Dużo rzeczy to tylko kłopot.

Zaskoczony taksjarsz uniósł brwi. Amerykański polonus przyjeżdża do starego kraju niczym biedny student uniwersytetu, z jakimś tam plecakiem?! Zupełnie nie mieściło mu się to w głowie. Zawsze uważał, że z tego mlekiem i miodem płynącego kraju przybywa wyłącznie bogactwo w ludzkiej postaci. A tu trafił mu się jakiś odszczepieniec, który widać nie dorobił się w Ameryce. Był przekonany, że gdyby tylko on sam miał szansę udać się za ocean, z pewnością zarobiłby na dostatnie życie dla siebie i rodziny, na długie lata.

Wsiedli do starego, ale całkiem wygodnego mercedesa. Mężczyzna usadowił się za kierownicą. Wyglądał na człowieka grubo po czterdziestce, był otyły i średniego wzrostu. Łysina i siwiejące już włosy znaczyły trudy życia, z którymi musiał się borykać od chwili transformacji ustrojowej. Bezpowrotnie minęły czasy, gdy kierowca taksówki znaczył w hierarchii społecznej więcej, niż dyrektor przedsiębiorstwa i ludziom takim jak on niezwykle trudno było się z tym pogodzić. A jeszcze trudniej dostosować się do nowej rzeczywistości. Obdzieranie ze skóry cudzoziemców wożonych z lotniska było jakimś sposobem na życie, ale tworząca się już mafia taksówkowa nie dawała kierowcom spoza układu większych szans na stały zarobek.

- U was, w Stanach, to jest życie - nie to, co tu. Ja bym pojechał, ale wizy, cholera, nie chcą mi dać. Boją się, czy co? Ale panu to chyba nieszczególnie się powiodło. Nie udało się dorobić, co?

- Wie pan, ja to myślę jak za socjalizmu.: „każdemu według potrzeb”. Widać moje potrzeby nie są wielkie.

Kierowca spojrział na pasażera z politowaniem i zmilczał. Gdyby wiedział jaki jest stan konta tego niepozornego, choć masywnie zbudowanego przybysza zza oceanu, to z pewnością z wrażenia wypadłby ze swojej wiekowej taksówki. Pieniądze, które Gawlik zarobił jeszcze za czasów pracy dla „Executive Outcomes” przyprawiłyby o zawrót głowy niejednego, choćby i nieźle sytuowanego obywatela nowej Polski.

- No to dokąd jedziemy? Do jakiegoś hotelu? - spytał ochoczo taksówkarz, licząc na przyzwoity zysk.

- Chciałbym, żeby najpierw obwioził mnie pan trochę po centrum Warszawy, tak żebym mógł się rozejrzeć, a potem do Rembertowa, do jednostki wojskowej.

Taksówkarz odwrócił się, taksując go przez chwilę wzrokiem. Gość stanowczo nie wyglądał na zamożnego.

- Wie pan, ja jestem uczciwy taksiarz i od razu mówię, że taki kurs to będzie sporo kosztował.

- Musi kosztować. No to powiedz pan ile.

- No... nawet ze trzysta dolarów to może wyjść. Wie pan, to jest długa jazda i w ogóle...

- taksiarz strzelił skandalicznie wysoką cenę.

Adam sięgnął do kieszeni skórzanej kurtki i wyciągnął niewielki plik banknotów. Wręczył go kierowcy i usiadł wygodnie na tylnej kanapie.

- Tu jest czterysta dolarów. Nie chcę więcej rozmawiać o pieniądzach - stwierdził kategorycznym tonem, na dźwięk którego zawsze milkły wszelkie sprzeciwy. Tym samym Gawlik wyeliminował problem ewentualnych późniejszych prób renegocjacji ceny, jak to często z „uczciwymi” usługodawcami bywa.

Taksówkarz pośpiesznie schował pieniądze, przeklinając się w duchu, że zażądał tak niskiej opłaty. Gościa można było nieźle wydoić, a teraz wszystko stracone...

Adam nadal uważał, że Warszawa jako miasto urodą nie grzeszy, ale od końca lat siedemdziesiątych zmieniło się bardzo wiele. Stolica nabrała kolorów, odnowiono co bardziej reprezentacyjne budynki, lecz ogólne wrażenie z całą pewnością nie rzucało na kolana.

- Piękna jest ta nasza Warszawa, nie? Pan był już u nas kiedyś?

- Raz, jak papież przyjechał do Polski w '79.

- Aaa, pamiętam. To było wydarzenie, takich tłumów, jak na placu Zwycięstwa, to nie było chyba nigdzie. Cały naród był wtedy z papieżem. Uwierzy pan, że dzisiaj są w Polsce ludzie, którzy gadają, że jak papież przyjeżdża, to taka impreza za dużo kosztuje?! Ludzie są dzisiaj podli, niech mi pan wierzy. Za pieniądze własną matkę by sprzedali. Kiedyś liczył się człowiek, a teraz to tylko szmalec. A ci złodzieje z rządu co wyprawiają, to pan byś nie

uwierzył! Kradną, ile się da, i to przez nich taka bieda w Polsce, a...

Adam nie słuchał, obserwując ciekawie przez okno mijane powoli uliczki w centrum miasta. Niektóre z nich rozpoznawał i dostrzegał zmiany, jakie poczyniono od jego czasów. Stolica rosła w siłę, co jakiś czas mignęło logo firmy dobrze mu znanej ze Stanów. Całkiem prawdopodobne, że miasto zasłuży kiedyś na miano prawdziwie europejskiej metropolii.

- ...no bo kiedyś taksówkarz to był szanowany zawód - kierowca kontynuował swój wywód. - A dzisiaj to się nie da wyżyć i w dodatku jak utrzymać rodzinę? Pan nie ma jakichś wejść w konsulacie, żeby wizę do Stanów dali?

Adam spojrział na kierowcę, wyczekująco obserwującego go w lusterku. Niestety, musiał go rozczarować.

- Niestety nijak nie mogę panu pomóc. Słyszałem, że trzeba próbować, i za któryś tam razem wreszcie dadzą.

- Już dwa razy próbowałem, szlag by ich trafił! Wie pan, mam kuzyna w Chicago. Robotę by mi załatwił, ale tu, kurczę, nie da rady z tą cholerną wizą. A ile się w kolejce jeszcze trzeba nastać! Jakbym pojechał, to bym rodzinę ściągnął i wreszcie byśmy zaczęli żyć. W tym kraju to już nic się nie da zrobić. Jak się nie ma układów, to „do widzenia”. A pan na długo do Polski?

- Może na zawsze...

- Panie, co pan?! Niech sobie pan pojeździ po kraju, bo kraj mamy piękny, i niech pan szybko wraca do Stanów. Tam to jest życie, proszę pana, a tutaj tylko bieda i beznadzieja. Już - ile to? - sześć albo siedem lat, jak komunę pogonili i co? Ci, co nakradli, to mają forszę, a społeczeństwo biedne jest i żyje się coraz gorzej.

- Daleko jeszcze to Rembertowa?

- Za jakieś dziesięć minut będziemy na miejscu. W tej jednostce, co pan do niej jedzie, to podobno jakieś siły specjalne czy coś tam, stworzyli. Pan tam pewnie w odwiedziny do jakiegoś krewnego?

- Obiecałem znajomemu, że do niego wpadnę, jak będę w okolicy.

- Nie wiem, czy dzisiaj pana wpuszczą - to dzień powszedni, ciężko z odwiedzinami. Jak pan chce, to mogę na pana poczekać, jakby dzisiaj nie chcieli wpuścić.

- Myślę, że sobie poradzę.

Zgodnie z przewidywaniami kierowcy jakieś dziesięć minut później taksówka zatrzymała się przed bramą wejściową do jednostki wojskowej.

- Niech pan się nie poddaje z tą wizą, i do widzenia... - powiedział Adam, wysiadając z taksówki.

- Może jednak poczekać? - kierowca wychylił głowę przez okno.

- Nie trzeba.

Adam podniósł rękę na pożegnanie i ruszył w kierunku dyżurki.

Brama wejściowa wyglądała bardzo podobnie, jak w pamiętnej żagańskiej jednostce. Adama przeszył lekki dreszcz, gdy wspomniał tamte wydarzenia sprzed z górą czternastu lat. Przed oczyma stanęła mu dziewczyna, która stanowiła o sensie jego życia i tragiczne wydarzenia, z powodu których zawalił mu się świat. Wróciło wciąż dręczące go pytanie, dlaczego nie wyszedł na spotkanie Basi trochę wcześniej?! Żyliby gdzieś w Żarach, na zawsze szczęśliwi. Mówi się, że czas leczy rany, ale nie wszystkie. Pragnienie zemsty, tak przytłaczające go jeszcze w 1982 roku, teraz wyblakło. Zdawał sobie sprawę, że znalezienie i ukaranie winnego nie przywróci mu ukochanej. Jeśli istnieje inne życie, to może ją tam spotka, a dobry Bóg pozwoli mu się do niej zbliżyć. Choćby na krótko.

- O co chodzi? - spytał służbowo żołnierz dyżurny.

- Chciałbym się widzieć z pułkownikiem Pytlakiem.

- W jakiej sprawie?

- Nazywam się Adam Gawlik. Pułkownik oczekuje mojej wizyty.

Adam rozejrzał się po dyżurce, nie zwracając uwagi na telefonującego żołnierza. Pomieszczenie urządzone bardzo skromnie: dwa krzesła i niewielkie biurko zapewne pamiętały jeszcze czasy Gierka, podobnie jak telefon, już dawno kwalifikujący się do wymiany na nowszy model. Różnica między tym, co Adam miał okazję widzieć w wojskach amerykańskich, a polską rzeczywistością była uderzająca.

- Dyżurka przy bramie głównej. Jest tu człowiek, który chce się widzieć z pułkownikiem Pytlakiem. Mówi, że nazywa się Gawlik, i że pułkownik go oczekuje.

Żołnierz wysłuchał instrukcji oficera po drugiej stronie linii i z posłusznym „Tak jest!” odłożył słuchawkę.

- Proszę czekać. Zaraz będzie informacja, czy pan pułkownik pana dzisiaj przyjmie - powiedział sucho wartownik.

Adam wymownie rozejrzał się wokół w poszukiwaniu miejsca do siedzenia i spojrzał pytająco na dyżurnego. Ten zupełnie się tym nie przejął, wracając do przeglądania swoich papierów.

- Panie pułkowniku - kapitan Andrzej Zwierzchowski wszedł do gabinetu przełożonego, przerywając odprawę najwyższych oficerów „Błyskawicy”. Pułkownik zmarszczył brwi w dezaprobacie, gdyż nie lubił, jak mu się przerywa spotkania. - Na dyżurce jest jakiś człowiek, który chce się z panem widzieć. Pomyślałem, że może to coś ważnego...



- Jaki człowiek?

- Mówi, że nazywa się Gawlik czy jakoś tak.

Pułkownik zerwał się z fotela.

- Dawać mi go natychmiast!

- Tak jest! - kapitan Zwierzchowski nie zwlekał z wykonaniem rozkazu.

Minęło kilka minut, zanim na dyżurce zadzwonił telefon. Żołnierz ospale podniósł słuchawkę.

- Słucham - rzucił zniecierpliwionym tonem.

Głos w telefonie miał magiczną moc, ponieważ natychmiast postawił dyżurnego na baczność. Ten zdołał tylko wybąkać klasyczne „Tak jest” i poruszony, zwrócił się do Adama, wciąż trzymając słuchawkę w ręku, mimo że jego rozmówca zakończył połączenie.

- Pan pułkownik czeka na pana. Pierwszy budynek po prawej stronie, wejście B, drugie piętro - wartownik wskazał kierunek, choć było to zbędne.

Budynek B prezentował się bardziej okazale, niż inne; najwyraźniej odremontowano go niedawno. Adam wszedł na piętro, gdzie bez słowa wskazano mu gabinet pułkownika.

- Witam, panie Gawlik. Cieszę się, że pana tu widzę. Rozumiem, że podjął już pan decyzję.

Pułkownik Pytlak wstał zza stołu konferencyjnego, przy którym siedziało jeszcze dwóch oficerów, i podszedł do gościa z wyciągniętą na powitanie ręką.

- Dzień dobry, panie pułkowniku. Jeśli mogę się przydać, to jestem do pańskiej dyspozycji.

Mężczyźni uścisnęli sobie dłonie.

- Panowie, to jest człowiek, o którym wam wspominałem - Pytlak zwrócił się do swoich oficerów. - To jest major Ryszard Majewski, a to pułkownik Marek Pałka - wskazał Adamowi swoich współpracowników, którzy podnieśli się z krzeseł, by uścisnąć dłoń nowo przybyłemu. - Szczerze mówiąc, panie Gawlik, już na pierwszym spotkaniu czułem, że nie odpuści pan takiej szansy. A ja znam się na ludziach.

- Jak widać - potwierdził Adam.

- Pewnie jest pan zmęczony? Mamy dla pana przygotowaną kwatery na mieście - niewielkie, ale bardzo przytulne mieszkanie. Kapitan Zwierzchowski zabierze tam pana, zaraz wydam dyspozycje.

- Jeżeli pan pozwoli, to chciałbym przedtem rozejrzeć się po jednostce.

Podróże nie męczyły Adama. Z czystej ciekawości chciał jak najszybciej zobaczyć, z czym i z kim będzie miał do czynienia. Lubił być przygotowany na wszelkie ewentualności.

- Naturalnie - pułkownik podszedł do telefonu. - Kapitanie, proszę do mnie.

Kapitan Zwierzchowski pojawił się po krótkiej chwili w drzwiach gabinetu.

Był to młody człowiek około trzydziestki; w jego twarzy Gawlik natychmiast dostrzegł rys arogancji. Biła od niego wyraźna pewność siebie i buta, charakterystyczna dla oficerów nie mających większego doświadczenia w prawdziwej walce.

- Kapitan Zwierzchowski oprowadzi pana po jednostce, a potem zawiezie na kwaterę. Tacy oficerowie jak kapitan to nasza przyszłość, i mam nadzieję, że wkrótce wielka duma. Brał udział w misji pokojowej w byłej Jugosławii, ukończył też kurs Rangersów w Stanach. Takich ludzi potrzebujemy jak najwięcej, ale cóż, mimo tych kilku lat za nami, wiele jeszcze jest do zrobienia. I mam nadzieję, że z pana pomocą uda się to nieco zmienić, panie Gawlik.

- Spróbuję okazać się wartym pańskiego zaufania, pułkowniku.

- O co jak o co, ale akurat o to jestem spokojny...

Oficerowie wymienili porozumiewawcze spojrzenia. Obaj doskonale wiedzieli, że wiedza i praktyczne doświadczenie, jakie posiadał ten przybysz zza oceanu, mogą okazać się bezcenne dla nie tak w końcu dawno utworzonej formacji sił specjalnych w Rembertowie.

Kapitan Zwierzchowski bez specjalnego entuzjazmu pokazywał Adamowi najważniejsze miejsca, które uznał za istotne z punktu widzenia pomocy w pracy szkoleniowej, jakiej oczekiwano od protegowanego pułkownika. Adam z zainteresowaniem rozglądał się wokoło i swoim wprawnym okiem oceniał przydatność wskazywanych mu przez oficera obiektów, lecz niezbyt uważnie słuchał jego szczegółowych objaśnień. Z każdą chwilą nabierał coraz większego szacunku dla Pytlaka. Na każdym kroku dało się zauważyć fachowość i przemyślane rozwiązania. Zwierzchowski, czego nawet nie próbował ukryć, puchł z dumy, jakby jego wkład w stworzenie formacji „Błyskawica” był co najmniej równy dziełu Pytlaka. Z drugiej strony, już na pierwszy rzut oka dało się wywnioskować, że pracujący tutaj oficerowie mają całkiem słuszne powody do dumy.

- Pana kwatery jest niedaleko, ale weźmiemy samochód. Przy okazji zobaczy pan trochę dzielnicę. Proszę poczekać pod bramą, zaraz podjadę.

Chwilę potem Zwierzchowski zajechał prywatnym, jak się później okazało, polonezem. Adam pamiętał ten samochód jeszcze z początku lat osiemdziesiątych, gdy posiadanie takiego auta było szczytem marzeń. Połowa lat dziewięćdziesiątych przyniosła pod tym względem zwrot niewyobrażalny, a dobra zachodnia marka stała się znakiem prestiżu i społecznego statusu. Czasy starego, dobrego „Poldka”, pochłaniającego niewyobrażalne, jak na swoje osiągi, ilości benzyny, zaczynały nieubłaganie mijać. Samochód ten wciąż budził jednak sentyment, choćby dlatego, że był znakiem pewnych czasów. Poza tym, co by nie

mówić, na brak wygody i przestronność wnętrza nie można było narzekać.

- Niedługo go sprzedaję i kupuję golfa. To jest dopiero maszyna! - stwierdził kapitan, gdy Adam usiadł już wygodnie obok niego. - Volkswageny są nie do zajezdzenia, tyle że je kradną. Pan ma coś na oku?

- Jeszcze nie myślałem o kupnie samochodu. Do takich planów potrzeba jakiejś stabilizacji, a z tym u mnie zwykle bywało marnie.

Zwierzchowski pokiwał ze zrozumieniem głową. Niewiele słyszał o tym człowieku. Mówiło się, że pułkownik ściągnął go ze Stanów, ale tak naprawdę to nikt nie wiedział nic pewnego.

- A jak się u nas panu podoba?

- Muszę przyznać, że już na pierwszy rzut oka jednostka robi wrażenie. Daje się zauważyć profesjonalizm i doświadczenie.

- Prawda? - potwierdził z zadowoleniem kapitan. - Włożyliśmy w to wszystko kawał roboty, ale warto było. Chłopaki są też najlepsze z najlepszych - sam pan się przekona.

- Pan, kapitanie, jest tu od samego początku?

- Nie. Po wrocławskim ZMECHU, to znaczy Wyższej Szkole Wojsk Zmechanizowanych, trochę się służyło tu i tam, a potem przesiedziałem dwa lata w Jugosławii, na misji UNPROFOR-u. Jestem tu od '94. Po drodze udało mi się załapać, jak pułkownik wspominał, na kurs Rangersów. Oni są bezapelacyjnie najlepsi. Słyszał pan o Rangersach?

- Hmm... Znamy się i z Rangersami - odmruknął Adam w zamyśleniu, bardziej do siebie, niż do swojego rozmówcy.

Jak żywe stanęły mu przez chwilę obrazy z knajpy przy Bourbon Street w Nowym Orleanie, gdzie wspólnie z Billym Doganem spuścili łomot sześciu przedstawicielom tej elitarnej formacji, ponieważ wcześniej nie spodobał się im kolor skóry Billy'ego i uznali, że Indianie powinni siedzieć w rezerwach, a nie popijać whisky w zasięgu ich wzroku. Próba wyrzucenia z knajpy potomka szlachetnego plemienia Irokezów skończyła się dla nich bardzo boleśnie. Od tamtego momentu najprawdopodobniej ich światopogląd zmienił się diametralnie, lecz któż to może tak naprawdę wiedzieć...

- Proszę? - Zwierzchowski niedosłyszał odpowiedzi.

- Powiedziałem, że coś tam słyszałem.

- A pan gdzie uczył się wojskowego fachu, jeśli wolno spytać?

- Szkoła wojsk radzieckich w Riazaniu. Potem bywało się w różnych miejscach, ale w sumie nic ciekawego.

Kapitan Zwierzchowski starał się ukryć swoją reakcję, by nie urazić nowego, ale jego tłumiony śmiech politowania był aż nadto wymowny. Najwyraźniej pułkownik ściągnął mu na głowę pętaka, którego przez dłuższy czas będzie musiał prowadzić za rączkę, zanim się do czegokolwiek nada. Trochę się dziwił, bo przecież przy rekrutacji żołnierzy założyciel i dowódca „Błyskawicy” zawsze odznaczał się dużym wyczuciem. „Stary” chyba się jednak starzeje...

- Proszę się nie obrazić o to, co powiem, ale my tutaj, w jednostce, jesteśmy w stosunku do siebie całkowicie szczerzy, czasem aż do bólu. Tak jest lepiej, bo potem, w czasie ewentualnej akcji, są mniejsze problemy - zaczął protekcyjnie. - Osobiście darzę pułkownika ogromnym szacunkiem, ale on i kilku innych oficerów to ludzie minionej epoki. Najlepszym dowodem jest pan, choć mam szczerą nadzieję, że pułkownik wiedział, co robi. Szkoła w Riazaniu... Proszę wybaczyć, ale po takim szkoleniu nasi żołnierze zabiją pana śmiechem. Z życzliwości panu powiem: niech się pan trzyma mnie, patrzy co i jak robię, a wiele się pan nauczy. Wtedy może rzeczywiście się pan w „Błyskawicy” przyda.

- Doceniam pana szczerłość, kapitanie, i nie zamierzam chować do pana żadnej urazy. Też lubię jasne sytuacje. Będę pamiętał, co mi pan powiedział i mam nadzieję, że nie zawiodę pana oczekiwań.

Mówiąc to Adam patrzył na Zwierzchowskiego życzliwie, z lekko przechyloną głową, jak górski orzeł przyglądający się swojej ofierze, która za jego sprawą za chwilę rozstanie się z życiem. W swojej karierze Gawlik spotykał już takich ludzi. W większości wypadków mogli mówić o ogromnym szczęściu, uchodząc z życiem z bitewnej zawieruchy, ale prawdziwa walka zawsze ich zmieniała - na korzyść. Człowiek siedzący obok niego wyglądał na reformowalnego, mimo swojego zadufania we własne siły. Adam czuł instynktownie, że jest on materiałem na dobrego żołnierza, więc może warto go kiedyś będzie nauczyć prawdziwego, żołnierskiego rzemiosła.

- To tutaj.

Polonez zatrzymał się pod czteropiętrowym, odrapanym budynkiem. Zwierzchowski wysiadł, by pomóc Adamowi wyciągnąć plecak z bagażnika.

- Tu są pana klucze. Druga klatka, mieszkanie ma numer cztery. Dalej już pan sobie z pewnością poradzi.

- Jasne. Dziękuję, kapitanie, i... do jutra.

Mężczyźni uścisnęli sobie dłonie i Polonez odjechał w stronę jednostki.

Dwupokojowe mieszkanie było, tak jak zapewniał pułkownik, bardzo przytulne. Urządzono je całkiem gustownie, zupełnie nie w surowym, wojskowym stylu. Żółć na

ścianach jaśniała przyjemnym ciepłem, a meble wyglądały na zupełnie nowe. Mieszkanie jakby czekało właśnie na niego. Niestety, lodówka i szafki kuchenne były zupełnie puste. No cóż, od armii nie można zbyt wiele oczekiwać. Trzeba było udać się po zakupy, co stanowiło pewien problem, bo w Polsce dolar amerykański wciąż nie był prawnym środkiem płatniczym - na szczęście po krótkim spacerze Adam bez trudu znalazł kantor wymiany walut.

Tego dnia niewielki osiedlowy sklepik nie narzekał na nadzwyczajny ruch. Adam nie lubił wielkich, bezdusznych supermarketów, gdzie człowiek przeciskał się przez tłum klientów, przytłoczony ilością oferowanych towarów, zazwyczaj dokładnie nie tych, jakich akurat potrzebował. Zawsze uznawał małe sklepy za idealne miejsce na zakupy.

- Dzień dobry pani - Adam uklonił się grzecznie młodej ekspedientce.

Szczupła brunetka z wielkimi oczami i ujmującym wyrazem twarzy mogła mieć może jakieś dwadzieścia trzy lata. Pomyślał, że warto zawitać do takiego sklepu, choćby z powodu całkiem atrakcyjnej obsługi.

- Dzień dobry - odpowiedziała. - Czym mogę służyć?

- No właśnie, pani na pewno mi pomoże. Dzisiaj się sprowadziłem i mam echo w lodówce. Proszę mi sprzedać wszystko, co, pani zdaniem, człowiek powinien mieć w domu.

- Wszystko, czyli co? - spytała zaskoczona.

- No, wszystko... Herbatę, cukier, coś do jedzenia... Mam tylko garnki, talerze i sztućce. Bardzo proszę, niech mi pani pomoże, bo przyjdzie mi zdechnąć z głodu.

Dziewczyna uśmiechnęła się słicznie.

- Dobrze, coś pomyślimy - stwierdziła, odwracając się w stronę półek.

Adam mimo woli powiódł wzrokiem po jej niezwykle zgrabnej sylwetce. Jakże była inna od kobiet, które czasem miewał w Stanach! Wiosenna, ulotna i bardzo... polska. Krzątała się po sklepie, a stos towarów na ladzie wciąż rósł i rósł, ku uciesze klienta. Po kilku minutach odwróciła się od jednej z półek.

- A może już wystarczy? Nie chciałabym, by pan przeze mnie zbankrutował...

- Nie, nie - pośpieszył z odpowiedzią.

W końcu wróciła za ladę.

- Teraz muszę pana skasować. Obawiam się, że trochę to będzie kosztowało.

- Zapewniam panią, że z przyjemnością zapłacę każdą sumę.

Dziewczyna znów uśmiechnęła się promiennie i zabrała się z nabijanie towaru na kasę.

- Gdzie były takie dziewczyny, gdy byłem młody? - zagadnął.

- Proszę mnie nie rozpraszać, bo się pomyłę i policzę panu za dużo - odpowiedziała

filuternie.

- Jakoś bym to przeżył, taka obsługa warta jest każdej ceny...

- Wyszło 164 złote i 36 groszy.

Adam wręczył ekspedientce pieniądze.

- Nie chciałbym pani straszyć, ale spodobało mi się tutaj i chyba będę wpadał do pani po zakupy częściej.

- Zawsze będzie mi bardzo miło. Taki klient...

- Niech pani powie ode mnie swojemu chłopakowi, że jest wielkim szczęściarzem - powiedział, zanim odwrócił się do wyjścia. - On doskonale o tym wie, nie muszę mu mówić - rzuciła za nim rezolutnie.

Adam uśmiechnął się, skinął głową i z wielką torbą pełną zakupów wyszedł ze sklepu.

Polska telewizja w zderzeniu z amerykańską wypadła całkiem nieźle. O ile w Stanach, mimo kilkudziesięciu kanałów, znalezienie czegoś ciekawego, a jednocześnie nie - głupiego niekiedy graniczyło z cudem, to tu było się przy czym zatrzymać na dłużej. Adam nigdy nie przepadał za telewizją, lecz dzisiaj naszła go ochota, żeby wczuć się w rolę couch potato, telemaniaka. Szukał głównie wiadomości i dokumentów na temat kraju, do którego właśnie powrócił. Miał wrażenie, że chyba na dobre. Nie potrafił zrozumieć dlaczego, ale tutaj samotność wydawała się jakby mniej dokuczliwa. Nawet język, którego przecież nie używał od lat, a który teraz słyszał wszędzie wokół, brzmiał przyjaźnie i domowo. Tak, Adam już wiedział - jego miejsce jest tutaj, i nigdzie indziej. Wśród tych biednych, wciąż o coś walczących, uderzająco smutnych ludzi. Dotarło do niego w pełni, że przecież jest jednym z nich. Polakiem, cokolwiek to słowo mogło znaczyć. Nie patriotą, ale Polakiem, z duszy i z serca. Wrócił do domu.

\*

W gabinecie pułkownika Pytlaka stał się pełen skład oficerów formacji „Błyskawica”, tym razem powiększony o przybysza znikąd - porucznika Armii Radzieckiej Adama Gawlika. Wszyscy siedzieli dokoła stołu konferencyjnego, stał tylko dowódca, oparty oburącz o blat.

- Dzisiaj, panowie, chciałbym, żeby oprócz normalnych zajęć przeprowadzone zostały ćwiczenia z udziałem znanego już panom porucznika Gawlika. Bardzo praktyczne ćwiczenia. Prowadzącym będzie kapitan Zwierzchowski, a pozostali mają pełnić rolę obserwatorów. Zadanie jest proste - eliminacja wroga w lesie. Wrogiem kapitana będzie właśnie porucznik, a dla niego z kolei dowodzona przez kapitana, powiedzmy dziesięcioosobowa grupa, a w szczególności sam kapitan.

Zwierzchowski podniósł wzrok z taką miną, jakby się przesłyszał. Jeden człowiek ma wyeliminować grupę dowodzonych przez niego komandosów? Toż to czysty absurd.

- Panie pułkowniku, jeśli wolno spytać, to jaki sens mają takie ćwiczenia? Przecież wszyscy tu doskonale zdają sobie sprawę, że, przy całym szacunku dla umiejętności porucznika, nie ma on najmniejszych szans.

- Sens szkoleniowy, kapitanie. Czysto szkoleniowy - odpowiedział pułkownik.

Zwierzchowski wzruszył ramionami na znak, że się podporządkuje, choć celu w tym nie widzi żadnego.

- Każdy dostanie karabinek miotający kule z czerwoną farbą. Wystarczy trafić porucznika, i po zabawie. Porucznik natomiast będzie dysponował imitacjami noży z końcówkami wypełnionymi farbą i odpowiednio spreparowanymi strzałami łuczniczymi, gdyż stwierdził, że karabinek nie będzie mu potrzebny. Obserwatorzy dopilnują, by każdy, kogo dosięgnie farba wypadł z ćwiczeń. Kapitan i jego ludzie przygotowują obozowisko i czekają na rozwój wydarzeń lub szukają przeciwnika. Dalej panuje pełna dowolność działań. Czy wszystko jasne?

- Tak jest, panie pułkowniku - rzucił Zwierzchowski i spojrzał na swojego dzisiejszego przeciwnika z mieszaniną politowania i zaciekawienia.

Adam skinął znacząco głową, na znak, że wszystko jest zrozumiałe.

- Wykonać! - zakomenderował pułkownik i wszyscy się rozeszli.

Adam poczuł zbliżający się zwierzęcy instynkt walki, jak wtedy, w Kandaharze. Niedługo znów miał rozpocząć swój taniec śmierci, po raz pierwszy bez ofiar.

Kapitan postanowił wybrać najlepszych żołnierzy, by nie przeciągać tej farsy. Z jednej strony szkoda mu było kompromitować nowego już na samym początku, lecz z drugiej strony, on sam ewidentnie się o to prosił. Mógł przecież spróbować wybić pułkownikowi ten co najmniej dziwny pomysł z głowy! Jego ludzie to specjaliści od maskowania, więc cała akcja nie powinna potrwać dłużej, niż kilkanaście minut.

\*

W lesie panowała cisza co jakiś czas przerywana świergotem ptactwa. Minęła już ponad godzina od sygnału rozpoczęcia ćwiczeń i nic się nie działo. Czyżby porucznik zablądził? Ciekawe dlaczego pułkownik tak go promuje, coś w tym musi być. Z zamyślenia wyrwał Zwierzchowskiego okrzyk obserwatora.

- Aut!

Oznaczało to wyeliminowanie jednego z jego ludzi. „Ten Gawlik ma szczęście, nie ma co”, pomyślał kapitan.

- Aut! - usłyszał z zupełnie innego kierunku.
- Aut! - kolejny obserwator zasygnalizował wyeliminowanie następnego żołnierza.
- Co jest, kurwa? - mruknął zaskoczony oficer.

Kapitan Zwierzchowski tracił żołnierzy dosłownie z minuty na minutę. W ciągu niespełna kwadransa Gawlik wyeliminował prawie cały zespół. Kapitan rozglądał się gorączkowo. Był w ukryciu, lecz już wiedział, że porucznik znajdzie i jego, więc bezpośrednia konfrontacja pozostawała tylko kwestią czasu. Nie mylił się, bo po chwili zza pleców dobiegł go znajomy głos.

- Kapitanie!

Odwrócił się szybko. Porucznik Gawlik stał w odległości nie większej niż siedem, osiem metrów. Kapitan z satysfakcją stwierdził, że ten człowiek znikąd jednak popełnił kardynalny błąd - nie wziął karabinka. Z takiej odległości nie sposób chybić; Zwierzchowski szybko wycelował w przeciwnika.

- Nie wiem, jak pan tego dokonał, ale faktycznie niewiele brakowało, by się panu udało, poruczniku.

- Myślę, że właśnie mi się udało - odpowiedział spokojnie Adam.

Po twarzy kapitana przemknął ledwie zauważalny, drwiący uśmieszek i oficer pociągnął za spust. Porucznik spokojnie uchylił się przed pociskiem z farbą, a kolejny strzał przyniósł identyczny skutek. Trzeciej szansy kapitan już nie miał - atrapa noża przecięła powietrze i wielka plama czerwonej farby rozlała się na sercu kapitana Zwierzchowskiego. Zdumienie malujące się na jego twarzy przywołało u Adama wspomnienia z czasów, gdy musiał patrzeć na śmierć mniej doświadczonych towarzyszy. Stał przez dobrą chwilę, przyglądając się osłupiałemu oficerowi, a następnie przyłożył palec do czoła i zasalutował niedbale.

- Dziękuję za współpracę, kapitanie.

Odwrócił się i odszedł w stronę punktu zbornego.

\*

Po ostatnich zakupach miał już w domu wszystko, bez czego samotny mężczyzna obejść się nie może. Przemiała ekspedientka nie przewidziała tylko jednego drobiazgu: po powrocie do domu stwierdził brak mleka do kawy. No tak, trzeba wpaść do sklepu. Ta sympatyczna młoda dama nie mogła wiedzieć, że Adam nie pija kawy bez mleka.

- Dzień dobry pani! - Adam przywitał się zaraz po przestąpieniu progu sklepu.

- Witam ponownie, panie poruczniku - odpowiedziała sprzedawczyni z czarującym uśmiechem.



- Poruczniku? Skąd pomysł, że mam cokolwiek wspólnego z wojskiem? - spytał Adam, nie kryjąc zdumienia.

- Panie poruczniku, tu mieszkają głównie emeryci. Proszę mi wierzyć, że wiedzą więcej niż CIA, FBI i wszystkie służby wywiadowcze razem wzięte. Komu mają się wygadać, jeśli nie swojej sklepowej?

- Niech mnie diabli! Poważnie? - Polska zaskakiwała przybysza coraz bardziej. - I czego jeszcze się pani o mnie dowiedziała?

- Niewiele. Podobno przyjechał pan ze Stanów i nazywa się Adam Gawlik.

Gdyby szczęki ze zdziwienia mogły opadać do ziemi, Adam wiódłby resztę życia, wciąż potykając się o własną. Ekspedientka patrzyła na niego szczerze ubawiona.

- Widzę, że nie muszę mówić, co przyszedłem kupić, bo to pani pewnie też już wie...

Roześmiała się głośno, odrzucając głowę do tyłu.

- Nie, nie! Nasi emeryci w myślach jeszcze nie potrafią czytać, choć pewnie i nad tym usilnie pracują.

Adam zastanawiał się, dlaczego ta dziewczyna pracuje w sklepie. Z jej zachowania i sposobu wysławiania się można było odczytać raczej nieprzeciętną inteligencję.

- No, ale jeśli pani już tyle o mnie wie, to chyba wypada, bym i ja się o pani czegoś dowiedział...

- Nazywam się Ewa Wojcieszak - odważnie wyciągnęła rękę przez ladę.

Mężczyzna uniósł do twarzy jej delikatną dłoń i musnął skórę ustami.

- Naprawdę bardzo mi miło panią poznać...

- Hm... Rzadko już dzisiaj spotyka się mężczyzn całujących kobiety w rękę.

- Bo ja, wie pani, jestem człowiekiem starej daty. Z Mieczysławem Foggiem chodziliśmy do jednej klasy.

- To nieźle się pan trzyma, jak na swój wiek - odpowiedziała celnie, nie przestając się uśmiechać.

- No właśnie, też to ostatnio zauważyłem. Ale my tu gadu-gadu, a ja potrzebuję mleka do kawy.

- Już podaję. - Ewa Wojcieszak sięgnęła do lodówki i postawiła małe pudełeczko na ladzie. - Czy coś jeszcze?

- Nie, na dzisiaj już dziękuję. Wczoraj zaszalałem, a nie chciałbym pani rozpuszczać. Do widzenia!

\*

Następnego dnia rano pułkownik wezwał do siebie kapitana Zwierzchowskiego.

Bardzo był ciekaw jego opinii o Gawliku. Miał nadzieję, że urażona duma młodego oficera nie będzie stanowiła przeszkody do współpracy z porucznikiem, na którą szczerze liczył.

- Proszę usiąść, kapitanie. Co pan sądzi o poruczniku? Tak na gorąco...

Wskazał podwładnemu krzesło przy stole konferencyjnym.

- Muszę przyznać, że to, co on wyprawiał wczoraj w lesie... - kapitan zawiesił na moment głos. - Czegoś takiego jeszcze nie widziałem.

- Czyli przyda się w jednostce?

- Z całą pewnością.

- W tym momencie do gabinetu pułkownika wszedł Gawlik.

- Dzień dobry panom.

- Zapraszam, poruczniku. - Pytlak wskazał Adamowi krzesło naprzeciwko kapitana. - Dzisiaj popracujecie panowie razem. Myślę, że porucznik musi wdrożyć się w życie jednostki. Co pan ma dzisiaj w planach, kapitanie?

- Praktyczna walka wręcz. Tak jak uczą u Rangersów.

- Bardzo dobrze. Porucznik będzie panu pomagał. Poruczniku, kapitan pokaże panu co i jak. Do zajęć, panowie!

Zwierzchowski natychmiast dostrzegł swoją szansę na zrehabilitowanie się po wpadce w lesie. Pierwszy dan w karate kyokushinkai i umiejętności przywiezione ze szkolenia w Stanach sprawiały, że niewielu mogło się z nim równać w bezpośredniej konfrontacji.

Mężczyźni wyszli z gabinetu pułkownika.

- W Riazaniu uczyli sztuk walki? - w drodze do sali gimnastycznej kapitan zagadnął Gawlika.

- Niewiele. Werbowali głównie wyczyńców.

- To gdzie pan się szkolił?

- W sumie amatorsko. W podstawówce miałem nauczyciela od polskiego. Trochę się na tym znał i próbował mnie czegoś nauczyć.

Zwierzchowski rzucił mu podejrzliwe spojrzenie. Weszli do sali ćwiczeń.

\*

- Każdy z was ma wysoki stopień w judo, aikido czy karate - kapitan zwrócił się do grupy komandosów uczestniczących w treningu. - Wcześniej czy później przekonacie się, że to za mało. Na pewno kiedyś przyjdzie wam zmierzyć się z kimś, kto posiadał umiejętności podobne waszym. Pewne przygotowanie praktyczne, jak choćby izraelski system Krav-Maga, może okazać się nieocenione, a nawet ratujące życie. W dzisiejszym treningu bierze udział porucznik Gawlik. Pomoże mi on na początek pokazać, o czym mówię. Poruczniku,

zapraszam do tańca.

Zwierzchowski pochylił się lekko do przodu, uniół ręce i charakterystycznym ruchem palców zachęcił Gawlika do podejścia bliżej. Ten złożył ręce jak do modlitwy, spuścił lekko głowę i zrobił niewielki krok w kierunku przeciwnika. Następnie wyprowadził błyskawiczny cios, przy którym atak mangusty na kobrę mógłby się wydawać nadzwyczaj ślamazarny. Obserwatorom wydawało się, że czubki jego palców jedynie musnęły nasadę szyi kapitana, ten jednak zwałił się na ziemię niczym rażony piorunem. Oficer zerwał się na równe nogi i natychmiast wyprowadził piorunujące kopnięcie na głowę Adama. Ten wyłapał je z łatwością, po czym podciął Zwierzchowskiego, który ponownie wylądował na plecach. W ułamku sekundy porucznik ukląkł obok leżącego i zamarkował druzgocące, zawsze śmiertelne uderzenie w krtani. Następnie, już stojąc wyciągnął rękę do kapitana, by pomóc mu wstać. Po chwili wahania kapitan chwycił dłoń przeciwnika i podniósł się z powrotem do pozycji pionowej.

- Na pewno zauważyliście - zwrócił się Adam do obserwujących ich komandosów - że kapitan celowo popełnił pewne błędy, żebyście mogli zobaczyć, czego należy się wystrzeżać. Nie muszę chyba dodawać, że prawdziwego starcia z takim ekspertem jak kapitan Zwierzchowski raczej bym nie przeżył.

Zwierzchowski rzucił mu pytające spojrzenie, lecz porucznik zdawał się go nie dostrzegać. Adam spojrział na oficera wyczekująco. Zauważył jego wahanie, więc natychmiast postanowił ratować sytuację.

- Dzięki za dobrą lekcję, kapitanie. Jedziemy dalej z treningiem?

- Tak, tak, oczywiście. - Zwierzchowski był już całkiem opanowany i zaczął rozumieć, co tu się przed chwilą wydarzyło.

## Rozdział 19

Tym razem w sklepie osiedlowym był ruch, a w kolejce do lady stały trzy osoby. Adam ustawił się karnie na końcu ogonka. Ewa szybko obsłużyła stojących przed nim klientów.

- Dzień dobry, pani Ewo. Słowo stało się ciałem i już trzeci dzień z rzędu zachodzę do pani sklepu - powiedział pogodnie.

- Zawsze mi miło pana widzieć, poruczniku.

- Za pierwszym razem dorzuciła mi pani takie pyszne galaretki...

- Wiedziałam, że będą panu smakowały. Ja też je lubię - powiedziała z satysfakcją.

- No właśnie. Dlatego poproszę jeszcze.

Ewa odwróciła się w stronę półek i sięgnęła po pudełko smakołyków.

- A czy przy okazji mogę zadać pani głupie pytanie?

- Hm... Proszę...

- Co taka inteligentna dziewczyna robi, pracując jako ekspedientka w sklepie.

- No tak. Faktycznie głupie pytanie - odpowiedziała z kwaśną miną.

Adam zdał sobie sprawę, że najwidoczniej mylnie zinterpretowała jego intencje.

- Pani Ewo, broń Boże nie próbuję pani podrywać. Na to jestem za stary i za głupi, a pani dla mnie zdecydowanie za młoda. Męczy mnie tylko, dlaczego pani jest tu, a nie gdzieś na studiach. Osoby takie jak pani raczej nie pracują w osiedlowych sklepikach.

- Nie sądzi pan, że za krótko się znamy, bym mówiła panu o takich sprawach?

- Ma pani rację, ale życie jest krótkie. Podobno najłatwiej wygadać się nieznanemu, więc to, że znamy się zaledwie od kilku dni, powinno przemawiać na moją korzyść.

- Wie pan, że mieszkamy z mamą zaraz pod panem? - spytała ni stąd, ni zowąd.

- Coś takiego! Czyli jesteśmy sąsiadami. Pięknie! I sąsiadowi pani nie powie?

Ewa uśmiechnęła się smutno i spuściła wzrok. Nie potrafiła tego zrozumieć, ale człowiek stojący przed nią wzbudzał zaufanie i niezwykle poczucie bezpieczeństwa.

- Od czasu śmierci ojca ledwie wiążemy koniec z końcem, a z mamy renty nie możemy się utrzymać. Studiowałam medycynę. Zawsze chciałam być lekarzem pediatrą. Było to moim marzeniem, ale na marzeniach się skończyło. Musiałam przerwać studia z dość prozaicznych powodów. Nie muszę chyba mówić jakich...

- Przykro mi to słyszeć. Bardzo chciałbym pani jakoś pomóc, ale...

- Dziękuję za dobre chęci, ale nie może mi pan pomóc. W życiu nie można mieć wszystkiego. Pan pewnie się też o tym nieraz przekonał.

Adam spojrział przygasłym wzrokiem w przestrzeń za ekspedientką.

- Nawet nie zdaje sobie pani sprawy, jak bardzo ma pani rację. Ale nie ma co biadolić

- Adam szybko opanował emocje. - Trzeba wierzyć, że los się odmieni. Mam takie przeczucie, że jeszcze panią spotka w życiu wiele dobrego.

- Skoro pan tak mówi, poruczniku... - uśmiechnęła się czarująco.

- Tak trzymać, pani Ewo. Do widzenia!

Zgarnął pudełko galaretek pod pachę i wyszedł.

\*

Czasem samotne wieczory nie były takie dokuczliwe. Zamiast szwendać się po mieście i knajpach, przyjemniej było posiedzieć w domu, choćby bezmyślnie przełączając kanały w telewizorze, lub poczytać coś mniej lub bardziej wciągającego. Tym razem Adam miał głowę zaprzątniętą losem młodej sprzedawczyni. Naprawdę ją polubił. Teoretycznie mógł jej pomóc, bo był bogaty, jak na polskie, i nie tylko polskie warunki, jednak wiedział doskonale, że nie przyjęłaby od niego żadnych pieniędzy, nawet w formie pożyczki.

Rozmyślenia przerwał mu dzwonek do drzwi.

- Kogo diabli niosą? - powiedział do siebie i wstał, żeby otworzyć.

Przezornie spojrzął przez wizjer, choć nie przypuszczał, by którykolwiek z jego dawnych wrogów - a kilku się przez te lata uzbierało - szukał go tutaj. Pod drzwiami stał kapitan Andrzej Zwierzchowski.

- Dobry wieczór, poruczniku - kapitan stał przed zadziwionym lokatorem mieszkania numer 4. Trzymał w ręku plastikową reklamówkę. - Mogę wejść?

- Tak, oczywiście - Adam szybko opanował zaskoczenie i zdał sobie nagle sprawę, że niegrzecznie jest trzymać gościa na korytarzu. - Bardzo proszę - wskazał kapitanowi zapraszającym gestem wejście do pokoju.

- Wygląda pan na zaskoczonego...

- Przyznam, że nie spodziewałem się gościa - odpowiedział Adam trochę zmieszany.

- Na początek chciałbym panu coś zaproponować, choć może mi nie wypada, bo jestem młodszy, ale jestem też starszy stopniem, więc co tam. Dajmy sobie spokój z tym „pan”. Jestem Andrzej - gość wyciągnął rękę.

Twarz Adama pojaśniała. Uścisnął wyciągniętą do niego dłoń.

- Cieszę się, Andrzej. Siadaj, rozgość się.

Zanim gość zajął miejsce na niewielkiej kanapie, sięgnął do reklamówki i wyciągnął butelkę Jacka Danielsa.

- Lubisz?

Adam zatarł ręce z uciechy. Nigdy przesadnie nie przepadał za alkoholem, ale Jack Daniels w miłym towarzystwie - miał dziwne instynktowne przecucie, że tego człowieka kiedyś nazwie swoim przyjacielem - zawsze wprawiał go w dobry nastrój.

- Przyszedłem, bo dzisiaj na treningu zrobiłeś coś wielkiego. Obaj wiemy, kto komu tak naprawdę jest w stanie dokopać. I ludzie też wiedzą, to nie są jakieś tam wiejskie głupki. Ale nigdy nie zapomnę tego, co tam powiedziałeś i zawsze będę cię za to szanował.

Andrzej sprawnie otworzył butelkę, połał i podniósł szklaneczkę z whisky na znak, że chce się z gospodarzem stuknąć. Adam nie kazał na siebie czekać. Pierwsza porcja trunku spłynęła do żołnierskich gardeł.

- W sumie mogłeś mnie zmieszać z błotem, szczególnie po tym, co ci mówiłem pierwszego dnia, gdy przyjechałeś do jednostki. A jednak żeś tego nie zrobił. Dlaczego? - spytał z autentyczną ciekawością Zwierzchowski.

- Powiem ci szczerze, Andrzej. Znam się na ludziach i wiele widziałem. Znacznie więcej, niż ci się wydaje. Uważam, że jesteś materiałem na doskonałego żołnierza. Ponížanie cię mogłoby ten materiał tylko zepsuć.

- Dzięki. W ustach kogoś takiego taka opinia to najwyższy komplement. Postaram się dowieść, że miałeś rację.

- Ja mam rację. Niczego nie musisz udowadniać. Ale cóż, koleś, jeszcze się musisz trochę podszkolić.

Andrzej roześmiał się.

- Jak sobie, kurde, przypomnę, co ja ci tam wtedy pieprzyłem w samochodzie, to bym się najchętniej teraz po ziemię zapadł. Musiałeś mieć niezły ubaw, co?

- Nie przejmuj się, stary... Pijemy, bo wódeczka stygnie.

Pierwsza butelka zaświeciła dnem dosyć szybko. Kapitan był jednak przygotowany na taką ewentualność. Z reklamówki wyciągnął kolejną flaszkę, czym wywołał entuzjastyczny okrzyk gospodarza. Języki się tradycyjnie rozwiązały. Przegląd typowych w takich sytuacjach tematów został dokonany.

- Bo widzisz, Adaś, ja to w sumie nie piję - wybełkotał kapitan, chwając się na kanapie. - Ale z tobą to się napiję - stwierdził i wyciągnął dłoń w stronę szklaneczki, lecz jej pochwylenie okazało się zadaniem nad wyraz złożonym.

- Tak jest. Napij się, Jędrus - zawtórował mu bełkotliwie Adam, który wciąż trzymał

się dzielniej.

- Bo jakby mnie moja narzeczona w takim stanie zobaczyła, to by nie chciała ze mną gadać - oficer szczerze się zafrasował.

- Jak nic by nie chciała - potwierdził porucznik, kiwając głową.

- Ale ja już muszę iść, Adaś. Tylko pomóż mi wstać, bo nie daję rady.

- Jak to, Jędrus? Jeszcze flaszką nie rozpracowana.

- Muszę, Adaś. Podaj mi rękę, bo nie wstanę.

Adam, choć sam z trudem trzymał się na nogach, podniósł gościa i zaprowadził go do przedpokoju.

- Odprowadzę cię, Jędrus. Nie możesz sam iść w takim stanie - zaoferował się gospodarz.

- Naprawdę? Zrobisz to dla mnie? Daj pyska, Adaś.

Próba wyrażenia podziękowania skończyła się lądowaniem obu oficerów na podłodze. Z ogromnym trudem wygramolili się z mieszkania i cudem nie spadając ze schodów, znaleźli się przed blokiem. Ruszyli na przystanek autobusowy ze śpiewem na ustach. W repertuarze dominowała naturalnie pieśń: „Niech żyje nam rezerwa, przez szereg długich lat...!”.

Szczęśliwym trafem złapali nocny autobus. Kapitan Andrzej Zwierzchowski zakomenderował:

- Panie kierowco, do domu proszę!

Usiedli i pojechali.

Sobotni chłodny świt zastał ich na pętli autobusowej. Obudzili się prawie jednocześnie. Rześkie powietrze otrzeźwiło ich w międzyczasie zupełnie. Adam pierwszy przypomniał sobie wydarzenia poprzedniego wieczora. Andrzejowi zabrało to dobrą chwilę.

- O, kurwa, gdzie my jesteśmy? - zaniepokoił się gospodarz popijawy.

- Nie wiem. Trza by kogoś spytać. Ty, Adam, nie gniewaj się. Ja w sumie nie piję. Tak się, widzisz, przydarzyło...

- Daj spokój, Andrzejku. Myśl lepiej, jak się stąd wydostać.

Szczęśliwym trafem w pobliżu zauważyli postój taksówek. Wiedzieli, że kurs z Ursusa do Rembertowa bez wątpienia poprawi taksówkarzowi humor.

- Zabulimy jak za zboże - stwierdził kapitan.

- Nie wygłupiaj się, Andrzej. Jesteś moim gościem.

\*

Tego dnia organizm Adama domagał się maślanki. Głupio mu było jednak zejść do sklepiku. Ewa Wojcieszak z pewnością słyszała ich nocne wyczyny. Kilka godzin po

powrocie do domu pragnienie okazało się silniejsze niż wstyd. Porucznik doprowadził się do porządku na tyle, na ile to były możliwe i wyszedł z domu.

- Dzień dobry, poruczniku - zawołała zza lady ta sama miła ekspedientka, co zawsze.

- Dzień dobry, pani Ewo.

- Czego dzisiaj panu potrzeba?

- Robię smażone ziemniaki z cebulką, a do tego niezbędna jest maślanka. Ma pani?

- Naturalnie. - Woreczek upragnionego płynu pojawił się po chwili na ladzie. Klient pochłaniał drogocenny płyn wzrokiem. - A słyszał pan te hałasy ubiegłej nocy? Jacyś goście tego sobie popili. Ludzie patrzyli przez okna, ale było ciemno i nie wiadomo, kto to był. Pewnie jakieś pijaki zgubiły drogę do domu.

- Co pani powie... - Adam udał zdziwionego, najlepiej jak tylko potrafił. W duchu cieszył się, że nocne ciemności uratowały mu reputację. - Ja to śpię jak zabity, nic nie słyszałem. Dziękuję za maślankę. Czeka mnie pyszny obiad. Może pani wpadnie?

Dziewczyna uśmiechnęła się i spojrzała na niego protekcjonalnie.

- A czy to wypada młodej dziewczynie odwiedzać samotnego mężczyznę?

- Ma pani rację. Reputacja przede wszystkim - odpowiedział, kiwając głową znacząco.

- Do następnego razu.

Wracając do domu, dostrzegł kontem oka billboard reklamujący wchodzącą na polski rynek instytucję finansową. Myśli zatoczyły krąg. Już wiedział, jak pomóc swojej ulubionej sklepowej.



## Rozdział 20

Na stołówce w jednostce dawali schabowego z kapustą i ziemniakami. Pułkownik Pytlak i major Majewski ze smakiem pochłaniali swoje porcje wyśmienitego dania. Zasada „dobry żołnierz to dobrze odkarmiony żołnierz” wprowadzana była tutaj konsekwentnie i z doskonałym skutkiem. Na co jak na co, ale na jedzenie nie można było narzekać.

- Ten twój Gawlik to dobry jest. I ludzie go chwalą - stwierdził major po przełknięciu kolejnego kęsa pysznego kotleta.

Sięgnął po kompot truskawkowy. Schab ma to do siebie, że jest jednak trochę suchy i major lubił go popić.

- To się nazywa refleks szachisty. Już ponad miesiąc pracuje, a tyś dopiero go zauważył? Starzejesz się, majorze.

- Eee tam, gadasz głupoty. Skądżeś go wytrzasnął?

- Pamiętasz Iwanowa, tego ruskiego pułkownika z Riazania?

- Wołodię? Pewnie, że pamiętam. Ten to potrafił wypić. Prawdziwy Ruski.

- To też. On mi go polecił. Co prawda nie wiedział, gdzie Gawlika szukać, ale dał mi namiary na ludzi, którzy mogli coś wiedzieć. Podzwoniłem, pojeździłem i znalazłem gościa w Nowym Jorku.

- Słyszałem, że on przeszłość ma jakąś nie tego...

- Rysiu, sam powiedz, kto z nas ma przeszłość „tego...”? Może tylko Zwierzchowski, ale to przecież jeszcze gówniarz. Zdolny, ale gówniarz.

- Taaak... - westchnął major, przyznając w ten sposób rację Pytlakowi. - A widziałeś, jaki sobie Gawlik wóz kupił? Jeep Grand Cherokee. Musi mieć kupę szmalu. Skoro taki nadziany, to co tu robi?

- Tak się składa, że trochę wiem, jak on tę kasę zarobił, jakim kosztem. Wierz mi, Rysiu, nie zamieniłbym się z nim. Za cholerę - powiedział pułkownik ściszym głosem. - Nie wiem jak ty, ale ja idę po repetę. Schabowy palce lizać.

Spojrzał pytająco na towarzysza. Ten uśmiechnął się i obaj wstali od stolika.

\*

Adam przystanął, gdy zobaczył szybko zbliżającego się kapitana.

- Adam, dobrze, że cię widzę! - Andrzej Zwierzchowski podbiegł do niego

podekscytowany. - Musimy pogadać.

- Co jest?

Kapitan rozejrzał się wokół, jakby chciał sprawdzić, czy nikt nie słucha. Patrzył na Adama przez chwilę.

- Jesteś z Żar koła Żagania, tak?

- Przecież ci mówiłem.

- Twój brat z całą rodziną zatruli się gazem w nocy po libacji alkoholowej, tak?

- Po co to mówisz?!

- Alina, moja narzeczona, też jest z Żar. Jak byłeś ostatnio u nas, to jakoś nie wyszło w rozmowie. Dzisiaj przy śniadaniu wypytywała mnie o ciebie. Wtedy w gazecie była mylnie podana informacja. Dzieci uratowano. Alina twierdzi, że jak była w ogólniaku, to akurat mieli zorganizowane wyjście do domu dziecka. Jakaś tam akcja. To była głośna sprawa. Ona te dzieci widziała, nie ma mowy o pomyłce.

Adam najpierw zbladł, potem krew napłynęła mu do twarzy.

- Co ty mi chcesz powiedzieć? - wycedził.

Złapał Andrzeja za poły munduru i przysunął jego twarz do swojej. Ten się nie bronił.

- Człowieku, w domu dziecka w Świebodzinie wciąż mogą mieszkać twoje bratanice, jeśli nie zostały jeszcze adoptowane. Jest szansa, że tak się nie stało, bo adopcja dwójki jest trudniejsza, a rodzeństwa się raczej nie rozdziela.

Poczuł, jak krew uderza mu do głowy. Przed oczyma stanęły mu twarzyczki bratanic. Ożyły wspomnienia. Zwolnił uchwyt i puścił połowy mundur przyjaciela.

- Odezwę się do ciebie - powiedział tylko i pobiegł jak oszalały w kierunku wyjścia z jednostki.

- Nie wariuj! Jedź ostrożnie! - zawołał za nim kapitan Zwierzchowski. - Szkoda by było tego nowiutkiego jeepa... - powiedział już tylko do siebie.

## Rozdział 21

Ewa Wojcieszak wróciła do domu jak zwykle po osiemnastej. Czowała się trochę zmęczona, tego dnia było sporo klientów. Przez ostatnie parę godzin przed zamknięciem kolejka nie malała ani na moment. Myślała tylko o gorącej kąpeli i odpoczynku. Jeszcze w drodze ze sklepu zastanawiała się, co się stało z sąsiadem z góry, który już od dłuższego czasu się u niej nie pokazywał.

- Mamo, jadłaś już kolację?

- Jadłam, Ewuniu. Na stole w kuchni są kanapki. Zaraz zrobię ci herbatę.

- Mamusiu, a nie mówią może ludzie w bloku, co się stało z tym wojskowym, co mieszka nad nami?

- Podobno nagle wyjechał. Jakaś rodzina mu się odnalazła czy coś takiego. A czemu pytasz?

- Bardzo miły człowiek. Często przychodził do sklepu i czasem gawędziliśmy sobie.

- Dobrze, że tego Filip nie słyszy. Strasznie o ciebie zazdrosny.

- Tak, tak... - powiedziała w zamyśleniu. - Najpierw wezmę kąpiel, potem zjem. Lecę z nóg.

Był już wieczór, kiedy zadzwonił telefon.

- Halo? - Ewa przytrzymała słuchawkę ramieniem i energicznie wycierała ręcznikiem świeżo umyte włosy.

Po drugiej stronie słuchawki odezwał się przyjemny, męski głos.

- Dobry wieczór. Nazywam się Jacek Bielecki z firmy Investment Operations. Czy mógłbym mówić z panią Ewą Wojcieszak?

- Przy telefonie. Słucham pana.

- Tak jak wspomniałem, reprezentuję firmę Investment Operations, za pośrednictwem której pani ojciec był łaskaw poczynić pewne inwestycje. Przyniosły one dzisiaj bardzo znaczący zysk i jestem upoważniony do przekazania pani tych pieniędzy.

Ewa zastygła w bezruchu.

- O czym pan mówi? Ojciec nigdy w nic nie inwestował - stwierdziła z przekonaniem.

- Czy ja rozmawiam z panią Ewą Wojcieszak, zamieszkałą przy ulicy Poleskiej 32, mieszkania 2? - mężczyzna był bardzo uprzejmy.

- Zgadza się.

- Więc się nie pomyliłem. Ja nie wiem, proszę pani, czy pan Edmund Wojcieszak dokonywał pewnych operacji finansowych w porozumieniu z rodziną czy też nie. Ja tylko mam dopełnić formalności papierkowych i dopilnować, by należne pani pieniądze wpłynęły na pani konto. Czy moglibyśmy się jutro spotkać powiedzmy o dziewiątej rano przed oddziałem Banku Zachodniego przy Saperów? Tam pani ma swój rachunek, prawda?

- Skąd pan to wie?

- Pani ojciec przekazał nam szczegółowe informacje, na wypadek gdyby sam nie mógł podjąć pieniędzy.

- Proszę mi powiedzieć o jakiej kwocie rozmawiamy.

- Bardzo żałuję, ale takich informacji telefonicznie udzielać mi nie wolno. Powiem może tylko, że jest to znaczna wielokrotność przeciętnego rocznego wynagrodzenia w sektorze przemysłowym.

- Dziewczynie nagle zrobiło się gorąco.

- Jak pana tam przed bankiem poznam? - spytała słabym z wrażenia głosem.

- Proszę się nie obawiać. Ja panią odnajdę. Proszę tylko być punktualnie. Czyli jesteśmy umówieni. Do widzenia pani - pożegnał się i rozłączył, nie czekając na słowa pożegnania ze strony Ewy.

- Do widzenia... - powiedziała do siebie powoli jakby w transie, odkładając słuchawkę na widełki.

- Kto dzwonił? - zainteresowała się Krystyna Wojcieszak.

- Usiądź mamusiu i trzymaj się mocno. Nie uwierzysz w to, co ci teraz powiem. Sama nie wiem, co o tym myśleć.

\*

Bank był już otwarty. Ewa spojrzała na zegarek. Za dziesięć dziewiąta. Nigdy nie lubiła się spóźniać i zawsze starała się być te parę minut przed umówionym spotkaniem. Jej chłopak, Filip, z punktualnością miał duże problemy Dziewczynę to denerwowało, więc obiecał się zmienić i teraz jest już pod tym względem zdecydowanie lepiej. Powiedział jej ostatnio, że spóźnialscy mają więcej czasu dla siebie. Mało brakowało, by się pokłócili, ale Filip zawsze doskonale potrafił łagodzić sytuacje konfliktowe celnym żartem i czułym gestem.

Punktualnie o dziewiątej podszedł do Ewy elegancki, młody człowiek w nienagannie skrojonym garniturze. W prawej ręce trzymał gustowną, czarną teczkę.

- Dzień dobry. Pani Ewa Wojcieszak, prawda? - upewnił się.

- Tak...

- To ja wczoraj do pani dzwoniłem. Wejdźmy może do banku. W środku dopełnimy wszystkich formalności.

W banku o tej porze było jeszcze pusto. Bielecki wyciągnął plik dokumentów.

- Będę potrzebował pani podpis w kilku miejscach. Mogę tylko zerknąć na pani dowód osobisty?

Sięgnęła do torebki i podała mu dokument tożsamości. Mężczyzna wpisał do papierów brakujące szczegóły.

- Bardzo dziękuję - oddał jej zieloną książeczkę. - Powiadomiono mnie, że pieniądze powinny być już na pani rachunku. Zanim pani podpisze pokwitowanie, proszę sprawdzić, czy moje informacje są ścisłe.

Podeszła do lady, gdzie zwykle stał ogonek ludzi. Dzisiaj nie musiała czekać.

- Słucham panią? - młoda pracownica banku odwróciła wzrok od monitora i spojrzała w stronę klientki.

- Chciałabym sprawdzić stan konta.

- Oczywiście. Poproszę pani dowód osobisty.

Dziewczyna sprawdziła tożsamość klientki i położyła go z powrotem na ladzie. Przez chwilę stuknęła w klawiaturę. Na małej karteczce napisała długopisem żadaną informację i przesunęła ją w stronę klientki. Ewa wzięła karteczkę do ręki i przyglądała się mu dłuższą chwilę. Nie odeszła od lady.

- Przepraszam panią, ja dobrze odczytałam, że mam na koncie sto trzydzieści tysięcy nowych złotych?

Dziewczyna jeszcze raz wystuknęła coś na klawiaturze.

- Sto trzydzieści osiem tysięcy pięćdziesiąt cztery złote dwadzieścia pięć groszy. Czy coś się nie zgadza?

- A proszę mi jeszcze powiedzieć, skąd miałam ostatni wpływ na rachunek.

Tym razem wystarczyły trzy stuknięcia w klawiaturę.

- Z Bank of America. Investment Operations. Jakaś amerykańska instytucja.

- Bardzo pani dziękuję.

Oszołomiona wróciła do czekającego kilka metrów dalej Jacka Bieleckiego.

- Czy wszystko w porządku, pani Ewo? - spytał zaniepokojony, kiedy na nią spojrzał.

- Tak, tak. W porządku. Jest pan pewny, że tu nie ma żadnej pomyłki?

- Wykluczone. Wszystko się zgadza. Czy może mi pani teraz podpisać te dokumenty?

Najważniejsze jest pokwitowanie o otrzymaniu całej kwoty. Tutaj i tutaj proszę - Dziewczyna

złożyła swój podpis we wskazanych miejscach. - Doskonale, bardzo pani dziękuję - Jacek Bielecki schował papiery do swojej na pewno bardzo drogiej, skórzanej teczki. - Do widzenia, pani Ewo.

Uklonił się grzecznie i wyszedł z banku. Ewa jeszcze przez chwilę stała przy wysokim stole, gdzie często wypełniała różne bankowe druczki, i wpatrywała się w kwotę chwilę wcześniej wypisaną ręką pracownicy banku.

## Rozdział 22

Dom dziecka w Świebodzinie przy ulicy Łużyckiej 44 mieścił się w okazałym trzykondygnacyjnym budynku. Adam zaparkował swojego jeepa kilkanaście metrów od wejścia. Wyłączył silnik, ale nie wysiadał z samochodu. Sytuacja budziła w nim obawy. On, który nie raz zaglądał śmierci prosto w oczy, dla którego wojenna pożoga była chlebem powszednim, który swego czasu siał przerażenie wśród największych twardzieli, teraz się bał. Obawiał się spotkania z teraz już pewnie dorosłymi kobietami. Co ma im powiedzieć? Jak wyjaśnić, że wujek, który w dzieciństwie był dla nich opoką, i za którym wprost przepadały, zostawił je na tyle lat? Czy uwierzą w jego zapewnienia, że nie wiedział? Rozgorączkowane myśli kołatały się mu w głowie. Wyciągnął kluczyk ze stacyjki i otworzył drzwi samochodu.

\*

- Ty, Grażyna, choć szybko - podekscytowana Anka Borek wołała koleżankę z pokoju do okna. - Szybko, choć zobaczysz, jaka fura przyjechała. No, Grażyna!

Grażyna Gawlik porządkowała swoje rzeczy w szafce. Nieszczególnie interesowała się „furami”, jakimi ludzie dzisiaj jeżdżą. Odłożyła złożoną właśnie, świeżo wyprasowaną, bluzkę na półkę i obojętnie podeszła do koleżanki. Samochód istotnie był imponujący. Wsiadł z niego człowiek w wojskowym mundurze połowym.

- Ciekawe do kogo przyjechał - Ankę zżerała ciekawość.

- Pewnie do dyrektora. Na pewno do żadnego z dzieciaków - stwierdziła beznamiętnie Grażyna i odeszła od okna.

Zabrała się za składanie reszty ubrań. Nie zwracała uwagi na Ankę gapiącą się jak sroka w gnat na samochód zaparkowany przed wejściem. Nagle drzwi ich pokoju otworzyły się, jakby uderzył w nie podmuch tajfunu.

- Grażyna! - krzyczała zdyszana Marzena Piekarcz, trzymając się futryn. Mieszkała na parterze i widać w wielkim pośpiechu wbiegła na trzecie piętro, bo dyszała ciężko. - Ktoś do ciebie przyjechał!

- Do mnie? - spytała Grażyna z niedowierzaniem. - Coś ci się chyba pomieszało.

Marzena usunęła się, by zrobić miejsce wchodzącej do pokoju wychowawczyni. Renata Bagińska opiekowała się grupą Grażyny od dziesięciu lat. Dziewczyna bardzo ją lubiła. Była dla niej prawdziwą przyjaciółką. Namiastką matki.

- Grażynko, masz gościa - powiedziała swoim łagodnym, ciepłym głosem.

Z korytarza wsunął się do pokoju mężczyzna w średnim wieku mający na sobie wojskowy mundur polowy, jakiś inny niż te, które zwykle się widuje. Spojrzała mu w oczy i nagle zrobiło jej się gorąco. Zaczęła drżeć.

Pamiętała tę twarz doskonale, mimo że upłynęło już czternaście lat.

- Grażynko, to ja, Adam - powiedział mężczyzna słabym ze wzruszenia głosem.

Dziewczyna stała i patrzyła. Łzy, które napłynęły jej do oczu spływały strumyczkami po policzkach i brodzie prosto na czyściutką białą bluzeczkę.

- Grażynko, ja nic nie wiedziałem. Ja... - Adam próbował coś powiedzieć, lecz w głowie miał pustkę. Słowa ugrzęzły w gardle.

Nie musiał nic mówić. Dziewczyna bez słowa rzuciła mu się na szyję i rozszlochała się na dobre. Adam objął ją mocno, przycisnął jak najdroższy skarb. Ten człowiek nazywany żołnierzem fortuny, z gatunku psów wojny, najtwardszy z najtwardszych, płakał jak dziecko, mocno ściskając w ramionach jedyną rodzinę, jaką miał.

Renata Bagińska skinęła na Marzenę i obie dyskretnie wyszły z pokoju.

Grażyna wypuściła Adama z objęć. Zaczęła szukać czegoś gorączkowo. Podał jej chusteczkę. Wzięła ją trochę zakłopotana i spróbowała uśmiechnąć się przez łzy. Wyszło całkiem nieźle.

- Przepraszam, wujku, ale trochę mnie poniosło. Myśmy ciebie dawno oplakały, a tu nagle...

- Daj spokój, Grażynko - wziął ją za rękę. - Jesteśmy rodziną, która się właśnie odnalazła. Poza tym nie mów mi „wujku”. Aż taki stary chyba nie jestem.

Spojrzała na niego, wciąż nie mogąc uwierzyć, że ukochany wujek Adam stał tu przed nią i już nie będzie sama na świecie. Trochę się postarzał od czasu, gdy go ostatnio widziała, kiedy miała osiem lat. Z jego oczu biło to samo ciepło, co wtedy, tylko jakoś dziwnie przytłumione. Było w nim coś nieodgadnionego. Coś, co wzbudzało lęk, lecz wiedziała doskonale, że człowiek ten nigdy by nie pozwolił jej skrzywdzić. Na pewno mają sobie tak wiele do opowiedzenia.

- No widzisz, wujku, ale ze mnie gapa. Nawet nie poprosiłam, byś usiadł - natychmiast zauważyła grymas na twarzy żołnierza wywołany słowem „wujku” - Tak, tak, przepraszam, Adam. Ale trudno mi będzie się przyzwyczaić. Przecież jesteś moim wujkiem.

Grymas stał się nienaturalny, co sprawiło, że dziewczyna roześmiała się w głos. Łzy zaczęły wysychać.

- Usiądź przy stoliku. Zaraz zrobię ci herbaty.



- Zaczekaj może z tą herbatą. Chodźmy najpierw do Edyty. Wypijemy we troje. Nie powinna już dłużej czekać.

Grażyna przestała sypać herbatę do szklanki. Stała przez moment schylona nad niziutką szafeczką, gdzie podłączony był czajnik elektryczny. Woda właśnie skończyła się gotować. Odwróciła się do Adama.

- To ty nic nie wiesz... Edyta została adoptowana niedługo po tym, jak nas tu przywieźli. Pewnie pamiętasz, była prześliczna. Bez problemu znalazła nową rodzinę. Nawet nie wiem, gdzie jest. Nie wolno mi było się z nią kontaktować. Podobno to dla jej dobra. Planowałam ją odnaleźć, jak już będę na swoim, ale nie wiem, czy są jakieś szanse.

- Cholera, więc jednak. Znajdziemy ją, Grażyna. Obiecuję ci. Choćbym miał szukać w samym piekle, to znajdziemy ją.

Objął bratanicę i przytulił. Nie mogła sobie nawet zdawać sprawy, że poszukiwania ludzi w piekle, jakim bez wątpienia była Afryka wstrząsana lokalnymi konfliktami, swego czasu były dla niego chlebem codziennym. Dziewczyna pokładała w tym człowieku niezachwianą wiarę. Jeśli tak mówi, to tak będzie. Wujek Adam zawsze dotrzymywał słowa. Przecież był kiedyś dla nich jak najlepszy ojciec. Z rozrzewnieniem przypominała sobie radosne chwile z przeszłości. Tak naprawdę jedyne, jakie miała.

- No to co z tą herbatą? - zapytał, siadając na niewielkim, niezbyt wygodnym krzeselku obitym wyjątkowo marną imitacją skóry.

- Już robię, wuj..., znaczy Adam - poprawiła się szybko.

- Wiesz, Grażynko, nie wiem, czy dobrze myślę, ale jak ktoś adoptował Edytę, to muszą być jakieś dokumenty, dane przyszłych rodziców, adres...

Dziewczyna podeszła powoli do stołu, niosąc w obu dłoniach szklane spodki, na których delikatnie chwiały się pełne gorącej herbaty szklanki. Podała mu jeszcze cukier i łyżeczkę, a następnie usiadła naprzeciwko.

- Dobrze myślisz, ale takie informacje są tajne. Nikt ci nie powie, gdzie ona jest. Nie dostaniesz żadnego adresu. Szczególnie po tak długim czasie.

- A gdzie są te informacje? - spytał, zawieszając głos, jakby po głowie chodziła mu jakaś luźna myśl.

- Nie wiem, ale chyba tu w domu dziecka w archiwum. A co?

- Tutaj mówisz... - Spojrzał na zegarek. Była druga.

- Wasz dyrektor to do której pracuje?

- Do trzeciej - odpowiedziała i popatrzyła na niego wyczekująco.

- No to myślę, że powinienem mu złożyć wizytę. Wiesz co, poczekaj tu na mnie.

Niedługo będę z powrotem.

Adam wyszedł szybko z pokoju i zbiegł po schodach na parter. Miał szczęście. Dyrektor wciąż był u siebie. Żołnierz wszedł bez pukania, czym zasłużył sobie na karcące spojrzenie urzędnika.

- Dzień dobry, panie dyrektorze. Nazywam się Adam Gawlik. Jestem najbliższym krewnym Grażyny Gawlik, jednej z państwa podopiecznych. Chciałbym z panem porozmawiać.

- Ach, to pan. Tak, tak, słyszałem. Grażynka i tak nie długo musiałaby opuścić nasz dom dziecka. Cieszę się, że znalazł się jej krewny. Na pewno będzie jej łatwiej - spojrzenie mężczyzny złagodniało. - Wie pan, teraz jestem trochę zajęty, ale jakby pan mógł przyjść jutro, to...

- Zajmę panu nie więcej niż kilka minut - powiedział i przysunął sobie stojące pod ścianą krzesło. Usiadł naprzeciwko zaskoczonego urzędnika. - Sprawa jest bardzo prosta. Jakies trzynaście lat temu adoptowano Edytę Gawlik - siostrę Grażyny - a ja chcę ją odnaleźć. Potrzebuję danych ludzi, którzy ją adoptowali. Macie państwo to wszystko w jakimś swoim archiwum...

- Proszę pana - dyrektor uśmiechnął się protekcjonalnie. - Nam takich informacji udzielać nie wolno. W tej kwestii w żaden sposób nie mogę panu pomóc. Może sąd rodzinny, ale nie liczyłbym na zbyt wiele...

- Panie dyrektorze, chciałbym, żebyśmy się dobrze zrozumieli. Ja ją muszę odnaleźć - sięgnął do zewnętrznej kieszeni wojskowego mora i wyciągnął plik banknotów. Położył go przed sobą na stole. - Tu jest pięć tysięcy dolarów. W chwili, gdy dostanę informacje, o które mi chodzi, położę tutaj następne pięć.

- Ależ to jest próba przekupstwa! - wykrzyknął oburzony mężczyzna, wstając zza biurka.

- Ja bym to nazwał transakcją handlową, ale nieważne. Niech zgadnę, taka kwota to pańska cztero lub pięcioletnia pensja? Poza tym, daję panu słowo honoru, że chciałbym tylko Edytę zobaczyć, umożliwić spotkanie siostrom i sprawdzić, czy nie dzieje jej się krzywda. W żaden sposób nie będę rozbijał rodziny. To wszystko. Proszę mi pomóc. Potrafię być wdzięczny.

Adam obserwował uważnie reakcje tego niedużego, lekko już łysiejącego człowieka. Zza okrągłych, staroświeckich okularów biła poczciwość i zmęczenie życiem po reformie gospodarczej. W jego wieku jedynym marzeniem było spokojne doczekanie emerytury. Najlepiej w instytucji, którą od lat już kierował.

- Dwanaście tysięcy - powiedział cicho z lekkim zakłopotaniem i spojrzął na Adama, wciąż stojąc za biurkiem.

- Cieszę się, że udało nam się porozumieć. Czyli jeszcze siedem. - Adam przesunął banknoty w kierunku dyrektora. Ten jednym szybkim ruchem schował je do wysuniętej szuflady. - Kiedy?

- Proszę przyjść jutro o tej samej porze. Będę dla pana wszystko miał. Nie muszę chyba mówić, że nikt nie może się o tym dowiedzieć?

- Panie dyrektorze, ja mam bardzo słabą pamięć. Już zaczynam zapominać o naszej rozmowie. Jutro nie będę pamiętał, że pana kiedykolwiek widziałem.

Adam westchnął, wstał i wyszedł na korytarz. Nie śpieszył się, wchodząc po schodach na trzecie piętro. Rozglądał się ciekawie po korytarzu. Dzieci i młodzież w różnym wieku patrzyły na niego z zainteresowaniem. Wśród twarzy charakterystycznych dla marginesu społecznego przewijały się też buzie dzieci, które los umieścił w tej instytucji w skutek nieszczęśliwych wypadków życiowych, i które w innych warunkach wyrastałyby w środowiskach gwarantujących im szczęście i poziom życia nie odbiegający od solidnej średniej krajowej. Wtedy pewnie nie potrafiliby docenić tego, co mają, a teraz to, czego nie mają i mieć nie będą, jest dla nich najwyższą wartością.

Grażyna spojrzała na Adama pytająco, gdy ten wszedł do pokoju.

- Jutro będziemy wiedzieli, gdzie jest Edyta - stwierdził rzeczowo.

- Skąd? - spytała zaskoczona.

- Od życzliwych ludzi. Tak to zwykle działa. No, ale powiedz mi coś o sobie. Jak ci tu było, bo niedługo cię stąd zabiorę.

- Tu właściwie jest wszystko, czego potrzebujemy, tylko brakuje najważniejszego - ciepła prawdziwej rodziny. Często tu płaczemy w poduszki. Ale co tam... A jak ty mnie znalazłeś?

- Przypadek. Narzeczona kolegi pochodzi z Żar i powiedziała mi o tobie i Edycie. Wcześniej myślałem, że nie żyjecie, bo tak napisali w „Gazecie Lubuskiej”, która wtedy wpadła mi w ręce.

- A u pani Basi już byłeś? - zapytała wprost.

Adam westchnął ciężko i utkwiał wzrok w podłozie.

- Jeszcze nie. Chyba nie jestem na razie gotowy. Myślę, że pójdę, ale nawet nie wiem, gdzie leży. Ty wiesz? - spojrzął na nią pytająco.

- Jak to „gdzie leży”? - spytała zdziwiona Grażyna.

- No, w której części cmentarza.

- Jakiego cmentarza? O czym ty gadasz?! Pani Basia Roszak odwiedzała nas tu wiele razy. Tyle, że ostatnim razem ładnych parę lat temu. Ona przecież żyje!

- Co?! - wydusił przez zaciśnięte gardło. Usiadł ciężko na krześle. Jak na jeden dzień miał stanowczo zbyt wiele wrażeń. - Przecież wtedy w szpitalu powiedzieli...

- Cudem przeżyła. Lekarze nie mogli tego zrozumieć. Potem z matką cię szukały w jednostce, ale powiedzieli, że podobno zdezerterowałeś i zaginałeś.

Adam nie był w stanie nic więcej powiedzieć, zrobić najmniejszego ruchu. Siedział wpatrzony w Grażynę i bił się z myślami. Jak żywa stanęła mu przed oczami ta dziewczyna, dla której gotów był wtedy oddać życie. Niewiele się od tamtego czasu zmieniło. Miała swoje stałe miejsce gdzieś w zakamarkach jego stwardniałego przez te lata serca.

- Ty to chyba teraz powinieneś się ruszyć. Wsiadaj w tę swoją piękną terenówkę i zasuważ do pani Basi. Nie ma na co czekać - stwierdziła rezolutnie.

- Co? - spojrzał na nią, nie rozumiejąc, co do niego mówi.

- Nie wiem, gdzie teraz mieszka, ale na starym miejscu ci powiedzą, gdzie jej szukać. Ruszaj, wujek!

Słowo „wujek” wypowiedziane z przekąsem miało go pobudzić do działania. Adam w ogóle tego nie słyszał. Ocknął się. Spojrzał trzeźwo na Grażynę.

- Zostań tu. Wrócę po ciebie - powiedział i wybiegł z pokoju.

- A gdzie ja bym się miała niby ruszać? - odpowiedziała już tylko do siebie z politowaniem dziewczyna na lekko absurdalną uwagę Adama.

\*

To mu się właśnie w Polsce podobało. Człowiek mógł parkować, gdzie chce i prawie zawsze było miejsce. Zajechał praktycznie pod samą klatkę budynku przy ulicy Kazimierza Wielkiego, wzbudzając wśród siedzących na ławeczkach naprzeciwko wejścia nieskrywane zainteresowanie. W domu tym kiedyś mieszkała jego narzeczona z matką. Znał i pamiętał miejsce doskonale, choć wiele się wokół zmieniło. Wyrosły nieduże, osiedlowe sklepy, jakaś knajpka. Kiedyś było tu raczej szaro. Kolorytu okolicy dodawały jedynie maleńkie ogródki przydomowe.

Adam wysiadł z samochodu i spojrzał na dobrze sobie znane drzwi. Z boku dobiegł odgłos tłuczonego szkła. Odruchowo spojrzał w tamtym kierunku. Na chodniku, nie więcej niż dziesięć metrów od niego, stała Basia. Właśnie wypuściła z wrażenia torbę z zakupami. Mleko z rozbitej butelki rozlewało się powoli u jej stóp. Miała na sobie zwiewną, skromną sukienkę podkreślającą jej nienaganną figurę. Wyglądała pięknie. Zawsze wyglądała pięknie. Adam w jednej chwili znalazł się przy niej i porwał ją w ramiona, podniósł jak piórko i

obrócił się z nią wokół własnej osi kilka razy. Ona objęła go za szyję mocno, tak mocno jak tylko potrafiła.

- Basiu, Basiu! - wypowiadał jej imię jakby tym jednym słowem chciał oddać całą radość i szczęście, które zapłonęło w nim niczym gigantyczny pożar już nie do opanowania. Uczucie stłumione latami tułaczki wybuchło na nowo z niezwykłą siłą. Kochał tę kobietę niezmiennie, przeogromnie, nawet sobie do tej pory nie zdając sprawy jak bardzo. - Basiu, nie płacz. Już jestem i nic nas nie rozdzieli... - mówił, przyciskając ją do siebie.

Olbrzymią radość w jej spojrzeniu przenikał delikatny, lecz bardzo wyraźny smutek. Adam był pewny, że wkrótce go zetrze jak niepotrzebny napis na tablicy szkolnej i nie pozostanie po nim najmniejszy ślad.

- Muszę ci coś powiedzieć, Adaś - odezwała się cicho i spojrzała mu głęboko w oczy.

- Nic nie mów, Basiu. Nie musisz nic mówić! Nic się już nie liczy. Tylko ty. Teraz już będzie wszystko dobrze - mówił do niej czule, głaskając ją po policzku.

- Adaś, ty musisz wiedzieć... - zaczęła.

Nie pozwolił jej skończyć. Przyłożył palec do ust na znak, że w tej chwili żadne słowa nie są już potrzebne. Patrzył na nią i mimo upływu lat widział w niej tę samą Basię, którą pokochał i którą teraz wreszcie odzyskał. Nie chciał, by ta chwila uleciała jak spłoszony motyl. Nie chciał słów. Na słowa będą jeszcze przecież mieli całe życie.

- Ej, koleś! Co ty sobie wyobrażasz?!

Głos obok pochodził od wysokiego, żyłastego mężczyzny mniej więcej w wieku Adama. Ubrany był w tanie dzinsy i rozciągnięty sweter. Czuć od niego było potem. Adam spojrzał na niego, jak na natrętną muchę. Nie miał najmniejszej ochoty wdawać się w jakiegokolwiek dyskusje z tym osiłkiem.

- Co to za przystawianie się do mojej żony? - kontynuował intruz. - Basia, znasz tego faceta?

Mężczyzna chwycił Adama za kołnierz mora i solidnie potrząsnął żołnierzem. Gdzieś w innej części świata, w innych okolicznościach człowiek ten leżałby już pewnie w najlepszym wypadku z rozbitą głową i połamaną ręką.

- Żony?!

Adam spojrzał pytająco na Basię. Ta spuściła oczy jakby zawstydzona.

- Tak żony, koleś! Coś nie tak?

Mężczyzna pchnął Adama oburącz.

- Andrzej, przestań! - Basia złapała go za rękę. - Chciałam ci powiedzieć. To jest Andrzej Marchewka, mój mąż, a to jest Adam Gawlik, mój... - przedstawiła ich sobie i nie

dokończyła, nie wiedząc, co powiedzieć.

- Adam Gawlik. Zaginiony sprzed lat... - mężczyzna nagle zmienił ton na grzeczniejszy, lecz wciąż bardzo stanowczy. - Przepraszam, że pana szarpałem, ale, panie Gawlik, Basia jest teraz moją żoną. Mamy dwoje dzieci. Ona do pana nie wróci. Niech pan nie próbuje niszczyć naszej rodziny.

- Niczego nie zamierzam niszczyć - odpowiedział cicho Adam.

- Andrzej, idź, proszę, do domu. Zajmij się dziećmi. Ja zaraz przyjdę - poprosiła go Basia.

- Dobrze, Basiu. Będę na ciebie czekał.

Pocałował ją czule w policzek, rzucił krótkie spojrzenie w kierunku rywala i odszedł. Obejrzał się kilka razy za siebie, nim zniknął w wejściu do budynku.

- Chodź, Adaś. Przejdziemy się. Budzimy niepotrzebną sensację - powiedziała i wzięła go pod ramię.

Szli w milczeniu dłuższą chwilę. Ludzie wokół odprowadzali ich wzrokiem, trochę zawiedzeni, że tak ciekawie zapowiadające się wydarzenie na ich nudnej ulicy zakończyło się właściwie niczym więcej, niż jedynie pożywką dla plotek i domysłów.

- Kochasz go? - spytał Adam ni z tego, ni z owego.

Popatrzyła na niego i spojrzała daleko przed siebie.

- Nie tak jak ciebie, ale tak, kocham go. Jest bardzo dobrym człowiekiem. Mamy dwójkę wspaniałych dzieci - Kasię i Michałka. I jestem z nim szczęśliwa. Bardzo nam pomagał, jak wyszłam ze szpitala. W 1992 wzięliśmy ślub. Nie zostawię go, nawet dla ciebie. A gdzie ty byłeś w '92?

- W Sudanie.

- Gdzie? - nie zrozumiała.

- Gdzieś bardzo daleko stąd. W sumie stare dzieje. Nieważne.

- Szukałam cię bardzo długo. Nikt nie był w stanie mi nic o tobie powiedzieć. Jak kamień w wodę. Jeden pułkownik to nawet powiedział, że jak tylko się znajdziesz, to nie wyjdiesz z więzienia. Zrobiłeś coś złego?

- Nie. To było nieporozumienie. Dzisiaj już jestem czysty. Nie mam żadnych problemów z prawem. Jak sama widzisz, jestem wolnym człowiekiem.

- Co się tam wtedy z tobą stało i w ogóle co się z tobą działo?

- Narobiłem sobie trochę kłopotów w wojsku. Wyciągnął mnie z nich jeden rosyjski, wtedy jeszcze radziecki pułkownik. Zabrał mnie do Rosji. Potem trochę tułałem się po świecie. Myślałem, że nie żyjesz. Tak mi jeden lekarz powiedział, wtedy w szpitalu. W

„Gazecie Lubuskiej”, jeszcze w Rosji, przeczytałem, że dzieci zatruty się gazem. Okazało się, że źle napisali, ale o tym już się nie dowiedziałem. Potem wcale nie miałem zamiaru wracać do Polski. Przypadek sprawił, że się tu znalazłem. Jeden polski oficer ściągnął mnie ze Stanów. W Warszawie dowiedziałem się, że Grażyna i Edyta jednak przeżyły.

- A co z Grażyną? Byłeś już u niej?

- To właśnie Grażyna mi powiedziała, że żyjesz. Niestety, o jakieś cztery lata za późno.

- Żebym chociaż miała jakiś znak, jakiś ślad, nadzieję, że żyjesz... Czekałabym przez te wszystkie lata. Wszyscy wokół mówili mi, bym pozwoliła ci odejść, że na pewno umarłeś, tylko ciała nie znaleziono.

- Tak mówili? No widzisz, życie jest pełne niespodzianek.

- Gdzie teraz mieszkasz?

- W tej chwili nigdzie. Do Warszawy już nie wrócę. Zajmę się Grażyną.

- Masz chociaż z czego żyć? - spytała z autentyczną troską w głosie. - U nas się nie przelewa, ale na początek może ci jakoś pomogę.

Adam roześmiał się na te słowa.

- Jediną rzeczą, której mi teraz nie brakuje, są pieniądze. Dzięki za dobre chęci, ale finansowych problemów to ja nie będę miał jeszcze przez bardzo, bardzo długi czas.

Nic nie odpowiedziała, lecz zauważył coś na kształt ulgi w jej spojrzeniu. Szli w milczeniu dobrze znaną im obojgu ulicą Moniuszki. Akurat ta nie zmieniła się od '82 właściwie wcale. Te same stare budynki i ten sam most nad tymi samymi torami kolejowymi. Dopiero za mostem krajobraz uległ całkowitej przemianie. Zniknęły krzaki, które były świadkami pamiętnej tragedii.

Adam zatrzymał się i wziął ją za rękę.

- Basiu, z całego serca życzę ci, żebyś była szczęśliwa, choć nie ze mną, więc zniknę z twojego życia. Chciałbym jednak, żebyś wiedziała, że jeśli kiedykolwiek będziesz potrzebowała pomocy czy wsparcia, zjawię się na każde twoje skinienie. W razie czego dowiesz się, gdzie jestem, w jednostce „Błyskawica” w Rembertowie, u kapitana Zwierzchowskiego. Będę z nim w kontakcie. Cieszę się, że masz dobrego męża. Przekaż mu, że życzę wam obojgu jak najlepiej i niech będzie spokojny. Nigdy nie będę zagrożeniem dla waszej rodziny. Wracaj do domu. Ja jeszcze się trochę przespaceruję po starych śmieciach.

Objęła go za szyję i pocałowała szybko w usta. Obróciła się i pośpiesznie odeszła bez słowa. Nie chciała, by widział jej łzy płynące jak grochy po policzkach. Chwilę potem Adam szedł ciężko przed siebie. Przystanął i obejrzał się. Basia zniknęła za obrysem mostu. Znów był

jedynie żołnierzem, szukającym prawdziwego domu.

\*

Nocleg w żarskim hotelu w pobliżu dworca kolejowego nie nastrajał optymistycznie. Prymitywne warunki uświadamiały mu jak bardzo ten kraj wciąż odstaje od standardów światowych. Pokój bez łazienki, który udało mu się dostać, przypominał czasy, gdy włóczył się po jakichś strasznych dziurach w Ameryce Południowej.

Następnego dnia przed wyjazdem do Świebodzina chciał się jeszcze rozejrzeć po mieście, gdzie upłynęło mu dzieciństwo i młodość. Zszedł do recepcji, oddał klucze do pokoju i wyszedł na ulicę Buczka. Spacer w stronę deptaka budził przeróżne wspomnienia. Pewnie mieszkają tu gdzieś ci ludzie, których znał. Ciekawe, czy by ich teraz potrafił rozpoznać. Ciekawe, czy oni poznaliby jego. Ciekawe, czy Basia często tędy chodzi...

Miasto właściwie zmieniło się niewiele. Przybyło trochę sklepików i kolorowych szyldów. Senna atmosfera pozostała. Natychmiast dało się zauważyć, że życie tutaj płynęło nieporównywalnie wolniej i spokojniej, niż w dużych aglomeracjach, takich jak Nowy Jork. Przeszedł się deptakiem w stronę ratusza i z powrotem. Nie rzuciła mu się w oczy żadna znajoma twarz, choć w tak małym mieście jest to raczej niezwykle. Przemknęła mu przez głowę myśl, by podjechać na ulicę Strzelców i po tych wszystkich latach zobaczyć dom rodzinny, lecz zaraz uznał, że nie ma tam właściwie czego szukać. Wrócił pod hotel do zaparkowanego jeepa. W Świebodzinie czekała na załatwienie jedna z najważniejszych spraw w jego życiu.

\*

Grażynę zastał z tyłu budynku. Stała z grupą koleżanek, które rozprawały nad czymś, co chwilę podnosząc głos jedna przez drugą. Gdy dziewczęta zauważyły, że Adam zbliża się szybkim krokiem, rozmowy nagle ucichły. Jak na komendę ich wzrok spoczął na idącym szybko mężczyźnie. Grażyna odwróciła się w kierunku Adama. Uśmiech rozjaśnił jej twarz.

- Dzień dobry panu - pozdrowiły go dziewczyny niemal chórem, jak to czasem mają w zwyczaju robić przedszkolaki.

- Dzień dobry paniom - odpowiedział pogodnie i uklonił się przesadnie nisko, czym wywołał chichot niektórych pań.

Grażyna wzięła go pod rękę i poszli w stronę boiska piłki nożnej. Adam zdążył tylko rzucić przez ramię typową amerykańską formułkę grzecznościową.

Gdy odeszli na parę kroków, wręczył Grażynie szarą kopertę.

- Tutaj są informacje o ludziach, którzy adoptowali Edytę. Sprzed dwunastu lat, ale to zawsze jakiś punkt zaczepienia.



- Jak to zdobyłeś? - spytała, wciąż nie wierząc, że możliwość spotkania się z siostrą stała się nagle bardzo realna.

- Już ci mówiłem - zawsze można liczyć na życzliwość ludzi.

Spojrzała na niego podejrzliwie, po czym pośpiesznie wyciągnęła zawartość koperty i przebiegła wzrokiem treść papieru.

- Wrocław... - powiedziała bardziej do siebie, niż do niego.

- Znając życie, adres może być nieaktualny, ale od czego są biura meldunkowe? Tu, w Polsce, pod tym względem panuje zadziwiający porządek.

- Urzędasy w takim biurze nic ci nie powiedzą. Będziesz musiał pisać jakieś podania, i w ogóle.

- Powiedzą mi bez żadnych problemów - powiedział z niezachwianą pewnością siebie i puścił do niej oko.

- Ciekawy z ciebie człowiek, wujek...

- Jeszcze dzisiaj pojedę do Wrocławia. Ty w międzyczasie powoli się pakuj. Jak wrócę, to cię stąd zabiorę.

- Ale powiedz, co z panią Basią! Czemu nic nie mówisz?

Mężczyzna westchnął ciężko.

- Proza życia. Ma męża, dwójkę dzieci i jest szczęśliwa. Spóźniłem się całe cztery lata.

- O kurczę, nic nie wiedziałam. Jak ostatnio była u mnie, to nic nie mówiła. Chociaż właściwie co miała powiedzieć? Że cię już dawno skreśliła? Nie wiem, co ci powiedzieć, ale nie łam się, bo baby takie są. Jakoś to będzie.

Objęła go oburącz za szyję i przytuliła.

- Najważniejsze, że znalazłem rodzinę.

- Tylko ty nie jeździj po ludziach w tym mundurze. Wziąłbyś się jakoś ubrać jak człowiek. Kasę chyba masz?

- W sumie masz rację, ale sam sobie nie poradzę. Chodź, pojedziemy do Zielonej Góry, to pomożesz mi kupić jakieś łachy.

Spojrzała na niego z politowaniem. Nie zamierzała mu pomagać w kupowaniu „jakichś łachów”. Zamierzała dopilnować, by wyglądał jak elegancki mężczyzna.

- Poczekaj chwilę. Muszę powiedzieć wychowawczyni, gdzie jadę - powiedziała i pobiegła w stronę wejścia do budynku.

\*

Trasa Świebodzin-Wrocław liczy blisko dwieście kilometrów, więc Adam miał co

najmniej trzy godziny na rozmyślenia. Wróciło spotkanie w Żarach. Odnalazł kobietę swojego życia - jedyną, którą naprawdę kochał. Nie umarła na początku lat osiemdziesiątych. Żyła, lecz już nie dla niego. Nie widział jej tyle lat. Pogodził się z jej śmiercią. Teraz musi się pogodzić z równie bolesnymi faktami. Nie jest i nigdy nie będzie jego żoną. Los potrafi być wyjątkowo złośliwy. Zwykły przypadek sprawił, że nie mogą być razem. Wiedział, że musi sobie z tym jakoś poradzić. Musi sobie poukładać życie bez niej. Musi, bo inaczej oszaleje. Jej nie ma. Tak jak nie było przez te wszystkie lata. Teraz przynajmniej ma dla kogo żyć - odnalazł Grażynę. Zastanawiał się, jak przebiegnie spotkanie z Edytą. Czy będzie chciała z nim w ogóle rozmawiać? A może wyrządzi jej krzywdę, pojawiając się ni stąd, ni zowąd w życiu dziewczyny. Basia wiedziałaby, co robić. Ona zawsze wiedziała. Ale jej już przecież nie ma. Powtarzał sobie w myślach, że musi zapomnieć. Musi!

Przez większość drogi miał nieodparte wrażenie, że podróżuje w kaftanie bezpieczeństwa. Mundur spoczywał sobie spokojnie w bagażniku, a jego właściciel ubrany był w doskonale leżący garnitur. Czuł się bardzo dziwnie w tym nad wyraz eleganckim stroju. Grażyna powiedziała, żeby przez drogę nie ściągał marynarki - może jakoś się przyzwyczai, zanim dotrze do Wrocławia. Co chwilę poruszał ramionami, próbując zaprzyjaźnić się z tą nieszczęsną marynarką, ale łatwo nie było. Przy wjeździe do miasta uznał się za pokonanego i przestał myśleć o swoim nowym, pięknym gajercze.

Czteropiętrowy blok przy Kwiskiej okazał się znacznie łatwiejszy do odnalezienia, niż mu się wydawało. Ucieszył się, że nie musi kluczyć po centrum. Ulica, której szukał, położona była na praktycznie na peryferiach, przy głównej drodze prowadzącej z Zielonej Góry. Pierwszy dzwonek do drzwi nie wywołał wśród lokatorów żadnej reakcji. Przy drugim, Adam usłyszał ciężkie kroki i po chwili drzwi stanęły otworem. Opasły mężczyzna w białym podkoszulku na ramiączkach, ozdobionym wielkimi tłustymi plamami, patrzył na gościa spode łba.

- O co chodzi? - burknął.

Przytrzymał się futryny mięsistymi dłońmi. Nieład bujnej czupryny sugerował, że mimo południowej pory mężczyzna właśnie wygramolił się z łóżka, w którym, sądząc po woni jego oddechu, odsypiał suto zaprawianą alkoholem imprezę z ubiegłej nocy.

Adam poczuł przemożną ochotę, by walnąć tego faceta w nalany pysk i zabrać Edytę jak najdalej stąd. Gorzej chyba trafić nie mogła. Serce mu się ścisnęło, gdy zdał sobie sprawę, że według prawa była pod wyłączną opieką tego grubasa i jego pewnie nie lepszej żony.

- Dzień dobry panu. Nazywam się Gawlik - zmusił się do grzeczności.

- I co z tego? - nieprzyjemny ton gospodarza stawał się agresywny.

- Przyszedłem zobaczyć się z Edytą. Mogę wejść?

- Z kim?!

- Z Edytą Gawlik. Teraz pewnie Białas.

- Odwal się, człowieku! Tu nie ma żadnej Edyty. Spierdalaj, bo jak się wkurwię...

Adam ogromnym wysiłkiem woli powstrzymał się przed udzieleniem temu człowiekowi lekcji dobrych manier. Mężczyzna bez ceregieli trzasnął mu drzwiami przed nosem. W momencie gdy Gawlik podniósł rękę, by zadzwonić ponownie z tyłu uchylły się drzwi mieszkania z przeciwka. Starsza kobieta wystawiła ostrożnie głowę na korytarz.

- Proszę pana - zawołała przyciszonym głosem. - Państwo Białas już tu nie mieszkają. Wyprowadzili się na Ołtaszyn, na Strachowskiego. Przemili ludzie, a ten tutaj gbur tylko ciągle burdy robi.

Adamowi kamień spadł z serca. Więc jednak Edyta trafiła w dobre ręce.

- Gdzie pani powiedziała? Ołtaszyn? - spytał, podchodząc bliżej.

- Tak, Strachowskiego, ale nie pamiętam numeru. Znajdzie pan z łatwością. Piękna willa. Parę razy mnie do siebie zaprosili.

- A Edytę pani też zna?

- No pewnie! Słodkie dziecko... Dzisiaj to już śliczna panna. Niech pan jedzie na Strachowskiego.

- Dziękuję pani serdecznie.

Nie tracąc ani chwili, z ogromną ulgą pognał schodami w dół do samochodu. Krótkie spojrzenie na plan miasta uświadomiło mu, że trzeba będzie pojechać prawie na drugi koniec Wrocławia. Dzielnica Krzyki. Jakoś przebiję się przez centrum...

Willa, o której mówiła kobieta robiła imponujące wrażenie. Sam dom nie był duży, ale pięknie zaprojektowany i wykonany. Otaczające go wyjątkowo zadbane drzewka i krzewy, zasadzone tuż przy samym ogrodzeniu, tylko dopełniały wrażeń estetycznych oglądającego. Do budynku przez podwórko wiodła wyłożona płaskimi kamieniami dróżka. Adam szczerze się ucieszył, że Edyta tu właśnie znalazła swój dom i rodzinę. Nacisnął dzwonek domofonu przy wielkiej, metalowej bramie.

- Słucham? - odezwał się w głośniku niski, męski głos.

- Dzień dobry. Nazywam się Gawlik. Ja do państwa Białasów.

Charakterystycznie buczenie było sygnałem, że brama została otwarta. Niewielka przestrzeń przed domem była gustownie zagospodarowana. Nieduże klomby kwiatów zdobiły starannie przystrzyżony trawnik, a wijące się tu i ówdzie między kwiatowymi wysepkami ścieżki ułożone z tych samych płaskich kamieni co droga główna podkreślały przepiękny,

harmonijny efekt.

Drzwi domu otworzył mężczyzna około czterdziestki, z kilkuniedniowym zarostem. Ubrany był w koszulkę polo wypuszczoną na lekko wytarte, markowe dżinsy. Eleganckie okulary dodawały mu powagi. Wyglądał na przyzwoitego człowieka.

- Powiedział pan, że nazywa się Gawlik?

- Tak, Adam Gawlik. Jestem...

- Myślę, że wiem, kim pan jest. - Paweł Białas przerwał mu zrezygnowanym tonem, który przybysza trochę zdziwił.

Gospodarz westchnął ciężko i zaprosił Adama do środka. Wnętrze domu wywarło na gościu jeszcze większe wrażenie, niż jego otoczenie. Każdy element wystroju, dopracowany w najmniejszych szczegółach, sprawiał, że wchodzący nie mógł opanować wyrazu zachwytu.

- Pięknie państwo mieszkają.

Białas skinął tylko głową na potwierdzenie i wskazał gościowi przestronny pokój dzienny.

- Proszę się rozgościć, panie Adamie. Mogę tak do pana mówić? - powiedział, podchodząc do barku, który, jak Adam zauważył, był wybornie zaopatrzone.

- Naturalnie, bardzo proszę.

Postawił na stylowym stoliku dwie szklanki z grubym dnem. Jedną przed gościem, drugą przed sobą i bez pytania wypełnił je w jednej czwartej markową whisky. Adam przyglądał się temu człowiekowi z zainteresowaniem i zdziwieniem jednocześnie. Jego zachowanie zupełnie odbiegało od tego, czego oczekiwał po tym spotkaniu.

- Mówili, że pan nie żyje - odezwał się, siadając w ogromnym fotelu naprzeciwko gościa.

- Różne rzeczy ludzie mówią i nie zawsze prawdziwe. Rodzina, widzę, poza domem?

Mężczyzna po raz kolejny ciężko westchnął i na chwilę ukrył twarz w dłoniach. Spojrzał na przybyłego otępiąłym wzrokiem, wyrażającym skrajną rozpacz, jakby właśnie zawalił mu się świat na głowę.

- Wie pan, ja jestem bogatym człowiekiem. Nawet bardzo bogatym, chociaż staram się tego nie pokazywać. Pewnie słyszał pan powiedzenie, że pieniądze szczęścia nie dają, ale na pewno nie słyszał pan, że pieniądze czasem szczęście odbierają - a to mi się właśnie przytrafiło.

- Nie bardzo rozumiem, o czym pan mówi - powiedział trochę zaniepokojony Gawlik.

- Zna pan angielski? - spytał zniechęcony Białas.

- Tak - podniesiona intonacja głosu Adama dawała gospodarzowi do zrozumienia, że

spodziewa się bliższych wyjaśnień.

Białas wstał i podszedł do wielkiej, stylowej witryny, stojącej zaraz przy oknie wychodzącym na podwórze. Wrócił do stolika z listem i podał go gościowi. Adam wyciągnął z koperty niewielką kartkę papieru i przebiegł wzrokiem treść napisanego na niej tekstu.

- O, kurwa - powiedział, wciąż wpatrując się w kartkę.

Białas zupełnie nie przejął się siarczystem przekleństwem, które właśnie padło z ust tego bardzo eleganckiego mężczyzny. Wręcz przeciwnie, uznał te słowa za wyjątkowo adekwatny komentarz do opisanej w liście sytuacji.

- No właśnie - stwierdził tylko i sięgnął po szklankę z alkoholem.

- Jak to się stało?

- Ostatnio byłem mocno zapracowany. Nie było czasu dla rodziny. Trafiła się okazja, by to im wynagrodzić, bo przyjaciel jechał na Seszele. Tam ma chałupę i jacht. Zaproponował, że weźmie Alę i Edytę, a ja miałem do nich dołączyć, jak tylko dokończę swoje sprawy. Jakimś cudem znaleźli się, znaczy tym jachtem, niedaleko Somalii i dopadli ich piraci. Myśli pan pewnie, że piraci byli tylko w książkach przygodowych? Niestety nie.

- Co to za człowiek, ten pana przyjaciel?

- Pewnie pan słyszał. Romek Maliński, właściciel „Barteo”. Ten, co zbudował fortunę na handlu z Rosją.

- Romek Maliński z Żar? - spytał Adam.

- Ten sam! Pan go zna?

- Chodziliśmy razem do podstawówki. Co pan do tej pory zrobił?

- Najpierw uderzyłem do MSZ-etu, mam tam swoje wejścia. Powiedzieli, żebym jak najszybciej zapłacił okup, bo oni nic nie mogą zrobić. Tam rządzi Aidid. Mahamed Farrah Aidid. Nawet Amerykanie swego czasu nie dali mu rady. Dowiedziałem się tylko, że są gdzieś w Mogadiszu. Ci bandyci czują się tak pewnie, że nie kryją się z takimi informacjami. Oczywiście natychmiast zapłaciłem te pół miliona dolarów na konto na Kajmanach.

- I...?

- Wczoraj dostałem DHL-em żądanie kolejnego miliona i kasetę wideo, która ma mi pomóc w podjęciu szybkiej decyzji. Przesyłka nadana w Nairobi.

- Tak myślałem. Rodzina Romka się nie dorzuciła? Ma jakąś żonę?

- Ma. Z tego co wiem, to są przed rozwodem. Nie mieli dzieci. Znalazła sobie gacha i Romek jej zaczął przeszkadzać. Pewnie teraz zaciera ręce z radości.

- Niech mi pan puści tę kasetę.

- Paweł - powiedział Białas, podając gościowi rękę. - Mówmy sobie na „ty”. W końcu

w pewnym sensie jesteśmy rodziną. Szkoda tylko, że spotykamy się w takich okolicznościach. Miałbyś zupełnie inne przyjęcie, gdybyśmy byli w komplecie.

- Nic straconego. No, daj tę kasetę.

Białas podszedł powoli do szafki pod telewizorem. Wyciągnął kasetę, odwrócił się do Adama i podniósł ją na wysokość twarzy.

- To nie będzie przyjemny widok - powiedział, patrząc mu prosto w oczy.

- Nie spodziewam się przyjemnych widoków. Puść.

Paweł włączył odtwarzanie i podszedł do okna, patrząc w dal apatycznym wzrokiem. W trakcie projekcji nie odwrócił się ani razu.

Na dosyć kiepskiej jakości obrazie Adam zobaczył dwie nagie białe kobiety, przywiązane do żelaznych haków wbitych w nieotynkowaną ścianę. Czarny mężczyzna, szczerząc się w lubieżnym uśmiechu do kamery, podszedł najpierw do starszej, potem do młodszej i zaczął je niedwuznacznie obmacywać, ku uciesze dwóch innych czarnych stojących obok. Żona Białasa i Edyta miały wykrzywione cierpieniem twarze. Adam doskonale wiedział przez co musiały tam przechodzić. Obraz telewizora zaśmiał się, nagranie się skończyło. Paweł Białas nadal stał zwrócony do okna.

- Muse Sudi Gedir - powiedział Gawlik i sięgnął po szklaneczkę whisky.

Paweł spojrzał na niego.

- Co mówisz? - spytał.

- Ten uśmiechnięty czarny to Muse Sudi Gedir. Watażka z tego samego klanu, co Aidid.

Oslupienie malujące się na twarzy Pawła było wyrazem iskiej nadziei, która właśnie zabłysła dzięki temu przybyszowi znikąd. Podbiegł do fotela Adama i chwycił mocno oparcie.

- Ty go znasz?! - wykrzyknął.

- Niestety, tak. To wyjątkowa kanalia. Miałem go na widelcu w '93, ale amerykańska Delta i Rangersi spieprzyli akcję tak dokumentnie, że mi uszedł. Widać nadszedł czas, by odświeżyć tę znajomość - odpowiedział Adam, wpatrując się w telewizor.

- Kim... Kim ty jesteś? - spytał gospodarz z wyraźną obawą w głosie.

Adam spojrzał na pochylonego nad nim mężczyznę.

- Cieślą, Paweł, cieślą. Wykwalifikowanym i podobno niezłym.

Wzrok Białasa nie pozostawiał wątpliwości, że gospodarz żąda jednak bliższych wyjaśnień.

- Swego czasu byłem też żołnierzem. Może nie takim, jakich znasz, czy widziałeś, ale

jednak. Dużo by tłumaczyć, nie czas i nie miejsce. Myślę, że wiem jak ich stamtąd wyciągnąć.

- Boże! Mówże, człowieku!

- Po pierwsze, nie płać im już więcej żadnych pieniędzy. To nic nie da. Poza tym będą potrzebne na sfinansowanie pewnych niezbędnych kosztów. Po drugie, ja się wszystkim zajmę. Mogę u ciebie zaparkować na parę dni?

- Jasne, człowieku! Na jak długo chcesz!

- Dobra. Gdzie jest telefon? Można się stąd dodzwonić do Stanów?

- W przedpokoju. Dzwoni!

Adam spojrział na zegarek. Było dokładnie wpół do szóstej. W Pensylwanii będzie teraz przedpołudnie. Wyciągnął z wewnętrznej kieszeni marynarki niewielki, czarny notes.

- Cześć, stary pierdzielu... - odezwał się Adam po angielsku, gdy usłyszał głos mężczyzny odbierającego telefon. - Mam dla ciebie robotę.

- Pierdol się, polski gnoju! - wykrzyknął radośnie człowiek po drugiej stronie oceanu.

- Co u ciebie, draniu?

- Nieźle, Billy. Jesteś mi potrzebny.

- Co jest?

- Przyjeżdżaj do Polski. Zaraz ci przeliteruję gdzie. Odbiorę cię z lotniska. Zapisz też mój numer - Adam podał telefon swojego gospodarza i nazwę miasta. - Odbiorę cię z lotniska. Zadzwoni, jak będziesz wiedział, kiedy wylądujesz.

- Możesz powiedzieć, co jest grane?

- Trzeba odstrzelić parę durnych łbów w Somalii. Miedzy innymi Muse Sudi Gedira.

- O kurwa. Musisz mieć cholerne powody... - Billy nagle spowaźniał.

- Mam. Znajdź tego wariata Mitforda i chłopaków, kogo się uda. Gdzieś mi zginął Miszka Nikołajew. Dasz radę też go złapać?

- Nie uwierzysz, ale Miszka jest tu u mnie. Zapierdalała na tej swojej bałajce jak cholera. Idę sprawdzać samoloty do tej twojej Polski, to chyba gdzieś na końcu świata. Bywaj, człowieku!

Adam odłożył słuchawkę. Paweł Białas stanął w drzwiach i spojrział na niego. Nie chciał zadawać niepotrzebnych pytań temu dziwnemu człowiekowi, miał jednak nadzieję, że sam mu powie o swoich zamiarach.

- Paweł, trzeba będzie przygarnąć paru ludzi na dzień lub dwa. Dasz radę?

- W ogóle nie pytaj. Jasna sprawa!

- Teraz opowiem ci w skrócie, co i jak chcę zrobić.

\*

Dom dziecka w Świebodzinie wciąż żył wydarzeniami sprzed kilku dni, kiedy to Grażyna Gawlik odnalazła zaginionego lata temu ukochanego wujka. Dziewczyna miała czasem serdecznie dość mnożących się z zastraszającą prędkością pytań dotyczących jej krewnego, na które po prostu nie знаła odpowiedzi.

- A gdzie wy teraz będziecie mieszkać? - spytała rzeczowo Anka Borek, gdy Grażyna pozbyła się właśnie wścibskich natrętów, zresztą nie bez pomocy wychowawczyni.

- Nie wiem. Adam ma kasę, więc pewnie kupi jakąś chatę.

- A czemu ty mówisz na niego po imieniu? Przecież to twój wujek. Ja to bym chciała takiego wujka. Fajny jest - powiedziała Anka z zazdrością.

- Sam mi kazał. Czasem mówię „wujek”, a czasem normalnie.

- Pamiętasz go dobrze, jak byliście małe?

- Ja tak. Edyta pewnie nie. Była malutka. On nam zastępował ojca, tego starego ochlaptusa. Wujek był kochany. Zawsze miał dla nas czas i zawsze nas rozśmieszał - wspominała z rozrzewnieniem Grażyna.

- Teraz to on nie wygląda na śmiesznego. Czasem jak spojrzę, to ciary po plecach idą. Gdzie on się mógł podziewać tyle czasu?

- Nie wiem. Pewnie mi niedługo powie. Ciekawe co powie Edyta, jak go zobaczy.

- No. Tyle lat. Może go nie poznać i powie, żeby spieprzał.

Grażyna spojrzała na koleżankę z wyrzutem.

- No co ty? Edyta tak nie powie. To moja siostra. Na pewno się ucieszy.

- Ucieszy się albo i nie. Jak ma fajowych nowych rodziców, to po co jej tam jakiś wujek, po tylu latach?

- Anka, ty czasem jak coś powiesz, to się wszystkiego odechciewa.

- No co? Tak tylko sobie głośno myślę. Ale ja to bym chciała, żeby mnie tak ktoś znalazł.

Drzwi do pokoju otworzyły się. Dziewczyny odwróciły głowy gotowe posłać intruza do wszystkich diabłów. Na progu stała ich wychowawczyni - Renata Borek.

- Grażynko, masz telefon w kancelarii. Wujek dzwoni z Wrocławia.

Grażyna zerwała się jak oparzona i pobiegła na dół. Wpadła do gabinetu dyrektora bez pukania, na co ten skrzywił się trochę i wskazał skinieniem głowy aparat. Dziewczyna chwyciła słuchawkę i przyłożyła mocno do ucha, jak to robią dzieci z ulubioną pluszową zabawką.

- Halo?



- Cześć, Grażynko. Dzwonię, bo trochę tu muszę zostać. Jakiś tydzień, może dwa, ale nie dłużej.

- Widziałeś się z Edytą?

- Z Edytą nie, ale rozmawiałem z jej ojcem. Wspaniały człowiek. Lepiej trafić nie mogła.

- Czemu nie z Edytą? Coś się stało? Powiedz mi.

Grażyna natychmiast zauważyła, że Adam brzmi jakoś dziwnie. Coś przed nią ukrywał.

- Posłuchaj. Edyta ma kłopoty, z których muszę ją wyciągnąć.

- Jakie kłopoty? O co chodzi?! - zażądała odpowiedzi.

- Grażyna, musisz mi zaufać. Obiecuję ci, że niedługo ją zobaczysz. Czy kiedyś ci coś obiecałem i nie dotrzymałem słowa?

Takich rzeczy nie mogła pamiętać. Argument nie do podważenia.

- Adam, boję się. Nie chcę stracić jedynej rodziny...

- Daj spokój. Zapewniam cię, że jeszcze będziesz miała serdecznie dosyć oglądania mojej paskudnej gęby. Muszę lecieć. Trzymaj się i czekaj na mnie. Na razie.

Zanim Grażyna zdążyła cokolwiek powiedzieć, Adam przerwał połączenie. Dziewczyna była przerażona. Co się tam stało? Chodziły jej po głowie najczarniejsze myśli. Wyszła bez słowa z kancelarii, odprowadzona karcącym wzrokiem dyrektora, który spodziewał się choćby zwyczajowego „dziękuję”.

## Rozdział 23

Samolot rejsowy z Frankfurtu nad Menem przyleciał o czasie. Wkrótce do hali głównej lotniska na wrocławskich Strachowicach zaczęli wchodzić pierwsi pasażerowie. Adam czekał cierpliwie na pojawienie się znajomych postaci Billego i Miszki Nikołajewa, którego nie widział od trzech lat. Wyszli jako jedni z ostatnich. Polak podniósł rękę z zaciśniętą pięścią w geście pozdrowienia. Przybysze ruszyli w jego kierunku, oglądając się co chwilę za siebie. Ni stąd, ni zowąd przystanęli, jakby na kogoś czekali. Rychło okazała się, że nie przyjechali sami. Najpierw wyszedł John Esteves - dziki Meksykanin z paskudną blizną na gębie; mężczyzna ponad czterdziestoletni, średniego wzrostu, o niespotykane szerokich barach i długich ramionach. Wdał się kiedyś w awanturę po pijaku i wyniósł taką pamiątkę ze spotkania z czymś nożem. Adam go bardzo cenił, bo gołymi rękami skręciłby kark wołu. Zaraz potem wyłonił się John Mitford.

- *Move your asses!* - zawołał do nich Billy.

Adam uściskał Indianina i Miszkę, przybił piątkę i chwycił na moment żyłastą dłoń Esteveza, a potem po przyjacielsku złapał Mitforda za kark i przyciągnął do siebie.

- Cześć, stary wariacie, poukładało ci się w tym durnym łbie choć trochę przez ten czas? - spytał Anglika pogodnie.

- Ni cholery - odpowiedział John, wzbudzając salwę śmiechu.

- Ładujcie dupy do samochodu - wskazał mężczyznom swojego jeepa. - Udało ci się jeszcze kogoś złapać? - spytał Billego.

- Paru chłopaków dobije w Nairobi. Dobrze myślę, że startujemy z Kenii?

- Dobrze myślisz, Billy.

- A ty Miszka, cholero, gdzie masz bałajkę? - spytał ze zdziwieniem Adam.

- Została u tego wrednego Indiańca - zmartwił się Rosjanin. - Tak się, kurwa, kazał śpieszyć, że zapomniałem. Teraz pewnie ci jego Apacze mi ją rozpierdalają.

- Irokezi, Misza, Irokezi - poprawił go Billy, kręcąc z rezygnacją głową.

- Jeden pies, co to za różnica? - wygłupiał się Rosjanin.

- I jak tu go nie walić w tę ruską mordę? - zwrócił się Billy z retorycznym pytaniem do Adama.

Polak spojrział na nich z wyrozumiałością. Wiedział doskonale, że jeden za drugiego w

ogień by skoczył. Złośliwości, które sobie czasem serwowali, tylko umacniały ich przyjaźń.

\*

Na widok wchodzących do jego domu kumpli Adama Pawłowi Białasowi ciarki przeszły po plecach. Takich ludzi strach spotkać za dnia. Sam ich wygląd skutecznie gasił w człowieku jakiegokolwiek agresywne zamiary.

- Paweł, to są ludzie, którzy pomogą mi wyciągnąć twoją rodzinę. Billy Dogan, John Mitford, Misza Nikołajew i John Estevez.

Gospodarz nie bez obawy podał każdemu na przywitanie rękę. Miał trochę mieszane uczucia na myśl, że los jego rodziny i przyjaciela spocznie w rękach tych budzących grozę ludzi.

- No to, panowie rozgoście się, a ja zamówię coś do jedzenia. Kto na co ma ochotę? - zaoferował się Paweł.

- Załatw coś polskiego. Niech chłopaki wiedzą, że nasze żarcie jest najlepsze na świecie - rzucił Adam i wprowadził towarzyszy do pokoju.

- Mamy tu we Wrocławiu takie miejsce, gdzie dają super pyszne staropolskie jedzenie. Nazywa się „Karczma Lwowska” - odpowiedział Paweł tajemniczo.

Nie dalej jak po godzinie Białas zaprosił gości do stołu. Czekala na nich prawdziwa uczta, na którą złożyły się ogromne ilości specjalów kuchni rodem z kresów wschodnich. Sam zapach potraw nastawił mężczyzn do posiłku wyjątkowo entuzjastycznie. Z zapalem zabrali się do pałaszowania tych cudów na talerzach. Jedzenie w mig znikalo w przepascistych zoladkach dopiero co przybylych cudzoziemcow.

Kończącą się biesiadę zakłóciło brzęczenie domofonu.

- Pewnie listonosz - stwierdził Paweł, wstając od stołu.

- Poczta - odezwał się głos w słuchawce.

Białas otworzył bramę i wrócił na chwilę do gości, zobaczyć czy im jeszcze czegoś nie trzeba. Zabrział dzwonek do drzwi i Paweł poszedł otworzyć. Niespodziewający się niczego mężczyzna nagle został gwałtownie wepchnięty do przedpokoju i przewrócił się na plecy. Dwóch ostrzyżonych na łyso, napakowanych osilków mających na sobie markowe, ortalionowe dresy, zamknęło za sobą drzwi. Obydwaj uzbrojeni byli w kije bejsbolowe.

- No, frajerze, wyskakuj z kasy. Potrzebujemy na piwko - pierwszy zwrócił się agresywnie do Pawła. - Mam ci pomóc? - spytał, podnosząc i potrząsając niedwuznacznie bejsbolem.

Zanim wystraszony bezprecedensowym napadem w biały dzień Białas zdołał się podnieść, w przedpokoju pojawił się najpierw Gawlik, potem Billy i Mitford. Dresiarze nie

spodziewali się takiego towarzystwa, ale nie zamierzali rezygnować z zarobku. Ścisnęli tylko mocniej kije, gotowi do uderzenia.

- A, widzę, że mamy gości. Wy też pedały wyskakiwać z kasy. Już! - powiedział dresiarz nieco niepewnym tonem.

Adam bez słowa podszedł do napastnika i błyskawicznym, płynnym ruchem, dziecinnie łatwo odebrał mu kij, a jednocześnie uszczypnął drugiego bandziora powyżej łokcia. Ten zwałił się na podłogę w drgawkach. Był przytomny. John Mitford z założonymi na piersiach rękami przyglądał się akcji. Pokręcił z uśmiechem głową. Bardzo mu się podobała ta sztuczka ze szczypaniem, ale Adam nigdy nie chciał mu pokazać, jak to się robi.

Minął dobry moment, zanim dresiarz odzyskał rezon.

- Kurwa, jak mnie dotkniecie, to zeznam na policji, żeście mnie tu zwabili i napadli. Pójdziecie siedzieć, kurwa! - przekleństwami próbował dodać sobie animuszu.

Widać było, że się boi. Gdzieś nagle znikła buta prezentowana jeszcze przed chwilą. Estevez wystawił swoją paskudną gębę zza framugi. Wrażenie, jakie zrobił na dresiarzu było piorunujące.

- A kto ci powiedział, że wyjdiesz stąd żywy? Oberżnę ci łeb i wrzucę do Odry.

Meksykanin jakby tylko na to czekał. Jego przerażająca głowa zniknęła na moment za drzwiami do pokoju. Gdy się pojawił ponownie, trzymał w dłoni oryginalną maczetę, którą wygrzebał właśnie wśród pamiątek Białasa z podróży po Ameryce Południowej. Podał ją Gawlikowi.

- Kurwa, człowieku! - wyrzucił z siebie teraz już śmiertelnie przerażony amator łatwego zarobku. - Kurwa, co ty chcesz zrobić? Kurwa! - rozpacz w głosie napastnika nie pozostawiała wątpliwości co do stanu jego nerwów.

Adam delikatnie kopnął leżącego bandytę w głowę na wysokości ucha. Drgawki ustąpiły niczym za dotknięciem czarodziejskiej różdżki i łysol zerwał się na równe nogi.

- Dam ci szansę, śmieciu. Za pięć minut zrobimy sobie na was polowanie. Jak dotrzecie do granic miasta, to daruję wam życie. A jak nie... - Adam spojrzał niedwuznacznie na ostrze maczety.

Dresiarzom nie trzeba było dwa razy powtarzać. Wystrzelili z domu Białasa jak z procy. Przez moment szarpali w panice za bramę wyjściową, zanim otworzyli ją klamką, którą normalny człowiek naciska w takich sytuacjach zupełnie naturalnie.

- Adam, co ty chcesz zrobić? - gospodarz brzmiał na nieźle wystraszonego.

- Nic, Paweł, zupełnie nic. Mam stuprocentową gwarancję, że te pętaki za pięć minut znikną z miasta. Po co miałbym coś robić? - odpowiedział gospodarzowi z niewinną miną. -

Chłopaki, do roboty Mamy parę rzeczy do obgadania - zwrócił się po angielsku do swoich towarzyszy.

- Oni mogą mieć kumpli. - Paweł przytrzymał go za przedramię.

- Pewnie mają - odpowiedział Adam, jakby mówił o nadciągającym pogorszeniu pogody.

- Czyli kłopoty dopiero się zaczną...

- Nic się nie zacznie.

- Jak to? Przecież...

- Na pewno mają kumpli - Adam nie pozwolił mu dokończyć. - ale mają też szefów. Jak ci dowiedzieliby się, że ich ludzie na własną rękę chcieli obrobić Bogu ducha winnego obywatela, a takim chyba jesteś, to by im jaja pourywali. Będą siedzieć cicho jak trusie. Wierz mi, Paweł.

- Skąd ty niby to wszystko możesz wiedzieć? - Paweł nie wydawał się być uspokojony.

- Z życia, Pawełku, z życia.

Paweł patrzył z głupią miną na mężczyzn wchodzących z powrotem do pokoju. Mitford wciąż kręcił głową, szczerze ubawiony, a Billy puścił do gospodarza oko, jakby chciał powiedzieć: „Wyluzuj, człowieku. Tylko żartowaliśmy”. W przybranym ojcu Edyty Gawlik nagle obudziła się niezłomna wiara, granicząca z pewnością, że ci niezwykli, a zarazem straszni ludzie sprowadzą mu córkę i żonę bezpiecznie do domu.

Adam rozłożył na stole mapę Afryki, którą wcześniej wygrzebał mu w swoich rzeczach Paweł. Była naprawdę dokładna. Paweł zawsze zwracał szczególną uwagę na to, by zaopatrzyć się w dobre mapy podczas swoich podróży.

- Pierwsza rzecz. Za akcję każdy dostaje 50 tysięcy dolarów. Myślę, że to uczciwa cena - zaczął Adam.

- Pasuje - zgodził się szybko Mitford.

- Wiesz, że nie robimy tego dla pieniędzy - powiedział Billy poważnie.

- Wszystko zawsze robiliśmy dla pieniędzy - odpowiedział mu Adam. - Billy nie chce swojej działki. Ktoś chętny? - krzyknął do pozostałych.

- Ja! Mi daj! - natychmiast zgłosił się Misza.

- Tobie to mogę kopa w dupę dać. Odwal się od mojej kasy - od razu zareagował Billy.

- Dobra. Dostyc wygłupów. Chodźcie tutaj - Polak uciął żarty. - Ruszymy stąd - wskazał punkt w Kenii przy granicy z Somalią. Załatwiłem dwa śmigłowce. Będą tam na nas

czekały.

- Jakie? - spytał Estevez.

- Pewien człowiek zorganizuje dla nas dwa Black Hawki.

- Noo, pięknie - powiedział z uznaniem Mitford. - A piloci?

- Ściągnąłem chłopaków z Delty. Byli w Mogadishu w '93 i wiedzą co i jak.

- Nie chciałbym wyjść na czarnowidza, ale wtedy spieprzyli sprawę... - stwierdził

Billy szczerze.

- Nie oni. Tych znam i im ufam. Są świetni, lepszych nie znajdziemy - odpowiedział Adam stanowczo.

- No dobra. Ale gdzie tu jest hak? Przecież nie zamierzasz chyba uderzyć na terytorium Aidida tylko dwoma śmigłowcami? - spytał Anglik.

Pozostali mężczyźni utkwili wzrok w Polaku, czekając niecierpliwie na odpowiedź. Każdy z nich doskonale sobie zdawał sprawę, że nawet najlepiej przygotowana operacja z wykorzystaniem znakomitych Apachów miała tu zerowe szanse powodzenia. Z drugiej strony, znali Adama i nikt nie przypuszczał, by namawiał ich na samobójczą akcję. Musiał mieć jakiegoś asa w rękawie. I miał.

Polak powiódł wzrokiem po żołnierzach. Celowo przedłużał swoje milczenie, budując napięcie. Musiał przyznać, że bawiła go niezaspokojona na razie ciekawość uczestników spotkania.

- Ty, co ty kombinujesz, cholerny Polaku? - zniecierpliwiał się Indianin.

- Pomoże nam Atto - odpowiedział krótko Adam.

- Kto? - nie załapał Mitford.

- Osman Hassan Ali, zacięty wróg Aidida - Billy powiedział wolno, jakby wciąż nie wierząc, że padło tu nazwisko tego człowieka. - Coś ty, cholero, wykombinował? - zwrócił się do Gawlika.

- W Nairobi mieszka pewien człowiek, swego czasu dosyć wpływowy w somalijskich kręgach politycznych. Zawdzięcza mi życie, i nie tylko. Poleciłem mu, żeby w moim imieniu pogadał z Atto i namówił go do wspólnego uderzenia na południową część Mogadishu, w tej chwili ciągle pod kontrolą Aidida. Atto pamięta mnie jeszcze z czasów, jak zgarnęli go Rangersi i wsadzili do pierdła z błogosławieństwem ONZ-etu. Mam się z nim spotkać, jak już dotrzemy do Kenii. W każdym razie po 20 lipca obiecał rozpętać piekło, z którego my skorzystamy, a przy okazji rozwali się paru kumpli Aidida. Moja rodzina i przyjaciel, czyli ludzie, po których idziemy, są właśnie w południowym Mogadishu. Na dniach mam mieć informacje, gdzie dokładnie ich przetrzymują. Nie będzie łatwo bez koordynacji z góry, ale

przecież inaczej byłoby nudno.

- Opiekę z góry da się załatwić - powiedział Billy mimochodem.

- Wszyscy spojrzeli na niego jak na wariata.

- Co ty pleciesz, Billy? Musiałbyś się podłączyć do satelitów szpiegowskich - stwierdził Misza zaskoczony wypowiedzią przyjaciela.

- Mam dalekiego krewnego w Pentagonie. Ostatnia szuja, za szmal matkę by sprzedał, o ile już tego nie zrobił. Jak dostanie w łapę, to otworzy nam oko na niebie na parę godzin. Posadzę kuzyna, weterana z Pustynnej Burzy, przed sprzętem i będzie się o nas troszczył jak najlepsza mamusia.

Indianin świetnie rozumiał, co oznaczały jego słowa. Udawał, że w ogóle nie dostrzega spojrzeń obecnych, a przynajmniej ich uwaga zupełnie go nie interesowała. Wpatrywał się w mapę, sprawiając wrażenie człowieka całkowicie pochłoniętego analizą topograficzną pogranicza somalijsko-kenijskiego.

- Billy, ja ci kiedyś skopię dupę - odezwał się Polak, nie kryjąc zadowolenia.

Indianin skwitował ten osobliwy komplement wzruszeniem ramion.

- A, przyplątała się jakaś piąta woda po kisielu - zbagatelizował sprawę potomek szlchetnego narodu Irokezów. - Przyjrzałem mu się i okazało się, że gościu może się przydać, to pomyślałem: czemu nie?

Adam nie musiał zaprzętać sobie głowy problemem, czy aby na pewno sprawa satelity wypali. Wiedział, że jeżeli Billy coś takiego mówi, to wszystko już jest właściwie nagrane i można dany element spokojnie ująć w planach operacji. Jego indiański honor nie dopuściłby tu do jakiejś wpadki.

- No to, panowie, w takim razie będzie jak w przedszkolu. A już się cieszyłem, że szykuje się ostra jazda - orzekł żartobliwie Gawlik.

Wszyscy doskonale wiedzieli, że kamień spadł mu z serca. Nie chciał narażać tych ludzi bardziej, niż to mogło okazać się konieczne. Nikt nie miał najmniejszych wątpliwości, co do ogromu niebezpieczeństwa czyhającego w tym afrykańskim piekle. Właściwa organizacja zapewniała duże szanse, że wyjdą z tego bez szwanku. Jednak żaden z nich nie odmówiłby sobie kolejnej możliwości zatańczenia ze śmiercią w tak doborowym towarzystwie. Wśród najlepszych z najlepszych. Czasem wręcz chorobliwy, szczególnie jak w przypadku Johna Mitforda, pęd do ryzyka wpisany mieli w życiorysy. Potrzeba działania na najwyższych obrotach była częścią ich krwioobiegu, jak tlen.

## Rozdział 24

Międzynarodowy port lotniczy Jomo Kenyatta w Nairobi, największy w tym regionie, ze swym położeniem zaledwie 20 minut od centralnych dzielnic, zapewniał znużonym lotem podróżnym możliwość wygodnego transportu do hoteli zarówno systemem komunikacji publicznej, jak i licznymi taksówkami. Samo miasto przywitało ich zadziwiająco jak na afrykański kraj niską temperaturą, znacznie poniżej trzydziestu stopni Celsjusza, tak typową dla kenijskiej zimy.

„Holiday Inn Nairobi”, usytuowany 20 kilometrów od portu lotniczego Jomo Kenyatta, wyróżniała architektura pamiętająca czasy kolonialne z lat '40, kiedy to przeżywał okres świetności jeszcze jako „Mayfair Court Hotel”. Adam lubił posmak tych lat porządku, twardą ręką zaprowadzanego w Afryce przez białych. Z drugiej strony, ze swym wojskowym fachem zasilaby rzesze bezrobotnych, gdyby ruchy niepodległościowe na Czarnym Lądzie nie stworzyły mu źródła bardziej niż przyzwoitego zarobkowania.

Elegancka kobieta w średnim wieku wzięła klucz do pokoju. Miała na sobie biały kostium, który podkreślał jej zgrabną figurę. Powierzchnia kontuaru jednego z najlepszych hoteli w Nairobi była nieskazitelnie czysta. Doskonale obrobione drewno na krótką chwilę tworzyło artystyczne tło dla jej smukłej, zadbanej dłoni. Piękno lubi ludzi bogatych. Młody recepcjonista uśmiechnął się zyczliwie i wypowiadając zwyczajową formułkę „Have a nice stay” uklonił się lekko. Nie zaszczyciła go spojrzeniem. Tacy jak on dla takich jak ona byli powietrzem. Chłopak nie zraził się zbyt. I tak uważał się za szczęściarza - pierwszy dzień pracy w takim miejscu. Chwila oddechu. Zwrócił się do kolegi, który położywszy dłonie na ławie przyglądał się gościom hotelowym siedzącym na wygodnych, skórzanych kanapach w przestronnym holu. Zastanawiał się, czy kiedyś, lub może bardziej, kiedy, będzie mu dane stać się członkiem tej elitarnej grupy możnych tego świata. Zazdrościł im. Zazdrościł im niewymownie. Młodzieńcza determinacja, by być zamożnym i wpływowym zrodziła się jeszcze w Polsce pod koniec szkoły średniej. Wraz z transformacją ustrojową przyszło do kraju bogactwo, czasem niewyobrażalne dla mieszkańca małej podwrocławskiej miejscowości, z której sam pochodził. Z zadumy wyrwały go słowa kolegi.

- Jakby mi ktoś jeszcze miesiąc temu powiedział, że będę robił praktykę w Kenii, to bym mu powiedział, że chyba się z durnym przez ścianę macał.



- Co?

- Mówię, że w życiu bym nie pomyślał, że się uda. Jesteśmy na praktyce w hotelu w Nairobi... - młody człowiek pokręcił głową, jakby wciąż nie wierzył, że los się do niego uśmiechnął i na cały miesiąc wylądował w Kenii, za darmo, w ramach praktyki zawodowej. Oparł się wygodnie na biurowym krześle za kontuarem i założył ręce za głowę. W tym momencie nie było już dużego ruchu. Najgorsze są wczesne przedpołudnia. Teraz można wyluzować. - Skąd ty właściwie wytrzasnąłeś tego gościa?

- Tego, co nam to załatwił?

- No?

- Jak był miesiąc temu w Warszawie, to robiłem dla niego za tłumacza. Jedna laska mi go nagrała. Gość nadziany, nieźle płacił, miał parę biznesów do załatwienia. Prosta piłka. No i tak gadu-gadu, od słowa do słowa, powiedziałem mu, że studuję Public Relations i właśnie szukam jakiejś sensownej praktyki. Na to on, że zarządza paroma hotelami na świecie, między innymi tutaj, i jakbym chciał, to mnie ustawi. Na początek recepcja, a potem się zobaczy.

- I zgodził się opłacić lot w obie strony, ot tak?

- Co to dla niego? Poza tym poznał mnie i uznał, że warto. Powiedziałem, że też jesteś w porządku gość, niemiecki, angielski, francuski, no to wziął obydwu.

- Coś ściemniasz... - nie dowierzał młody Polak.

- No, dobra, wyświadczyłem mu pewną przysługę. Powiedzmy, że nie do końca zgodną z prawem.

- Ty to własną śmiercią nie zginiesz.

Do holu weszło czterech mężczyzn. Jeden z nich natychmiast skierował się w ich stronę. Młody Polak zerwał się z krzesła, gotów służyć klientowi. Jego towarzysz uzupełniał księgę gości.

Gawlik rzucił krótkie spojrzenie na recepcjonistę. Chudy około dwudziestoletni młodzian uśmiechnął się życzliwie, choć niepewnie. Klient nie robił najlepszego wrażenia. Ogorzała twarz, poorana bruzdami, ubiór bardziej nadający się na wyprawę do dżungli, niż wizytę w czterogwiazdkowym hotelu. Nie tacy goście tu bywają.

- Dzień dobry szanownemu panu. Czym mogę służyć? - zapytał grzecznie po angielsku.

Gawlik nie odpowiedział na pozdrowienie.

- Rezerwacja na nazwisko John Smith - odpowiedział szorstko.

- Już sprawdzam - recepcjoniście zdecydowanie nie podobał się ten człowiek. - Ach

tak, jest. - Wyciągnął faks z plastikowego pojemnika na korespondencję. - Zechce pan wypełnić ten formularz.

Przesunął w jego kierunku kartkę i długopis. Gawlik zaczął wpisywać fikcyjne dane. Jego towarzysze rozsiedli się tymczasem wygodnie na skórzanych kanapach. Starsza pani z małym pieskiem spojrzała z niesmakiem na usadowionego obok Esteveza. Meksykanin wyszczerzył do niej zęby w lubieżnym uśmiechu. Kobieta wstała i truchcikiem opuściła hol.

- Ty, Krzychu, zobacz jakie zakazane ryje przyjechały - powiedział półgłosem recepcjonista do swojego towarzysza.

Ten podniósł wzrok znad książki meldunkowej.

- O, kurde, ale zakapiory - rzucił dyskretne spojrzenia. - Taka hołota się po świecie włóczy. W slamsach siedzieć! Skąd takie łapciuchy mają kasę?!

- Teraz to strach po hotelu chodzić, jak takie pyski tu mieszkają.

Nie patrzył na nietypowych gości. Mogli się zorientować, że pracownicy recepcji wymieniają niepochlebne uwagi na ich temat, a tego nikt nie chciał.

- Ten, co wypełnia formularz, to za facjatę dwadzieścia lat bez wyroku, a tamten wodzu to spokojnie łyka dożywocie.

Krzychu pokiwał głową na znak, że całkowicie się zgadza z opinią kolegi i przerzucił stronę w książce.

Gawlik ani na chwilę nie przestał wpisywać informacji meldunkowych. Były naturalnie całkowicie fikcyjne, ale nikt przy zdrowych zmysłach w jego sytuacji nie podałby prawdziwych. Poza tym doskonale wiedział, że i tak nikt nigdy nie będzie się tym przejmował. Odłożył długopis. Postukał palcem wskazującym w kartkę, dając recepcjoniście do zrozumienia, że czegoś nie rozumie. Młody człowiek nachylił się nad szerokim kontuarem i spojrzał w formularz. Gawlik sprawnym ruchem chwycił go za kark i przyciągnął do siebie. Stopy młodego człowieka straciły kontakt z podłożem. Próbował się opierać, lecz wysiłki na nic się zdały. Chwył był zbyt silny.

- My jesteśmy spokojni ludzie - powiedział półgłosem najczystszą polszczyzną, ku bezgranicznemu zdumieniu praktykanta, jednocześnie na tyle głośno i wyraźnie, by jego kompan dokładnie słyszał, co mówi.

- Ale jak nas ktoś wkurwi, to wrywamy języki, obcinamy jaja i ręce, wydłubujemy oczy i tego typu rzeczy. Tu jest Afryka, chłopcze. Ludziom czasem się przytrafiają dziwne rzeczy. Rozumiemy się?

- O, Jezu...

Żelazny uścisk na karku powodował dotkliwy ból. Chłopak miał wrażenie, że

założono mu na szyję imadło. Jak można mieć taką siłę w dłoniach? Co to za człowiek?! Przerażenie potęgowało cierpienie wywołane uciskiem. Gawlik rozluźnił palce i szyja recepcjonisty odzyskała wolność. Złapał się oburącz za obolałe miejsce. Jego kolega stał osłupiały, nie wiedząc, jak się zachować. Krew odpłynęła mu z twarzy. Był trupio błądy. Wiedział, że ten człowiek ma rację. To jest Afryka.

Mężczyzna wyciągnął do recepcjonisty dłoń, jakby prosił o jałmużnę. Chłopak spanikował jeszcze bardziej. Za nic nie odważyłby się spytać, o co chodzi. Gapił się na gościa, mając twarz wykrzywioną w idiotycznym uśmiechu, którym próbował maskować przerażenie. Na próżno. Jedynie na to w tym momencie było go stać. Jego towarzysz doszedł do siebie. Jednym susem dopadł kluczy do pokoi i położył je na dłoni Gawlika. Ten bez słowa skierował się ku schodom. Jego kumple zarzucili torby podróżne na ramiona i ruszyli za nim. Esteves zatrzymał się na chwilę przed kontuarem.

- Podobasz mi się chłopczyku - powiedział do Polaka po angielsku i oblizał znacząco wargi.

- O, Jezu - jęknął po raz drugi tego dnia student z Polski.

Esteves puścił do niego oko i podążył za towarzyszami.

\*

W apartamencie na ostatnim piętrze Osman Hassan Ali czekał ze swoją ochroną na sojusznika z dalekiego kraju, który jeszcze kilka lat temu był sprzymierzony z jego wrogami.

- Witaj, Atto - powiedział Adam, stając przed Somalijczykiem, który siedział wygodnie w fotelu i zaciągał się z lubością markowym cygarem.

Ten wstał powoli i wyciągnął do Polaka dłoń.

- Witaj, polski diable - odpowiedział ze służbowym uśmiechem.

Powitanie nie było ciepłe. Nie mogło być, bo Atto wciąż pamiętał, że w '93 byli po dwu stronach barykady. Jednak darzył Gawlika ogromnym szacunkiem i czuł do niego respekt. Świetnie zdawał sobie sprawę, że takich ludzi jak ten przybysz z Europy lepiej mieć po swojej stronie.

- Układ jest prosty - powiedział Adam bez zbędnych wstępów, siadając przed Somalijczykiem. Wyciągnął wojskowy plan Mogadiszu i położył na szklanym blacie stolika stojącego między nimi. Wskazał palcem miejsce w południowej dzielnicy miasta. - Tu są przetrzymywani ludzie, po których przyjechałem. Tu teraz jest Adid. - Przesunął palec na wschód.

- Ty uderzysz na południu, opanujesz ten rejon - Polak zakreślił na mapie elipsę - i jak dojdiesz ze swoimi ludźmi w pobliże kryjówek Aidida, wejdziemy, a ten gościu go odstrzeli

- wskazał ręką na Miskę, który wraz z pozostałymi dokonywał fachowej inspekcji przygotowanego dla nich sprzętu - przeladowywał karabinek snajperski i sprawdzał lunetę.

- Niby dlaczego miałyby mu się udać? - powątpiewał Atto.

- Bo takie ma zadanie. Zna cel i nigdy nie chybia. A ja go tam dostarczę - odpowiedział stanowczo Gawlik.

- Jesteś bardzo pewny siebie, polski diable.

- Taki fach.

- A jeśli Aidida tam w ogóle nie będzie?

- Nie wszedłbym w taką akcję, gdybym nie miał informacji z pierwszej ręki. Pojutrze, czyli 24 lipca, twój wróg dostanie kulkę i przestanie stanowić dla ciebie jakikolwiek problem.

- Straszne rzeczy słyszałem o tobie i wierzę, że dokonasz niemożliwego. Pojutrze w Mogadiszu będzie wojna. Mam nadzieję, że uda ci się uwolnić swoich.

- Tam będzie też Muse Sudi Gedir. Chcę, żeby umarł. W jaki sposób, pozostawiam to twojej inwencji.

- Zajmę się nim z prawdziwą przyjemnością - odpowiedział Atto z wyrażającym bezgraniczne okrucieństwo uśmiechem.

Osman Hassan Ali skinął głową Adamowi na pożegnanie i opuścił hotelowy pokój. Nie uszło to uwagi towarzyszy Polaka, wydawałoby się całkowicie pochłoniętym sprawdzaniem sprzętu, który miał im posłużyć w akcji. Nie dali tego po sobie poznać. Musieli przyznać, że ten polski diabeł, jak go trafnie Atto nazywał, załatwił najlepsze wyposażenie z możliwych. Zapowiadała się niezła zabawa.

- Billy, z satelitą załatwione? - spytał Gawlik.

- Kuzyn w Stanach będzie w stałym kontakcie z człowiekiem tutaj, w Nairobi. Dostałem cynk, że jest już gotów. On nas poprowadzi. Nie znam gościa, bo chce być anonimowy, ale mam informację, że niezawodny. Będzie OK.

- Idźcie chłopaki się gdzieś wyluzować. Jutro ruszamy nad granicę Somalii. Trzeba będzie wszystko przygotować na miejscu - powiedział Adam.

- Skąd będziemy wiedzieli, że Atto uderzył, i gdzie jest? - spytał Esteves.

- Przyśle człowieka. Potem kolej na nas. No, to spadajcie.

- Nie idziesz z nami na miasto? - zdziwił się Misza.

- Muszę jeszcze w spokoju przemyśleć parę rzeczy. Do jutra!

Chwilę potem został sam. Kłębiły mu się w głowie myśli i pytania, na które nikt nie znał odpowiedzi. Ryzyko było ogromne. Nie miał żadnej gwarancji, że wyciągnie rodzinę Białasa i przyjaciela z lat młodości z piekła, jakim bez wątplenia było to miasto. Nie mógł

mieć żadnej pewności, że wyjdą z tego żywi. Gdyby nie Atto, akcja taka nie wchodziłaby w ogóle w grę. Z dwoma Apachami mieli jakąś szansę, lecz nikt nie wiedział jaką. Nie miał specjalnych wyrzutów sumienia, że naraża życie swoich dawnych żołnierzy, choć na pewno wolałby uniknąć ofiar. To jednak zawsze był ich chleb codzienny i nikt nigdy o tym nie myślał. Najważniejsza była teraz koordynacja działań. Jeszcze w samolocie ustalili, że jak już się wszystko zacznie, to Billy, Estevez i Mitford odbiją i zabiorą trójkę Polaków, a on z Miszą polecą nad enklawę Medina w południowym Mogadishu ustrzelić Aidida. Musi tam być.

\*

W prowizorycznym miniobożu wojskowym na pograniczu Kenii i Somalii zastali wśród wynajętej obsługi czterech dawnych towarzyszy broni jeszcze z czasów działań w Angoli. Uwijali się przy wylądunku przywiezionego ciężarówką sprzętu. Adam przydzielił trzech Billemu, a jednego postanowił wziąć ze sobą. Śmigłowców wciąż nie było.

- Coś nie widać tych cholernych Black Hawków. Żeby Delta znowu nie nawaliła... - niepokoił się Billy.

- Spokojnie, chłopie. Znam tych ludzi, będą na czas.

Niczym za wypowiedzeniem magicznego zaklęcia na niebie w oddali pojawiły się dwa czarne punkciki. Niedługo potem nabrały bardzo charakterystycznych kształtów łatwo rozpoznawalnych dla każdego doświadczonego żołnierza. Z każdą chwilą śmigłowce rosły w oczach. Wylądowały z gracją, nie gasząc silników. Piloci wysiedli z maszyn. Sprzęt bojowy w kilka minut znalazł się w helikopterach. Niemal w tym samym momencie zajechał wysłużony, terenowy jeep, z którego wyskoczył w pośpiechu szczupły, czarny młodzieniec i podbiegł do Adama. Nigdy wcześniej go nie widział, ale opis Polaka przekazany mu przez Atto w zupełności wystarczył.

- Jestem od Atto! - krzyknął głośno po angielsku, z typowym afrykańskim akcentem. Hałas śmigłowców znacznie utrudniał rozmowę. - Możecie zaczynać! Aidid przygotowuje atak na Medinę!

- W porządku. Przekaż swojemu dowódcy, że wchodzimy! - odpowiedział Adam.

Uśmiechnął się z satysfakcją. Jego informacje się potwierdziły. Podniósł rękę i wykonał ruch niczym rotmistrz kawalerii sygnalizujący komendę do szarży. Chwilę później Black Hawki wzbily się w powietrze jak drapieżne ptaki wylatujące na żer. Wkrótce pochłonęła je ciemność nad Somalią.

\*

- Kurwa mać! - wrzasnął Billy, gdy zabłąkana kula odłupała kawałek muru i drobiny kamieni wbiły mu się w twarz.

Zaczął je pośpiesznie wydłubywać. Kilka dostało się całkiem głęboko, powodując kłujący ból. Indianin był wściekły. Chowali się jak szczury, zamiast roznieść Somalijszczyków i mieć już całą akcję za sobą. Wszystkiego się mogli spodziewać, tylko nie takiego obrotu sprawy.

- Skąd oni się tam wszyscy wzięli, skurwysyny?! - Esteves starał się przekrzyczeć ogień z broni maszynowej.

- Ktoś musiał brudasów ostrzec!

Meksykanin wystawił na moment głowę, by sprawdzić, jak rozwija się sytuacja. Nic się nie zmieniło. Morderczy ogień z Black Hawka zdawał się nie robić na Somalijszczykach najmniejszego wrażenia. Ginęli jeden po drugim jak muchy, ale najemnicy, wspomagani przez niewielki oddział bojowników Osmana Hassana Alego nie posunęli się ani o krok w kierunku budynku, w którym znajdować się miała rodzina Adama. Szanse, że zakładnicy są jeszcze przy życiu, malały z każdą minutą.

- Szlag by to trafił! Jeśli reszta ludzi Atto nie będzie tu szybko, to trzeba będzie wycofać śmigłowiec, bo go w cholerę zestrzelą - krzyknął Billy, poważnie zaniepokojony zaciekłym oporem nadspodziewanie licznych obrońców Gedira. - Gdzie Mitford?!

- Próbuje coś wykombinować od południa! - odkrzyknął Esteves.

Gorączkowe myśli przewalały się w głowie Amerykanina. Sytuacja stawała się beznadziejna. Próbował się skupić. Musiał znaleźć jakiś sposób przełamania oporu obrońców i to już, natychmiast! Bo inaczej poniosą totalną klęskę.

- Są, kurwa, są! - wrzasnął nagle Meksykanin.

Wskazał ręką szybko zbliżające się oddziały zaprzyjaźnionych Somalijszczyków. Billy odwrócił głowę i odetchnął z ogromną ulgą.

Czarni wojownicy przebiegali obok żołnierzy i od razu ruszali do szturm na niezdobyty do tej pory budynek. Szli niczym Armia Czerwona w czasie drugiej wojny światowej, zupełnie nie zważając na deszcz pocisków z broni maszynowej. Padali pod gradem kul, lecz nic nie było w stanie powstrzymać ich szaleńczego ataku.

- Niech mnie szlag trafi! Już wiem, dlaczego dostaliśmy w dupę w '93 - wybąkał Estevez.

Jego słowa zagłuszył świst kul i jazgot karabinów maszynowych i Billy nie mógł ich usłyszeć. Amerykanin wpatrywał się w wydawałoby się samobójczą szarżę Somalijszczyków. Przerażenie budziła ich bezgraniczna pogarda dla śmierci. Z drugiej strony, właściwie nie mieli nic do stracenia - jedynie nędzne życie w biedzie i głodzie, a z zawieruchy wojennej zawsze można było wynieść jakieś łupy, które wymienione na pożywienie, zapewniłyby

rodzinom przetrwanie przynajmniej przez pewien czas.

Twierdza, w której Gedir przetrzymywał zakładników i gdzie schronił się on sam, wkrótce padła, bo paść musiała. Black Hawk wylądował na dziedzińcu kompleksu otoczonego wysokim, kamiennym murem wśród żołnierzy Atto biegających we wszystkie strony, dobijających rannych i szukających przedmiotów mogących przedstawiać jakąkolwiek wartość handlową.

- Idź, poszukaj Mitforda i chłopaków - rzucił Billy do Esteveza. - Musimy się stąd szybko zwinąć. Ja zajmę się zakładnikami.

- Dobra.

Meksykanin pobiegł do południowej części muru, gdzie spodziewał się znaleźć towarzyszy.

Dowódca czarnych sprzymierzeńców wskazał Billemu budynek, gdzie już pod strażą jego ludzi znajdowali się uwolnieni biali więźniowie Gedira. Indianin ruszył biegiem po rodzinę Adama. Nie zamierzał pozwolić, by pozostawali tu choćby minutę dłużej, niż to było absolutnie konieczne. Przy wejściu do ciasnego korytarza minął się z samym Gedirem, prowadzonym przez dwóch uzbrojonych ludzi. Watażka dał się wziąć żywcem i teraz czekał go straszny los. Wkrótce umrze w niewyobrażalnych męczarniach, co do tego nie było najmniejszych wątpliwości. Billy przebiegł korytarz i wpadł do niewielkiego pomieszczenia. Trzech strażników pilnujących, żeby właśnie uwolnionym białym w czasie zamieszania nic złego się nie stało, usunęło mu się natychmiast z drogi. Cała trójka zakładników siedziała w kącie na wyłożonej słomą podłodze. Matka tuliła córkę, mężczyzna oddychał ciężko. Byli śmiertelnie przerażeni. Nie do końca wiedzieli, co się dzieje. Nikt im niczego jeszcze nie powiedział. Billy podszedł do nich i przykucnął.

- Przysłała mnie Paweł Białas - powiedział po angielsku. - Jesteście wolni. Mam was stąd zabrać. Na dziedzińcu czeka śmigłowiec. Musimy się śpieszyć. Możecie iść?

- Dziewczyna jest bardzo osłabiona. Chyba trzeba ją nieść - odpowiedział przytomnie Romek.

Bodaj jako jedyny z nich zdołał w zawierusze zachować trzeźwość umysłu.

- Kim pan jest? Co z nami teraz będzie? - spytała zbolalym głosem Alicja Białas.

Wciąż nie docierało do niej, że ich koszmar wreszcie dobiegł końca.

- Wracacie do Polski. Pani mąż już na was czeka - odpowiedział Billy, unosząc razem z Romanem półprzytomną Edytę.

- Dziękuję panu z całego serca.

- Podziękujecie pani komuś innemu. Ja tylko wykonuję swoje zadanie.

Kilka metrów od śmigłowca czekał Estevez. Pomógł kobietom przy wsiadaniu.

- Gdzie Mitford i reszta?! - Billy próbował przekrzyczeć hałas wirnika maszyny.

- Wywalili do nich, kurwa, z granatnika. Nie było co zbierać.

- Wynosimy się stąd!

Obydwaj sprawnie wskoczyli do środka. Śmigłowiec z ocalonymi zakładnikami wzbił się w powietrze, pozostawiając w dole piekło wojny.

\*

Hotel „Holiday Inn Nairobi” przyjął w swoich apartamentach trójkę nowych gości. Alicja Białas z córką zakwaterowane zostały w pokoju obok apartamentu Adama, służącego jako punkt zborny przed i po akcji. Billy i uwolniony Roman Maliński dopilnowali, żeby kobiety nie musiały się kłopotać żadnymi formalnościami. Matka trzymała się dzielnie, ale Edyta była w ciężkim stanie, przede wszystkim psychicznym.

- I jak, doktorze? - spytał Billy lekarza wychodzącego z pokoju kobiet.

Czarnoskóry doktor medycyny Ebe Mwanda z „Kenyatta National Hospital” w Nairobi popatrzył ponuro najpierw na Billego, potem na stojącego obok niego Romana Malińskiego. Był niski, o głowę niższy niż ci przybysze, którzy wezwali go do tych nietypowych pacjentów.

- One przeszły prawdziwe piekło - odpowiedział poważnie. - Matka jest silna, da sobie radę, ale córka będzie wymagała długiej terapii psychologicznej, jak już wrócić do kraju. Teraz śpi i nie należy jej budzić. Nie proponuję hospitalizacji, bo u was w Europie warunki są na pewno lepsze. Im szybciej się tam znajdzie, tym lepiej. A tak w ogóle, to jakim cudem wam się udało ich stamtąd wyciągnąć? - Ich wyczyn nie mieścił się lekarzowi w głowie.

- Lata praktyki, doktorze. Lata praktyki - odpowiedział Billy bez emocji.

- Pan tam też był? - bardziej stwierdził, niż spytał Romka.

- Cały czas. Nic nie mogłem zrobić.

- Dziwię się, że pana nie utłukli. Musiał pan być dla nich cenny finansowo. Jak pan się czuje? Podać coś na uspokojenie? Przeciwbólowo?

- Nic mi nie jest, doktorze. Najważniejsze jest teraz ich zdrowie. Szczególnie dziewczyny - Polak wskazał ruchem głowy drzwi pokoju, za którymi przebywały matka z córką.

- Będzie teraz potrzebowała, jak powiedziałem, stałej opieki lekarskiej, dużo uwagi i ciepła rodzinnego.

- Tego jej na pewno nie zabraknie. Dla rodziców zawsze była oczkiem w głowie. Tym bardziej teraz - stwierdził Roman.



- No to z czasem wyjdzie z tego.

- Dziękujemy, doktorze - powiedział na odchodnym Billy i wręczył lekarzowi plik dwudziestodolarowych banknotów.

- Cieszę się, że mogłem pomóc.

Uścisnęli sobie dłonie i lekarz zniknął za załomem hotelowego korytarza.

- Co z Adamem? Coś możemy zrobić? - spytał Romek.

- Nic. Zupełnie nic. Czekamy. Od momentu jak urwał się z nimi kontakt nad Mediną, muszą sobie radzić sami. Czekamy - odpowiedział chłodno.

- Myślisz, że żyją?

Billy zmroził go swoim indiańskim spojrzeniem. Pytania tego Polaka, przyjaciela Adama z lat dzieciństwa i młodości, zaczynały go denerwować.

- Idź do pokoju, odpocznij. Jutro wylatujecie do Polski. Rozmawiałem z Białasem, odbierze was w Warszawie - powiedział Billy, starając się nie okazywać zniecierpliwienia. W końcu ten człowiek wiele ostatnio doświadczył.

- Zostanę. Może się przydam, dopóki nie dowiemy się czegoś o Adamie.

- Nie denerwuj mnie - powiedział Indianin zimno.

- Trzeba się zająć kobietami, bo same sobie nie poradzą. Tutaj byś mi tylko przeszkadzał. Jutro rano odstawiam was na lotnisko. Masz być gotowy.

- Dobra, ty tu jesteś szefem.

Billy zastał Esteveza nad szklanką whisky. Na stoliku obok stała do połowy jeszcze pełna butelka. W popielniczce tliło się niedopalone, kubańskie cygaro, których Meksykanin był wielkim koneserem. Nieduży ich zapas zawsze starał się mieć przy sobie, niezależnie od tego gdzie w danym momencie rzucił go los.

- Sprawdziłem stan swojego konta w banku - powiedział jakby mimochodem do wchodzącego Billego.

- Co?

- Jeszcze przed akcją wpłynęło pięćdziesiąt tysięcy dolarów - podniósł szklankę do ust i pociągnął łyk alkoholu. - Jakby coś przeczuwał, że może nie wrócić i chciał wszystkie sprawy mieć w porządku.

- Przestań pierdolić, Esteves - Billy Dogan był poirytowany. - Gawlik to twardy skurwysyn. Da sobie radę.

Meksykanin łypnął swoim posepnym wzrokiem na towarzysza broni. Sięgnął po cygaro i zaciągnął się głęboko. Pomieszczenie wypełniło się przyjemnym zapachem dymu.

- Obaj doskonale wiemy, Billy, że z Mogadiszu wychodzi się szybko albo nie

wychodzi się wcale. Wiedziały chłopaki i wiedział Mitford. Popierdolony był gościu, ale lubiłem gnoja. Wiedziałeś, że składał kasę, bo chciał otworzyć knajpę w Londynie?

- Wszyscy wiedzieliśmy, w co się ładujemy.

- Fakt, masz rację. A w knajpie Johna Mitforda w Londynie whisky się już nie napijemy.

- Kiedy wracasz do Stanów?

- Mam bilet na dzisiaj wieczorem. A ty?

- Zostanę tu jeszcze parę dni. Może się czegoś dowiem.

- Idę się zbierać. Zostawiam ci butelczynę. Trzymaj się, stary!

Meksykanin klepnął go przyjaźnie w ramię i wyszedł, cicho zamykając za sobą drzwi. Billy Dogan został w apartamencie sam. Jeszcze nie dzwonił do Jill. Miał nadzieję, że zrobią to razem z Adamem. Wiedział, że chciałaby z nim porozmawiać. Podszedł do telefonu. Wystukał na klawiaturze dobrze sobie znany numer.

- Cześć, skarbie. To ja, twój gamoniowaty mąż - powiedział do słuchawki, słysząc jej głos.

- No, wreszcie. I co, już po wszystkim? Udało się?

- Pewnie, że się udało. A co ty myślisz? Masz do czynienia z profesjonalistami.

- Dobra, dobra! Gdyby nie Adam, to byś, profesjonalisto, dawno ziemię gryzł.

- Jak mała?

- Właśnie ją musiałam wycierać, bo Pamy ją znowu wylizała po twarzy. Skaranie boskie z tym psem! A jak Adam? Cieszy się pewnie jak dziecko. Możesz mi go dać na chwilę?

- Jasne, że się cieszy - skłamał Billy. Nie chciał jej nic mówić przez telefon. - Gdzieś tu się zapodział. Powiem mu, że go pozdrawiasz.

- Powiedz, powiedz. I niech nie zapomina o starych przyjaciółkach. A ty, stara łamago, kiedy wracasz? - spytała Jill pieszczotliwie.

- Zostanę tu jeszcze parę dni, może tydzień. Mamy z Adamem parę spraw do zamknięcia. Stęskniłem się strasznie za wami, baby... Jeszcze trochę, a wsiadam w samolot i przyjeżdżam was uściskać.

- No to się śpiesz. I pozdrów Adama. Buźka!

- Pa, słońce.

Billy odłożył słuchawkę, spojrzał na butelkę whisky, którą zostawił Meksykanin i uniósł ją do ust. Pociągnął parę solidnych łyków. Włączył telewizor i ustawił CNN. Ciekaw był, czy podadzą już jakieś wiadomości z walk w Mogadiszu.

Każdy kolejny dzień pozbawiał Dogana resztek i tak złudnych nadziei. Drugiego sierpnia CNN podała za radiem somalijskim informację, że Mohamed Farrah Aidid nie żyje. Oficjalna wersja głosiła, że zmarł na atak serca podczas pełnienia obowiązków państwowych. Już wcześniej Billy zdobył niesprawdzone wiadomości o postrzeleniu Aidida w pierś, brzuch i nogę, gdy ten osobiście próbował poprowadzić atak na enklawę Medina, zajęta przez Atto. Jak się okazało, źródło było dobrze poinformowane.

- Więc jednak go dopadłeś, draniu - powiedział do siebie.

Wstał sprzed telewizora i podniósł słuchawkę telefonu.

- Kiedy jest najbliższy lot do Nowego Yorku? - spytał recepcjonistkę. - Doskonale. Proszę mi zrobić rezerwację. William Dogan.

Nie miał zbyt wiele rzeczy do spakowania, a prezenty dla Jill i małej postanowił kupić już na lotnisku.

## Rozdział 25

Dwutygodniowy urlop w domku letniskowym Białasów na Mazurach, zaserwowany kobietom zgodnie z zaleceniem lekarzy, zaczął powoli doprowadzać psychikę Edyty do równowagi. Atmosfera dzikiej, nieskażonej cywilizacją natury, żagle i kochająca rodzina zrobiły swoje. Dziewczyna znowu się uśmiechała. Wciąż dręczyły ją senne koszmary, lecz i ten problem miał z czasem ustąpić, jeśli wierzyć profesorom z kliniki Akademii Medycznej we Wrocławiu. Białasowie nie szczędzili pieniędzy. Zaangażowali do terapii córki najlepszych specjalistów i już krótki pobyt w szpitalu po powrocie dał im i lekarzom jasny sygnał, że dziewczyna najbardziej teraz potrzebuje rodzinnej miłości, której zresztą i tak nigdy jej nie brakowało.

Paweł zjechał z autostrady na Wrocław. Edyta spała na tylnym siedzeniu.

- No, tośmy dojechali. Zaraz będziemy w domu. Potrzebuję porządnej kąpieli - odezwał się do żony siedzącej na fotelu pasażera.

- O, ja też. Cieszę się, że kupiliśmy ten domek na Mazurach. To świetne miejsce. Każdego by postawiło na nogi - odpowiedziała, wpatrując się w przestrzeń przed samochodem.

Paweł zerknął na nią.

- Ciągle o nim myślisz?

Spojrzała na męża.

- Ten człowiek wyciągnął nas z piekła, z którego się nie wraca. Uratował nam życie, płacąc swoim za nasze. Nie mówiąc już o tych innych żołnierzach, co zginęli. Ja nawet nie wiem, jak wyglądał. Jakiego koloru miał oczy, jak się uśmiechał. Wiesz, nie mówiłam ci, ale dałam za niego na mszę. Bóg powinien przebaczać takim ludziom.

- Pojutrze przyjeżdża Grażyna. Szkoda, że nie chciała z nami jechać na Mazury - próbował zmienić przygnębiający temat.

- Nie dziw się - powiedziała Alicja. - Jeszcze kilka tygodni temu odnalazła ukochanego krewnego, a teraz znowu jest sama. Musiała to strasznie przeżyć.

- Stworzymy jej rodzinę, jakiej nigdy nie miała. Powinniśmy byli je obie wtedy adoptować.

- Jaki on był? - spytała cicho.

- Adam?

- Tak, jaki był ten Adam Gawlik.

- Bardzo dziwny człowiek. Z jednej strony budzący grozę, a z drugiej coś w nim było takiego... Nie wiem jak ci to wytłumaczyć, ale był w pewnym sensie ujmujący tym swoim spokojem. Lubił żartować. Niesamowite! Ten człowiek, który widział najgorszą stronę wojny, potrafił się wygłupiać jak chłopczyk. Kupę śmiechu mieliśmy, zanim wylecieli do Kenii. Czasem przerażał, jak wtedy, co ci mówiłem, że tych dwóch łysych bandziorów przyszło z kijami bejsbolowymi, żeby nas obrabować. To co on z nimi zrobił... Wprost niewiarygodne. Dla jego kumpli to była normalka. Nic nadzwyczajnego, a ja wytrzeszczałem oczy...

Skręcili z Karkonoskiej w ulicę Zwycięską, która dalej przechodziła w Strachowskiego. Paweł prowadził w milczeniu. Alicja zatopiona w myślach spoglądała we wsteczne lusterko na śpiącą jak księżniczka córkę. Spokojny sen zdarzał się jej coraz częściej, czym sprawiała kobiecie ogromną radość. Takim wydawałoby się drobiazgiem koła zbolale, matczyne serce.

Minęli dobrze znany przystanek autobusowy z jak zwykle o tej porze niewielką liczbą oczekujących pasażerów. Jakiś mężczyzna przechadzał się tam i z powrotem z założonymi na plecach rękami, dwie kobiety przy wózku z małym dzieckiem dyskutowały gorąco na sobie tylko wiadomy temat. Najprawdopodobniej o niemowlęcych kupkach i kolkach, bo o czymże innym. Byli wreszcie w domu.

Jak grom z jasnego nieba spadł na Alicję krzyk Pawła.

- A to skurwysyn! - wyrzucił z siebie nagle i gwałtownie wcisnął pedał hamulca. Samochód z piskiem opon zatrzymał się przy krawężniku.

- Jezus, Maria! Co się stało?! - wykrzyknęła przerażona Alicja.

Wybudzona nagłym szarpnięciem Edyta rozglądała się nieprzytomnie, a tymczasem Paweł wyskoczył z auta jak oparzony i popędził w kierunku przystanku autobusowego. Białasowa wysiadła zaraz za nim.

- Paweł! - krzyknęła, starając się nie wpadać w panikę.

Mąż nie słuchał. Podbiegł do mężczyzny czekającego na autobus, złapał go za kłapy marynarki i przyciągnął go agresywnie do siebie. Po chwili puścił człowieka, który nawet nie podniósł rąk, by się jakoś bronić przed tym szalonym atakiem. Następnie Paweł Białas chwycił go w objęcia i uściskał jak najdroższego krewnego.

- Ty cholerny draniu! Czemuś nawet nie zadzwonił?! - usłyszała słowa męża oniemiała ze zdumienia Alicja.

- Wiesz, Paweł, nie mówiłem ci, ale ja zawsze bardzo lubiłem efektowne wejścia -

odpowiedział z łobuzerskim uśmiechem Gawlik.

Alicja Białas zakryła dłonią usta. Dotarło do niej jasno, kim jest człowiek na przystanku. Przytuliła mocno Edytę, która wysiadła i stanęła obok matki, ale wciąż nie zdawała sobie sprawy, co tu się właśnie wydarzyło. Mężczyźni podeszli do nich.

- To jest... To właśnie jest... - zaczął Paweł, wskazując na Gawlika.

Popatrzył jeszcze raz na Adama i nie powiedział nic więcej. Westchnął ciężko i machnął ręką, zrezygnowany.

- Dzień dobry, pani Białas - obcy skłonił się z galanterią.

Spojrzał na wtuloną w matkę Edytę. Przez chwilę milczał, a oczy zaszkliły mu się nieco.

- Witaj, Edytko. Cieszę się, że znowu cię widzę. Mam nadzieję, że przyjmiesz nieobecnego przez wszystkie te lata, ale zawsze ci życzliwego wujka - powiedział Adam z autentyczną obawą w głosie.

Edyta podeszła do niego powoli, objęła za szyję i pocałowała w policzek.

- Dziękuję, wujku.

Adam ujął jej głowę swoją masywną dłonią i przygarnął do ramienia. Podniósł wzrok na Białasów i puścił do nich wilgotne ze wzruszenia oko.

- No, to teraz możecie mnie nakarmić, napoić i przenocować - powiedział z głupia frant, przywracając dawno nie goszczący, radosny uśmiech na ich twarzach.

Alicja w tym momencie wiedziała, że z całą pewnością polubi tego niezwykle człowieka.

\*

Gospodynie domu sprawiły się znakomicie. Wujek Edyty ugoszczony został iście królewską kolacją.

- No, opowiadaj! Co się z tobą, działo?! - dopytywał się Paweł. - Billy dzwonił i powiedział, że prawdopodobnie ty i Misza zginęliście.

- Mało brakowało. Zestrzelili śmigłowiec, mój kumpel z Delty zginął. Miszka i ja byliśmy na ziemi, a gdy on odstrzelił Aidida, jego ludzie się wściekli. Wyciągnął nas Osman Hassan Ali, ale dopiero wtedy, jak już było wiadomo, że Aidid nie przeżyje.

- To Miszka też się uratował? - Białas ucieszył się z dobrych wiadomości.

- Jasne. Zaraz pojechał do Billego odebrać mu swoją bałałajkę.

- A myśmy pana już pogrzebali. Ja to nawet na mszę za pana duszę dałam...

- Ktoś mądry powiedział kiedyś, że pośpiech wskazany jest wyłącznie przy łapaniu pcheł. Ale msza przecież nie zaszkodzi - powiedział Adam z uśmiechem à la wojak Szwejk. -

Poza tym darujmy sobie to „pan, pani”. Mów mi Adam - powiedział i wzniosł lampkę z winem na znak, że Alicja powinna teraz się z nim stuknąć, by przypieczętować zgodą jego propozycję.

Białasowa szczerze cieszyła się, że Edyta ma tak niezwykle ujmującego krewnego.

## Rozdział 26

Niedzielny poranek w mieszkaniu Adama przy ulicy Powstańców Śląskich zapowiadał się wspaniale. Jak na październik pogoda była przepyszna. Słońce i ciepło, wymarzone warunki na spacer w pobliskim Parku Południowym. Zwyczajowy zimny prysznic obudził w nim pełnię życia.

Solidne stukanie do drzwi przerwało mu ceremoniał smakowania niedzielnej kawy przed telewizorem, w którym właśnie leciały wiadomości.

- Cześć - Grażyna wpadła do mieszkania jak tajfun. Spojrzała na Adama z dezaprobatą. - No co ty, wujek, jeszcze w gaciach? Przecież jedziemy z Białasami do kościoła. Niedziela jest!

- A jedźcie sobie na zdrowie. Daję wam pełne błogosławieństwo - powiedział i wykonał znak krzyża na potwierdzenie swoich słów.

- Ty byś się lepiej przestał wygłupiać. Też jedziesz. Nie można żyć jak zwierzę bez Boga - rzuciła stanowczo.

- Grażyna, daj spokój. Jak wejdę z wami do kościoła, to w niego piorun strzeli jak nic - próbował odwieść dziewczynę od szaleńczego, jego zdaniem, pomysłu.

- Dobra, dobra, ty lepiej nie ściemniaj. Ten kościół ma piorunochron. Zbieraj się, nie będziemy na ciebie czekać do wieczora.

- Grażyna, uspokój się. Jeszcze mnie tylko w kościele nie było. Coś się przyczepiła?

- Ty, wujek, mnie nie denerwuj, bo jak ci odwinę, to ci to szkolenie komandosów nie pomoże. Rusz tyłek, czekamy na dole - zakomenderowała i odwróciła się do wyjścia.

- Miałaś nie mówić do mnie „wujek” - stwierdził ponuro.

- Aj, coś ostatnio zrządzisz. Chyba się starzejesz. Dobra, nie będę. Wskakuj w ten swój szpanerski gajerek cośmy w Zielonej kupili i zaraz cię widzę na dole. No, już, już. Biegusiem!

Zamknęła za sobą drzwi, a Adam podniósł się z kwaśną miną. Szlag by to trafił! Jeszcze parę minut temu życie wydawało się takie piękne. Cholera ich nadała z tym kościołem. Z drugiej strony, serce mu rosło widząc, że bratanica nie daje sobie w kaszę dmuchać, a i zdawał sobie sprawę, że po prostu się o niego troszczy. Dobra dziewczyna... Edyta była inna. Delikatna, wybitnie inteligentna studentka medycyny, lecz trochę bojaźliwa.



Przepadała za Grażyną, choć były istotami z dwóch diametralnie różnych światów.

Kilkanaście minut później wsiadł z grobową miną do chryslera Białasów, na co Paweł wybuchnął gromkim śmiechem i klepnął go przyjacielsko po ramieniu.

- Mnie też tak załatwiła. Tyle, że miała wsparcie moich szanownych bab domowych. Nie łam się, stary, na Kruczej są podobno krótkie msze - pocieszył go towarzysz niedoli.

Adam odwrócił się w stronę tylnych siedzeń i popatrzył przez chwilę na sprawczyńnię jego i Pawła zrujnowanego poranka.

- Potem z Pawłem idziemy na piwo, i bez gadania - powiedział stanowczo.

- A idźcie sobie w diabły - odpowiedziała Alicja Białas, ponad czterdziestoletnia, wciąż niezwykle piękna i zadbana kobieta. Ostatnie przeżycia wydawały się nie pozostawić na niej śladu. Była silna i chyba tylko dzięki niej Edyta zdołała przeżyć piekło, w jakim się znalazły w Mogadiszu. Specjalistyczna pomoc najlepszych psychologów również zrobiła swoje. - My z Grażyną i Edytą też sobie gdzieś pójdziemy i bierzemy samochód, żeby nie było wątpliwości. Wy sobie na pewno jakoś poradzicie.

Mężczyźni wymienili porozumiewawcze spojrzenia. Pasuje - czasami samochód to tylko kłopot.

Kościół przy ulicy Kruczej robił bardzo przyjemne wrażenie. Umiejscowiony pośród potężnych, rozłożystych drzew niczym w miniparku zachęcał wiernych do wizyt nie tylko podczas niedzielnych mszy świętych. Właściwie zawsze pełen był modlących się i medytujących ludzi. Od dawna prowadzili go Franciszkanie, a ci potrafili, sądząc po wypowiedziach Grażyny, stworzyć tam niespotykaną w innych kościołach atmosferę.

Dojechali dziesięć minut przed czasem, a już większość ławek w świątyni była zajęta. To o czymś świadczyło. Udało im się znaleźć miejsca w trzecim rzędzie od ołtarza. Cała piątka usadowiła się wygodnie w oczekiwaniu na rozpoczęcie mszy. Adam rozglądał się na wszystkie strony, czym niepotrzebnie zwracał uwagę innych, siedzących w pobliżu, parafian. Jego ostatnia wizyta w Domu Bożym miała miejsce wiele lat temu, a ten mu się autentycznie podobał. Grażyna pochyliła się w jego stronę.

- Rozglądasz się jak pięciolatek w cyrku. Nie wypada - szepnęła.

Adam się zreflektował i dostrzegł pełne dezaprobaty spojrzenia kilku dewotek siedzących w pobliżu. Natychmiast usiadł prosto jak uczeń, którego napomniano, żeby się nie garbił i przybrał nabożną minę, wywołując mimowolne rozbawienie na twarzy Edyty.

Msza rozpoczęła się punktualnie o dziesiątej. Zakonnicy, którzy pojawili się przy ołtarzu mieli na sobie czarne habity przepasane jasnym sznurem. Czegoś takiego Adam w kościele jeszcze nie widział. Nabożeństwo prowadzone było według przyjętych powszechnie

kanonów, lecz drobne, zdawałyby się niezauważalne modyfikacje i lekki ton homilii sprawiały, że ludzie słuchali z autentycznym zainteresowaniem.

- O kazanie w dniu dzisiejszym poproszę ojca Jana. - powiedział prowadzący mszę i odwrócił się w stronę jednego z zakonników stojących za ołtarzem. - Ojciec Jan przyjechał do nas z misji w Afryce.

Misjonarz podszedł do mikrofonu.

- Niech mnie diabli - powiedział półgłosem wpatrzony w zakonnika Adam, lecz zrobił to wystarczająco głośno, by wzbudzić powszechne zgorszenie wokół.

Natychmiast zdał sobie sprawę z popełnionego faux pas i zatkał sobie dłonią usta. Spojrzał przepaszająco na Grażynę, która zabawnie zmarszczyła brwi niczym matka próbująca wzrokiem przywołać do porządku niesforne dziecko. Adam tylko podrapał się z zakłopotaniem po czubku głowy. Edyta tymczasem z trudem powstrzymywała się od śmiechu.

- Ukochani w Panu! Jak szedłem dzisiaj do kościoła przed samą mszą - rozpoczął zakonnik - to widziałem zaparkowany przed głównym wejściem piękny samochód. Czarny chrysler. Cudo.

Na twarzy Pawła jako właściciela rzeczonoego „cuda” odmalowało się zadowolenie i duma, co próbował skromnie ukryć, lecz z raczej marnym skutkiem.

- Człowiek, który jest właścicielem tego samochodu - ciągnął zakonnik - musi czuć się szczęśliwy. Bardzo szczęśliwy. Widzi pełne podziwu i zazdrości spojrzenia innych, gdy wsiada do swojego pięknego auta. Taka maszyna z pewnością fantastycznie się prowadzi. Na pewno ma wszystkie gadzety. Klimat, elektryka, radio i w ogóle wszystko co trzeba. Fajnie mieć taki wóz. Sam bym chciał. Wy byście nie chcieli? - zwrócił się z retorycznym pytaniem do zgromadzonych. - Bo ja tak. Taka maszyna! A i pewnie dom ma nie z tej ziemi! Taki że dech zapiera! - wykrzyknął z zachwytem, wyobrażając sobie rezydencję bohatera swojego kazania. - Ale zaraz potem przyszła mi do głowy inna myśl. Wicie, a może ten człowiek wcale tak się nie cieszy tym samochodem czy willą. Ja to bym skakał z radości, a on niekoniecznie, bo w jego kręgach to jest po prostu normalne. Nic nadzwyczajnego. A może on chciałby mieć jacht za Bóg jeden wie ile milionów dolarów. A może ten jacht już ma! Bo w jego kręgach to jest normalne.

Miałem swego czasu okazję przebywać, bardzo krótko, u Buszmenów. Bardzo prymitywne plemię afrykańskie. Dałem jednemu w prezencie fajny, wojskowy nóż, który zostawił mi jeden żołnierz, jak któregoś dnia odwiedził naszą wioskę. Takiej radości z tego głupiego noża ja jeszcze u człowieka w życiu nie widziałem. Wyobraźcie sobie, cała wioska

mu zazdrościła. Czuł się jakby złapał pana Boga za nogi. A dlaczego? A dlatego, że nie wie o takim pięknym chryslerze pod kościołem, o jachtach za miliony dolarów, o zachwycających willach i dlatego ten śmieszny nóż był dla niego i dla nich wszystkich obiektem takiego pożądanego. Skakalibyście z radości dostając taki nóż? Ja nie. Nóż jak nóż. No może trochę lepszy. I tak sobie pomyślałem, że my to właściwie jesteśmy takimi Buszmenami. Dla wielu z nas ten samochód jest szczytem marzeń. A ja wam powiem, że to jest tylko zwykły, wojskowy nóż. Nic więcej. Bo my jesteśmy jak ci Buszmeni. Prawdziwe chryslery, jachty i wille przygotował dla na pan Bóg w niebie. Chce nam je dać. Za darmo! Czeka tylko, byśmy go zaprosili do serca... - ojciec Jan zawiesił głos na chwilę i utkwiał wzrok w jednym z wiernych z trzeciego rzędu. Jego twarz nagle pojaśniała. Pojawił się uśmiech od ucha do ucha, wyrażający niezwykłą radość, której obecni w kościele zupełnie nie rozumieli lub składali ją na karb nabożnej euforii. Mistrz i Adam wymienili spojrzenia. Żołnierz wzruszył ramionami. Jego niewinna mina zdawała się mówić: „No co ci mam powiedzieć? Czasem i tak się zdarza”. - ...Mówi Bóg: Proszę - powoli wypowiadając słowa, Mistrz wrócił do swojego wywodu - weźcie te skarby. Cieszcie się nimi. Bądźcie szczęśliwi. Dla każdego z was je przygotowałem...

Nie minęło dziesięć minut, a kazanie dobiegło końca. Zakonnik zszedł z podwyższenia i ku zaskoczeniu wiernych ruszył szybkim krokiem do ławki w trzecim rzędzie. Przeciskał się obok kompletnie zaskoczonych siedzących, aż dotarł do miejsca, gdzie siedział Adam Gawlik. Bez słowa rzucił mu się na szyję, nie pozwalając wstać. Uściskał go tak mocno, jak tylko potrafił. Oczy mu się zaszkliły. Cieszył się jak dziecko.

- Koniecznie poczekaj na mnie po mszy - powiedział i ponownie przeciskając się pośród nadal w najwyższym stopniu zdumionych wiernych, wrócił do mikrofonu. - Wyznajmy teraz naszą wiarę - powiedział, a ludzie wstali i zaczęli odmawiać zwyczajową po kazaniu modlitwę.

\*

Nie musieli długo czekać na ojca Jana. Pojawił się rozpromieniony przy wyjściu od zakrystii. Objął uradowanym wzrokiem całą piątkę i podszedł do nich pośpiesznie.

- Mistrzu, czy tam bracie Janie, jak do ciebie w ogóle się teraz mówi? - zaplątał się Adam.

- Mów, jak chcesz.

- To jest moja rodzina.

Zakonnik stanął przed najstarszą bratanicą i popatrzył jej w oczy.

- Ty jesteś Grażyna - bardziej stwierdził niż spytał.

- Witaj.

Uściskał ją serdecznie. Dziewczyna nawet nie próbowała ukryć zdziwienia. Skąd ten franciszkanin ją znał? Następnie przeszedł do młodszej. Procedura powtórzyła się. Dalej przysła kolej na Białasów.

- Bardzo się cieszę, że mogę poznać rodziców Edyty.

Uściskał ich swoim zwyczajem, poczynając od Alicji.

- Ty, Mistrzu, skądżeś ty wiedział, kto jest kto? - spytał Adam zaskoczony.

- Żary to małe miasto, Adaś - odpowiedział z uśmiechem zakonnik. - Chodźcie do mnie, to znaczy do braciszków, którzy mnie przygarnęli. Pogadamy, napijemy się czegoś...

- A może chodźmy wszyscy do nas - zaproponowała spontanicznie Alicja. - U nas na pewno więcej miejsca. Po co mamy się całą piątką zwać księdzu na głowę. To na pewno kłopot dla księdza, a dla nas żaden. Naprawdę!

- Bardzo pani miła i chętnie bym skorzystał z zaproszenia, ale nie. Musicie zobaczyć, jak mieszkam. Zapewniam panią, że z radością was wszystkich u siebie ugoszczę, czym będę mógł.

- Ale proszę księdza, naprawdę... - próbowała nalegać Białasowa.

Adam tylko przyglądał się z rozbawieniem temu przekomarzaniu. Doskonale wiedział, kto tu postawi na swoim. Znał Mistrza od zawsze.

- Przede wszystkim to dajmy sobie spokój z tym księdzem. Jestem Mirek albo jak kto woli to Mistrzu - ksywka z podwórka z czasów, gdy z tym tu oto ananasem - zakonnik wskazał ruchem głowy na Adama - lataliśmy za piłką. No to ustalone. Idziemy do mnie. Bracia udzielili mi schronienia w tym tam domu po drugiej stronie ulicy.

Ojciec Jan zatarł z uciechy ręce jak człowiek, któremu właśnie udało się zrealizować przedsięwzięcie życia i poprowadził gości we wskazanym kierunku. Alicja Białas wraz z całą grupką posłusznie podreptała za zakonnikiem.

Wbrew panującej powszechnie opinii o księżach mieszkali skromnie. Mistrzu wprowadził ich do sporego pokoju z bardzo prostymi, pamiętającymi dawne dobre czasy meblami. Pod każdą ze ścian ustawiony był niewielki tapczan. Na środku pomieszczenia stał spory stół z czterema krzesłami. Zajmował większość przestrzeni, co wykluczało możliwość swobodnego poruszania się, ale za to wszyscy goście mogli znaleźć przy nim miejsce.

- Mieszkamy we trójkę. Bracia są dzisiaj na wyjeździe, więc mam chatę wolną - powiedział wesoło. - Poczekajcie, zaraz skombinuję jeszcze krzesła i jakąś herbatkę.

Zakonnik zniknął za drzwiami, by pojawić się moment później z dwoma drewnianymi krzesłami.

- Herbatka się robi. A może ktoś chce kawy? Też mamy - spytał ojciec Jan, jakby właśnie sobie przypomniał, że gości można uraczyć również tym napojem.

- Ja chcę! - zgłosił się ochoczo Adam. - Ta występna kobieta - tu wskazał potępiająco na Grażynę - niemal przemocą, która przecież w żaden sposób nie przystoi katolikom, wyciągnęła mnie na mszę zanim zdążyłem się napić kawy, jak to normalni ludzie w niedzielę rano czynią.

W odpowiedzi Grażyna spojrzała na krewnego z politowaniem, tak jak się patrzy na nędznego robaka, który właśnie się przyplątał pod nogi.

- I za to jej jestem wdzięczny - stwierdził zakonnik pogodnie.

- No właśnie, w piekle się będziesz wujek smażył, jak będziesz takim bezbożnikiem - podchwyciła Grażyna.

- O! A mój mąż taki sam - włączyła się Alicja. - Wyjście na mszę traktuje jak dopust Boży. I jeszcze twierdzi, że piekła nie ma, bo Bóg jest miłością, to po co ma latać do kościoła. Filozof z Bożej łaski. Niech mu ksiądz powie.

- Mirek, nie ksiądz - poprawił ją grzecznie ojciec Jan.

- O, przepraszam, Mirek. Powiedz mu, czy piekła nie ma.

- Twój mąż, Alu, ma rację. Piekła jako takiego, moim zdaniem, nie ma - powiedział spokojnie zakonnik.

- O! Słuchaj, kobieto, księdza - ucieszył się Paweł i spojrzał porozumiewawczo na swojego towarzysza męskiej niedoli, który o dziwo był nie mniej zaskoczony słowami przyjaciela niż sama Alicja Białas.

- To wszyscy będą zbawieni? - zainteresowała się Edyta.

- No, nie do końca. Ja myślę, że ludzie sobie sami piekło przygotowują również na tamym świecie - mówił dalej Mirek. - Pamiętasz, Alu, jak się z Pawłem poznaliście i w sobie zakochaliście?

- Pewnie, że pamiętam. Szalał na moim punkcie i nie mogłam się od niego opędnąć. Teraz to mu trochę przeszło. Ach, ci mężczyźni - odpowiedziała Białasowa.

- Poczekajcie chwilę, zaraz wracam - powiedział ni stąd, ni zowąd zakonnik i zniknął za drzwiami.

- Podoba mi się ten ksiądz - stwierdził Paweł zadziornie pod nieobecność Mirka.

- Daj spokój, Paweł. Jaki przykład dziecku dajesz? - próbowała go strofować żona.

- Mamo, ja jestem już dorosła - zwróciła jej uwagę z kwaśną miną Edyta.

- Dla mnie zawsze będziesz ukochaną malutką córeczką - odpowiedziała matka i pogładziła ją czule po włosach.

Edyta wzrokiem poszukała wsparcia u wujka, lecz ten tylko bezradnie rozłożył ręce, dając jej do zrozumienia, że on nic tu nie zwojuje.

Drzwi otworzyły się ponownie i ojciec Jan wszedł do pokoju z tacą pełną szklanek herbaty i kawy. Postawił wszystko na środku stołu i gestem zaprosił, by brali, co kto sobie zażyczył.

- Powinno być w filiżankach, ale nie mamy - powiedział usprawiedliwiająco. - No, ale wracając do sprawy. Mówisz, Alu, że szalał za tobą...? A ty za nim?

- Powiedzmy, że troszeczkę... - przyznała z zażenowaniem.

Ojciec Jan zerknął na Pawła. Ten cieszył się od ucha do ucha.

- Jak już teraz pamiętacie, to spróbujcie sobie wyobrazić to uczucie zwielokrotnione powiedzmy tysiąc razy, a może i więcej. Taka jest w dużym przybliżeniu miłość Boża. A teraz wyobraźcie sobie, że taką właśnie ogromną miłością się darzycie i jednocześnie nie możecie być razem. Nie możecie ze sobą zamienić słowa. Nie możecie się zobaczyć. Nieszczęśliwi kochankowie bardzo cierpią. Dusza potępiona po śmierci pragnie Boga po tysiącokroć bardziej, lecz nie może się do niego zbliżyć. Cierpi ogromnie. A najgorszy w tym wszystkim jest brak nadziei.

- No tak, ale dlaczego moja dusza miałaby, aż tak pragnąć zbliżenia się do Stwórcy? - spytał Adam.

- Miłość i łaska Boża jest tak niewyobrażalnie wielka, że nic jej się nie oprze - odpowiedział zakonnik. - Niemożliwe. My tego nie rozumiemy, bo tego nie da się objąć naszym ludzkim umysłem. Można to pojąć jedynie językiem wiary i miłości właśnie. Po prostu.

- Szykuj się Paweł na następną niedzielę na mszę. Przyjdę po ciebie - stwierdził autorytatywnie Gawlik, budząc tym samym powszechną wesołość.

- No, ale opowiadajcie, co tam u was wszystkich. - wrócił na ziemię ojciec Jan. - Albo powiedz mi Paweł najpierw, jak się prowadzi ten chrysler?

- Jak chcesz, to dam ci się przejechać. Sam zobaczysz. Możemy wyskoczyć na autostradę... - zaoferował się Paweł.

- Żartujesz. Dałbyś? - ksiądz nie wierzył we własne szczęście.

- Jasne. Choćby zaraz - powiedział Białas, wstając od stołu.

- Chwileczkę chłopcy! - zaprotestowała Alicja. - Może byście herbatę dopili i trochę z nami porozmawiali!

Gestem dłoni ojciec Jan wstrzymał Pawła. Skłonił się w stronę Białasowej na znak, że w pełni się z nią zgadza.

## Rozdział 27

Liceum Ogólnokształcące nr 9 przy ulicy Piotra Skargi należało do jednych z najlepszych we Wrocławiu. Charakterystyczny budynek z czerwonej cegły był milczącym świadkiem doli i niedoli pokoleń uczniów prowadzonych przez starannie wyselekcjonowaną kadrę nauczycielską. Przestrzenne, gdzieniegdzie ozdobione łukami korytarze tętniły życiem na przerwach, a pustoszały kilka minut po dzwonku na lekcje. W tym właśnie czasie nowy nauczyciel języka polskiego - Ryszard Kamiński - postanowił załatwić z dyrektorem szkoły nietypową sprawę. Wszedł do gabinetu na wcześniej umówione spotkanie punktualnie, wiedząc jak magister Piotr Radomski wyczulony jest na tym punkcie. Dyrektor bez słowa wskazał mu krzesło przed biurkiem naprzeciwko siebie.

- Słucham pana, panie Kamiński - powiedział dyrektor bez zbędnych wstępów.

Powszechnie uchodził za człowieka bardzo konkretnego i tegoż samego wymagał od współpracowników. Bardzo cenił swój czas i nigdy nie pozwalał sobie na jego marnowanie.

- Panie dyrektorze, chciałbym pana prosić o zgodę na pewne wyjątkowe odstępstwo od normalnego planu lekcji - zaczął Rysiek Kamiński.

- To znaczy...?

- Chciałbym przenieść jedną ze swoich lekcji z godzin porannych lub wczesnopopołudniowych na wieczór. Powiedzmy na dziewiętnastą.

- Chce pan zorganizować kółko polonistyczne? Proszę bardzo. Nie widzę problemu. Tylko czemu tak późno?

- Nie, panie dyrektorze. Ja chcę o tej porze odbyć normalną, obowiązkową lekcję. Na kółko polonistyczne przyjdzie mi przy dużym szczęściu kilku zapaleńców, a ja potrzebuję całej klasy, by zaszczerpić im zamiłowanie do literatury.

- Dlaczego akurat o dziewiętnastej? Przyznam, że nie bardzo rozumiem. Dlaczego nie może pan tego robić w czasie normalnych lekcji? - Radomski zaczynał się niecierpliwić.

- Już panu wszystko tłumaczę, dyrektorze.

W ciągu zaledwie dziesięciu minut Rysiek zdołał klarownie przedstawić dyrektorowi swoją koncepcję przeprowadzenia lekcji. Zrobił to na tyle przekonująco i obrazowo, że Radomski, choć zwykle dość ortodoksyjny w swoich poglądach na proces kształcenia, wykazał łaskawe zainteresowanie i wyraził zgodę na wyznaczenie uczniom lekcji języka

polskiego w szkole o godzinie dziewiętnastej. Rysiek nie posiadał się z radości. Wyszedł z gabinetu dyrektora szkoły w skowronkach.

- A coś ty taki rozchachany? - zagadnęła go młoda germanistka Magdalena Bącal.

Ostatnio zupełnie nie ukrywała swojej niedwuznacznej sympatii dla tego szalonego polonisty, zwykle chodzącego z głową w chmurach. Dziwiła się tylko, że on sam, w odróżnieniu od praktycznie całej męskiej społeczności liceum, pozostawał ślepy na jej nieprzeciętne wdzięki. Dla tej wyjątkowo atrakcyjnej, niespełna trzydziestoletniej kobiety stał się tym samym celem podboju - tym ciekawszym, im bardziej się opierał. Ryśkowi nie w głowie były teraz umizgi, bo pracy z młodzieżą oddawał się bez reszty. Była jego jedyną pasją, choć stawianą czasem na równi z koleżanką ze studiów zatrudnioną w liceum nr 14 przy Szczytnickiej, do której niezmiennie wzdychał i której gotów był oddać swoje zwariowane serce. Ta jednak wydawała się być raczej niezainteresowana jego afektem.

- Stary zgodził się, żebym miał lekcję polskiego jutro o dziewiętnastej - powiedział podekscytowany, ściszym głosem.

- O siódmej wieczorem? A po co?

- Chcę im sprzedać trudną literaturę, w sposób, jakiego jeszcze nie widzieli. Jak mi się uda, to będą sami z siebie czytać na przykład Herberta albo choćby tego nudziarza Jamesa Joyce'a.

- Co ty kombinujesz, wariacie?

- Jak chcesz, sama może przyjść. Zobaczysz. Pomożesz mi... - odpowiedział tajemniczo.

- OK, czemu nie. Mam akurat wolny wieczór... - odpowiedziała zachęcająco.

- Fajnie! To na razie.

Ton jej głosu był pełen podtekstów, który każdego mężczyznę przyprawiłby o zawrót głowy. Zanim ukryta treść jej słów dotarła do Romka, ten pędził już korytarzem w stronę wyjścia z budynku. Miał mnóstwo pracy związanej z przygotowaniem lekcji.

\*

Pierwsi uczniowie zaczęli wchodzić do klasy. Nie kryli zaskoczenia tym, co zastali. Panował półmrok. Lampka nocna, którą ich nauczyciel polskiego, Ryszard Kamiński, przyniósł z domu na tę okazję, nie dawała zbyt wiele światła. W rogach, po obu stronach tablicy stały spore kolumny z kablami biegnącymi pod ścianą do katedry, za którą musiał się kryć sprzęt grający, niewidoczny dla osób siedzących w ławkach.

Rysiek kartkował jakieś papiery formatu A4 i wydawał szeptem instrukcje nauczycielce niemieckiego, która ku zdziwieniu wciąż zbierających się uczniów,



najwidoczniej miała brać udział w lekcji. Polonista wydawał się zupełnie nie zauważać rozglądających się ciekawie licealistów. Raz za razem pokazywał coś swojej towarzysze i liczył na palcach, patrząc na nią pytająco. Ta kiwała głową ze zrozumieniem i aprobatą. Wręczył jej kilka kartek i powiódł wzrokiem po klasie. Było kilka minut po siódmej. O dziwo, nie brakowało nikogo. Nie spodziewał się takiej frekwencji. Musiał po raz kolejny przyznać przed samym sobą, że uczniowie liceum są całkowicie nieprzewidywalni. Skinął głową na germanistkę na znak, że już czas zaczynać. Magdalena Bącal odeszła parę kroków pod tablicę i odwróciła się tyłem do pozajmowanych ławek. Wtopiła wzrok w kartki otrzymane przed chwilą od Ryśka.

Nauczyciel zszedł z podwyższenia, na którym ustawiona była katedra. Stał przed uczniami i założył ręce na piersiach.

- Lekcja odbywa się dzisiaj o tej nietypowej porze - zaczął i zrobił pauzę - ponieważ potrzebna mi była specyficzna atmosfera do kwestii... zagadnień, które chciałbym dzisiaj poruszyć i wam przekazać. Usiądźcie wygodnie i słuchajcie. Tylko tyle dzisiaj od was wymagam. Słuchajcie uważnie. Za chwilę zgaśnie światło. Można nawet zamknąć oczy, jak ktoś chce, ale chrapania sobie nie życzę - zażartował na koniec. - Słuchamy.

Pstryknął wyłącznik lampki i siedzących w ławkach uczniów otuliła ciemność. Oczy szybko przyzwyczajały się do mroku, tym bardziej że noc, za nie do końca zasłoniętymi oknami, była tego dnia jasna i przytłumione światło z zewnątrz spenetrowało pomieszczenie. Przez pierwsze chwile panowała zupełna, dzwoniąca w uszach cisza. Moment później z głośników zaczęły sączyć się dźwięki. Wpierw bezkształtne, lecz szybko nabierające intensywności. Uczniowie rozpoznali odgłos bicia ludzkiego serca. W ślad za symbolem życia popłynęła muzyka, niezwykle sugestywna i działająca na zmysły. Mało kto ze zgromadzonych był w stanie się zorientować, że jest to początek z Dark Side of The Moon, grupy Pink Floyd, którego psychodeliczne brzmienie przeszło nagle płynnie w łagodne tony zespołu Alan Parsons Project z niezwykle pobudzającej wyobraźnię płyty Tales of Mystery and Imagination do słów klasyka literatury amerykańskiej - Edgara Allana Poe. W tle muzyki klasa usłyszała ekspresyjny głos wielkiego Orsona Wellesa.

- ...są jednak pewne ulotne myśli, niezwykle delikatne, które myślami rzekłbyś nie są, a których słowami wyrazić nigdy nie umiałem - pośpieszył Rysiek z tłumaczeniem na polski.  
- Myśli te rodzą się w najgłębszych zakamarkach duszy jedynie w momentach absolutnego ukojenia, gdy ciało i umysł jednoczą się doskonale w chwilach, kiedy okowy budzącego się świata płyną w krainę snów, i wtedy te myśli chwytam tam, gdzie wszystko co widzimy lub czym być się wydajemy, jest jedynie snem w kolejnym śnie...

Zaczęła się niezwykła lekcja języka polskiego w Liceum Ogólnokształcącym nr 9. Zanim wybrzmiał kolejny utwór, ponownie Pink Floyd, tym razem A Sourceful of Secrets z albumu Ummagumma, spokojny, ale donośny głos Ryśka sprawił, że niewielki fragment wcześniej przygotowanej poezji popłynął w klasę niesiony dogasającymi dźwiękami muzyki. W utwór Jeana Michaela Jarra, Equinox tym razem Magdalena wplotła zebrane w krótką całość słowa poetów Młodej Polski wydające się idealnym dopełnieniem elektronicznych fantazji francuskiego artysty. Co jakiś czas, jakby niespodziewanie poezja unosiła się nad głowami uczniów podtrzymywana brzmieniem fragmentów suit w wykonaniu zapomnianych przez młodzież, zaginionych w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych gigantów w stylu Eloy, Emerson Lake and Palmer i Rush. Muzyka cichła powoli. Przepisowe czterdzieści pięć minut przemknęło niezauważenie.

- ...więc żegnaj księżę niepowtarzalności - wypowiedziała Magda na koniec słowa poety, zanim odgłosy z kolumn rozpląnęły się wśród ławek szkolnych.

Zapadła głucha cisza, której nikt nie śmiał przerwać. Dopiero światło zapalanej lampki uprzytomniło wszystkim, że zajęcia z języka polskiego dobiegły końca i można wracać do domu.

- Poezję, której fragmenty dzisiaj usłyszeliście będziemy omawiać na zajęciach. Mam nadzieję, że dzisiejsza lekcja choć trochę zmieni wasze nastawienie do poezji w ogóle. Do jutra.

Uczniowie, powoli z ociąganiem opuszczali klasę. Rozmowy zaczynały się dopiero na korytarzu, co było raczej nietypowe, biorąc pod uwagę zwyczaję najczęściej rozkrzyczanej młodzieży.

- Rysiek, jestem pod wrażeniem - powiedziała germanistka z uznaniem.

- Myślisz, że się udało? Dostrzegą w tym jakąś wartość?

- Na następnej lekcji sam się przekonasz, ale bardzo bym się zdziwiła, gdyby pozostali niewzruszeni po tym, co tu dzisiaj im zaserwowałeś.

Polonista był jej wdzięczny za te słowa. Potrzebował jakiegoś wsparcia. Nie zawsze jego dydaktyczne wysiłki przynosiły pożądany efekt. Tym razem miał nadzieję, że będzie inaczej. Pozbierał papiery, zgasił i wziął pod pachę swoją domową lampkę. Oboje wyszli na zalany światłem korytarz, gdzie tuż za drzwiami stał zakonnik w habicie z kapturem.

- Niech mnie szlag trafi! - wykrzyknął na jego widok Rysiek. - Mistrzu! Skądżeś się tu wziął?

Przyjaciele z podwórka uściskali się serdecznie.

- Na spotkaniu z młodzieżą w kościele usłyszałem, że jakiś szurnięty polonista każe

uczniom przyjść na swoją lekcję o siódmej wieczorem. Od razu wiedziałem, kogo tu znajdę - odpowiedział Mirek.

- Magda, poznaj człowieka, który mnie i kilku innych ananasów na podwórku w Żarach wychował. Dzięki niemu w ogóle czytaliśmy książki.

- Bardzo mi miło. - Piękna germanistka podał zakonnikowi rękę, obdarzając go szczerym uśmiechem. - Niech pani mu nie wierzy. Przesadza trochę, ale gdybym wiedział, że w szkole pracuje się w tak anielskim towarzystwie, to w życiu nie dałbym się wrobić w ten habit i poszedłbym młodzież uczyć jak mi Bóg miły - odpowiedział Mistrz, łypiąc szelmowsko na Ryśka.

Nauczycielka niemieckiego lekko się zaczerwieniła, słysząc komplement. Jej kobieca próżność została mile polechtana. Podobał jej się ten nietypowy ksiądz.

- Ja cię, Rychu, szukałem, bo z Adasiem Gawlikiem i Romkiem Malińskim robimy spotkanie podwórkowe i tylko ciebie nam brakowało do kompletu.

- Z Adasiem? To on się odnalazł?!

- Nic nie wiedziałeś?

- Skąd! Bywam w Żarach raz na ruski rok, ale rodzice nic nie mówili. O, kurde! Genialnie! Kiedy i gdzie?

- Chodźmy. Tu już pewnie chcą szkołę zamknąć. Po drodze ci wszystko powiem.

Cała trójka opuściła budynek. Liceum Ogólnokształcące nr 9 zapadło w letarg aż do kolejnego poranka.

\*

Niewielka restauracja na obrzeżach Wrocławia, którą wynalazł dla nich Mistrz, urządzona była w staropolskim, domowym stylu. Wchodzących witała ciepła atmosfera przytulności i swojskiego jedzenia. Niewielki stół już na nich czekał.

- Prowadzi tę restauracyjkę pewna rodzina. Bardzo pobożni ludzie. Poznałem ich kiedyś na rekolekcjach - poinformował rozglądających się ciekawie przyjaciół z podwórka Mirek.

- U nas w Warszawce takich nie ma. Macie szczęście - stwierdził Romek. - Będę was tu częściej odwiedzał. Żarcie naprawdę takie dobre?

- Co ja ci będę mówił, Romuś. Skosztujesz, zobaczysz - odpowiedział zakonnik.

- No to co u was, chłopaki? - spytał Rysiek. - Ja chyba jedyny nic o was nie wiem. Romek, słyszałem w biznesy poszedł, a ty, Adaś?

- A, szwendałem się trochę po świecie. Imiałem się różnych zajęć, ale w końcu wróciłem. Odnalazły mi się bratanice.

- I co tam w tym wielkim świecie robiłeś? - dopytywał się Rysiek.

- Na przykład w Stanach pracowałem parę lat jako cieśla. Dobrze płacą.

Pozostali nic nie mówili. Wiedzieli, że Adam wstydzi się swojej przeszłości przed tym zwyczajnym nauczycielem polskiego, którego jednak bardzo lubił i zawsze darzył dużym szacunkiem.

- O, toś się pewnie nieźle odkuś - stwierdził Rysiek z nutką zazdrości w głosie.

- Udało się odłożyć trochę grosza. A ty co? Słyszałem, że gówniarzy uczysz.

- Nie takich znowu gówniarzy. Nastoletnia młodzież - poprawił go Rysiek. - Są zupełnie inni niż my. Czasem naprawdę trudno ich zrozumieć. Chyba są bardziej dorośli.

Restauracja powoli zapełniła się klientami. Wkrótce zajęte już były wszystkie stoliki. Stanowiło to niezaprzeczalny dowód wysokich walorów smakowych serwowanych tu potraw. Ludzie zawsze znajdą i docenią dobre jedzenie. Reklamą nader często jest sama jakość.

- Witam księdza Jana i jego przyjaciół - skłonił się kelner i jednocześnie właściciel restauracyjki, stając przy ich stole z notesikiem w ręku. - Co podać?

- Cześć, panie Michalczyk. Mówiłem, że nagonię panu klientów i proszę - odpowiedział ojciec Jan wesóło.

- Jeszcześmy nie zajrzeli do karty. To może za chwilę pan podejdzie... - powiedział nie bez racji Romek.

- Nie, nie. Poczekaj Romuś. Zaufaj mi - przystopował go zakonnik. - Panie Michalczyk, cztery obiadki poprosimy. I wszystko jasne.

Puścił oko do restauratora, a ten skinął głową z uśmiechem. Zrozumieli się bez zbędnych słów. Michalczyk skłonił się ponownie i zniknął na zapleczu. Chłopaki patrzyli na Mistrza jak na wariata.

- Ty, Mistrzu, a jak nie będzie mi smakować? - spytał go Adam, wyrażając tym samym opinię pozostałych.

Mirek podniósł palec wskazujący do góry, podobnie jak to kiedyś zwykł był czynić profesor Kwiatkowski, gdy czuł, że uczeń zamierza palnąć właśnie jakąś bzdurę.

- Będzie ci smakować, Adaś. Daję ci na to stuprocentową gwarancję - powiedział z najwyższym przekonaniem zakonnik. Chłopaki odchyliłi się w wygodnych fotelach z raczej powątpiewającymi minami. - Człowieku małej wiary, czemu zwątpiłeś? Powiedział kiedyś Chrystus do... No, pamiętasz do kogo i kiedy?

- A skąd mam wiedzieć? - obruszył się Adam.

Mistrzu westchnął i machnął ręką z rezygnacją.

- Do Piotra, jak ten chodził po wodzie i szła burza, bezbożniku. Muszę powiedzieć

Grażynie, żeby nad tobą popracowała.

- Ty, Mistrzu mnie nie strasz. Żebym ja nad tobą nie popracował - odgryzł się Adam, wzbudzając wesołość pozostałych i samego zakonnika.

Pojawił się kelner ze smakowicie pachnącymi daniami. Postawił przed każdym z nich talerz z jak to Mistrzu określił „obiadkiem”.

- A pana to ja pamiętam z jednostki w Żaganiu - zastrzelił Adama ni stąd, ni zowąd. - Pan pewnie mnie nie pamięta. Byłem jednym z kotów co ich dziadki na korytarzu docierali, jak im pan lanie sprawił. Było na co popatrzeć. Smacznego życzę.

Michalczyk zniknął tak szybko, jak się pojawił, pozostawiając Adama z raczej głupią miną.

- Ej, Adaś. Ty sławny jesteś. Autografy jakieś dajesz? - podśmiewał się Romek.

- A idź w cholerę! Wiosłuj z talerza, bo ci ktoś zeżre.

Sztuka mięsa schabowego z lekko podsmażonymi, całymi pieczarkami w niebiańskim sosie i podpiekane ziemniaczki sprawiły, że mężczyźni jedli, aż im się uszy trzęsły. Adam skończył pierwszy. Rozsiadł się wygodnie na krześle i zerknął na manifestującego samozadowolenie ojca Jana.

- Mistrzu, jesteś wielki - powiedział do zakonnika z najwyższym uznaniem. - Takiego żarcia w życiu nie jadłem.

- No! - odpowiedział Mirek z podniesionym wskazującym palcem, naśladując charakterystyczny gest Nikodema Dyzmy.

Rysiek i Romek właśnie kończyli, gdy w drzwiach restauracji pojawiło się czterech umięśnionych mężczyzn w markowych, ortalionowych dresach z kijami baseballowymi w rękach. Wzrok Adama uchwycił przerażoną twarz Michalczyka, który właśnie wyszedł z zaplecza. Dresiarze od razu ruszyli w stronę właściciela restauracji, po drodze celowo potrącając siedzących gości.

- Dawaj kasę! - krzyknął największy z nich, tak żeby wszyscy goście go słyszeli. - Co ty se, kurwa, wyobrażasz? Będziesz tu traskał szmal i się nie podzielisz? - mówiąc to, chwycił właściciela za poły marynarki. - Dawaj kasę, bo ci tę budę rozpierdolę!

- Ale z czego mam się wam opłacać? Niedawno ruszyłem. Nawet jeszcze długów nie pospłacałem. Jak zacznę wychodzić na swoje, to będę wam coś co miesiąc odpalał. Naprawdę... - bąkał przerażony Michalczyk.

Goście ze stolika najbliższej drzwi przezornie opuścili miejsce wydarzeń.

- No co się tak, kurwa, gapisz?! - wrzasnął jeden z dresiarzy na klienta, który z niepokojem przyglądał się sytuacji. - Wpierdalał albo wynocha! No już!

Mężczyzna pochylił się nad swoim talerzem. Nie odważył się wstać z krzesła, by wyjść. Bandyta stał zbyt blisko. Adam podniósł się.

- Daj spokój, Adaś - położył mu rękę na ramieniu Mistrz. - Na zapleczu już pewnie wezwali policję. To ich sprawa.

- Na zapleczu nikogo nie ma. Słyszałbym. Telefonu też pewnie nie ma - odpowiedział Adam i ruszył powoli w kierunku bandziorów.

- Panowie, ten człowiek to mój przyjaciel. Może wyjaśnimy sobie sporne kwestie na zewnątrz lokalu - rzucił do mężczyzny szarpiącego Michalczyka.

Dresiarz odwrócił głowę. Spojrzał na niego, marszcząc brwi.

- Co? - spytał zdziwiony dresiarz, widać nie do końca rozumiał, co się do niego mówi.

- Pogadajmy tam na podwórku. Chyba że się boicie.

- Ty! Do kogo te gadki?! - bandzior puścił Michalczyka.

- Czekam za drzwiami - powiedział spokojnie Gawlik, odwrócił się i wyszedł z restauracji.

- Zaraz wracamy - powiedział do restauratora oprych i poklepał go po policzku.

Mężczyźni ruszyli w ślad za prowokującym ich klientem. Żaden z gości nie ruszył się od stolika. Nikt nie chciał ryzykować spotkania z drabami poza lokalem. Adam pojawił się z powrotem zaledwie po kilku minutach.

- Proszę się nie obawiać, panie Michalczyk. Przekonałem ich, żeby już więcej pana nie niepokoili - powiedział do roztrzęsionego właściciela restauracyjki i jakby nigdy nie usiadł przy swoim stole.

- Coś ty im zrobił? - spytał podejrzliwie zakonnik.

- Nic. Po prostu przedstawiłem im argumenty, których nie byli w stanie podważyć - odpowiedział Adam z miną niewiniątka.

Mistrz pokręcił głową z dezaprobatą.

- To co, może jakiś deserek? - zaproponował Romek

## Rozdział 28

Majecha nie wierzył własnym oczom, widząc czterech swoich oprychów stojących przed nim z kończynami w gipsie i posiniaczonymi głowami. Chodził tam i z powrotem z założonymi na plecach rękami i od czasu do czasu łypał gniewnie na swoich ludzi, tak haniebnie pobitych, co równało się upokorzeniu jego samego. Nie zamierzał puścić tego płazem. Ktokolwiek by to nie był!

- Jeden fagas wam czterem spuścił łomot?! I jeszcze mieliście bejsbole?! Co wy, kurwa, panienki z dobrego domu jesteście?! - wrzeszczał na poobijanych bandziorów.

- Ale szefie, to był... - próbował coś powiedzieć mężczyzna, który szarpał Michalczyka.

- Zamknij się, kurwa, póki jeszcze się nie wkurwiłem! - Majecha groźnie przystawił mu palec wskazujący do twarzy. - Bolo! - zwrócił się do mężczyzny kilka kroków obok.

Była to góra mięśni w opiętych dżinsach i bluzie typu „Sweatshirt”. Jego kark wydawał się być szerszy od głowy, a wielki tatuaż na szyi potęgował grozę wyglądu.

- Byłeś wicemistrzem świata w tym swoim karate. Co to może być za facet? Słyszałeś o nim?

- Nic nie wiem o gościu, ale dobry jest. Żeby rozwalić czterech... Dobry jest. Ja uprawiam shotokan, on może być z kyokushinkai.

- Nie bełkocz mi tu po japońsku, tylko mów, czy dasz mu radę? - zniecierpliwiał się Rzeszewski.

- Spokojnie, szefie. Jeszcze się taki nie urodził, co bym nie dał rady mu skopać dupy - odpowiedział Bolo z niezachwianą pewnością siebie.

- To chciałem usłyszeć. Przyrowadzisz mi go tu i zajmę się gościem osobiście. Weź swoich i idźcie jeszcze raz do tej knajpy. Dowiedz się, gdzie gnoja szukać i dawajcie mi go tutaj na postronku jak wieprza. A wy, łajzy, wypierdalać! Wstyd mi przynosicie! Później się zastanowię, co z wami zrobić.

\*

W porze obiadowej restauracja Michalczyka jak zwykle tętniła życiem. Bolo z trzema ludźmi wszedł niczym czołg, po drodze przewracając stojące po bokach stoliki i siedzących przy nim gości. Wysoki starszy mężczyzna, mający aparycję kawalerzysty z czasów

Piłsudskiego, nie posiadał się z oburzenia. Zerwał się na równe nogi i stanął oprychowi na drodze, mierząc go wściekłym wzrokiem. Zanim zdołał cokolwiek powiedzieć, Bolo krótkim ciosem wbił mu nos w czaszkę. Mężczyzna padł na podłogę, zakrywając dłońmi twarz. Przez palce sączyły się strużki krwi, powolutku tworząc czerwoną kałużę przy jego głowie. Michalczyk wraz z żoną i czteroletnią córeczką Kasią wybiegli z kuchni. Oboje zamarli z przerażenia, a Kasia, niewiele rozumiejąc z zajścia, przyglądała się wydarzeniom z dziecinnym zainteresowaniem. W jednej chwili Bolo stanął przed właścicielem restauracji, chwycił go za przednią część garderoby i podniósł niczym lalkę na kilkanaście centymetrów do góry. Jego kumple tymczasem zajrzeli bez słowa do kuchni. Nikogo więcej nie było.

- Gdzie jest ten skurwysyn? - zapytał spokojnie, trzymając, przerażonego Michalczyka w powietrzu.

- Nie... nie wiem, o czym p... pan mówi - wybełkotał Michalczyk.

- Wczoraj było tu czterech ludzi po kasę, za to że pozwalamy ci prowadzić tę budę. Jakiś twój koleżka im przyłał. Jak się nazywa i gdzie go znajdzie?

- Ja nic nie wiem. To był klient. Nie znam go - próbował tłumaczyć właściciel restauracyjki.

Bolo postawił go z powrotem na ziemi. Nie spuszczać z niego wzroku, jednym szybkim ruchem porwał Kasię i uniósł ją sobie nad głowę. Dziewczynka zaczęła na całe gardło piszczeć z przerażenia. Michalczyk rzucił się jej na pomoc, lecz miażdżący chwyt Bola na jego szyi pozbawił mężczyznę jakiegokolwiek szans działania. Wrzeszczącą rozpaczliwie matkę Kasi złapał w żelazny uścisk osiłek stojący za nią i swoją wielką mięsistą dłonią zatkał jej usta.

- Jak sobie nie przypomnisz, to nie utrzymam dłużej tego bachora. Chyba wpadnie do tego gara z rozgrzanym olejem - powiedział Bolo beznamiętnie.

- Nazywa się Adam Gawlik - Michalczyk, krzywiąc się z bólu pośpieszył z informacjami. - Naprawdę nie wiem, gdzie go znaleźć, ale wiem, gdzie mieszka jego bratanica. Znamy się z kościoła. Legnicka 120, mieszkania 17. Ona będzie wiedziała.

- No widzisz, jak chcesz, to potrafisz. Odwiedzimy bratanicę. Jak się dowiem, że kłapiesz o nas dziobem, to tu wrócę i wyrwę ci serce.

Bolo pchnął go mocno. Mężczyzna przewrócił się na plecy i tyłem głowy uderzył o podłogę. To samo spotkało jego żonę, a karateka rzucił dzieckiem o wyłożoną boazerią ścianę. Kasia osunęła się bez przytomności. Strużki krwi popłynęły z jej małego ucha i z rozbitej nad prawym łukiem brwiowym głowy. Wychodzącym z restauracji bandytom towarzyszyło przeraźliwe wycie zrozpaczonej kobiety, błagającej ludzi o pomoc. Ale pomocy



nie było.

\*

- Nie mów, Adaś. To wielkie dzieło. Klasyka literatury światowej - stwierdził autorytatywnie Mistrzu.

- Jasne. Wielkie dzieło. Tylko, że nie dla ludzi. Tego się nie da czytać. Kto przeczytał Ulyssesa Joyce'a? Ja doszedłem do połowy i dalej nie dałem rady. Ty to przeczytałeś i nawet pewnie ci się podobało. Ale kto jeszcze? Paru znawców literatury i snobów?

- Nie gadaj. Joyce'a ludzie czytają.

- No dobra. A weźmy książkę Huckelberry Finn Twaina. Wielkie dzieło. Klasyka literatury amerykańskiej, a da się czytać. Powiem więcej, powieść dla każdego normalnego człowieka. Joyce potrafiłby coś takiego napisać? Śmiem wątpić.

- Twórczość Joyce'a to nowatorstwo bez precedensu w historii literatury. Strumień świadomości. Nie można tego porównywać.

- Tak, tak. A pamiętasz, co Mark Twain, jakby nie było ojciec literatury amerykańskiej, powiedział o pisarstwie? Nie przytoczę dosłownie, ale chodziło mu o to, że nie jest sztuką napisać wielkie dzieło dla elit. Prawdziwą sztuką jest napisać wielkie dzieło zarówno dla elit jak i dla mas. No to kto tu jest większym pisarzem, Joyce czy Twain?

Grażyna uwielbiała te ich dyskusje na pseudonaukowe tematy. Angażowali się w nie bez reszty, a świat wokół przestawał dla nich istnieć. Z samej obserwacji poważnych skądinąd mężczyzn ubaw miała setny. Ale przy okazji wiele się mogła dowiedzieć i nauczyć.

Dzwonek do drzwi przerwał ożywioną debatę. Grażyna wstała bez słowa i poszła otworzyć. Mężczyźni usłyszeli niepokojące dźwięki dobiegające z przedpokoju, jakby szamotaninę. Grażyna szła tyłem, mając lufę pistoletu przystawioną do czoła. Za wygolonym na zero osiłkiem, który trzymał dziewczynę na muszce wparowało jeszcze trzech równie napakowanych i równie łysych bandytów. Mistrzu zerwał się na równe nogi jak oparzony. Adam wyciągnął w jego stronę rękę i powoli posadził go z powrotem na fotel.

- Tak jest, nie wtrącaj się księżulku, to może daruję ci życie - skomentował ruch Gawlika osilek z wytatuowaną lewą częścią szyi, który wyglądał na szefa pozostałych. - Idziesz z nami, Gawlik. Pan Rzeszewski chce ci osobiście spuścić wpierdol. Rusz dupę!

Mężczyzna z pistoletem brutalnie pchnął Grażynę. Straciła równowagę i upadła całym ciężarem na sofę. Adam nie drgnął. Błyskawicznie przeanalizował sytuację. Właściwie napastnicy nie mieli większych szans, ale wolał uniknąć awantury, bo dziewczyna mogła mieć później kłopoty z policją. Myślał gorączkowo, jak uchronić bratanicę i przyjaciela przed niestety bardzo realnym zagrożeniem.

- No co jest, Gawlik, mam ci pomóc? - rzucił Bolo zaczepnie.

- Dobra, idę - odpowiedział spokojnie Adam.

W tym momencie Grażyna poderwała się z sofy. Strach malujący się na jej twarzy jeszcze chwilę wcześniej nagle ustąpił miejsca agresji.

- Wynoście się stąd natychmiast, bo wezwę policję!! - wrzasnęła na całe gardło.

Bolo łypnął na nią spode łba zdumiony jej bezczelnością. Nie zamierzał tolerować takiego zachowania w stosunku do swojej osoby.

- Grażyna daj spokój - próbował ratować sytuację Adam. - Zostaw.

- No co się gapiacie?! Wynocha! - nie traciła rezonu dziewczyna.

- Wkurwia mnie ta dupa - powiedział Bolo spokojnie.

Szybkim ruchem wyciągnął pistolet i strzelił jej w głowę. Dziewczyna osunęła się martwa na dywan. Zanim Mistrz zdołał wstać z fotela, kolejna kula przeszła mu pierś. Kiedy chciał wziąć na muszkę człowieka, po którego tu przyszedł, zorientował się nagle, że jego miejsce przy niedużej, drewnianej ławie jest już puste. Zorientował się za późno. Cios wyprostowaną dłonią w lewą część szyi, blokujący tętnicę, natychmiast pozbawiał przytomności. Szczęk łamanych kości i przetrąconych kręgosłupów szyjnych, chrupot gruchotanych krtani i pękających od przerażająco precyzyjnych, a jednocześnie druzgocących uderzeń kości skroniowych, oraz zręcznie wydłubywanych z oczodołów gałek ocznych, symbolizował fakt, że Adam wkroczył na wojenną ścieżkę. Zwierzęca szybkość Gawlika z łatwością wygrała z brutalną siłą drabów. Zaledwie kilkanaście sekund później niezwyknięty Bolo umierał z wyrazem najwyższego zdumienia na twarzy.

Grażyna zginęła na miejscu. Mistrz próbował wydusić z siebie jakieś słowa do klęczącego nad nim Adama.

- Zostaw... zemstę... Bogu - zdołał powiedzieć, z ogromnym trudem łapiąc powietrze. Skonał chwilę potem.

Mężczyzna wstał i wyszedł z mieszkania. Nie zamknął za sobą drzwi.

## Rozdział 29

Podinspektor Marek Pelczar z wydziału zabójstw Komendy Wojewódzkiej Policji we Wrocławiu relaksował się przed telewizorem, trzymając w dłoni szklankę z ulubionym piwem. Natrętny dzwonek telefonu zakłócił atmosferę zasłużonego odpoczynku.

- Kochanie, możesz odebrać? - zawołała Marta Pelczar z kuchni.

- Już idę - odpowiedział, wstając niechętnie i ciężko z ukochanego, bujanego fotela.

Głos męża, który Marta, zajęta gotowaniem zupy na następny dzień, usłyszała z przedpokoju, zmroził ją dokumentnie.

- Jasna cholera! - wykrzyknął zdenerwowany.

Wyszła z kuchni wystraszona.

- Co się stało?

- Muszę iść, kochanie - powiedział, zakładając marynarkę i buty. - Nie wiem, kiedy wrócę. Chyba późno. Nie czekaj.

- Ale co się stało?!

- Później ci powiem. Teraz naprawdę muszę lecieć.

Złapał jeszcze kluczyki do samochodu i wyszedł w pośpiechu, zamykając za sobą drzwi.

\*

W mieszkaniu przy ulicy Legnickiej krwi było raczej niewiele, jak na taką ilość trupów. Pelczar rozejrzył się wokół wprawnym okiem.

- Kto ich znalazł? - spytał komisarza Andrzeja Wołka, człowieka, który go powiadomił.

- Sąsiad. Nazywa się... - Wołek zajrzał do notesu. - Ryszard Broniarz. W takim ogromnym bloku ludzie się nie znają. Każdy siedzi we własnej norze i pilnuje swojego nosa. Ten mówi, że jak usłyszał strzały, to wyrzwał na korytarz. Zobaczył otwarte drzwi, zajrzał do środka i zdołał jeszcze zadzwonić do nas. Siedzi tam teraz w łazience.

Pelczar poszedł we wskazanym kierunku. Na muszli znalazł trzęsącego się jak galareta szczupłego człowieka, około pięćdziesiątki. W drgającej jak u chorego na Parkinsona ręce trzymał papierosa. Wpatrywał się zacięcie w jeden punkt na przeciwległej ścianie.

- Panie Broniarz, muszę zadać panu parę pytań - powiedział Pelczar do mężczyzny

podniesionym głosem.

- Co?

Broniarz spojrział na niego nieprzytomnym wzrokiem.

- Panie Broniarz, widział pan człowieka, który wychodził z tego mieszkania?

- Co?

- Pytam, czy widział pan człowieka, który wychodził z tego mieszkania.

- Ja nic nie widziałem. Nikt nie wychodził. Tylko ci tam... - odpowiedział drżącym głosem.

- Musiał pan kogoś widzieć. Pozna pan tego człowieka? - naciskał Pelczar.

- Nikogo nie było. Ja nikogo nie widziałem.

Głos mu się łamał. Uniósł papierosa do ust. Nie udało mu się zaciągnąć. Drzenie ręki było nie do opanowania. Pelczar wrócił do komisarza i ludzi wykonujących zwyczajowe w takich okolicznościach czynności.

- Albo jest w szoku i nic nie pamięta, albo naprawdę nikogo nie widział - zwrócił się do Wołka. - Co tu się, kurwa, mogło stać?

- Ten wytatuowany tutaj trzyma pistolet. Po badaniach balistycznych będzie wiadomo na pewno, ale moim zdaniem on wykończył dziewczynę i księdza. Potem delikwent, którego szukamy, załatwił wszystkich czterech. Tak mi się wydaje.

- Żeby załatwić takie kupy mięśni, to musiałby być jakiś pierdolony Rambo - powiedział z niedowierzaniem Pelczar.

- Myślę, że Rambo przy tym gościu to panienka z pensji. To najwyższej klasy zawodowiec. Rasowy zabójca. Był sam, bo nie ma śladów bójki. On z nimi nie walczył. On ich po prostu wyeliminował. Myślę też, że coś go musiało łączyć z tymi zastrzelonymi.

- No to pięknie. Wiemy już czyje to mieszkanie?

- Właścicielka nazywa się, a właściwie nazywała - ruchem głowy wskazał Grażynę - Grażyna Gawlik. Na razie ją sprawdzamy.

- A ksiądz?

- Tożsamość księdza też sprawdzamy. Nie powinno być z tym problemu. Chłopaki objeżdżają kościoły. To tylko kwestia czasu.

- Te byczki miały jakieś dowody przy sobie?

- Tak. Nazwiska poszły do centrali. Ustalamy czy byli notowani.

- Gawlik, mówisz... Gdzieś słyszałem to nazwisko - zamyślił się podinspektor. - Ty, słuchaj, mówiłeś kiedyś, że masz kogoś w tej jednostce w Rembertowie.

- Kuzyn się dostał, a co?

- Spróbuj się jakoś delikatnie dowiedzieć, czy ktoś od nich przypadkiem nie był ostatnio we Wrocławiu. Jeżeli to taki zawodowiec, to może od nich. Ja wiem, tajemnica wojskowa i te tam pierdoły, ale spróbuj.

- Dobra. Pogadam z Włodkiem.

- To na razie. Jadę na komendę - powiedział Pelczar i odwrócił się w stronę drzwi wyjściowych. - Aha, spróbuj jeszcze coś wyciągnąć od tego... Jak mu tam...?

- Broniarz.

- No właśnie. Może sobie coś przypomni, jak się uspokoi.

- Dobra. Mam nadzieję, że coś się da zrobić.

\*

Kolejny dzień był pełen niespodzianek w postaci zadziwiających wiadomości. Już wczesnym przedpołudniem komisarz Wołek przyniósł pierwszą rewelację.

- No to posłuchaj, stary - wypalił bez słowa powitania. - Grażyna Gawlik jest wychowanką domu dziecka w Świebodzinie. Ostatnio znalazł ją tam wujek - Adam Gawlik - zaginiony lata temu. I teraz się trzymaj, pogadałem z kuzynem. Od maja do czerwca szkolił ich jakiś, cholera, niesamowity komandos, który potem nagle zniknął. Nazywał się Adam Gawlik - ostatnie słowa wypowiedział powoli i tryumfalnie.

- O kurwa! - skomentował nader trafnie informację podinspektor Pelczar. - To będą jaja!

Drzwi gabinetu podinspektora otworzyły się ponownie. Stała w nich archiwistka, Joanna Pelz, z cieniutkim plikiem dokumentów.

- Co tam mamy, pani Joasiu? Widzę, że udało się pani coś znaleźć - ucieszył się Pelczar.

- Nic mi się nie udało znaleźć. Wygląda na to, że ci pana dresiarze są nienotowani - odpowiedziała wzruszając ramionami.

- Ale ma pani coś... - wskazał wzrokiem pełnym nadziei na kartki, które trzymała w ręku.

Podąła mu plik.

- Ten z tatuażem na szyi. Nienotowany. Ale mój mąż mi kiedyś o nim opowiadał. Pokazałam mu zdjęcie. Nie ma wątpliwości, to ten sam. Trzeci dan w karate shotokan. Swego czasu wicemistrz świata w zawodach full-contact, w Tokio. Mówili na niego „Bolo”. Podobno nie do pokonania w walce wręcz. Na mistrzostwach w Japonii miał po prostu pecha. Potem skumał się ze światkiem przestępczym i skończył, jak widać na załączonym obrazku.

- No to, kurwa, pięknie. A gość, którego szukamy ukatrupił jego i kumpli gołymi

rękami. Jak ja mam go złapać? Chyba do spółki z jakąś brygadą pancerną. Dziękuję, pani Joasiu.

Młoda kobieta wyszła cicho, zamykając za sobą drzwi. Pelczar spojrział pytająco na komisarza.

- Co mam ci powiedzieć? Jeszcześmy takiej sprawy nie mieli. Trzeba się brać za robotę - powiedział Wołek, rozkładając ręce.

- A ja to bym najchętniej napuścił tego gościa na takich skurwieli u nas, co to siebie nazywają mafią, szmaciarze. Dałbym mu medal i dopiero wtedy ewentualnie zapudłował - Pelczar założył ręce na głowę, odchylił się w fotelu i popatrzył w sufit rozmarzonym wzrokiem.

- Tak, tak. Możesz sobie pomarzyć, a jak się facet rozbuja, to się nam dopiero trup posypie. Kto wie, czy mu nie odwaliło - stwierdził Wołek, siadając na krawędzi biurka podinspektora.

- Ty, kurwa, wypluj te słowa. Łysych ktoś nasłał. Trzeba się koniecznie dowiedzieć kto. Rusz swoich informatorów, na mieście powinno być o tym głośno.

- Robi się, szefie - komisarz wstał i z uśmiechem zasalutował służbowo.

Pelczar spojrział na niego i pokręcił głową z dezaprobatą. Nie lubił, jak Wołek się tak wygłupiał.

\*

Ulica Romualda Traugutta, będąca integralną częścią wrocławskiego, tak zwanego Trójkąta Bermudzkiego, gdzie normalny człowiek z zewnątrz nawet za dnia mógł sobie zarobić na „uczciwe nawalenie po mordzie”, nigdy nie wyglądała zachęcająco. Po zapadnięciu zmierzchu szanse na tego typu atrakcje gwałtownie wzrastały. Komisarz Wołek zupełnie się tym nie przejmował. Śmiałym krokiem ruszył w głąb ciemnej już ulicy Traugutta, kierując się w stronę Krakowskiej. W bramie niedaleko zakładu pogrzebowego usłyszał ruch. Dochodzący stamtąd dźwięk przypominał szuranie butami o szorstkie podłoże. Zajrzał.

- Aa, dobry wieczór, panu komisarzowi - zabełkotał głos właściwy amatorom niestroniącym od trunków rozweselających. Nawet jeśli był to płyn „Borygo” lub zwykły denaturat.

- Cześć, lachudro. Jużeś się nachlał? - odpowiedział Wołek.

Rozpoznał w człowieku starego znajomego. Niegroźny złodziejaszek miał ksywę „Semafor”, ponieważ był wysoki, przygarbiony i niemożliwie chudy. Za młodu bywał u nich częstym gościem, teraz widywali go na komendzie raczej sporadycznie.

- Ja dopiero zaczynam, panie komisarzu. Wnuk mi się urodził - stwierdził dumnie Semafor.

- Wnuk ci się urodził pół roku temu. Ileż można chlać z tej okazji?

- Aaa, panie komisarzu. Trzeba wypić, żeby zdrowy był - odpowiedział Semafor ze znanstwem.

- Dobra, dobra. Milewskiego nie widziałeś? Muszę mu wpierdol spuścić, bo narozrabiał.

- Patrz, cholera... Taki młody, a już w konflikt z prawem wchodzi - zafrasował się Semafor.

- To co, widziałeś go gdzieś?

- Tam w bramie po drugiej stronie stał niedawno z jakąś panienką - Semafor pokazał palcem.

Komisarz Wołek bez słowa udał się we wskazanym kierunku. Istotnie, zastał odwróconego do niego tyłem rzeczonoego młodzieńca, który gładził nastoletnią z wyglądu dziewczynę po włosach. Komisarz zapalił papierosa i zaciągnął się mocno. Milewski popatrzył na intruza przez ramię.

- No to pożegnaj panią, Milewski - powiedział policjant ściszoneg głosem.

- Spierdalaj - burknął Milewski do dziewczyny, bez protestu spełniając prośbę komisarza.

Dziewczyna wydeła wargi w geście obrażonej niewinności. Spojrzała na mężczyznę z najwyższą pogardą, na jaką tylko było stać piękną w podobnych sytuacjach, na co Wołek skrzywił się do niej w uśmiechu.

- Rujnuje mi pan reputację, komisarzu. Jakby nas ktoś razem zobaczył...

- Nie wkurwiał mnie, Milewski - uciął wypowiedź informatora policjant. - Słyszałeś, co się na Legnickiej przytrafiło czterem łysym, Bolowi między innymi?

- Kurwa, słyszałem. Podobno jakiś fagas zajeł Bola jak kurczaka.

- No - potwierdził komisarz. - I to tylko jeden człowiek. Zostawił za sobą listę nazwisk, chyba do wyeliminowania. Nie chcę cię martwić, Milewski, ale ty też jesteś na tej liście.

- Kurwa, co pan! - informator skoczył nagle jak oparzony. - Jak to ja?!

Komisarz poklepał go uspokajająco po ramieniu.

- Nie denerwuj się, chłopie. Żartowałem.

- Idź pan w chuj z takim żartami!

Młody człowiek zaczął nerwowo macać garderobę w poszukiwaniu papierosów.

Wołek podstawił mu swoją paczkę pod nos. Milewski wyciągnął jednego i zapalił.

- No to powiedz mi, Milewski, kto łysych nasłał.

- To pan nie wie? - szczerze zdziwił się młodzieniec.

- Przecież oni dla Majechy robią.

- Robili - poprawił go skrupulatnie komisarz.

- No właśnie. Majecha pierdolca dostaje. Każe ludziom wszystko rzucać i szukać tego faceta. Mają go zajebać. Odjebało mu kompletnie na jego punkcie, ale ludzie się boją. Podobno to jakiś jebany komandos. Pan już wie, kto to jest?

- Wiem. Bicz boży na was, męty - powiedział pogardliwie.

Milewski przeżegnał się odruchowo, choć podejrzewanie go o praktyki religijne byłoby dużym nieporozumieniem.

- Złapiecie go? - spytał ciekawie.

- A po co mamy go łapać? Wydusi was wszystkich jak pluskwy i damy mu medal...

- Podpierdala pan, panie komisarzu. Musicie go dorwać. Taki policyjny obowiązek - powiedział młodzian ze znawstwem tematu.

- Kurwa, Milewski, żebym ja ci pałą na komendzie twoich obowiązków nie przypomniał - zdenerwował się Wołek. - Jak coś będziesz wiedział, to wiesz, gdzie mnie szukać. - Szybkim ruchem ręki wyciągnął mu papierosa z ust, rzucił na ziemię i zdeptał. - To ty nie wiesz, że palenie szkodzi?

Odwrócił się i odszedł w ciemną ulicę Romualda Traugutta, zostawiając ogłupiałego Milewskiego za sobą.



## Rozdział 30

Podinspektor Pelczar siedział od samego rana w swoim gabinecie. Wyłożył stopy na biurko, jak w amerykańskich filmach i relaksował się przy porannej kawie przed podjęciem właściwych czynności zawodowych. Plik świeżych gazet leżał obok. Nic jeszcze nie było na temat nieszczęsnych wydarzeń na Legnickiej z dnia poprzedniego. I dobrze. Rozgłos był tu zdecydowanie zbędny.

Komisarz Wołek wszedł przez otwarte drzwi, bez słowa przystawił sobie krzesło i usiadł naprzeciwko przełożonego.

- Co jest? - spytał Pelczar znad filiżanki.

- Łysych nasłał Majecha. Jak ten nasz komandos o tym wie, a tego bym nie wykluczał, to szykuje nam się niedługo świt żywych trupów.

Podinspektor siedział jeszcze przez chwilę, odstawił filiżankę, ściągnął stopy z biurka i wstał. Zdjął marynarkę z oparcia fotela i przewiesił przez ramię.

- Jedziemy do Majechy. Trzeba go ostrzec - powiedział krótko.

- Ostrzec? Tego gnoja? Po cholere? - zaprotestował Wołek.

- Bo to nasz psi, znaczy policyjny obowiązek. No, ruszaj się.

Komisarz westchnął zrezygnowany i z wyjątkową niechęcią podążył za szefem.

\*

Posiadłość na odległych obrzeżach Wrocławia przytaczała majestatem wszystkie inne wokół. Potężna rezydencja otoczona wysokim murem z długimi metalowymi kolcami na szczycie, zza którego wylaniały się jedynie korony drzew, była niedostępna dla postronnych oczu. Przy ogromnej metalowej bramie dało się zauważyć ubrane na czarno, przechadzające się co jakiś czas tam i z powrotem postacie muskularnych ochroniarzy, strzegących dostępu do domu.

Policjanci zaparkowali swojego wysłużonego Poloneza kilka metrów od wejścia.

- Ile byś musiał pracować, żeby ci na taką chałupę starczyło? - spytał Wołek, lustrując z zawiścią siedzibę Majechy.

- Myślę, że za jakieś pięćset lat dałbym radę.

Mężczyźni wysiedli z samochodu i podeszli powoli do domofonu. Naciśnięcie guzika niczym dotknięcie czarodziejskiej różdżki sprawiło, że po drugiej stronie bramy w mgnieniu

oka wyrósł pękaty od mięśni osilek.

- Podinspektor Pelczar i komisarz Wołek do pana Rzeszewskiego - przedstawił obydwu Pelczar.

- Panowie byli umówieni? - spytał osilek zdumiewająco grzecznym tonem.

Policjanci spojrzeli po sobie z identycznymi minami, ostentacyjnie wyrażającymi niewymowny podziw dla toku rozumowania byczka, przyglądającego się im bacznie po drugiej stronie krat.

- Nie, ale chcielibyśmy porozmawiać z panem Rzeszewskim na temat wczorajszego dnia. Możemy tutaj lub na komendzie. Jak sobie życzy.

Ochroniarz chwycił za krótkofalówkę przyczepioną do grubego, skórzanego pasa i zniknął za murem.

\*

W ogromnym, urządzonym z niezwykłym przepychem pokoju dziennym Krzysztof Rzeszewski i jego prawnik Robert Kracik dopijali właśnie lampki „Chataeu Petrus”. Robert był prawdziwym koneserem win, a Majecha czasem lubił się przy nim trochę odchamić.

Pukanie do drzwi poprzedziło wejście najważniejszego z osobistych ochroniarzy gangstera. Miał na sobie nieskazitelną garnitur. Rzeszewski za namową Roberta dbał o takie szczegóły. Wiązało się to z reputacją w środowisku.

- Szefie, jakieś dwa psy chcą z panem rozmawiać. Mówią, że o wczorajszym dniu - powiedział, stając na progu.

- Mają nakaz? - spytał Majecha.

- Nie sądzę. Nie staliby pod bramą, tylko kazaliby się od razu wpuszczać.

- No to niech wypierdalają.

Ochroniarz odwrócił się, by wykonać polecenie.

- Zaraz, poczekaj - zatrzymał go Robert. - Co ci szkodzi z nimi pogadać? - zwrócił się do gangstera. - Może się dowiemy, co wiedzą. A tak to cię będą ciągać po psiarniach.

Bandzior zastanowił się chwilę.

- Dobra, dawaj ich tutaj.

Nie minęła minuta, gdy dwaj policjanci zostali wprowadzeni na audiencję u „pana” Krzysztofa Rzeszewskiego. Wchodząc do pokoju, gdzie na wielkich, superwygodnych fotelach siedzieli Kracik i sam gospodarz, przybysze rozglądali się demonstracyjnie na wszystkie strony, zdając się zupełnie nie dostrzegać, że to pana domu lekko denerwuje.

- Ach, dzień dobry, panie Rzeszewski. Witam, panie Kracik - Pelczar pogodnie pozdrowił siedzących, jakby dopiero zauważył ich obecność. - Dawnośmy się nie widzieli. To

już chyba z parę lat - powiedział rzewnie, ku uciechu komisarza Wołka.

- Na wspominki proponuję wybrać się do kościoła obok - odpowiedział mu oschle Robert. - O co chodzi?

- My do pana Rzeszewskiego - stwierdził krótko Wołek.

- Jestem jego adwokatem i pełnomocnikiem. Słucham panów - odpowiedział szybko Kracik.

- Panie Kracik, zapewniam pana, że pan Rzeszewski nie jest jakimś tam ostatnim tłukiem, lecz w miarę inteligentnym człowiekiem i potrafi sam mówić. Prawda, panie Rzeszewski? - zwrócił się do bandziora Pelczar.

Gangster zmieszał się i zacisnął wargi.

- Skąd pana stać na taki dom? - spytał niewinnie podinspektor.

- Pan Rzeszewski ma bogatych przyjaciół - pośpieszył z odpowiedzią Kracik, zanim Majecha zdążył otworzyć usta.

- Widzisz komisarzu - zwrócił się do Wołka - że też my nie mamy takich przyjaciół. niesprawiedliwy jest ten świat.

- Każdy ma to, na co sobie zasłużył, panie podinspektorze - odciął się Robert.

Pelczar popatrzył najpierw na niego, a potem na Majechę.

- Taak - powiedział przeciągle. - No to czym żeście sobie, panowie, zasłużyli na to, że jeden z najlepszych komandosów na świecie zamierza urządzić sobie na was polowanie? - zablefował.

Słowa te okazały się strzałem w dziesiątkę. Nie było absolutnie żadnej pewności, że Gawlik będzie w ogóle chciał się zbliżyć do Majechy. Zapadła niezręczna cisza - taka, która sprawia, że odgłos skrzydeł przelatującej muchy brzmi jak śmigłowiec.

- No właśnie - skomentował sytuację Pelczar. - Ten facet, Adam Gawlik, zadusił czterech twoich oprychów jak króliki - w jednej chwili spowaźniał śmiertelnie, zwracając się do Rzeszewskiego. - W tym jakiegoś karatekę. Teraz idzie po ciebie - nachylił się nad gospodarzem. - Jak mi powiesz wszystko jak na spowiedzi, co tu jest grane, to będę mógł cię ochronić. On ci takiej szansy nie da. No? Jak będzie?

- Nie znam człowieka - odpowiedział beznamiętnie Majecha. - Czy coś jeszcze, panie podinspektorze? - spytał i popatrzył nachylnemu nad nim policjantowi prosto w oczy.

Marek Pelczar wyprostował się. Rzucił krótkie, porozumiewawcze spojrzenie komisarzowi Wołkowi.

- No cóż. Skoro tak... Chcieliśmy pomóc, prawda, komisarzu?

- Prawda, inspektorze.

- Gdyby jednak zmienił pan zdanie, proszę się nie krępować i dzwonić. Zna pan numer na komendę.

- Wynocha - rzucił zdenerwowany Majecha.

Do bramy odprowadził ich ten sam kulturalny osiłek, którego mieli okazję poznać tuż po swoim przybyciu do rezydencji Rzeszewskiego.

- I co robimy? - spytał komisarz, gdy wsiadali do samochodu.

- Nic, absolutnie nic. Niech sobie Majecha radzi, skoro taki mądry. Teraz jest ruch naszego przyjaciela Gawlika.

Wysłużony polonez odjechał w stronę centrum Wrocławia.

\*

Październikowy, wyjątkowo ciepły jak na tę porę roku zmierzch powoli wyciszał życie na terenie podwrocławskiej rezydencji należącej do Krzysztofa Rzeszewskiego. Wielcy jak dęby goryle snuli się wokół domu, co jakiś czas kontrolnie kontaktując się przez krótkofalówki. Trzy obronne rottweilery, isticie dzikie bestie, czekały niecierpliwie w swoich klatkach na nocny czas wolności.

- Jak to nie można go nigdzie znaleźć?! - ciskał się Majecha, słysząc tłumaczenia swojego goryla, że Gawlik jakoby się zapadł pod ziemię. - Macie go dorwać i zajebać, skurwysyny! Ile mam, kurwa, czekać?! Do usranej śmierci?! Ruszać dupy!

Wielki jak góra mężczyzna wyszedł z pokoju.

- A jak ten pies miał rację i Gawlik rzeczywiście tu przyjdzie? - spytał nieco zaniepokojony Robert.

- Klepię, kurwa, o to zdrowaśki. Miałbym go jak na talerzu, a wtedy do piachu gnoja i po sprawie.

Roberta nie uspokoiły te słowa. To prawda, że dom Majechy był chroniony lepiej niż siedziba niejednej głowy państwa, a i ludzie w to zaangażowani nie byli przypadkowi. Sam ich w końcu Rzeszewskiemu podsuwał. Czułby się jednak zdecydowanie pewniej ze świadomością, że siepacze gangstera dopadli Gawlika i zagrożenie minęło.

Z zamyślenia wyrwał go hałas gwałtownie otwieranych drzwi. Stanął w nich główny goryl, trzymający się kurczowo klamki.

- Szeffie, mamy trupa! - wykrzyknął.

- No, wreszcie! Gdzie jest? - ucieszył się Majecha i podszedł szybkim krokiem do mężczyzny, przynoszącego, jego zdaniem, doskonałe wieści.

Robert wstał z fotela z wyrazem niedowierzania i jednocześnie ulgi na twarzy.

- Szeffie, ale to nasz człowiek. Leży na placu niedaleko domu. Ma strzałę w oku - goryl

pośpiesznie wyjaśnił nieporozumienie.

- Rzeszewskiego na moment zatkało.

- Co?! - Majecha wydawał się nie przyjmować do wiadomości słów swojego człowieka. - Kto leży i jaką strzałę?

Ochroniarz podrapał się z zakłopotaniem po olbrzymim karku.

- No, jeden z naszych leży. Strzała, jak jakaś indiańska. No wie szef, z westernów - tłumaczył bossowi.

Gangster wbijał przepęlniony wściekłością wzrok w goryla. Ten zadrżał, bo wiedział dobrze, że w swoich atakach furii Majecha był nieprzewidywalny. Robert z powrotem opadł ciężko na fotel.

- No to się, kurwa, zaczęło - powiedział cicho.

Majecha obrócił się szybko w jego stronę i wrzasnął na całe gardło.

- Co się, kurwa, zaczęło?! Nie panikuj! Ten facio już jest trupem, tylko jeszcze o tym nie wie. Wypuścić psy - powiedział już spokojniej do goryla. - Skurwysyn ma zdechnąć tu, na miejscu, zaraz! Ma nie wyjść stąd żywy! Rozumiesz?! I przynieś mi krótkofalówkę.

- Jasne, szefie.

Ochroniarz zniknął na moment, by powrócić z włączonym urządzeniem, przy pomocy którego Rzeszewski mógł kontrolować sytuację. Na zewnątrz rozległo się szczekanie rottweilerów. Rzuciły się w noc, głodne krwi, budząc dziką satysfakcję na twarzy właściciela rezydencji.

- Ty, Robcio, nerwowy jesteś. Wyluzuj trochę. Zaraz pieski dorwą gnoja i będzie po krzyku.

- Niepotrzebnie wysyłałeś tego debila, Bola. Załatwił mu bratanicę i teraz facet chce się zemścić. Takim odpierdala dokumentnie. Może być nefajnie.

- Zamknij gębę - rzucił podenerwowany gangster. - Ty się na takich sprawach nie znasz. Najdalej za pół godziny facio będzie sztywny, wspomnisz moje słowa.

- Wspomnę.

Następna minuta przyniosła mrożące krew w żyłach, rozpaczliwe wycie mordowanych psów. Rzeszewskiemu nagle zrzędła mina, gwałtownym ruchem chwycił krótkofalówkę.

- Co tam się, kurwa, dzieje?! - wykrzyknął do urządzenia.

- Szefie, znalazłem psy - odezwał się nienaturalny głos. - Jeden ma rozpruty brzuch, a dwa... kurwa... - ochroniarz oddychał pośpiesznie. - Głowy im się na skórze tylko trzymają. Kto to robi? Szefie... Jezus Mar...!!!

W urzędzeniu dało się słyszeć gulgot, potem trzask, jakby łamanej gałęzi i wszystko umilkło.

- Pytam, co się tam, kurwa, dzieje?! - krzyknął gangster w mikrofon.

Odpowiedziała mu cisza. W jego oczach po raz pierwszy pojawił się strach, lecz natychmiast przytłumiło go uczucie bezsilnej agresji. Robert wpatrywał się w urządzenie jak zakłęty. Zaczęły mu lekko drżeć dłonie. Podniósł wzrok na bossa.

- Dzwon po gliny - powiedział ściszym ze strachu głosem.

Majecha skoczył jak oparzony.

- Pojebało cię?! Jak mi znajdą amfę w piwnicy, to z pierdla do emerytury nie wyleżę! Przestań, kurwa, panikować! Co z tobą?! - ciskał się wściekły do granic możliwości. - Co się, do kurwy nędzy dzieje?! Jest tam kto?! - wrzeszczał do krótkofalówki.

Głośnik zaskrzeczał.

- Jesteśmy przy wejściu do budynku - odezwał się głos jednego z ochroniarzy. - Dorwiemy go, jak będzie próbował dostać się do środka. Nam czterem nie da rady. Spoko, szefie.

Majecha uspokoił się trochę. Ci ludzie to nie ułamki. Wiedział, że będą gotowi na spotkanie z Gawlikiem, nie tak jak ten zarozumiały bufon Bolo, który dał się zaskoczyć jak dziecko. Rzeszewski usiadł z powrotem w fotelu i podniósł do ust kieliszek z winem. Zerknął na Roberta. Ten siedział niemal bez ruchu. Trzymał niezapalonego papierosa między palcami i gapił się tępo w drzwi wejściowe do pokoju.

- Mówię ci, wyluzuj, Robcio. Miał gościu trochę szczęścia na początku. Przyznaję, dobry jest, ale teraz to już po nim. Przegiął i za to zapłaci.

- Obyś się nie mylił.

Rzeszewski pociągnął spory łyk trunku. Zaczęła mu wracać zwyczajowa pewność siebie. Cekał na dobre wieści. Krótkofalówka zaskrzeczała ponownie.

- Szefie... - Majecha usłyszał głos swojego głównego goryla, Kolasy. Dyszał ciężko, jakby właśnie przebiegł maraton.

- No wreszcie, Kolasa! Zajebaliście go?!

- Szefie... Ludzie... Kurwa, trupy... Szefie... - rozpaczliwą wypowiedź Kolasy zakończyło charczenie przebijanego gardła.

Cisza, która zapadła w głośniku, była nader wymowna. Kracik zerwał się na równe nogi i rzucił do telefonu. Gangster ani myślał protestować. Po raz pierwszy w życiu był przerażony. Robert zaczął tłuc bez opamiętania w widełki, lecz telefon odpowiedział mu złowrogim milczeniem. Kracik położył słuchawkę obok aparatu. Był blady jak ściana. Nagle

zgasło światło i cały dom pogrążył się w nieprzeniknionych ciemnościach. Majecha rzucił się do szuflady biurka i wyciągnął pistolet. Zawsze starał się trzymać broń pod ręką, bo nigdy nie wiadomo, kiedy mogła się przydać. Teraz okazała się być niezbędna. Odbezpieczył pistolet i wycelował w drzwi, nasłuchując najmniejszego ruchu. Oczy obu mężczyzn powoli przyzwyczajały się do ciemności. Mijały sekundy i minuty. Krzysztof Rzeszewski czuł strużki potu spływające mu po bokach głowy. Robert Kracik trząsał się jak galareta.

- Przyszedłem po ciebie, Rzeszewski - odezwał się ktoś cicho zza pleców gangstera.

Majecha odwrócił się błyskawicznie i oddał cztery strzały na oślep. Ciemna postać stała niewzruszenie, nie więcej, niż pięć metrów od niego.

- Teraz umrzesz - powiedział Gawlik spokojnie, niemal bezgłośnie.

Rzeszewski nie zamierzał czekać na dalszy rozwój wydarzeń. Opanował nerwy, wycelował i strzelił ponownie. Uchodził za dobrego Strzelca, lecz w jakiś niepojęty dla niego sposób postać uchyliła się, a kula utkwiała w ścianie. Kolejne strzały wywołały podobną reakcję intruza i po chwili magazynek pistoletu był pusty. Majecha sięgnął za plecy i wydobył zza pasa nóż, jakim posługują się żołnierze jednostek specjalnych. Rzadko się z nim rozstawał. Obsesyjnie obawiał się zamachu na swoje życie. Świadomość bliskości stalowego ostrza dawała mu swoiste poczucie względnego bezpieczeństwa. Gawlik jednym susem doskoczył do przeciwnika i płynnym ruchem, jakby od niechcienia, poprowadził jego uzbrojoną dłoń tak, że chłodna stal zatopiła się w górnej części brzucha gangstera. Pociągnął lekko w bok, by mieć pewność, że rana będzie śmiertelna. Był pewny, że rozplywające się po trzewiach soki żołądkowe załatwią sprawę. Majecha plunął krwią i osunął się na dywan. Adam rzucił spojrzenie na jego kompana. Robert nie mógł opanować drżenia całego ciała. Dygotał jak człowiek chory na febrę w chwili ataku gorączki.

- Aadam... - jękał się. - Jaaa... przprzeczecież... ppproszę... - załkał.

Czarna postać bez słowa, w absolutnej ciszy, zniknęła w mroku, tak szybko, jak się wcześniej pojawiła. Robert Kracik został sam. W domu Krzysztofa Rzeszewskiego zapaliły się światła. W oddali zawyły syreny policyjne. Prawnik usiadł ciężko na dywanie, z trudem łapiąc powietrze. Patrzył apatycznie przed siebie, gdy policjanci z brygady antyterrorystycznej wpadali do pokoju. Wydawał się ich w ogóle nie zauważać.

- Panie Kracik! Słyszysz mnie pan?! - niczym z zaświatów dochodził do niego głos podinspektora Pelczara. Policjant szarpnął nim gwałtownie. - Panie Kracik!

Robert spojrzał na niego nieobecny wzrokiem.

- Słucham, inspektorze? - odpowiedział słabym głosem.

- Co tu się stało?!

- Ja nie wiem, co tu się stało. Nie wiem jak, kiedy... Ja nie wiem, co się stało. Ja nic nie wiem - odpowiedział Kracik, wzruszył ramionami i rozłożył bezradnie ręce.

Pelczar wyprostował się.

- Na razie nic się od niego nie dowiemy. Chyba jest w szoku.

- Dziwne. Prawnik Majechy? Przecież niejedno musiał widzieć - stwierdził. Na co komisarz Wołek tylko pokręcił głową. - Niech się lekarze nim zajmą - powiedział do jednego z funkcjonariuszy i wyszedł z pokoju.



## Rozdział 31

Zespół dochodzeniowo-śledczy pojawił się na odprawie w komplecie. Wszyscy mieli zaangażować się w tę jedną, priorytetową sprawę, a wiadomo już było, że do łatwych należeć nie będzie. Słyszeli, co wyprawia człowiek, którego mają znaleźć i aresztować. Jego wyczyny napawały grozą nawet najbardziej doświadczonych gliniarzy.

- Jak już się pewnie wszyscy zdążyli dowiedzieć, komendant obiecał urwać nam pewne elementy, jeśli nie złapiemy tego terminatora. Groźba ta nie dotyczy oczywiście naszej młodej koleżanki - tu skłonił się kurtuazyjnie w stronę podkomisarz, Alicji Dobosz - która ma szczęście rzeczonymi atrybutami w naturalny sposób nie być obdarzona.

Dziewczyna spąsowiała pod wzrokiem pozostałych śledczych, świetnie się bawiących niewybrednymi żartami podinspektora.

- Wolalabym, inspektorze, żebyśmy trzymali się tematu - szybko odzyskała rezon świeżo upieczona absolwentka prawa.

- Oczywiście, pani magister - odpowiedział stary policjant.

Nigdy nie był zwolennikiem taryfy ulgowej dla nowych. Jego zdaniem powinni jak najszybciej przekonać się, że tu nikt z nimi nie będzie się cackał, bo to policja, a nie przedszkole. Bywał też więc często nieprzyjemny i złośliwy w stosunku do pełnej zapału młodej kobiety, pozwalając sobie czasem na znacznie cięższego kalibru odzywki. Z satysfakcją jednak stwierdzał, że dziewczyna zaczyna się odnajdywać w tym całym bajzlu i chyba będą z niej ludzie.

- Jak wiecie, za sprawą działalności jednego człowieka lokalnym zakładom pogrzebowym solidnie się ostatnio rozkręcił interes. Sprawa pierwsza. Zero przecieków do prasy. Jak się, nie daj Boże, dziennikarze dowiedzą, to będziemy mieli taki gnój, że się nie wygrzebiemy. Na razie wiedzą niewiele i tak ma zostać. Jeśli bym się dowiedział, że ktoś z tu obecnych puścił choćby parę z ust na temat tej sprawy, to osobiście i własnoręcznie wyrwę mu język. Mam nadzieję, że wyrażam się jasno - utkwiał na chwilę wymownie wzrok w nowej, niedwuznacznie sugerując, że do niej głównie kieruje swoje słowa. Dobosz wytrzymała jego spojrzenie. - Sprawa druga. Ten facet to maszynka do zabijania. Rambo przy nim to ostatnia niedołęga. Dlatego nie chcę tu żadnych bohaterów. Jak komuś strzeli do łba bawić się w policjantów z Miami, to lepiej niech napisze od razu testament, bo ma stuprocentową

gwarancję, że tej zabawy nie przeżyje. Dostaniemy brygadę antyterrorystyczną. Podobno najlepszą jaka jest. Ujęcie Gawlika zostawiamy im. To specjaliści.

- Przepraszam, inspektorze, kto to jest ten Rambo, co niby ma służyć jako punkt odniesienia. Gdzie znajdę dane na temat tego człowieka? - spytała zawsze skrupulatna Alicja.

Oficerom śledczym szczęki opadły. Kończą się lata dziewięćdziesiąte, a ta kobieta nie wie, kto to jest Rambo! Swoim pytaniem zastrzeliła nawet samego podinspektora Pelczara. Jednak nie na długo. Za nic nie przepuściłby doskonałej okazji, żeby ponownie zakpić sobie z nowej.

- Czy ktoś ma jakieś materiały poglądowe o Rambo? - spytał obecnych. Podniósł rękę śledczy Jakub Mazepa. - Co masz?

- Dwie części na wideo.

- Pani podkomisarz, śledczy Mazepa przekaze pani film szkoleniowy i poproszę, powiedzmy, na pojutrze o krótkie streszczenie tegoż materiału dydaktycznego.

- Oczywiście, inspektorze - odpowiedziała zadowolona z siebie kobieta, zupełnie nieświadoma kolejnej złośliwości przełożonego.

- Wiemy o nim bardzo niewiele, właściwie prawie nic - ciągnął Pelczar. - Dezerter z wojska. Jego dokumentacja w tajemniczy sposób zaginęła, jak zresztą i on sam. Pojawił się w kraju na początku '96. Mam niepotwierdzone informacje, że szkolił elitarne oddziały specjalne „Błyskawica” w Rembertowie. Na jutro jestem umówiony z jednym z oficerów „Błyskawicy”, więc mam nadzieję, że się czegoś dowiem. I jeszcze jedno. Komisarz Wolek posiedział z jednym z księży w kościele na Kruczej. Zakonnik zabity na Legnickiej bawił tam w gościnie. Misjonarz z Afryki. Podobno bardzo się przyjaźnili z Gawlikiem. Mamy portret pamięciowy.

Pelczar puścił w obieg plik kartek z podobizną poszukiwanego. Podobieństwo było autentycznie trafione.

Każdy z obecnych bardzo uważnie przyjrzał się obrazkowi. Przedstawił mężczyznę z bardzo krótko przystrzyżonymi włosami. Okrągła twarz i duże oczy nie zdradzały oznak morderczych zapędów.

- To tyle. Ruszajcie do roboty - rzucił krótko podinspektor.

\*

Biuro Andrzeja Zwierzchowskiego zaskakiwało przestronnością. Ściany pomalowane na ciepły, kremowy kolor ozdobione były średniej wielkości obrazami o tematyce batalistycznej. Gruby dywan na podłodze dawał przyjemne wrażenie ciepła. Policjant usiadł na wskazanym mu przez kapitana gustownym krześle po przeciwnej stronie biurka, za którym

zasiadł sam gospodarz. Na pierwszy rzut oka podinspektor nie powiedziałby, że ten człowiek jest oficerem elitarnych sił specjalnych. Wyglądał zupełnie normalnie, jak przeciętny członek kadry oficerskiej Wojska Polskiego. No, może trochę lepiej zbudowany niż jego rówieśnicy i trzymał się po wojskowemu. „Proszę, jak pozory mogą mylić”, pomyślał policjant.

- Czym mogę panu służyć, inspektorze?

- Pan zna Adam Gawlika. Jest poszukiwany w sprawie o morderstwo. Myślę, że pan może mi udzielić jakichś informacji, które doprowadzą do jego ujęcia.

- Zwierzchowski odchylił się w fotelu i założył ręce na głowę.

- Słyszałem, że wytłukł wam we Wrocławiu elitę świata przestępczego. Na pana miejscu dałbym mu za to medal.

- Pan raczy żartować, kapitanie. Doskonale pan wie, że w świetle prawa najgorszy bandzior, jakim niewątpliwie był Majecha i jego kumple, jest ofiarą morderstwa i sprawca musi zostać osądzony. Nasze prawo nie przewiduje samosądów. Dlatego proszę pana o pomoc.

Kapitan pochylił się w stronę biurka i oparł przedramiona o blat.

- Teraz to pan żartuje, inspektorze. Miałbym wydać przyjaciela, który rozgromił najgroźniejszą bandę na Dolnym Śląsku, która z kolei wcześniej pozbawiła życia jego bratanicę i niewinnego księdza?

Policjant sięgnął do wewnętrznej kieszeni i wydobyl paczkę papierosów.

- Mogę?

- Proszę się nie krępować.

Wyciągnął zapraszającym gestem paczkę w stronę kapitana. Ten pokręcił przecząco głową.

- Widzę, że dysponuje pan dość szczegółowymi informacjami. Można wiedzieć skąd?

- spytał nagle policjant, próbując zaskoczyć Andrzeja.

Pytanie oficera policji nie zrobiło na rozmówcy najmniejszego wrażenia. Na jego twarzy pojawił się delikatny uśmiezek politowania.

- Panie inspektorze, zapomina pan, gdzie się pan znajduje i z kim rozmawia. Proszę mi wierzyć, zdobycie takich informacji i nie tylko takich, nie stanowi dla mnie najmniejszego problemu - odpowiedział szczerze.

Pelczar westchnął tylko. W rzeczy samej pewne kręgi, do których on sam nie ma i nigdy nie będzie miał dostępu, poruszają się w złożonym świecie informacji nadzwyczaj sprawnie.

- Ale coś o Gawliku chyba pan mi powie, kapitanie... - powiedział z nadzieją w głosie.

Kapitan zamyślił się. Utkwił wzrok w przestrzeni nad głową policjanta.

- To niezwykle człowiek. Taki rodzi się może raz na pięćdziesiąt, nawet sto lat. Nieprzeciętna inteligencja. Nieprawdopodobne wprost umiejętności bojowe. Z drugiej strony bardzo nieszczęśliwy. Strata rodziców w dzieciństwie, kryminogenne środowisko jego starszego brata, z którym musiał mieszkać. Cud, że się wtedy nie stoczył. Śmierć narzeczonej, tułaczka wojenna, Afganistan, Afryka, Ameryka Południowa... Moim zdaniem trochę dużo przeżyć jak na jednego człowieka.

- A coś, co pomoże mi go znaleźć? - naciskał policjant.

Oficer milczał przez chwilę i przyglądał się swojemu gościowi uważnie. Otworzył usta, by coś powiedzieć, gdy zadzwonił telefon.

- Przepraszam, inspektorze - powiedział i podniósł słuchawkę. - Zwierzchowski, słucham.

Po drugiej stronie odezwał się kobiecy głos.

- Tak, kochanie. Pamiętam, że idziemy dzisiaj do lekarza. Nie denerwuj się. Wszystko jest pod kontrolą. Niedługo będę w domu. Leż sobie spokojnie, a ja ci przyniosę niespodziankę - wsłuchał się na moment w jej wypowiedź. - Nie mogę ci powiedzieć jaką, bo nie będzie niespodzianki. Przepraszam cię, ale nie mogę teraz rozmawiać. Zadzwoń później. No, pa. Całuję. - słuchawka wróciła na swoje miejsce. - Pan wybaczy, inspektorze. Żona niedługo rodzi i taki trochę nerwowy okres - powiedział usprawiedliwiająco.

- Proszę przyjąć moje gratulacje, kapitanie. Wie pan, co będzie?

- Córa - odpowiedział, promieniejąc z dumy. - Ale wracając do rzeczy. Nawet gdybym chciał, a powiem otwarcie, że nie chcę, po prostu nie jestem w stanie panu pomóc. Nie ma czegoś takiego, co mogłoby pana doprowadzić na jego ślad. To człowiek dżungli, również tej miejskiej. Ale dam panu dobrą radę. To nie jest morderca. On chce po prostu świętego spokoju w życiu. Niech sobie pan prowadzi swoje śledztwo, bo wiem, że pan musi, ale niech pan nie stara się za bardzo go ująć, bo Gawlik najprawdopodobniej rozniesie tę waszą brygadę antyterrorystyczną na strzępy. A po co to wam?

- Widzę, że mam pan niezbyt pochlebne zdanie o naszych antyterrorystach...

Podinspektor poczuł się lekko dotknięty.

- Powiem panu szczerze, inspektorze. Widziałem ich szkolenie. Nawet najwięksi bandyci w starciu z waszymi ludźmi większych szans nie mają, ale na pana miejscu nie wysyłałbym tych chłopaków po Gawlika. Nie sądzę, by wyszli z takiego spotkania żywi. No, jeszcze ewentualnie zależy w jakich warunkach, by takie spotkanie nastąpiło, ale to już inna sprawa.

- A pana ludzie stąd tutaj, by sobie z Gawlikiem poradzili? - spytał wprost Pelczar.

- Pozwoli pan, inspektorze, że wstrzymam się od odpowiedzi na to pytanie.

Pelczar przyglądał się swojemu rozmówcy badawczo. Ten wciąż bardzo młody, epatujący pewnością siebie graniczącą z arogancją człowiek mimo wszystko budził jego szacunek. Ciekawe, co on wie naprawdę. Kłamie?

Próbuje go zwodzić, by chronić przyjaciela? A może rzeczywiście ostrzega go przed zagrożeniem, o którym mu się do tej pory nawet nie śniło?

- Szczerze mówiąc, jadąc tu liczyłem na konkretną pomoc. Szkoda, że jest pan taki nieprzejednany, kapitanie.

- Panie inspektorze, zawsze chętnie panu pomogę, ale nie w tej sprawie. Podobnie jak inni ludzie tutaj. Niech mu pan pozwoli zniknąć.

- Doskonale pan wie, kapitanie, że nie mogę. Taka praca - powiedział zrezygnowany. - Cóż, nie będę panu zabierał więcej czasu. Gdyby pan jednak zmienił zdanie, to tu jest mój telefon. Służbowy i prywatny.

Policjant podał Zwierzchowskiemu wizytówkę, pożegnał się zdawkowo i opuścił jego biuro. Cztery godziny jazdy z powrotem do Wrocławia to dobra okazja, by spokojnie pomyśleć co dalej.

\*

Jakub Mazepa miał niedużą kawalerkę na Nowym Dworze, w jednej z brzydszych dzielnic Wrocławia, zwaną powszechnie miejską sypialnią. Ogromne, wielopiętrowe bloki słusznie zasługiwały na miano mrówkowców. Za czasów poprzedniego ustroju stanowiły dumę władz, natomiast teraz straszły szpetotą i pogłębiały tylko uczucie alienacji wśród ludzi w nich mieszkających.

Zmierzchało. Alicja poczuła ukłucie jesiennego chłodu. Przyspieszyła kroku. Chciała jak najszybciej wrócić do swojego przytulnego mieszkania na Krzykach. Obskurna klatka schodowa witała atmosferą przygnębienia i wrogości. Sama nie wiedząc dlaczego, zdecydowała się jednak nie skorzystać z windy. Weszła po schodach na czwarte piętro i zapukała do drzwi mieszkania kolegi z pracy.

- A, cześć Alicja! Wejdz. - Kuba ucieszył się na jej widok.

Lokal był typowym przykładem lokum zajmowanego przez samotnego, młodego mężczyznę. Brudny talerz na stole w kuchni, gdzieniegdzie porzucane części garderoby i ogólny nieład nie tworzyły pozytywnego wizerunku lokatora. Wiekowe, pozbierane kompletnie bez gustu meble tylko dopełniały nieprzyjemnego obrazu.

- Przepraszam za bałagan, ale ostatnio nie mogę się zebrać, żeby posprzątać. Tyle

roboty na komendzie - powiedział, próbując się usprawiedliwić.

- Nie przejmuj się. Gorsze rzeczy widziałam - odpowiedziała życzliwie, choć nie do końca zgodnie z prawdą.

- Napijesz się czegoś?

- Nie, nie. Muszę lecieć. Sam wiesz, że czeka mnie oglądanie tych twoich materiałów, a potem trochę pisaniny dla starego.

Kasety video leżały przygotowane na ławie zajmującej centralną część pokoju. Kuba podniósł je na wysokość twarzy.

- To są zwykłe filmy sensacyjne, które zna każde dziecko. Szef z ciebie drze łacha, Alicja. Każdy nowy przez to przechodzi. Musisz przetrzymać. Niedługo mu przejdzie. Ale to naprawdę porządny facet. Sama się na pewno kiedyś o tym przekonasz. Jakbym ci mógł jakoś pomóc, to wał jak w dym. My, psy, musimy trzymać się razem - powiedział po przyjacielsku i wręczył jej „materiał pogładowy”.

Bardzo podobała się mu ta śliczna podkomisarz i w głębi serca był przełożonemu wdzięczny, że dzięki jego złośliwościom miał okazję choć trochę się do niej zbliżyć. Na komendzie, przy wszystkich, nie bardzo wypadało.

- Dzięki, Kuba, za dobre słowo. Dobry z ciebie kolega - powiedziała i obdarzyła go uśmiechem, z gatunku takich, które sprawiają, że mężczyzna staje się supermenem.

- Może odprowadzę cię na przystanek. Już ciemno - zaoferował szybko.

- No co ty? Policjanta chcesz odprowadzać? Do jutra, Kuba.

Uścisnęła mu mocno dłoń na pożegnanie i wyszła. Ponownie zignorowała zdobycz cywilizacji jaką niewątpliwie była winda. Przez całą drogę do autobusu myślała, o tym, co jej powiedział. Poczula się upokorzona i wzbierała w niej złość na przełożonego. „Ja ci jeszcze pokażę”, mówiła szeptem do siebie. Nie zamierzała pozostawać dłużej ofiarą.

- Cześć, lalunia. A gdzie tak się śpieszymy?

Z zamyślenia wyrwał ją głos młodego mężczyzny, który wyrósł przed nią jak spod ziemi. Miał na sobie charakterystyczną dla skinheadów kurtkę. Jego nalana twarz krzywiła się w złośliwym uśmiechu. Kątem oka zauważyła jeszcze trzech innych, podchodzących do niej z obu stron. Starła się nie tracić zimnej krwi, choć gwałtownie narastał w niej strach. Słyszała wiele złego o tych bezwzględnych, niezwykle agresywnych grupach. Jednym ruchem wyciągnęła legitymację służbową.

- Komenda Wojewódzka Policji. Dowodziki proszę - powiedziała stanowczym głosem, za wszelką cenę próbując ukryć niepewność.

- Ty, Gruby, słyszałeś? - zawołał rozbawiony skinhead do jednego ze swoich kumpli. -

Lalunia z policji! Walileś kiedyś taką? Ściągaj majtki, cipo. Podobasz mi się - powiedział do niej przez zęby.

W tym momencie chwyt silnych rąk z tyłu uniemożliwił jej jakikolwiek opór. Próbowwała krzyczeć, lecz zatkali jej dłońmi usta. Rzuciła się jak ryba wyjęta z wody, ale mężczyźni szybko położyli ją na trawniku, podciągnęli spódnice i siłą rozłożyli nogi. Prowodyr całej akcji jednym ruchem zerwał bieliznę. Całkowicie unieruchomiona i śmiertelnie przerażona kobieta, leżąc z rozsuniętymi kolanami, patrzyła bezradna swoimi ogromnymi oczami na skinheada rozpinającego sobie spodnie. Dalej wydarzenia potoczyły się błyskawicznie, lecz zupełnie nie po myśli napastników. Naraz, jakby znikąd, wyrosła za skinheadem jakaś postać i jednym, krótkim uderzeniem zwała go z nóg, pozbawiając przytomności. Trzymający ją kumple zaatakowanego natychmiast rzucili się na intruza. Sekundę później dwaj napastnicy leżeli nieprzytomni, a trzeci wił się, leżąc na boku i wyjąc z bólu. Krótkie kopnięcie w okolicę karku uspiło i jego. Postać pochyliła się nad sparaliżowaną ze strachu dziewczyną.

- Już wszystko dobrze. Nieprędko się obudzą. Nic pani nie grozi.

Alicja Dobosz poderwała się i wtuliła w swego wybawcę, głośno szlochając. Pierwszy raz w życiu przydarzył jej się tak bezpardonowy atak, z gatunku tych, o których tylko czytała w raportach policyjnych. Była niewymownie wdzięczna temu człowiekowi, kimkolwiek był.

- Tutaj zaraz za rogiem jest mała kawiarenka. Tam dojdzie pani do siebie - powiedział.

Objął ją swoim silnym ramieniem. Posłusznie pozwoliła mu się poprowadzić we wskazanym kierunku.

W knajpcie było ciepło i przytulnie. Wejście od niewielkiego baru oddzielały trzy rzędy maleńkich stoliczków. Światła były delikatnie przyciemnione i we wnętrzu panował przyjemny półmrok. Mężczyzna za barem wycierał starannie i tak nieskazitelnie czyste szklanki. Dziewczyna wciąż drżała, siedząc przy stoliku w głębi pomieszczenia. Jej tajemniczy obrońca postawił przed nią kubek pachnącej, gorącej czekolady i usiadł naprzeciwko.

- Proszę pić. Magnez pomaga na nerwy - powiedział łagodnie.

Kobieta rozedrganą dłońmi wygrzebała paczkę papierosów z torebki i włożyła jednego do ust. Ponownie zajrzała do środka, gorączkowo czegoś szukając. Dopiero po dłuższej chwili udało jej się znaleźć zapalniczkę. Podniosła dłoń, by zapalić papierosa. Po raz pierwszy w przytłumionym świetle spojrzała na siedzącego przed nią mężczyznę i... zamarła. Niezapalony papieros wypadł jej z ust na blat stołu, obok kubka z napojem.

- Proszę się nie obawiać, pani Alu. Wbrew temu, co o mnie sądzicie, nie jestem

pospolitym, psychopatycznym mordercą. Poza tym, czy ratowałbym panią z opresji, chcąc później pani zrobić krzywdę, prawda? To nielogiczne - stwierdził Adam wciąż tym samym, łagodnym i uspokajającym tonem.

Policjantkę od razu uderzył sposób wypowiedzania się tego człowieka. Wysławiał się swobodnie, niezwykle rzadko spotykaną w środowiskach kryminalnych bardzo poprawną polszczyzną, typową dla ludzi nieprzeciętnie inteligentnych i czytanych.

- Skąd... Skąd pan wie, jak mam na imię? - spytała drżącym z nerwów głosem.

Adam położył na stole przed nią jej legitymację służbową.

- Leżała na chodniku.

- Czego pan ode mnie chce? - spytała, z ogromnym trudem próbując opanować emocje.

- Niczego. Tylko porozmawiać. Może coś wyjaśnić...

Wpatrywała się w niego wnikliwie. Z oczu bił mu niezwykle smutek. To nie były oczy mordercy, lecz bardziej człowieka, któremu życie nie oszczędziło chyba żadnej z możliwych tragedii. Pani podkomisarz powoli przestawała się go bać.

- Pani i pani koledzy będziecie mnie ścigać jak zwierzynę - mówił dalej. - Nie sądzę, żebyście mnie złapali. Nabyłem zbyt dużego doświadczenia w tego typu rozgrywkach, by się wam udało. Chciałbym, żeby pani wiedziała, dlaczego zrobiłem to tam pod Wrocławiem. Może będzie wam wszystkim łatwiej mnie zrozumieć - mówił powoli, ważąc każde słowo. Co jakiś czas zaglądał do swojego kubka z czekoladą. - Krzysztof Rzeszewski kilkanaście lat temu brutalnie zgwałcił i ciężko pobił moją narzeczoną. Myślałem, że umarła, ale ona cudem przeżyła. Nigdy już nie byliśmy razem. Była śliczna jak poranek. Tak jak pani - zrobił pauzę.

- Niedługo potem Rzeszewski zamordował człowieka, który był mi jak ojciec. Wreszcie tutaj, we Wrocławiu, nasłani przez niego siepacze zastrzelili mi bratanicę. Ledwie kilka miesięcy temu ją odnalazłem. Jego zbiry zabiły mi też przyjaciela, który był chodzącą dobrocią, zakonnikiem, misjonarzem w Afryce. Wcześniej myślałem, że mam dla kogo żyć, że wreszcie odnalazłem swoje miejsce na ziemi. Rzeszewski to wszystko zniszczył. Wy i tak byście go nie dostali. Macie kulawe prawo, tacy ludzie jak on, nie powinni chodzić po tej ziemi. Pani pewnie myśli, że wcale nie jestem lepszy. Może ma pani rację. Tak mi się życie ułożyło. Może dobry Bóg kiedyś pozwoli mi odkupić swoje winy i ludzie przestaną mnie uważać za krwiożerczą bestię.

Zamilkł na moment i podniósł do ust kubek z wystygłą już czekoladą. Alicja otworzyła usta, by coś powiedzieć, lecz Gawlik ją uprzedził.

- Pani Alu, ja się nie nadaję do więzienia. Poza tym nie byłoby tam ze mnie żadnego



pożytku. Pozwólcie mi zniknąć, a zaoszczędzicie sobie wielu niepotrzebnych ofiar. Mnie się nie się nie da złapać żywego - przerwał na chwilę, jakby zastanawiając się nad własnymi słowami.

Alicja Dobosz milczała. Kompletnie zaskoczyło ją to przedziwne wyznanie jeszcze dziwniejszego człowieka. Wpatrywała się w niego już bez cienia strachu. Obudził w niej współczucie. Nigdy by jej nawet nie przeszło przez myśl, że kiedykolwiek może poczuć coś w rodzaju litości dla zabójcy. Na moment zdała sobie sprawę, że przecież on może kłamać! Jednak coś utwierdzało ją w przekonaniu, że siedzący przed nią człowiek mówi prawdę.

- Cóż, na mnie już czas. Niech pani wróci do domu taksówką i uważa na siebie - stwierdził Gawlik niespodziewanie i wstał od stolika.

- Ale... - Alicja chciała coś powiedzieć do odchodzącego mężczyzny.

Adam przyłożył palec do ust na znak, że słowa nie są tu już potrzebne. Puścił do niej filuternie oko i rozplynął się w mroku za drzwiami kawiarenki.

\*

Poranek następnego dnia zastał Pelczara wysłuchującego z najwyższą uwagą relacji podkomisarz Dobosz na temat wydarzeń na Nowym Dworze. Kiedy dziewczyna skończyła mówić, zapalił papierosa.

- Panie inspektorze, on mówił prawdę? - spytała Alicja po dłuższej chwili milczenia.

- To akurat udało się sprawdzić. Tak, mówił prawdę, choć nic nie udało się udowodnić Rzeszewskiemu.

- I co pan teraz zamierza zrobić?

- Aresztować go, oczywiście - stwierdził zdziwiony, że pani podkomisarz zadaje w ogóle takie pytania. - Według prawa jest przestępcą i powinien zostać osądzony. A my jesteśmy po to, by tego prawa strzec, pani Alu. Niech pani o tym nie zapomina - Pelczar po raz pierwszy zwrócił się do niej po imieniu.

- Dura lex sed lex - powiedziała smutno.

- No właśnie. Cieszę się, że się rozumiemy. Złapać go to nasz psi obowiązek.

Alicja popatrzyła w okno za plecami przełożonego. Wychodziło na Podwale.

- Wie pan, panie inspektorze, na studiach miałam kiedyś takiego profesora od filozofii. Na jakimś wykładzie, nawet nie pamiętam o czym, powiedział słowa, których nigdy nie zapomnę: „Pamiętajcie państwo, w jakichkolwiek się znajdziecie okolicznościach, pamiętajcie, żeby zawsze być człowiekiem” - zacytowała.

- Niestety, nie stać nas na taki luksus, pani Alu - odpowiedział inspektor, sprowadzając ją na ziemię.

Drzwi do gabinetu podinspektora mało nie wypadły z futryn, gdy jak bomba wpadł do pomieszczenia podekscytowany komisarz Wołek.

- Jest cynk z lotniska, że ochrona widziała wśród czekających pasażerów faceta z naszego portretu pamięciowego!

Marek Pelczar zerwał się na równe nogi.

- Jaki teraz będzie lot?! - wykrzyknął pytanie.

- Do Frankfurtu nad Menem za czterdzieści pięć minut i jakiś czarter wakacyjny, nie wiem dokładnie gdzie.

- Ruszamy! - zakomenderował.

\*

Napięcie na lotnisku sięgało zenitu. Ludziom trudno było opanować nerwy. Tylko antyterrorysty czekali na sygnał w całkowitym spokoju. Hol odlotów międzynarodowych był pełny, co raczej wykluczało akcję z ewentualną koniecznością użycia broni palnej. Niewielkie rozmiary budynku uniemożliwiały użycie snajpera. Czekali. Komisarz Wołek spoglądał od czasu do czasu pytająco na swojego bezpośredniego przełożonego. Ten z zaciśniętymi ustami przechadzał się w części holu przeznaczony do odpraw krajowych. Nawet nie mieli pewności, czy człowiek siedzący o kilkadziesiąt metrów dalej jest tym, którego szukają.

W pewnej chwili, ku zaskoczeniu wszystkich, podinspektor ruszył szybkim krokiem w stronę podejrzanego człowieka, siedzącego wśród turystów wyjeżdżających na spóźnione wakacje.

Gawlik rozglądał się wokół. Jak na tę porę roku turystów było nadszpiewanie wielu. Hala odlotów małego portu lotniczego na wrocławskich Strachowicach tętniła życiem. Kompleks lotniska po niedawnej przebudowie prezentował się całkiem okazale, choć naturalnie daleko mu było do molochów z Frankfurtu nad Menem czy Londynu. Koniec lat dziewięćdziesiątych zbliżał jednak ten kraj do Europy coraz bardziej, również i pod tym względem.

Panująca tu atmosfera dawała to jakże polskie uczucie swojskości. W innym czasie i w innych okolicznościach może byłby jednym z tych szczęśliwych, uśmiechniętych ludzi wylatujących do ciepłych krajów, na południe Europy lub może jeszcze dalej. Czekały ich co najmniej dwa tygodnie odpoczynku, słońca i błęgiego lenistwa. Dla niego podróż za granicę na dzień dzisiejszy właśnie się zakończyła. Wiedział to od momentu, gdy w hali pojawili się pierwsi policjanci po cywilnemu. Jego wprawne oko wyłapało ich natychmiast. Na zewnątrz pewnie mają już w pogotowiu brygadę antyterrorystyczną w każdej chwili gotową do ataku. Wiedzą już, co potrafi i że nie jest typem bandyty, którego można pojmać bez strat własnych.

Mieli okazję nabyć tę wiedzę kilka dni temu pod Wrocławiem. Wiedzą też, że mają do czynienia z doskonale wyszkolonym zabójcą. Wciąż mogą nie zdawać sobie sprawy, iż przyszło im aresztować komandosa najwyższej światowej klasy i w tym upatrywał swojej szansy. Jeśli rzuca do akcji antyterrorystów, to z dużą dozą prawdopodobieństwa będzie w stanie urządzić im krwawą łaźnię, jak to się czasem robiło w różnych częściach świata. Powstanie zamieszanie, panika, zginie paru niczego jeszcze nie podejrzewających turystów, a on będzie mógł zniknąć i spróbować wydostać się z Polski inną drogą. Tak czy inaczej, musiał przyznać, że tym razem policja zadziałała nadzwyczaj sprawnie. Udało się im go namierzyć już po kilku dniach. To musiał być ten pracownik ochrony lotniska - pewnie dostarczyli mu rysopis poszukiwanego.

Wielka plażowa piłka odbiła się od jego nóg, a za nią podbiegł może pięcioletni chłopczyk. Stał przed obcym sobie mężczyzną w odległości nie więcej niż dwóch metrów i przyglądał mu się ciekawie. W jednej chwili pojawiła się matka młodego człowieka i chwyciła go za rękę.

- Nie wolno rzucać piłką w pana, Michałku - powiedziała karcąco do dziecka. - Bardzo pana przepraszam. Czasem trudno go upilnować - zwróciła się do nieznanego przepaszającym tonem.

- Ależ nic się nie stało - odpowiedział grzecznie.

- Ten młodzieniec z pewnością nie chciał mi zrobić krzywdy. Prawda, Michał?

Chłopczyk pokiwał energicznie głową na potwierdzenie i wyciągnął rączki po swoją własność.

- Już może mi pan oddać piłkę - powiedział rezolutnie, czym wzbudził lekkie zakłopotanie matki i uśmiech mężczyzny.

- Naturalnie. Proszę bardzo.

Adam wręczył mu plażówkę.

- Co się mówi, Michałku? - przypomniała mu kobieta o zwyczajowym „dziękuję”.

- To moja piłka - powiedział stanowczo Michałek, odwrócił się i uciekł do reszty rodziny.

- No widzi pan, jakie teraz są dzieci - powiedziała kobieta.

- Ma pani dzielnego synka. Powinna pani być dumna.

- Jestem. I to bardzo - rozpromieniła się i odeszła.

Ten dzieciak i jego matka świetnie nadawaliby się na żywą tarczę. W cywilizowanych krajach do dzieci się nie strzela. Kto wie, może będzie musiał ich wykorzystać, jeśli sprawy się skomplikują? Może to są właśnie ostatnie minuty ich życia? Jeśli dojdzie do starcia z

antyterrorystami, a wygląda na to, że dojść musi, ta miła rodzina znajdzie się na linii ognia. I nie tylko ona.

Płynęły minuty i nic się nie działo. Czekał. Ruch należał teraz do policjantów. Muszą coś zrobić.

Zauważył, że szybkim i zdecydowanym krokiem zbliża się do niego mężczyzna w raczej marnie skrojonym garniturze. Podszedł i usiadł obok. „Czyżby się zaczęło?”, pomyślał. „Przysłali człowieka, żeby mnie obezwładnił? Przecież w ten sposób podpisałiby wyrok śmierci na tego nieszczęsnego policjanta, cokolwiek sobą nie reprezentował. Niemożliwe, żeby byli aż tak naiwni!”

Mężczyzna w źle skrojonym garniturze wyciągnął papierosa i poklepał się po piersiach, szukając zapalek.

- Ma pan ogień? - spytał.

- Nie palę - odparł obojętnie zagadnięty i dalej wpatrywał się w przechadzających się po hali ludzi.

Palacz schował papierosa do przedniej kieszeni marynarki.

- W pewnym sensie zaimponował mi pan, choć myślałem, że nie uda się mi pana znaleźć - powiedział podinspektor, patrząc przed siebie.

Ścigany przeszył policjanta stalowym spojrzeniem.

- Mam tu ludzi gotowych do akcji, brygady antyterrorystyczne i w ogóle wszystko, co trzeba. Cała feta na pana cześć - mówił dalej policjant, tym razem zwracając wzrok w kierunku sąsiada.

- Liczyłem się z tym. Chce mnie pan wziąć żywcem? Będzie dużo niewinnych ofiar i na pana miejscu wcale nie byłbym taki pewny sukcesu - odpowiedział spokojnie niedoszły pasażer lotu do Frankfurtu.

Podinspektor zmarszczył brwi. Zdawał sobie sprawę, że człowiek siedzący obok może mieć rację.

- Hm... - uśmiechnął się smutno Pelczar. - Wiem o panu więcej, niż się panu wydaje. Dlatego chcę panu coś zaproponować. Niech mi pan da słowo honoru oficera jednostki „Błyskawica”, że nigdy nie wróci pan do tego kraju, a ja pozwolę panu spokojnie odlecieć do Frankfurtu. Powiedzmy mam swoje powody, żeby tak postąpić.

- Widzę, że rozmawiał pan z Andrzejem Zwierzchowskim. Co u niego?

- Wszystko w porządku. Żona spodziewa się dziecka, jakoś na dniach.

- Co pan powie? - powiedział Adam, jakby prowadzili przyjacielską pogawędkę przy piwie. - To świetna dziewczyna. Ma chłop szczęście.

- No to co, mam odwołać swoich ludzi?

- Słowa honoru oficera „Błyskawicy” panu nie dam, bo nie jestem godny być jednym z nich - przerwał i zamyślił się na moment. - Niewiele w tym kraju spotkało mnie dobrego, a wręcz odwrotnie - bardzo dużo złego. Zabili mi ukochaną bratanicę i prawdziwego przyjaciela, może najlepszego człowieka, jakiego kiedykolwiek spotkałem. Moja młodsza bratanica i jej rodzice nie będą mnie chcieli znać po tym, co zrobiłem. Do czego mam wracać, komisarzu, inspektorze, czy jaki tam ma pan stopień? - popatrzył na policjanta ze smutkiem. - Może pan odwołać swoich ludzi. Nie będzie pan miał ze mną już nigdy żadnych kłopotów, chyba tylko jak ktoś na mnie doniesie, że mu źle dach położyłem. Nie uwierzy pan, ale ja jestem cieślą. Podobno całkiem niezłym. Myślę, że czas przestać niszczyć i wreszcie zacząć coś budować.

- Niech mi pan dla pozorów pokaże paszport. Patrzą na nas.

Adam posłusznie wręczył Pelczarowi książeczkę. Policjant zajrzał do środka. Dokument był doskonale podrobiony.

- Juliusz Kwiatkowski - przeczytał półgłosem. - Też ładnie.

Z megafonu rozległ się głos wzywający pasażerów odlatujących do Frankfurtu nad Menem. Podinspektor oddał Gawlikowi paszport.

- Życzę przyjemnej podróży, panie Kwiatkowski. Szkoda, że nie spotkaliśmy się w innych okolicznościach, bardziej sprzyjających bliższej znajomości. Żegnam.

Podinspektor Marek Pelczar wstał, zasalutował niedbale i odszedł w stronę wyjścia z hali. Kiedy przed rozsuwanymi drzwiami odwrócił się i rzucił okiem za siebie, Adama już nie było.

- Akcja odwołana, to nie on. Wychodzimy - powiedział do maleńkiej krótkofalówki.

\*

Gdy przeor zakończył swoją opowieść, w surowym gabinecie klasztoru zapadła głucha cisza. W uszach Hanny wciąż brzmiały słowa opowieści zakonnika. Poznała wiele nowych faktów i szczegółów z życia człowieka, którego polecono jej znaleźć i sprowadzić do Tel-Awivu.

- Po co szukacie brata Jana? - spytał zakonnik po dłuższej chwili milczenia.

Hanna westchnęła ciężko i spojrzała swoim ogromnymi, czarnymi oczami, które złamały już niejedno męskie serce, na człowieka siedzącego przed nią.

- Jest taki Saudyjczyk, nazywa się Osama bin Laden. Pochodzi z bardzo bogatej rodziny, właścicieli największej w świecie arabskim firmy budowlanej, ale tak naprawdę to zwykły terrorysta. Choć zwykły to może źle powiedziane. Terrorysta na dużą skalę. Jego

organizacja - Al-Kaida - odpowiada między innymi za zamachy na ambasady amerykańskie w Tanzanii i Kenii w 1988 i samobójczy atak terrorystyczny na USS „Cole”, w 2000. Wiemy, że na jesień tego roku szykuje coś bardzo dużego w Stanach Zjednoczonych. Trzeba go, że się tak wyrażę, wyeliminować. Inaczej może zginąć wielu ludzi.

- Macie środki, specjalistów, sprzęt... Po co wam ktoś z zewnątrz?

- Sami nie możemy go zabić. Po pierwsze, ta akcja jest niezwykle trudna do przeprowadzenia, a po drugie, byłby skandal na cały świat. Musimy grać według pewnych reguł. Dlatego jest nam pan potrzebny. Pan i pańscy przyjaciele, panie... Gawlik.

Zakonnik popatrzył na nią smutno. Ta niezwykle piękna i niewątpliwie wybitnie inteligentna kobieta budziła jego szczerzy szacunek i podziw.

- Zdradził pana ładunek emocjonalny w tej historii. Znowu kochał pan Barbarę Roszak i ponownie cierpiał pan z powodu zabitej siostrzenicy. Nie jest pan narratorem, tylko bohaterem wydarzeń, panie Gawlik.

- Pani Haniu, już jakiś czas temu złożyłem Jezusowi swoje życie w ofierze. Ziemskie sprawy mnie nie dotyczą. Przybyła pani na próżno. Może mnie pani wydać w ręce sprawiedliwości, bo byłem ścigany za morderstwo do momentu, gdy uznano mnie za zmarłego, ale ja nie będę częścią waszej operacji.

Hana zdawała sobie sprawę, że jego decyzja jest ostateczna i nic jej nie zmieni. Zupełnie nieoczekiwanie poczuła dziwne ukłucie w okolicy serca; było to wrażenie, którego jej zimna i bezwzględna natura nigdy wcześniej nie doznała. Poczowała napływającą falę współczucia dla tego człowieka. Nagle zrobiło jej się zwyczajnie wstyd, że chce z powrotem wciągnąć go w życie, które ją samą czasem mierziło.

- Proszę się nie obawiać. Z chwilą opuszczenia bram tego klasztoru zapomnę o pana istnieniu i obiecuję, że już nikt z naszych nie będzie pana kłopotał. Swoją drogą niezła kariera. Stanowisko przeora w zaledwie kilka lat?

- Przeor pojechał do kurii do Wrocławia załatwiać swoje sprawy - uśmiechnął się Gawlik. - Jestem tu w całkowicie nielegalnym zastępstwie. Tylko dla pani, pani Haniu.

- Co z pana za człowiek? - spytała retorycznie, zupełnie rozbrojona. - Szczerze żałuję, że nie poznaliśmy się w innych okolicznościach. Mogłaby z tego zrodzić się ciekawa znajomość.

- Też tak sędzę - przyznał skwapliwie.

Wstała i wyciągnęła do niego rękę.

- Na mnie już czas. Niech się ojciec za mnie modli. Poparcie z niebios może się zawsze przydać.

- Może pani na mnie liczyć. I niech pani na siebie uważa, pani Haniu.

Nikt do niej wcześniej się tak nie zwracał. „Haniu”. Całkiem miłe dla ucha to spolszczenie jej imienia...

\*

- Proszę się zatrzymać przy tej jadłodajni, tu, niedaleko - powiedziała do taksówkarza, który wiózł ją do Wrocławia. - Wie pan gdzie?

- Jasne. Pewnie chodzi pani o bar pana Henia? Nie ma sprawy. Dają tam świetne szaszłyki, palce lizać.

- Co pan powie? Zobaczymy...

Taksówka zjechała na znany już Haniu parking.

- Będę z powrotem za jakieś pół godziny - powiedziała do kierowcy i ruszyła w stronę drewnianej chaty.

- Nigdzie się stąd nie ruszam - odpowiedział mężczyzna.

Pan Henio na jej widok wymownie zmarszczył brwi. Kobieta jakby nigdy nic podeszła do baru.

- Mówiłem już pani, że... - zaczął właściciel, lecz klientka nie pozwoliła mu skończyć, podnosząc palec wskazujący do swoich zabójczo kształtnych ust.

- Miałam dzisiaj jakieś przywidzenia, jacyś zakonnicy i takie tam sprawy. Widzi pan, panie Heniu, to majowe słońce czasami płata ludziom figle. Przepraszam za swoją niedyspozycję i że byłam niemiła. Przyszłam skosztować pańskich wyśmienitych szaszłyków. Sprzeda mi pan jednego na zgodę? - spytała i obdarzyła go swoim czarującym uśmiechem.

- Robi się, klient nasz pan - rozpromienił się pan Heniu i zniknął w prowizorycznej kuchni.

## Rozdział 32

Andrzej Zwierzchowski wszedł do ciemnego mieszkania. Podobnie jak niejedną raz w ciągu ostatniego miesiąca spędził popołudnie i wieczór, włócząc się po mieście, odwiedzając powstające w Warszawie jak grzyby po deszczu knajpy i puby. Tym razem wpadł jeszcze na pocztę i wysłał ostatni list. Powrót do domu niezmiennie był ostatnią rzeczą, na jaką miał ochotę. Zapalił światło w przedpokoju i niedbale rzucił na wieszak swoją ciężką, skórzaną kurtkę, kupioną podczas ich ostatniego wspólnego wyjazdu do Nowego Jorku. Martynka, oczko w głowie tatusia, nie mogła się doczekać, kiedy polecą samolotem „wysoko, wysoko”. Droczył się z nią, że jest jeszcze za mała i „pewnie pan pilot nie będzie chciał jej zabrać”. Złościła się wtedy nie na żarty i tupiała małą nóżką. Alina obawiała się trochę tej podróży, jakby przeczuwała, że coś niedobrego może ich czekać za Atlantykiem. Podśmiewał się z niej, jednocześnie przytulając i zapewniając, że przy nim nic złego ani jej, ani ich ukochanej, ślicznej jak marzenie córki stać się nie może. Wspomnienia wybuchły ponownie z niepohamowaną siłą. Znowu stanął mu przed oczami obraz żony i dziecka machających na pożegnanie Przy West Broadway za skrzyżowaniem z Barclay Street. Specjalnie wstali tego wrześniowego dnia wyjątkowo wcześnie. Chcieli mieć jak najwięcej czasu na zwiedzanie. Miał zamiar im tyle pokazać. Zanim ruszyły w stronę World Trade Center zagadnął jeszcze córeczkę.

- Pamiętaj, Martynko, żeby nie męczyć wujka Johna. Tatuś niedługo tam do was na górę dojedzie i odpowie na wszystkie twoje pytania. Wujek John zabierze was na samą górę i potem musi wracać do pracy.

- Do pracy? A po co? - odpowiedziała pytaniem w charakterystyczny dla siebie, naiwny sposób.

Wiedział, że z tych usteczek wypływa zwykle potok najróżniejszych pytań z prędkością strzałów z karabinu maszynowego. Pocziwy John miał raczej marne szanse, by sobie poradzić. Jego kobiety przystanęły i odwróciły się. Szeroki chodnik wypełniał się przechodniami.

- To za ile będziesz? - spytała jeszcze raz Alina.

- Teraz jest dziesięć po ósmej - spojrzał na zegarek.

- Za nie więcej niż godzinę będziemy razem podziwiać panoramę Nowego Jorku z



samej góry - odpowiedział i puścił jej całusa.

- Pamiętaj, za godzinę masz być z nami na górze, bo będę się denerwowała.

- Będę na pewno, kochanie. Czy ja cię kiedyś zawiodłem?

- Dobra, dobra. Nie wymądrzaj się...

- No chodź, mamusiu. Wujek John na nas czeka - powiedziała zniecierpliwiona Martynka i pociągnęła mamę w kierunku doskonale z tego miejsca widocznych biurowców.

- Już idziemy, aniołku. To pa, kochanie. Czekamy!

To miała być niespodzianka. Chciał jej kupić pantofle. Wprawili ją w autentyczny zachwyty dzień wcześniej w jednym z tamtejszych sklepów. Kosztowały tysiąc dwieście dolarów. Jak na ich możliwości finansowe cena była niebotyczna. Przez dłuższą chwilę nie mogła oderwać od nich wzroku i z bólem serca oddała buty ekspedientce. Zdawała sobie sprawę, że nie stać ich na taki wydatek. Andrzej widział, jak na nie patrzyła i wiedział, że choćby nie wiem co, musi je kupić. Wyobrażał sobie wyraz bezgranicznego szczęścia na jej przepięknej twarzy, gdy jej je wręczy. Kupił. O kilkadziesiąt minut za późno. Jedenasty września pogrzebał pod zwałami gruzu tych, których najbardziej kochał, i bez których nie wyobrażał sobie życia.

Butelka whisky Jack Daniels stała dokładnie w tym miejscu, w którym ją zostawił wczorajszego popołudnia. Niemyta od ponad tygodnia szklanka dotrzymywała jej dzielnie towarzystwa. Po podłodze walały się puszki po piwie i opakowania barowego jedzenia na wynos. Przechylił butelkę i szklanka wypełniła się do połowy wysokoprocentowym płynem. Na blat stołu spadło kilka kropel whiskey. Mężczyzna włączył telewizor. W „Panoramie” po raz kolejny rozwodzono się nad spektakularnym sukcesem wyborczym ekipy Leszka Millera. „Może to i dobrze”, pomyślał. Poprzedni minister wyrządził jego formacji niepowetowane szkody. Może ktoś nowy naprawi to, co zepsuł ten dureń w swetrze, którego kołesie niefortunnie posadzili na ministerialnym stołku? W końcu, jak chyba słusznie stwierdził na odchodnym Pytlak, głupszego zwierzchnika w rządzie mieć już przecież nie mogą. W każdym razie problemy jednostki, dla której poświęcił kawał życia, już go nie dotyczyły. Chłopaki jakoś będą musiały poradzić sobie bez niego.

Sięgnął po szklanę, i alkohol w ciągu kilku sekund rozgrzał wnętrze. Siedział jeszcze przez dobrą chwilę w fotelu i wpatrywał się w telewizor. Dopił resztkę whisky, wstał i podszedł do szafy na ubrania. Na najwyższej półce nad wieszakami wygrzebał skórzaną kaburę. Ważył przez moment pistolet w dłoni, przyglądając mu się w zamyśleniu. Odbezpieczył broń i przyłożył lufę do skroni. Październikową ciszę nocną zakłócił huk wystrzału. Strużki krwi spływały powolutku po ekranie telewizora. Właśnie podawali

prognozę pogody. Następny dzień miał być wyjątkowo piękny, jak na tę porę roku.

\*

Gawlik jeszcze raz przeczytał napis na kopercie. „Brat Jan Maria Gawlik...”. Pomyłka była mało prawdopodobna. List ewidentnie adresowany był właśnie do niego. Czyżby ktoś jeszcze oprócz Izraelczyków go tu znalazł? Czy to możliwe? Nie podał swojego adresu. Lekko zaniepokojony rozerwał papier i wydobyl starannie złożony, odręcznie napisany list. Pomyślał, że z początkiem dwudziestego pierwszego wieku, w dobie wszechobecnych komputerów, to rzadkość. Zaczął czytać. Przebiegł wzrokiem kilka pierwszych linijek. Od razu rozpoznał autora.

*„Witaj, przyjacielu!*

*Jeżeli trzymasz w ręku ten list, właśnie Ty, Adaś, a nie na przykład jakiś podkomisarz policji, to znaczy, że chłopaki z CIA, mimo swoich licznych wpadek, coś jednak potrafią. Obiecali po starej znajomości dokładnie zbadać okoliczności Twojej śmierci w Rwandzie. Szczerze mówiąc, nie bardzo mi się chciało wierzyć, że ktoś załatwił właśnie Ciebie. Za cwany jesteś. Chłopaki sprawdziły i dostałem ten adres. Właściwie nie mam żadnej pewności, że ty to Ty. Może jest tam jakiś inny brat Jan, Bogu ducha winny, który może w ogóle o Tobie nie słyszał i piszę te słowa w próżnię. Gawlik to w końcu bardzo popularne nazwisko. Coś mi jednak mówi, że się zaszyłeś przed cywilizowanym światem i Bóg jeden wie, co zamierzasz. Pewnie się dziwisz, że piszę, ale zaskoczę Cię jeszcze bardziej. Wyobraź sobie, że mam właśnie ochotę wypłakać się komuś w mankiet. Po raz pierwszy w życiu i z pewnością po raz ostatni. Gdy będziesz czytał te słowa, o ile w ogóle będziesz, ja już pewnie będę gryzł ziemię na jednym z pięknych warszawskich cmentarzy. Postanowiłem palnąć sobie w łeb. Zaskoczony? Ty byś pewnie dzielnie zniósł wydarzenia, które niedawno stały się moim udziałem. Jesteś twardzielem. Ja też myślałem, że jestem. Myliłem się. Zabili mi Alinę i Martynkę, sens mojego życia. Alinę poznałeś. Martynki nie. Dużo straciłeś, a ja - wszystko. Zabili mi rodzinę w World Trade Center, jedenastego września. Na pewno słyszałeś, takie wiadomości dochodzą nawet do klasztorów. One nie żyją, a ja je tam wysłałem. Zorganizowałem im wycieczkę po śmierć. Powinienem być z nimi na górze, gdy uderzył samolot. Bylibyśmy teraz razem. Nie byłem tam z nimi, ale, na szczęście, nic straconego. Jeszcze dzisiaj zamierzam do nich dołączyć. Znajdę je na tamtym świecie, choćbym miał wyrwać się z samego piekła. Podobno samobójców w zaświatach nie lubią. No to polubią. Zabili mi rodzinę. Niewinne dziecko, które nikomu nie byłoby w stanie wyrządzić żadnej krzywdy i żonę - kobietę, która była dla mnie sensem istnienia. Ja mam żyć? Niby po co? W*

*imię czego? Dorwać skurwieli i wythuc ich jak karaluchy? Nie mam już siły. Kapitan Zwierzchowski skończył służbę i odchodzi do cywila. Wypiję dzisiaj za Twoje zdrowie. Zostało mi jeszcze pół butelki Jacka Danielsa. Pamiętasz, jak zabalowaliśmy swego czasu?*

*Jeśli żyjesz, to wpadnij kiedyś do mnie na cmentarz. Może pogadamy. A jak nie, to odnajdziemy się w zaświatach. Powodzenia, Adaś. Jakby przypadkiem napatoczył Ci się pod lufę jakiś szmaciarz z Al-Kaidy, to wal bez zastanowienia. Masz moje błogosławieństwo”.*

*Andrzej*

Adam zmiął kartkę w dłoni i cisnął ją na kamienną podłogę.

- No, poruczniku Gawlik - powiedział głośno do siebie. - Przyszedł czas zmartwychwstania.

Wyszedł z celi zakonnej, służącej mu przez ostatnie lata za dom, i zamknął za sobą potężne, drewniane drzwi.

KONIEC